



COYLE

TRÓJKĄT ŚMIERCI

HAROLD

„Chrześcijaństwo nieco osłabiło niemiecką brutalną żądzę walki, ale nie było w stanie jej zlikwidować”.

Heinrich Heine (1833)

„Jeśli zagłada ma być naszym losem, my sami musimy być jej sprawcami. Jako naród ludzi wolnych, albo przeżyjemy, albo skończymy śmiercią samobójczą”.

Abraham Lincoln (1858)

Prolog

Regensburg, Niemcy

Kwiecień 1945

Przejście nocy w dzień było niemal niezauważalne dla tych, którym się udało przeżyć. Śpiew ptaków nie zapowiadał nowego dnia, bo ptaków nie

było. Ciemne, ciężkie niebo poszarzało przybierając kolor, w którym nie kryła się nadzieja czy ciepło dla tych, którzy przeżyli, ukryci w schronach. Ulgi nie przynosiła im nawet myśl, że zbliża się koniec udręki. Sześć lat wojny i dwanaście lat narodowego socjalizmu zabiły wszelkie uczucia i nadzieje. Żyli, ale ich oczy nie rejestrowały obrazów, uszy dźwięków, a dusze uczuć.

W kącie jednej z piwnic siedziały, przytulone do siebie, matka z pięcioletnią córeczką. Okryte łachmanami drżały od czasu do czasu spazmatycznie i tylko ten ruch odróżniał je od trupów złożonych po przeciwnej stronie piwnicy. Matka miała świadomość, że od śmierci dzieli je jeden krok. Za każdym razem kiedy dziewczynką wstrząsał konwulsyjny dreszcz, przytulała ją mocniej do siebie, jakby nie pozwalając jej odejść w krainę śmierci. Sama już nie pojmowała, dlaczego z takim uporem walczy o to gasnące życie, o jedyny cenny skarb, jaki jej pozostał. W ciągu minionych lat wszystko, co miała, co ukochała, zostało jej odebrane, rozbite, zniszczone, obrócone w perzynę, zamienione w tragedię. Wszystko, co jeszcze jej pozostało, to była ta pięcioletnia córeczka i ośmioletni chłopak, który był

8

HAROLD COTLE

niegdyś jej synem. Teraz jego serce i umysł skradł Hitlerjugend, i pozostała jej jedynie córeczka. Tylko to wiązało ją z życiem. Z całej siły przytuliła małą do siebie. Nie pozwoli jej odejść, umrzeć.

Po drugiej stronie piwnicy spacerował od ściany do ściany ośmioletni chłopak. W przeciwieństwie do matki i siostrzyczki był ożywiony,

podniecony, pełen oczekiwania i energii. Piwnicę wypełniał smród rozkładających się ciał, zmieszany z odorem odchodów, swądem spalenizny i wonią zatęchłej wody. To także, jak wiele innych niedogodności, trzeba było jednak znieść. Chłopakowi przychodziło to z łatwością, bo zachował wiarę w siebie, w ojczyznę i w Fuhrera. Smród, tak jak śmierć, stał się nieodłączną częścią wojny.

Chłopak chodził od ściany do ściany, nie zwracając uwagi ani na cierpienia matki, ani na zwały trupów, które sam, zgodnie z rozkazami, poukładał w jednym końcu piwnicy i nakrył jakimiś workami. Patrzył gdzieś przed siebie i wydawało mu się, że widzi oddziały żołnierzy, kolumny czołgów i eskadry samolotów, które zmiażdżą wrogów Reichu i Fuhrera. Wkrótce on i jego rówieśnicy dołączą do swoich ojców, którzy stają twarz w twarz z najeżdżcą rosyjskim i z Amerykanami. Myśl, że stanie do walki na rozkaz Fuhrera, podniecała go. Nagle dobiegł go łoskot zbliżającego się czołgu.

Strzelec George Kozak starał się trzymać możliwie najbliżej czołgu typu Sherman. Rozglądał się uważnie dookoła, trzymając karabin w pogotowiu. Było tu przecież tyle miejsc, w których mogli się zacząć snajperzy. Nienawidził wkraczania do miast i wsi, gdzie za każdym rogiem, za każdym oknem, na każdym dachu mógł się ukryć snajper. W otwartej przestrzeni, za zabudowaniami nie trzeba się było obawiać czyhającej wszędzie śmierci. W miastach zaś było o wiele niebezpieczniej.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

Te myśli powodowały, że był cholernie spięty. Spod hełmu spływał mu po twarzy pot. Zrobiło mu się gorąco. Pomyślał, że można by rozpiąć kurtkę, ale jednak tego nie zrobił. Wiedział, że jeśli się chociaż na chwilę zatrzyma, czołg przestanie go osłaniać. Koledzy wskoczą na jego miejsce, a on pozostanie z tyłu, zupełnie odsłonięty. Nie wolno odrywać oczu od mijanych domów. Wróg może wykorzystać najmniejszą chwilę nieuwagi. Trzeba więc mieć oczy otwarte i trzymać się czołgu. Czuł, że zaraz coś się wydarzy. Za miesiąc będą jego dwudzieste urodziny, a więc osiągnie wiek, jakiego wielu spośród jego kolegów nie udało się dożyć. Wprawdzie ciągle jeszcze będzie za młody, by móc u siebie, w Pensylwani, głosować i pić alkohol w miejscach publicznych, ale jego urodziny zbiegną się z równą rocznicą walki na froncie. Spośród dziesięciu ludzi z jego oddziału, z którymi trzeciego dnia inwazji wylądował na plaży Omaha, żyło jeszcze tylko trzech. Pozostałych wyniesiono nogami do przodu. A on. Kozak, miał zamiar doczekać swoich urodzin i rocznicy na froncie.

Nigdy nie zastanawiał się, dlaczego nie troszczy się o to, co się z nim stanie, jak już miną te dni. O nowym, wspaniałym świecie myśleli i mówili politycy, amerykańscy żołnierze zaś wiosną 1945 roku takimi sprawami nie zaprzęтали sobie głowy, podobnie zresztą jak miliony innych chłopców w mundurach. W tej chwili Kozak myślał jedynie o rym, by schować się za stalowe cielsko shermana, bo wiedział, że na przyszłość i tak nie ma najmniejszego wpływu.

Gdy dobiegł go odgłos nadjeżdżającego czołgu, chłopak rzucił się

do okna krzycząc:

- Papa, Papa! Mamo, papa przyjechał!

Matka podniosła głowę, ale nie ruszyła się z kąta. Boże, pomyślała, cóż za głupiec... Czyżby naprawdę wierzył, że ojciec żyje? Czyżby wierzył, że naziści mogli odeprzeć atak przeciwnika?

10

HAROLD COYLE

- Johann, to nie ojciec, on przecież nie żyje. Zginął w Świeta Bożego Narodzenia w Belgii. To Amerykanie. Przyszli, by położyć kres tym nieszczęściom.

Chłopak znieruchomiał, odwrócił w jej kierunku gniewnie wykrzywioną twarz i wybuchnął:

- Nie, kłamiesz, kłamiesz! Straciłaś wiarę! Papa żyje! Żyje! Przyjedzie, zobaczysz! Fuhrer obiecał i dotrzyma słowa. Na pewno!

Odwrócił się od matki, przysunął jakieś pudło pod okno i wdrapał się na nie, by lepiej widzieć nadjeżdżający czołg. Spojrzał i doznał szoku. Od razu poznał, że ten czołg to M-4A3 Sherman. Co gorsza, zobaczył idącego tuż za czołgiem człowieka w brudnym, wymiętym mundurze wroga. Amerykanin?! Czy to możliwe?! Jak ojciec mógł dopuścić, by przedarli się aż tutaj? Oni, on z matką i siostrą, musieli opuścić ich gospodarstwo pod Wrocławiem i przenieść się do ohydneho, zbombardowanego Regensburga. Potem były kolejne naloty, a teraz ci Amerykanie... Czyżby to naprawdę oznaczało koniec, o którym mówiła matka? A jeśli tak, to co on powinien zrobić? Walczyć z Amerykanami? Nie zastanawiając się

sięgnął po nóż, który otrzymał w dniu wstąpienia do Hitlerjugend. To była jedyna broń, jaką miał. Ale nie wiedział, jak jej użyć, by móc spełnić swój obowiązek wobec Fuhrera i ojczyzny.

George kątem oka spostrzegł jakiś ruch w okienku piwnicy pobliskiego domu. Do diabła!

- Snajperzy z prawej strony! - ryknął w kierunku kolegów i rzucił się jednym susem pod ścianę budynku, sięgając jednocześnie po granat. Pozostali przyłgnęli do ziemi, wycelowując karabiny w stronę okienka. Czołg, którego załoga nie zauważyła manewrów piechoty, dalej toczył się środkiem ulicy.

Kozak podpełznął do okienka i podtrzymując karabin nogami odbezpieczył granat, poczekał jeszcze jakieś parę sekund i cisnął nim do piwnicy. Znow chwycił karabin,

TRÓJKĄT ŚMIERCI

11

a gdy usłyszał przytłumiony huk wybuchu, wsadził lufę w otwór okienka i puścił długą serię. Nie miał zamiaru pozwolić, by komuś udało się przeżyć eksplozję.

Nagle karabin przestał strzelać, więc George przesunął się do ściany domu i zmienił magazynek. Ponownie wsadził lufę w otwór okienny i dał ognia. Po chwili ostrożnie zajrzał do środka, ale piwnicę wypełniał dym, uniemożliwiający zobaczenie czegokolwiek. Z ciemnej czeluści nie dobywał się żaden odgłos.

- Hej, Kozak, no jak tam? - usłyszał za plecami głos

dowódcy drużyny.

Raz jeszcze zajrzał do środka i w szarym świetle wpadającym z zewnątrz zobaczył pod ścianą piwnicy rząd trupów. Nic się nie poruszało, żadnego odgłosu. Jeśli ktokolwiek tam przed chwilą jeszcze żył, to już było po nim. Kozak poczuł ulgę, ale to wrażenie trwało tylko chwilę. Zorientował się, że czołg, ich jedyna ochrona, wciąż toczy się środkiem ulicy i oddala, pozostawiając ich, odsłoniętych, z tyłu.

- Tylko truposze, sierżancie! - krzyknął.
- Doskonale, ruszamy! Naprzód!

Kozakowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Odwrócił się od okienka i, półzgięty, ruszył biegiem za czołgiem. Pędził tak, jakby sherman stanowił jedyną gwarancję, że on. Kozak, dożyje dwudziestej rocznicy swych urodzin. Nic - i nikt - nie był w stanie go powstrzymać.

Część pierwsza

Operacja „Szukanie po omacku”

Rozdział I

6 stycznia

Nie dochodząc do szczytu, pułkownik Scott Dixon zatrzymał się, przyklęknął i oparty o drzewo zaczął ściągać z hełmu biały, zakładany dla kamuflażu kaptur. Mocując się z nim, patrzył na panoramę wyłaniającą się z za wzgórza. W dole biegła ukraińska granica. Można by przypuszczać, że pułkownik rozważa czekającą go operację, ale w rzeczywistości dowódca 1. Brygady 4. Dywizji Pancерnej zmagął się w tym momencie z

poczuciem winy, że wywalczył przydział białego kaptura. On, dowódca brygady, w której skład wchodziły dwa bataliony czołgów i dwa bataliony piechoty zmotoryzowanej, domagał się odzieży maskującej, by ukryć się przed tak przecież odległym przeciwnikiem. Szefowi sztabu brygady powiedział:

- Jeśli doszliśmy do tego, że to ma mnie właśnie chronić, to najwyższy czas, by ktoś przemyślał tę całą sytuację.

Czterdziestosześcioletni Scott Dixon był człowiekiem o skomplikowanej naturze. Miał tę szczególną łatwość bycia, która wprowadzała w błąd tych, którzy go nie znali. Gdyby się go spotkało na ulicy jakiegoś amerykańskiego miasta, nie można by się było domyślić, że ma się do czynienia z kimś, kto sprawuje dowództwo nad czterema tysiącami mężczyzn i kobiet w mundurach. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu i ważył niewiele ponad osiemdziesiąt kilogramów. Tak ubiór jak ten kombinezon maskujący ukrywał pierwsze oznaki skłonności do tycia. Patrząc z pewnej odległości na jego twarz, nie dostrzegało się w niej niczego szcze-

TRÓJKĄT ŚMIERCI

15

gólnego, może tylko to, że nosił włosy krótsze niż większość Amerykanów w jego wieku. Nie wyglądał na swoje lata. Jego wyraz twarzy nie zdradzał żadnych uczuć. Jedyнным szczegółem, który mógł go odróżniać od przeciętnego Amerykanina w średnim wieku, były oczy. Tylko one go odsłaniały, ujawniając szczególnego rodzaju smutek i zadumę, charakterystyczne dla weteranów wojen i batalii. Widać to było zwłaszcza w momentach, kiedy pozwalał sobie na

zamyślenie. Wtedy właśnie w jego spojrzeniu odzwierciedlało się to wszystko, co przeżył i widział. Miał świadomość, że dzięki temu, co przeszedł, stał się doświadczonym i cenionym dowódcą. Nie miał najmniejszych złudzeń co do tego, że wojna oznacza zadawanie śmierci. Zrozumienie tej prawdy czyniło Dbcona innym i powodowało, że na swoją profesję patrzył z dystansem. Wątpliwościami dzielił się jedynie z najbliższymi, a współpracownicy i podkomendni tylko czasami dostrzegali smutek w jego oczach.

Już niemal uporał się z tym przeklętym kapturem, gdy z tyłu dobiegł go odgłos skrzypiących na śniegu kroków. Obejrzał się. Jego śladem podążał rosyjski pułkownik. Dalej, w dole, zobaczył swojego oficera operacyjnego, ubranego również w biały kombinezon, stojącego obok gazika. Cerro i oficer Armii Słowackiej, łącznik i tłumacz, wyjaśniali coś wyraźnie rozsierdzonemu miejscowemu chłopu, zapewne oburzonemu, że weszli na jego pole. Dixon wiedział, że Cerro, gdy tylko uda mu się udobruchać rozwścieczonego wieśniaka, dołączy do nich.

Zdaniem Dbcona, jego oficer operacyjny, Cerro, spędzał zbyt wiele czasu wśród żołnierzy pierwszej linii. Nigdy nie przeoczył okazji, by oddalić się od sztabu i znaleźć się wśród żołnierzy, często pełniących służbę w śniegu czy w błocie. Zadanie, jakie teraz otrzymał, a więc uspokojenie słowackich chłopów, najwyraźniej mu nie odpowiadało. Dixon uśmiechnął się sam do siebie i potrząsnął głową. Dziwaczne przyzwyczajenie piechociarzy, pomyślał, i uświadomił sobie, że sam, mimo dwudziestu dwóch lat służby w randze oficera dywizji pancерnej, starał się nigdy nie przegapić okazji, by znaleźć się wśród

zwykłych żołnie-

16

HAROLD COYLE

rzy. Zanim skierował wzrok ponownie ku granicy, zauważył, że Cerro ma na hełmie biały pokrowiec, o który było jeszcze trudniej niż o kaptur. Gdzież, do cholery, on to zdobył? Czy można by się postarać o jeszcze jeden, dla niego? Rosyjski pułkownik podszedł i uklęknął koło Dixona. Amerykanin od razu zapomniał o przyziemnych kłopotach, a zaczął myśleć o sprawach, które spowodowały, że znaleźli się w tym miejscu.

Pułkownik Anatol Worisznow, ciężko dysząc, ściągał swój kaptur, mrużąc przy rym ni to do siebie, ni to do Dixona:

- Ten śnieg kiedyś mnie zabije.

Dixon uniósł brwi.

- Byłem przekonany, że wy, chłopcy, kochacie się w zimie. Generał Zima. Wie pan, co mam na myśli.

Worisznow zaśmiał się:

- Padł pan ofiarą propagandy i obiegowych mitów. Nie znoszę zimy, tak jak i pan. Nie cierpię śniegu, zapadania się w nim, dlatego właśnie staram się chodzić śladami innych. Teraz też one mnie tu przywiodły.
- No więc już wiem, dlaczego włókł się pan za mną -zaśmiał się Dixon.
- My, Rosjanie, bywamy powolni, czasami nudni, ale nie jesteśmy głupcami.
- Nigdy tak nie myślałem, pułkowniku. Gotów pan?
- W ślad za panem, pułkowniku - mruknął Worisznow.
- Wiedziałem, że to właśnie usłyszę, pułkowniku Worisznow.

- Czy sądzi pan, pułkowniku Dixon, że pańskiemu młodemu majorowi uda się przekonać słowackiego chłopca, iż jesteśmy po prostu na wycieczce?

Dixon uśmiechnął się.

- Niech się pan nie martwi, pułkowniku. Major Cerro jest absolwentem Akademii Wojskowej stanu Wirginia. Tam go nauczono opowiadać przeróżne historyjki.

Worisznów zrozumiał, że Dixon żartuje. Jego stosunek do Cerra był bardzo szczególny. Wprawdzie zachowywali się wobec siebie jak na dowódcę i podkomendnego przy-

TRÓJKĄT ŚMIERCI

17

stało, ale było oczywiste, że łączyła ich nie sympatii. Worisznów nie miał wątpliwości, że gdyby byli sobie równi rangą, zostaliby serdecznymi przyjaciółmi. To było zresztą typowe dla stosunków panujących w armii amerykańskiej. Worisznów pomyślał, że mają charakterystyczny sposób bycia, ani dobry, ani zły, po prostu inny. Najbardziej podobało mu się ich poczucie humoru, bo sam służył w armii od lat wstrząsanej przemianami politycznymi i społecznymi, co do żartów bynajmniej nie usposabiało. Myślał o tym, a głośno powiedział:

- Zawsze sobie wyobrażałem, że w pańskim kraju najlepsi w wymyślaniu różnych historyjek są Irlandczycy.
- Bo to prawda. Irlandczycy są w tej dziedzinie szczególnie uzdolnieni. Dlatego też Cerro musiał się tego uczyć w specjalnej

uczelnii - Dixon popatrzył na wschód, odchrząknął i dodał: - Wkrótce zapadnie zmrok. Jeśli będziemy czekali na majora Cerro, niewiele zobaczymy.

Worisznów był tego samego zdania.

- A szkoda byłoby pokonać tę całą drogę i niczego nie zobaczyć.

Ruszyli w kierunku szczytu wzgórza. Dixon nie mógł się pozbyć dręczącego, dziwnego uczucia. Miał wrażenie, że znalazł się w dziwnej, nie pozbawionej ironii sytuacji. Przed dwudziestu laty jako porucznik wojsk pancernych dostał przydział do jednostki, której zadaniem była obrona Niemiec zachodnich przed ewentualnym atakiem wojsk Układu Warszawskiego. Stacjonował w środkowych Niemczech, na wschód od Fuldy, i tam po raz pierwszy stanął na linii granicznej. Był dowódcą pięciu czołgów M-60A1, które osiągały zatykającą dech w piersiach szybkość 35 km na godzinę, a i to zjeżdżając z góry i z wiatrem. Jego żołnierze nosili hełmy z lat II wojny światowej, a ich przeciwnikami byli wtedy Rosjanie. Obecnie, rozważał Dixon, świat poruszał się tak prędko jak czołgi M-1A1 Abrams, jakimi dysponowały jego dwa bataliony. A i przeciwnik był też inny. Gdyby wtedy, w Fuldzie, ktoś mu powiedział, że będzie się przygotowywał do uderzenia w głąb Ukrainy,

18

HAROLD COYLE

a jego doradcą będzie rosyjski oficer, to kogoś takiego uznałby za wariata. A jednak tak właśnie było.

Doszli do szczytu wzgórza. Dixon był poruszony pięknem panoramy. Góry, lasy i ten spowity śniegiem krajobraz przypominały mu Bawarię. Nawet porozrzucane po zboczach gór zabudowania gospodarcze były podobne. Oczywiście to nie były południowe Niemcy. Dla armii amerykańskiej był to rejon nowy, zupełnie nie znany. Na lewo od nich horyzont zamykał łańcuch Karpat, na prawo ciągnęło się podgórze i zaczynała równina Alfoeld, wychodząca na Węgry. Dixon miał pełną świadomość wagi wydarzeń, jakie się tu miały wkrótce rozegrać. Zastanawiał się nad tym, studiując jednocześnie linię granicy, która biegła nie dalej, niż o sto metrów od nich. Przyłożył do oczu lornetkę i przyglądał się zasiekom z drutu kolczastego oraz budkom i wieżom strażniczym.

W okolicy *panowai* spokój. *Żadnych oznak szczególnego* ruchu, przygotowań, gotowości do działania. Patrzył teraz przez lornetkę na przejście graniczne ze Słowacji na Ukrainę. Ukraiński celnik przepuszczał właśnie ciężarówkę wiozącą prosięta. Nawet nie sprawdzał dokumentów i ruchem ręki nakazał odjazd.

Dixon raz jeszcze zlustrował linię graniczną i powiedział:

- Albo naprawdę nie wiedzą, że jesteśmy blisko, albo mają nerwy ze stali.

Worisznow nie rozumiał niektórych słów, ale sens pojął.

- Zgadza się - powiedział. - Wygląda na to, że koncentracja wojsk rosyjskich na północnych i wschodnich odcinkach granicy zwiódła Ukraińców. Jutro rano zaskoczemy ich taktycznie i operacyjnie.

Dixon spojrzał na Worisznowa. Lubił tego masywnego Rosjanina. Wprawdzie ustawicznie poprawiał on wymowę Dixona i jego oficerów,

zwłaszcza dotyczyło to wymowy nazw ukraińskich miejscowości, ale miał miły, bezpośredni sposób bycia, przy jednoczesnym zachowaniu postawy zawodowego oficera. Był, zdaniem Dixona, typowym Rosjaninem. Nigdy nie przepuścił okazji, by podkreślić, jak wielkim i wspaniałym krajem jest Rosja. Nie ukrywał też

TRÓJKĄT ŚMIERCI

19

dumy z roli, jaką w całej operacji odgrywała armia rosyjska. Wprawdzie jedynymi Rosjanami, którzy mieli wkroczyć na Ukrainę podczas zbliżającej się operacji, byli rosyjscy doradcy, przydzieleni do poszczególnych jednostek amerykańskich, to jednak koncentracja armii rosyjskiej na północy sparaliżowała armię Ukrainy i pozwalała Amerykanom na wkroczenie i zajęcie dwóch arsenałów broni nuklearnej w rejonie Swaljawy.

Dixon traktował Worisznowa jak równorzędnego stopniem oficera, z którym mógł zupełnie szczerze wymieniać myśli i poglądy. To, że rosyjski oficer mógł być jego przyjacielem, kimś, komu ufał, było jeszcze jednym dowodem na to, że świat, jak to zwykła mówić Jan, żona Dixona, stawał się coraz bardziej zwariowany.

Zadowolony z tego, co zobaczył, Dixon powiedział:

- Nie ma wątpliwości: tamci nawet nie podejrzewają, co ich czeka.

Worisznow nie odejmował lornetki od oczu i w dalszym ciągu lustrował linię granicy. Po chwili odparł:

- Tak, ja też myślę, że nie mają najmniejszego pojęcia,

co się święci. Jutro rano powinien pan odnieść sukces.

Dixon wzruszył ramionami.

- Nie martwię się tym, co będzie jutro przy przekraczaniu granicy. Niepokoi mnie jednak droga z Użgorodu do Mukaczewa.

Worisznow odwrócił głowę w kierunku Dbcona.

- Wymawia się: Mu-ka-cze-wo - poprawił Amerykanina. - Podzielam pańskie obawy o ten etap operacji. Sądzę, że chce pan skierować zbyt małe siły na południową flankę, z zadaniem zablokowania ukraińskiej brygady, która uderzy od Uzłowoje. Moim skromnym zdaniem nazbyt pan wierzy w możliwości swoich helikopterów wspierających i w umiejętności dowódcy, którego zadaniem jest zablokowanie ataku. Nie zgadzam się z oceną pańskiego oficera wywiadu. Kiedy wkroczycie na Ukrainę, brygada z Uzłowoje uderzy prosto na północ, na waszą flankę południową i wcale nie ruszy na wschód, by bronić Mukaczewa. A jeśli tak się właśnie stanie, będzie pan zmuszony do przerzu-

20

HAROLD COYLE

cenią części swoich sił na południową flankę. Znajdzie się pan w sytuacji, w której musi się pan bronić, a tamci, operujący na własnym terenie, zyskają przewagę.

Dixon był jednak zdecydowany bronić swojej decyzji użycia tylko jednej kompanii do zablokowania przeciwnika, który mógłby im zagrażać od

południa.

- Rozumiem pańskie obawy - powiedział - i w innych warunkach byłbym skłonny się z nimi zgodzić. Sądzę jednak, że ta konkretna sytuacja upoważnia mnie do podjęcia ryzyka. Kapitan Nancy Kozak, dowódca kompanii blokującej, jest doskonałym oficerem. Gdyby nawet operacja naszych helikopterów wspierających okazała się niewystarczająca, mamy dość artylerii, by skutecznie wesprzeć kapitan Kozak. Poza tym dysponuję jeszcze dwoma batalionami pancernymi i dwoma piechoty morskiej, i nie mogę tych sił rozdzielać. Gdyby brygada ukraińska nadchodząca od południa okazała się zagrożeniem, zajmiemy się nią, w razie potrzeby.

Dbcon skończył i czekał na uwagi Rosjanina, ale ten milczał. Z wyrazu jego twarzy odczytał, że nie udało mu się go przekonać. Pomysł powierzenia tak ważnej akcji młodemu oficerowi, w dodatku kobiecie, Worisznow uważał po prostu za lekkomyślność. Ale to nie była jego armia, ani jego brygada. Tu dowódcą był Dixon, on podejmował decyzje i on za nie odpowiadał.

Amerykanin, przekonawszy się, że Rosjanin woli nie komentować jego postanowień, pomyślał, że i tamtym kierują stare nawyki i przyzwyczajenia. Przez chwilę w milczeniu patrzyli w kierunku granicy, aż wreszcie Dixon stwierdził:

- Sądzę, pułkowniku, że to wystarczy. Wracajmy, zobaczymy, co robi nasza młodzież.

Worisznowowi nie zawsze odpowiadało zachowanie i sposób wypowiedzania się amerykańskich oficerów, ale rozumiał, że to jest już taki styl bycia i nie ma powodu, by robić na ten temat jakieś uwagi. Ostatecznie to Amerykanie wygrali więcej wojen niż jego armia i jeśli nawet coś

TRÓJKĄT ŚMIERCI

21

go w nich drażniło, to lepiej było rzecz przemilczeć. Życie już go nauczyło, że ze zwycięzcami nie należy dyskutować. - Wracajmy, czas na szklankę gorącej herbaty - powiedział tylko.

Senatorzy i kongresman! wchodzili do małej salki konferencyjnej, ale prezydent nie wstała ze swego miejsca, by ich powitać. Abigail Wilson przechyliła się przez poręcz fotela i rozmawiała z sekretarzem obrony Terryem Rothen-bergiem. Ale wcale nie oznaczało to, że ignorowała delegację Kongresu, na to była politykiem zbyt wytrawnym. Kątem oka obserwowała, kto wchodzi i rejestrowała wyraz twarzy poszczególnych osób. Oczywiście wiedziała dokładnie, kto przyjdzie i jak delegacja zostanie rozsadzona, ale jej sztab nie był w stanie przewidzieć nastrojów i reakcji zaproszonych członków Kongresu. To musiała już sama wysondować. Z wrodzonym sobie spokojem i z wnikliwością - były to cechy, dzięki którym siedzibę gubernatora stanu Kolorado zamieniła na Biały Dom w Waszyngtonie -studiowała ukradkiem twarze i zastanawiała się nad taktyką rozmowy. Chciała ją przeprowadzić w sposób i na warunkach przez siebie ustalonych. Taki

w każdym razie miała zamiar. I byłaby go zrealizowała, ale, niestety, nie wzięła pod uwagę kongresmana Eda Lewisa.

Członkowie delegacji zajęli miejsca, a sekretarz stanu Peter Soares dał znak, że pora zaczynać. Abigail Wilson popatrzyła na niego pytająco. Doliczyła się jedynie dziewięciu członków Kongresu, choć zaproszono dziesięć osób. Soares, który się nie zorientował w czym rzecz, patrzył na panią prezydent zdziwiony. Dopiero kiedy ruchem głowy wskazała puste krzesło, domyślił się, o co chodzi i skierował wzrok na faceta ze sztabu, stojącego w pobliżu drzwi. Ten natychmiast pojął, co zaniepokoiło jego zwierzchników i ruszył ku drzwiom, by odszukać ostatniego członka delegacji. Gdy tylko stanął w progu, niemal wpadł na niego jak zawsze śpieszący się, wysoki, szczupły kongresman Ed

22

HAROLD COYLE

Lewis. Niczym nie speszony, uśmiechnął się, skłonił i zorientowawszy się, że wszyscy patrzą w jego stronę, powiedział:

- Przepraszam za spóźnienie. Widzę, że ruch tu nie mniejszy niż na ulicy o tej porze.

Kilku kongresmanów parsknęło śmiechem, a Soares nie potrafił ukryć irytacji.

Wilson nie była zadowolona, że kongresman odwrócił od niej uwagę zebranych, i to na samym początku spotkania, ale nie dała tego po sobie poznać. Przerwała rozmowę z Rothenbergiem i wyprostowała się. By uniknąć wrażenia, że czeka, aż Lewis zajmie miejsce, zaczęła układać

precyzyjnie uporządkowane notatki. Pomyślała przy tym, że ten Lewis, jeśli tylko chce, potrafi zaleźć za skórę.

Kiedy się wreszcie uspokoiło, odezwał się Soares:

- Jak panom doskonale wiadomo, Rosjanie i Ukraińcy nie mogą dojść do porozumienia w sprawie broni atomowej składowanej na Ukrainie. W listopadzie armia ukraińska położyła łapę na broni jądrowej i zażądała od Moskwy, by broń ta została przekazana pod kontrolę Wspólnoty. Doprowadziło to do impasu. Moskwa nałożyła na Kijów sankcje gospodarcze, w tym embargo na dostawy ropy. W gospodarce Ukrainy nastąpiły zakłócenia, ale do porozumienia nie doszło. Działania Moskwy jedynie usztywniły stanowisko rządu Ukrainy, który dowodzi, że stoi na straży suwerenności swego państwa.

Soares zamilkł na chwilę i popatrzył po twarzach kongresmanów. Nagle od strony zgromadzonych padło słowo, które wszyscy najwyraźniej zrozumieli jako:

- A gównno.

Lewis domyślił się w czym rzecz, jeszcze zanim Soares dobrnął do sedna sprawy.

- Poczekaj, Pete - powiedział Lewis.
- Pozwól, że zgadnę. Nasze jednostki, przeniesione z Niemiec do Czech i Słowacji, by zniechęcić Węgrów do podejmowania jakichkolwiek akcji, mają doskonałą pozycję, by wkroczyć na Ukrainę i zabezpieczyć arsenał nuklearny, który jest przedmiotem zatargu. A Rosjanie, którzy

tak wychwalali przesunięcie naszych oddziałów do byłej Czechosłowacji, teraz dyskretnie zachęcają nas, byśmy się ruszyli i wybawili ich z niezręcznej sytuacji.

Soares był wściekły, że mu przerwano. Stał przy końcu stołu i złym wzrokiem wpatrywał się w Lewisa. Widząc, że sytuacja zaczyna im się wymykać z rąk, Wilson wtrąciła się:

- Chodzi o coś znacznie ważniejszego niż wyratowanie Wspólnoty z niezręcznej sytuacji. Mamy potwierdzone informacje, że pewien kraj nie dysponujący bronią nuklearną zaproponował Ukrainie odkupienie tej broni - w zamian za pomoc gospodarczą, jakiej odmawia jej Wspólnota. Ponieważ ukraiński przemysł i transport niemal stanęły, w rządzie w Kijowie znaleźli się ludzie, którzy tę ofertę potraktowali z całą powagą.

Lewis, zniecierpliwiony, przerwał jej:

- A więc nasze siły militarne mają zrobić to, czego nie mogą zrobić Rosjanie, tak?

Sekretarz obrony Rothenberg zauważył, że Wilson zaczyna się denerwować, więc postanowił włączyć się do tej nie zaplanowanej dyskusji:

- Tak, kongresmanie Lewis, my możemy to zrobić. Na prośbę Wspólnoty nasze siły stacjonujące w Słowacji dokonają chirurgicznie precyzyjnego uderzenia z ziemi i z po

wietrza, by zlikwidować zagrożenie. Dwa arsenały, położone w rejonie Swaljawy zostaną zajęte przez nasze oddziały, które przejmą głowice atomowe i przygotowują je do transportu do Niemiec.

Lewis zareagował tak, jakby otrzymał cios w podbródek. Sam przez lata był członkiem Gwardii Narodowej, weteranem wojny w Zatoce. Nie znosił, kiedy politycy używali takich zwrotów, jak „chirurgicznie precyzyjne uderzenie” czy „likwidacja zagrożenia”. Czuł, że narasta w nim wściekłość.

- Jezu, Rothenberg - wyrzucał z siebie. - Czy tobie się zdaje, że wnosisz sprawę do sądu? - ale nie dając zdenerwowanemu sekretarzowi dojść do słowa ciągnął: - Tu nie jest sąd Nowego Jorku. Nasi chłopcy przedzierają się teraz

24

HAROLD COYLE

przez Karpaty, by dostać się do broni, której Ukraińcy bez walki niewątpliwie nie oddadzą. A kiedy ci nasi chłopcy i dziewczęta staną oko w oko z ukraińskimi chłopakami i dziewczynami, nie będzie żadnej „chirurgicznej precyzji”. Nie ma w tym nic precyzyjnego, kiedy ci bomby lecą na łeb. Jak w drużynie futbolowej, piłkę od Rothenberga przejęła Wilson.

- Kongresmanie Lewis, doceniamy pańskie obawy i rozumiemy pańskie uczucia - była wściekła, że Lewis zepsuł jej tak dokładnie zaplanowane spotkanie, ale zachowała całkowity spokój, któremu zawdzięczała swoje polityczne

sukcesy. - Proszę mi wierzyć, że rozważyliśmy wszelkie możliwości i każde ryzyko. Gdyby była jakakolwiek inna droga rozwiązania problemu, z całą pewnością byśmy ją wybrali. Nie możemy się jednak pogodzić z rozszerzaniem się zasięgu broni jądrowej. Czas położyć temu kres.

Lewis miał już skomentować to dramatyczne „położyć kres”, ale ugryzł się w język. Pomyślał, że to nie czas na osobiste wycieczki. Doszedł do wniosku, że lepiej trzymać się meritum problemu. Patrząc na swoje ręce złożone na kolanach, powiedział spokojnie:

- Czy, proszę pani prezydent, wiemy, kto chciał te bomby kupować? Czy nie prostsze byłoby ogłoszenie blokady Ukrainy?

Z kolei inicjatywę przejął Soares:

- Nie, kongresmanie, nie wiemy, kto złożył Ukraińcom propozycję. Nasze źródła w Kijowie ustaliły jedynie, że oferta została złożona i dyskutuje się już o szczegółach transportu głowic.
- A więc uważamy, że to wystarczy, by wysłać nasze jednostki?
- Tak jest, kongresmanie, tak właśnie uważamy.
- A co mają do powiedzenia na ten temat rządy Słowacji, Czech i Niemiec?

Dość arogancko, w sposób, który zaskoczył senatorów i kongresmanów, Rothenberg zlekceważył obawy Lewisa.

- To nie jest sprawa dotycząca bezpośrednio tych rządów - powiedział. - Zresztą ze względu na bezpieczeństwo

TRÓJKĄT ŚMIERCI

operacji uznaliśmy, że im mniej rządów będzie w to zaangażowanych, tym lepiej. Wspólnota zwróciła się z prośbą bezpośrednio do prezydent Wilson i sprawa nie dotyczy w tej chwili żadnego z europejskich rządów. Po przeprowadzeniu operacji poinformujemy je dokładnie o przebiegu wydarzeń. Biorąc pod uwagę cele operacji, rządy te niewątpliwie uznają słuszność naszej decyzji i udzielą nam poparcia.

Przez chwilę panowało milczenie, po czym Lewis, siląc się na spokój, zapytał Rothenberga, czy naprawdę jest przekonany, że Niemcy pozwolą amerykańskim siłom na wykorzystanie ich kraju jako odskoczni do inwazji na inny kraj.

Odpowiedź Soaresa brzmiała jak referat:

- Nie muszę panu chyba przypominać, kongresmanie, że od momentu zjednoczenia politycy Niemiec zawsze kładli nacisk na rozbrojenie. W szczególności nuklearne.

Soares zamilkł na chwilę i powtórzył z naciskiem:

- Przede wszystkim nuklearne. Zresztą od czasu powstania Republiki Federalnej polityka naszych obu krajów była zbliżona. Proszę nie zapominać, że to my umożliwiliśmy zjednoczenie Niemiec i jestem przekonany, że Niemcy będą o tym zawsze pamiętać.

Lewis był już o krok od tego, by przypomnieć Soaresowi, że polityka Waszyngtonu i okupacja Niemiec po drugiej wojnie światowej leżały u podstaw podziału Niemiec na dwa państwa. Uznał jednak, że lepiej to w tym momencie przemilczeć. Taka uwaga byłaby i tak bezskuteczna. Decyzja o użyciu siły została już podjęta, co zresztą oznaczało brak efektywnej koncepcji w polityce zagranicznej. Lewis wsparł głowę na

rękach i milczał.

Wilson wiedziała, że zagrożenie minęło. Rozejrzała się po obecnych i powiedziała:

- Mamy wiele do zrobienia, panowie. Podzielam i uznaję zaniepokojenie kongresmana Lewisa. Jest ono wyrazem rzeczywistych trosk o interesy kraju. Jestem przekonana, że będziemy je w stanie zaspokoić. A teraz, Pete, mów dalej.

26

HAROLD COYLE

Chociaż wydawało się, że kanclerz Ruff nie zwraca uwagi na raport składany przez pułkownika, w rzeczywistości docierało do niego każde słowo. Kanclerz doskonale rozumiał, jakie to wszystko ma znaczenie dla niego i dla Niemiec.

Za oknami nie widać było Berlina. Kolejna burza śnieżna zasłoniła panoramę miasta. Na zewnątrz było ciemno i zimno. Aura odpowiadała dokładnie jego nastrojom. Odwrócił się na zdrowej nodze, stając tyłem do okna, a twarzą do oficerów Sztabu Generalnego, którzy przynieśli mu wiadomości, jakich wolałby nie słyszeć.

Patrzył przez chwilę na obu mężczyzn. Byli bardzo różni. Generał Walther Schacht, szef Biura Wywiadu Sztabu Generalnego, rozparł się wygodnie w fotelu, wyciągnął nogi, a ręce oparł na poręczach, podpierając dłońmi brodę. Ruff miał wrażenie, że raport składany przez pułkownika Gerharda Paulą nie interesuje Schachta. Kanclerzowi przyszło na myśl, że Bawarczycy zazwyczaj nudzą się w obliczu poważnych problemów. Paul,

rodem z Lipska, szef Wydziału Europy Wschodniej w Biurze Wywiadu Schachta, stojąc składał raport na temat sytuacji na Ukrainie. Paul był stuprocentowym oficerem. Podkreślały to jego postawa, a stał niemal wyprężony na baczność, i jasny, precyzyjny styl wypowiedzi. Był dokładnie takim oficerem, jakich kanclerz pragnął widzieć wokół siebie. Przyszło mu do głowy, że błędem było odsuwanie po zjednoczeniu wyższych oficerów armii NRD. Powinni byli pozostać w szeregach Bundeswehry. Był zadowolony, że udało mu się w pewnym momencie powstrzymać czystkę, dzięki czemu wielu oficerów ze wschodnich landów mogło obecnie odgrywać odpowiednią rolę w szeregach armii.

Paul skończył. W gabinecie zapanowała cisza. Obaj oficerowie czekali, co powie kanclerz. Ruff stał teraz koło biurka, oparty o jego blat, by nieco odciążyć chorą nogę. Właściwie powinien był usiąść, ale wolał to spotkanie prowadzić na stojąco. Chodziło o sprawy niezwyklej wagi,

TRÓJKĄT ŚMIERCI

27

a poza tym chciał sprawdzić generała Schachta. Wydawało mu się, że jeśli on, kanclerz, stoi, zgodnie z protokołem powinien wstać i tamten. Schacht jednak siedział rozparty na krześle.

- Czy jesteśmy pewni, pułkowniku Paul, że Ukraińcy nic o tym nie wiedzą?

Paul odpowiedział bez chwili wahania, zwięźle i jasno, tak jak składał meldunek:

- Ukraińców cieszy koncentracja rosyjskich wojsk na ich granicach.

Żaden z raportów ich wywiadu nie wspomina o możliwości

operacji, jaką zamierzają dokonać Amerykanie. Zachowują się tak, jakby w ogóle Amerykanów tam nie było, chociaż ci nawet nie usiłowali ukrywać swoich oddziałów wprowadzanych do wschodniej Słowacji.

- A więc wygląda na to - domyślał się Ruff - że Ukraińcy, tak jak i my, dali się nabrać na taktykę Amerykanów i uwierzyli, że ci wprowadzili swoje jednostki do republik czeskiej i słowackiej, by zniechęcić Węgrów do odebrania terenów, które im się chyba prawnie należą.

Ton, jakim to powiedział, przypominał Schachtowi raczej wykład profesora historii niż uwagi kanclerza. Generał podniósł nieco głowę i potrząsnął nią w geście zaprzeczenia:

- Jestem przekonany, że początkowo intencją Amerykanów było właśnie wywarcie nacisku na Węgrów, co im się zresztą udało. Węgrzy, wycofali swoje wojska znad granicy - Schacht pomachał rękami. - Ta sprawa wyszła nieoczekiwanie. Podziwiam Amerykanów, ale nie wierzę, by potrafili wymyślić aż tak sprytną operację w celu odwrócenia uwagi. Mój wydział amerykański nie znalazł najmniejszych dowodów, które mogłyby potwierdzać taką hipotezę.
- Bez względu na to czy to było, czy nie było zaplanowane, panie generale, fakt pozostaje faktem - przerwał mu kanclerz.
- Amerykanie podjęli jednostronną akcję wykorzystując do tego jednostki, które powinny być podporządkowane

NATO, a które stacjonują w naszym kraju. Zrobili to bez konsultacji z nami.

- Być może, panie kanclerzu, Amerykanie nam nie wierzą.

Obaj, Ruff i Schacht, odwrócili głowy w kierunku Paula, a ten widząc, że słuchają go z uwagą, kontynuował: -Moim zdaniem chodziło im jedynie o zachowanie operacji w tajemnicy, a biorąc pod uwagę jej delikatny charakter i fakt, że mamy do czynienia z bronią jądrową, trudno się Amerykanom dziwić. Wychodzą z założenia, że cel uświęca środki. Oni tak właśnie prowadzą swoje interesy i tak też prowadzili wojny.

Uwaga ta doprowadziła Ruffa do wściekłości, czego zresztą Paul się spodziewał.

- Dopóki linia zaopatrzenia i łączności tych jednostek przebiega przez Niemcy, dopóki korzystają z naszych dróg, kolei i naszych urządzeń, nie mają prawa podejmować żadnych działań bez konsultacji z nami. Nie mają prawa! Jeśli pozwolimy Amerykanom, by wykorzystywali Niemcy jako odskocznię do operacji militarnych, sami zostaniemy wmieszani w te ich nieodpowiedzialne poczynania - Ruff aż poczerwieniał. Wiedział, że powinien się opanować i uspokoić. Przez chwilę milczał, po czym zapytał Paula:
- Czy Amerykanie przy pomocy jednej brygady będą w stanie osiągnąć cel, jaki sobie stawiają?

Schacht również podniósł wzrok na Paula i czekał niecierpliwie na odpowiedź.

- Z tego co wiemy i czego się domyślamy, ich operacja opiera się na zaskoczeniu i szybkości działania. Batalion

komandosów, wspieranych przez specjalną jednostkę helikopterów, nie powinien mieć większych kłopotów z zajęciem obu baz, w których składowana jest broń jądrowa. Podobne operacje wykonywali wielokrotnie w czasie ćwiczeń. Komandosi otrzymają następnie wsparcie batalionu piechoty, który zostanie drogą powietrzną przerzucony do Swaljawy. Teraz wspólnie, komandosi i piechota, wspierane przez helikoptery, a zapewne i przez lotnictwo, będą w stanie utrzymać obie bazy na okres potrzebny do doko-

TRÓJKĄT ŚMIERCI

29

nania ewakuacji głowic. Cała operacja powinna trwać nie dłużej niż czterdzieści osiem godzin.

- A więc po co to uderzenie od strony granicy?

Odpowiedź pułkownika przypomniała Schachtowi akademicki wykład.

- Chodzi o zabezpieczenie, panie kanclerzu. Jeśli warunki atmosferyczne nie będą pozwalały na przetransportowanie głowic drogą powietrzną, Amerykanie otworzą korytarz, którym usuną zarówno broń nuklearną, jak i swoich komandosów. Ponadto Ukraińcy będą wtedy zmuszeni skierować do obrony granic jednostki, które w innym wypadku mogłyby być użyte przeciwko komandosom atakującym bazy. Amerykańska operacja wywoła zamieszanie i ukraińscy dowódcy początkowo nie będą się mogli zorientować, co jest właściwie jej celem. Zanim zbiorą meldunki

wywiadu, zorientują się w sytuacji, opracują jakiś plan i wydadzą odpowiednie rozkazy, minie dużo czasu. A właśnie ten czas będzie potrzebny Amerykanom na zabranie głowic i wycofanie się.

- A dokąd Amerykanie wywiozą te głowice? - zainteresował się Ruff.

Paul tego nie wiedział, więc nie udzielił odpowiedzi. W pierwszej chwili zaskoczyło to Ruffa, choć nie powinno było - sekcja, na czele której stał Paul, działała w całkowitej izolacji od innych wydziałów Biura Wywiadu, podległego Schachtowi. Ten natomiast milczeniem pragnął spotęgować dramatyzm sytuacji, więc dopiero po kilku chwilach odparł:

- Do bazy Sił Powietrznych w Sembach, panie kanclerzu. Przypuszczam, że przewiozą je tam ze Słowacji na pokładzie C-130. W Sembach przeładują na C-141 i przerzucą głowice do Stanów.

- Jest pan pewny tej informacji, generale?

Teraz nadeszła kolej na Schachta, by mógł się popisać swymi wiadomościami:

- Dziś po południu otrzymałem kopię planu operacji „Szukanie po omacku”. Mają wykonać ją Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych, stacjonujące w Europie.

30

HAROLD COYLE

Ruff był ciekawy, jak się tego rodzaju dokumenty zdobywa, ale powstrzymał się od zadawania pytań. Miał zresztą wiele do zrobienia. Wyrządzono już niemało szkód i trzeba je było naprawić. Wprawdzie

działania Amerykanów zagrażały niektórym z jego posunięć, ale przed nim i przed Niemcami otwierały się nowe, wcale nie mniejsze możliwości. Nie podejmując dalszej dyskusji, Ruff zwolnił Schachta i Paula. Dostarczyli mu już wszelkich informacji, jakich potrzebował.

Gdy wyszli, nacisnął przycisk stojącego na biurku inter-komu i zapytał sekretarza:

- Czy jest tam jeszcze ambasador Ukrainy?
- Tak jest, panie kanclerzu - padło z głośnika.
- Czy otrzymał już informację?
- Właśnie pułkownik Kasper mu ją przekazuje.
- Doskonale, proszę powiedzieć pułkownikowi, że gdy skończy, to ma przyjść do mnie razem z ambasadorem. Zaraz po rozmowie z ambasadorem chcę widzieć generała Langego, który ma mi zreferować swój plan operacyjny -i nie czekając na odpowiedź Ruff puścił przycisk i wyprostował się. Ten ruch spowodował ostry spazm bólu w prawej nodze, poszarpanej niegdyś wybuchem granatu i nigdy do końca nie wyleczonej.

Po chwili ból minął. Ruff otworzył szufladę i wyjął z niej wypolerowane do połysku drewniane pudełko. Z kieszeni w kamizelce wydobył mały kluczyk i włożył go do zamka. Otwieranie szkatułki zawsze miało charakter małej ceremonii, której nie należało przyspieszać. Wreszcie Ruff przekręcił kluczyk i podniósł wieczko. Jego oczom ukazał się leżący na czerwonej wyściółce nóż z czarną rączką. Dotknął go i pociągnął palcem po ostrzu, aż po rękojeść zakończoną znaczkiem Hitlerjugend. Dla każdego ten nóż byłby niczym innym jak kawałkiem metalu, w najlepszym razie pamiątką z dawnej przeszłości. Dla Ruffa był to symbol

łączący go z latami dzieciństwa, które brutalnie zakończyło się w kwietniu 1945 roku, kiedy to załamały się wszelkie dziecięce marzenia, a rodzina została wymordowana przez brutalnego najeźdźcę.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

31

Nóż ten był jednak nie tylko łącznikiem z przeszłością, ale także symbolem poszukiwań i przemyśleń, które snuł już jako ośmioletni chłopak, jako dziecko, któremu odebrano wszystko, nawet marzenia. Myśl, by użyć tego noża w obronie, zastąpiły starania, by przeżyć w pokonanym i rozbitym kraju. Johanna Ruffa nigdy jednak nie opuściło przekonanie, że nadejdzie czas, kiedy będzie się można zemścić. Ten nóż był symbolem tego właśnie marzenia.

Rozdział II

7 stycznia

Podczas gdy każde przechylenie helikoptera UH-60 Blackhawk powodowało, że sierżantowi George'owi Cou-velha'owi serce podskakiwało do gardła, przypiętemu do siedzenia tuż obok niego komandosowi Kevinowi Pape'owi wyprawa sprawiała radość. Jedyne seks był dla niego czymś bardziej pożądanym od tych podskoków maszyny w dół i w górę. Odczuwał każdy manewr, każdy wiraż, każdą zmianę pułapu. Szczególną satysfakcję sprawiało mu podchodzenie do kolejnego wzgórza, kiedy podskakiwali w górę i znowu opadali w dół. Gdy zbliżał się kolejny łańcuch wzgórz, pilot ściągał drążek, co sprawiało, że maszyna podrywała się w górę, a siła wciskała pasażerów w siedzenia. Gdy przelatywali nad linią szczytów, pilot przesuwiał drążek do przodu i helikopter nurkował, co

z kolei powodowało, że pasażerowie unosili się ku górze. Niemal czuło się, jak żołądek podchodzi do gardła. Na ogół porównuje się loty helikopterem do przejażdżki kolejką górską w lunaparku, dla Pape'ego jednak takie porównania nie miały sensu. Ostatecznie przejażdżka kolejką była niczym innym jak bezpieczną, dziecięcą zabawą. Nikt nie umierał, wsiadając do małych wagoników. Z helikopterami zabawa wyglądała zupełnie inaczej. Maszynę pilotował dwudziestodwuletni oficer, wspomagany jedynie przez system nawigacji nocnej i gogle noktowizora, w których wszystko widziało się w kolorze ciemnozielonym. Poruszali się z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzi-

TRÓJKĄT ŚMIERCI

33

nę, na wysokości trzydziestu metrów nad ziemią spowitą w mroku nocy. To było przeżycie, które mogło przerażać. Papę jednak nie czuł strachu. Nawet kiedy pilot zbyt późno dostrzegł przeszkodę i niemal pionowo wyciągał maszynę w górę, Papę nie mrugnął okiem. Miał dziewiętnaście lat i nie znał uczucia lęku. Żadna wyprawa nie była dla niego zbyt niebezpieczna, żadne wezwanie nazbyt groźne. Dlatego właśnie został komandosem. A komandosi zawsze robią coś szczególnego, coś niekonwencjonalnego, niebezpiecznego, nie pozbawionego ryzyka. Jak każdy żołnierz w szeregach armii, musiał akceptować regulamin i dyscyplinę, godzić się z monotonią ćwiczeń, wart i wystrzegać się zatargów z żandarmerią. Zresztą służbę komandosa traktował jako początek kariery. Z czasem zamierzał się przenieść do Służb Specjalnych.

To, że może nie doczekać końca służby, nie przychodziło mu nawet na myśl, zwłaszcza tej nocy. Wiedział, dokąd lecą i znał cel wyprawy. Oczywiście było, że dojdzie do strzelaniny. Idiotyzmem byłoby przypuszczać, że oddziały strzegące głowic po prostu usuną się, oddając im broń. Dowódca plutonu żartując powiedział, że ukraińscy strażnicy widząc wychylających się z ciemności i uzbrojonych po zęby komandosów, z całą pewnością zapytają ich o hasło.

Nikt nie dziwił się rozkazowi, jaki otrzymał dowódca 1. Batalionu komandosów. Podkreślano w tym konieczność ograniczonego użycia siły, dokonania pierwszego, zdecydowanego uderzenia z wykorzystaniem przewagi ogniowej i zakończenia akcji w możliwie najkrótszym czasie. Komandosi zinterpretowali to w jedyny logiczny sposób, co dosadnie określił sierżant ich kompanii stwierdzając, że minimalną liczbą pocisków w minimalnym czasie mają zakatrupić maksimum ukraińskich żołnierzy. Na ostatniej odprawie młodziutki kapitan powiedział:

- Wkraczamy, unieszkodliwiamy każdego, kto staje nam na drodze, zabezpieczamy głowice i czekamy na samoloty. Bez żadnych wygłupów.

34

HAROLD COYLE

Trudno się więc dziwić, że Kevin Pape, który rósł w tradycjach Johna Wayne'a, Clinta Eastwooda i Rambo, nauczony, by strzelać i zabijać bez namysłu, czuł się całkowicie bezpieczny i bez zastrzeżeń wierzył we własne siły. Wyobraźnia nie podsuwała mu obrazu ciał, zniekształconych

wybuchami granatów i seriami z broni maszynowej. W czasie ćwiczeń nie sposób jest symulować zwierzęcy ryk rannych. Tylko prawdziwa bitwa, brutalna i krwawa, mogła pozbawić młodych żołnierzy ich naiwnych złudzeń. W ciągu najbliższych piętnastu minut Papę miał odebrać swoją pierwszą lekcję.

O ile Papę nie zdawał sobie sprawy z tego, co może go spotkać, o tyle pułkownik Ed Martin, dowódca taktycznego Dywizjonu Myśliwców nr 404, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Sprowadził swoje F-117 na pułap sześciu tysięcy metrów i przygotowywał się do ostatecznego podejścia. W gruncie rzeczy niewiele miał do roboty - od chwili startu maszynę prowadził automatyczny pilot. Jediną czynnością, jaka mu pozostawała, było zadbanie o to, by mały, zielony punkt na znajdującym się przed nim monitorze pokrywał się ze znacznikiem będącym efektem komputerowej nawigacji. Jeśli nawet zmieniał pułap lub szybkość, komputer dokonywał błyskawicznie przeliczeń i podawał mu wyniki na ekranie. Martin musiał więc tylko dostosować się do tych wskazań. Nie było to technicznie trudne. W momencie osiągnięcia punktu początku ataku, piloci musieli jedynie włączyć automatyczną kontrolę bomb i uważać, by wskaźnik laserowy wyznaczył odpowiedni cel, a resztę pozostawiali automatycznemu pilotowi, który miał wykonać określoną operację nazywaną „atakem bez użycia rąk”. Oznaczało to, że za pilota wszystko zrobi komputer i współpracujący z nim system nawigacyjny. Martin miał tylko nadzorować przebieg całej akcji, w teorii był to drobiazg.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

Tuż nad jego głową odezwał się brzęczyk. Buczenie informowało, ukraiński radar przeszukuje okolicę i że należy do baterii pocisków rakietowych ziemia-powietrze systemu SA-10. Radar jeszcze ich nie wykrył. Jednocześnie na ekranie pojawił się sygnał, że jego maszyna zbliża się do celu.

Przez chwilę Martin analizował sytuację. Wprawdzie jego obecność nie została jeszcze wykryta, ale nastąpi to w chwili, gdy otworzy wyrzutnię bomb i wypuści 500-kilo-gramowy pocisk, naprowadzany na cel systemem laserowym. Ta bomba będzie wyraźnie widoczna na ekranach radarów przeciwlotniczych baterii SA-10. A to oznacza, że radar namierzy jego maszynę i wyda odpowiednie dyspozycje pociskom rakietowym.

Zaczął się zastanawiać, czy powinien podejść z innej strony nad cel licząc, że nie zostanie namierzony przez baterie przeciwlotnicze. Odsunął jednak tę myśl od siebie. On, pułkownik sił powietrznych USA i dowódca dywizjonu, miał do wykonania poważną misję. Tam, w dole, na wschód od Mukaczewa znajdował się bunkier dowodzenia siłami całej tej części Ukrainy, nad którą się znajdował. Zniszczenie, a chociażby uszkodzenie bunkra może uniemożliwić ukraińskiemu dowództwu obronę przed atakiem amerykańskich sił lądowych. Jego działanie może zadecydować o powodzeniu całej operacji. Nie miał też najmniejszych gwarancji, że podejście z innej strony okaże się bezpieczniejsze - obrona przecież czuwała. Poza tym tylko uderzenie od południowego wschodu dawało szansę, by bomba mogła się dostać do głównej komory bunkra.

Przystępując do ataku Martin wysiłkiem woli opanował wyobraźnię. Wzrok wbił w instrumenty, serce zaczęło mu bić szybciej, a jego oddech stał się płytszy. Nie obchodziło go teraz nic, co nie wiązało się bezpośrednio z wykonywanym zadaniem. Z napięciem śledził ekran pilnując, by samolot nie zbaczał z idealnie wyliczonego kursu, by nie schodził z określonego pułapu, by utrzymywał wyznaczoną prędkość. Sprawdzał aparaturę celowniczą i dziesiątki innych informacji wyświetlanych na ekranie.

36

HAROLD COYLE

Bez zastanowienia otworzył klapę zasobnika z bombami. Bomba opadła na trapez i była gotowa do wyrzucenia. Natychmiast usłyszał zmianę dźwięku brzęczka. Elektroniczne czujniki ostrzegały go, że został wykryty przez radary baterii SA-10. Martin zignorował ostrzeżenie. Zajęty był teraz tylko jednym: wycelowaniem lasera kierującego bombą na wlot wentylacyjny bunkra, który był celem ataku. Nic innego w tym momencie nie istniało i nic się nie liczyło.

Strumień świeżego powietrza, który wpadł przez boczne drzwi odsunięte przez porucznika Franka Zacka, obudził majora Mikołaja Ilwanicza. Wibracja lecącego helikoptera ukołysała go do snu, toteż nie zdawał sobie sprawy, że blackhawk zbliża się do celu. Był jednak profesjonalistą o dużej praktyce i w sekundę po przebudzeniu poczuł się świetnie. Jego uszy i oczy rejestrowały wszystko z wyjątkową precyzją. Przy odsuniętych drzwiach, gotowy do skoku w momencie, gdy helikopter

dotknie ziemi, stał oficer. Następny w kolejce był jakiś sierżant, nerwowo porządkujący swój sprzęt. Stojący za nim komandos o nazwisku Pape wyraźnie się niecierpliwił i popychał sierżanta w kierunku drzwi. Ilwanicz nie miał wątpliwości, że młody komandos aż się pali do walki. Rosjanin wiedział, że ten zapal zgaśnie, gdy młody żołnierz natknie się na pierwszego rannego, wijącego się w bólach.

Helikopter minął szczyt wzgórza i zaczął zniżać lot, a Ilwanicz przestał się zajmować Amerykanami. Całą uwagę skupił na celu ataku. W otwartych drzwiach widział strefę lądowania. Wyglądała na mikroskopijną - bo była mikroskopijna. Zajmowała płaszczyznę długą na jakieś dwieście, a szeroką na sto metrów. Był to występ zbocza góry. W świetle reflektorów Ilwanicz widział szeroko otwarte wejście do tunelu, którego bronił niewielki, betonowy bunkier, a droga prowadząca w głąb góry była tak zastawiona betonowymi zaporami, że przecisnąć się między nimi mógł

TRÓJKĄT ŚMIERCI

37

tylko jeden człowiek. Po drugiej stronie drogi stał barak dla wartowników. Zaraz za nim zaczynało się ogrodzenie z drutu kolczastego, otaczające bazę.

Nie dostrzegł ani śladu ruchu, ani wartowników. Wszystkie światła były zapalone, co bardzo ułatwiało lądowanie helikoptera. Co najważniejsze, nie odezwały się działka przeciwlotnicze. Zaskoczenie było całkowite. Jeśli nie nastąpi coś nieprzewidzianego, operacja zakończy się sukcesem.

Ilwanicz odpiął pasy, poprawił kaptur kamuflażowego kombinezону,

zjął z ramienia pistolet i położył go na kolanach. W momencie gdy koła maszyny dotknęły ziemi, był gotowy do akcji.

Podobne sceny rozegrały się w drugim blackhawku, lądującym po przeciwnej stronie lądowiska. Kiedy tylko strzelec pokładowy odsunął drzwi, kapitan Vernon Smithy wydał komendę:

- Skakać! - i wewnątrz maszyny niemal natychmiast opustoszało.

Komandosi wyskakiwali tak szybko, że zasłonili strzelcowi pole ostrzału i uniemożliwili unieszkodliwienie dwóch strażników ukraińskich, którzy stali u wejścia do tunelu, zasłonięci do połowy blokami z betonu.

Obaj wartownicy zawahali się przez moment i zapewne rozważali tę samą myśl: Walczyć czy uciekać? Byli zaszokowani widokiem helikopterów, które we wzorowym szyku wyłoniły się najzupełniej nieoczekiwanie z ciemności i w odległości nie większej niż dwadzieścia metrów od nich wysadziły oddział uzbrojonych żołnierzy. Wiedzieli, że nie mają najmniejszych szans na powstrzymanie atakujących, bo nie mogli przed nimi nigdzie uciec. Mogli zrobić tylko jedno - zatrzaskać potężne, stalowe wrota i zaalarmować tych w tunelu. Obaj wartownicy rzucili się do bunkra.

Ten, który pierwszy wpadł do środka, złapał za słuchawkę, by powiadomić załogę bazy w tunelu. Drugi potknął się i wpełznął do bunkra na czworakach. Szybko zerwał się i stanął przed tablicą rozdzielczą, kontrolującą oświetlenie

i wrota do tunelu. Zdażył jeszcze nacisnąć guzik uruchamiający mechanizm zasuwający wrota, nim jeden z atakujących komandosów wrzucił do bunkra granat.

Strzelec z helikoptera, którym przylecieli Ilwanicz i porucznik Zack, nie doświadczył kłopotów swego kolegi z drugiej maszyny i natychmiast po wylądowaniu mógł otworzyć ogień. Bez rozkazu, ten dwudziestoletni chłopak z Tennessee wziął na cel barak wartowników. Znajdowało się tam sześciu ukraińskich żołnierzy, odpowiedzialnych za zabezpieczenie zewnętrznej granicy bazy. Wszyscy natychmiast złapali za broń i wypadli z baraku, by stawić czoło atakującym. Strzelec z helikoptera, obsługujący karabin maszynowy M-60, dostrzegł to i natychmiast skierował ogień na wypadających z baraku. Już w pierwszej sekundzie skosił trzech przeciwników. Trzej pozostali widząc, co się stało z kolegami, wpadli w panikę. Wycofali się i usiłowali skryć w baraku.

Gdy pierwszy z nich stanął w drzwiach, dosięgła go seria z automatu Pape'ego. Ten sam los spotkał dwóch następnych, gdy tylko pojawili się w oświetlonych drzwiach.

Idąc tuż za Zackiem, Ilwanicz był świadkiem krótkiej rozprawy z sześcioma Ukraińcami, którzy wypadli z baraku, i z dwoma wartownikami pilnującymi wejścia do tunelu. W ciągu kilku sekund wszyscy zostali unieszkodliwieni. Ci dwaj przed wejściem, choć nie stanęli do walki jak ich koledzy, okazali się jednak o wiele bardziej skuteczni. Uruchomili mechanizm zasuwający wrota, choć nie zdążyli wyłączyć świateł, toteż wejście do tunelu było wciąż jasno oświetlone. To światło, pomyślał Ilwanicz, to podarunek dla Amerykanów. Dzięki temu grupa saperska mogła sprawnie i szybko zakładać ładunki wybuchowe, które miały

otworzyć im drogę do wnętrza tunelu, komandosi zaś, którzy znajdowali się już w akcji, mogli zająć odpowiednie stanowiska i zorganizować sprawne lądowanie kolejnej eskadry helikopterów. Ilwaniczowi przyszło do głowy, że wartowników, którzy nie zgasili świateł, zupełnie niepotrzebnie zabito.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

39

Rosjanin uważnie przyglądał się komandosom. Ich sposób działania był niezbyt precyzyjnie zharmonizowany, ale na ogół ze wszystkim dawali sobie doskonale radę. Nie mając nic do roboty, Ilwanicz ruszył w ślad za dowódcą kompanii. Kapitan Smithy w trakcie przygotowań do akcji dał wyraźnie do zrozumienia, że Ilwanicz nie jest mu potrzebny. Rosjanin poczuł się dotknięty, ale nie protestował. Smithy, któremu już przydzielono jednego rosyjskiego doradcę, nieco otyłego majora, w przeszłości zastępcę dowódcy atakowanej bazy, uważał, że drugi doradca nie jest mu potrzebny. Nie chciał, by ktokolwiek zaglądał mu w czasie pracy przez ramię.

Tymczasem Ilwanicz zauważył, że Zack wszedł do baraku wartowników. Ruszył za nim. Przystąpił ponad ciałami zabitych i wszedł do środka. Było tu bardzo ciepło i bardzo jasno. Ilwanicz, ubrany w kombinezon, poczuł, że zaczyna się pocić. Już chciał wyjść, ale pomyślał, że warto by sprawdzić, po co porucznik Zack wszedł do środka.

Zack tymczasem, Ignorując tak jak jego dowódca obecność Rosjanina, zaczął instalować centrum dowodzenia kompanii.

Komandos-łącznościowiec ustawił na stole aparat nadawczy, a Zack zrzucając hełm i odłóżwszy broń, wziął do ręki mikrofon i zaczął spokojnie wywoływać:

- Szybki Jastrząb Sześć. Szybki Jastrząb Sześć, tu Alpha Pięć. Alpha na ziemi przygotowuje się do wejścia. Odbiór.

W pierwszej chwili Ilwanicz nie mógł zrozumieć, dlaczego Zack w tym właśnie miejscu zakłada punkt dowodzenia. Przecież budynek nie tylko rzucał się w oczy, ale też stał pośrodku drogi prowadzącej do tunelu. Tędy musiała przecież przejść każda jednostka ukraińska, podążająca z odsieczą. Ciepły, wygodny barak mógł w każdej chwili okazać się śmiertelną pułapką. Ilwanicz doszedł do wniosku, że nic tu po nim i powiadomił Zacka, że wychodzi. Ten, nie wypuszczając mikrofonu z ręki, pomachał mu. Wyszedłszy z baraku Ilwanicz pokręcił z niedowierzaniem głową i mruknął:

- Co za idiota!

40

HAROLD COYLE

W odległości mniej więcej pięćdziesięciu metrów kapitan Smithy czekał niecierpliwie, by saperzy założyli ładunki. Wprawdzie liczyli się z taką koniecznością, lecz Smithy był wściekły, że nie udało się unieszkodliwić wartowników, zanim ci nie zasunęli wrót.

Za plecami usłyszał odgłosy startu trzeciego zespołu helikopterów, co oznaczało, że cała jego kompania była już na miejscu. Odwrócił głowę. Drugi pluton zajmował pozycje na lewo od pierwszego, który już

rozciągnął się wzdłuż zewnętrznego wejścia do bazy. W miejscu gdzie stał barak wartowników, oba plutony stykały się i dlatego tam właśnie założono punkt dowodzenia. Zauważył Rosjanina, który stał przy drzwiach baraku. Nie podobał mu się ten oficer. Major-grubasek był przynajmniej przyjazny, a jego wiedza na temat bazy mogła się okazać pożyteczna. Natomiast major Ilwanicz był inny. Wypowiadał się lakonicznie, a jego kamienna twarz nie budziła zaufania.

Smithy widział, jak Rosjanin rozgląda się obserwując drugi pluton zajmujący swoje pozycje. Powinien był się trzymać Zacka, jak ustalono, i Smithy już chciał się tym zająć, gdy podbiegł sierżant odpowiedzialny za zakładanie ładunków i zameldował:

- Jesteśmy gotowi, *stń*

Nie było teraz nic ważniejszego i Smithy natychmiast zapomniał o Rosjaninie. Skoncentrował się na tym, co miało za chwilę nastąpić. Położył sierżantowi rękę na ramieniu i krzyknął: »

- OK, jazda!

Z kolei sierżant zwrócił się w kierunku swoich saperów, przyłożył zwiniętą w trąbkę rękę do ust i wrzasnął:

- Ognia! Ognia! Odpalać!

Smithy, za którym posuwał się gruby rosyjski major, podskoczył do betonowego bloku, który nie uchronił przed śmiercią dwóch ukraińskich wartowników, i krzyknął w kierunku dowódcy trzeciego plutonu, by ruszyli do tunelu natychmiast po wybuchu. Przykucnąwszy za betonową osłoną, Smithy był zdecydowany zaczekać tu do momentu eksplozji, by móc zobaczyć, jak trzeci pluton sztur-

muje wejście do tunelu. Czekał i obserwował żołnierzy z drugiego plutonu, którzy nie zdążyli się jeszcze ukryć. Po raz pierwszy dotarło do niego, że ciągle palą się wszystkie światła i można zobaczyć najmniejszy ruch w rejonie wejścia do bazy. Rozważał, czy to dobrze, czy źle, gdy nagle wybuchły założone ładunki.

W drugim końcu tunelu gromadka ukraińskich żołnierzy wyglądała spoza pośpiesznie skonstruowanej barykady, nerwowo oczekując na pojawienie się atakujących. Za ich plecami stał dowódca, kapitan Biriukow z Sił Bezpieczeństwa Ukrainy, i zachodził w głowę, co się właściwie dzieje. Jedyne źródłem informacji był telefon przerażonego wartownika, który zameldował, że zostali zaatakowani. Oprócz tego nie wiedział nic więcej, nawet nie zdawał sobie sprawy, że atakującymi byli Amerykanie. Jak wszyscy pozostali w tunelu, Biriukow był przekonany, że ma do czynienia z Rosjanami. Nawet przekazał tej treści meldunek, a właściwie usiłował przekazać, bo próba połączenia się z dowództwem okręgu wojskowego, które mieściło się w bunkrze dowodzenia na wschód od Mukaczewa, zawiodła. Z jakichś powodów nie mogli uzyskać połączenia.

Rozglądając się nerwowo wokół, Biriukow rozważał, czy istnieje możliwość stawiania oporu - tu, w hali montażowej. W pierwszym momencie pomyślał o oddaniu hali atakującym i o wycofaniu się do dwóch pomieszczeń znajdujących się na niższych poziomach, w których składowano głowice. Dzięki takiemu manewrowi między jego

ludźmi a Rosjanami wyrosłyby dwie potężne bariery - stalowe wrota, zamykające wejście do tunelu, oraz również stalowe drzwi znajdujące się po stronie obu wylotów szybu windy, schodzącej na niższy poziom bazy. Taka taktyka oznaczała oczywiście, że oddawał w ręce napastnika halę montażową, a w dodatku rozdzielał swoje niewielkie siły na dwie grupy. Jedna pilnowałaby znajdującego się po prawej stronie pomieszczenia, w którym składowano obudowy i mechanizmy inicjujące wybuchy, a druga magazynu, położonego po lewej stronie szybu, gdzie składowano rdzenie plutonu, a więc samo jądro głowic nuklearnych. Ponadto

42

HAROLD COYLE

uświadomił sobie, że w żadnym z pomieszczeń na dole nie było urządzeń, którymi mógłby się kontaktować ze światem zewnętrznym. I to właśnie przesądziło, że postanowił utrzymywać halę montażową tak długo, jak długo to tylko będzie możliwe. Doszedł do wniosku, że jeśli sprawy przybiorą dla nich niekorzystny obrót, to i tak zawsze mogą się wycofać na niższy poziom. Wybrał więc rozwiązanie, które w tych okolicznościach wydawało mu się najbardziej słuszne.

Gdy tak czekał na rozwój wydarzeń i rozważał, co robić, przyszło mu do głowy, że być może nie będzie miał już nigdy okazji tłumaczenia się przed przełożonymi z podjętej decyzji. I w tym właśnie momencie wezwał swego młodego zastępcę, porucznika, i starszego sierżanta. Obaj oderwali się od naprędce skleconej barykady i podeszli do Biriuko-wa, który stał przy wejściu do windy. Biriukow spojrzał w głąb tunelu, potem na swych podwładnych i powiedział opanowanym głosem:

- Poruczniku Sorokowej, proszę oddać klucz sierżantowi Popielowi.

Obaj, zdumieni, popatrzyli po sobie i przenieśli wzrok na dowódcę. Klucz, o którym mówił, był jednym z dwóch, za pomocy których można było uruchomić mechanizm samozniszczenia. Była to ostatnia deska ratunku przed dostaniem się głowic w niepowołane ręce. Zgodnie z regulaminem, klucz ten mógł przechowywać wyłącznie oficer. Nawet w skrajnie niebezpiecznych warunkach nie przewidywano możliwości przekazania klucza komukolwiek innemu niż upoważnionemu do tego oficerowi.

Obaj patrzyli z niedowierzaniem na Biriukowa, który zaczerpnąwszy powietrza, zaczął tłumaczyć:

- Jeśli odsiecz nie nadejdzie w ciągu kilku minut, stracimy kontrolę nad bazą. Wydąłem takie polecenie, by nie dopuścić do utraty głowic. Nie mamy możliwości skontaktowania się z dowódcą okręgu, muszę więc zakładać to, co najgorsze, i w tych warunkach wykonać rozkazy, jakie mnie obowiązują - na chwilę umilkł, jakby sam zastanawiał się nad tym, co mówi. - Poruczniku Sorokowej, zosta-

TRÓJKĄT ŚMIERCI

43

niecie na rym poziomie z naszą główną siłą i będziecie się starali stawiać opór tak długo, jak to tylko będzie możliwe. Sierżant Popiel wraz z dwoma żołnierzami zjedzie ze mną na niższy poziom i kiedy już nie będzie innej możliwości, uruchomimy mechanizm

samozniszczenia.

Sorokowej i Popiel słuchali jak skamieniali. Instrukcje w sprawie uruchomienia niewielkiego ładunku atomowego, który miał zniszczyć głowice, były ściśle tajne i znali je wyłącznie oficerowie pełniący służbę wartowniczą. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że instrukcje te znają również sierżanci. Ale wiedzieć to Jednak zupełnie co innego, niż wykonać. I dlatego sierżant zawahał się.

Ich uwagę odwrócił wybuch, którego odgłos dobiegł od strony wylotu tunelu. Rosjanie niewątpliwie usiłowali wysadzić stalowe wrota.

Ktoś z ukrytych za barykadą wrzasnął:

- Nadchodzą! Nadchodzą!

Biriukow spojrzał w tamtym kierunku, natychmiast przeniósł wzrok na stojących przed nim i krzyknął ostro:

- Poruczniku Sorokowej, klucz! Oddajcie klucz sierżantowi!

Sorokowej, nie odrywając oczu od wlotu tunelu, zdjął z szyi łańcuszek, na którym był zawieszony klucz, i oddał sierżantowi, nawet na niego nie patrząc. Popiel zdawał sobie dobrze sprawę, co to wszystko oznacza. Wziął klucz i trzymał go w wyciągniętej ręce, jakby to była jadowita żmija. *Zareagował dopiero na ostry rozkaz Biriukowa.*

- A więc, poruczniku, znacie już moje rozkazy. Róbcie, co możecie i módlcie się, by pomoc nadeszła w porę. Wy, sierżancie, chodźcie ze mną. Cokolwiek tu nastąpi, my musimy być na dole. Rozumiecie?

Popiel skinął głową, a Biriukow zrobił kilka kroków w kierunku barykady. Gdy tak stał pochylony i patrzył, z głębi tunelu wydobyła się chmura szarego dymu, który natychmiast wypełnił halę montażową, drażniąc oczy i gardła. Nad słuchiwali stukotu i odgłosu kroków, ale dobiegły ich tylko jakieś trzaski i syk. Biriukow dopiero po kilku sekundach zorientował się, co się dzieje i zanim

44

HAROLD COYLE

zdążył ostrzec innych, halę zalało jaskrawobiałe światło wybuchających granatów.

Zakrył oczy, wściekły na siebie. Powinien był to przewidzieć, powinien był się domyślać. Oślepił go dymem i blaskiem wybuchów, a teraz zaskakują. Tak właśnie przewidywały instrukcje KGB, obowiązujące w służbach specjalnych. Ciągle jeszcze nie miał pełnej zdolności widzenia, gdy dobiegła go nowa seria trzasków i syków. Kolejny punkt instrukcji KGB. Zaczął się mocować z wiszącą u jego pasa maską gazową, krzycząc:

- Gaz! Gaz! Gaz!

Wprawdzie kolejna salwa została wywołana przez granaty ogłuszające, ale Biriukow i jego ludzie nie mogli o tym wiedzieć i nie mieli zamiaru ryzykować. Gdyby wiedzieli, że atakującymi są nie oddziały KGB, lecz Amerykanie, nie bawiliby się w zakładanie masek gazowych. W konkretnej jednak sytuacji efekt użycia granatów dymnych przekroczył oczekiwania Smithy'ego. Ukraińcy mocowali się z maskami, podczas gdy komandosi trzeciego plutonu wychylili się zza zasłony białego dymu i

runęli na ludzi Biriukowa.

ft # ■&

- Drogę od granicy do centrum Użgorodu przebyli szybko, nie napotykając najmniejszego oporu. Był to po prostu pośpieszny, nie zahamowany rajd. Jadąc w ślad za kawalerią zmotoryzowaną, która weszła na Ukrainę jako szpica 1. Brygady, Kompania C 3. Batalionu pod dowództwem kapitan Nancy Kozak przygotowywała się do skrętu na południe, by znaleźć się na drodze prowadzącej do Czopu. Podczas gdy kierowca uważał, by jechać za ostatnim wozem kawalerii, Kozak, stojąc w otwartym włązie swego M-2 Bradleya, wozu pancernego używanego przez piechotę zmotoryzowaną, usiłowała na podstawie mapy zidentyfikować mijane ulice. Obawiała się, że minie zakręt, i pilnowała jedynie drogi. Zauważyła, że palą się latarnie, co świadczyło o tym, że Ukraińcy zostali całkowicie zaskoczeni. Zastanawiała się, jak długo to może potrwać. Nie

TRÓJKĄT ŚMIERCI

45

przejmowała się mieszkańcami Użgorodu, wyrwanymi zapewne ze snu dudnieniem czołgów, które przetoczyły się ulicami ich miasta. Zapewne podbiegali do okien, by się przekonać, kto tym razem zaatakował ich kraj. Zajęta szukaniem drogi, Nancy Kozak nie zwróciła nawet uwagi na samochód policyjny, który wyjechał z bocznej ulicy. Zdumiony policjant zahamował i natychmiast się wycofał. Nie miał pojęcia, kto i dlaczego atakuje Jego miasto kolumnami pancernymi. Wiedział tylko, że nie ma tu teraz nic do roboty.

Kozak spostrzegła skręt, nacisnęła przycisk interkomu i krzyknęła do kierowcy, że teraz trzeba odbić w prawo. Skręcili tak gwałtownie, że musiała się przytrzymać włązu, a bradley omal nie zawadził o rząd samochodów, zaparkowanych na poboczu ulicy. Znajdowali się teraz na drodze do Czopu. Kozak odwróciła się, by sprawdzić, czyjej pluton podąża za nią. W jasnym świetle lamp liczyła pojazdy, ale jej bradley wjechał już za kolejny zakręt. Doliczyła się czterech bradleyów wchodzących w skład drugiego plutonu, którym dowodziła, i zobaczyła pierwszy z czołgów dołączonego do nich plutonu pancernego.

Zadowolona, że jej oddział znalazł się na właściwej drodze, wciąż spoglądała za siebie, na budynki i sklepy. To, co widziała, niewiele się różniło od miasteczek i wsi Słowacji, które z kolei przypominały jej osiedla w Niemczech, z tym że piemieckie budynki były bardziej nowoczesne i lepiej zadbane. Przyszło jej na myśl, że wszystko to razem przypomina okolice Pittsburgha.

Wyjechali z miasteczka. Nancy Kozak odwróciła głowę i raz jeszcze spojrzała na Użgorod. Pomyślała, że mieszkańcy tego miasteczka musieli już przywyknąć do takich niespodziewanych najazdów.

Z okna pierwszego piętra, na którym znajdowała się niewielka sypialnia, ukraiński sklepikarz w średnim wieku przyglądał się defiladzie pojazdów pancernych. Jego żona, która ze strachu bała się wyjść z łóżka, przemogła lęk i zapytała:

- Josef, czy to Rosjanie?

Nie odpowiedział od razu. Przed lary służył w Armii Czerwonej i jako strzelec załogi czołgu, stacjonowany w NRD, został przeszkolony w rozpoznawaniu pojazdów przeciwnika. Patrzył na sunące ulicą wozy pancerne i doznał szoku. Wreszcie mruknął:

- Nie, to nie Rosjanie.

Oczy jego żony rozszerzyły się z przerażenia. Drżącym głosem wyszeptała:

- Mój Boże, czyżby znowu Niemcy?

Odwrócił się do żony i już chciał ją wyśmiać za te głupstwa, ale powstrzymał się. W tym zwariowanym świecie, w jakim przyszło im żyć, wszystko, łącznie z najbardziej ponurymi przypuszczeniami, było możliwe. Nie zadrwił więc z niej. Podszedł do łóżka i powiedział uspokajająco:

- Nie, to tylko Amerykanie.

i3r # ft

Wycie silnika samochodu pancernego zmierzającego szosą w ich kierunku spowodowało, że Ilwanićz przestał się wsłuchiwać w dochodzące z tunelu odgłosy walki, a całą uwagę skupił na drodze dojazdowej do bazy. Spojrzał na zegarek. Pomyślał, że odsiecz przychodzi zbyt późno i nadjeżdża zbyt wolno. Na podjęcie interwencji Rosjanie potrzebowaliby połowę tego czasu. Ci Amerykanie mają jednak szczęście, że ich przeciwnikami są Ukraińcy, a nie siły rosyjskie.

Natomiast reakcja Amerykanów na to nowe zagrożenie była błyskawiczna. Natychmiast rozległo się wołanie jednego z dowódców drużyny zajmującej pozycje wzdłuż ogrodzenia bazy:

- Wozy pancerne!

W pierwszej chwili taka forma ostrzeżenia wydała się Ilwaniczowi niewojskowa, nawet nonszalancka. Natychmiast jednak uświadomił sobie, że wszystko jest w porządku, a alarmujący sierżant zareagował tak, jak powinien. Ukraińcy zbliżali się zbyt szybko, by można było zadbać o zachowanie przyjętych w wojsku form meldunku. Wie-

TRÓJKĄT ŚMIERCI

47

dział już przecież, że Amerykanie mają dość specyficzny styl zachowania, bardzo zresztą logiczny i sensowny.

Zrozumiawszy, że pozostawanie obok baraku wartowników byłoby bezsensowne, zwłaszcza że lada moment mogła tu wybuchnąć strzelanina, zaczął szukać wzrokiem wzdłuż linii ogrodzenia takiego miejsca, które dawałoby bezpieczne schronienie, a jednocześnie stanowiłoby wygodną pozycję obronną. Znalazł takie miejsce tuż obok jakiegoś amerykańskiego komandosa. Zanim ruszył w tym kierunku, sprawdził, czy ma odbezpieczoną broń. Szedł spokojnie, bez nerwowego pośpiechu, spoglądając w kierunku, skąd mogły się wyłonić wozy pancerne.

Kevin Papę czuł narastające podniecenie. A więc zaczyna się. To już nie pozorowane ćwiczenia. Nadciągali autentyczni przeciwnicy, w prawdziwych wozach pancernych, a nie w drewnianych makietach, w jakich ćwiczyli na poligonie pod Grafenworth. Miał przed sobą rzeczywistego przeciwnika - Ukraińców, którzy nadjeżdżali, by unieszkodliwić jego i całą ich jednostkę. Był tak przejęty, że nie

zauważył rosyjskiego majora, który położył się tuż obok niego. Całą uwagę skierował na drogę, od której dolatywał coraz bliższy huk nadjeżdżających pojazdów. Odbezpieczył broń, złożył się do strzału i czekał. Na prawo od niego sierżant Couvelha instruował swoją drużynę obsługującą przeciwpancerne wyrzutnie rakiet AT-4.

- Billy, ty strzelasz pierwszy. I dokładnie ustawiaj celownik - Couvelha zwrócił się do drugiego żołnierza - Ned patrz uważnie, gdzie trafił pocisk wystrzelony przez Billy'-ego, sprawdź i dopiero wtedy daj ognia. Rozumiesz?!

Billy, wpatrzony w ciemność, skąd dochodził szum silnika, milczał, skinąwszy jedynie głową. Był żołnierzem jeszcze młodym, ale solidnym i odpowiedzialnym, o czym sierżant dobrze wiedział. Ned, uśmiechając się, powiedział do sierżanta:

- W porządku, szefie. Zrobi się.

Couvelha potrząsnął głową. W przeciwieństwie do Billy'--ego Ned był nazbyt pewny siebie i dlatego sierżant polecił

48

HAROLD COYLE

mu, by strzelał jako drugi. Chciał go jeszcze raz upomnieć, aby celował uważnie, lecz wtem rozległ się krzyk Billy'ego:

- Odległość dwieście metrów! Strzelam!

Dzięki temu ostrzeżeniu wszyscy na linii obronnej mieli sekundę, by się przygotować. A co najmniej połowa ludzi na linii nie zobaczyła wozu pancernego, wyłaniającego się z ciemności. Papę, choć wyteżał wzrok, też niczego jeszcze nie widział.

- Gdzie są te sukinsyny? - pytał sam siebie w myślach.

Rozległ się trzask uruchomionego silnika rakiety i po chwili pocisk ze świstem opuścił rurę wyrzutni. Momentalnie nastąpił wybuch. Pocisk uderzył w pojazd pancerny, a błysk oślepił Pape'a. Pocisk przebił przedni pancerz, przeleciał o centymetry od głowy kierowcy, trafił w brzuch strzelca i wpadł do komory z amunicją do karabinu maszynowego 14,5 mm. Kierowca ogłuszony wybuchem zdążył jeszcze nacisnąć na hamulec i niewidzialna siła rzuciła pojazd w prawo.

Ned uważnie obserwował efekty strzału Billy'ego. Doszedł do wniosku, że pocisk leciał zbyt wysoko. Opuścił wylot rury wyrzutni i ustalił odległość celu na sto dziewięćdziesiąt metrów.

- Odległość jeden dziewięć. Strzelam! - krzyknął i pociągnął za spust.

I tym razem pocisk utknął w celu. Żołnierze ukraińscy z wozu pancernego nie czekali, aż pojazd się zatrzyma i wyskakiwali w biegu.

Papę doskonale widział teraz trafiony pojazd i opuszczających go w popłochu żołnierzy. Złożył się dokładnie do strzału, chwilę odczekał i puścił serię w ich stronę. Trafił pierwszego z żołnierzy, a gdy ten odleciał w bok, drugiego.

W tym momencie w środku wozu pancernego nastąpił wybuch. Zapewne były to przeciwpancerne pociski. Los pojazdu i jego załogi był przesądzony.

Nie widząc innych celów, Papę rozejrzał się i dopiero teraz spostrzegł leżącego w pobliżu rosyjskiego majora.

Ilwanicz uśmiechnął się.

- Doskonale to zrobiłeś. Krótka seria i dwóch zabitych.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

49

Papę uśmiechnął się.

- Kaszka z mleczkiem, majorze, kaszka z mleczkiem.

Ilwanicz w dalszym ciągu się uśmiechał.

- Oczywiście, nie wątpię - przytaknął, a w duchu pomyślał, że ci Amerykanie wszystko traktują zbyt lekkomyślnie. A co będzie, jeśli karta się odwróci nie po ich myśli? - A teraz musicie się przygotować do ataku piechoty. Nadejdzie stamtąd, z prawej strony - powiedział.

Papę popatrzył w kierunku wskazanym przez majora i zapytał:

- A skąd pan to wie?
- Ponieważ, mój przyjacielu, ci Ukraińcy zostali tak samo wyszkoleni jak ja, więc wiem, co zrobią. Tam jest wąwóz, który dochodzi do samego ogrodzenia. Tuż obok jest strefa zaminowana, ale wóz pancerny podejdzie do wylotu wąwozu i tam wysadzi piechotę.

Papę nie był pewien, czy powinien Rosjaninowi wierzyć, ale mruknął:

- OK, pan tu jest ekspertem - i skierował lufę pistoletu we wskazanym kierunku.

Pięćdziesiąt metrów pod nimi, w głębi tunelu, toczyła się inna bitwa, w której Amerykanie wyraźnie-brali górę, czego Biriukow nie mógł nie zauważyć. Całe starcie miało dla jego ludzi przebieg katastrofalny. Wypadający z kłębow dymu nieprzyjaciel zaskoczył ukraińskich obrońców bazy, którzy zostali dosłownie zgniecen! i całkowicie

rozbici. Jedyne błyskawiczna interwencja jednego z sierżantów uratowała Biriukowowi życie. Ciężko ranny w bok, siedział pod ścianą, niezdolny do najmniejszego ruchu. Dopiero sierżant Popiel wciągnął go do windy i z jeszcze jednym żołnierzem zjechali na dolny poziom. Biriukow słyszał teraz dokładnie, jak napastnicy zakładają ładunek, by wysadzić drzwi do windy i przedostać się w dół, do komór, gdzie składowane były głowice. Mieli więc nieco czasu. Jeśli nawet tamci pokonają drzwi, będą musieli się opuścić szybem windy, by wysadzić drzwi na dole. Wtedy już wszystko potoczy się błyskawicznie - zdobędą głowice, Jeśli oczywiście nie zrobi tego, co jeszcze mógł zrobić.

50

HAROLD COYLE

Biriukow spojrzał w głąb korytarza i na chwilę zamyślił się. Nie miał wątpliwości, że tamtych już nic nie zatrzyma. Orientował się, że ma do czynienia z Amerykanami, i wcale nie był tym zdumiony. Rosjanie namówili naiwnych Amerykanów, by ci wykonali za nich brudną robotę. Jeszcze od ojca kiedyś słyszał, że Amerykanie, chociaż zachowują się jak kowboje, myślą jak skauci. Spojrzał na sierżanta, zakaszłał. Z ust popłynęła mu krew.

- Jeśli tamci się nie pośpieszą, mogę się ich już nie doczekać - mruknął.

Twarz sierżanta nie wyrażała żadnych emocji:

- To nie potrwa długo, kapitanie. Sądzę, że złażą w dół szybem, założą ładunki i...

Stojący obok drzwi do windy młody żołnierz patrzył na Birlukowa 1 sierżanta. Jego twarz wykrzywiał grymas przerażenia. Podobnie jak tamci wiedział, że nie mają żadnych szans. Nie chciał jednak i nie mógł w to uwierzyć. Był zbyt młody, by dopuścić do siebie myśl, że wszystko skończone.

Bliukow, wciąż kaszląc, spojrział ponownie w głąb korytarza i przeniósł wzrok na sierżanta.

- Załóżmy, sierżancie, że nie godzimy się z tym, czego tamci by chcieli.

Co wtedy?

- Sądzi pan, że powinniśmy się poddać? - zapytał młody żołnierz.

Bliukow potrząsnął głową:

- Nie, bardzo wątpię,*by tamci się na to godzili, gdybyśmy nawet się chcieli poddać. Są żądni krwi - Birlukow na chwilę zamilkł, po czym, spoglądając znów w głąb korytarza, który wydał mu się teraz cichą, grobową niszą, powiedział: - Musimy uruchomić mechanizm samozniszczenia.

Sierżant nie odezwał się. Bliukow przeniósł na niego wzrok i uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Nadszedł czas, by skorzystał pan, sierżancie, z wiedzy, której nie wolno wam było posiąść - to mówiąc wyciągnął zakrwawioną rękę, którą przyciskał wyglądającą bardzo groźnie ranę.
- Jak widzicie, nie jestem w stanie tego wykonać. Musicie mi pomóc, sierżancie - spazm bólu spowodował,

TRÓJKĄT ŚMIERCI

że znów przycisnął ranę ręką i usiłował stłumić jęk. Gdy był już w stanie mówić, poprosił:

- Pośpieszcie się, sierżancie. Nie pozostało nam wiele czasu. Nie możecie mnie zawieść.

Kapitan Smithy pochylił się nad wylotem szybu windy i krzyknął do sapersa, by się pośpieszył z zakładaniem ładunku. Wydawało mu się, że ta zabawa trwa już zbyt długo. Cała operacja nie przebiegała tak, jak ją sobie wyobrażał i jak tego chciał. Stawał się coraz bardziej niecierpliwiony. Słyszał odgłosy wystrzałów z zewnątrz, co jeszcze bardziej wzmagало jego podniecenie. Zwracając się do stojącego obok dowódcy plutonu, powiedział:

- Po diabła te chłystki zjeżdżały windą? Tyle teraz kłopotu przez nich...

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, dowódca plutonu wzruszył ramionami. Jego zdaniem wszystko szło tak, jak zaplanowano. Zajęli halę montażową za cenę jednego zabitego i trzech lekko rannych. Załoga ukraińska została całkowicie rozbita. W ciągu kilku najbliższych minut dolne drzwi w szybie windy zostaną wysadzone, oni zaś zjadą po linach i rozprawią się z pozostałymi obrońcami bazy, którzy się tam na dole ukryli. Młody dowódca plutonu zajrzał do szybu i przeniósł wzrok na niecierpliwie spacerującego dowódcę. Dziwiło go zdenerwowanie tamtego.

Atak drugiego wozu pancernego zaskoczył wszystkich, z wyjątkiem Ilwanicza. Nikt nie słyszał, jak wóz ten nadjeżdżał. Nawet strzelcy, ustawieni wzdłuż ogrodzenia i wyposażeni w noktowizory, niczego nie zauważyli. Pojazd podszedł wąwozem ciągnącym się po prawej stronie

szosy. Dopiero kiedy serie z karabinu maszynowego kaliber 14,5 mm zaczęły walić w barak, żołnierze pierwszego plutonu rzucili się na ziemię, zdając sobie sprawę z grozy tego nieoczekiwanego ataku.

- Z prawej! Piechota nadjechała wozem pancernym z prawej! - rozległ się głos sierżanta.

Jakby na podkreślenie słuszności ostrzeżenia, od strony wąwozu rozległy się salwy z pistoletów maszynowych. Papę zerknął na Ilwanicza i mruknął:

52

HAROLD COYLE

- A jednak miał pan rację.

Ilwanicz nie zareagował na te słowa, natomiast, ku zdumieniu Amerykanina, zaczął go pouczać:

- Pamiętaj, że strzelasz w dół. Mierz niżej, niż robiłbyś to normalnie, inaczej będziesz strzelał nad ich głowami.

Papę złożył się do strzału i odparł:

- Rozumiem, celuję nisko.

Podczas gdy Papę i Ilwanicz przygotowywali się do starcia z przeciwnikiem, porucznik Zack wy dostał się przez okno z ostrzeliwanego baraku i nisko pochylony, pobiegł w kierunku wejścia do tunelu, gdzie drużyna obsługująca moździerz, kaliber 60 mm, przygotowywała się do akcji. Podniecony i zaskoczony nagłym atakiem, Zack chciał popędzić drużynę, by jak najszybciej rozpoczęła ogień. Dowodzący drużyną sierżant zignorował porucznika i kazał strzelać dopiero po dokładnym przygotowaniu moździerzy. Prawą ręką przyciskał do ucha mikrofon ra-

diowy, nadsluchując informacji podawanych przez wysuniętych do przodu obserwatorów z pierwszego plutonu. Dane, jakie otrzymywał, przekazywał obsłudze mózdzierzy.

Gdy mózdzierze rozpoczęły ogień, Zack odetchnął. Wstał i otrzepał kombinezon, powalany ziemią w czasie wycofywania się z baraku. W tym momencie i tak nie miał nic innego do roboty. Odwrócił głowę i spojrzął w głąb tunelu zastanawiając się, co dzieje się z tymi, którzy weszli do środka. Już ruszył w kierunku wejścia do tunelu, gdy nagle ziemia pod jego nogami zadrżała. Przyszło mu na myśl, że to pewnie zbliżają się ukraińskie czołgi, więc odwrócił się w kierunku drogi dojazdowej. Zrobił kilka kroków - ziemia pod nim zdawała się unosić w górę. Nie wiedząc, co się dzieje, odwrócił się raz jeszcze w stronę tunelu i z przerażeniem zobaczył, że z jego wnętrza zaczyna się wydobywać jasnożółta kula ognia nuklearnego wybuchu. Wydawało się, że leci prosto na niego.

Rozdział III

7 stycznia

Swobodna, rzeczowa atmosfera, jaka panowała zazwyczaj w centrum operacyjnym Dowództwa Sił Powietrznych w głębi masywu Cheyenne Mountain, Colorado Spring, rozwiała się całkowicie. Stało się to w chwili, kiedy za pośrednictwem satelity DSP East oraz Systemu Nuklearnego Wykrywania nadeszła pierwsza informacja o tym, że na Ukrainie doszło do wybuchu nuklearnego. Natychmiast został ogłoszony alarm. Gdyby ktoś ze znajdujących się tutaj mógł się oderwać od pracy i z boku obserwować wydarzenia, byłby zapewne dumny, reakcja ludzi i urzędów była dokładnie taka, jak można było tego oczekiwać. Informacje z satelitów i porozmieszczanych wokół globu czujników nadchodziły do w

pełni skomputeryzowanej centrali operacyjnej. Tu były elektronicznie przetwarzane i odpowiednimi kanałami przekazywane do stanowisk specjalistów. Ci zaś natychmiast je analizowali, oceniali i interpretowali, a wyniki tej operacji od razu przekazywali zwierzchnikom z głównego centrum w Waszyngtonie, i do wielu punktów dowodzenia na całym świecie. Wszystko i wszyscy pracowali tak, jak to zostało wcześniej zaprogramowane. Podjęto działania dokładnie takie same, jak w czasie niezliczonej liczby ćwiczeń, z tą jedynie różnicą, że tym razem praca odbywała się w całkowitym milczeniu. I ta właśnie cisza była wyrazem powagi sytuacji.

Po raz pierwszy od czasu, kiedy bomba nazwana „Grubasem” wybuchła nad Nagasaki, człowiek świadomie spo-

54

HAROLD COYLE

wodował kolejny wybuch nuklearny. Wprawdzie wstępne informacje wskazywały, że był to wybuch niewielkiej mocy, ale nie miało to większego znaczenia. „Chirurgicznie precyzyjne uderzenie”, jakie zapowiadał Pentagon, przeobraziło się w uderzenie atomowe.

Ze swojego stanowiska dowódca centrum operacyjnego widział dokładnie, jak dyżurna załoga kobiet i mężczyzn pracuje sprawnie, w całkowitym milczeniu. Nawet tu, na stanowisku dowódcy, gdzie zazwyczaj zbierali się starsi oficerowie, by dyskutować nad problemami strategii, tym razem panowała całkowita cisza, a atmosfera była aż gęsta od obaw i niepewności. Tę złowrogą ciszę przerwał dopiero dzwonek telefonu, łączącego centrum operacyjne z Białym Domem. Obecni w

centrum dowodzenia oficerowie zobaczyli, jak ich dowódca, który siedział za biurkiem z głową podpartą rękami, sięgnął po słuchawkę i powiedział cicho:

- TuNolan.

Wszyscy zauważyli, że generał odruchowo się wyprostował, co oznaczało, że najprawdopodobniej rozmawiał z panią prezydent. Przez kilka sekund milcząco słuchał, wreszcie, potrząsając głową, zaczął mówić:

- Nie, pani prezydent. W tej chwili już niczego więcej nie jesteśmy tu w stanie zrobić. Wszystkie satelity, które znajdowały się w regionie, skierowaliśmy w stronę wybuchu. Nie doradzałbym odsuwania innych satelitów od wykonywanych przez nie zadań i obserwacji. Musimy trzymać rękę na pulsie i w innych regionach, by się upewnić, czy i jak świat reaguje na wydarzenia na Ukrainie.

Adiutantowi Nolana określenie „wydarzenia” wydało się po prostu głupie. Chodziło przecież o wybuch ładunku atomowego. Być może, pomyślał, takie słownictwo ułatwia dyskusję nad tą skomplikowaną i groźną sytuacją. Nie zrobił jednak żadnej uwagi i w dalszym ciągu przysłuchiwał się temu, co jego szef mówi do słuchawki:

- Skontaktowałem się już z moimi partnerami w Anglii i we Francji. Doszliśmy do przekonania, że należy się zachować ostrożnie i nie podejmować żadnych, nie prześlanych działań. Radzę jednak, by zaproponowała pani

TRÓJKĄT ŚMIERCI

Londynowi i do Paryżowi ogłoszenie stanu najwyższej gotowości. To w naszym wspólnym interesie.

Nolan chwilę milczał, po czym skinąwszy głową, powiedział:

- Tak, wydaje mi się, że Francuzi i Anglicy porozumieli się między sobą, zanim odezwali się do mnie. Przypuszczam, że jako jedyne potęgi nuklearne Europy Zachodniej będą koordynowali swoje poczynania, działając w Imieniu Wspólnoty Europejskiej.

Znów zamilkł, a po chwili bez słowa odłożył słuchawkę i oparł się o poręcz fotela. Rozmowa z prezydentem Wilson była skończona.

Adiutant, przyglądając się swemu dowódcy, powiedział:

- Przypuszczam, że w tej chwili wolałby pan znaleźć się gdzie indziej.

Nolan odwrócił się w fotelu i spojrzał prosto w twarz adiutanta:

- Nie, Jack, mylisz się. Dla nas tutaj, najgorsze już minęło. Teraz możemy jedynie obserwować i przekazywać uzyskane informacje. To ci idioci w Waszyngtonie, którzy sobie wymyślili tę operację, będą musieli się tłumaczyć, a ci biedacy na Ukrainie, którzy znaleźli się w opałach, są godni współczucia. I wierz mi, że to promieniowanie w rejonie Swaljawy nie ma znaczenia w porównaniu z tym, co czeka naszą administrację za to, do czego doprowadziła.

Nolan obrócił się w fotelu i spojrzał na halę centrum operacyjnego, mrużąc pod nosem:

- Tak, nie chciałbym być w tej chwili w żadnym innym miejscu jak tylko tu, w naszym centrum.

Porucznik Tim Ellerbee, który i tak nie wiedział, co robić, krańcowo zdenerwowany, omal nie wyskoczył ze skóry, gdy czołg A34, zajmujący pozycję o jakieś siedemdziesiąt pięć metrów na lewo od niego, rozpoczął ogień. W ciszę nocy brutalnie wdarł się huk działa 120 mm. Ellerbee szarpnął głową w tamtym kierunku. Natychmiast oślepiła

56

HAROLD COYLE

go kolejna salwa, oddana przez następny czołg, A33. Dopiero w tym momencie Ellerbee uświadomił sobie, że przysnął. Mimo przejmującego chłodu, przed którym nie chronił go nawet kombinezon, mimo poważnego zadania, jakim była ochrona flanki brygady wzdłuż rzeki Latoriki i wspieranie grupy saperskiej zakładającej właśnie ładunki pod most prowadzący do Czopu, Ellerbee po prostu oparł głowę na rękojeści karabinu i zasnął.

Trudno się nawet było temu dziwić. Miał za sobą kilka trudnych dni. Przygotowania do operacji, inspekcje, ostatnia odprawa w rejonie słowackiej wsi Michałowce, potem długa, nocna jazda w kolumnie i wreszcie jeszcze jedna odprawa tuż przed samą granicą. Spał nie więcej niż dwie godziny. Jak wszyscy młodzi żołnierze idący na swoją pierwszą bitwę, czuł zrozumiałe podniecenie. Właściwie była *to* szczególna mieszanina obawy przed nieznanym, niepewności, ekscytacji, potęgowana przez to, że był dowódcą plutonu, który na dodatek został odłączony od macierzystej kompanii i przydzielony do kompanii piechoty zmotoryzowanej. Był zdecydowany udowodnić tym pie-chociarzom

wyższość pancerniaków. Co gorsza, czuł się urażony jako mężczyzna i postanowił, że w kontaktach z dowódcą kompanii nie wykaże ani odrobiny słabości.

W tej jednak chwili zapomniał o tym wszystkim i usiłował zrozumieć, co się właściwie dzieje. Rozejrzał się, ale na razie dostrzegł jedynie to, że na południowym brzegu rzeki coś się pali. Mógł więc tylko przypuszczać, że dowodzący tamtym czołgiem sierżant Ralph Rourk zaatakował jakiś pojazd poruszający się wzdłuż drugiego brzegu i zniszczył go. Przyszła mu do głowy myśl, czy sierżant przypadkiem przez pomyłkę nie zaatakował pojazdu saperów albo pojazdu typu Bradley, jakich używała piechota. Zsunął się z wieżyczki i zapytał sierżanta obsługującego działo:

- Tinker, czy widziałeś, do czego Rourk strzelał?

Działonowy, sierżant Tinker Shildon, nawet nie odwracając głowy odpowiedział z tym swoim charakterystycznym akcentem z Nowej Anglii:

TRÓJKĄT ŚMIERCI

57

- Taaa. Czołg. Nasz 34 ostrzelał czołg. Z wyglądu wieżyczki przypuszczam, że to T-80.

Wprawdzie dla Tinkera każdy nieamerykański czołg wyglądał na T-80, a jednak Ellerbee poczuł ulgę. A więc Tinker czuwał. Ulgą była, niestety, krótkotrwała, gdyż w słuchawkach rozległ się głos dowódcy kompanii:

- Alpha Trzy Jeden, Alpha Trzy Jeden, tu Charlie Sześć. Odbiór.

Ten słaby, kobiecy głos zawsze wyprowadzał go z równowagi, tak że

prawie zapomniał o dręczącej go niepewności. Od trzech dni tłumaczył sobie, że nie powinien tak na to reagować. Był przecież wiek dwudziesty pierwszy i kobiety od lat służyły w wojskach liniowych. Dlaczego jednak właśnie jemu przypadła kobieta dowódca? I to właśnie wtedy, kiedy szedł do pierwszej w życiu prawdziwej bitwy. Przez moment wydało mu się, że widzi przed sobą wysmukłą sylwetkę dowódcy, jej duże, brązowe oczy i kosmyki włosów, wystające spod hełmu. Nie tak wyobrażał sobie swego przełożonego.

Ale to ona była dowódcą i oto teraz domagała się raportu, na którego złożenie nie był przygotowany. Zastanawiał się, co lepsze: zignorowanie wezwania, by zyskać na czasie i dowiedzieć się od Rourka, co się właściwie stało, czy też przyznanie się do błędu i zameldowanie, że w gruncie rzeczy nie wie, co się dzieje. Nie zastanawiał się zbyt długo. Nabrał powietrza, włączył nadawanie i wyrzucił z siebie:

- Charlie Sześć, tu Alpha Trzy Jeden, poczekaj chwilę czkę.

Nie czekając na odpowiedź wyłączył się i przestawił radioaparat z częstotliwości fal, na jakich porozumiewała się kompania, na długość zarezerwowaną dla plutonu.

W odległości niespełna kilometra dowódca kompanii Charlie, kapitan Nancy Kozak, siedziała w wieżyczce brad-leya i patrzyła w kierunku przyczółka mostowego, gdzie pracowali saperzy. Na prawo od tego miejsca, po przeciwnej stronie rzeki płonął czołg T-80, więc Kozak chciała się dowiedzieć, co się dzieje. Domyślała się przebiegu wydarzeń i gdy usłyszała odpowiedź przez radio, spojrzała na

siedzącego obok sierżanta Danny'ego Wolfa. Ten uśmiechnął się i mruknął:

- No i co, chłopaczek spieprzył?

Kozak nie zareagowała, gdy sierżant nazwał porucznika chłopaczkiem, ani nie skomentowała jego uwagi. Po chwili odpowiedziała:

- Być może, zaraz się przekonamy.

Odwróciła się w głąb pojazdu i poleciła odpowiedzialnemu za łączność strzelcowi Paulowi Padenowi:

- Pee, przestaw na długość fal plutonu czołgów.

Paden, na którego wszyscy, łącznie z Kozak, mówili Pee

Pee lub w skrócie Pee, siedział przed nadajnikiem. Ruchem ręki dał znać, że zrozumiał rozkaz i błyskawicznie przestawił aparat na częstotliwość fal, na jakich pracował pluton. Głośnik natychmiast ożył. Usłyszeli:

- Trzy Cztery, Trzy Cztery, tu Trzy Jeden. Powtarzam: co tam się dzieje?

Odbiór - w głosie porucznika Ellerbee wyczuwało się podniecenie.

Wolf zachichotał:

- Mówiłem, że coś spieprzył.

Kozak i tym razem zignorowała uwagę. Pochyliła się w kierunku głośnika i w napięciu słuchała odpowiedzi.

- Tu Trzy Cztery. Zaatakowaliśmy jakiś T-80 po drugiej stronie rzeki. Odległość 2700 metrów. Odbiór.

Chwila przerwy i ponownie głos porucznika:

- Tu Trzy Jeden. Czy masz dokładne namiary i numer

T-80? Odbiór.

Odpowiedź Rourke nadeszła natychmiast:

- Trzy Jeden, jestem w trakcie walki. Zamelduję, gdy tylko będę mógł. Koniec.

Nabierając głęboko powietrza w płuca, Nancy Kozak usiłowała zachować spokój. Dla niej postępowanie podkomendnego, w tym wypadku porucznika Ellerbee, który nie potrafił złożyć jej wyczerpującego meldunku, było nie do przyjęcia. Jak miała kierować kompanią, bronić się lub atakować, kiedy jej dowódca plutonu nie był w stanie szybko złożyć dokładnego meldunku? Starając się ukryć wściekłość, Kozak poleciła Padenowi, by się skontaktował z saperami i dowiedział, czy nie znaleźli się pod ostrzałem,

TRÓJKĄT ŚMIERCI

59

oraz by o to samo później zapytał drugi pluton, który na przeciwnym brzegu rzeki osłaniał pracujących saperów.

Odwróciwszy głowę, Kozak zauważyła, że Wolf uśmiecha się złośliwie.

- Co wam tak wesoło, sierżancie?
- Powiedziałem pani, że chłopak spieprzy. Kozak, wciąż spokojna, skinęła głową.

- Macie rację, sierżancie Wolf. A może by tam podjechać i nieco obrugać naszego biednego porucznika Ellerbee?

Wolf natychmiast spoważniał. Myśl, że miałby się znaleźć na linii

ostrzału, wcale nie przypadła mu go gustu, tym bardziej że tam, gdzie mieliby pojechać, zapowiadała się najbardziej zaciekle strzelanina. Nie wypowiedział swoich obaw. Kozak mówiła najzupełniej poważnie, a Wolf wiedział, że ma rację. Nieodpowiedzialność porucznika Ellerbee była oczywista, toteż trudno było oczekiwać, że dowódca kompanii przejdzie nad rym do porządku. Zresztą Wolf znał już styl działania swego dowódcy. Podczas wszystkich ćwiczeń zajmowała pozycję w samym centrum działań. I teraz było oczywiste, że nie mogąc uzyskać jednoznacznego meldunku o sytuacji, postanowiła sama udać się na linię walki.

- Już się robi, kapitanie -Wolf włączył interkom i polecił kierowcy Tishowi:
- Hej, Terry, uruchamiaj tę trumnę. Dowódca chce podskoczyć do czołgistów.

•Ge ft •&

Cisza, jaka zaległa po tym, gdy kula atomowych płomieni wypadła z wnętrza tunelu, wydawała się trwać wiecznie. Zapadła całkowita ciemność, gdyż światła, jakie świeciły się do tej pory u wejścia do bazy, zostały zdmuchnięte. Wylot tunelu odegrał rolę wylotu lufy armatniej. Podmuch zmiotł wszystko, co znajdowało się wzdłuż drogi prowadzącej w kierunku szosy dojazdowej, a więc także pluton móżdżerzy i barak wartowników. Żołnierze pierwszego

60

HAROLD COYLE

i drugiego plutonu, rozstawieni wzdłuż zewnętrznego ogrodzenia po obu

stronach wylotu tunelu, wyszli z opresji bez szwanku. Wszyscy pozostali zginęli lub po prostu zniknęli. Papę szeroko otwartymi oczami patrzył w stronę tunelu. Wydawało mu się, że tam, w środku, ciągle coś się pali.

- Cóż się, u diabła, stało? - zastanawiał się. - Co się w ogóle dzieje? - był podniecony, zszokowany. Usiłował się podnieść i wygrzebać spod ziemi, jaka na niego runęła, ale powstrzymał go od tego Ilwanicz.

- Nie wstawaj, leż. Tam mogą być jeszcze Ukraińcy.

Papę posłuchał, ale nie odrywał oczu od tunelu. Dopiero po chwili zapytał:

- Co to właściwie było?

Ilwanicz nie miał najmniejszych wątpliwości, co się wydarzyło. Nie wyjaśnił jednak tego Amerykaninowi, najwyraźniej roztrzęsionemu. Trzeba było go uspokoić, a to należało do obowiązków oficera. Był wprawdzie Rosjaninem, a Papę Amerykaninem, ale *ze* względu na interesy polityczne ich krajów i na obecną sytuację znajdowali się po tej samej stronie. Ilwanicz, wstrząśnięty obrotem zdarzeń, głęboko odetchnął i próbował ostrożnie wstać.

- Ukraińcy w tunelu zniszczyli sami siebie i głowice -powiedział kładąc rękę na ramieniu Pape'a i patrząc w zwróconą ku niemu, przerażoną twarz. Nie widział oczu Amerykanina, ale czuł, że Papę wpatruje się w niego.
- Zostań tu i uważaj, czy nie nadchodzą Ukraińcy, bo jak się pozbierają, to na pewno się pokażą. Pójdę poszukać waszego dowódcy i dowiem się, co planuje. Rozumiesz?

Ilwanicz nie miał najmniejszej wątpliwości co do tego, że Smithy nie

żyje, nie chciał jednak denerwować Pape'a. Złe wieści lepiej przekazywać na raty.

Uspokojony, że ktoś wydaje polecenia i przejmuje kontrolę nad sytuacją. Papę skinął głową i powiedział:

- OK, majorze. Zostaję.

Ilwanicz skonstatował, że tamten po raz pierwszy zwrócił się do niego w ten sposób i jakby odruchowo zareagował

TRÓJKĄT ŚMIERCI

61

tak, jak na majora przystało. Zwrócił się na prawo i zawołał:

- Komandosi ustawieni wzdłuż ogrodzenia! Zostać na miejscach! Uważać i nie ruszać się! Dowiem się tylko, co planuje dowódca, i wracam!

Ten sam rozkaz powtórzył w kierunku lewego skrzydła. Z kilku miejsc rozległy się głosy potwierdzające przyjęcie rozkazu.

Ilwanicz, schylony, zaczął się wycofywać. Wyprostował się dopiero po przejściu kilkunastu metrów. Szedł w stronę baraku - w nadziei, że znajdzie porucznika Zacka. Oczy oswoiły się już z ciemnością. Major nie był pewien, czy odnajdzie Zacka. Natrafił na jakąś przeszkodę i obmacawszy ją, przekonał się, że to zwały kamieni. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to gruzy baraku. Zaczynał widzieć coraz wyraźniej. Zrozumiał, że wszystko, co znalazło się na linii podmuchu i atomowego ognia, zostało zniszczone. Najprawdopodobniej zginął nie tylko Zack, ale i cała grupa łącznościowców, obsługujących aparaturę radiową. Pomyślał, że radiostacja była zapewne mocniejsza i trwalsza

niż ci. którzy przy niej pracowali. Zarzucił karabin na ramię i wszedł w ruiny baraku, by odnaleźć radiostację.

Zaczął szperać między gruzami. Nagle, tuż za jego plecami, odezwał się jakiś drżący głos:

- Zack? Porucznik Zack? To ty?

Nie przerwał poszukiwań. Wydawało mu się, że radiostacja musi być gdzieś bardzo blisko. Odrzucając kawałki muru, desek i jakieś blachy, odpowiedział:

- Nie. Myślę, że porucznik Zack nie żyje. Kim jesteś?

- Fitzhugh, porucznik Fitzhugh, pierwszy pluton. Jesteś rosyjskim majorem?

Ilwanicz w dalszym ciągu odwalał gruz. Coraz to natrafiał ręką na coś miękkiego, zapewne były to ludzkie szczątki. Ale nie ich szukał, więc odrzucał je na bok.

- Tak - odparł. - A ty jesteś może zastępcą Zacka? -Ponieważ nie usłyszał odpowiedzi, powtórzył pytanie.
- Ty zastępujesz Zacka?

62

HAROLD COYLE

- Niezupełnie. Zastępcą jest porucznik Jacobsen, dowódca drugiego plutonu. Po nim jest Burglass z trzeciego plutonu. I dopiero wtedy ja - usłyszał po chwili słaby głos.
- Więc ich poszukaj i przyślij do mnie. I jeszcze jakichś żołnierzy, by mi pomogli odnaleźć radiostację.

Fitzhugh nie ruszył się z miejsca, stał i patrzył w kierunku wylotu

tunelu. Nie nadchodził stamtąd żaden szmer, żaden odgłos. Po chwili milczenia zwrócił się do grzebiącego w ruinach Ilwanicza:

- Wydaje mi się, że obaj byli z dowódcą w tunelu...

Ilwanicz wyprostował się.

- Jeśli tak, to teraz ty jesteś najstarszym rangą oficerem, prawda?

Amerykanin nie odpowiedział. Ilwanicz zaczął się niecierpliwić:

- Teraz wy jesteście dowódcą, poruczniku. Rozumiecie?

Fitzhugh cichym, niemal płaczącym głosem odparł:

- Przypuszczam, że tak, jeśli tamci zginęli... A może nie zginęli... Może...

Ilwanicz odrzucił kawał muru, który trzymał oburącz, i podszedł do Fitzhuga. Położył mu dłonie na ramionach i potrząsnął nim.

- Poruczniku, uspokójcie się! Uspokójcie i pomyślcie: być może tamci żyją. Być może są tam gdzieś w ciemnościach. Nie sądzę, by tak było, ale wszystko możliwe. Teraz nie jest to ważne. Ważne jest to, że nie ma ich tutaj i nie mogą dowodzić kompanią. Ale ty i ja jesteśmy tu i możemy dowodzić. I tylko to się liczy w tej chwili - Ilwanicz umilkł, by dać tamtemu czas na strawienie tego, co usłyszał.
- Dopóki nie pojawi się któryś z tamtych oficerów, wy jesteście dowódcą. Rozumiecie, poruczniku? - dodał.

Ilwanicz wyczuł, że Amerykanin się prostuje. Nie mógł zobaczyć jego twarzy i nie potrafił się domyślić odpowiedzi, a ta, którą usłyszał, zaskoczyła go.

- Tak jest, panie majorze. Rozumiem. Co mam robić?

Do Ilwanicza dotarło nagle, że Fitzhugh, zszokowany

1 oszołomiony, po prostu przekazał mu dowództwo! Nie był wcale pewien, czy tego pragnął. Jak podoficerowie i żołnie-

TRÓJKĄT ŚMIERCI

63

rze armii amerykańskiej przyjmą rozkazy rosyjskiego majora? Ale nie było innego wyjścia. Amerykański porucznik był wyraźnie w szoku. Minie trochę czasu, zanim będzie zdolny do objęcia dowództwa nad rozbitą i również zszokowaną kompanią. Ilwanicz natychmiast postanowił, że zastąpi im na razie dowódcę.

- Doskonale. Powiadom wszystkich na linii, by nie ruszali się z miejsca. Niech uważają i założą maski. Nie znamy skutków eksplozji. Sierżanci niech policzą ludzi w plutonach. Zameldujcie, ilu nas zostało. Przyślij mi ze trzech żołnierzy, bo muszą mi pomóc znaleźć tę cholerną radiostację. Jasne?

Fitzhugh zrobił krok w tył i zasalutował.

- Tak jest, zrozumiałem.

Odwrócił się i ruszył w kierunku swojego plutonu. Po chwili przystanął i powiedział:

- Majorze, ze mną wszystko w porządku. Tylko trochę... Rozumie pan.

Ilwanicz poczuł sympatię dla tego młodego Amerykanina. I on kiedyś jako niedoświadczony żołnierz miał podobne przeżycia. Dobrze wiedział, czym dla oficera jest pierwsza, prawdziwa bitwa.

- Rozumiem - powiedział łagodnie. - Doskonale rozu

miem. A teraz już idź. Pośpiesz się.

Stojąc z Cerrem na poboczu drogi prowadzącej do Uż-gorodu, Dixon przyglądał się mijającej ich kolumnie dział samobieżnych.

- To wszystko trwa zbyt długo, Hal. Ruszamy się zbyt wolno. Cholernie wolno.

Cerro przypatrywał się uważnie przejeżdżającej obok nich haubicy samobieżnej M-109. Nie odpowiedział.

- Ciągniemy za sobą zbyt wiele sprzętu. To ma być rajd, jak sam mówiłeś, a nie inwazja. Większość z tych jedno stek sprawia wrażenie, jakbyśmy chcieli zajmować jakieś tereny i prowadzić wojnę pozycyjną - dodał Dixon.

64

HAROLD COYLE

Obok nich przejeżdżał właśnie wóz z amunicją do dział samobieżnych.

- No cóż, Hal, już za późno na to, by coś zmieniać. Zanotuj, że należy opracować listę sprzętu niezbędnego do tego rodzaju operacji. Widać, że dowódcy oddziałów nie mają w tej sprawie żadnego rozeznania.

Minęły ich wozy z amunicją. Odwrócili głowy i patrzyli na kolejne działa samobieżne, które do nich podjeżdżały. Właśnie zbliżały się wielkie wozy dostawcze, gdy Cerro usłyszał za plecami szybkie kroki. Odwrócił głowę i zobaczył jednego ze swoich młodych kapitanów, śpieszącego z kartką w ręce.

- Wygląda na to, że mamy jakiś meldunek.

Dixon spojrział na niego i dopiero po chwili zrozumiał, o co chodzi, bo właśnie dostrzegł nadchodzącego kapitana.

- Chyba tak - mruknął. - Pewnie meldunek trzeciego plutonu o walkach nad rzeką Latorika. Wygląda na to, że Ukraińcy nie tracą czasu i już ruszyli swoje jednostki od strony Czopu.
- Niewiele im to pomoże. Muszą się nadziać na kapitan Kozak.

Podszedł do nich kapitan. Był zadyszany i najwyraźniej zemocjonowany. Popatrzył na Dixona, potem na Cerra. Dixon kiwnął głową i zapytał:

- Zapewne wieści od naszych znad Latoriki. Co tam słychać?

Kapitan zaprzeczył ruchem głowy i podał Dbconowi meldunek mówiąc:

- Trzecia kompania zameldowała, że zniszczyli jakieś pojazdy idące na czele sił przeciwnika. Poza tym nic nowego. Tu mamy depeszę z dowództwa 10. Korpusu w Pradze. Otrzymali wiadomość z Dowództwa Strategicznych Sił Powietrznych. Satelity wykryły sygnały nuklearnego wybuchu na południe od Swaljawy. Korpus poleca wszystkim jednostkom uczestniczącym w operacji rejestrowanie ewentualnych sygnałów o zwiększonej radioaktywności.

Dixon milczał. Przewidywał, że zawsze może się stać coś, czego sobie nie wyobrażano. Często przypominał swoim

TRÓJKĄT ŚMIERCI

65

podwładnym, że nie wszystko i nie zawsze przebiega zgodnie z

przyjętym planem. I teraz też podświadomie spodziewał się czegoś, co mogło ich zaskoczyć, co mogło pokrzyżować przebieg operacji. Nie sądził jednak, że usłyszy o wydarzeniu aż tak bardzo szokującym.

Pierwszy opanował się Cerro, który patrząc w ziemię, mruknął:

- A więc zaskoczył nas pan - podniósł głowę, spojrzał na kapitana i zapytał: - coś jeszcze?
- Nie. Poprosiliśmy o dodatkowe informacje, ale ci z 10. Korpusu każą nam czekać. Nie sądzę, by wiedzieli cokolwiek więcej. - Po chwili, Jakby sobie o czymś przypomniał, dodał: - Starszy sierżant polecił przygotowanie informacji dla wszystkich jednostek, łącznie z rozkazem o natychmiastowym sprawdzaniu stanu promieniowania. Będzie gotowa, zanim panowie wrócą do sztabu.

Dixon położył rękę na ramieniu kapitana.

- Nie czekajcie na nas. Wracajcie tam i natychmiast nadajcie do oddziałów, to jest teraz najważniejsze. Idź już.

Kapitan zasalutował, odwrócił się i biegiem ruszył w stronę wozu sztabowego.

Cerro przez chwilę przypatrywał się w milczeniu dowódcy, Dbcon zaś zastanawiał się nad przekazaną mu informacją, próbując ustalić, jakie działania powinni teraz podjąć. Wreszcie Cerro przerwał milczenie:

- Pułkowniku, czy nie powinniśmy pomyśleć o zwolnieniu tempa naszego rajdu, na wypadek gdyby trzeba było walczyć z Ukraińcami?

Dbcon, patrząc na nie kończącą się kolumnę podążającą na wschód, odparł:

- Mamy zbyt wiele pojazdów i sprzętu. Wzięliśmy tego za dużo - mruknął jakby do siebie. Popatrzył na Cerra i dodał: - Poczekajmy, zanim cokolwiek się wydarzy. Nie możemy wpaść w panikę. Na razie nie zmieniałbym niczego. Chodź, wracamy do wozu. Musimy zachować spokój.

66

HAROLD COYLE

Gdy Kozak podjeżdżała do czołgu porucznika Ellerbee, zniszczono właśnie ostatni z trzech czołgów ukraińskiej szpicy, jaka pojawiła się po drugiej stronie rzeki. Kapitan wyskoczyła ze swojego pojazdu i wdrapała się do czołgu porucznika, by wysłuchać jego raportu. Gdy ten skończył mówić, Kozak zaczęła go pouczać, czego oczekuje od swoich podkomendnych i jak należy reagować na polecenia dowództwa. Gdy wróciła do swojego bradleya, była już całkiem opanowana, ale sierżant Wolf nie miał wątpliwości, że czerwone plamy na policzkach dowódcy nie były spowodowane tylko zimnym wiatrem. Spostrzegłszy, że przy zakładaniu hełmu Nancy Kozak miała nieobecne spojrzenie, Wolf pomyślał, że trzeba panią kapitan czymś rozweselić. Powiedział więc:

- Tak, przepani, to chyba prawda.

Pogrążoną jeszcze w myślach, zaskoczona, popatrzyła na niego.

- O czym mówicie, sierżancie?

Wolf uśmiechnął się.

- To chyba prawda, że nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż obrażona kobieta.

Parsknęła śmiechem.

- A gdzieście to, u diabła, słyszeli?
- Od starszego sierżanta. On zawsze tak mówi, gdy pani kogoś ruga.

Nie odezwała się. Zawsze była zwolenniczką szczerego wypowiedzenia się podkomendnych, a takie chwile odprężenia podczas wykonywania zadań bojowych uważała za bardzo potrzebne. Nie znosiła tylko i nie tolerowała wulgarności.

- Sierzancie Wolf, to co mówi starszy sierżant, to jego sprawa, a ja wcale nie zrugalam porucznika Ellerbee. Upewniłam się jedynie, czy znana jest mu procedura składania meldunków.

Wolf uśmiechnął się.

- Rozumiem, przepani. I co teraz? Wracamy?
- Nie. Podjedziemy do mostu, bo musimy znaleźć porucznik Matto.

Dowiemy się, jak spisują się jej saperzy. Te

TRÓJKĄT ŚMIERCI

67

trzy zniszczone T-80 z całą pewnością nie są jedyne. Należy przypuszczać, że pozostali wkrótce się tu pokażą.

Wolf włączył interkom i polecił kierowcy:

- Terry, zapalaj. Zjeżdżamy na most.

Kierowca Terry Tish natychmiast zaczęła wykonywać polecenie. Mimo niewielkiego wzrostu była jednym z najlepszych kierowców w kompanii i potrafiła robić różne sztuczki ze swoim pojazdem. Nawet Wolf, który zazwyczaj podśmiewał się z kobiet kierowców, dla Terry był pełen podziwu.

Po północnej stronie mostu porucznik Elizabeth Matto stała obok swego pojazdu pancernego M-113, który był wozem dowodzenia, a jednocześnie transporterem amunicji. Patrząc w stronę mostu, widziała saperów ze swego plutonu, wykonujących przydzielone im zadania. Po południowej stronie mostu pancerny pojazd-koparka M-9 pośpiesznie kopał w poprzek drogi rów przeciwczołgowy, a jej ludzie zakładali miny. Inna drużyna lokowała ładunki wybuchowe na moście. Operację zaplanowano tak, by wysadzić w powietrze trzy przęsła i uniemożliwić przejście przez most przeciwnikowi, który mógł podążać z południa.

Prace trwały dłużej, niż zakładała porucznik Matto, choć przebiegały sprawnie. Nagle usłyszała szum silnika brad-leya. Poleciała stojącemu obok niej sierżantowi, by pobiegł do saperów i nakazał im szybsze wykonywanie prac, sama zaś zwróciła się w kierunku nadjeżdżającego bradleya dowódcy.

Gdy pojazd się zatrzymał obok M-113, Kozak zeskoczyła na ziemię i odebrała meldunek od porucznik Matto.

Obie, kapitan i porucznik, patrzyły na most. W świetle księżyca widziały saperów pracujących na moście i M-9, kopiące rów w zamarzłej ziemi po południowej stronie rzeki.

- Zakładanie ładunków na moście zajmie nam jeszcze dziesięć do piętnastu minut - meldowała Matto. - Miny na południowym podejściu są już założone, ale wykopanie rowu przeciwczołgowego wymaga jeszcze około pół godziny. Most kolejowy w górze rzeki gotowy do wysadzenia.

Kozak w milczeniu przyjęła meldunek. Gdy Matto skończyła, wydała rozkaz:

- Przestań kopać ten rów. To nie może trwać aż pół godziny. Jeśli możecie to zrobić w dziesięć minut, to załóżcie tam jeszcze dodatkowe pole minowe. Wycofuję pluton piechoty. Brygada przyśle nam wsparcie helikopterowe, gdyby przeciwnik atakował w kierunku na Mukaczewo. Obejdziemy się bez tego rowu.

Nie czekając na odpowiedź, Nancy Kozak ruszyła do swego wozu, ale Matto ją powstrzymała:

- Nie możemy układać min na ziemi. Gdy wysadzimy most, to jego szczątki spowodują wybuchy min. Musimy wykopać doły i przykryć miny ziemią.

Kozak popatrzyła na Matto, potem na most i znów na Matto.

- Dobrze. Zapomnijmy o minach. Nie mamy na to czasu. Zrób wszystko, co możesz, by w ciągu dziesięciu minut zakończyć minowanie mostu.

Matto zsalutowała, odwróciła się i biegiem ruszyła na most, przywołując jednocześnie sierżanta. Kozak przez chwilę wsłuchiwała się w głos pani porucznik, który podobnie jak i jej, kiedy krzyczała, przechodził w pisk. Dlatego właśnie bardzo rzadko podnosiła głos. Już przed laty jeden z sierżantów zwrócił jej na to uwagę mówiąc, że ten pisk nie tylko denerwuje ludzi, ale też ich śmieszy. Kozak nauczyła się więc wydawać komendy tak, by nie krzyczeć. Kiedy zdarzyło się, że należało krzyknąć na kogoś, z reguły robił to za nią starszy sierżant kompanii. Tylko nieliczni spośród jej podkomendnych wiedzieli, dlaczego ta młoda

kobieta kapitan tak rzadko podnosi głos, toteż wszyscy lubili jej styl dowodzenia. Uważano, że jest on wyrazem jej szacunku dla podkomendnych i ich uszu.

Kozak podeszła do swego bradleya i zawołała sierżanta Wolfa. Nie wymawiała jednak wyraźnie litery „T, więc mogło się wydawać, że dźwięk, jaki się wydobywa z jej ust, brzmi „Wuuf. Jeden z saperów pracujących na moście usłyszał to wołanie, podniósł głowę i spojrzał w jej stronę. Wyglądało to dość dziwacznie, jakby oficer stojący obok

TRÓJKĄT ŚMIERCI

69

wozu pancernego wył do księżycy. Saper wybuchnął śmiechem. Usłyszał to sierżant, dowódca drużyny.

- Zwariowałeś, Havarty? - zapytał.

Havarty pokazał ręką na brzeg, gdzie stał wóz pancerny. Sierżant spojrzał i zdenerwował się:

- Co w tym śmiesznego? A czego oczekiwałeś? Jest oficerem i piechociarzem, dwa grzyby w barszczu. Rozumiesz? A teraz do roboty, bo i ja na ciebie zawyję.

ft ft 3r

Czekali jeszcze na sierżanta z drugiego plutonu. Ilwanlcz sprawdzał radiostację, którą dwaj żołnierze wyciągnęli spod gruzów. Szybko stwierdził, że jest ona już tylko stertą złomu. Fala elektromagnetyczna, wywołana przez eksplozję jądrową, zniszczyła wszystkie tranzystory.

Podszedł do niego Fitzhugh i położył majorowi rękę na ramieniu. Ilwanlcz odsunął od siebie bezużyteczny sprzęt radiowy i odwrócił

głowę.

- Majorze, znalazłem porucznika Zacka. Nie żyje. Leży przy wejściu do tunelu.

Rosjanin skinął głową i spojrzął na radiostację. Nie był w stanie się skontaktować ze swoimi, a jednocześnie miał świadomość, że nie mogą tu pozostać ani chwili dłużej. Trzeba było podjąć decyzję o wycofaniu się, zanim Ukraińcy otrząsną się z szoku i ruszą na nich, i nim promieniowanie osiągnie wyższy stopień.

Wyprostował się i spojrzął na zbierających się wokół dowódców pododdziałów, tych, którzy przeżyli. Nie miał pewności, czy podoficerowie tak jak Fitzhugh zaakceptują to, że teraz on jest tu najstarszym oficerem i przejmuje dowództwo. W bladym świetle księżyca widział ich spięte twarze. Ciszę przerywały jedynie nawoływania medyków opatrujących rannych. Nie miał wątpliwości, że ludzie, którzy go otaczali, są zawodowymi żołnierzami i doskonale rozumieją sytuację, w jakiej się znaleźli. Dobrze wiedzieli, co się wydarzyło, rozumieli, że Fitzhugh nie był w stanie objąć dowództwa, i mieli też świadomość, że jeśli czegoś

70

HAROLD COYLE

natychmiast nie postanowią, to nikt z nich nie wyjdzie stąd żywy. W takiej właśnie atmosferze Ilwanicz zaczął wydawać rozkazy. Obserwował przy tym uważnie reakcję podoficerów.

- Uderzenie elektromagnetyczne zniszczyło naszą radiostację. Nie mamy innej, więc nie możemy się skontaktować

wać z naszymi. - Na chwilę zamilkł, po czym ciągnął dalej: - Wybuch wyzwolił promieniowanie, które będzie zapewne coraz silniejsze. Dlatego, nie możemy tu pozostać. Nie mam też wątpliwości, że Ukraińcy po otrząśnięciu się z szoku, znów się tu pojawią. - Raz jeszcze nabrał powietrza i kontynuował: - Głowice, które były naszym celem, zostały zniszczone, a więc nie ma powodu, byśmy tu dłużej wystawiali się na działanie promieniowania. Nasze siły zostaną niewątpliwie skierowane do bazy z nie zniszczonymi głowicami. Tu zapewne przyślą grupę, która zbada na miejscu sytuację. To jednak musi potrwać, a my tymczasem bylibyśmy narażeni na promieniowanie i na kontratak Ukraińców. Nie sądzę, byśmy powinni tu zostać. Ruszajmy więc.

Odpowiedziało mu milczenie, ale miał wrażenie, że przyznano mu rację. Tamci doskonale wiedzieli, że nie można było podjąć innej decyzji. Musieli wyjść z rejonu skażonego radioaktywnie, w którym, na dodatek, czuło się swąd spalonych ciał. Ilwanicz wiedział już, że mu się nie sprzeciwią. Powiedział więc:

- Jeśli się ze mną zgadzacie, to przygotujcie się do wymarszu. Sierzanci niech sprawdzą stan swoich drużyn i złożą mi meldunek. Za jakieś pół godziny ruszamy.

Sierzanci odeszli do swoich drużyn, a Ilwanicz wraz z Fitzhughiem i starszym sierżantem studiowali mapę i zastanawiali się nad kierunkiem ucieczki. Kiedy wkrótce sierzanci zebrali się, by złożyć meldunki o stanie swoich plutonów i drużyn, jeden z nich wystąpił do przodu, spojrzał na

wejście do tunelu i powiedział:

- Majorze, sądzę, że powinniśmy tam pójść, by sprawdzić, czy rzeczywiście nikt nie przeżył.

TRÓJKĄT ŚMIERCI 71

Zapadła cisza. Podoficerowie spoglądali to w kierunku tunelu, to na Ilwanicza. Czekali na jego reakcję.

Major również popatrzył na wejście do tunelu, a potem powiódł wzrokiem po twarzach stojących przed nim Amerykanów. Nie miał wątpliwości, że wyprawa do tunelu nie może przynieść żadnych pomyślnych rezultatów. Nie było najmniejszych szans na to, by ktoś mógł tam przeżyć. Jeśli nawet uniknął ognistej kuli, to płomień spalił całe powietrze w tunelu, wypełniając go rozgrzаныmi gazami. W tej atmosferze nie mogło się nawet przez sekundę utrzymać żadne życie. Już chciał to powiedzieć, ale się zreflektował. Przecież tam, w tunelu, pozostali ich koledzy i przyjaciele, ludzie, za których czuli się odpowiedzialni.

- Chyba rozumiecie, że szanse przeżycia tam kogokolwiek są równe zeru? - zapytał.

Sierżant, który zaproponował penetrację tunelu, skinął głową.

- Wiemy o tym, majorze. Ale musimy spróbować. Inaczej nie mógłbym spojrzeć w oczy żonom czy dzieciom ludzi, którzy tam zostali. - I po chwili milczenia dodał: - Musimy spróbować. Rozumie pan?

Ilwanicz pomyślał, że chyba jednak nie rozumie.

- Jak się nazywacie? - zapytał.
- Rasper. Sierżant Allen Rasper z pierwszego plutonu.

- Czy rozumiecie, sierżancie Rasper, że każdy, kto wejdzie do tunelu, zostanie silnie napromieniowany? Być może będzie to dawka śmiertelna.

- Musimy spróbować - nie ustępował Rasper.

Ilwanicz zrozumiał, że to jest coś więcej niż prośba czy propozycja. Pojął, że odmowa stawiałaby pod znakiem zapytania jego pozycję jako tymczasowego dowódcy, co mogło doprowadzić do dalszych, nie przewidzianych komplikacji, może nawet do nieszczęścia.

- Dobrze, pójdziemy - powiedział. - Weźmiemy radio metr i jeśli ten pokaże zbyt wysokie promieniowanie, za wrócimy. Zgoda?

Rasper i pozostali skinęli głowami. Ilwanicz popatrzył na nich i zapytał:

72

HAROLD COYLE

- Kto idzie ze mną?

Zaskoczeni, że Rosjanin sam zamierza wejść do tunelu, Amerykanie popatrzyli po sobie. Jako pierwszy wystąpił Rasper.

- Ja. Wezmę licznik Geigera, majorze.

Ilwanicz położył mu rękę na ramieniu.

- Doskonale - powiedział i zwrócił się do Fitzhuga: - kiedy my będziemy w tunelu, wy sprawujecie dowództwo. Przygotujcie kompanie do wymarszu. Ruszamy zaraz po naszym powrocie. Weźcie mapy i czekajcie.

Fitzhugh trzymał mapę w ręku. Rozwinął ją przed Ilwaniczem i

oświetlił latarką. Ilwanicz, zawodowy żołnierz, błyskawicznie podjął decyzję. Pokazując palcem odpowiednie punkty na mapie, mówił:

- Ruszymy na południe wzdłuż tego pasma wzgórz. Dojdziemy do tego miejsca. Oddalimy się od rejonu skażonego promieniowaniem i, jak przypuszczam, wolnego od sił ukraińskich. Tu, w tym miejscu, się zatrzymamy i gdy by zaszła potrzeba, będziemy się bronić. Bądźcie gotowi do wymarszu, kiedy wrócimy. Zrozumiano?

Fitzhugh skinął głową.

- Zrozumiano - potwierdził.
- No, więc rozchodzimy się.

Sierzanci ruszyli do swoich pododdziałów, a Rasper sprawdził radiometr. Tymczasem Ilwanicz grzebał w rumowisku baraku w poszukiwaniu gumowanych peleryn, na które się natknął, kiedy szukał radiostacji. Znalazł dwie, wyciągnął je spod kamieni i jedną rzucił Rasperowi.

- Włóż ją. Niewielka to ochrona, ale zawsze coś.

Naciągnęli peleryny i założyli maski gazowe. Ruszyli w kierunku ciemnego wejścia do tunelu, z którego jeszcze wydobywały się kłęby dymu i swąd spalonych ciał. Przez chwilę towarzyszyły im spojrzenia pozostałych, pełnych ulgi, że jednak ktoś idzie sprawdzić, czy ich koledzy rzeczywiście nie przeżyli, a jednocześnie szczęśliwych, że to nie na nich spadł ten szczególny obowiązek.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

73

- Pułkownika Dixon, operacyjny 10. Korpusu na linii.

Dixon, który wraz z Cerrem i oficerem wywiadu siedział przy stole zasłanym mapami, nie obracając głowy przechylił się do tyłu, wyciągnął za siebie rękę, otworzył dłoń i czekał, by mu podano słuchawkę. Jeden z oficerów usiłował podciągnąć kabel, co jednak nie na wiele się zdało. Dixon, który rozpoczął już rozmowę, silniej pociągnął kabel, co spowodowało, że z biurka dyżurnego pospadały papiery, ołówki, kubki z kawą. Dixon, nieświadomy, co się stało, rozmawiał przez telefon. Cerro spojrział złym wzrokiem na dyżurnego sierżanta, a ten zaczął rugać sierżanta operacyjnego za ten nieporządek na biurku.

Dixon słuchał wyraźnie zmęczonego oficera operacyjnego 10. Korpusu, który informował:

- Scott, musimy wycofać od ciebie helikoptery Apache. Nasi komandosi mają kłopoty i być może potrzebne im będzie wsparcie helikopterów.

Dixon chrząknął.

- Tak, sir, rozumiem. To jednak spowoduje wzrost zagrożenia na mojej flance. Spodziewamy się, że brygada zapasowa z Uzłowoje w każdej chwili może uderzyć na naszą południową flankę. Zabranie Apache'ów postawi mnie w sytuacji, że będę musiał wycofać część sił uderzających na Mukaczewo, by wzmocnić flankę południową.

Operacyjny 10. Korpusu nie przejął się argumentacją Dixona, czego ten zresztą wcale nie oczekiwał.

• Wiem o tym - odparł oficer. - Musisz Jednak pamiętać, że wasza

operacja ma jedynie charakter wspierający. Dowódca 10. Korpusu wcale nie oczekuje, byście mieli zająć Mukaczewo.

- Wiem. Rozumiem, że naszym zadaniem jest odwrócenie uwagi buhaja, podczas gdy komandosi będą mu wyrzynać jaja. Powiedz Wielkiemu Alowi, by się pośpieszyli, bo tymczasem nam wyrzną nasze.

Operacyjny zachichotał.

- Czy wiesz, co na to powie Wielki Al?

74

HAROLD COYLE

- Oczywiście - Dixon również się roześmiał. - Popatrz na ciebie i powie: „O co się Dixon martwi? On i tak nie ma pojęcia, co się z tym robi”.

Operacyjny spoważniał i zapytał, jak przebiega operacja, którą prowadzi brygada.

- Na razie wszystko OK - odpowiedział pułkownik. - Nic nas nie zaskoczyło, nie wydarzyło się nic nie przewidzianego. Może jedynie to, że Ukraińcy reagują szybciej, niż się można było spodziewać. Wycofanie helikopterów może spowolnić nasze działania, ale tymczasem nie mamy większych problemów.

Uspokojony tym meldunkiem, operacyjny obiecał, że zwróci im helikoptery tak szybko, jak to tylko będzie możliwe, a więc gdy minie zagrożenie komandosów. Oficer operacyjny przyrzekł, że lotnictwo skieruje do brygady kilka A-10, które oczyszczą przedpole idącym do

przodu siłom Dbcona.

Po skończeniu rozmowy Dixon podał słuchawkę dyżurnemu podoficerowi i zwrócił się do Cerra:

- Słyszałeś?

Ten skinął głową.

- Tak, zabrali nam helikoptery. OK, nie ma problemu. Skierujemy dodatkową kompanię nad Latorikę.

Dixon pochylił się nad mapą i przez chwilę rozważał:

- Nie, na razie nie. Skontaktuj się, Hal, z 35. Pułkiem Pancernym i poinformuj, by się przygotowali na to, że jedną z ich kompanii skierujemy na południe, aby wzmocnić kapitan Kozak nad Latoriką.
- Czy nie trzeba zapewnić kompanii dowodzonej przez Kozak pierwszeństwa we wsparciu artyleryjskim?

Dixon rozważał to przez chwilę i zdecydował:

- Jeszcze nie, ale trzeba uważnie obserwować, co się tam będzie działo. Musimy być gotowi na wsparcie, potem zdecyduję, kiedy go udzielimy. Nie mamy helikopterów, a A-10 otrzymamy dopiero wieczorem. Artyleria może nam być potrzebna do rozbicia przeszkód, jakie mogą się pojawić na naszej drodze. Naszym podstawowym zadaniem jest natarcie w kierunku Mukaczewa i odciążenie głównych

TRÓJKĄT ŚMIERCI

75

sił ukraińskich od naszych komandosów. A najlepiej wykonamy to, posuwając się do przodu. Kozak musi sobie radzić tymi siłami, jakie

ma.

Cerro patrzył na mapę, na niebieskie strzałki oznaczające pozycje kompanii kapitan Kozak, która znajdowała się na północnym brzegu Latoriki, przy drodze na Czop. Zagrozała jej znacznie większa siła, jaką była ukraińska brygada pancerna, zaznaczona na mapie czerwonymi kółkami. Oficer wywiadu, który nanosił te znaki na mapę, narysował dużą, czerwoną strzałkę wycelowaną w sam środek kompanii kapitan Kozak. Patrząc na strzałkę Cerro mruknął:

- No, Nancy Kozak czeka niełatwa robota.

Dixon nie zareagował. Przez chwilę wpatrywał się w mapę, a potem powiedział:

-t Hal, mam wrażenie, że zanim się to wszystko skończy, wszyscy będziemy musieć odwalić kawał ciężkiej roboty -przez parę minut tkwił jeszcze pochylony nad mapą, wreszcie podniósł głowę i spojrzał na Cerra: - Daj znać Kozak, że nie będzie miała wsparcia helikopterów.

Odwrócił się do starszego sierżanta Duncana i poinformował, że razem z pułkownikiem Worisznowem idzie do swojego czołgu. Wyszedł z wozu bez słowa, pozostawiając sztabowców zajętych opracowywaniem i przekazywaniem instrukcji wynikających z nowej sytuacji, w jakiej się znalazła brygada.

Rozdział IV

7 stycznia

Atak ukraiński na pozycje kompanii kapitan Kozak, rozciągniętej wzdłuż rzeki Latorika, nie był gwałtowny. Powodów tego było kilka. Przede wszystkim dowódca ukraińskiej brygady został zaskoczony faktem, że siły amerykańskie znalazły się tak blisko Czopu. Nie znał ich składu ani

liczebności. W dodatku musiał się kierować rozkazami, w których takiej sytuacji nie przewidziano. Ukraińcy stracili już wysłany na zwiady pododdział, składający się z trzech czołgów, i to zanim zwiadowcy zdążyli złożyć szczegółowy raport. Nadszedł od nich jedynie lakoniczny i zniekształcony meldunek. Zdążyli tylko poinformować, że są pod ostrzałem i znajdują się w odległości dwóch tysięcy metrów od mostu. Potem łączność się urwała. Dowódca brygady doszedł do wniosku, że ma przed sobą oddział pancerny, chroniący flanki sił przeciwnika. Uznał również, że należy działać ostrożnie i z rozwagą. Gwałtowny atak, przypuszczony przez posuwające się na północ jego oddziały, spowodowałby jedynie to, że Amerykanie niszczyliby kolejne, atakujące ich jednostki. Ukraiński dowódca postanowił, że jeśli ma uderzyć pierwszy, to musi to być atak przeprowadzony wszystkimi siłami, jakimi dysponuje. Tylko to mogło przełamać flankę i otworzyć przed jego brygadą drogę do dalszego ataku na Użgorod.

Oczywiście pozostawał jeszcze problem przekroczenia rzeki. Pewne było, że przeciwnik zniszczy oba mosty -drogowy i kolejowy.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

77

Dowódca i jego sztab znajdowali się na zachód od Czopu, w miejscu, w którym szosa nr 17 skręca na północ, w kierunku Latoriki. Rozpatrywali właśnie różne warianty działania. Szosę tymczasem wypełniał tłum uciekającej ludności cywilnej, co uniemożliwiało wszelki ruch czołgów i wozów pancernych. Patrząc na to, co się dzieje, dowódca brygady doszedł do wniosku, że ma tylko dwie możliwości

działania: mógł ruszyć ze swoimi siłami na wschód, by w innym miejscu poszukać przeprawy na drugą stronę rzeki, albo też mógł przypuścić frontalny atak, by przekroczyć rzekę na północ od Czopu.

Możliwości przeprowadzenia każdego z tych manewrów były jednak poważnie ograniczone przez obowiązujące rozkazy, wyraźnie określające, że w razie ataku z terenu Słowacji jego brygada, stacjonująca w rejonie Uzłowoje, ma ruszyć na Czop. Stąd miał mostami, drogowym i kolejowym, przejść na północny brzeg Latoriki, skoncentrować tam swoje siły i uderzyć na północ wzdłuż szosy nr 17. Celem ataku miał być Užgorod. Dowódca brygady nie mógł połączyć się z Dowództwem Okręgu Wojskowego, a wszelkie próby skontaktowania się okazały się daremne. Zrozumiał, że w takiej sytuacji nie ma innego wyjścia, niż wykonanie obowiązującego go rozkazu, od czego mógł zależeć los wszystkich innych jednostek okręgu. Poza tym, jak wskazał jeden z jego oficerów sztabowych, liczba uchodźców wzrastała z godziny na godzinę. Wszystkie drogi w okolicy oraz ulice w Czopie były zakorkowane wszelkiego rodzaju pojazdami. Odwrócenie wojsk brygady i podjęcie marszu na wschód stawało się coraz bardziej problematyczne. Pozostawała im w zasadzie jedynie droga na północ i Ją właśnie postanowił wybrać dowódca -wierząc, że dopisze mu szczęście, a jego żołnierze staną na wysokości zadania.

Kompania kapitan Nancy Kozak nie mogła wprawdzie liczyć na wsparcie helikopterów, ale nie oznaczało to, by została pozostawiona swemu losowi. Hal Cerro zaczął

HAROLD COYLE

natychmiast zbierać siły, które miał do dyspozycji, a więc te, które nie były zaangażowane w bezpośrednią operację przeciwko bazom atomowym. Przede wszystkim skierował na południe, by wesprzeć kompanię kapitan Kozak, jednostkę helikopterów EH-60A. Była to jednostka taktyczno-przechwytyjąca, dysponowała zmodyfikowanymi helikopterami UH-60 Blackhawk, wyposażonymi w aparaturę o nazwie Quickflx, która mogła szybko zlokalizować poszczególne oddziały ukraińskiej brygady pancerniej, nadchodzącej z rejonu Uzłowoje. Ponieważ brygada ta była w ruchu i musiała posługiwać się radiem, by koordynować manewry swych oddziałów, major Lea Thompson, oficer łącznościowy brygady Dlxona, była przekonana, że uda się dostatecznie szybko zlokalizować jednostki nadciągającego przeciwnika.

Poza zaangażowaniem Quickfix Cerro zapewnił sobie współpracę systemu artyleryjskiego FSCO, którym kierował major Salvador Salatinni. Ten nigdy nie tracił okazji do podkreślenia rangi jednostki, którą dowodził. Podprowadził Cerra do mapy wiszącej w jego wozie sztabowym i objaśnił mu dokładnie, jak rozstawił i przygotował dwa bataliony artylerii, mające udzielić wsparcia 1. Brygadzie. Jeden z batalionów został rozlokowany na południe od Użgorodu. Jego zadaniem miało być wspieranie kompanii kapitan Kozak. Zainstalowano już i wycelowano w kierunku południowym systemy radarowego wykrywania AN/TPQ-36 i AN/TPQ-37.

Wprawdzie Cerro znał zasady działania obu systemów radarowych, ale Salatinni nie zmarnował okazji, by się pochwalić możliwościami swych artylerzystów. Gdy tylko przeciwnik wystrzelił choć jeden pocisk, systemy

radarowe wykryją go i zlokalizują atakującą baterię. Cerro, znając słabość majora, nie przerywał mu, gdy ten tłumaczył, że ustalenia radaru zostaną natychmiast przekazane do systemu komputerowego TACFIRE. Komputer dokona wyliczeń i automatycznie prześle rozkazy systemowi wyrzutni raketowych MLRS. Każdy pluton MLRS dysponuje trzema wyrzutniami, które zostaną wycelowane na nieprzyjaciel-

TRÓJKĄT ŚMIERCI

79

ską baterię. Oznacza to, że każdą taką baterię zaatakuje dwanaście pocisków raketowych. Ponieważ każdy pocisk rozpada się przy wybuchu na 644 „podpociski”, każda nieprzyjacielska bateria zostanie zasypana 7728 odłamkami. Tłumacząc to, Salatinni uśmiechał się z dumą.

Cerro, zmęczony brakiem snu i dziesiątkami problemów, jakie nękały go jako oficera operacyjnego, milcząco wysłuchiwał wyjaśnień i komentarzy, którymi zasypywał go Salatinni. To zdumiewające, myślał, jak ci oficerowie artylerii mogą zapamiętać tyle szczegółów i cyfr. Nie byłby w stanie powtórzyć nawet połowy tego, co teraz usłyszał. Gdy Salatinni skończył, Cerro spojrzał mu głęboko w oczy i powiedział:

- Salvador, dziękuję za ten cały wykład, ale czy mógłbyś mi krótko odpowiedzieć na jedno pytanie?
- Oczywiście. Pytaj.
- Czy artyleria jest gotowa do wykonania zadań?

Kapitan Kozak była całkowicie nieświadoma tych wszystkich

wysiłeków podejmowanych przez Cerra i cały sztab 1. Brygady. Kazała zaparkować swojego bradleya pod osłoną murowanej stodoły. Stojąc w wieży pojazdu patrzyła przed siebie. Niewiele mogła zobaczyć po przeciwnej stronie rzeki. Zimowy krajobraz spowijało blade światło księżyca, wszystko rozmywało się w półmroku i ginęło w cieniach. To, czego nie była w stanie zobaczyć, mogła jednak usłyszeć. Zza rzeki dobiegał bowiem szum silników zbliżających się powoli pojazdów, zapewne pancernych. Mroźna noc wydawała się potęgować ten odgłos, ale zlokalizowanie przeciwnika i ocena jego sił były niemożliwe. Nancy Kozak nie miała więc na razie innego wyjścia - musiała czekać. Czekala więc i nasłuchiwała. Ogarnęło ją wrażenie, że jej kompania jest osamotniona, całkowicie zapomniana i zagubiona gdzieś na peryferiach.

To uczucie podzielali także członkowie załogi jej wozu. Po nocy, która upłynęła im na intensywnych działaniach, wszyscy byli przemęczeni i nieco zdeprymowani. Zmagali się z ogarniającym ich znużeniem, niepewnością i ze strachem przed tym, co jeszcze mogło nastąpić. Wolf lustrował

80

HAROLD COYLE

okolicę przez termiczny noktowizor, wiodąc wzrokiem wzdłuż linii lasu na przeciwległym brzegu rzeki. Bez trudu odkrył koncentrację wozów przeciwnika, gdyż spaliny samochodowe podgrzewały mijane drzewa. Tę różnicę temperatur jego noktowizor wykrywał z łatwością. Wolf mógł więc w przybliżeniu określić pozycje zajęte przez wozy Ukraińców.

Rozłożył na kolanach mapę i usiłował wyznaczyć na niej miejsca zajmowane przez kolumny wroga. Co kilka minut, w miarę, jak przeciwnik zmieniał pozycje, trącał nogę stojącej nad nim kapitan Kozak, która na ten znak schodziła do bradleya, by sierżant mógł jej pokazać aktualną lokalizację przeciwnika. Po chwili znów wracała na swoje stanowisko obserwacyjne w wieżyczce.

Kierowca Tish i łącznościowiec Paden nie mieli nic do roboty. Wprawdzie Kozak mogła ich postawić na warcie przed pojazdem, ale nie chciała dzielić swojej załogi i narażać jej na ostrzał artyleryjski, który mógł nastąpić w każdej chwili. Gdyby się zaczął, Kozak natychmiast zmieniłaby miejsce postoju. Dlatego też wołała, by załoga nie opuszczała swoich stanowisk. Zajmowali pozycję w samym środku plutonu czołgów, co zapewniało im większe bezpieczeństwo. Tak więc Tish i Paden siedzieli na swoich miejscach i zmagali się ze snem.

Siedzący w czołgu porucznik Ellerbee nawet nie myślał, że mógłby się zdrzemnąć. To, co przeżył, nie pozwalało mu ani na chwilę wytchnienia. Za każdym razem gdy przypominał sobie sytuację, w jakiej się niedawno znalazł, czuł wstyd, zażenowanie i gniew. Nie dość, że zasnął podczas pierwszej bitwy, w jakiej uczestniczył, to jeszcze nie potrafił złożyć meldunku. Konsekwencje tego były natychmiastowe i przykre. Dowódca kompanii dała mu krótki, lecz niemiły wykład na temat obowiązków oficera wobec dowódcy kompanii. A teraz zaparkowała swój wóz obok, dając tym samym wyraz, że nie dowierza jego umiejętnościom.

Ale z tym Ellerbee mógłby się jeszcze jakoś pogodzić. Gnębiło go natomiast to, że on, zawodowy oficer, zblądził się w oczach kobiety. A przecież służył w armii, w której od lat oceniano żołnierzy nie na

podstawie pochodzenia, ko-

TRÓJKĄT ŚMIERCI

81

loru skóry czy płci, lecz według indywidualnych osiągnięć i postawy.

Wydawało mu się, że ciągle jeszcze słyszy słowa Nancy Kozak, pouczającej go o obowiązku składania dokładnych raportów. To, że skarciła go kobieta, było dla niego szczególnie przykre. Miał wątpliwości, czy w ogóle kobieta powinna być dowódcą. Ellerbee ciągle nie mógł się uspokoić i skoncentrować na tym, co się działo. Zamiast przygotowywać się do czekającej go walki, porucznik rozpamiętywał to, co go spotkało, mrużąc raz po raz pod nosem:

- Co ta suka sobie wyobraża, że kim niby jest?

Zbyt pochłonięty myślami i rozżalony Ellerbee nie zauważył, że na tablicy rozdzielczej zapaliło się żółte światelko.

flr tfr Ot

Zupełnie inne zmartwienia mieli tymczasem Ilwanicz i żołnierze Kompanii A 1. Batalionu Komandosów, którzy przeżyli wybuch nuklearny. Decyzja Ilwanicza, że muszą się wynieść ze zniszczonej bazy, została przyjęta bez protestów. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że w każdej chwili grozi im atak nadchodzących z odsieczą sił ukraińskich. Nie wiedząc, że baza została zniszczona, Ukraińcy mogli usiłować dotrzeć do niej. Ich celem mogło być zniszczenie sił inwazyjnych, oraz sprawdzenie, w jakim stanie jest arsenał nuklearny. Ilwanicz uprzedził więc Fitzhugha, że przygotowując się do wymarszu muszą być w każdej chwili gotowi do obrony. Fitzhugh obchodził

właśnie pozycje swoich żołnierzy, gdy Ilwanicz i Rasper opuścili tunel.

Szli szybko, prawie biegle, nie zatrzymawszy się przy czekającym na nich Fitzhughu. Rasper skręcił w lewo, Ilwanicz zaś pobiegł w prawo i stanął na zboczu góry. Rasper zrobił jeszcze kilka kroków, zsunął maskę, pochylił się i zaczął wymiotować. Fitzhugh wpadł w panikę. Czyżby zatrucie radioaktywne? Rasper, trzymając się za brzuch, spazmatycznie opróżniał zawartość żołądka.

82

HAROLD COYLE

Fitzhugh pomyślał, że rosyjski major miał rację. Rasper otrzymał śmiertelną dawkę promieniowania - umierał. Popatrzył teraz na majora. Rbsjanin również zdjął maskę. Stał oparty plecami o jakiś głaz. Miał szeroko otwarte oczy. Wpatrywał się w przestrzeń, niczego nie widząc. Nawet w białej poświacie księżyca Fitzhugh mógł zauważyć, że major jest blady i siłą woli powstrzymuje się od wymiotowania. Przełamując szok, jakim był dla niego ten widok, Fitzhugh podszedł wolno do Ilwanicza.

- *Sir*, czy mogę coś dla pana zrobić?

Ilwanicz zdawał się nie słyszeć. Wszystkie siły skupił na tym, by się opanować, powstrzymać drżenie ciała i przezwyciężyć mdłości. Nie potrafił wymazać z pamięci obrazu poskręcanych, spalonych zwłok, na jakie natrafili w tunelu. Wielki Boże, znowu to samo - myślał. - Jak możemy sami sobie gotować taki los? Jak przywódcy mogą skazywać synów swoich narodów na taką śmierć? To niepojęte. To zwykłe morderstwo, przyodziane w togę politycznych konieczności, przysłonięte patriotycznymi sloganami. To zwykłe szaleństwo. Tego, co tu się tej nocy

wydarzyło, nikt nie jest w stanie logicznie wytłumaczyć. Wielki Boże, myślał, dlaczego sami sobie gotujemy taki los?

Mimo że był doświadczonym oficerem, obytym z wojną i jej okropnościami, te przerażające obrazy, na jakie natrafili z sierżantem Rasperem w tunelu, przeszły jego wyobraźnię i przerosły jego opanowanie. Ilwanicz prowadził, Rasper szedł jego śladami. Doszli niemal do windy, prowadzącej na niższy poziom bazy. Posuwali się powoli i ostrożnie, omijając popalone, powykręcane zwłoki, rumowiska jakichś maszyn, urządzeń i gruzu. Najstraszliwszy był widok ciał. Niektóre były bez głów, bez kończyn, czarne, popalone, jeszcze dymiące i cuchnące spalonym mięsem. Ten straszliwy smród wypełniał powietrze i przenikał przez filtry masek.

Gdy doszli w pobliże wind, zatrzymali się. Gruzy, spalony i stopiony sprzęt utworzyły tu barykadę, której nie można było sforsować. Ilwanicz pomyślał, że ta zaporę najprawdopodobniej zatrzyma promieniowanie, jakie mog-

TRÓJKĄT ŚMIERCI

83

ło się wydobywać z komór niższych poziomów. W każdym razie tu skończyły się ich poszukiwania.

Już miał powiedzieć sierżantowi, że muszą zawrócić, gdy promień jego latarki padł na zwłoki częściowo zasypane gruzem. Jak wszystkie inne, tak i to ciało było nagie -odzież zdał podmuch lub spalił ogień. Nie wiadomo, czy to był Ukraińiec, czy Amerykanin, ale nie miało to najmniejszego znaczenia. Ilwanicza uderzył natomiast wyraz tej

zniekształconej, martwej twarzy, z której płomień i wybuch zdarły skórę i pozbawiły ją części mięśni. A jednak ta twarz sprawiała wrażenie wykrzywionej w jakimś trupim uśmiechu, tak straszliwym, że Ilwanicz nie był w stanie oderwać od niej wzroku. Był to widok tak przerażająco sugestywny, że wydało mu się, iż słyszy trupi chichot. Ilwaniczem zaczęły wstrząsać dreszcze. Nie mógł opanować tego odruchu. A tamten trup śmiał się z niego, z jego przerażenia i szoku. Z jego cierpienia.

Odwrócił się z największym trudem. Objął ramieniem Raspera i ruszyli w kierunku wyjścia.

Sierżant, ze wzrokiem wlepionym w radiometr, by nie patrzeć na ten straszliwy obraz, szedł bez słowa, dając się majorowi prowadzić. Żałował, że nie posłuchał Rosjanina i upierał się, by wejść do tunelu. Nawet w najkoszmarniej-szych snach nie mógłby sobie wyobrazić podobnych okropności. A potem poczuł w ustach smak żółci i musiał walczyć ze swoim żołądkiem, wstrząsanym gwałtownymi skurczami.

Ilwanicz powoli się uspokajał. Opanowawszy drżenie całego ciała, spojrzął na Fitzhuga.

- *Sir*, kompania gotowa do wymarszu - zameldował porucznik.

Ilwanicz zamrugał oczami i skinął głową.

- Dobrze - spojrzął w kierunku, gdzie stał Rasper. - Czy z sierżantem wszystko w porządku? - zapytał.

Fitzhugh odwrócił się.

- Nie mam pojęcia. Czy zostaliście napromieniowani?
 - Nie, to nie choroba popromienna. To choroba uczuć -przez chwilę

milczał patrząc na tunel. - Gdyby udało nam

84

HAROLD COYLE

się przyprowadzić tu przywódców naszych krajów oraz przywódców Ukrainy, nie mielibyśmy tej wojny -powiedział cicho.

Fitzhugh milczał i też patrzył na wejście do tunelu. Usiłował zrozumieć, co takiego tych dwóch doświadczonych, zawodowych żołnierzy, rosyjskiego majora i amerykańskiego sierżanta, zamieniło w roztrzęsione galarety. Cokolwiek by to jednak było, dobrze, że on nie musiał tego oglądać.

Ilwanicz zmusił się do skupienia uwagi na tym, co działo się teraz wokół niego.

- Mówiłeś, że kompania gotowa?
- Tak, *sir*. Czekaliśmy tylko na pana.

Ilwanicz odrywając się od głazu, o który był oparty, próbował utrzymać równowagę.

- A więc dobrze - powiedział. - Ruszamy. Za chwilę będę z wami.

Fitzhugh zsalutował, odwrócił się i ruszył w kierunku czekających żołnierzy. Ilwanicz raz jeszcze spojrzął na czarny otwór tunelu i wolnym krokiem poszedł zobaczyć, co się dzieje z Rasperem.

Pierwsza salwa pocisków kaliber 152 mm padła za plutonem porucznika Ellerbee, tuż obok stanowisk zajmowanych przez saperów porucznik Matto. Ten wystrzał dał początek działaniom, w których miały wziąć

udział setki żołnierzy ukraińskich i amerykańskich, rozproszonych w tym rejonie na przestrzeni kilkuset kilometrów kwadratowych.

Nancy bezwiednie odwróciła głowę, by sprawdzić, gdzie spadły pociski, i natychmiast skryła się w wieżycze. Wolf, nie czekając na rozkaz, polecił Tish, by zapaliła silnik. Nie trzeba było jej niczego rozkazywać, bo palec trzymała już na starterze i wcisnęła przycisk wraz z pierwszym słowem Wolfa. Paden automatycznie sprawdził, jaką długość fal ustawiona jest jego radiostacja. Wiedząc, że Tish natychmiast zapali silnik, wyłączył aparaturę.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

85

Kozak czekała przez chwilę na włączenie radiostacji, a gdy usłyszała w słuchawkach sygnał, poinformowała batalion, że znaleźli się pod ostrzałem, i określiła kierunek, z jakiego nadlatywały pociski.

Zanim Kozak zdążyła złożyć meldunek, Salatinni wiedział już o ukraińskiej salwie. Odnotowały ją radary, przekazując natychmiast informacje do systemu TACFIRE 1. Brygady, ostrzegając, że należy odpowiedzieć ogniem pocisków raketowych. Ponieważ taki rozwój wydarzeń był dokładnie zaplanowany, nie była potrzebna czyjkolwiek interwencja - ani brygady, ani dowództwa artylerii. Salatinni ze swego stanowiska powiadomił natychmiast Cerra, że przedstawienie właśnie się zaczyna, a obsługa wyrzutni raket została poinformowana, iż ma przystąpić do akcji.

Znajdujące się w odległości dziesięciu kilometrów od dowództwa 1. Brygady i dwudziestu za pozycjami zajmowanymi przez kompanię

kapitan Kozak, trzyosobowe załogi każdej z wyrzutni przystąpiły do akcji. Siedzący w kabinach pojazdów wyrzutni MLRS żołnierze obserwowali ekrany monitorów, na których wyświetlano poszczególne fazy przygotowań do oddania salwy. Komputer TACFIRE batalionu, z którym połączone były wyrzutnie MLRS, wyznaczył każdej z trzech wyrzutni cel i przekazał zebrane przez system Firefinder dane na temat lokalizacji celów. Gdy komputery wyrzutni otrzymały te informacje i przetworzyły je, system dał sygnał, że gotów jest do odpalenia pocisków raketowych.

Przy wyrzutniach nie było nikogo - mogło się wydawać, że ludzie w ogóle nie są zaangażowani w ten przygotowywany właśnie proces zabijania i niszczenia. Zostały one bowiem automatycznie wycelowane na ukraińskie baterie znajdujące się w odległości trzydziestu kilometrów. Dwanaście pocisków raketowych było gotowych do odpalenia. Gdy komputery uznały, że wyrzutnie ustawione są pod odpowiednim kątem, nacelowane na właściwe azymuty, zapaliły się zielone światełka informujące załogę o gotowości do oddania salwy. Krótki' błysk rozjaśnił czarne niebo i dwanaście pocisków raketowych, po cztery z każdej wy-

86

HAROLD COYLE

rzutni, wystartowało w kierunku wyznaczonych celów. Gdy tylko ostatni z pocisków opuścił wyrzutnię MLRS, ta powróciła do dawnej pozycji i cała jednostka natychmiast ruszyła na nowe miejsce postoju, gdzie miała być ponownie załadowana, na kolejny etap akcji.

Nikt w kompanii kapitan Kozak nie widział ani nie słyszał przelatujących nad nimi pocisków raketowych. Wszyscy byli zbyt zajęci przygotowaniem do odparcia ataku, który został zapowiedziany salwą ukraińskiej artylerii. Również Ukraińcy z oddziałów przygotowujących się do ataku niczego nie zauważyli. Byli skupieni na czekającej ich operacji. Mieli do przebycia kilkaset metrów po całkowicie odkrytej przestrzeni, jaka dzieliła las, w którym się ukrywali, od brzegu rzeki, którą musieli sforsować. Tak więc wymiana salw artyleryjskich przypominała zupełnie niezależną bitwę, była artyleryjskim pojedynkiem, który Ukraińcy, nic o tym jeszcze nie wiedząc, przegrali już po swojej pierwszej salwie.

Po osiągnięciu apogeum lotu pociski raketowe zaczęły opadać, a każdy z nich kierował się na wyznaczony mu cel. W odpowiednim momencie otwierały się, wypuszczając ze swego wnętrza po 644 małe bomby każdy. Tymczasem ukraińscy artylerzyści ładowali swoje działa i przygotowywali je do oddania drugiej salwy. Ale żadne z nich już nie wypaliło. Setki bomb uderzyły w powierzchnię nie większą niż jeden kilometr kwadratowy. Zniszczenia nie były jednak tak całkowite, jak tego oczekiwał Salatinni. Wiele dział i pojazdów ocalało. Gdyby jej dać na to czas, ukraińska artyleria mogłaby rychło stanąć do walki. Na razie jednak, jak się to określa w wojskowym żargonie, została zneutralizowana i w bitwie, jaka rozgorzała wzdłuż brzegów Latoriki, nie miała już odegrać żadnej roli.

Tego samego nie można by, oczywiście, powiedzieć o artylerii 1. Brygady. Jej działania właściwie dopiero się zaczęły. Jeszcze zanim pociski raketowe MLRS opuściły wyrzutnie, batalion dział kaliber 155 mm otrzymał rozkaz przystąpienia do walki, przekazany przez sieć

TACFIRE.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

87

Oficer łącznikowy brygady, Lea Thompson, zarejestrowała gwałtowne ożywienia na falach radiowych. Aktywność została wykryta przez system Qulckfix, zainstalowany na helikopterach EH-60A. Wszystko wskazywało, że to pracują nadajniki radiowe dowództwa ukraińskiej brygady nadchodzącej z południa. Wprawdzie przekazywanie każdej z depesz nie trwało dłużej niż kilka sekund, ale i to wystarczyło do zlokalizowania źródła nadawania. Urządzenia elektroniczne helikopterów zarejestrowały sygnały radiowe i przekazały je do komputerów pokładowych. Po kilku sekundach komputery, na podstawie otrzymywanych informacji, wyznaczyły azymuty i naniosły je na wpisane w ich pamięci mapy. W ten sposób każdy, kto miał dostęp do bazy danych tych komputerów, mógł sprawdzić na mapie miejsca, w których były ulokowane ukraińskie radiostacje obsługujące dowództwo brygady.

Lea Thompson porównała dane przekazane przez helikoptery EH-60A z danymi zebranymi przez wywiad. Wszystko idealnie się zgadzało i Lea poczuła, że ogarnia ją podniecenie. Odwróciła się do Cerra i zawołała:

- Mamy ich! Mamy ich dowództwo! Hał, powinniśmy ich natychmiast ostrzelać i zniszczyć!

Cerro popatrzył na Salatinniego, potem na Thompson i przez chwilę zastanawiał się, czy ta dwójka zdaje sobie dobrze sprawę z tego, co

chce zrobić? Czy wiedzą, że w wyniku ich działań na określoną grupę ludzi spadną setki kilogramów stali i potężnych materiałów wybuchowych? Czy potrafią sobie wyobrazić, co się stanie z tamtymi ludźmi? Jak to jest, że oficerowie sztabowi, pracujący daleko od linii frontu, znajdowali zadowolenie w zabijaniu? Te wątpliwości przez chwilę zaprzętały Jego uwagę, ale szybko powrócił do rzeczywistości. Już bez najmniejszych wahań powiedział do Salatinniego:

- Zaczynaj, Sal. Daj rozkazy.

Salatinni zwrócił się do swojego sierżanta, który siedział przy konsoli systemu TACFIRE, skinął głową i powiedział tylko:

- Zaczynamy.

88

HAROLD COYLE

W centrum dowodzenia 1. Batalionu Artylerii Polowej na ekranach TACFIRE pojawiły się dane operacyjne: lokalizacja celu, jego opis, informacja dotycząca typu amunicji, jaką należało się posłużyć, i wskazówka, która z trzech baterii batalionu powinna wykonać operację. Oficer pełniący służbę przeczytał rozkazy i przystąpił do ich wykonania. Nacisnął odpowiedni przycisk i rozkazy zostały przesłane do baterii, która jako pierwsza miała rozpocząć ogień.

Polecenie oddania salwy otrzymała Bateria B, usytuowana w odległości siedmiu kilometrów od dowództwa batalionu. Te same dane, które widniały na monitorach dowództwa batalionu, pokazały się teraz na monitorach Baterii B. Jej oficer dyżurny nie wprowadził żadnych zmian, co oznaczało, że cel zostanie zaatakowany dwoma salwami

wielozadaniowej, ulepszonej amunicji konwencjonalnej. Rozkazy zostały więc przyjęte i zaakceptowane po prostu przez naciśnięcie właściwego przycisku. Komputer baterii przekazał odpowiednie polecenia do central poszczególnych dział. W tym pakiecie znajdowały się wyliczone i przeanalizowane informacje o celu, zawierające odpowiednie azymuty i polecenia dotyczące ustawienia luf.

Po otrzymaniu danych i wskazówek od komputera baterii, komputery poszczególnych dział zaczęły wydawać stosowne polecenia. Dowódca każdego z dział przeczytał na swoim monitorze informacje na temat potrzebnej mu amunicji. Odpowiedzialni za tę operację żołnierze dostarczyli ją, inni załadowali w działa, a jeszcze Inni sprawdzili gotowość i stan dział. A były to haubice, model M-109A5. Gdy załadowano je, działowy nacisnął odpowiedni przycisk, by komputery przejęły kontrolę nad procesem celowania. Osiem dział Baterii B zostało nakierowanych na cel. System komputerowy zgłosił gotowość do ataku. Wtedy dyżurny oficer dał rozkaz oddania salwy.

W Kompanii C dowodzonej przez kapitan Nancy Kozak usłyszano huk padających pocisków, ale nikt się nie zastanawiał, kto strzelał i w co trafił. Nawet Kozak nie miała pojęcia, że wsparcie artyleryjskie od samego początku

TRÓJKĄT ŚMIERCI

89

przechyla szalę zwycięstwa na jej stronę. Już po pierwszej salwie pocisków raketowych ukraińska artyleria utraciła zdolność ostrzeliwania pozycji Amerykanów broniących południowej flanki

całej operacji. Salwa artyleryjska wyłączyła z akcji dowództwo i sztab ukraińskiego natarcia. Wprawdzie ostrzał raketowy i artyleryjski nie dosięgnął jednostek przygotowujących się do przeprowadzenia ataku, to jednak musiały one działać bez wsparcia ze strony artylerii i bez centralnego dowództwa, które koordynowałoby ruchy poszczególnych jednostek i kontrolowało przebieg bitwy.

Dla Nancy Kozak najważniejsza była informacja, że na jej lewej flance pierwszy pluton znalazł się pod ostrzałem czołgów przeciwnika. O ruchach wroga raportował również drugi pluton, stojący na prawej flance. Słyszano tam silniki zbliżających się czołgów. Kozak nie wiedziała, czy Ukraińcy nie chcą czasem Jej sprowokować, by swoje siły przesunęła na jedną stronę, podczas gdy oni uderzyliby z drugiej. A może mieli zamiar przypuścić szturm na obie flanki?

Z miejsca, w którym się znajdowała, widziała błyski wystrzałów. To na lewej flance przeciwnik ostrzeliwał pierwszy pluton. Z meldunku jego dowódcy, porucznika Syl-vestra Aherna, wynikało, że ogień z dział ukraińskich czołgów był niecelny i mało skuteczny. Wyglądało na to, że strzelali na ślepo. Na prawej flance, tam, gdzie były skoncentrowane siły przeciwnika, panowała tymczasem cisza. Dowódca drugiego plutonu porucznik Marc Gross meldował, że jego piechota, rozstawiona wzdłuż brzegu rzeki, słyszy pojazdy przeciwnika, ale nie widzi ich i nie nawiązała z nimi kontaktu. Kozak nie chciała jeszcze niczego przesądzać, ale w głębi duszy była przekonana, że ogień po lewej stronie był jedynie demonstracją siły, podczas gdy główny-atak spadnie na drugi pluton. Włączyła radiostację i poleciła porucznikowi Ellerbee, by przygotował swój

pluton do przesunięcia się na prawą flankę, gdzie należało wesprzeć drugi pluton i przejść do kontrataku.

Ellerbee potwierdził rozkaz. Kozak nie zastanawiała się, dlaczego jego głos brzmiał tak słabo, chociaż pojazd poru-

90

HAROLD COYLE

cznika parkował zaledwie o trzydzieści metrów od jej brad-leya. Rzuciła swojej załodze:

- No, dzieci, zaczyna się. Jedziemy do drugiego plutonu.

Wolf czekał na taki rozkaz. Usłyszawszy go, niczego nie komentował. Miał poczucie wagi chwili. Wszyscy trwali w napięciu, lada moment spodziewając się rozpoczęcia bitwy. Kierując się wskazówkami Nancy Kozak, Tish wyprowadziła ich pojazd pomiędzy drzew i ruszyła w kierunku pozycji drugiego plutonu rozlokowanego wzdłuż brzegu rzeki.

Rozdział V

7 stycznia

Gdy pierwsza fala ukraińskich wozów pancernych BMP wypadła z lasu i ruszyła w kierunku rzeki, porucznik Marc Gross i jego drugi pluton byli gotowi. Wozy ukraińskie, w mdłym świetle księżyca wyglądały jak krokodyle pełznące do wody. Porucznik postanowił, że rozkaz do rozpoczęcia ognia wyda w momencie, gdy atakujące pojazdy wjadą do rzeki.

Informacja o rozpoczynającym się ataku dopadła kapitan Kozak w połowie drogi między pozycjami, które zajmowali porucznicy Ellerbee i Gross. Stojąc w otwartym włazie i starając się zachować równowagę, bo pojazd kołysał się i podskakiwał na wybojach, Kozak zaczęła wydawać

swej kompanii polecenia. Potwierdziła otrzymanie meldunku Grossa, a następnie kazała swojemu adiutantowi, porucznikowi Patrikowi Goldakowi, by przekazał raport do dowództwa batalionu. Gdy Goldak potwierdził przyjęcie rozkazu, wywołała oficera artylerii, porucznika Eugene'a Fonga. Poleciała mu, by natychmiast wysłał prośbę o pokrycie ogniem artyleryjskim terenu rozciągającego się przed pozycjami drugiego plutonu oraz obszaru na lewo od tego miejsca, skąd można się było spodziewać wsparcia atakujących przez czołgi. Gdy skończyła, wywołała z kolei porucznika Ellerbee. Poleciała mu, by przesunął swój pluton w prawo, w rejon walki drugiego plutonu. W przeciwieństwie do poprzednich rozmów, tym razem nie uzyskała potwierdzenia przyjęcia rozkazu. Powtórzyła więc polecę-

92

HAROLD COYLE

nie i otrzymała wreszcie odpowiedź, ale nie od porucznika, lecz od starszego sierżanta Classa Rourka. Nie wiedziała, dlaczego Ellerbee milczał, ale nie miała czasu się nad tym zastanawiać. W końcu wywołała porucznika Aherna, by sprawdził, czy pierwszy pluton nie został zaatakowany. Ahern potwierdził jej przypuszczenia. Raportował, że ogień z dział czołgów trwa, ale nie widać atakujących.

Skończywszy wydawać polecenia, sprawdziła, czy Tlsh prowadzi ich wóz we właściwym kierunku, po czym raz jeszcze wywołała Grossa i poprosiła o meldunek na temat bieżącej sytuacji. Odpowiedź była natychmiastowa i krótka:

- Charlie Sześć, tu Dwa Sześć. BMP wchodzą do rzeki. Rozpoczynamy

ogień. Odbiór.

Jakby na potwierdzenie tego, Kozak usłyszała serię wybuchów pocisków przeciwczołgowych i przeciwpancernych pocisków raketowych TOW.

Wprawdzie atakujący spodziewali się akcji przeciwnika, ale jej natężenie zaskoczyło, a nawet zaszokowało większość dowódców ukraińskich BMP. Niektóre z wozów pancernych skręciły, inne się zatrzymały. Ich dowódcy zdołali jednak wziąć się w garść i polecieli kierowcom kontynuowanie ataku w kierunku rzeki.

Siła ognia Amerykanów zaskoczyła również ukraińskiego dowódcę batalionu atakujących wozów pancernych BMP. Dowódca brygady zapewniał go, że na północnym brzegu rzeki natrafią tylko na jeden pluton pancerny wyposażony w czołgi. Natężenie ognia z działek przeciwpancernych i sterowanych pocisków przeciwczołgowych świadczyło jednak o czymś innym. Dowódca chwycił mikrofon i usiłował powiadomić o sytuacji dowódcę brygady. Chodziło mu przede wszystkim o natychmiastowe otrzymanie wsparcia artyleryjskiego. Wołał, ale nie było żadnej odpowiedzi. Nie zgłaszał się ani dowódca brygady, ani jego oficer operacyjny. Zrezygnował więc i usiłował się połączyć bezpośrednio z artylerią. I tym razem odpowiedzią było tylko milczenie. Poleciał więc swojemu oficerowi, by kolejno wywoływał baterie i domagał się natychmiastowego pokry-

TRÓJKĄT ŚMIERCI

93

cia ogniem przedpola ataku. Oficer odparł, że już od dłuższego czasu bezskutecznie usiłuje wywołać batalion artyleryjski lub poszczególne

baterie.

Sfrustrowany dowódca batalionu zaklął i skupił uwagę na obserwacji uczestniczących w ataku dwóch kompanii. Natychmiast zobaczył wiele pojazdów pancernych, płonących na równinie między lasem a północnym brzegiem rzeki. Niektóre z nich dotarły do rzeki i grzęzły w jej nurcie. Inne, najwyraźniej pozbawione kontroli, spływały z prądem. Większość pojazdów jednak dotarła do drugiego brzegu i zaczynała wyjeżdżać z wody. Nie mając już nic więcej do roboty na obecnej pozycji dowódca polecił kierowcy, by dołączył do drugiej fali ataku, jaką właśnie rozpoczynała kompania wozów pancernych, która wyszła z kryjówki w lesie i ruszyła w stronę rzeki. Przy odrobinie szczęścia i stanowczości działania atak mógł się zakończyć powodzeniem.

Wozy bojowe, które przedarły się na północny brzeg rzeki, podzieliły się natychmiast na dwie grupy: jedna ruszyła prosto przed siebie, uderzając na las, przez który przechodziła linia obrony Grossa, druga zaś, składająca się z ośmiu pojazdów, skręciła w lewo i uderzyła w kierunku skraju lasu i wzgórz, gdzie pod dowództwem sierżanta ulokował się pluton bradleyów. Gross nie był w stanie kontrolować całego frontu. Skupił się więc na walce z grupą atakującą las, pozostawiając sierżanta samego.

Rozlokowani wzdłuż linii lasu żołnierze Grossa unieszkodliwili dwa pojazdy BMP jeszcze w wodzie, a trzy kolejne w momencie, gdy wjeżdżały na brzeg. Ciągłe jednak pozostawało siedem ukraińskich wozów pancernych, które przypuściły frontalny atak na linie amerykańskiej obrony. Wdarły się one w głąb linii drugiego plutonu. Każdy z ukraińskich pojazdów prowadził dziki ostrzał z działek kaliber

30 mm i z umieszczonych na wieżyczkach karabinów maszynowych 7,62 mm. Atak dawał się już we znaki żołnierzom drugiego plutonu.

Wprawdzie strzelanina była chaotyczna i mało celna, ale niektóre z pojazdów zdołały się przedrzeć przez linię obro-

94

HAROLD COYLE

ny. W ciągu kilkudziesięciu przerażających sekund amerykańscy żołnierze zostali odcięci od swojego dowódcy, a Gross stracił możliwość kierowania walką. Już samo nieoczekiwane pojawienie się stalowych, zionących ogniem pojazdów w środku linii obrony było przerażające. Przez tę niespełną minutę żołnierze musieli działać na własną rękę i zdecydować się albo na walkę z pojazdami pancernymi, albo na ucieczkę.

Z lewej strony dobiegał Grossa przeszywający krzyk, z prawej ktoś wzywał sanitariusza. Nawoływania dowódców drużyn przerywały salwy broni maszynowej, ryk silników i trzask drzew, między którymi przeciskały się pojazdy pancerne. Gross wiedział, że jego pluton ponosi straty, ale w tej chwili nie mógł zrobić nic, by powstrzymać wroga i przyjść z pomocą tym, którzy znaleźli się w tarapatkach. Zrozumiał nagle, przed jakimi problemami staje dowódca podczas walki. Przez tych kilkadziesiąt krytycznych sekund musiał po prostu wierzyć, że dowódcy drużyn, a także każdy z jego żołnierzy będą wypełniać swoje obowiązki i walczyć - bez względu na grożące niebezpieczeństwo i cierpienia kolegów. Pojazdy wroga znalazły się między ich stanowiskami, a Gross i jego dowódcy kompanii po prostu nie mogli dowodzić swoimi ludźmi. Zdawał sobie sprawę, że jeśli nie zapanuje nad własnym strachem, jeśli inni się nie opanują, jeśli morale żołnierzy zacznie się załamywać, to cały

pluton wkrótce przestanie istnieć. Jeśli jednak wytrzymają natarcie i nie wpadną w panikę, to wozy Ukraińców przejdą przez ich linię, a wtedy będą się mogli przeorganizować i z powodzeniem walczyć dalej. Uskoczył w bok przed nacierającym prosto na niego wozem pancernym. Modlił się w duchu, by przeżyć i ocalić swój pluton.

Problem, przed jakim w tym samym czasie stanął Eller-bee, był nie mniej frustrujący, choć nie tak śmiertelnie niebezpieczny. Gdy usłyszał rozkaz Nancy Kozak, by przesunął swój pluton w prawo, wrzasnął do kierowcy, aby zapuścił silnik. Na chwilę wyłączył radiostację i czekał na szum startera. Ale gdy kierowca Wolf nacisnął przycisk

TRÓJKĄT ŚMIERCI

95

startera, usłyszał tylko nikły, piskliwy zgrzyt, a światła wewnętrzne w czołgu przygasły.

- Jezu, poruczniku, akumulatory nam wysiadły!

EUerbee zdrętwiał. Nie włączając radia, pochylił się i krzyknął w kierunku kierowcy:

- Co znaczy: wysiadły?!

- Wysiadły. Wyczerpały się. Nie mają mocy, by zapuścić silnik. Potrzebujemy pomocy!

EUerbee znieruchomiał. Siedzący przy dziale Tinker Shildon odwrócił się i ściągając hełm zaproponował:

- W czołgu Rourke jest kabel. Skoczę i przyniosę końcówkę - Shildon mówił spokojnie, a poruszał się szybko i zwinnie. Wysunął się ze swego miejsca, przecisnął obok porucznika i wystawił głowę

z wjazdu wieżyczki. Nagle krzyknął:

- Dokąd, do cholery, oni jadą?! - w jego głosie wyczuwało się zdumienie, nawet przestrasz.

EUberbee miał wrażenie, że coś wali mu się na głowę. Zerwał się i wychylił z wjazdu. Shildon wrzasnął:

- Dokąd?! Dokąd jedziecie?!

EUberbee zdążył jeszcze zobaczyć, że czołg Rourke i jego skrzydłowy znikają w lesie. Automatycznie włączył nadajnik, ale aparat milczał. Przypomniał sobie, że przed uruchomieniem silnika wyłączył radiostację i w tym zamieszaniu zapomniał ją włączyć. Już chciał wskoczyć do środka, by to zrobić, gdy kątem oka zauważył, że jego skrzydłowy, A32, ruszył, minął ich i sunął za czołgiem sierżanta. EUberbee wysunął się i wrzasnął do Shildona:

- Zatrzymaj go, Tinker 1 Zatrzymaj!

Shildon zeskoczył na ziemię i krzyżąc, rzucił się biegiem za odjeżdżającym kolegą. Ale nie na wiele to się zdało. A32 już po chwili zniknął w ciemnościach. Shildon zatrzymał się i patrzył to na las, to na stojącego we wjeździe porucznika EUberbee. Z oddali, od strony rzeki, dobiegały ich odgłosy bitwy.

EUberbee przypomniał sobie, że w odległości kilkuset metrów od nich znajdowali się saperzy. Krzyknął więc do Shildona:

96

HAROLD COYLE

- Tlnker, idź i poszukaj saperów! - Może znajdziesz kogoś, kto pomoże nam uruchomić to pudło?!

Shildon zastanawiał się, czy wrócić do czołgu po hełm i kamizelkę, ale kolejna seria wystrzałów od strony, gdzie walczył drugi pluton, uzmysłowiła mu, że nie ma na to czasu. Ruszył więc biegiem. Ellerbee obserwował go z wieżyczki, ale sylwetka biegnącego zaraz rozplynęła się w ciemności. Pomyślał, że prześladowuje go niesamowity pech. Właśnie teraz, kiedy zaczynała się bitwa, jego czołg okazał się bezużyteczny. Głośno przeklinał los, który sprawił, że musiał się właśnie w tym miejscu znaleźć, i to na domiar wszystkiego jako podkomendny kapitan Kozak.

Ani nikt z drugiego plutonu, ani kapitan Kozak nie mieli pojęcia, że Ellerbee nie bierze udziału w walce. Nawet Rourk, który potwierdził otrzymanie rozkazu Kozak i przekazał go załogom pozostałych czołgów plutonu, nie wiedział, co się dzieje z dowódcą plutonu. Przypuszczał jedynie, że piechota znalazła się w opałach. Sądząc, że dowódca jest zajęty przygotowaniem swego czołgu do bitwy i zaraz podąży ich śladem, Rourk ruszył więc na rozkaz kapitan Kozak, pociągając za sobą pozostałe czołgi. Czas na wyjaśnienia przyjdzie potem, po zwycięstwie - pomyślał. Na razie ich towarzysze znajdują się w opałach i trzeba gnać im na pomoc. Nic innego teraz nie obchodziło Rourka.

Ukraiński dowódca, który sforsował rzekę, a następnie linie obrony Grossa, miał trzy możliwości do wyboru, ale brakowało mu czasu, by je szczegółowo rozważyć. Mógł więc zatrzymać się w lesie, wysadzić z pojazdów pancernych piechotę i zaatakować Amerykanów. Nie wiedział jednak, iloma pojazdami dysponuje, jakie są siły przeciwnika i gdzie właściwie się znajdują - tak więc tego manewru nie mógł wykonać. Druga możliwość polegała na minięciu lasu i zatrzymaniu się. Jego oddziały oddaliłyby się tym samym od wroga i znalazłyby się na otwartej

przestrzeni, gdzie można by wysadzić piechotę, przeorganizować oddziały i uderzyć od tyłu na pozycje przeciwnika. Ale to też nie było bezpieczne, tym bardziej że gdzieś w pobliżu

znajdowały się czołgi wroga, które mogły ich zaatakować, gdyby wyjechali spoza osłaniających ich drzew. Trzecia możliwość polegała na oderwaniu się od Amerykanów i oddaleniu od rzeki. Mógłby wtedy zatoczyć półkole, podejść do mostów i zająć je, gdyby ten manewr się powiódł. Wtedy mostami mogłyby przejść dwa bataliony czołgów ich brygady, natomiast czołgi przeciwnika nie stanowiłyby już dla nich zagrożenia. To ostatnie rozwiązanie uznał za najodpowiedniejsze dla swojej kompanii i dla całej brygady.

Decyzję tę ukraiński dowódca podjął pod wpływem sytuacji, w jakiej się znalazł. Zamknięty w ciasnym wnętrzu swego BMP, widział bardzo niewiele z tego, co działo się na zewnątrz - tylko ciemny las, rozświetlany raz po raz wybuchami i salwami. Warkot silnika mieszał się z gđakaniem broni maszynowej, z salwami działek 30 mm, kanonadą prowadzoną przez inne BMP i przez obrońców. Huk wzmagął łomot pocisków i rykoszetów, odbijających się od pancerza wozu. Atmosferę grozy powiększał stres wynikający z świadomości, że jako dowódca utracił chwilowo możliwość kontroli nad własnymi siłami. Toteż zdumiało go, że jest jeszcze w stanie podejmować jakiegokolwiek decyzje. Tak więc bez wahania polecił wszystkim wozom pancernym, by przejechały przez las i wydostały się na otwartą przestrzeń po drugiej stronie gęstwiny. Z przeciwnikiem, którego pozostawiają za sobą, będzie się mogła rozprawić kolejna grupa ata-

kujących. Chciał koniecznie znaleźć się możliwie szybko na otwartej przestrzeni, gdzie mógłby zebrać i przeorganizować swoją kompanię.

Nancy Kozak, jadąc skrajem lasu w kierunku stanowisk Grossa, już chciała wydać Tish polecenie, by skręciła między drzewa, gdy nagle Wolf krzyknął, że widzi przed sobą dwa BMP. Kozak wsunęła się do środka i spojrzała w noktowizor. Rzeczywiście, w odległości mniej więcej czterystu metrów zobaczyła wyraźne sylwetki dwóch BMP, które wyjechawszy z lasu, zmierzały w stronę ciągnącej się za lasem równiny.

98

HAROLD COYLE

- Wspaniale, mamy ich! - i zaczęła wydawać swojej załodze polecenia: - Kierowca, stop! Działonowy, BMP po prawej! Pierwszy...

Zanim jednak wydała rozkaz strzelania, coś się wyłoniło z lasu i zasłoniło obraz.

- Cóż to, do cholery?! - warknął Wolf.

Kozak wysunęła głowę z włazu i zobaczyła wyjeżdżające z lasu trzy pojazdy pancerne przeciwnika. Najbliższy z nich, ten, który zasłonił im cel, był zaledwie w odległości dziesięciu metrów. Nie włączając nawet interkomu, Kozak krzyknęła do wnętrza wozu:

- BMP przed nami! Ognia!

Wolf wcisnął przycisk i posłał w bok BMP ukraińskiego dowódcy salwę 25-milimetrowych pocisków przeciwpancernych. Z takiej odległość nie mógł spudłować.

Kozak, która wciąż wyglądała sponad włazu, została oślepiona wybuchem, który zmieszał się z eksplozją amunicji wewnątrz BMP i

przeraźliwym krzykiem rannych. Oszołomiona kapitan szybko jednak doszła do siebie i dała rozkaz:

- Wstrzymać ogień! Wstrzymać ogień!

Wiedziała, że muszą jak najszybciej odsunąć się od-zniszczonego wozu pancernego, by mieć miejsce na wykonania manewru i zaatakowanie pozostałych BMP, które stopniowo oddalały się od linii lasu.

- Kierowca, cofnij się! Cofnij!

Wykonując polecenie, Tish wrzuciła wsteczny bieg. Nie cofnęli się więcej niż o pięć metrów, gdy od skraju lasu poleciała w ich kierunku salwa pocisków świetlnych. Zaskoczona kapitan Kozak zobaczyła, że zza drzew wyłania się kolejny BMP. Był tuż przed nimi, a jego lufy wymierzone były prosto w nich.

- Z lewej! Ognia! Szybko!

Tish cofała bradleya, a Wolf przesunął lufę działka i wystrzelił niemal na oślep. Dopiero w chwilę potem dostrzegł wieżyczkę pojazdu przeciwnika i posłał prosto w nią kilka pocisków. Tak jak i poprzednio, nie mógł chybić. I rzeczywiście: wieżyczka BMP rozpadła się. Wolf opuścił nieco lufę

TRÓJKĄT ŚMIERCI

99

i kolejny pocisk posłał w korpus tamtego pojazdu, w miejsce, gdzie wewnątrz siedziała piechota.

Tymczasem Kozak poleciła Tish położyć zasłonę dymną, aby choć na chwilę ukryć ich przed pozostałymi wozami pancernymi Ukraińców.

Gdy czołg Rourka wyjechał z lasu, działonowy od razu zobaczył bradleya kapitan Kozak, a tuż przed nim ukraińskie BMP. Krzyknął do

sierżanta, a Rourk, nawet bez noktowizora, zobaczył bradleya i atakujące go BMP. Nie tracąc czasu, ryknął w kierunku obsługującego działą:

- Bierz na cel pierwsze BMP! To od prawej I

Działonowy, nawykły do szybkiego wykonywania poleceń sierżanta, uprzedził załogę krótkim okrzykiem:

- Strzelał! - uruchomił laserowy celownik, skierował go w sam środek ukraińskiego BMP i nacisnął przycisk. Wystrzelony z odległości dwustu metrów pocisk przeciwpancerny o dużej mocy przebijania uderzył w bok BMP i wyszedł z drugiej strony. Widząc to Rourk kazał przejść na pociski typu HEAT, przeciwczołgowe pociski wybuchowe, po czym kazał wziąć na cel drugi z pojazdów wroga.

Nie zdążyli jednak. Ich skrzydłowy z A33 wycelował pierwszy i posłał przebijający pocisk przeciwpancerny. Wprawdzie można to było uznać za marnotrawstwo dobrej amunicji, ale działanie okazało się o wiele szybsze, niż gdyby chcieli zmieniać pocisk tkwiący w komorze na inny. Zresztą podczas bitwy nie było szczególnie ważne, jakim rodzajem amunicji unieszkodliwia się przeciwnika. Liczył się jedynie efekt.

Obejrząwszy się, by sprawdzić, kto wyratował ich z opresji, Kozak zobaczyła dwa czołgi M-1A1. Kazała natychmiast przerwać stawianie zasłony dymnej. Poleciała też, by jednak w dalszym ciągu cofać bradleya, aż znaleźli się pomiędzy czołgiem Rourka a trzecim z czołgów, który wyjechał właśnie z lasu. Wolf tymczasem szukał nowych celów, czołgi Rourka zaś zniszczyły pozostałe BMP, którym

udało się przedrzeć przez pozycje Grossa.

Saperzy, którzy ustawili na szosie przeciwczołgowe zapory, skryli się teraz w pobliskim domku farmerskim i wy-

100

HAROLD COYLE

glądając przez okno, nad słuchiwali odgłosów bitwy, dolatujących z nad rzeki. Początkowo zostali ostrzelani ogniem artyleryjskim, który, choć niecelny, zmusił ich do szukania schronienia. Potem wybuchła bitwa, wydawało się, zbliża się w ich kierunku. Nad słuchiwali z niepokojem, pozostawiono ich bowiem samych sobie, nie informując o niczym. Teraz dowódca i jego siedmiu żołnierzy z niepokojem oczekiwali dalszego rozwoju wydarzeń. Z pobliskiego pola dobiegał rozpaczliwy ryk rannej od ognia artyleryjskiego krowy, co przypominało saperom, że to nie ćwiczenia, a przeciwnik rzeczywiście czycha na ich życie. W kącie pomieszczenia przycupnęli właściciel domu z żoną i ich dwie córki. Wszyscy z przerażeniem w oczach przyglądali się saperom. Trudno byłoby jednak powiedzieć, kto był bardziej przestraszony, saperzy czy ukraińscy wieśniacy.

- Sierzancie, *coś* się dzieje *na* szosie! - ostrzegł *żołnierz* siedzący przy karabinie maszynowym M-60. Pozostali wycelowali swoją broń w tamtym kierunku, a dowódca zastanawiał się, czy powinni jeszcze czekać, czy też od razu dać ognia.

Shildon nie miał pojęcia, gdzie ustawiono zapory przeciwczołgowe. Wiedział tylko, że musi się śpieszyć. Dysząc zmuszał się do biegu. Był tak zmęczony i tak zdenerwowany, że nie usłyszał strzału ostrzegawczego,

oddanego z zabudowań, od których dzieliło go nie więcej niż pięćdziesiąt metrów.

Saperzy stwierdzili, że ów człowiek biegnący szosą po strzale ostrzegawczym nie zatrzymał się, lecz jeszcze bardziej przyspieszył kroku. Dowódca drużyny saperskiej uznał, że nie ma innego wyjścia: sam wycelował i wydał rozkaz strzelania.

W bitwie nastąpiła chwila przerwy. Kozak mogła wreszcie odetchnąć. W ciągu kilku sekund ochłonęła i próbowała teraz ocenić sytuację. Po prawej stronie miała czołg Rourke, za którym stał jeszcze jeden M-1A1. O kilka metrów od nich, po prawej, był trzeci czołg. Nie dotarło na razie do niej, że nie widzi czwartego. Zrozumiała natomiast, że czołgi pojawiły się w samą porę, właśnie w momencie,

w którym podjęła walkę z przeważającymi siłami wroga. Gdyby tamci nie pojawili się, szanse przeżycia jej załogi nie byłyby optymistyczne. Odsunęła jednak tę myśl od siebie i postanowiła zająć się swoją załogą, którała północna w milczeniu zdawała sobie sprawę, że otarła się o śmierć. Jedynie Paden, który siedział w tylnym pomieszczeniu, nie wiedział dokładnie, co się wydarzyło. Milczenie pozostałych uświadomiło mu jednak, że musiało już być z nimi bardzo niedobrze.

Stwierdziwszy, że w jej wozie wszystko w porządku, uspokojona Kozak podjęła próbę skontaktowania się z Grossem, chciała się dowiedzieć, co się stało z drugim plutonem. Od rzeki oddzielał ją las, więc nie mogła zobaczyć, co się wydarzyło na brzegu. Słyszała jednak strzały z broni ręcznej i huk dział bradleyów, dobiegający z prawej strony. Gdzieś w

oddali strzelała artyleria. Nie miała pojęcia, czyje to były oddziały. Zaczęła więc wywoływać przez radio.

Pierwszy zgłosił się sierżant z plutonu Grossa, zajmujący stanowisko na wzgórzu nad rzeką, gdzie ustawili grupę bradleyów. Jego raport był krótki:

- Charlie Sześć, atakuje nas cała fala BMP. Zniszczyliśmy z dziesięć, ale od strony rzeki nadchodzą kolejne. Ich ogień jest coraz gęstszy i celniejszy. Charlie Dwa Dwa trafiony. Muszę się wycofać. Odbiór - mówił szybko sierżant.

Kozak zrozumiała, że nadchodzi druga faza ataku. Rzuciła okiem na stojące obok niej czołgi, włączyła nadawanie i powiedziała:

- Charlie Dwa Cztery, trwaj na pozycji. Nadchodzę z czołgami. Uderzymy na flankę przeciwnika. Rozumiesz?
- Tak - nadleciało na falach radiowych. Zapanowała cisza.

To wystarczyło. Kozak połączyła się teraz ze stojącym obok Rourkiem:

- Alpha Trzy Cztery, tu Sześć. Czy usłyszałeś mój rozkaz dla Charlie Dwa Cztery?
- Odebrałem, Sześć. Już ruszamy.

102

HAROLD COYLE

Gdy czołgi stojące z lewej ruszyły z miejsca, Kozak poleciała Tish:

- OK, próbujemy jeszcze raz. Ruszaj i trzymaj się tuż za czołgami po lewej.

Kiedy czołgi kapitan Kozak zaczynały się zbliżać do jego pozycji, Marc

Gross był akurat zajęty zbieraniem swoich drużyn. Poinstruowani przez niego dowódcy zaczęli ściągać zdezorientowanych atakiem pierwszej fali BMP żołnierzy, którzy rozbiegli się po lesie. Sanitariusze i lżej ranni pomagali ciężej rannym, a pozostali z drugiego plutonu ponownie przystąpili do organizowania linii obrony. Ich pracę skomplikowało pojawienie się jednego ukraińskiego BMP, który nie ruszył w ślad za pozostałymi wozami pancernymi, nie wyjechał z lasu, lecz zawrócił. Gross wysłał drugą drużynę, by się z nim rozprawiła, sam zaś zajął się dwoma pozostałymi. Obie drużyny poniosły pewne straty, ale teraz przygotowywały się do potyczki z nową falą pojazdów przeciwnika, która najwyraźniej chciała wejść w przecinkę wychodzącą na drugą stronę lasu.

Sunące po otwartej przestrzeni BMP były doskonałym celem dla zajmujących pozycje w odległości około pięćdziesięciu metrów od nich działek przeciwpancernych drugiego plutonu. Obsługa, wściekła z powodu poniesionych strat, miała teraz doskonałą okazję do wyładowania gniewu i frustracji. Doskonale to rozumiejąc, Gross pozwolił artylerzystom postrzelać do woli, sierżantów zaś wezwał na odprawę.

Pozostawiony przez kapitan Kozak na wzgórzu nad rzeką, porucznik Fong patrzył na mapę i analizował sytuację. Doszedł do wniosku, że do podjęcia przygotowywanego kontrataku potrzebne będzie artyleryjskie wsparcie, choć kapitan o tym nie wspominała. Poleciał więc swojemu sierżantowi, by ten skontaktował się z batalionem artylerii i poprosił o pokrycie ogniem wyznaczonych celów, w szczególności leśnej przecinki. Sierżant ustalił współrzędne celu i zapytał, czy artyleria ma przestać ostrzeliwać czołgi nieprzyjaciela, wspierające przeprawę przez rzekę. Fong przyjrzał się mapie i odparł:

- Zapytaj operacyjnego batalionu, czy mogą jednocześnie ostrzeliwać czołgi po drugiej stronie rzeki i przecinkę. Jeśli tak, to dobrze. Jeśli nie, to niech skierują cały ogień na przecinkę.

Sierżant dał znak, że rozumie i zaczął wystukiwać pytanie na klawiaturze komputera połączonego z systemem TACFIRE, na jakim pracowała artyleria. W tym czasie Fong połączył się z Kozak i powiadomił ją, że wkrótce nadejdzie wsparcie artyleryjskie, a celem ataku artylerii będzie przecinka, w którą właśnie wjeżdżają pojazdy przeciwnika.

Jadący w samym środku drugiej fali BMP dowódca ukraińskiego batalionu zrozumiał, że znaleźli się w kłopotach. Wysunąwszy głowę z wjazdu patrzył, jak działka przeciwpancerne wałą w boki jego pojazdów, wbrew wcześniejszym przewidywaniom, że obrona w lesie została rozbita. Już miał zamiar skierować jeden z plutonów prosto na pozycje działek na skraju lasu, gdy dowódca kompanii zameldował mu, że na ich tyłach zza drzew wyjeżdżają czołgi przeciwnika. Dowódca spojrzał w prawo i zobaczył, że dwa z jego pojazdów stanęły w ogniu. Zostały trafione pociskami z czołgów, które rzeczywiście wyjechały z lasu. W chwilę potem zaczął płonąć następny pojazd. Dowódca, przekonany, że nie ma innego wyjścia, wydał rozkaz wszystkim BMP, by skręciły z przecinki w lewo i wjechały w ciągnący się po drugiej stronie las.

Było już Jednak za późno, by móc się ratować. Wóz dowódcy batalionu został zniszczony, co oznaczało, że nie ma już ośrodka dowodzenia i koordynacji. Pojazdy zaczęły wpadać na siebie. Po chwili

nadjechała ze swoimi czołgami kapitan Kozak i rozpoczęła ogień. Wzmógł się również ostrzał piechoty Grossa, ustawionej wzdłuż linii lasu, i jedynie łut szczęścia mógł ocalić nie zniszczone jeszcze BMP.

Chroniona przez drzewa przed ogniem ukraińskich czołgów, pozostających po drugiej stronie rzeki, Kozak przystąpiła do metodycznego niszczenia pozostałych pojazdów ukraińskiej piechoty zmotoryzowanej.

104

HAROLD COYLE

Całkowicie odmiennie przebiegał ostatni akt dramatu Kompanii A Komandosów. Przez nikogo nie niepokojona, kompania oddalała się szybkim marszem od zniszczonego tunelu. Przewidywania Ilwanicza, że Ukraińcy skoncentrują uwagę na zniszczonej bazie, okazały się słuszne. Sam major, otrząsnąwszy się z przygnębienia, dołączył do kolumny. Z każdą minutą powracał do równowagi i odzyskiwał zdolność koncentracji. Zimne powietrze poranka, szybki marsz w kolumnie żołnierzy i to, że oddalali się od zionącego śmiercią tunelu przywracały mu siły psychiczne. Po pokonaniu około kilometra poczuł się już zupełnie dobrze i odzyskał zdolność kontrolowania zarówno siebie, swoich działań, jak i sytuacji. Ale to wcale nie oznaczało, że zapomniał o koszmarnych przeżyciach. Dobrze wiedział, że tamte obrazy z tunelu zapadną głęboko w zakamarki jego pamięci, gdzie pozostaną jakiś czas uśpione, by pewnego dnia znów powrócić. Wypełzną z mroku duszy i zagarną jego świadomość, tak jak inne przeżycia z odległych batalii. Ilwanicz wiedział, że niezależnie od zakończenia, od tego, kto wygra, ta wojna nigdy się dla niego nie skończy.

Jej kres przyniesie mu dopiero śmierć.

Długi wąż ludzi dźwigających rannych i ciężkie uzbrojenie posuwał się stokiem góry. Ilwanicz próbował wyprzedzić maszerujących, by wysunąć się na czoło kolumny. Żołnierze szli w milczeniu, ze spuszczoneymi głowami, jak na pogrzebie. Ilwanicz wiedział, że potrzebne jest im wsparcie, otucha, ciepłe słowo, dotyk ręki, uśmiech, zachęta. Mijając więc kolejnych żołnierzy poklepywał każdego, zamieniał z nim kilka słów, uśmiechał się. Robił, co mógł, by wyrwać ich z odrętwienia.

Gdy doszedł wreszcie do czoła kolumny, był przekonany, że postąpił słusznie, podejmując ten marsz i wysiłek połączenia się z tą częścią batalionu komandosów, która zajęła drugą bazę, po przeciwnej stronie wzgórz. Idący na czele kolumny Fitzhugh zaczął przyśpieszać kroku, a żołnierze Kompanii A wyraźnie powracali do równowagi. Ilwanicz, doszedłszy do Fitzhuga, położył mu rękę na ramieniu i powiedział:

TRÓJKĄT ŚMIERCI

105

- Nie możemy się tak śpieszyć, bo ci, którzy niosą rannych, zostaną z tyłu.

Fitzhugh popatrzył na rosyjskiego majora i skinął głową.

- Przepraszam, majorze. Poniosło mnie. Chciałem jak najszybciej stamtąd odejść.

Ilwanicz skonstatował, że Fitzhugh zaczyna odzyskiwać spokój. Młody porucznik zdołał już pokonać szok i paraliżujący strach. Obejrzał się do tyłu. Patrząc na idącą ich śladami kolumnę, był pewien, że dobrze zrobił zarządzając ten wymarsz. Uśmiechnął się i powiedział

do Fitzhuga:

- Doskonale was rozumiem, nie wolno nam jednak zostawiać rannych. Albo wydostaniemy się stąd wszyscy, albo nikt z nas. A teraz posuwamy się w przód, do drogi na Swaljawę. Stamtąd mamy do pokonania już tylko niewielkie leśne zbocze.

W dalszym ciągu nie mieli kontaktu z dowództwem batalionu lub kimkolwiek z ich strony, ale Ilwanicz był przekonany, że dowódca batalionu zareaguje tak, jakby w podobnej sytuacji zachował się każdy rosyjski dowódca. To znaczy, wyśle helikoptery na ich poszukiwanie. Było bardzo prawdopodobne, że te helikoptery odnajdą ich, ale Ilwanicz uważał, że nie wolno polegać tylko na tym rozwiązaniu. Wiedział, że nie może biernie czekać, lecz musi działać. Pasywność nie leżała w jego charakterze. Musieli trzymać się razem i jednocześnie posuwać do przodu, bo tylko to gwarantowało, że albo zostaną odnalezieni, albo sami odnajdą pozostałe oddziały swej jednostki.

Poczuł, że ogarniają go mdłości. Najpierw zwolnił, potem przystanął. Fitzhugh nie widział kropelek potu na jego twarzy. Nie zauważył też, że w pewnej chwili major zatrzymał się. Ilwanicz tymczasem zdołał jakoś opanować falę nudności, które, jak wiedział, mogły być pierwszym objawem choroby popromiennej.

Usłyszawszy serię wybuchów od strony wejścia do tunelu, odwrócił się. W ciemności zobaczył błyski. To Ukraińcy położyli ogień zaporowy na wejście do tunelu - pomyślał. Zauważył, że cała kolumna zatrzymała się i wszyscy patrzyli na miejsce, które przed chwilą opuścili. Tak jak i on

wiedzieli, że cudem uniknęli unicestwienia. Opanowawszy się, Ilwanicz poinformował Amerykanów:

- Moździerze, kaliber 120 mm. Ukraińcy przypuszczają, że siedzimy w tunelu i przygotowujemy się do ataku. Jeśli nie popełnimy jakichś głupstw, uratujemy się i wtedy albo znajdą nas helikoptery, albo sami dotrzemy do naszych.

Spojrzał na Fitzhugha i kazał mu ruszać.

- Myśmy już swoje zrobili, reszta należy do innych - powiedział.

W tym samym czasie pułkownik Dixon podjeżdżał swoim czołgiem do wysuniętego czoła kolumny. Stojący na poboczu Cerro przyglądał się dowódcy, jak ten, stojąc do połowy wysunięty we włązie, otrzepywał ze śniegu swój ochronny kombinezon. Potem, gdy czołg zatrzymał się, Dixon zeskoczył na ziemię i rozprostował zdrętwiałe kończyny. Daleko za nim, zza horyzontu pokazało się słońce. Cerro pomyślał, że jego dowódca, stojący obok czołgu z rękami opartymi na biodrach, sprawia wrażenie feudała, który lustruje swoje terytoria. Przyszło mu na myśl, że to porównanie nie odbiega zbyt od prawdy.

W trzy godziny po przekroczeniu granicy wysunięta szpica 1. Brygady wchodzącej w skład 4. Dywizji Pancерnej wkraczała już do Mukaczewa, choć nikt z nich nie przypuszczał, że zajdą aż tak daleko i tak szybko. Ukraińska brygada czołgów z Uzłowoje, której tak bardzo się obawiali,

została zatrzymana i zawróciła. Jeszcze teraz bombardowano ją z powietrza, by się upewnić, że nie będzie w stanie pozbierać się w najbliższym czasie z lania, jakie jej spuścił trzeci pluton. Innych jednostek w pobliżu już nie było, a oddziały ukraińskiej milicji okazały się całkowicie bezradne i niegroźne. Opór był w ogóle minimalny i nie skoordynowany. Na drodze do Mukaczewa natrafili tylko na jedną barykadę przeciwczołgową na szosie. 1 Batalion Pancerny pokonał ją bez trudu. Tak, w tej chwili, pomyślał Cerro, Dbcon jest niewątpliwie panem sytuacji.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

107

Podchodzącego Cerra powitał uśmiechem.

- No cóż, doskonały dzień dla pancerniaków, Hal. Co tam w sztabie?

Dixon był ożywiony i zadowolony, a Cerro pomyślał, że ta przejażdżka czołgiem w kierunku pozycji wroga dobrze mu zrobiła i pozwoliła otrząsnąć się ze zmęczenia i stresów nocy. Nic tak dobrze nie wpływa na zawodowego żołnierza jak krótka wyprawa na front.

- Czy mam panu złożyć meldunek, *sif*? - zapytał. Dixon znów się uśmiechnął.
- Mam wrażenie, że właśnie Jesteś czymś zajęty.
- Mamy chwilę przerwy. Nasze czołowe oddziały są na przedmieściach Mukaczewa. Nie napotykają oporu. Kilka barykad na drodze, których nikt nie broni. Kozak i Jej ludzie nad Latoriką są

w doskonałej formie. Od kilku godzin nie mają żadnego kontaktu z wrogiem i umacniają swoje pozycje. Idąc na wschód ta część komandosów, która zajęła zniszczoną bazę, połączyła się już ze swoim batalionem, który zajął drugą bazę. Z korpusu nam donoszą, że już zaczęli usuwać stamtąd głowice. Ponieważ nic nie wisi w powietrzu, pomyślałem, że dobrze by było przenieść nasze centrum dowodzenia do Mukaczewa i właśnie w tym momencie pan się pojawił. Możemy ruszać za piętnaście minut.

- Nie przeszkadzaj sobie. Ktoś z twoich doskonałych podkomendnych zapozna mnie z sytuacją.

Cerro zasalutował.

- To doskonale, pułkowniku, zaraz tu panu kogoś przyślę.
- Mówisz to z ironią - zaśmiał się Dbcon.
- Ależ skąd. Pan tu jest szefem i ma pan prawo odbywać różne wyprawy, podczas gdy my, niewolnicy, musimy wypełniać nasze zadania galerników.
- Nie martw się, Hal. I twój czas jeszcze nadejdzie. Zapewniam cię, że po tej operacji awansujesz na dowódcę batalionu. Jestem przekonany, że dostaniesz równie nieznośnego oficera operacyjnego, z jakim i mnie przyszło pracować.

108

HAROLD COYLE

- Doskonale rozumiem, co pan ma na myśli. A teraz proszę pozwolić, bym zakończył przygotowania, bo chcemy zaraz ruszyć - zasalutował, odwrócił się, zrobił kilka kro

ków, ale jeszcze się zatrzymał. - Zapomniałem o czymś, pułkowniku. Od zachodu nadchodzi burza.

Przez twarz Dixona przemknął cień zaniepokojenia.

- I dojdzie do nas? Cerro pokręcił głową.
- Tego jeszcze nie wiemy.

Dixon przez chwilę patrzył na zachód, wreszcie powiedział:

- No cóż, na to nie mamy najmniejszego wpływu. Nie ma co sobie głowy zawracać, i bez tego mamy kilka spraw do rozwiązania. No, do roboty.

Część druga

Niemiecki kryzys

Rozdział VI

7 stycznia

Dwukrotnie przeczytawszy scenariusz południowych wiadomości, przekazany jej przez szefa Działu Informacji Charleya Mordala, doszła do wniosku, że trzeba do niego wprowadzić wiele zmian. Wprawdzie Jan Fields-Dixon zawsze uważała, że w ich serwisie jest zbyt mało informacji, tym razem jednak dziennik, w którym miano poinformować o najeździe na Ukrainę i pierwszym od 1945 roku wybuchu atomowym podczas działań militarnych, był wyjątkowo słaby. Ze scenariuszem w ręce ruszyła do boks szefa, zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo w takim dniu jak ten musi on być zajęty. Bałagan zazwyczaj panujący w redakcji przed wejściem na antenę dziennika był w tym dniu o wiele większy. Jan często powtarzała, że waga informacji jest proporcjonalna do krzyku i chaosu, jaki panuje w studio. I wszyscy się z nią zgadzali.

Lawirowała wśród biurek z ustawionymi na nich monitorami, wymijając konsole mikserów, za którymi siedzieli skupieni technicy, i przeciskała się przez tłum dyżurnych redaktorów. Właśnie ze względu na tego rodzaju trudności nosiła w pracy tenisówki. Kiedy szef zwrócił jej pewnego razu uwagę, odpowiedziała:

- Tylko wariatka mogłaby w tych warunkach nosić buty na wysokich obcasach. - Zresztą Jan zawsze lubiła ucierać nosa przełożonym, zwłaszcza jeśli oni, jej zdaniem, popełniali głupstwa. I tak oto tenisówki stały się symbolicznym

TRÓJKĄT ŚMIERCI

111

wyzwaniem rzuconym głupocie i biernemu podporządkowywaniu się.

Gdy Charley Mordal zauważył przeciskającą się w jego kierunku Jan, w pierwszym odruchu miał ochotę zwać. Po dziesięciu godzinach wysiłków by ułożyć napływające informacje w jakąś logiczną i strawną całość, ostatnią rzeczą, jakiej mógł pragnąć, była dyskusja z Jan. Niestety, o ucieczce nie mogło być mowy. Wszyscy wiedzieli, że przed Jan, jeśli się przy czymś upiera, nie ma uciezki. Oczywiście nie dotyczyło to innych osób skupionych wokół biurka, gdyż te na jej widok rozpierzchły się jak karaluchy umykające przed światłem.

Jan podeszła, odsunęła jakieś papiery i wydruki komputerowe i usiadła na biurku Mordala. Założyła nogę na nogę, lewą rękę oparła na kolanie i pochyliła się do przodu. W prawej ręce trzymała scenariusz dziennika.

- Charley - powiedziała - trzeba się temu jeszcze raz

dokładnie przyjrzeć. To jest szerokie na miłę, a głębokie na centymetr.

Wyczerpany Mordal rozparł się wygodniej w fotelu i spojrzał na nią. W takich momentach jak ten zwykł się zastanawiać, za jakie grzechy przyszło mu i im wszystkim zmagać się z kimś takim jak Jan. Była niewątpliwie przystojna. Falujące, brązowe włosy opadały jej na ramiona. Prawie się nie malowała. Wielkie, brązowe oczy zawsze uważnie patrzyły na rozmówcę. To bystre, inteligentne spojrzenie było jej główną bronią. Ale nie wygląd był jej atutem, była bowiem doskonałą dziennikarką. O wiele lepszą niż inni, pracujący w ich sieci o wiele dłużej. Miała szczególny dar przekazywania informacji i czynienia ich wiarygodnymi. Niestety, współpraca z nią nie była łatwa, szczególnie gdy Jan nabrała przekonania, że ma w jakiejś sprawie rację.

Starając się nie patrzeć jej w oczy, Mordal odpowiedział:

- Jan, pracuję nad tym od pierwszej w nocy. Przejrzałem wszystkie informacje, dosłownie wszystko, co dotyczy ostatnich poczynań naszej pani prezydent.

Jan przerwała mu i, tonem nauczyciela strofującego ucznia, odparła:

112

HAROLD COYLE

- Charley, inwazji na jakiś kraj, inwazji, która doprowadziła do wybuchu nie znanej nam jeszcze liczby głowic nuklearnych i spotkała się z protestami naszych europejskich sojuszników, nie odważyłabym się nazwać „ostatnimi poczynaniami”.

Mordal był zmęczony, śpieszył się i nie miał zamiaru wysłuchiwać pouczeń.

- Słuchaj, Jan - powiedział. - Wiesz doskonale, że to, co zebraliśmy, to rzadkie gówno. Nikt jednak nie chce czegokolwiek powiedzieć. Ani Biały Dom, ani Departament Stanu, ani w szczególności Pentagon. Mamy tylko jakieś strzępy informacji, których nawet nie da się połączyć w logiczną całość, a na ich odczytanie na antenie wystarczy pięć mirmt.
- A więc znalazłeś takie rozwiązanie - przerwała mu -że ja mam rozmawiać przed kamerą z bandą pseudo-ekspertów, którzy wiedzą jeszcze mniej niż my i udowadniają to za każdym razem, gdy tylko rozdziawią gęby.

Patrząc jej prosto w oczy skinął głowę.

- No właśnie, a ty masz jakiś lepszy pomysł?

Ledwie to powiedział, natychmiast zaczął tego żałować, gdyż Jan oświadczyła:

- Tak, Charley, mam. Nie może nie zastanawiać to, dlaczego Niemcy zachowują w tej sprawie milczenie. Z wyjątkiem jednej krótkiej depeszy Reutersa, który donosi, że w Niemczech postawiono armię w stan pogotowia, nie mamy stamtąd ani słowa. Tak nie można tego zostawić.
- Co to znaczy: nie można zostawić? Przecież to oczywiste, że Niemcy, podobnie jak inne rządy europejskie, a i my też, są tym wszystkim zaskoczeni. Amerykańska operacja militarna i wybuch atomowy. Nowy cień Czarnobyli i strach obejmujący całą Europę Środkową. To chyba jasne.

Jan skrzywiła się. Zignorowała jego ironię i usiłowała wyjaśnić swoje racje.

- Charlie, zastanów się. Od półtora roku Niemcy i Ukraińcy budują, jak to określił niemiecki kanclerz, nowe podstawy współpracy politycznej i gospodarczej w Europie

TRÓJKĄT ŚMIERCI

113

centralnej z myślą o zbliżeniu Wschodu i Zachodu i skutecznym przeciwstawieniu się chaosowi. Jeśli sobie uświadomisz, ile pieniędzy Niemcy zainwestowali na Ukrainie, zrozumiesz skalę ich zaangażowania. Przypomnij też sobie wspólną propozycję kanclerza Niemiec i prezydenta Ukrainy z wiosny ubiegłego roku, kiedy to omal nie doszło do wojny pomiędzy Czechami i Słowakami. Niemcy i Ukraińcy oświadczyli, że ich połączone siły zbrojne mogą zapobiec wojnie. Przy tak dobrej współpracy należałoby chyba w tej chwili oczekiwać jakiejś reakcji naszych przyjaciół, Niemców. Mordal wzruszył ramionami.

- Oczywiście, Niemcy lubią Ukraińców. Ale Niemcy to nasi sojusznicy od ponad pięćdziesięciu lat i Jeśli miałyby do czegoś dojść, to jak sądzisz, po czyjej stronie się opowiedzą?

Wzruszyła ramionami, przypatrując mu się uważnie. Rzeczywiście, niczego nie rozumiał. Już mu chciała przypomnieć, że Niemcy są od samego początku sojusznikiem z przymusu, a od chwili zjednoczenia robią wszystko, co mogą, by usunąć siły amerykańskie z Europy, gdy do boksu Mordala wpadł jeden z dyżurnych wydawców.

- Charley, przepraszam, że przeszkadzam, ale właśnie

dostaliśmy wiadomość, że prezydent o dwunastej wygłosi publiczne oświadczenie.

Mordal spojrział na rząd zegarów wiszących na ścianie, a potem na swój zegarek na ręce.

- A niech to - mruknął. - Trzydzieści pięć minut do dziennika i wszystko do kosza - wstał i popatrzył na Jan. Pomyślał, że oto ma okazję do przerwania rozmowy, którą wcale nie był zainteresowany. - Jan, kochana, być może masz doskonałą koncepcję zaprezentowania tego wszystkiego, ale teraz zostało nam tylko trzydzieści minut na wprowadzenie wszystkich zmian. Potem porozmawiamy, jak się z tym uporam. Na razie w twoim wejściu na antenę niczego nie zmieniamy. Zapowiesz, że łączymy się z Białym Domem, a stamtąd zda relację Jimmy. Gdyby nie było oświadczenia lub gdyby okazało się ono krótkie, lecisz, jak zaplanowano. Wszelkie zmiany będziesz miała na teleprompterze.

114

HAROLD COYLE

Próbując ukryć wściekłość, skinęła głową i wstała. Rozumiała, że w tej chwili dokonywanie zmian byłoby niemożliwe. Uważała jednak, że jej koncepcja relacji i komentarza była słuszna.

- OK, Charley, idę się przygotować, a ty tu walcz z przeciwnościami.

ft # ft

Gdy prezydent Wilson, otoczona sztabem współpracowników, weszła do niewielkiego studia przy Centrum Prasowym, jeden z techników podszedł do jej rzecznika i szepnął:

- Telefonuje sekretarka pani prezydent. Mówi, że niemiecki kanclerz prosi prezydent Wilson do telefonu.

Rzecznik zmarszczył czoło i zapytał:

- Za ile minut wchodzimy na antenę? Technik popatrzył na wiszący na ścianie zegar.
- Za trzy - odparł.

Rzecznik pochylił głowę w namyśle, po czym podjął decyzję, która wydawała mu się najlepsza, choć z całą pewnością nie leżała w jego kompetencjach.

- Przekaż sekretarce pani prezydent, by się skontaktowała z sekretarzem stanu Soaresem i by rozmowę z kanclerzem przełączyła do niego.

Tak więc, nie chcąc na kilka minut przed audycją zaprzętać uwagi pani prezydent czym innym, rzecznik skierował kanclerza Niemiec do sekretarza stanu USA.

Rzecznik, niestety, zapomniał, że sekretarz był w tym czasie w Nowym Jorku na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa ONZ. Sekretarz Soaresa wiedząc, że posiedzenie jest bardzo ważne, nie chciał przeszkadzać swemu szefowi i zasugerował, by rozmowę z kanclerzem scedować na sekretarza obrony, jednego z najbliższych współpracowników pani prezydent.

Podczas gdy kanclerz Ruff czekał na połączenie, a sekretarki i sekretarze w Waszyngtonie przerywali się wzajemnie propozycjami, kto ma

rozmawiać z Berlinem, rzecznik podszedł do pani prezydent.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

115

- Pani prezydent, tu jest poprawiony tekst, który pokaże się na teleprompterze.

Wilson, nieświadoma niezręczności swojego sztabu, przygotowywała się do telewizyjnego przemówienia. Wzięła kartkę i położyła ją przed sobą, zwracając się do rzecznika:

- Bądź łaskaw nie robić min, kiedy odejdę od przygotowanego tekstu. Wiesz, że to mi się zdarza.
- Nie ma sprawy, pani prezydent. Może pani improwizować do woli. W tym jest pani najlepsza.

Wilson pomyślała, że rzecznik ma rację. Zawsze działała najlepiej, gdy zawierzała swemu politycznemu instynktowi. Patrzyła, jak wskazówka zegara na ścianie zbliża się do cyfry dwanaście. Przyszło Jej na myśl, że i w tej sytuacji powinna była od samego początku kierować się intuicją. Pete Soares i Terry Rothenberg byli doskonałymi doradcami, ale uważali za święte wszystko, co podsuwali im ich eksperci z Departamentu Stanu i z Pentagonu. A w tej właśnie sprawie eksperci popełnili zbyt wiele błędów. Trzeba będzie dopilnować, by się to już nie powtórzyło, oczywiście jeśli tym razem uda im się wyjść z opresji.

- Za minutę wchodzimy.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, wyczarowała na twarzy najsympatyczniejszy z uśmiechów, jak podczas kampanii wyborczej, i

już była gotowa do wejścia do jaskini lwa.

ft tfr ft

- Przeklećci, niech ich szlag trafi! - kanclerz Ruff, pochyliwszy się do przodu, wyciągnął palec wskazujący w kierunku swego doradcy militarnego. - Idź i znajdź kogoś, kto czyści tu klozety. Niech biegnie do telefonu i powie temu Żydowi, sekretarzowi obrony USA, że gdy bym chciał z nim rozmawiać, to bym od razu do niego zadzwonił - Ruff odsunął się od biurka i wbił wzrok w pułkownika Hansa Kaspera. - Co ta kurwa sobie wyobraża? A może jej się wydaje, że jesteśmy amerykańskimi wasalami?! Że można nami pomiatać, gdy ma się na to ochotę?!

116

HAROLD COYLE

Kasper nawet nie mrugnął okiem. Nie miał najmniejszej ochoty na szukanie babki klozetowej, a co ważniejsze, był świadom tego, że gniew kanclerza jest starannie wyreżyserowanym przedstawieniem na użytek tych członków gabinetu, którzy nie we wszystko byli wtajemniczeni. Ignorując polecenie kanclerza, Kasper odpowiedział:

- Sam zajmę się rozmową, panie kanclerzu - wstał, stuknął obcasami i wyszedł z gabinetu, pozostawiając w nim Ruffa z członkami rządu.

Gdy tylko drzwi się za pułkownikiem zamknęły, kanclerz zwrócił się do ministrów. Oczywiście nie miał pojęcia o tej komedii pomyłek w

Waszyngtonie, których rezultat uznał za obrazę.

- Sami widzicie, jak nas ci Amerykanie traktują. Uważam, że najwyższy czas położyć temu kres. Nie możemy tolerować tu dłużej obecności armii okupantów, którzy ustawicznie przypominają nam, że to my zostaliśmy pokonani. Dość tego! Ile można odpowiadać za błędy ojców? Tamto już minęło - dla podkreślenia wagi tych słów Ruff uderzył pięścią w stół. - Minęło! Minęło! Nadszedł czas, byśmy to Amerykanom wyraźnie uświadomili!

Członkowie gabinetu słuchali w milczeniu. Niektórzy wyrażali aprobatę, kiwając głowami. Inni, których raziło zachowanie kanclerza i którzy nie zgadzali się z jego argumentacją, krzywili się lub siedzieli nieruchomo. Ruff nie był tym zaskoczony. Doskonale wiedział, komu może zaufać, a przed kim musi wszystko trzymać w tajemnicy. Przyjdzie czas, kiedy nawet ci patentowani idioci zrozumieją, o co mu chodzi. Uważał jednak, że do tego czasu postawi Niemców przed faktami dokonanymi i poprowadzi ich do sukcesów, co uprzytomni im, o co toczy się ta cała gra, i że zyska w niej poparcie narodu. Na razie jednak musiał odgrywać rolę „ofiary gwałtu” - jak to określił minister spraw zagranicznych Bruno Rooks.

Ruff wstał, popatrzył na siedzących, odwrócił się i kulejąc podszedł do okna. Burza, jaka rozpętała się rano, jeszcze się nie uspokoiła.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

117

Zajęgo plecami jako pierwszy odezwał się minister spraw wewnętrznych Thomas Fellner:

- Sądzę, że powinniśmy wysłać kogoś z wysokiego szczebla do Stanów. Najlepiej pana Rooksa. Już jutro rano mógłby się spotkać z prezydentem Wilson. Gdy zrozumiemy dokładnie ich intencje...

Ruff odwrócił się gwałtownie, wymierzył wskazujący palec prosto w pierś mówiącego i poczerwieniawszy z gniewu, ryknął:

- Nie! Nie! W żadnym wypadku nie wyślę członka mojego rządu, by z kapeluszem w ręku korzył się przed tą kurwą! Nie dzisiaj ani nie jutro! Nigdy! - złożył ręce na piersiach, wziął głęboki oddech i odrzucił głowę do tyłu. - Pomyśl Thomas, pomyśl tylko, co na to powie świat? Przywódcy innych narodów Europy powiedzą: „Patrzcie, jak ci potulni Niemcy lecą do Waszyngtonu po instrukcje”. Czy o to nam chodzi?! Nie, to my zostaliśmy obrażeni. Nie po raz pierwszy padamy ofiarą jednostronnych poczynań Amerykanów, którzy działają nieodpowiedzialnie - zrobił kilka kroków do przodu, a jego palec wskazywał teraz na sufit. - Nie, drodzy przyjaciele, Niemcy nie zachowują się tym razem jak łaszący się szczeniak, który zgadza się absolutnie na wszystko. Nie teraz, kiedy kanclerzem jestem ja!

Minister obrony Rudolf Lammers najwyraźniej przyszedł kanclerzowi z odsieczą.

- Jakie mamy inne wyjście? Siedzimy tu i oburzamy się, a Amerykanie przywożą do naszego kraju głowice jądrowe, zrabowane na Ukrainie. Jest to pogwałcenie wszelkich

porozumień rozbrojeniowych, do jakich przystąpiliśmy i my, i Amerykanie od czasu załamania się bloku wschodniego. Jeśli ostro na to nie zareagujemy, to jutro rano głowice zostaną przeładowane na pokład transportowca transkontynentalnego i przewiezione do Stanów. W wyniku pospolitego oszustwa Amerykanie naszym kosztem osiągną swoje cele.

- Właśnie o to mi chodzi - wtrącił się Ruff. - My tu siedzimy i dyskutujemy, a Amerykanie po prostu robią

118

HAROLD COYLE

swoje. Nie wolno nam trwać w bezczynności. Musimy działać i przekonać Amerykanów oraz resztę Europy, że nie jesteśmy pieskiem, którego można prowadzić na smyczy, gdzie się tylko komu podoba. Nie pozwolimy na gwałcenie suwerenności Niemiec, na obrażanie nas. Jeśli nie ma innego sposobu, to wymusimy szacunek dla naszego państwa i narodu.

Jak zawsze rzeczowo zabrał głos Fellner, na co zresztą Ruffliczył.

- Cóż więc pan, panie kanclerzu, proponuje w tej sytuacji? Poza złożeniem oficjalnego protestu widzę możliwość podjęcia akcji przeciwko amerykańskim poczynaniom na terenie naszego państwa. Czy właśnie to miał pan na myśli?

Pytanie nie mogło nadejść w lepszym momencie. Dla *kanclerza* było niesłychanie *ważne*, że *to* właśnie Fellner, powszechnie uznawany za głos

rozsądku i rzecznika pokojowych Niemiec, poruszył kwestię podjęcia jakichś przeciwdziałań. Ruff chwilę milczał, jakby rozważał to, co właśnie usłyszał. Kulejąc podszedł do biurka. Wreszcie zaczął mówić, jakby dzieląc się swymi myślami:

- I o tym właśnie, drodzy przyjaciele, musimy pomóc - podniósł głowę, a głos jego stawał się coraz pewniejszy, jakby chwila wahania minęła. - Mamy wiele do zrobienia, a czasu mało. Na razie kończymy. Chciałbym prosić panów Rooksa i Lammersa, by jeszcze zostali.

Członkowie gabinetu wstali z miejsc, a Ruff nieoczekiwanie dodał:

- Przepraszam panów, zupełnie zapomniałem, że za pięć minut mam konferencję prasową. Musimy jak najszybciej poinformować naród o tym, co się dzieje, uspokoić ludzi i zapewnić ich, że działamy - powiódł spojrzeniem po twarzach obecnych i zatrzymał wzrok na Fellnerze. - Czy mógłby pan, panie Fellner, zastąpić mnie na tej konferencji?

Fellner oczywiście wolałby tego uniknąć, ale skinął głową i powiedział:

TRÓJKĄT ŚMIERCI

119

- Tak jest, panie kanclerzu. Co mam powiedzieć prasie? Czy wspomnieć, że rozważamy możliwość wprowadzenia stanu wyjątkowego?

Ruff z trudem opanował radość, gdy Fellner to powiedział. Ogłoszenie stanu wyjątkowego pozwoliłoby kanclerzowi na podjęcie

wielu działań bez konsultacji z Bundestagiem.

- Proszę powiedzieć, co pan uzna za stosowne, drogi przyjacielu. Może dobrze byłoby wspomnieć o naszym za niepokojeniu i wątpliwościach, jakie wyrażaliśmy podczas tego posiedzenia?

W tym momencie Rooks i Lammers wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Fellner skinął głową.

- Najlepiej będzie powiedzieć całą prawdę i przygotować społeczeństwo na to, co się może zdarzyć.
- Tak - z powagą zgodził się kanclerz. - Sądzę, że ma pan rację.

Gdy członkowie gabinetu wyszli, zjawił się pułkownik Kasper.

- Panie kanclerzu - zameldował - czekają generał Lange i generał Schacht.

Ruff ruchem ręki polecił ich wprowadzić i podszedł do Rooksa i Lammersa. Uścisnął im dłonie.

- A więc, drodzy przyjaciele, zaczęło się. Wreszcie się zaczęło. Teraz musimy się przekonać, czy dowódca 1. Dywizji Spadochronowej może zrealizować to, do czego się zobowiązał.

Ruff i Lammers wiedzieli, że nie muszą już omawiać szczegółów. Akcja, o jakiej wspominał Fellner, została przygotowana przed kilkoma dniami. Odpowiednie jednostki otrzymały już nawet rozkazy. Niektóre z nich były w trakcie realizacji. Spotkanie Ruffa, Rooksa i Lammersa z generałami miało być poświęcone ostatecznej ocenie sytuacji i skoordynowaniu pewnych poczynań, gdyby się to okazało niezbędne.

Jeśli nie wydarzy się coś nieprzewidzianego, w ciągu najbliższych dwunastu godzin Niemcy wejdą do klubu mocarstw nuklearnych.

-& ft 3r

Ewakuacja żołnierzy Kompanii A, którzy przeżyli wybuch nuklearny, nie przyniosła im ulgi i spokoju. Znajdowali się teraz w środkowej Słowacji. Z obawy przed napromieniowaniem trzymano ich w izolacji, ale sposób traktowania komandosów był, zdaniem Ilwani-cza, niedopuszczalny. To, jak się z nimi obchodzono, wydało mu się okrutne i niczym nie usprawiedliwione. Bolało go to tym bardziej, że żołnierze traktowali go jak swego dowódcę.

Uznał, że nie może dłużej milczeć i zachowywać się biernie. Zerwał się na równe nogi i skinął na Fitzhuga. Gwałtowny ruch majora i zdecydowany wyraz jego twarzy spowodowały ożywienie w namiocie, w którym umieszczono żołnierzy pozostałych z Kompanii A.

Wpatrywali się w twarz majora, kiedy mówił:

- Zostaliśmy potraktowani w sposób niedopuszczalny. Nie jesteśmy przecież trędowaci. Nie możemy tak spokojnie siedzieć i godzić się na to, co z nami wyprawiają - powiedziawszy to, ruszył do namiotu zajmowanego przez opiekujące się nimi sanitariuszki.

Krzyki zdumiały starszą dyżurną sanitariuszkę, kapitan Hilary Cole. Jak cały personel szpitala polowego nr 553 uważała, że markotny nastrój komandosów jest wynikiem szoku, jaki przeżyli. Wstała zza biurka, gdy uniosła się zasłona i do namiotu wszedł mężczyzna, w którym rozpoznała rosyjskiego majora. Z jego twarzy były gniew i determinacja. Tuż za nim

zauważyła młodego porucznika. Rosjanin podszedł do jej biurka, porucznik zaś stanął o krok za nim.

Nie wiedząc, jak traktować Rosjanina, którego komandosi najwyraźniej uważali za swojego dowódcę, spoglądała to na majora, to na porucznika.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

121

- O co chodzi, majorze? - zapytała wreszcie.

Łagodny głos Cole, jej błękitne oczy i blond włosy, które wydawały mu się zbyt krótkie, nie uciszyły gniewu majora. Starając się opanować odparł:

- Powiedźcie swemu dowódcy, że chcę z nim rozmawiać.

Przez chwilę Cole zastanawiała się, czy zapytać, o co chodzi, ale patrząc we wbite w nią, zdecydowane oczy majora, postanowiła po prostu przekazać jego prośbę. Podniosła słuchawkę i wykręciła numer dowódcy szpitala.

Ilwanicz bez słowa przysłuchiwał się rozmowie.

- Cześć, Anna, czy jest pułkownik? Nie, nie mam nic do niego, ale Ros... to znaczy major, dowódca komandosów, chce z nim zamienić kilka słów... Nie wiem, ale dobrze by było, aby tu przyszedł. Ros... to znaczy major, jest tu, u mnie, i czeka. - Cole, czekając na odpowiedź, najwyraźniej unikała wzroku majora. - Doskonale. Przekażę mu. - Odwiesiła słuchawkę, popatrzyła na Uwanicza i usiłując się uśmiechnąć powiedziała: - Pułkownik będzie

tu za kilka minut. Może pan wracać do siebie. Poproszę pana, gdy przyjdzie.

Te słowa tylko podsyciły jego gniew. Dłonie zacisnął w pięści, źrenice mu się zwężyły. Mówił cicho, niemal sycząc:

- Nie jesteśmy niebezpiecznymi przestępcami, których należy trzymać w izolacji i o których można zapomnieć. Ci ludzie to pani rodacy, elita waszej armii. W ciągu kilkudziesięciu minionych godzin wiele przeszli, więc powinno się ich traktować ze szczególną wyrozumiałością.

Cole zamierzała się cofnąć, ale opanowała odruch.

- Majorze, ja wykonuję jedynie rozkazy. Pan i pańscy ludzie macie pozostawać w izolacji do czasu ewakuowania was do Landstuhl w Niemczech. - Do namiotu weszli dwaj żandarmi, pełniący służbę na zewnątrz, zaalarmowani podniesionymi głosami. Cole kazała im się zatrzymać. Przez chwilę stali nieruchomo, patrząc jeden na drugiego, wyraźnie niepewni, jak się powinni zachować. Dopiero

122

HAROLD COYLE

pojawienie się dowódcy szpitala, pułkownika Sandy'ego Hollerana, rozwiązało kłopotliwą sytuację.

Pułkownik miał na sobie biały kitel, zarzucony na mundur polowy. Rozpięty, ukazywał spory brzuch, niezbyt pasujący do sylwetki oficera. Holleran był dobrym lekarzem i dosyć utalentowanym dowódcą, toteż przełożeni wybacжали mu nadwagę i zbyt długie włosy.

Wszedłszy do namiotu, Holleran natychmiast wyczuł napiętą atmosferę i postanowił rozładować ten nastrój. Przybrawszy trochę żartobliwy wyraz twarzy, zwrócił się do Cole:

- Jakież problemy, pani kapitan?

Wprawdzie spod kitla nie widać było dystynkcji, ale Ilwanicz po zachowaniu się żandarmów poznał, że ma przed sobą komendanta szpitala. Stanął na baczność i zanim Cole zdążyła otworzyć usta, powiedział:

- Prosiłem o spotkanie z panem, by omówić sposób traktowania moich ludzi.

Holleran podszedł do biurka Cole, podsunął sobie krzesło, drugie wskazał Rosjaninowi. Nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że rosyjski major jest dowódcą oddziału amerykańskich komandosów, ale z tego, co słyszał i widział, wynikało, że ci uważają go za swego dowódcę. Uznał więc, że należy potraktować tę sytuację jako najzupełniej normalną. Nie zamierzając łamać sobie głowy tym problemem, zaczął:

- Zanim cokolwiek sobie powiemy, majorze, muszę najpierw przyznać, że sytuacja, w jakiej się tu znaleźliśmy, i dla mnie, i dla moich ludzi jest czymś całkiem nowym. Nigdy jeszcze nie mieliśmy do czynienia z ofiarami napromieniowania.

Ilwanicz pochylił się do przodu.

- Nie jesteśmy ofiarami. Byliśmy w rejonie wzmożonego promieniowania, ale u żadnego z nas nie wystąpiły objawy choroby popromiennej - przerwał pułkownikowi.

Ilwanicz oczywiście kłamał. Zarówno on sam, jak i Ra-sper

wymiotowali wielokrotnie. Ilwanicz powiedział Raspe-rowi, że zapewne obaj mają objawy charakterystyczne dla

napromieniowania. Rasper wysłuchał tego ze spokojem i patrząc na czubki swoich butów odpowiedział: „Tak jest”. Potem podniósł wzrok i poprosił majora, by nikomu o tym nie mówił. Dodał, że nie ma innych objawów oprócz nudności. Tak więc teraz obaj zachowywali tajemnicę. Uznali, że nie ma powodów do wzniecania paniki zarówno w kompanii, jak i wśród innych ludzi, z którymi się stykali.

A mimo to wszyscy trzymali się od nich możliwie jak najdalej. Ilwanicz rozumiał to. Komandosi, nad którymi tak nieoczekiwanie przyszło mu sprawować dowództwo, zostali jednak pokryci radioaktywnym pyłem i Ich ubranie, broń i sprzęt były napromieniowane. Zanim połączyli się z drugą połową batalionu, Ilwanicz kazał Kompanii A, by zatrzymała się w lesie. Tam wytrzepali porządnie ubrania i pozbyli się wszystkiego, co było im niepotrzebne. Pośpiesznie prowizorycznie odkazili wszystko nawet maski i odzież wierzchnią, które obmyli stopniałym śniegiem. Mimo to wszyscy, z którymi się stykali, byli przerażeni. Nawet dowódca batalionu traktował żołnierzy z Kompanii A tak, jakby byli zakażeni śmiertelną chorobą.

Ilwanicz zaczął Holleranowi opowiadać o tym, jak są traktowani.

- Zaczęło się od tego, że dowódca batalionu nie pozwolił nam na kontakty z innymi żołnierzami. Zostaliśmy od nich odseparowani, Moi żołnierze nie mogą zrozumieć, co to wszystko znaczy i czym to się skończy. Kiedy odnalazły nas helikoptery, zauważyliśmy, że wszystko z nich powyjm

wano, tak aby potem łatwiej było je odkażać. Załogi traktowały nas jak nosiciele wirusa HIV. Gdyby nie Interwencja dowódcy oddziału medycznego prowadzącego ewakuację, nie dano by nam nic do Jedzenia.

Opowiadając czuł, jak narasta w nim gniew, który po całym dniu wzburzenia i napięcia teraz znajdował upust.

- Helikopterom kazano wylądować w odległości trzech kilometrów od tego szpitala, gdyż obawiano się, że zakazi my lądowisko. Dowódca helikoptera prowadzącego poinformował mnie o tym i dodał, że rozkazu nie wykona.

124

HAROLD COYLE

Wylądowaliśmy tu, na miejscu, ale jakiś oficer w naszej obecności zrugął dowódcę pilotów.

Holleran skrzywił się. Słyszał już o tym incydencie i był wściekły. Wyrzucał sobie, że nie asystował przy lądowaniu ewakuowanych i uznał to za swój błąd. Zrozumiał teraz, że jego nieobecność została potraktowana jako dowód braku zainteresowania i strachu.

Ilwanicz tymczasem opowiadał dalej:

- Po wylądowaniu zostaliśmy otoczeni przez żandar mów w uniformach i maskach ochronnych. Pod bronią zaprowadzili nas do łaźni. Pierwsza kąpiel była rzeczywi ście potrzebna, to zrozumiałe. Druga też była jeszcze do wytrzymania, choć kończyła się ciepła woda. Trzecia, już w zimnej wodzie, była koszmarem. Po kąpeli nie dano nam

mundurów, tylko kazano włożyć nam te szmaty. - Ilwanicz wskazał na płaszcz kąpielowy, który miał na sobie. - Marzniemy teraz z powodu głupoty pańskich ludzi.

Dotychczas Holleran słuchał majora bez słowa, teraz jednak, gdy ten nazwał jego ludzi głupcami, musiał jakoś zareagować.

- Mówiłem panu, majorze, że to dla nas całkiem nowa sytuacja...

Ilwanicz nie pozwolił mu skończyć.

- Pan nie chce zrozumieć! Nikt z was nie chce! Czy nie dociera do pana, że komandosi, elita waszej armii, jako pierwsi padli ofiarą wybuchu nuklearnego, spowodowanego przez wroga?! Czy pan rozumie, że ci ludzie pozostawili w gruzach tego tunelu jedną trzecią swoich kolegów?! Czy dociera do pana, co oni czują?! - Ilwanicz zerwał się z krzesła i wymachiwał rękami. - Oczywiście, że pan nie rozumie! Bo pan tam nie był. Nie widział pan tego strachu w ich oczach, gdy czuli swąd spalonych ciał swych przyjaciół. Dla pana nie jesteśmy niczym innym jak mutantami, jakąś dziwną odmianą człowieka, i dlatego próbujecie odseparować nas od innych. Chciałbym panu bardzo wyraźnie powiedzieć, że jeśli nie zaczniecie traktować tych ludzi jak żołnierzy i tak, jak na to zasługują, będzie pan miał wkrótce do czynienia z gromadą rozkojarzonych,

TRÓJKĄT ŚMIERCI

krańcowo sfrustrowanych żołnierzy, z ludźmi, z którymi nie dacie sobie rady - ani pan, ani żandarmeria.

Dopiero teraz Ilwanicz zorientował się, że w namiocie panuje całkowita cisza i wszyscy słuchają go z zapartym tchem. Wyrzucił z siebie wszystko, a nie było to łatwe, bo targwały nim emocje. W dodatku musiał przecież mówić po angielsku. Ulżyło mu jednak. Złożył ręce na piersi i zaczerpnął głęboko powietrza, starając się opanować.

Holleran popatrzył na kapitan Cole, potem przeniósł wzrok na Ilwanicza. Głowa zaczęła mu się lekko trząść. Czuł się winny. Wstał, podszedł do Rosjanina i położył mu rękę na ramieniu.

- Majorze, naprawdę nie wiem, co mam panu powiedzieć. Naprawdę jest mi przykro, proszę mi wierzyć. Co możemy teraz zrobić, by poprawić sytuację?

Ilwanicz zauważył, że lekarz z trudem powstrzymuje łzy. Jego reakcja była bezsprzecznie szczerą. Przez chwilę nawet chciał go przeprosić, ale nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Przeżycia minionej doby kumulowały się. Nawet jak na niego, było ich zbyt wiele. Ilwanicz wskazał palcem Fitzhuga, powiedział, że on ma listę ich życzeń i ruszył w kierunku wyjścia z namiotu. Fitzhugh zaś wyjął z kieszeni płaszcza kąpielowego kartę papieru, a Holleran zaczął się przygotować do robienia notatek.

Nagle pojawienie się Ilwanicza zaskoczyło żołnierzy Kompanii A, stojących przed wejściem do namiotu. Teraz dopiero major uświadomił sobie, że tamci wysłuchali wszystkiego, co powiedział dowódca szpitala. Przez chwilę stali i patrzyli na siebie - komandosi na Rosjanina, on na nich. Wreszcie z grupy żołnierzy wystąpił Rasper i

uścisnął majorowi rękę.

- Majorze, proszę mi wierzyć, mówię w imieniu wszystkich. Pójdziemy za panem zawsze i wszędzie.

Cywilowi takie oświadczenie mogłoby się wydać co najmniej dziwne. Ale Ilwanicz był przecież zawodowym wojskowym i od lat służył w elitarnych Jednostkach Armii Czerwonej, a potem rosyjskiej. To, co usłyszał od Raspera, było dowodem najwyższego uznania, jakie żołnierz mógł

126

HAROLD COYLE

wyrazić innemu żołnierzowi. Wzruszony, Ilwanicz był zdolny jedynie do tego, by skinąć głową i mruknąć coś w podziękowaniu. Miał świadomość, że czeka ich jeszcze wiele problemów, ale wiedział też, że najgorsze minęło. Z ludźmi takimi jak ci żołnierze nie musiał się czegokolwiek obawiać.

&•& -A

Kiwając potakująco głową Jan przysłuchiwała się temu, co udzielający wywiadu emerytowany pułkownik miał do powiedzenia na temat wydarzeń na Ukrainie. Potakiwała, a w duchu myślała: - Cóż za idiota! Scott ostrzegał ją przed nim. Gdy nad kamerą zapaliło się światełko sygnalizujące, że zbliża się przerwa na reklamę, Jan z radością przerwała:

- Przepraszamy, panie pułkowniku, ale mamy chwilę przerwy - odwróciła twarz do kamery i powiedziała: - Rozmawiamy z pułkownikiem Edwardem Littletonem, ekspertem od spraw militarnych USA w Europie. Za mi

nutę powrócimy do naszej rozmowy. A teraz kilka uwag od naszego sponsora.

Kiedy była już pewna, że kamery i mikrofony są wyłączone, zapytała:

- Mój Boże, Charley, skąd ty bierzesz takich rozmówców? Wyszukujesz ich z drobnych ogłoszeń, czy jak?

Siedzący w reżyserce Mordal zaśmiał się.

- Nie, kochana. Przysyłają nam ich z biura zatrudnienia bezrobotnych. Sądziłem, że lubisz pułkowników.

Jej małżeństwo z pułkownikiem służby czynnej zaskoczyło wielu kolegów, gdyż niechęć armii do dziennikarzy była powszechnie znana..

- Charley, to, że lubię sypiać z pułkownikiem, nie oznacza wcale, że lubię z nim rozmawiać. Może i ty spróbuj się przespać z którymś z nich, a być może zaczną ci się po dobać.

Stojący przed nią kamerzysta zasłonił mikrofon dłonią i rzucił:

- A skąd wiesz, Jan, że on nie sypia z jakimś pułkownikiem?

TRÓJKĄT ŚMIERCI

127

Jan popatrzyła na kamerzystę i z wysiłkiem powstrzymała się przed parsknięciem śmiechem. Mordal nie usłyszał zapewne złośliwej uwagi, bo powiedział:

- Jan, jeśli nie masz niczego lepszego do zaproponowania, to trzymaj się teraz tego emeryta.
- Skoro już o tym mówisz, to rzeczywiście mam lepszy pomysł.

- Żartujesz? Zrobiła niewinną minę.
- Ja bym śmiała z ciebie żartować? Charley, kochany! Technik dał jej znak, że za piętnaście sekund wchodzi

na wizję.

- Masz jeszcze dziesięć sekund. Powiedz, co to za pomysł?

- Ed Lewis. Jak z tym tu skończymy, to może mogłabym pojechać do jego biura w Kongresie i zrobić z nim wywiad? Jestem pewna, że będzie miał coś mądrego do powiedzenia na ten temat. -

- Pięć sekund - ostrzegł technik.

Mordal, zastanowiwszy się chwilę skinął głową.

- OK, Jan. Zaraz to spróbujemy załatwić. Uważaj, wchodzisz.

Nad kamerami zapaliły się światelka. Mordal zagłębił się w fotelu i patrzył przez szybę na Jan. Była rzeczywiście doskonała. Nikt nie mógłby się domyślić, co w rzeczywistości myślała o swoim rozmówcy. Poleciał sekretarce, by zadzwoniła do biura kongresmana Lewisa i załatwiła Jan rozmowę z nim na dzisiejsze popołudnie. Podczas gdy sekretarka zajęła się telefonowaniem, Mordal patrzył, jak emerytowany pułkownik, posługując się mapami, usiłuje wyjaśnić szczegóły militarnej operacji na Ukrainie. Robił to ze śmiertelną powagą, nudno i nieefektywnie. Jan miała rację, ten facet był rzeczywiście infantylny i głupi.

3r ft &

Gdy Dixon wszedł do punktu dowodzenia, ktoś, kto go pierwszy

zobaczył, krzyknął: „Baczność!”. Wszyscy wstali, przerywając pracę. Wiedzieli, że Dixon nie wymagał od

128

HAROLD COYLE

nich takiej służbistości. Ta maniera wywodziła się ze zwyczajów obowiązujących w marynarce, gdzie wszyscy stawali na baczność, gdy kapitan wchodził na mostek. Wszedłszy do namiotu, Dixon mruknął:

- Wracajcie do roboty - i zaczął lawirować wśród biurk i stanowisk pracy, kierując się do rozgrzanego piecyka ustawionego, w kącie *namiotu*.

Dixon i Worisznow, zdjawszy grube płaszcze, usiedli koło piecyka, przy którym już się grzali podpułkownik David Yost i sierżant sztabowy Duncan. Dixon rozejrzał się wokół i powiedział:

- Mam nadzieję, że minął już strach wywołany tym wybuchem nuklearnym.

Yost skinął głową.

- Oczywiście nie dotyczy to komandosów. Z korpusu mamy informację, że chłopcy są zaszokowani. Kompania, która stamtąd powróciła, ma czterdzieści procent strat. Zginęli wszyscy oficerowie, z wyjątkiem jednego - Yost spojrzał na Worisznowa.
- Dowództwo nad pozostałymi przy życiu żołnierzami objął rosyjski oficer łącznikowy, który ich wyprowadził ze skażonego rejonu. Dowódca korpusu jest tym zdumiony.

Dixon ucieszył się, że to usłyszał. Potwierdzało to słuszność jego starań, by traktowano pułkownika Worisznowa na równi z nim i wprowadzano go

we wszelkie tajniki operacji. Zanim Worisznów się tu pojawił, Dixon powiedział członkom *swego* sztabu, że od Rosjanina mogą się wiele nauczyć.

- Z raportu nadesłanego o osiemnastej wynika, że w rejonie operacji nie stwierdzono zagrożenia radioaktywnego. Czy coś się zmieniło? - zapytał Dbcon.
- Nic nowego - odpowiedział Yost, kręcąc głową.
- Burza idąca od zachodu wywiewa wszystko na wschód. Zresztą z meldunków, jakie do nas dochodzą, wynika, że poziom promieniowania jest minimalny i mieści się w granicach bezpieczeństwa.
- O Boże, jak ja to lubię! W granicach bezpieczeństwa! To oczywiście pomysł jakiegoś gryziopiórka, ukrytego w bezpiecznych piwnicach Langley?

TRÓJKĄT ŚMIERCI

129

Worisznów nie zrozumiał dowcipu i spoglądał to na Dixon, to na Yosta. Yost zorientował się, że Rosjanin nie wie, o czym mowa, więc wytłumaczył:

- W Langley, w stanie Wirginia, znajduje się centrala CIA.

Worisznów wybuchnął śmiechem.

- Tak, teraz rozumiem. Widzę, że podobnie oceniamy zdolności naszych agencji wywiadowczych - przerwał na chwilę, gdyż żołnierz właśnie podał mu kubek kawy. Upił łyk i ciągnął dalej: -

Jakieś sześć miesięcy temu w Moskwie nasz wywiad opracował raport, z którego wynikało, że wszystkie głowice jądrowe, jakie pozostawiliśmy na Ukrainie, zgodnie z traktatem krajów Wspólnoty zostały zniszczone. W raporcie znalazł się nawet wykaz głowic z numerami i seriami oraz informacje, w jaki sposób i gdzie każda z nich została zniszczona. Dopiero ucieczka pewnego ukraińskiego oficera wywiadu, który nie mógł się pogodzić z planami sprzedaży głowic trzeciemu krajowi, zaalarmowała nas i sprawiła, że zaczęliśmy podejrzewać, iż jednak nie wszystkie zniszczono.

- A czy wpadliście na to, z kim właściwie prowadzono rozmowy na temat sprzedaży tych głowic? - zapytał Dixon całkiem poważnie, wyraźnie zainteresowany odpowiedzią.

Worlsznów zawahał się. Sprawa była w Moskwie tematem ożywionej dyskusji w kołach wojskowych. Były różne podejrzania, ale nikt nie znał szczegółów i nie wiedział nic pewnego. Worisznów również podzielał podejrzania szefa wywiadu wojskowego i przypuszczał, że chodzi o coś, co było najgroźniejsze dla interesów i bezpieczeństwa Rosji. Uznał jednak, że nie powinien dzielić się z Dbcconem swoimi podejzzeniami, tym bardziej że linie łączności ich jednostek, jak na ironię, przechodziły przez Niemcy. Zresztą cała ich operacja w gruncie rzeczy rozpoczęła się na terenie Niemiec, a więc w kraju, który planował zakup ukraińskich głowic. Rzeczywiście, jak na ironię. W każdym razie ta operacja dowodziła, że Pan Bóg jednak pamięta o Rosji.

Chwila milczenia, jaka zapanowała, pozwoliła się Dixo-nowi domyślić, że Worisznów zapewne o czymś wie, ale nie

chce się rym jednak podzielić z Amerykanami. Dlatego też przezornie zmienił temat rozmowy:

- Coś nowego od ostatnich meldunków, jakie widziałem? - zapytał Yosta.
- Nic. Wszystkie oddziały zajęły pozycje obronne i na rozkaz z 10. Korpusu gotowe są bądź do podjęcia operacji ofensywnych, bądź do rozpoczęcia wycofywania się z Ukrainy. Na razie jednak całkowita cisza, na nic się nie zanoszą. Naszym jedynym zmartwieniem jest burza.
- Dużo śniegu spadło?
- Jakież piętnaście centymetrów, może nieco więcej.

Dixon postawił kubek po kawie obok nogi krzesła i wstał.

- No, idę się trochę położyć, a wy tutaj bądźcie mili dla siebie i nie kłóćcie się.
- Czy to rozkaz? - zapytał sierżant sztabowy Duncan, a Worisznow pomyślał, że amerykańskie poczucie humoru i atmosfera panująca w tej armii są jednak dla Rosjan trudne do zrozumienia. Nawet wybuch jądrowy niewiele w tym zmienił, a zachowanie się amerykańskich oficerów w dalszym ciągu było takie jak zawsze, czyli - według standardów armii rosyjskiej - mało profesjonalne. Pomyślał też, że chyba właśnie dlatego tak wielu spośród jego kolegów nie traktowało poważnie amerykańskich sił zbrojnych.

Yost również wstał, podszedł do Dixona i poinformował go szeptem, że dowódca 3. Batalionu 3. Pułku Piechoty, podpułkownik Richard

Zacharzuk, chce z nim jak najszybciej porozmawiać o pewnej personalnej sprawie.

- Jak się domyślam, chodzi o porucznika Ellerbee, czy tak?

Yost, zaskoczony, skinął głową.

- Tak, *sir*. Dokładnie tak. Skąd pan o tym wie? Rozkładając ręce, jakby w zdumieniu, Dixon zażartował:
- Wielki Wódz wszystko widzi i wszystko słyszy.

To głośno wypowiedziane oświadczenie usłyszeli wszyscy znajdujący się w namiocie. Przerwali na chwilę pracę i patrzyli na swego dowódcę. Dbcon uśmiechnął się i powiedział do Yosta już ściszym głosem:

TRÓJKĄT ŚMIERCI

131

- Spotkałem po drodze Jimma Tuttle'a i ten poinformował mnie, jak na to patrzą pancemiacy. A czego chce Rick Zacharzuk i zainteresowany dowódca kompanii?
- Rick i Nancy Kozak chcą, by Ellerbee wrócił ze swoim plutonem do pułku. Kozak nie chce go dłużej mieć u siebie.

Dbcon ziewnął.

- Miałem nadzieję, że tej nocy mnie to ominie.

Yost wzruszył ramionami.

- Musi pan przyznać, że jeśli oficer wysyła swojego żołnierza na pewną śmierć, a sam podczas bitwy traci kontakt z własnym oddziałem, to coś tu jednak jest nie w porządku.
- David, ja też tak myślę, ale nie mamy jeszcze pełnej informacji.

Mamy tylko meldunki dwóch dowódców batalionów, z których żaden nie był tam na miejscu, a obaj są przemęczeni całą operacją. Nie przeprowadzę żadnych zmian i nie zdejmę oficera bez choćby pobieżnego dochodzenia - Dixon zamilkł na chwilę. - Sytuacja na południu ustabilizowała się i nic nie wskazuje na to, by 3. Kompania została zaangażowana w nowe działania. Przekaż dowódcom obu batalionów, że nie podjąłem żadnych decyzji i nikogo nie wycofuję. Ellerbee zostaje tam, gdzie jest, ma robić to, co do niego należy. Potem, jak już będziemy mieli spokojne głowy, przyjrzymy się sprawie i podejmiemy decyzje. Jasne?

- Jasne, *sir*.

Dixon znów rozejrzał się po zebranych.

- David, pułkownik Worisznow i ja padamy z nóg. Chcemy choć chwilę odpocząć. Jeśli nie będzie nic pilnego, proszę nas nie budzić przynajmniej do piątej rano.

Duncan wstał i zwracając się do Yosta powiedział:

- Poinformuję dyżurnego podoficera i zaprowadzę pułkowników na kwaterę.

Zadowolony, że wszystko w porządku i że Jego obecność nie jest tu niezbędna, zaczął zbierać swoje rzeczy.

- Mam nadzieję, sierżancie, że te kwatery nie są zbyt daleko - a spojrzawszy na Worisznowa dodał: - Nie jest miło się starzeć.

- Nic na ten temat nie wiem, pułkownik Dixon. Ja się jeszcze nie starzeję.

Dixon pokręcił głową, nie spodziewał się poczucia humoru i tak szybkiej riposty Rosjanina. Odwrócił się i ruszył do wyjścia.

Jan Fields-Dixon, wprowadzoną do gabinetu kongresmana Lewisa, powitał jego serdeczny uśmiech.

- Kopę lat, Jan! Wygląda na to, że odwiedzasz mnie tylko wtedy, gdy nasza prezydent podejmuje inwazje na jakieś kraje.

Nieco zaskoczona tym niewymuszonym uśmiechem i swobodnym zachowaniem kongresmana, Jan patrzyła na niego zdziwiona. Zauważył to i spytał:

- Czy powiedziałem coś złego?

Pokręciła głową i zaśmiała się.

- Ależ skąd. Prawdę mówiąc, myślałem, że będziesz w całkiem innym nastroju.

Lewis zachichotał i podprowadził ją do krzesła.

- Musiałaś chyba rozmawiać ostatnio z moją żoną, Amandą. Za każdym razem, gdy usłyszysz jakąś szczególną wiadomość, dzwoni i każe mi się uspokoić.
- No cóż, Ed, masz opinię kogoś, kto jako pierwszy wszczyna najgłośniejsze awantury, podczas gdy nasza administracja przekracza granice logiki i zdrowego rozsądku.

Lewis znów zachichotał.

- Mam nadzieję, że to opinia prawdziwa i zasłużona.

Spojrzała na niego pytająco.

Lewis z premedytacją milczał chwilę, dając jej czas na rozważenie tego, co powiedział.

- Widzisz, Jan, to taki trik. Kiedy tylko zacząłem urzędować w Waszyngtonie, za każdym razem, gdy administracja albo moi koledzy z Kongresu zrobili coś, co uważałem za głupie, rzeczywiście wpadałem w szal. Właściwie przez cały pierwszy rok stale byłem wściekły. Z czasem jednak nauczyłem się nad sobą panować.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

133

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, Ed, że się zmieniłeś.

Lewis parsknął śmiechem.

- Nie, nie aż tak dramatycznie. Ale nieco wydoroślałem. Po prostu częściej powtarzam sobie maksymę, której nauczyłem się od Arabów, gdy walczyliśmy nad Zatoką Perską.
- Pozwól, że zgadnę. To coś o Allachu i spokoju. Scott mi to zawsze powtarza, kiedy się do czegoś zapalam.
- *InshaUah*, Bóg tak chce.
- No właśnie. Co z wami, chłopcy? Tak was tam ci Arabowie przekabacili?
- Nic podobnego. Po prostu z czasem nauczyliśmy się nad sobą nieco lepiej panować. I ja też.

Jan zamyśliła się. Scott... Była przekonana, że i on jest teraz właśnie na Ukrainie. Nie ogłoszono wprawdzie wykazu jednostek, które brały

udział w operacji, ale intuicja jej podpowiadała, że jednostka Scotta też tam jest. Dowódcy zawsze wyznaczali mu najtrudniejsze zadania, zawsze posyłali go tam, gdzie prowadzono skomplikowane i trudne akcje. Przecież właśnie jego brygadę wysłano z misją pokojową na Słowację..

Zorientowawszy się, że kongresman patrzy na nią z zainteresowaniem, zmusiła się do powrotu do rzeczywistości.

- A więc wydorostałeś - powiedziała.
- Chyba tak właśnie można to określić. Po prostu w pewnym momencie zrozumiałem, że każdy kryzys, każde głupstwo powodowały, że wchodziłem na orbitę, najczęściej zupełnie bezsensownie, nie zastanawiając się nad ceną, jaką zapłacę ja sam i moja rodzina. A więc powiedziałem sobie: „Koniec z tym wygłupianiem się”. I od tego czasu zacząłem powtarzać to arabskie przysłowie, którego znaczenie wreszcie pojąłem. - Pochylił się w jej stronę i patrząc jej w oczy, dodał: -Teraz, zanim cokolwiek zrobię, sam zadaję sobie pytanie: „Co mogę osiągnąć, w czym mogę pomóc i jakim kosztem?”

- Mądrość przychodzi z wiekiem - skomentowała to Jan.

Pokiwał głową.

134

HAROLD COYLE

- Masz niewątpliwie rację. Nie sądzę jednak, byś się tu fatygowała razem ze swoją ekipą, by wysłuchiwać rozwa

zań starego człowieka na temat jego stosunku do życia.
O czym chciałabyś rozmawiać w czasie wywiadu?

Otworzyła notatnik, który trzymała na kolanach, i zaczęła mówić. Lewis słuchał, rozważał pytania, jakie chciała mu zadać przed kamerą, czasami kiwał potwierdzająco głową, czasami zaprzeczał, gdy padało pytanie, jakiego wolałby uniknąć. Trwało to przez kilka minut, aż Jan przeszła do kwestii niemieckiej. Lewis zareagował jak byk podrażniony ukłuciem szpikulca. Zmrużył oczy, a ręce zacisnął w pięści.

- Tu czekają nas kłopoty - mruknął. - Zapamiętaj, co przepowiadam: poważne kłopoty.

Ta nagła reakcja pobudziła tylko jej ciekawość. Odłożyła notes i poprosiła, by wyjaśnił, co ma na myśli.

- No cóż, trzeba by zacząć od tego, że nasza administracja rzeczywiście popełniła wiele kardynalnych taktycznych błędów w stosunku do Niemców. Mam wrażenie, że Soares i jego ludzie z Departamentu Stanu w ogóle nie zdają sobie sprawy z tego, że Niemcy, z jakimi dziś mamy do czynienia, to nie są te same Niemcy, wobec których w latach pięćdziesiątych odgrywaliśmy rolę wielkiego brata. Po pięćdziesięciu latach pokuty za grzechy ojców i życiu w cieniu Żelaznej Kurtyny współcześni Niemcy mają poczucie, że wreszcie nadszedł czas, by mogli znów zająć należne im miejsce i zacząć odgrywać rolę przywódcy Europy Środkowej. - Lewis rozparł się wygodniej w fotelu i mówił dalej: -Na razie jeszcze nie ma się czego obawiać. Jeszcze nie rodzi się IV Rzesza czy coś podobnego. Niemniej...
- A więc przypuszczasz, Ed, że Niemcy będą się domagali czegoś więcej, niż mają obecnie?

- Nie potrafię sobie wyobrazić, by mogło być inaczej. To dumny, czasami nawet arogancki naród, wysoko ceniący własną kulturę i niezależność. Pokonali Rzymian, przeżyli wojnę trzydziestoletnią, która kompletnie zniszczyła ich kraj i spowodowała śmierć jednej trzeciej jego obywateli. Nie zgniótł ich Napoleon, a po straszliwej klęsce militarnej

TRÓJKĄT ŚMIERCI

135

1945 roku szybko się podnieśli. Podczas gdy my byliśmy zajęci innymi sprawami, Niemcy odżywali, zbierali się do kupy, pracowali, by wyjść z dołka. I teraz są znów gotowi. Są gotowi, Jan, do odegrania należnej im roli w światowej polityce. Gotowi do zemsty.

- I jak sądzisz, co zrobią?

Lewis potrząsnął głową.

- Boże, ja też chciałbym to wiedzieć. Bardzo wątpię, by pozwolili nam na bezkarne łamanie traktatu o strefie bezatomowej obejmującej Niemcy, i ograniczyli się do ostrego protestu, a Soares stara się przekonać panią prezydent, że tak się właśnie stanie. Nie, Jan, nasz przyjaciel Szczur nie ma najmniejszego pojęcia, z czym i z kim ma do czynienia.

Zamilkł i przez chwilę patrzył na blat swego biurka. Wyobraźnia podsunęła mu obraz Soaresa z jego szczurzą twarzą, od czego właśnie pochodziło jego przezwisko. Lewis pomyślał, że jest to nie tylko zwykły idiota. Jest to idiota na wysokim stanowisku, a to czyni go już

idiotą groźnym.

Przeniósł wzrok na Jan i wrócił do tematu.

- Niemcy na razie zachowują zdumiewający spokój, ale to świadczy o tym, że są gotowi do czegoś, czego nie będzie można zignorować.

Jan poczuła narastający niepokój, co zresztą wyczuwało się w jej głosie, gdy zapytała:

- Co masz na myśli? Akcję militarną? Niemcy byliby na tyle odważni, by to zrobić?

Lewis wzruszył ramionami.

- Być może. Kto wie? Wiem jedynie, że nie jest dobrym sygnałem to, że kiedy dwa kraje stają przed jakimś problemem spornym, zapada milczenie, nie ma żadnej dyskusji. Nie wiem, dlaczego Ruff, polityk tak bardzo pragmatyczny, nabrał teraz wody w usta. Jego milczenie na oświadczenie ogłoszone przez nasz Departament Stanu skłania mnie do jak najgorszych przypuszczeń.

Przez chwilę Lewis i Jan milczeli. Wreszcie kongresman uśmiechnął się i kładąc ręce na biurku, powiedział:

136

HAROLD COYLE

- Nie chciałbym cię popędzać, ale mam dziś jeszcze jedno spotkanie, a o siódmej Amanda będzie czekać na mnie w domu z kolacją.

Jan spojrzała na zegarek.

- Tak, czas ucieka. Przygotuj się, Ed, a ja zawołam

kamerzystów.

Jak wszyscy żołnierze niemieckiej 1. Dywizji Spadochronowej, młodzi spadochroniarze 2. Kompanii wchodzącej w skład 26. Brygady uważali się za elitę armii. Ich umiejętności były owocem ciężkiej pracy dowódców wszystkich szczebli, doskonałych profesjonalistów, uważnie obserwujących postępy podkomendnych i reagujących natychmiast na najmniejsze błędy i wykroczenia. Dowódcy ci traktowali swoje obowiązki niezwykle poważnie. I zapewne dlatego żołnierze 2. Kompanii tak byli zaabsorbowani przygotowaniem do inspekcji, że nie zauważyli obecności dowódcy brygady, pułkownika Jo-hanna Haasa.

A pułkownik, jak to było w jego zwyczaju, zjawił się, by przyjrzeć się ostatnim przygotowaniom przed wyruszeniem kompanii do akcji. Haas znany był z tego, że jak duch poruszał się w ciemnościach po polu ćwiczeń, sprawdzał i pilnował dokładnego wykonania rozkazów. A tej nocy podlegała mu jednostka miała wykonać zadanie, do którego była przygotowywana od lat.

Obecność pułkownika zauważył dopiero jeden z sierżantów i powiadomił o tym swego dowódcę. Ten jednak kontynuował przegląd kompanii, a w szczególności broni, i dopiero kiedy skończył, ruszył, by się zameldować pułkownikowi.

W świetle księżyca przenikającym przez sosny nikt nie byłby w stanie odróżnić pułkownika od dowódcy kompanii. Tyle że dowódca kompanii miał na głowie hełm, a Haas, mimo zimna, brązowy beret. Tak więc sylwetki obu oficerów były do siebie bardzo podobne. Różniło ich usposobie-

nie: Haas z trudem nad sobą panował i z trudem zachowywał spokój.

Ciągle jeszcze nie mógł się uporać z szokiem, jakiego doznał, gdy przeczytał rozkaz wręczony mu przez doradcę militarnego kanclerza, pułkownika Hansa Kaspera. Przez dłuższy czas, gdy Kasper wyjaśniał swe stanowisko, Haas nie mógł się powstrzymać od podejrzeń, że ma do czynienia z ćwiczeniami, których celem jest zbadanie jego lojalności oraz gotowości jego podkomendnych do wykonania każdego zadania w sytuacji zagrożenia bezpieczeństwa kraju. Kiedy jednak już się upewnił, że nie chodzi o rutynowe ćwiczenia, a Kasper mówi poważnie, z trudem przyszło mu zaakceptowanie tego, co usłyszał. Oczywiście nie ujawniał swoich wątpliwości i starał się nie dopuścić do tego, by miały jakikolwiek wpływ na jego obowiązki. Rozkazy były rzeczywistością, a ich autentyczność nie mogła budzić najmniejszych podejrzeń. Argumenty i dowody przedstawione przez Kaspera były niepodważalne. Były to po prostu rozkazy jego zwierzchników. Haas skrył więc swe obawy i wątpliwości pod maską żołnierza dowódcy i przygotowywał swój oddział do wykonania tego, co im zostało zlecone.

I teraz, na kilka minut przed dwunastą, a więc tuż przed rozpoczęciem operacji, Haas nie był w stanie wyzbyć się różnych obaw. Obaj stojący naprzeciwko siebie dowódcy byli jednakowo umundurowani, ale ich myśli były diametralnie różne. Dowódca kompanii zajmował się wyłącznie problemami praktycznymi, wynikającymi z potrzeby chwili, a więc z przygotowania jego stu ludzi do stoczenia trudnej walki.

Troszczył się o uzbrojenie, zastanawiał nad pozycjami przeciwnika, rozważał manewry, jakie należało wykonać, by tego przeciwnika jak najszybciej zneutralizować. Myślał o koordynacji oddziałów wspierających z oddziałami atakującymi i o dziesiątkach innych spraw, od których rozwiązania zależało powodzenie operacji.

Haas natomiast myślał o sprawach wychodzących daleko poza sam przebieg operacji. Był absolwentem słynnej *Kriegsakademie* i kandydatem na członka Sztabu Generalnego, człowiekiem o szerokich horyzontach, nie mógł

138

HAROLD COYLE

więc nie rozważać politycznych i międzynarodowych implikacji poczynań, jakie miały właśnie podjąć jego oddziały. Inne kraje Europy, w szczególności Francja i Polska, nie mogły pozostawać bierne. Przede wszystkim jednak Amerykanie, których jednostki były rozrzucone po całych Niemczech, nie mogli się pogodzić z takim postępowaniem Niemiec, bez względu na to, czym by było ono uzasadniane. Doskonale wiedział, że Amerykanie mieli skłonność do korzystania z przepisów prawa międzynarodowego jako instrumentu służącego wyłącznie ich interesom. Przestrzegali tego, co im odpowiadało, a ignorowali to, co uznawali za niekorzystne dla siebie.

Do tego dochodziła też jego przyjaźń z Amerykanami. Nawet teraz, słuchając meldunku dowódcy kompanii o gotowości do zaatakowania amerykańskiej bazy, Haas miał na ramieniu odznakę amerykańskich spadochroniarzy, którą otrzymał po trzytygodniowych, morderczo męczą-

cych manewrach w upalnej Georgii. Wiele wspomnień z jego żołnierskiej służby dotyczyło właśnie współpracy z amerykańskimi kolegami, z tymi, których miał teraz zaatakować, wykonując rozkazy, które uznawał w głębi duszy za niesłuszne.

Cóż miał jednak robić? Stał przed potwornym dylematem. Zgodnie z oficjalną wykładnią zasad Bundeswehry, oficer był zobowiązany do wykonywania rozkazów z pełną świadomością. Jeśli otrzymywał rozkaz, który uważał za wątpliwy, miał nie tylko prawo, ale nawet obowiązek nie wypełniać go. W takim duchu utworzona w 1955 roku Bundeswehra kształtowała morale oficerów. Wskazywano, że uczestnicy zamachu z 20 lipca, usiłujący zgładzić Hitlera, byli oficerami, którzy postępowali świadomie i nie chcieli działać niezgodnie z tym, co uznawali za słuszne. Haas słuchając meldunku miał wrażenie, że słyszy słowa swojego wykładowcy z akademii: - „Wprawdzie lojalność wobec narodu ma znaczenie nadrzędne, ale nie wolno wam zapominać, że musicie się zawsze kierować zasadami moralnymi, bo tylko to pozwoli wam odróżnić dobro od zła”.

Ta piękna teoria nie miała jednak tej nocy żadnego zastosowania. Haas był przekonany, że nie może się nią teraz kierować, i nie ma nikogo, do kogo mógłby się zwrócić po radę lub z kim mógłby przedyskutować swoje wątpliwości. Ostateczną decyzję musiał podjąć sam, w swoim sumieniu. Przypomniawszy sobie, że w 1813 roku, przed bitwą pod Lipskiem, król pruski powiedział swoim żołnierzom, że ci, którzy w głębi duszy nie zgadzają się z rozkazami, mogą odejść. Król dobrze wiedział, że wielu żołnierzy, jako

sojusznicy Francji, walczyło ramię w ramię z Francuzami podczas wojny z Rosją. Ale jemu nikt teraz takiej możliwości nie ofiarowywał. Jego zwierzchnicy z Berlina ograniczyli się jedynie do przesłania rozkazów.

Bił się jeszcze z myślami, gdy dowódca kompanii skończył swój meldunek. Młody oficer był wyraźnie zniecierpliwiony. Zerkał na zegarek i chciał wrócić do swego oddziału. Zapytał, czy są jakieś dodatkowe rozkazy. Haas, zanim odpowiedział, przez chwilę przyglądał się podkomendnemu. Ale nie wiedząc, co powinien mu powiedzieć, skinął tylko głową i rzucił krótko:

- Nie, to wszystko. Rozkazy znacie.

Dowódca kompanii, zadowolony, że nie ma już żadnych zmian, zasalutował i odszedł pozostawiając Haasa samego, zdumionego, że tak łatwo wypowiedział słowa: „rozkazy znacie”. Po raz pierwszy w pełni uświadomił sobie, co musiał czuć jego ojciec, gdy wybuchła druga wojna światowa. Dopiero teraz zrozumiał, co się naprawdę wydarzyło w 1939 roku. I teraz pułkownik Johann Haas, dowódca elitarniej 26. Brygady Spadochronowej, poczuł wstyd.

Rozdział VII

8 stycznia

Chociaż nie miał w tej chwili nic do roboty, generał major Earl Lowery nie opuszczał centrum operacyjnego. W Bazie Lotniczej Sembach było cicho i spokojnie. Jedynie w centrum operacyjnym panowała atmosfera napięcia i wyczekiwania, ale i tu nie wyczuwało się pośpiechu czy nerwowości. Była 2.30. Z powodu śniegu i złej pogody oraz braku zgody rządu niemieckiego na start amerykańskich samolotów wojskowych wszelkie działania zostały wstrzymane. Lowery pozostał jednak na swym

posterunku, jak kapitan, który podczas sztormu nie schodzi z mostka. Czuwał, nadsluchiwał i czekał...

Brzęczek telefonu przerwał ciszę panującą w centrum dowodzenia. Wszyscy podnieśli głowy i dopiero po chwili zorientowali się, że to dzwoni telefon na biurku pułkownika Horsta Maiera, oficera łącznikowego Luftwaffe. Ponieważ wiadomo było, że sprawa nie dotyczy żadnego z nich, wszyscy, łącznie z Lowerym, powrócili do swoich rozmyślań.

Zorientowawszy się, że łączono się z nim przez linię bezpośrednią do dowództwa Luftwaffe, Maier podniósł słuchawkę i zgłosił się po niemiecku:

- Tu Maier.

Usłyszał znajomy głos dobrego kolegi oficera.

- Halo, Horst. Tu Rudi. Rudi Poersel. Poznajesz mnie po głosie?

Zdumiony tym dziwnym pytaniem, Maier zmarszczył brwi.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

141

- Oczywiście, że poznaję. Co robisz we Frankfurcie? Myślałem...

Poersel przerwał mu.

- Horst, nie jestem we Frankfurcie, lecz w Berlinie. Włączono nas na linię - tu umilkł, a Maier usłyszał, jak jego kolega nabiera powietrza. - Uważaj, Horst. Zaraz oddam słuchawkę generałowi Gorbowi. Wierz mi, to na prawdę sam generał, jesteśmy w Berlinie.

Zdumionego Maiera, czekającego, co też szef sztabu Luftwaffe może mieć do powiedzenia, ogarnął niepokój. Po chwili usłyszał w słuchawce:

- Pułkowniku Maier, tu generał Gorb. Wierzycie, że to naprawdę ja?

Maier, oniemiały z zaskoczenia, dopiero po chwili był w stanie odpowiedzieć:

- Tak jest, generale Gorb. Wierzę, że to naprawdę pan. Co mogę dla pana zrobić?

Gorb miał nieco zachrypnięty głos:

- Chodzi o sprawę najwyższej wagi. Ma pan bardzo niewiele czasu. Nie wolno panu ani słowa powiedzieć tym, co tam są z panem, o otrzymanych poleceniach. Jeśli pan nie wypełni rozkazu dokładnie, konsekwencje tego mogą być niewyobrażalne. Zarówno dla Amerykanów, jak i dla Niemców. Rozumie pan?

Po raz pierwszy Maier zdobył się na odwagę i powiedział, co myśli:

- Nie, panie generale, nie rozumiem, ale słucham.

- Rozumiem pańskie zaniepokojenie, pułkowniku Maier. To może dziwnie brzmi, ale nie mamy czasu, by załatwić to w inny sposób. Zapewniano mnie jednak, że jest pan oficerem odpowiedzialnym i polecenia wykona pan precyzyjnie.

To ostatnie zdanie jeszcze pogłębiło obawy Maiera. Nie potrafiąc wymyślić nic innego, odpowiedział bez namysłu:

- Oczywiście, panie generale. Może pan być pewien,

że wykonam rozkaz z największą skrupulatnością.

Gorb odparł:

142

HAROLD COYLE

- Tak, niczego innego zresztą nie oczekuję. A więc kiedy odłoży pan słuchawkę, niech pan podejdzie do wejścia do waszego punktu dowodzenia. Tam zaczeka pan na pułkownika Johanna Haasa, dowódcę 26. Brygady Spadochronowej. Kiedy się zjawi, zaprowadzi go pan do generała Lowery'ego i posłuży im pan za tłumacza. Jasne?

Już sama rozmowa z dowódcą sztabu Luftwaffe, o tej porze i w takiej formie, była czymś zdumiewającym, ale myśl, że w centrum ich bazy, podczas tak szczególnej operacji, może się znaleźć dowódca elitarniej jednostki spadochroniarzy, przechodziła wszelkie wyobrażenia.

- Panie generale, a w jaki sposób pułkownik Haas przedostanie się na teren bazy? Sam sporządzałem listę niemieckiego personelu, który ma prawo przebywać w Sembach w czasie operacji, i nie było na niej pułkownika Haasa.
- To nie pana sprawa, pułkowniku, w jaki sposób pułkownik Haas dostanie się na teren amerykańskiej bazy. Pan ma tylko poczekać na niego przy wejściu do centrum dowodzenia i jak najszybciej zaprowadzić do amerykańskiego generała. Tak brzmi rozkaz, jaki ma pan wykonać. Rozumie pan?

Maier, oszołomiony, nie był w stanie wydusić z siebie ani jednego słowa i dopiero gdy Gorb powtórzył: - Pułkowniku Maier, czy zrozumiał pan

rozkaz? - odparł z trudem:

- Tak jest, panie generale, zrozumiałem.
- Doskonale. Powodzenia.

To był koniec rozmowy, ale Maier nie odłożył od razu słuchawki, tylko trzymał ją przy uchu, patrząc zdumionym wzrokiem przed siebie.

Gdy wreszcie chciał już wstać, coś mu przyszło do głowy. Przecież może bez trudu sprawdzić, czy rzeczywiście jego przyjaciel i ten ktoś, kto podawał się za generała Gorba, dzwonili z Berlina. Podniósł słuchawkę. Po chwili zgłosił się oficer dyżurny z Frankfurtu. Maier zapytał go, czy w ciągu ostatnich pięciu minut łączono się z nim poprzez tę linię z Berlinem. Odpowiedź była natychmiastowa:

TRÓJKĄT ŚMIERCI

143

- Tak jest, panie pułkowniku. Dzwoniono do pana ze sztabu. Dlaczego pan pyta? Czy mam pana z nimi jeszcze raz połączyć? Z gabinetem generała Gorba otrzyma pan połączenie błyskawicznie.

Niepewny, co robić, Maier powiedział:

- Nie, dziękuję. Nie ma potrzeby.

Wolno odłożył słuchawkę i przez kilka chwil siedział bez ruchu. Wreszcie, przekonany, że rozkaz jest jednoznaczny, wstał i ruszył ku wyjściu. Idąc sprawdzał, czy ktoś mu się przygląda. Ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, oficer operacyjny dywizji zapytał oficera wywiadu:

- Dokąd on poszedł?

Ponieważ oficer wywiadu w ogóle nie zauważył, że ktoś wychodził, zapytał, w czym rzecz. Usłyszawszy odpowiedź, wzruszył tylko ramionami i mruknął:

- Jeśli jest mądrym facetem, to poszedł się położyć, co powinniśmy byli zrobić wszyscy już przed godziną.

Wyszedłszy z jasno oświetlonego wnętrza, Maier poczuł natychmiast przejmujące zimno. Stwierdził, że jest ciemna noc, a śnieg przestał padać. W ogóle nie widział minionego dnia, bo kiedy wchodził do bunkra, panowała noc, a gdy go teraz opuścił, nastąpiła już noc kolejna. To zawsze rodziło w nim poczucie, że stracił Jeden dzień życia i potęgowało niechęć do pracy w tych podziemiach. Był oficerem Luftwaffe i pilotem transportowym. Jego żywiołem były przestworza. W bunkrach, jego zdaniem, powinni byli pracować tylko ci z piechoty.

Już zaczął się zastanawiać, czy nie powinien zawrócić, gdy w świetle reflektorów pojawiła się jakaś postać. Człowiek ten szedł pewnym, wojskowym krokiem, kierując się prosto na niego. Gdy zauważył go pełniący służbę wartownik, wyszedł z budki i zdjął z ramienia pistolet maszynowy. Maier podniósł szybko rękę i powiedział do żołnierza:

- Wszystko w porządku. Czekam na tego oficera.

Zaskoczony żołnierz patrzył to na Maiera, to na nadchodzącego.

144

HAROLD COYLE

- Nikt z posterunku przy bramie nie powiadomił mnie, pułkowniku, że ktoś wjechał do bazy. Muszę tego pana

zatrzymać i sprawdzić.

Maierniekryjącniecierpliwienia, odparł:

- Nie mamy czasu na czekanie. Ręczę za tego oficera, to pułkownik armii niemieckiej. Czekaj na niego wasz generał. Jeśli to sprzeczne z waszymi regulaminami, możemy to potem wyjaśnić.

Wartownik popatrzył na pułkownika. Wahał się, czy nie należałoby zatrzymać obu Niemców i powiadomić o incydencie dowódcę zmiany. Nie wątpił, że to, co mówił pułkownik, jest prawdą. Zawsze gdy ogłaszano, że będzie przeprowadzona jakaś operacja, w bazie zaczynał się cyrk. Jacyś pułkownicy i generałowie z dowództwa Wojsk Lotniczych wchodzili i wychodzili, i nikt nie sprawdzał ich dokumentów. Wartowników powiadamiano tylko, że będzie wzmożony ruch oficerów. Zatem w pojawieniu się tego Niemca wartownik również nie widziałby nic dziwnego, gdyby nie fakt, że człowiek ten nadchodził od strony hangarów, a nie od głównej bramy.

Widząc wahanie wartownika, Maier postanowił jeszcze ostrzej zablefować.

- Jakież problemy? Czy mam zadzwonić do generała Lowery'ego i prosić, by osobiście poinformował, że czeka na pułkownika Haasa?

Żołnierz zrobił krok do tyłu. Była 2.40 nad ranem i chyba ostatnią rzeczą, na jaką mógłby się o tej porze zdecydować, było ściąganie na siebie gniewu generała Lowery'ego. Wartownik przestał się więc upierać, zasalutował i przepuścił pułkowników. Haas, zdając sobie sprawę z powagi sytuacji, również zasalutował i bez słowa ruszył za Maierem.

Gdy znaleźli się w korytarzu, Maier poinformował Haasa o rozkazie, jaki otrzymał z Berlina od generała Gorba. Potem zatrzymał się, spojrzął na Haasa i zapytał:

- Na Boga, o co tu właściwie chodzi? Jak się pan dostał na teren bazy?

Twarz Haasa przypominała zastygłą maskę. Nie tylko dlatego, że się śpieszył, ale i z tego powodu, że głęboko

TRÓJKĄT ŚMIERCI

145

pogardzał oficerami lotnictwa, których uważał za rozpuszczone przedmowy armii.

- Macie rozkaz doprowadzenia mnie do generała Lowery'ego i przedstawienie mnie, jako dowódcę 26. Brygady Spadochronowej. Potem będziecie tłumaczyli to, co mam do powiedzenia. Dokładnie, słowo w słowo. Czy to dla was jasne, pułkowniku?

Maier poczerwieniał ze złości, ale nie zmieszany Haas ciągnął dalej:

- Pułkowniku - mówił ostrym, rozkazującym tonem - mam nadzieję, że pańscy zwierzchnicy powiedzieli wam, iż macie dokładnie wykonywać moje polecenia i że nie mamy czasu na dyskusje. A teraz albo zaprowadźcie mnie do generała Lowery'ego, albo sam go znajdę.

Głos Haasa nie miał pojednawczego tonu. Jego twarz była nieprzyjemna, odpychająca. Nie podejmując już dyskusji, Maier ruszył w kierunku centrum dowodzenia, a idący o krok za nim Haas powiedział:

- Ostrzegam was, macie tłumaczyć dosłownie, bez jakichkolwiek zmian. Nie próbujcie niczego przekręcać, ja dość płynnie mówię po angielsku.

Maier nie zareagował. Znał wielu niemieckich oficerów, którzy czuli się urażeni przepisem, zgodnie z którym wszyscy wyżsi oficerowie mieli obowiązek uczenia się angielskiego, by móc współpracować z amerykańskimi sojusznikami, choć to Amerykanie przyszli do Niemiec. Przypuszczał, że Haas nie chce sam rozmawiać po angielsku, by podkreślić, iż występuje w imieniu narodu niemieckiego i dlatego musi mówić swym ojczystym językiem. Zrezygnowawszy z próby dowiedzenia się czegokolwiek więcej, Maier ruszył korytarzem, a Haas podążał o krok za nim.

Z zadumy wyrwał Lowery'ego odgłos kroków za jego plecami i rzucone głośno przez jednego z oficerów operacyjnych: „Maier!” Zsunął nogi z parapetu i nie wstając odwrócił fotel, co nastąpiło dokładnie w tym momencie, gdy tuż przed nim zatrzymali się Haas i Maier. Zobaczył, że za ich plecami pojawił się oficer operacyjny, który najwidoczniej zerwał się od biurka.

146

HAROLD COYLE

Przez moment panowała cisza, a Lowery przyglądał się niemieckiemu spadochroniarzowi. Twarz miał poważną, wręcz zaciętą, a śnieg topniejący na jego butach wskazywał, że człowiek ten właśnie przybył z zewnątrz. Niemiecki pułkownik miał na głowie spadochroniarski brązowy beret, a na ramieniu pistolet maszynowy. Z jego twarzy można było z

łatwością wyczytać, że jest zdecydowany na działanie i gotowy do podjęcia walki. Generał już chciał zapytać, co to ma znaczyć, gdy Maier, nie patrząc mu w oczy, zaczął mówić głosem takim, jakby składał meldunek:

- Generale Lowery, to jest pułkownik Johann Haas, dowódca 26. Brygady Spadochronowej. Otrzymałem rozkaz, by go panu przedstawić i służyć panom za tłumacza.

Z tyłu rozległ się głos wyraźnie zdenerwowanego oficera operacyjnego:

- Chwileczkę! Co to ma znaczyć? Jak możecie wprowadzać...

W tym momencie, wbiwszy wzrok w Lowery'ego, odezwał się Haas. Mówił po niemiecku, dość wolno, dokładnie akcentując wyrazy. Lowery, który nie znał niemieckiego nawet na ryle, by móc zamówić szklankę piwa, spojrzał na Maiera, oczekując na tłumaczenie. Zauważył, że twarz niemieckiego oficera łącznikowego pobladła, a w jego oczach dostrzegł zdumienie i przerażenie. Było oczywiste, że tak zareagował na to, co powiedział przybyły pułkownik.

Gdy Haas skończył, Maier zamiast rozpocząć tłumaczenie, zwrócił głowę w kierunku pułkownika. Haas na chwilę oderwał wzrok od generała i zimno, rozkazująco popatrzył na Maiera. Ten nabrał powietrza w płuca i zaczął tłumaczyć:

- Generale Lowery, pułkownik Haas prosi, by w celu uniknięcia rozlewu krwi wydał pan natychmiast rozkaz wycofania i powrotu do koszar jednostki wartowniczej, strzegącej głowic nuklearnych.

W pomieszczeniu dowódcy bazy zapanowała złowroga cisza. Jedyne

przez szybę przebijał szmer rozmów z hali operacyjnej. Nikt się nie poruszył, nikt niczego nie komen-

TRÓJKĄT ŚMIERCI

147

tował. Wszyscy patrzyli na Haasa i na generała. Ten ostatni, przełamując szok, jakim było dla niego żądanie Niemca, wstał i zrobił krok w kierunku Haasa. Był od niego o wiele wyższy, więc patrzył teraz na pułkownika z góry.

- Z czyjzego rozkazu wysuwa pan takie żądanie? - zapytał.

Haas nie czekał na tłumaczenie, tylko natychmiast odpowiedział po niemiecku i spojrzał na Maiera, ten zaś zaczął tłumaczyć:

- Otrzymałem od kanclerza Johanna Ruffa rozkaz przejęcia kontroli nad głowicami nuklearnymi, które pański rząd wprowadził do naszego kraju, łamiąc zasady Porozumienia Berlińskiego podpisanego przez rządy naszych krajów.

Lowery'emu nie umknął fakt, że Haas nie czekał na tłumaczenie. Pomyślał, że ten pułkownik jest niezwykle hardy i niebywale pryncypialny. Uważał pewnie, że rozmowa po angielsku byłaby obrażą jego godności. Uznał więc, że i on będzie oficjalny i zasadniczy.

- Mam nadzieję, że pan rozumie, iż nie mam uprawnień do przekazywania tej broni komukolwiek. Nie mogę również podejmować żadnych negocjacji w tej sprawie. W tej kwestii muszą się odpowiednimi kanałami porozumieć nasze rządy.

Haas, znów nie czekając na tłumaczenie, odpowiedział, a Maier po chwili przetłumaczył:

- Pan mnie nie rozumiał, generale. Ja nie przybyłem tu na negocjacje. Ja proszę tylko o wycofanie straży i przekazanie mi kontroli na głowicami. W przeciwnym razie wykonam swoje rozkazy przy użyciu siły.

Lowery miał ochotę krzyknąć, że Niemcy się na to nie zdobędą, ale w ostatniej chwili się pohamował. Nie ulegało wątpliwości, że tamci nie blefują. Haas sprawiał wrażenie zdeterminowanego, kogoś, kto dysponuje wszelkimi środkami, by wyegzekwować swoje żądania.

Lowery starał się błyskawicznie rozważyć, jak powinien zareagować, podczas gdy oficer operacyjny wcisnął się między obu niemieckich pułkowników i powiedział podniesionym tonem:

148

HAROLD COYLE

- Co pan sobie w ogóle wyobraża, wdzierając się tutaj i stawiając takie żądania?! Z kim pan ma do czynienia? Myśli pan, że się wystraszymy? Spróbujcie się tylko we drzeć do bazy, a rozerwiemy was na strzępy!

Haas spojrzał na mówiącego, strzepnął resztkę śniegu z butów, dyskretnie się uśmiechnął i odpowiedział. Maier, stojący teraz po drugiej stronie amerykańskiego pułkownika, przetłumaczył:

- Pułkownik Haas twierdzi, że jego żołnierze nie będą mieli najmniejszego problemu z przedostaniem się na teren bazy.

Teraz Haas, z którego twarzy zniknął ironiczny uśmiech zwrócił się znów do generała: Lowery słuchał tłumaczenia:

- Ma pan nie więcej niż dziesięć minut, generale, na podjęcie decyzji. Po upływie tego czasu moi ludzie, znajdujący się już na terenie bazy i otaczający hangary, uderzą bez dodatkowych rozkazów i zgniotą wasze straże i ewentualne siły interwencyjne. Gdybyście nawet teraz ostrzegli swoich ludzi o grożącym im niebezpieczeństwie, to niczego nie zmieni. Są otoczeni, a my jesteśmy gotowi do ataku.

Lowery patrzył przez chwilę na śnieg topniejący na podłodze wokół butów pułkownika, a potem spojrzał w jego oczy. Wydawało mu się, że widzi hangar w Da Nang, wypełniony trumnami. Zrozumiał, że nie wolno mu do tego dopuścić, nie wolno mu skazywać na śmierć tych młodych ludzi. Patrząc w oczy Niemca zrozumiał, że przegrał tę rundę. Nie mógł podjąć decyzji, która dla tych Bogu ducha winnych młodych ludzi byłaby wyrokiem śmierci.

Odwrócił się w stronę biurka i podnosząc słuchawkę telefonu, zapytał:

- Jaki jest numer do Harrisona?

Generał Bret Harrison, dowódca wszystkich sił zbrojnych USA w Europie, był jego bezpośrednim dowódcą. Oficer operacyjny natychmiast podpowiedział numer. Lowery wystukał go i chwilę czekał na połączenie, mając świadomość, że oczy wszystkich na tej sali patrzą na niego. Gdy zgłosił się dyżurny w kwaterze Harrisona, Lowery, by

TRÓJKĄT ŚMIERCI

natychmiast uzyskać połączenie z generałem, skorzystał z kodu, zarezerwowanego na wypadek, gdyby któryś z samolotów zgubił głowicę nuklearną. Powiedział więc:

- Tu generał Lowery z Sembach. Muszę poinformować generała Harrisona, że mamy *Złamaną Strzałę*, a więc proszę mnie z nim natychmiast połączyć.

Dyżurny bez wahania odpowiedział:

- Tak jest - i przełączył rozmowę do mieszkania dowódcy. Wyrwany ze snu Harrison warknął do słuchawki:
- Harrison.

Lowery, przewidując, że Harrison będzie niezbyt przytomny, zaczął mówić powoli, możliwie najwyraźniej.

- Tu Lowery z Sembach. Zostałem właśnie powiadomiony przez dowódcę niemieckiej brygady spadochronowej, że jego żołnierze zostali rozstawieni wokół hangarów, wewnątrz naszej bazy, i mają rozkaz przejęcia kontroli nad bronią nuklearną. W razie konieczności - siłą.

Słyszając to Harrison natychmiast oprzytomniał i zapytał:

- Czy on powiedział, od kogo ma te rozkazy? Lowery pokiwał głową.
- Twierdzi, że działa na rozkaz kanclerza Niemiec.
- Czy moglibyście to sprawdzić? Lowery popatrzył na zegarek i odparł:

- Nie mamy już czasu, generale. Niemiecki pułkownik twierdzi, że jego oddziały uderzą za pięć minut.

Stojący za jego plecami Haas poprawił go w płynnej angielszczyźnie:

- Za trzy minuty, generale.

Lowery odwrócił się, spojrział na Haasa złym okiem i poprawił się:

- Trzy minuty, *sir*. Mamy tylko trzy minuty.
- Jezus Maria, czy on mówi poważnie?

Patrząc na Haasa i na pistolet maszynowy na Jego ramieniu, Lowery odpowiedział:

- Nie wydaje mi się, generale Harrison, by ten oficer blefował. - Następnie zadał pytanie, którego Harrison się spodziewał. - Jakie są pańskie rozkazy?

150

HAROLD COYLE

Zostały niespełna trzy minuty, Harrison wiedział doskonale, że nie ma czasu na jakiegokolwiek konsultacje, nawet ze swoim sztabem. W tej sytuacji uznał, że ma do wyboru jedynie trzy drogi. Mógł polecić Loweryemu, by odrzucił niemieckie żądania i sprawdził, czy tamci mimo wszystko nie blefują. Jeśli blefują, nic się nie stanie. Jeśli nie blefują, to on swoją decyzją może uruchomić łańcuch wydarzeń, których ani on, ani Lowery nie będą w stanie opanować. Mogło dojść do rzeczy katastrofalnych, tym bardziej że nie mieli pojęcia, kto właściwie był ich przeciwnikiem. Nie wiedzieli, z jakimi siłami mają do czynienia, i nie mogli mieć pewności, czy uda się jednak uniknąć tragicznego rozlewu krwi.

Druga ewentualność polegała na tym, że Lowery wycofa strażę, Niemcy zgarną głowice, a cała sprawa stanie się przedmiotem negocjacji

dyplomatycznych. Ale sama myśl o przekazaniu innemu rządowi głowic nuklearnych, i to bez jednego wystrzału, była sprzeczna z tym, czego uczono i co wpajano każdemu amerykańskiemu dowódcy. Harrison pocieszał się jedynie myślą, że ma do czynienia z Niemcami, z sojusznikiem, z krajem, któremu już kilkakrotnie, pod odpowiednimi warunkami, chciano dać broń nuklearną. Ostatecznie Niemcy były krajem przyjaciół i ludzi cywilizowanych.

No i wreszcie mógł dać Lowery'emu wolną rękę, choć nie byłoby to posunięcie najlepsze. Lowery był specjalistą od transportu powietrznego. Innego rodzaju postanowienia operacyjne nie leżały w jego kompetencjach. Harrison natomiast był zawsze dumny z tego, że błyskawicznie podejmował wszelkie decyzje, był przecież dowódcą operacyjnym. Z reguły jego szybkie posunięcia okazywały się trafne. Obecnie zaś stał przed koniecznością podjęcia być może najważniejszej decyzji w swoim życiu.

Zrozumiał, że właściwie nie ma żadnego wyboru.

- Lowery, wy jesteście tu najstarszym dowódcą. Sami musicie decydować o tym, co słuszne. Radzę, byście wycofali strażę i nie stawiali oporu Niemcom. Byłoby dobrze, gdybyście nie dopuścili do wywiezienia głowic z Sembach, ale też nie przy użyciu siły.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

151

Lowery zapytał:

- Czy mam to zinterpretować jako rozkaz?

Harrison, zdenerwowany zarówno tym, że próbował zepchnąć

podjęcie decyzji na Lowery'ego, jak 1 zadany mu pytaniem, krzyknął:

- Tak, generale Lowery, to mój rozkaz! Przekazać głowie Niemcom!

Lowery zaczerpnął powietrza i polecił jednemu ze swoich współpracowników:

- Jim, połącz mnie z majorem Harkinsem - po czym zwracając do Haasa, poinformował go o swej decyzji. - Za chwilę wydam rozkaz wycofania straży. Poinformujcie o tym swoich ludzi i dajcie polecenie, by nie otwierali ognia.

Haas starał się ukryć zadowolenie i ulgę. Spojrzał na Maiera i powiedział po angielsku:

- Zadzwońcie pod numer 026, pułkownika Maier. Słuchawkę podniesie major Kessel. Powiedzcie mu, że realizujemy Plan Biały. - Podniósłszy wzrok na Lowery'ego, zauważył w jego oczach zdumienie. Podczas gdy Maier telefonował, on wyjaśnił: - Włączyliśmy się, generale, w wasz system telefoniczny w bazie. Było nam to potrzebne do sprawnego przeprowadzenia operacji.

Nie powiedział jednak Amerykaninowi, że te pięć minut, po upływie których miał się rozpocząć atak, to był zwykły blef. Major Kessel i oddział szturmowy mieli dokładną instrukcję nierozpoczynania ataku i czekania na jego rozkaz, chyba że usłyszeliby strzały lub sami zostaliby zaatakowani.

Adiutant Lowery'ego, kapitan James Wilks, podniósł słuchawkę i zaczął wykręcać numer do majora Harkinsa, dowódcy oddziału

wartowniczego Bazy Sembach. Zatrzymał się jednak po pierwszych cyfrach. Patrzył na Lowery'ego i na Haasa, zastanawiając się nad tym, co właściwie robi. Nagle zrozumiał, że jego dowódca, człowiek, którego ogromnie poważał i którego traktował jako wzór dla swojej własnej, przyszłej kariery, zgodził się na przekazanie stu głowic nuklearnych innemu państwu. Uświado-

152

HAROLD COYLE

mił sobie, że Harrison i Lowery chcą złamać podstawową zasadę, jaką kierowały się Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych od momentu, kiedy Ameryka stała się mocarstwem atomowym, to znaczy zasadę nieprzekazywania broni nuklearnej. W wyniku takiego działania - myślał - broń masowej zagłady znajdzie się w rękach Niemców, którzy, zmierzając do dominacji nad całym globem, sprowokowali dwie wojny światowe i byli odpowiedzialni za śmierć milionów ludzi na frontach i w obozach koncentracyjnych.

Wilks także uważał, że opór byłby teraz bezsensowny, ale sama myśl o przekazaniu Niemcom głowic wydawała mu się czymś przerażającym. Tej decyzji nie mogą podjąć Harrison czy Lowery, bez względu na liczbę gwiazdek, które mają na pagonach. Doszedłszy do tego wniosku, Wilks odłożył słuchawkę. Osłupiały Lowery patrzył przez chwilę na adiutanta. Dopiero po chwili dotarło do niego, co tamten robi. Ten brak subordynacji był dla niego szokiem. Nieco podniesionym głosem powtórzył rozkaz:

- Kapitanie Wilks, rozkazuję wam, byście natychmiast połączyli mnie z majorem Harkinsem.

Wilks nie odpowiedział. Odłożył słuchawkę, zrobił krok w tył i stanął na baczność. Nie ruszył się, chociaż Haas zdjął z ramienia pistolet maszynowy i wycelował w niego.

Wściekły na to nieposłuszeństwo, zdenerwowany wydarzeniami i zaskoczony zachowaniem Haasa, Lowery zaczął krzyczeć:

- Przeklęty! Przeklęty! Przecież wydałem ci rozkaz!

Ale Wilks nie wystraszył się krzyku.

Ci z hali operacyjnej, choć oddzieleni szybą, usłyszeli krzyki Lowery'ego i jak na komendę odwrócili głowy. Chcieli zobaczyć, co tak wyprowadziło generała z równowagi. Nie wiedząc, co się dzieje w pomieszczeniu dowódcy, patrzyli zdumieni, jak Lowery doskakuje do biurka Wilksa, odsuwa go na bok i łapie za słuchawkę telefonu, po czym wykręca numer, a czekając na połączenie, wściekłym wzrokiem mierzy stojącego na baczność kapitana.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

153

Charley Mordal nie dopuścił Jan do słowa i nawet się nie przywitał. Od razu wrzasnął w słuchawkę:

- Jan, miałaś rację! Ty Jedna to przewidziałaś!

Zdażyła się już przyzwyczaić do tych telefonów w środku nocy. Jej mąż, Scott, na dźwięk dzwonka wyskakiwał z łóżka i zanim dotknął nogami podłogi, był już całkowicie przytomny, Jan zaś potrzebowała na to nieco czasu. Tym razem, podniósłszy słuchawkę, również nie wiedziała, o czym mowa. Zamrugła oczami, popatrzyła na zegarek, ziewnęła i wreszcie wydusiała.

- Oczywiście, że miałam rację, Charlie - i po chwili dodała: -Ale właściwie w jakiej sprawie?
- W sprawie Niemców. Jan, nie uwierzysz, Niemcy opanowali Bazę Sił Powietrznych, w której składowano głowice, i zajęli je. Wydaje się, że tylko ty i Lewis byliście jedynymi ludźmi w Waszyngtonie, którzy to przewidzieli. Niebywałe!

Do Jan dotarło jedynie to, że Niemcy zajęli bazę amerykańskiego lotnictwa. Przez kilka sekund nie była w stanie myśleć o czymkolwiek innym, jak tylko o mężu i jego bezpieczeństwie. Gdzie był w tej chwili? Czy zaangażowano już armię? Te i podobne pytania przebiegały jej przez głowę, gdy podniecony Mordal trajkotał do słuchawki. Pomyślała, że dalsze wylegiwanie się w łóżku nie ma najmniejszego sensu, więc przerwała Mordalowi.

- OK, Charley, dziękuję za informację. Za niecałą godzinę będę w studio.

Wyskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki. Stanęła przed lustrem, jej wzrok padł na przybory do golenia Scotta. Wprawdzie już od kilku miesięcy nie mógł się wyrwać z Europy, ale Jan nie schowała tych akcesoriów. Pomyślała, że chyba Scott znajdzie jakiś sposób, by się z tej matni wyplątać, choć ludzie z Białego Domu będą zapewne robili wszystko, by było to możliwie najtrudniejsze.

154

HAROLD COYLE

W Waszyngtonie zainteresowanie wszystkich przesunęło się nagle z zapadłej prowincji w Europie Wschodniej na wydarzenia rozgrywające się

w samym centrum kontynentu. Nieoczekiwany kryzys niemiecki spowodował, że kryzysem ukraińskim zajęli się wyżsi urzędnicy w Departamencie Stanu, podczas gdy członkowie administracji prezydent Wilson i jej czołowi doradcy spotkali się na nadzwyczajnej naradzie, by omówić sytuację powstałą w Niemczech.

Jak to było w jej zwyczaju, Abigail Wilson słuchała, co inni w tej sprawie mają do powiedzenia. Kiedy już wszystko zostanie wyjaśnione, podejmie decyzje i wyda polecenia, które będzie realizować Narodowa Rada Bezpieczeństwa. Na razie siedziała bez ruchu, przysłuchując się. Wokół kłębił się tłum mundurowych i cywilów. Dyskutowano, wymieniano informacje, spierano się. Wilson miała wrażenie, jakby znalazła się w oku cyklonu. Przyszło jej na myśl, że to nie jest dobre porównanie. To, co się rozpętało, przypominało raczej niszczycielski pożar. Trzeba było się zastanowić, jak go opanować, zanim ostatecznie i nieodwołalnie wyrwie się spod kontroli.

Przez kilka minut przypatrywała się ludziom, których opinie doprowadziły do kryzysu ukraińskiego, a od których oczekiwała teraz rad, pozwalających jej wydobyć się z kolejnego impasu, będącego konsekwencją tego pierwszego. Po jej prawej stronie Peter Soares zawzięcie dyskutował z jej doradcami od polityki zagranicznej i kilkoma poważnie i dostojnie wyglądającymi wyższymi urzędnikami Departamentu Stanu. Sposób, w jaki się zachowywał, jego gesty i mimika przypominały Wilson styl, w jakim prowadził jej kampanię podczas wyborów gubernator-skich, a potem prezydenckich. Była przekonana, że tak samo podchodził do obecnego kryzysu. Niestety, tym razem to nie była kampania wyborcza. Zastanawiała się przez chwilę, czyjego talenty

organizatorskie były wystarczające do tego, by mógł się uporać z obecną sytuacją. W głębi duszy zdawała sobie sprawę, że jego niewątpliwe zalety w zakresie przeprowadzania kampanii wyborczych

nie wystarczą do rozwiązania kryzysu niemieckiego, w który zaplątali się w znacznym stopniu w wyniku jego rad. Mimo zapewnień Soaresa operacja na Ukrainie przyniosła coś, czego się nikt nie spodziewał, i co podważyło jej zaufanie do wszystkiego, co Soares doradzał i przewidywał.

Naprzeciwko pani prezydent Wilson, w gronie generałów i admirałów, siedział Terry Rothenberg. Okulary zsunięte na czubek nosa sprawiały, że jego pociągła twarz wydawała się jeszcze dłuższa. Patrzyła, jak Rothenberg zwracał głowę od jednego generała do drugiego i wysłuchiwał, co mają do powiedzenia. Pomyślała, że jej sekretarz obrony również nie pasuje do tego wszystkiego, tak jak sekretarz stanu. Doskonały i znany adwokat nowojorski, nie potrafił się odnaleźć w środowisku wojskowych i nie był w stanie podejmować decyzji, jakich wymagały okoliczności i perspektywa starć zbrojnych. Podobnie jak i ona, Rothenberg był zdany na swoich doradców, zarówno wojskowych, jak i cywilnych. Nie miał pojęcia, kto ma rację, i jakie rozwiązanie byłoby najwłaściwsze.

Patrząc po twarzach osób zebranych w jej gabinecie zaczynała sobie uświadamiać, że ci, którzy zapewniali ją, iż operacja ukraińska ma 95 procent szans powodzenia, nie są w stanie poradzić sobie z kryzysem niemieckim. Wilson, tak jak Rothenberg, objęła swój urząd, mając jedynie ogólne wyobrażenie o problemach militarnych. Była więc całkowicie

zależna od ekspertów i profesjonalistów. Teraz zaś poczuła się przez nich oszukana i zagubiona. Nie wiedziała, do kogo powinna się zwrócić po radę, której potrzebowała i ona, i jej kraj.

Wiedząc, że minie jeszcze wiele godzin, zanim jej doradcy dojdą do jakichkolwiek wniosków, Wilson postanowiła szukać pomocy gdzie indziej, choć wiedziała, że może to być uznane za niestosowne. Ruchem ręki przywołała siedzącego za nią adiutanta i pochyliwszy się w jego stronę szepnęła:

- Tom, powiedz, by podstawili mi samochód.

Zdając sobie sprawę, że szef służby ochrony Białego Domu William Balick będzie chciał wiedzieć, dokąd pani

156

HAROLD COYLE

prezydent zamierza się udać, adiutant zapytał Wilson o cel wyjazdu. Balick, czyli - jak go powszechnie nazywano -Billy B, musiał przecież zaplanować trasę przejazdu, sprawdzić miejsce, w którym miała się znaleźć, i zadbać o jej bezpieczeństwo.

Wilson doskonale rozumiała, *dłaczego adiutant zadał to pytanie*, ale zignorowała je. Jedną z rzeczy, do których nie potrafiła się przyzwyczaić w Białym Domu, było ustawiczne kontrolowanie każdego jej kroku. Prawie wszyscy, a zwłaszcza Secret Service, usiłowali trzymać ją jak w klatce, stale kontrolowali, dokąd jedzie i z kim się spotyka, ciągle dbali, by wkładała kuloodporną kamizelkę. Dla kogoś, kto, tak jak ona, był przez całe życie przyzwyczajony do pełnej swobody, te zabiegi były czymś szczególnie przykrym, czymś, co krępowało i frustrowało. Jako dziecko

mieszkała z rodzicami na wielkim ranczo w Kolorado i tam przywykła do samotnych wędrówek po górach i wypraw konnych. Przed wyjazdem do Waszyngtonu pół żartem, pół serio powiedziała swemu przyjacielowi:

- I mama, i ja przez pół życia walczyłyśmy o to, by żaden mężczyzna nie mógł nam dyktować, co mamy robić. I nie pozwolę też na to nikomu w Waszyngtonie.

Rozumiała wymogi bezpieczeństwa, ale uważała, że funkcjonariusze Secret Service są zbyt zasadniczy i przesadnie ograniczają jej wolność. I chociaż nie należała do ludzi, którzy lubią podkreślać swą pozycję, to w kontaktach z ochroną ustawicznie przypominała, kto tu jest ważniejszy. Po chwili namysłu zwróciła się do swego adiutanta:

- Potem się dowiesz, dokąd jedziemy, teraz się pośpiesz, nie mamy czasu.

Nie rezygnując jednak z próby ustalenia celu wyjazdu, adiutant nalegał:

- Więc co mam powiedzieć panu Balickowi, że dokąd jedziemy?

Wilson wstała, co sprawiło, że w gabinecie zaległa cisza, a wszystkie oczy zwróciły się w jej kierunku.

- Powiedz Billy B, że jadę do miasta, by poszukać uczciwego i mądrego człowieka.

Zły, że narazi się na cierpkie uwagi Balicka, adiutant pokiwał głową i wyszedł. Wiceprezydent Kevin Wojick przerwał rozmowę z członkami Narodowej Rady Bezpieczeństwa i spojrzał pytająco na prezydent Wilson. Stojąc jeszcze za biurkiem, powiedziała do niego:

- Panie wiceprezydencie, zostawiam pana tutaj, by prowadził pan tę dyskusję. Wracam za mniej więcej dwie godziny. Gdyby zatelefonował kanclerz Ruff i wyraził chęć rozmowy ze mną, ale autentycznej rozmowy, a nie kolejnego prezentowania swej pogwałconej dumy narodowej, to proszę mnie natychmiast zawiadomić.

Ruszyła w stronę drzwi, ale przystanąła na chwilę, odwróciła głowę i powiedziała:

- Gdybyście nie ustalili niczego sensownego, to wychodząc pogaście światła i zamknijcie drzwi.

Soares popatrzył na wychodzącą panią prezydent. To, że była przygnębiona nieoczekiwanym kryzysem, uważał za rzecz oczywistą. Sądził jednak, że wprowadzenie kobiety do Białego Domu było błędem. Nie znała i nie szanowała reguł gry, nie wiedziała, jak zachować godność, a przecież tego oczekiwano od każdego prezydenta. Musiał przyznać, że miała pewną zdolność rozwiązywania trudnych problemów, ale Jej sposób traktowania ludzi na wysokich stanowiskach, takich chociażby jak on, był nie do przyjęcia. Soares, nie po raz pierwszy zresztą, doszedł do wniosku, że Amerykanie nie byli jeszcze przygotowani na to, by rządziła nimi kobieta prezydent, a zwłaszcza taka Jak Wilson.

Gdy Jan przejeżdżała przez Bethesdę, pomyślała, że dobrze byłoby wpaść do Eda Lewisa. Wprawdzie przypuszczała, że on już wie o zagarnięciu przez Niemców głowic nuklearnych, ale może położył się dopiero nad ranem i jeszcze śpi?

Skręciła w ulicę, przy której mieszka Lewis z żoną. Zdumiona,

zobaczyła przed ich domem kilka samochodów.

158

HAROLD COYLE

W pierwszej chwili przyszło jej na myśl, że może mają gości, ale przecież Amanda i Ed nie wydawali nocnych, ciągnących się do rana przyjęć. Gdy podjechała blisko, zobaczyła dwóch mężczyzn stojących na ganku przed wejściem i zauważyła kogoś za rogiem domu. Czyżby coś się stało? Poczuła, jak narasta w niej strach i niepokój. Była z Lewisami zaprzyjaźniona, a przy tym odezwał się w niej instynkt reportera. Musiała się dowiedzieć, co się stało. Wysiadła z samochodu i zdecydowanym krokiem ruszyła w kierunku domu Lewisów.

Zdenerwowani nieoczekiwaną wyprawą w tak wczesnych godzinach, oficerowie ochrony byli spięci i zdenerwowani. Nie byli w stanie dokładnie sprawdzić domu Lewisów przed przyjazdem prezydent, teraz więc usiłowali nadrobić te zaniedbania. Oczywiście nie przewidzieli, że natkną się na Amandę Lewis. Obudzona szumem silników i głosami dochodzącymi z parteru, narzuciła szlafrok i zeszła na dół. Zastała tam grupę młodych mężczyzn i kobiet o napiętych, poważnych twarzach, którzy przeszukiwali pokoje za pomocą jakichś elektronicznych aparatów. Zaglądali pod meble i w każdy kąt. Jeden z agentów podszedł do Amandy i pokazując jej odznakę służby ochrony powiedział:

- Przepraszam panią. Jestem agent Bradshaw, Secret Service. Bardzo proszę, by wróciła pani na górę i pozostała tam tak długo, jak długo w tym domu będzie przebywać pani prezydent.

Niespeszona tym Amanda spojrzała na Bradshawa i odparła:

- Młody człowieku, wiem, że wypełnia pan swoje obowiązki, ale to jest mój dom. Jeśli natychmiast nie zniknie mi pan z oczu, to po prostu wyrzucę pana.

Zaskoczony stanowczym tonem tej filigranowej kobiety, Bradshaw już chciał wezwać swego zwierzchnika, gdy Amanda ominęła go i weszła do kuchni, by przygotować kawę.

Nie rezygnując z wykonywania swoich powinności, Bradshaw wszedł za nią do kuchni domagając się, by poszła na górę, do sypialni. Jego zachowanie wyprowadziło

TRÓJKĄT ŚMIERCI

159

Amandę z równowagi. Odwróciła się twarzą do niego, wycelowała w jego pierś palec wskazujący i krzyknęła tak głośno, że słyhać ją było w całym domu:

- Panie agent, czy Jak się tam do pana mówi, jeśli pan albo pańscy koledzy będziecie mnie tak traktować, to wszystkich was wyrzucę z mojego domu! A teraz wynosić mi się z kuchni!

Odwróciła się na pięcie i zajęła przygotowywaniem kawy, nie zwracając wcale uwagi na speszonego pracownika ochrony.

Wściekły i sfrustrowany Bradshaw wychodził właśnie z kuchni, gdy w halu pokazała się Jan. Nie zwracając uwagi na cokolwiek ruszyła prosto w stronę drzwi gabinetu przypuszczając, że tam właśnie jest Lewis. Bradshaw, próbując dojść do siebie po porażce, jakiej przed

chwilą doznał, błyskawicznie zastąpił jej drogę. Rozłożył ręce i wyjaśnił ostrym tonem:

- Tam nie wolno wchodzić.

Jan zdążyła już wymienić parę niemiłych zdań z agentami przed wejściem do domu Lewisów i nie miała zamiaru raz jeszcze się tłumaczyć.

- Nie mam czasu ani ochoty na dyskusje! Proszę mi natychmiast zejść z drogi! - odparła równie ostro.

Bradshaw postanowił, że nie da się zastraszyć drugiej kobiecie i wyciągnął ręce, by chwycić Jan za ramiona i wyprowadzić ją z halu. W tym momencie Jan podniosła prawą nogę i z całej siły wbiła wysoki obcas w stopę agenta, który zaskoczony atakiem, wrzasnął z bólu, uniósł obolałą nogę i omal nie stracił równowagi. Tymczasem Jan wyminęła go i weszła do gabinetu.

Wprawdzie spodziewała się, kogo tam zastanie, a jednak widok pani prezydent był dla niej dużym zaskoczeniem. Wilson siedziała w fotelu, pośród książek, papierów i stosów akt, jakimi zawałony był cały pokój. Lewis zaś, wyciągnąwszy do przodu nogi, tkwił za biurkiem. Spojrzał na Jan i uśmiechnął się:

- Witaj, Jan. Właśnie mówiliśmy coś o tobie, gdy dobiegły nas odgłosy twojej dyskusji z członkiem ochrony.

160

HAROLD COYLE

Jan poczerwieniała, spojrzała na Wilson, potem na Lewisa.

- Bardzo przepraszam za ten najazd. Jechałam właśnie

do redakcji i pomyślałam, że być może nie wiesz jeszcze o ostatnich wydarzeniach w Niemczech. A potem zobaczyłam te samochody i tłum ludzi, więc przestraszyłam się, że coś się stało.

Lewis poprosił, by usiadła, Jeśli uda jej się znaleźć wolny fotel. Wilson, zaskoczona pojawieniem się dziennikarki, spojrzała pytająco na Lewisa. Ten skinął głową, a Jan zdjęła z jednego z foteli jakieś papiery i położyła je na podłodze. Nie czekając, aż Jan usiądzie, Lewis zwrócił się do pani prezydent:

- To jest właśnie metoda, której musi pani zaniechać. Cały świat widzi, pani prezydent, że spieprzyliśmy robotę. Tu nie ma już czego ukrywać. Musi pani odważnie stanąć przed narodem i powiedzieć prawdę, całą prawdę.

Jej poprzednik ostrzegał ją, że Lewis, człowiek bezkompromisowy, może być niebezpiecznym doradcą. Ale Abigail Wilson bardzo odpowiadał jego bezpośredni styl. Wszyscy w Waszyngtonie zapewniali ją, że Lewis jest jednym z nielicznych ludzi w tym mieście, któremu można wierzyć. Poprzednik pani prezydent również korzystał z pomocy kongresmana w czasie kryzysu meksykańskiego. Ed Lewis miał opinię jednego z najbystrzej szych obserwatorów politycznych i uchodził za niekwestionowany autorytet w sprawach międzynarodowych. Montując swoją administrację, Wilson poważnie zastanawiała się, czy zamiast Soaresa nie powołać właśnie Lewisa na stanowisko sekretarza stanu.

Przewidywała, że kanclerz Ruff nie będzie słuchał ani jej, ani Soaresa, z którym europejscy politycy w ogóle nie mogli się dogadać. W tej sytuacji postanowiła, że pójdzie w ślady poprzedniego prezydenta, pamiętając

oczywiście o jego ostrzeżeniach: „Lewis ma tendencję do dość bezceremonialnego zachowania i mówienia, prosto z mostu, więc nie pocuj się obrażona jego sposobem bycia”.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

161

Puściła więc teraz komentarz kongresmana mimo uszu i już chciała coś powiedzieć, gdy nagle w drzwiach gabinetu stanął agent Bradshaw, który zaczął się usprawiedliwiać, że pozwolił damie siedzącej przed panią prezydent wejść do pokoju. Wilson, zniecierpliwiona, że ustawicznie im przeszkadzają, na chwilę straciła panowanie nad sobą:

- Panie Bradley, czy Banden, czy jak tam panu, proszę łaskawie wyjść i zamknąć drzwi z drugiej strony.

Wściekły agent Bradshaw zamykając drzwi, zdążył jeszcze zauważyć, że Jan uśmiechnęła się do niego i pomachała ręką, jak na pożegnanie.

W gabinecie przez moment panowała cisza, po czym Wilson podjęła temat.

- W zasadzie zgadzam się z tobą, Ed, ale... - zawahała się i popatrzyła na Jan. - Przecież rozumiesz, że są takie sprawy wojskowe czy też z zakresu zakulisowej dyplomacji, których nie można wywlekać na światło dzienne.

Lewis przewrócił oczami i rozsiadł się wygodniej w fotelu.

- O, proszę mi tego nie przypominać. Nawet Jan, jedna z najlepszych naszych dziennikarek, rozumie konieczność dochowania tajemnicy, ale tylko wtedy, gdy chodzi o coś, czego rzeczywiście nie należy ujawniać. Natomiast pani, w nadziei, że uda się jej ocalić resztki

zaufania i wiarygodności, chce w ogóle wszystko zachować w tajemnicy. Amerykanie są o wiele mądrzejsi, niż to sobie wyobrażają pani doradcy. Ta cała operacja, słusznie nazwana „Szukanie po omacku”, osiągnęła cel jedynie w takim stopniu, że zabraliśmy Ukraińcom ich broń jądrową. Nie była to jednak najwspanialsza i najbardziej owocna operacja w naszej historii, co stara się ludziom wmówić pan Rothenberg. Udało nam się, ale już widać jakim kosztem, a w dodatku z jednego kryzysu wpadliśmy w drugi, o wiele zresztą groźniejszy. I to właśnie, pani prezydent, powinien wyraźnie powiedzieć pani sekretarz obrony.

- Zgadzam się. Nie było to dobre rozwiązanie. Ale wyrażenie żalu z tego powodu niczego w tej chwili nie załatwia. Myślę o tym, Ed, by skorzystać z twojej pomocy, tak jak

162

HAROLD COYLE

zrobił to mój poprzednik w czasie kryzysu w Meksyku, kiedy uczynił cię specjalnym wysłannikiem.

Jan chciała coś dodać, ale zdała sobie sprawę, że znalazła się tu dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, toteż uznała, że lepiej będzie milczeć. Wiedziała, że może zyskać wiele nowych informacji, takjej niezbędnych w pracy zawodowej, teraz więc powinna zamienić się w niemego świadka rozgrywających się wydarzeń.

Lewis, patrząc na blat biurka, myślał o złożonej mu ofercie. Nagle zza drzwi dobiegł go głos żony:

- Młody człowieku, bądź tak miły i otwórz mi te drzwi.

Po chwili do gabinetu weszła Amanda, niosąc na tacy filiżanki i dzbanek z kawą. Stała pośrodku i rozglądała się, gdzie mogłaby postawić tacę. Jan zerwała się z miejsca.

- Pomogę ci, Amando. Przytrzymaj tacę, a ja naleję kawę.

Lewis zauważył, że Wilson była zniecierpliwiona tą kolejną przerwą w rozmowie. Nic jednak nie powiedziała. Jan podała filiżankę z kawą najpierw jej, potem Edowi, wreszcie wzięła dla siebie. Amanda uśmiechnęła się i wyszła.

Jan usiadła i spoglądała na Eda. Wiedziała, że przyjmie propozycję prezydent Wilson. Lubił walkę i trudne misje. Tak jak jej mąż, Scott, dla ojczyzny byłby gotów na wszystko. Scotty również stanąłby na wezwanie, szczególnie gdyby wiedział, że chodzi o sprawy najwyższej wagi. Jeśli Ed zwlekał z odpowiedzią, to zapewne dlatego, że zastanawiał się, czego ma żądać w zamian.

Lewis łyknął kawy i odstawił filiżankę. Pomyślał, że Amanda powinna była podać kawę w kubkach, w jakich pijali na co dzień, a nie w eleganckim porcelanowym serwisie. Popatrzył w oczy prezydent i zaczął:

- Jeśli mam być szczery, to i ja chciałem o tym z panią porozmawiać. Mam wrażenie, że Narodowa Rada Bezpieczeństwa zachowuje się jak stado baranów.

Prezydent skinęła głową i przerwała mu:

- Bez wątplenia. I dlatego potrzebny jest mi ktoś do świadczonej, kto poprowadzi sprawy we właściwym kierun-

ku. Poza tym.... - na chwilę zamilkła i spuściła oczy, by je szybko podnieść i badawczo spojrzeć na Lewisa - potrzebuję kogoś, komu mogłabym ufać i komu wierzyłaby opinia publiczna, prasa, kogoś, kto nie ponosi odpowiedzialności za fiasko operacji ukraińskiej.

Lewis miał ochotę dodać: „Kogoś, kim można by się zasłonić”, ale nie powiedział tego. Jego odpowiedź była krótka i bardzo szczerą:

- Pani prezydent, dla dobra kraju zrobię wszystko, na co mnie stać. W takiej sytuacji nikt nie mógłby postąpić inaczej. - I zanim Wilson zdążyła powiedzieć „dziękuję”, zwrócił się do Jan:
- Jan, czy w ciągu pięciu godzin możesz być gotowa do podróży do Berlina? Oczywiście na koszt państwa.

Jan uśmiechnęła się.

- Jestem zdumiona, że zadajesz takie głupie pytania.

Powiedz tylko, o której i skąd mamy samolot?

Lewis spoważniał, a widząc, że Jan już wstała i zbiera się do wyjścia, powiedział:

- Mam wrażenie, że tym razem i nam, i całemu krajowi nie uda się to tak łatwo, jak się nam kiedyś udało w Meksyku. Podejrzewam, że Niemcy realizują plan, który przygotowywali od dawna. Zresztą niezależnie od obiegowych poglądów, my i Niemcy jesteśmy bardzo różni, a ten wybuch na Ukrainie i przetransportowanie głowic do ich kraju nie przysparza nam ich sympatii. - Wstał i pokiwał głową: - Jestem przekonany, że Niemcy nie zrobili czegoś takiego spontanicznie, musieli wszystko ostrożnie zaplanować i przemyśleć. Wiedzieli, co robią i w jakim celu. -

Spojrzał na Wilson i dodał: - Nie uda się nam wyjść z tego bez żadnych kosztów. Cena będzie niewątpliwie wysoka. Trzeba tylko wierzyć, że będziemy w stanie ją zapłacić.

Rozdział VIII

10 stycznia

Ani nikłe słońce, jakby z oporami wychylające się zza horyzontu, ani pozbawione smaku śniadanie, wydawane z ochlapanego błotem samochodu kuchni polowej, nie poprawiły ponurego nastroju zziębniętych żołnierzy 4 Kompanii 26. Batalionu Pancernego. Dowódca czołgu typu Leopard II, siedząc w wieżyczce, z nogami zwieszonymi na zewnątrz, przyglądał się swoim skulonym z zimna żołnierzom stojącym w kolejce do kotła. Nie potrafił poprawić ich fatalnych nastrojów i nie umiał im też wytłumaczyć przyczyn, dla których zostali skierowani na granicę. Uznał więc, że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko siedzieć beczynn timer. Kapitan Friedrich Wilhelm von Seydlitz zastanawiał się, czy jego sławny przodek, również Friedrich, najmłodszy generał kawalerii Fryderyka Wielkiego, kiedykolwiek przeżywał podobne frustracje i chwile zwątpień, tak jak on w tej chwili. Doszedł do wniosku, że zapewne nie.

Jak daleko sięgał pamięcią, słynny pruski generał stawiany był kolejnym generacjom młodych Seydlitzów za niedościgły wzór. Jemu było trochę trudniej, gdyż był fizycznie niezwykle podobny do swojego prapradziadka. Też był wysoki, szczupły i miał ciemne, rozmarzone i płonące oczy. Gdyby włożył mundur kirasjera z 1758 roku, mógłby z powodzeniem uchodzić za generała kawalerii Fryderyka Wielkiego. To podobieństwo było jednak tylko powierzchowne, w każdym razie tak uważał młody Seyd-

litz. Brak mu było stanowczości, która zagwarantowała sukcesy jego protoplaście. Jego dziadek, dowódca 51. Korpusu w bitwie pod Stalingradem, gdy był przekonany, że ma rację, nie wahał się sprzeciwić nawet Hitlerowi - bez względu na konsekwencje. Młody Seydlitz zaciągnął kaptur kombinezonu, by uchronić się przed przejmującym zimnem i pomyślał, że nie odziedziczył zbyt wielu cech po swoich wojowniczych przodkach.

Zajęty tymi niewesołymi rozważaniami, nie zauważył, że kierowca jego czołgu ostrożnie wdrapuje się na maszynę, starając się nie upuścić niesionego dla dowódcy śniadania. Seydlitz dostrzegł go dopiero wtedy, gdy tamten podsunął mu pod nos tekturową tackę. Uśmiechnął się z wysiłkiem i podziękował. Przyjrzał się swej porcji i podejrzliwie zapytał, co to właściwie jest.

Siedzący obok ładowniczy odparł:

- Panie kapitanie, kiedy byłem rekrutem w Munster, nasz sierżant pouczał nas, byśmy nigdy nie pytali, dokąd idziemy, bo i tak nie mamy żadnego wyboru, co będziemy robić, bo oficerowie również tego nie wiedzą, i nigdy, ale to nigdy - twierdził - nie wolno pytać wojskowych kucharzy, co nam dają do Jedzenia, gdyż oni także nie mają pojęcia, czym nas karmią.

Seydlitz popatrzył na ładowniczego i roześmiał się. Pomyślał, że armia niemiecka niepotrzebnie wydaje miliony na wyszkolenie oficerów. Ładowniczy po kilku tygodniach szkolenia wiedział wszystko o wiele lepiej od niego, dowódcy. Powinien był postępować dokładnie

tak, jak jego żołnierze - słuchać rozkazów, milczeć, nie martwić się o dzień jutrzejszy i jeść to, co dają. Dla kogoś takiego jak on, kapitan wojsk pancernych, zamartwianie się czymkolwiek oznaczało tylko stratę czasu.

3r -A

Po dwóch dniach tłumaczeń, wyjaśnień, wygłaszania odczytów i przemówień Ed Lewis poczuł, że jest zrezygnowany. Słuchając teraz kanclerza Ruffa myślał o tym, że sy-

166

HAROLD COYLE

tuacja staje się jeszcze bardziej beznadziejna. Coraz wyraźniej wszystko wskazywało na to, że Niemcy nie mają zamiaru prowadzić jakiegokolwiek dialogu. Już pierwszego dnia natrafił na mur niechęci i braku zrozumienia. Żaden z jego rozmówców ani myślał odstępować od sztywnego stanowiska rządu. Od Thomasa Fellnera, ministra spraw wewnętrznych i przedstawiciela lewicy, po Rudolfa Lam-mersa, ministra obrony i konserwatywnego prawicowca, wszyscy reprezentowali to samo stanowisko, jeśli nawet posługiwali się odmienną retoryką. Kanclerz również powtarzał te same argumenty. I dość niespodziewanie Lewis uświadomił sobie, że nie znosi niemieckiego. Język ten był zbyt twardy, a sposób, w jaki Niemcy wymawiali poszczególne słowa, niemal ranił mu uszy. Zamyślił się, zaczął sobie wyobrażać, że jest we Francji, a nie w sprawiających im tyle kłopotu Niemczech. Język francuski przynajmniej brzmiał dla jego ucha miło i miękko.

Ten brak koncentracji kongresmana nie uszedł uwagi Ruffa, i tym

bardziej go to rozgniewało. Zwłaszcza że prezydent Wilson nie była łaskawa wydelegować chociażby kogoś z członków swojej rady, lecz przysłała zwykłego kongresmana. Ruff uznał to za dowód lekceważenia Niemiec i jego samego. Pomyślał też, że jeśli Amerykanie traktują Niemców bez szacunku, to należy powiedzieć im coś, co ukaże wydarzenie w całkiem innym świetle. Wstał zza biurka, co zaskoczyło i tłumacza, i Lewisa.

- Widzę, że jest już pan znużony wysłuchiwaniami bez końca tych samych argumentów. Nie wierzy pan w nasze zdecydowanie, panie kongresmanie.

Zaskoczony i zły, że jego nieuwaga okazała się tak widoczna, Lewis wyprostował się w fotelu i przeprosił kanclerza. Ruff przerwał mu bezceremonialnie i zaczął mówić tak szybko, że tłumacz miał trudności z przekładem:

- Realia polityki międzynarodowej i współczesnej dyplomacji są okrutne i bezwzględne. Od lat, jak wiele na to wskazuje, toczy się walka między tymi, którzy mają i którzy nie mają. Kiedy jednak tego określenia używało się w stosunku do Stanów lub byłego Związku Radzieckiego,

TRÓJKĄT ŚMIERCI

167

to miało się na myśli nie pieniądze czy surowce, panie Lewis. Dziś mieć albo nie mieć dotyczy broni atomowej -Ruff zamilkł na chwilę, jakby chciał, by gość dokładnie zrozumiał, co ma na myśli. Pokuśtykał do ściany, na której wisiała mapa Niemiec w granicach z 1938 roku.

Stojąc na jej tle Ruff, zwrócony do gościa, znów podjął temat:

- W dekadzie lat osiemdziesiątych na znacznych obszarach Afryki panował głód. Stany wyrażały współczucie i zaniepokojenie, ale niewiele pomogły. W rezultacie zginęły miliony ludzi, o czym Amerykanie dowiadawali się z dzienników telewizyjnych. Gdy w latach dziewięćdziesiątych, po upadku Związku Radzieckiego, powstałe na jego terytorium republiki stanęły przed tym samym zagrożeniem, świat, pod wodzą Stanów, natychmiast przyszedł biednym Rosjanom z pomocą. A dlaczego, panie kongresmanie? Skąd ta różnica w działaniu? Odpowiedź jest oczywista: Etiopia przecież nie dysponuje rakietami i głowicami nuklearnymi, które mogłyby zagrozić Stanom.

Lewis obrócił się w fotelu w stronę kanclerza i usiłował przerwać gospodarzowi.

- To bardzo cyniczne, co pan powiedział, panie kanclerzu. Pan przecież rozumie...

Głosem, w którym wyraźnie słyhać było uszczypliwą ironię, Ruff uciął w połowie zdania:

- Panie Lewis, świat jest bardzo cyniczny. Dziś przeżyć mogą tylko ci, którzy to rozumieją i akceptują. Przed pięćdziesięciu laty Niemcy były krajem pokonanym i rozbitym. Znaleźliśmy się na dnie. Nie mieliśmy niczego. Pańscy ziomkowie przyszli tu, do nas, i traktowali nas z największą pogardą, oceniali nas według zasad dla nas niepojętych. Byliśmy bezsilni, rozbici, zmęczeni, a wy, z waszą

teorią o zbiorowej odpowiedzialności, traktowaliście nas, naszą kulturę, naszą historię tak, jakbyśmy byli bydłem. A zaraz potem, kiedy komuniści z przyjaciół przeobrazili się we wrogów, kiedy wasi biznesmeni zaczęli się domagać nowych rynków, postanowiliście nas akceptować. Waszym Jednak zdaniem, zdaniem amerykańskich polityków, opłacanych i podkupionych przez Żydów, nigdy nie byliśmy

168

HAROLD COYLE

i nie będziemy wam równi. Nie będziemy kimś, z kim można zasiąść do jednego stołu i rozmawiać jak równy z równym. No cóż, panie kongresmanie, zapłaciliśmy za grzechy ojców. Przez pięćdziesiąt lat siedzieliśmy cicho i pokornie. Wysłuchiwaliśmy waszych pouczeń, w których kazaliście się nam ustawicznie wstydzić, a jednocześnie wykorzystywaliście nasz naród i kraj do swoich celów. Nadszedł czas, by z tym skończyć, czas, byśmy się odwrócili od naszej przeszłości i spojrzeli w przyszłość, czas na stworzenie nowego porządku w Europie Środkowej, porządku, w którym nie ma miejsca na amerykańską hipokryzję i wasze wtrącanie się w nasze sprawy.

Po raz pierwszy od chwili przybycia do Niemiec Lewis poczuł, że traci pewność siebie. Uwagi na temat „nowego porządku” i Żydów opłacających amerykańskich polityków sprawiły, że mina mu zrzędła. Ruff to od razu zauważył, nie bez dużej satysfakcji. Mówił dalej, choć już spokojniej i ciszej:

- Pan mnie informuje, że wasza pani prezydent domaga

się zwrotu głowic, które przejęliśmy w Sembach. Takie postępowanie przypominałoby działanie policji, która zwraca złodziejowi to, co ten ukradł, i jeszcze pomaga mu w załadowaniu zdobyczy na wóz. Nie macie żadnych praw do tych głowic. Najmniejszych. To, że myślicie inaczej, jest jeszcze jednym dowodem waszej pogardy dla praw innych narodów. I ta pogarda jest kamieniem węgielnym waszej polityki zagranicznej. Nie oddamy głowic. Nasz rząd podjął decyzję o zatrzymaniu ich i włączeniu do naszego arsenału, co spowoduje, że znajdziemy się w szeregu tych, co mają, i co pozwoli nam prowadzić z wami rozmowy jak równy z równym. Chyba pan, panie kongresmanie, potrafi to zrozumieć.

Lewis milczał chwilę, wreszcie wążac staranie słowa odparł:

- To problem, który dotyczy wielu państw, nie tylko Niemiec i Stanów. Chyba pan rozumie, że zarówno mocarstwa nuklearne Zachodu, Francja i Anglia, jak i Rosja na Wschodzie będą bardzo zaniepokojone powstaniem nowej

TRÓJKĄT ŚMIERCI

169

strefy atomowej w Europie... - chciał dodać: „szczególnie kontrolowanej przez Niemcy”, ale się powstrzymał.

Ruff zachichotał. Zrozumiał, co tamten miał na myśli. Wiedział, że świat bał się Niemiec uzbrojonych w bomby nuklearne.

- Francuzi, których piąta część społeczeństwa skupiona jest w rejonie Paryża, nie zaryzykują żadnych kroków prze

ciwko nam. Dwie czy trzy głowice zdetonowane w tym rejonie pociągnęłyby za sobą ofiary i zniszczenia większe niż straty poniesione w wyniku dwóch wojen światowych. Brytyjczycy, przy swoim poczuciu rzeczywistości, ze swymi problemami z Irlandią i Szkocją oraz z resztką ich imperium ograniczą się z całą pewnością do oficjalnego protestu.

Zdecydowany nie pokazać po sobie, że można go zastraszyć, że ani on, ani Stany nie ugną się przed blefem, Lewis podjął kontratak.

- Pan wie tak samo dobrze jak i ja, że ta broń Jest dla was bezużyteczna. Nie macie odpowiednich kodów, nie zbędnych do uaktywnienia głowic. Nasi eksperci twierdzą, że ich opracowanie wymaga długiego czasu i po prostu łutu szczęścia. Obecnie głowice są dla was całkowicie bezwartościowe.

Uśmiech, jaki się ukazał na twarzy Ruffa, był najlepszym dowodem, że uderzenie Lewisa, obliczone na skonfundowanie przeciwnika, trafiło w pustkę. Potrząsając głową, Ruff nie przestał się uśmiechać.

- Pan sądzi, panie kongresmanie, że jesteśmy głupcami. Tak długo traktowaliście nas jak niedorozwinięte dzieci, że po prostu nie jesteście w stanie sobie wyobrazić, że możemy działać samodzielnie. No cóż, przyjmijcie wreszcie do wiadomości, że nie jesteśmy dziećmi. To, co robimy, nie ma nic wspólnego z zabawą. Powinno do was 1 do waszej pani prezydent wreszcie dotrzeć, że nie tylko Jesteśmy w stanie uruchomić te głowice, ale w każdej chwili jesteśmy do tego gotowi, gdyby okazało się to konieczne.

Twarz Lewisa wyrażała szok, zdumienie, niewiarę. Widząc, że jego słowa jak sztylety trafiają w słuchającego, Ruff zadał jeszcze jeden cios:

170

HAROLD COYLE

- Musi pan wiedzieć, panie kongresmanie, że rząd Ukrainy przekazał nam kody i odpowiednie informacje, niezbędne do aktywizacji głowic. Właśnie w tej chwili eksperci techniczni armii ukraińskiej, tej armii, którąście zaatakowali i sponiewierali, są u nas i razem ze specjalistami z Bundeswehry i Luftwaffe pracują nad dostosowaniem ukraińskich głowic do naszych środków przenoszenia. Jak więc pan widzi, jesteśmy gotowi do prowadzenia dyskusji ze Stanami, tak jak i z każdym innym krajem, z pozycji siły. Rewolucja niemiecka 1989 roku znalazła swój logiczny koniec. Staliśmy się mocarstwem w skali światowej. I tego faktu nie zmieni ani pan, ani wasza prezydent, ani wasza miniaturowa armia, zablokowana teraz w Republice Czeskiej. Cena, jaką przyszłoby wam zapłacić za próbę jakichkolwiek zmian, byłaby zbyt wysoka.

Kongresman Ed Lewis wyszedł z gabinetu kanclerza zupełnie oszołomiony. Nie zauważył nawet, że dołączyła do niego Jan Fields-Dixon. Wsiadł do czekającego na nich mercedesa i wyciągnął się na tylnym siedzeniu. Twarz miał bladą, udręczoną, pełną bólu. Wiedząc, że i

tak opowie jej wszystko, Jan o nic nie pytała. To, co usłyszała od kanclerza, musiało zapewne pogrzebać nadzieję na rychłe i łatwe do osiągnięcia porozumienie. Dusząc w sobie dziennikarską ciekawość, siedziała w milczeniu i patrzyła na mijane ulice Berlina. Jechali do ambasady, skąd mieli wyruszyć na lotnisko.

Po dłuższej chwili milczenia Lewis zwrócił się do Jan i głosem cichym, jakby pełnym skargi powiedział:

- Znowu będziemy musieli zmierzyć się z tym narodem. Nie widzę innego wyjścia. - Patrząc na przechodniów, bezwiednie powtórzył: - Będziemy musieli zmierzyć się z nimi. - I po chwili dodał: - Ponownie.

To, co usłyszała, a także sposób, w jaki to powiedział, zaszokowały Jan. Doskonale wiedziała, że w całej swojej politycznej karierze Lewis zażarcie zwalczał wszystkich, którzy doradzali rozwiązywanie problemów międzynarodowych przy użyciu siły. Zawsze powtarzał, że amerykańska

TRÓJKĄT ŚMIERCI

171

potęga militarna została stworzona po to, by stać na straży bezpieczeństwa Ameryki, a nie po to, by narzucać komukolwiek zasady i wartości, w jakie wierzyli Amerykanie. Twierdził, że Stany nie mają prawa zmuszać kogokolwiek do respektowania swoich poglądów i swojego porządku. A teraz ten sam człowiek mówił o perspektywie starcia z Niemcami. Jan nie była w stanie tego zrozumieć.

Cisza i spokój na ulicach Berlina minęły, gdy zbliżyli się do ambasady USA. Dostępu do niej bronił podwójny kordon policjantów o zaciętych

twarzach. Przed nimi zebrał się tłum, na razie jeszcze spokojny, choć wyraźnie podniecony. Jan czuła, że atmosfera jest napięta, a obie strony gotowe w każdej chwili do działania.

Jeśli coś z tego, co zobaczyli przed ambasadą, dotarło do Lewisa, to niczego nie dał po sobie poznać. Zajechali przed główne wejście. Lewis wysiadł i ruszył do budynku. Ręce trzymał w kieszeniach, głowę miał pochyloną. Nie zauważył czekających na niego dyplomatów, zmierzając w kierunku gabinetu, który został mu oddany do dyspozycji. Gdy oboje weszli do środka, rzucił się na stojący przy oknie fotel i wyciągnął się w nim nie zdejmując płaszcza. Widząc w jakim jest stanie, Jan zostawiła go w gabinecie, a sama wyszła, by przygotować kawę i coś do zjedzenia. Doszła do wniosku, że gorąca kawa być może poprawi Lewisowi nastrój. Zresztą chciała się czymś zająć, bo nie byłaby w stanie spokojnie czekać na rozwój sytuacji.

Gdy wróciła z kawą i kanapkami, Lewis zdawał się już dochodzić do siebie. Gdy nalewała kawę, wstał, zdjął płaszcz, wsadził ręce w kieszenie spodni i przypatrywał się, jak Jan przygotowuje przekąskę. Wziął filiżankę, uśmiechnął się z rezygnacją i nieoczekiwanie powiedział:

- Wiesz, Jan, zawsze mnie zdumiewa, że ty i Amanda, choć jesteście tak bardzo różne, macie tak podobny sposób postępowania w pewnych sytuacjach...

Zaskoczona skinęła tylko głową, nie odzywając się. Wiedziała, że trzeba dać mu się wygadać.

Lewis łyknął kawę i znów się uśmiechnął:

HAROLD COYLE

- Widzę, że jesteś zdziwiona tym, co powiedziałem. Chodzi mi o to, że sam już nie jestem pewien swoich racji. Ty i Amanda jesteście skłonne do akceptowania ludzi i wydarzeń bez względu na okoliczności. Każda z was na swój sposób stara się utrzymywać wokół siebie równowagę. Ja, tak jak wielu facetów, wierzę, że zasady, jakie wyznaję, przyniosą światu pokój i szczęście i gotów jestem o nie walczyć. - Nalał sobie jeszcze trochę kawy. - Niestety, komuś takiemu jak ja niełatwo jest zrozumieć sytuację i pogodzić się z tym, że nie mam rozwiązań dla wszystkich problemów i odpowiedzi na wszystkie pytania. Czuję się tak, jak musiał się czuć Superman, gdy nieoczekiwanie stanął przed czymś, co było od niego silniejsze.

Po raz pierwszy od opuszczenia siedziby kanclerza Jan zdecydowała się odezwać.

- Domyślam się, że Niemcy nie są skłonni do jakichkolwiek negocjacji. Czy tak? - spytała.

Skinął głową, jakby z niedowierzaniem.

- Mówisz o negocjacjach? Użyłaś nieodpowiedniego słowa. Im chodzi wyłącznie o dyktat. W tym mieście, w kręgach polityków, od kanclerza po ministra spraw wewnętrznych Fellnera, który zresztą uchodzi za najrozsądniejszego w tym towarzystwie, nie ma nikogo, kto byłby zainteresowany rzeczywistymi negocjacjami. Wszyscy występują jedynie z całą listą żądań i warunków, które muszą

być spełnione, zanim przystąpią do jakichkolwiek rozmów z naszym rządem.

Zapytała, o jakie warunki chodzi.

Lewis pociągnął jeszcze kilka łyków kawy, postawił filiżankę na stole i zanim odpowiedział, przez chwilę patrzył w okno:

- Są różne warunki, w zależności od tego, z kim się rozmawia. W gruncie rzeczy jednak sprawa sprowadza się do dwóch tematów, poruszanych przez wszystkich rozmówców.
- To znaczy?

Spojrzał na nią wzrokiem, który zdawał się niczego nie dostrzegać:

TRÓJKĄT ŚMIERCI

173

- Po pierwsze, wszystkie siły amerykańskie muszą zostać wycofane z terytorium Niemiec, podkreślam: muszą, do lipca tego roku.
- Chyba nie mówią tego poważnie. Przecież nie zdążymy tego zrobić w ciągu sześciu miesięcy.
- A jednak tego właśnie się domagają. Obserwują naszą scenę polityczną i doskonale wiedzą, że nikt w Ameryce nie będzie się sprzeciwiał naszemu wycofaniu się, a tym samym zmniejszeniu naszego budżetu na obronę. Zresztą my sami od lat domagamy się od Europejczyków, by bardziej zajęli się problemami obrony. A teraz oni sami na srebrnej tacy podają nam to, o co tak wielu Amerykanów się dopominało.

Jan była przekonana, że Lewis ma rację. Kanclerz Ruff dobrze wiedział, że administracja prezydent Wilson znalazłaby się w kłopotach,

tłumacząc swojej opinii publicznej potrzebę utrzymywania amerykańskich sił w Europie, której nie zagraża już sowiecka dominacja.

- A drugie ich żądanie, Ed?

Lewis spojrział na podłogę, by po chwili przenieść wzrok na Jan.

- Tu nas dopiero przyłapali - zaczął. - Kanclerz Ruff uważa, że Niemcy, aby utrzymać swą pozycję w Europie, muszą uzyskać status w pełni równorzędny ze wszystkimi innymi krajami.
- A jaka w tym miałyby być nasza rola? I tak większość państw uznała już, że Niemcy zajmują szczególną pozycję wśród państw europejskich.
- Jan, jemu chodzi o coś więcej niż o dyplomatyczne uznanie. Uważa, że ich pozycja musi się opierać na sile, że Niemcy, jeśli mają być traktowane poważnie, muszą mieć prawo wstąpienia do klubu, do którego należą państwa decydujące o losach świata. Innymi słowy, Jan, Niemcy, a właściwie kanclerz Ruff, domagają się ni mniej, ni więcej tylko tego, by Stany zaakceptowały Niemcy jako potęgę nuklearną mającą prawo do zatrzymania głowic, które już zresztą przejęli, i do prac nad własną bronią jądrową.

174

HAROLD COYLE

Wprawdzie spodziewała się takiej odpowiedzi, ale kiedy ją usłyszała, poczuła się ogłuszona. Stała bez słowa, starając się przeanalizować to, co przed chwilą padło z **ust** Eda. Wreszcie, z pewnym wysiłkiem, powiedziała:

- Na to nie możemy się zgodzić. Ani na jeden, ani na drugi warunek.

Znów łyknął kawy, odstawił filiżankę, a ręce wsunął do kieszeni spodni.

- Wiem, Jan, wiem...

Milczeli, spuściwszy głowy. Nagle rozległo się pukanie. Do gabinetu weszła jedna z sekretarek. Zatrzymała się przy drzwiach.

- Bardzo przepraszam, nie chciałam przeszkadzać... - powiedziała niepewnie.

Otrząsając się z ponurych myśli, Lewis zaprzeczył:

- Wcale nam pani nie przeszkadza. Co możemy dla pani zrobić?
- Ambasador pyta, kiedy państwo wracają do Waszyngtonu. Wczoraj wieczorem wspominał pan, że chciałby odlecieć dziś po południu, po ostatnim spotkaniu z kanclerzem. Czy nic się nie zmieniło?

Lewis, zastanowiwszy się przez chwilę, odparł:

- Owszem, zmieniło się. Bardzo proszę, by ambasador załatwił mi wizytę w Pradze. Chciałbym się spotkać z do wódcą 10. Korpusu.

Sekretarka skinieniem głowy przyjęła polecenie i wyszła. Gdy zostali sami, Jan zapytała:

- Po co mamy lecieć do Pragi?

Lewis wzruszył ramionami:

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Mamy jednak kilka godzin, by się nad tym zastanowić. A teraz muszę cię przeprosić. Chciałbym zadzwonić do pani prezydent, pożegnać się z ambasadorem i spakować swoje rzeczy.

Gdy wrócili na północny brzeg rzeki Uh, Nancy **Kozak** kazała kierowcy zjechać na pobocze. Wychyliła się z wie-

życzki i obserwowała, jak pozostałe pojazdy jej kompanii przejeżdżają przez most, kontynuując operację wycofywania się do Słowacji. I ona, i cała kompania odczuli ulgę. W Słowacji będą się czuli pewniej i bezpieczniej. Cała operacja ochrony południowej flanki 1. Brygady, z wyjątkiem kilku pierwszych godzin, była po prostu nudna. Niemniej stracili sporo nerwów. Ukraińska brygada pancerna, której zagrodzili drogę na północ, wycofała się i zajęła pozycje na północ od Uzłowoje. Ciągle jednak stanowiła dla nich zagrożenie, którego nie wolno im było ignorować.

Nie mógł ujść uwagi Nancy Kozak zdumiewający fakt, że miejscowa ludność widziała w nich oswobodzicieli. Bez żadnego swego zaangażowania czy woli, jej kompania, podobnie jak cała brygada, znalazła się w wirze walk mieszkańców Rusi Zakarpackiej o niepodległość i odłączenie się od Ukrainy. Kapitan nigdy przedtem nie słyszała o Ukrainie Zakarpackiej. Dowiedziała się o tym wszystkim - dzięki tłumaczowi - od chłopca, w którego domu zainstalował się pluton saperski. Tu dopiero uświadomiono jej, że Rusin! są zupełnie inni niż Ukraińcy, a za swoją stolicę uważają Użgorod. Niezadowoleni z polityki rządu ukraińskiego, który zabraniał im utrzymywania bliskich kontaktów z Rusinami mieszkającymi w Słowacji, mieszkańcy Rusi Zakarpackiej prowadzili kampanię na rzecz niepodległości. Amerykanów, którzy się tu przypadkowo pojawili, powitali niczym wybawców i zwiastunów

wolności. To, że ani Kozak, ani żaden z jej żołnierzy nigdy o problemie Rusinów nie słyszeli, niewiele ich obchodziło. Chłop, z którym rozmawiała, powiedział, że na całym świecie żołnierze wykonują rozkazy, których znaczenia nikt im nie wyjaśnia. Nie przygotowana na tę sytuację Kozak nie miała pojęcia, co ma robić i co mówić. Początkowo usiłowała tłumaczyć, że nie przyszli tu z pomocą Rusinom, ale ponieważ nikt jej nie słuchał, zrezygnowała z przekonywania. Cała wieś uwierzyła, że Amerykanie przyszli ich wyzwalać. I dlatego zapewne Rusin! byli tak serdeczni. Mimo nędzy, w jakiej sami żyli, częstowali żołnierzy czym tylko mogli - dopiero co wyjętym z pieca chlebem, konfiturami, czymś gorącym.

Speszona tą gościnnością, Nancy Kozak nie potrafiła się przeciwstawić i wytłumaczyć, jak bardzo się mylą w swych przewidywaniach. Zajęła się więc wyłącznie dowodzeniem swoją kompanią.

Po siódmym stycznia nie miała już wiele do roboty. Odrzucona w czasie próby przeprawy przez rzekę ukraińska brygada pancerna pozostała na południowym brzegu gdzie zresztą zbombardowały ją A-10 Warthogsa, które nadleciały tak nisko i wolno, że zarzuciły bombami wszystko, co wyglądało na obiekty militarne. Ruscy chłopcy opowiadali potem Nancy Kozak, że zbombardowano również tłumy cywilnych uchodźców uciekających z Czopu. Kozak zapytała o to oficera łącznikowego lotnictwa który przyłączył się do jej kompanii. Ten wzruszył tylko ramionami i odparł, że zawsze możliwe są straty towarzyszące zwłaszcza gdy bombarduje się tereny gęsto zaludnione. Zapytany, co dokładnie oznacza zwrot „straty towarzyszące”, lotnik popatrzył na nią zdumiony, jakby nie dowierzał że kapitan może tego nie wiedzieć.

- To najczęściej straty, jakie ponosi ludność cywilna która sama nie jest celem nalotu, lecz znajduje się w pobliżu zaatakowanego obiektu - odparł.

Widząc dezaprobatę na jej twarzy, dodał:

- Przecież rozumie pani, że jeśli A-10 nadlatuje na cel na wysokości wierzchołków drzew z szybkością sześciuset kilometrów na godzinę, to pilot nie ma dość czasu na odróżnienie ziarna od plewów. Kiedy na tej samej szosie znajdują się obok siebie czołgi i ludność cywilna, straty są nieuniknione.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Pomyślał tylko że dobrze się stało, iż ukraińska brygada wycofała się znad rzeki i nie będzie już więcej bombardowana z powietrza. Nie miała wątpliwości, że za każdą operację płaci się jakąś określoną cenę.

Ponieważ bezpośrednie zagrożenie już minęło, a ranni zostali odesłani na tyły do szpitali w Słowacji, Kozak za brała się za porządkowanie spraw swojej kompani .Z piechotą i z saperami nie było żadnych problemów. Wpraw-

dzie piechota poniosła największe straty, ale morale wciąż było doskonałe, a pododdziały przygotowane do wykonania każdego nowego zadania. Problemem był pluton pancerny, ten, który odegrał znaczną rolę w odparciu ukraińskiego ataku, ale postawa jego dowódcy i śmierć żołnierza zabitego przez Amerykanów zaciążyły nad nastrojami, jakie panowały teraz wśród czołgistów.

Kozak niewiele zrobiła, by tę atmosferę poprawić. Gdyby to były rutynowe ćwiczenia, mogłaby nad sprawą porucznika Ellerbee przejść do

porządku. Rozumiała jednak, że bardzo się do niego uprzedziła i nie jest w stanie ocenić go w pełni obiektywnie. Ale nie potrafiła się przełamać. Usiłowała sobie wytłumaczyć, że takie rzeczy zdarzają się podczas bitew, lecz nie umiała wybaczyć porucznikowi braku profesjonalizmu. Tylko przecież przypadek sprawił że i ona, i załoga wtedy ocaleli.

Nie starała się wcale, by ukryć niechęć wobec pechowego porucznika. Ignorowała go, a kiedy już musiała się niego z czymś zwrócić, to głos jej się zmieniał. Kiedy zwoływała odprawy dowódców plutonów, polecała, by Ellerbee przychodził z sierżantem Rourkiem. Gdy Rourk szczerze powiedział jej, że to głupio wygląda, że nie jest to najmądrzejsze posunięcie, Nancy Kozak, nawet nie mrugnawszy okiem, odpowiedziała:

- Macie rację. Nie musicie go przyprowadzać.

Kozak podjęła starania, by usunąć porucznika Ellerbee ze swojej kompanii, ale dowódca brygady nie zgodził się na to. Jego rozkaz w tej sprawie nie odpowiadał ani Kozak ani porucznikowi. Kapitan poszła więc w tej sprawie do dowódcy batalionu, podpułkownika Ricka Zacharczuka i poprosiła, by wstawił się za nią u dowódcy brygady. Ale Zacharzuk odmówił przedstawienia sprawy Dixonowi.

Rozmyślała o tym wszystkim, gdy usłyszała warkot czołgów porucznika Ellerbee. Wkrótce zaczęły mijać miejsce w którym stał jej pojazd. Wiedziała, że to małość, że jest uprzedzona, ale nie potrafiła się powstrzymać od niechęci do porucznika. Teraz więc liczyła jego czołgi by się upewnić, czy wszystkie przejechały most. Dopiero

dy mogła wydać porucznik Matto rozkaz wysadzenia mostu w powietrze. Obiecała sobie, że gdy już znajdą się w Słowacji, będzie naciskała na Zachiarzuka, by ten jednak przedstawił jej prośbę Dixonowi. Obecna sytuacja była dla niej nie do zniesienia.

Wszelkie wątpliwości, wynikające z tego, że musiał opuścić swoją brygadę w ostatniej fazie wycofywania się z Ukrainy, opuściły Scotta Dixona w momencie, gdy jego helikopter wylądował w obozie wojskowym pod Mikwica-mi, gdzie niegdyś znajdowała się kwatera główna wojsk radzieckich stacjonujących w Czechosłowacji. Otóż zbliżając się do lądowiska, zobaczył przez okienko czekającą na niego żonę. Walcząc z chęcią puszczenia się pędem i chwycenia jej w ramiona, z rozmysłem, spokojnie wysiadł z maszyny i podszedł do niej. Idąc uśmiechał się, rozłożył ręce i zawołał:

- Cześć, kochanie! Wróciłem! Co na obiad?

Nie była w nastroju do żartów. Podeszła do niego, zsunęła kaptur jego kombinezonu, wzięła jego twarz w dłonie i pocałowała go. Scott zaś objął ją i tak stali przytuleni do siebie, nie zwracając uwagi na zimno i kręcący się wokół personel lotniska. Kiedy odsunęli się od siebie Dixon patrząc w oczy Jan, powiedział:

• Dostyc, bo jeszcze zamarzniemy w tej pozycji. - To nie byłoby aż takie wielkie nieszczęście, pułkowniku Dixon. Nie sądzicie? - odpowiedziała pytaniem.

Jeszcze raz przytulił ją i roześmiał się.

- Nie mogę sobie wyobrazić niczego gorszego. - I po chwili dodał: - Nie sądzę jednak, by Wielki Al wzywał mnie jedynie w tym celu.

Wielki Al to było przezwisko generała, który stał na czele 10. Korpusu. Miał tylko metr sześćdziesiąt pięć wzrostu. Uprzednio dowodził 16. Dywizją Pancerną, w której Dixon był oficerem operacyjnym. W owym czasie Dixon przyjaźnił się z Jan. Gdy brali ślub w Fort Hood, Wielki Al był mi-

TRÓJKĄT ŚMIERCI

179

strzem ceremonii. Wystąpił zresztą w tej roli z przyjemnością, bo bardzo lubił i szanował Dbcona za jego wyjątkowe zdolności i umiłowanie historii wojskowości.

Trzymając się za ręce, Jan i Dixon ruszyli w kierunku budynku, w którym znajdowało się dowództwo 10. Korpusu w Republice Czeskiej.

- Dopiero dziesięć minut temu dowiedziałam się, że przylatujesz z Ukrainy. Ed Lewis powiedział mi jakby nigdy nic, że jeśli chcę się z tobą zobaczyć, mam przyjść na lądowisko.

Dixon, zdumiony, zwolnił i zapytał:

- A co, jeśli mogę wiedzieć, robi tu twój przyjaciel z Kongresu? Chyba nie szuka odpowiedzi na jakieś pytania kongresmanów?

Klepnęła go przyjaźnie w ramię.

- Bądź poważny. Prezydent poprosiła go, by zgodził się

prować negocjacje z Niemcami w sprawie tych głowic. Tymczasem Niemcy zażądali, by nasze jednostki wycofały się z ich kraju.

Dixon parsknął śmiechem.

- No cóż, pan Ruff sprytnie to sobie wymyślił. - Zatrzymał się i patrząc jej uważnie w oczy, powiedział: Jak się domyślam, byłaś gdzieś pod ręką właśnie wtedy, gdy prezydent poprosiła Eda Lewisa, by poleciał do Europy, a on oświadczył, że zabiera ciebie ze sobą.

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Tak właśnie było.

Patrzył z niedowierzaniem, wreszcie spytał:

- Czy sądzisz, że w to uwierzę?
- Możesz wierzyć, w co tylko chcesz, Scott. Ale to akurat prawda, przysięgam. A teraz powiedz, co ty tu robisz?

Ich rozmowę przerwało pojawienie się dwóch oficerów, w których Dixon rozpoznał przedstawicieli sekcji operacyjnej 10. Korpusu.

- Naprawdę nie mam pojęcia. Sądzę, że wkrótce się dowiem - zdążył jeszcze powiedzieć.

Oficerowie podeszli do Dixona i poprosili, by poszedł z nimi.

180

HAROLD COYLE

Jan została w sekretariacie Wielkiego Ala, Dixona zaś poproszono do jego gabinetu, gdzie zastał Eda Lewisa i generała, zagłębianych w fotelach i zatopionych w rozmowie. Bez zbędnej kurtuazji Wielki Al poprosił

Dixona, by nalał sobie kawy i przysunął krzesło do stolika, przy którym siedzieli. Dixon przywitał się z Lewisem, który uśmiechnął się z pewnym wysiłkiem. Widać było, że jest zmęczony i spięty, miał znużone oczy i nieco obwisłe policzki. Wielki Al, zauważywszy, że Dixon przygląda się Lewisowi, wyjaśnił:

- Kongresman przyjechał właśnie z Berlina, gdzie przez dwa dni bez przerwy prowadził rozmowy z Niemcami.

Dixon napił się kawy.

- Bardzo przepraszam, *sir* - powiedział - ale słyszałem tylko jakieś pogłoski. W trakcie operacji mogłem się zajmować jedynie tym, co dotyczyło bezpośrednio mojej brygady.
- A więc w skrócie - zaczął Wielki Al. - Otóż Niemcy nie tylko zajęli głowice, jakie składowaliśmy w naszej bazie, ale dzięki pomocy Ukraińców mogą je aktywować. Kanclerz i jego otoczenie poinformowali kongresmana, że nie tylko zatrzymają głowice, ale są również gotowi do ich użycia, gdyby ktoś usiłował im je odebrać.

Informacja generała wcale nie zaskoczyła Dixona, a groźba użycia przez Niemców broni jądrowej nie przeraziła go. Dla niego był to po prostu jeszcze jeden rodzaj broni. Całe dorosłe życie spędził w wojsku, przygotowując się do tego, by umieć jak najlepiej i najskuteczniej zniszczyć nieprzyjaciela. Od lat rozważał możliwości, jakie daje broń jądrowa. Informacja, jaką usłyszał, nie zabrzmiała w jego uszach jak alarm, nie była żadnym zaskoczeniem. Wszystko wydawało mu się logiczne i możliwe do przewidzenia. Niemcy od kilku lat najwyraźniej zmierzali do przejęcia głównej roli we Wspólnocie Europejskiej. Rewolucja 1989 roku i upadek komunizmu stały się dla nich okazją do

odegrania czołowej roli w Europie. Potrzebny był im jeszcze tylko status wielkiego mocarstwa, co obecnie chciały za wszelką cenę uzyskać.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

181

Popatrzył na twarze siedzących naprzeciwko niego generała i kongresmana i mruknął pół żartem, pół serio:

- To jeszcze chyba nie najgorsze z tego, co macie mi do powiedzenia?

Wielki Al poprawił się w fotelu i chrząknął. Jak wielu wyższych dowódców wiedział, że oficer, który, nie speszony, potrafi się szczerze wypowiadać w obecności generała, jest okazem nieczęsto spotykanym. A takim właśnie oficerem był Scott Dixon. Dlatego też generał lubił go mieć przy sobie w szczególnie trudnych chwilach.

- Wygląda na to, Scott, że i tym razem masz rację. Należy się domyślać, że nasz były przyjaciel i sojusznik, kanclerz Ruff, ma już jakiś plan, który chciałby natychmiast zrealizować, nawet przy użyciu broni, jafcą właśnie udało mu się zdobyć.

- To znaczy, o co mu chodzi, *sif*?

Wielki Al popatrzył w sufit.

- Ni mniej, ni więcej, tylko o całkowite wycofanie sił amerykańskich z Niemiec, zaczynając od 10. Korpusu.

Chcąc rozładować napięcie, Dixon zażartował:

- No cóż, na Boże Narodzenie już nie zdążymy, ale i tak moi ludzie będą go błogosławić. Poza tym do Waszyngtonu

wróci kilku przyjaciół kongresmana Lewisa. Oszczędzimy na wydatkach na obronność i będzie można przeznaczyć więcej pieniędzy na opiekę socjalną. - Dixon łyknął kawy i dodał: - Same korzyści. Zaczynam żałować, że nie głośno wałem na faceta.

Zbyt zmęczony i zbyt rozbity, szczególnie po ostatnim spotkaniu z Ruffem, Lewis nie podjął lekkiego tonu Dixona, co oczywiście wynikało z tego, co powiedział:

- Pułkowniku, Niemcy siłą wtargnęli do naszej bazy i zagarnęli głowice.

Dixon jednak nie tracił humoru.

- Każdy medal ma dwie strony: oni zagarnęli głowice, które myśmy wprowadzili do Niemiec, łamiąc Układ Berliński, podpisany przez nas przed dwoma laty. A umowa ta wyraźnie zabrania wwożenia lub przewożenia przez Niemcy nuklearnej broni strategicznej. Popieraliśmy pro-

182

HAROLD COYLE

jekt strefy bezatomowej w Europie Środkowej, ale jako pierwsi ten układ złamaliśmy. Gdyby Niemcy podali nas do Trybunału Międzynarodowego, wygraliby. Lewis zareagował dość ostro.

- Niestety, pułkowniku, sprawa nie będzie rozstrzygana w sądzie. Niemcy wyraźnie dążą do próby sił, do sytuacji, w której albo się wycofamy, albo staniemy w polu.

Widząc, że wymiana zdań między Lewisem a Dixonom zaczyna się zaostrzać. Wielki Al zdecydował, że czas na interwencję i przywrócenie

spokoju.

- Panowie, to doskonały temat na dyskusję w Waszyngtonie. Ale teraz to nie nasze zmartwienie. Mnie jest całkowicie obojętne, kto ma rację, my czy oni. Dla mnie, pułkownika Dbcon, ważne jest, że Niemcy upierają się, by nasz 10. Korpus został rozbrojony, a dopiero potem wycofany.

Dixon popatrzył przez chwilę na Wielkiego Ala, potem na Lewisa i wreszcie powiedział:

- To przecież żarty, czyż nie? Chyba oni doskonale rozumieją, że taki krok oznaczałby bezwarunkową kapitulację, a więc obrazę dumy i godności narodu amerykańskiego oraz naszej armii.
- Wydaje mi się, że o to im właśnie chodzi - wtrącił Lewis. - Chcą dokonać publicznej kastracji. I gdyby się to Ruffowi udało, byłby bohaterem narodowym, takim niemieckim Arminiusem dwudziestego pierwszego stulecia.

Przez chwilę Dixon usiłował przypomnieć sobie, kim był Arminius, gdy Wielki Al pośpieszył z wyjaśnieniem:

- Las Teutoburg.

I Dbcon natychmiast skojarzył o kim mowa. Był 9. rok po Chrystusie i Rzymianie usiłowali właśnie ucywilizować Germanię na wschód od Renu. Trzy legiony i sześć kohort rzymskiego gubernatora Germanii Quinctiliusa Varusa, którym towarzyszył tłum kupców, urzędników i rodzin, wycofywały się z letniego obozu nad Wezerą, na zimowe leże w rejonie dzisiejszego Munden. Rzymianie zostali wtedy zaatakowani przez germańskie plemiona, którym przewodził Arminius. W toku trzydniowej bitwy Germanie pod wodzą Arminiusa zabili 18 tysięcy legionistów i 12

tysięcy

TRÓJKĄT ŚMIERCI

183

rzymskich kupców i urzędników. Ci, którzy uszli z życiem, powrócili do Rzymu i opowiedzieli o nieszczęściu. Bitwa zahamowała ostatecznie próby podbicia Germanii i zadecydowała, że Germanie rozwijali swoją własną kulturę, niezależną od wpływów Rzymu. Bitwa, zwana bitwą w Lesie Teutoburg dała początek niemieckiemu nacjonalizmowi, a dla Niemców Arminius stał się tym, czym dla Amerykanów Jerzy Waszyngton.

Dbcon zamyślił się nad analogią, o jakiej mówił Wielki Al, i patrząc na generała, powiedział:

- On tego nie może planować poważnie. Przecież musi chyba rozumieć, że mamy dwudziesty pierwszy wiek!
- On o tym doskonale pamięta, pułkowniku - włączył się do rozmowy Lewis - naprawdę pamięta. Dlatego też nie chce nas zaatakować dzidami rzucanymi zza tarczy, jak to robili wojownicy Arminlusa, lecz głowicami nuklearnymi.
- A ma poparcie niemieckiej opinii publicznej?
- Ruff jest przekonany, że ma, pułkowniku. Wygrał wybory jako kandydat konserwatywny, występujący pod hasłem „Niemcy dla Niemców”, i uważa, że ma mandat do takiego właśnie działania. Na to nakładają się błędy, jakie popełniliśmy w ostatnich dniach, a jego zdecydowana postawa zjednuje mu poparcie konserwatywnej części niemieckiej opinii. Widzi pan - mówił Lewis - w przeciwieństwie do

Amerykanów, dla których ostatnie wybory prezydenckie to zamierzchła historia, Niemcy, jak większość Europejczyków, mają silne poczucie historii. Przypomniano nam o tym w latach dziewięćdziesiątych, kiedy niewielkie ugrupowania wyciągnęły nagle dawno zapomniane godła i flagi i korzystając z politycznych zawirowań gwałtownie wkroczyły na scenę Europy Środkowej i Wschodniej. Odżył nieoczekiwanie dziki nacjonalizm, dla którego Arminius staje się ponownie bohaterem i wzorem.

- Krótko mówiąc, zagnano nas w ślepy zaułek, a Ruff atakuje jak wściekły.

Dbcon wiedział doskonale, że Wielki Al chciałby w ten sposób sprowokować dyskusję, w której mogłyby paść propozycje jakichś rozwiązań.

184

HAROLD COYLE

- No więc doskonale - powiedział - czyli nie pozostaje nam nic innego, jak spędzenie miłych, zimowych ferii w czeskich Tatrach i czekanie, by politycy się dogadali.

Lewis zaprzeczył ruchem głowy.

- To nie takie proste, pułkowniku. W południe rozmawiałem z panią prezydent. Poinformowała mnie, że ambasador czeski w Waszyngtonie złożył w imieniu swego rządu prośbę, by 10. Korpus natychmiast opuścił Czechy. Delegatura CIA w Berlinie donosi, że Niemcy i Ukraińcy nawiązali ścisłą współpracę. Wygląda na to, że przypominają

Czechom i Słowakom, iż dzielą z nimi granice.

Dixon myślał przez chwilę, wreszcie powiedział:

- No cóż, szantaż strategiczny. A co z Polakami? Czy nie przepuszczą nas do portów nad Morzem Bałtyckim?
- Myślano już o tym, ale nie wygląda to obiecująco -odparł Lewis. - Polski rząd jest obrażony i poirytowany, że ich kosztem udzieliliśmy znacznej pomocy Rosjanom. Zresztą Niemcy już nad nimi pracują, a samo wycofanie się wojsk przez Polskę oznaczałoby dla Niemców moralne zwycięstwo. Mogę już to sobie wyobrazić - zaczął gestykulować, jakby wygłaszał publiczne przemówienie - tego małego, nowego Hitlerka, który stojąc na podium, chełpi się przed całym światem, że wyślizgał amerykańską maszynę wojenną, która wolała uciec pod opiekę Polaków, niż ryzykować pewną klęskę za sprawą armii zjednoczonych Niemiec.

Dixon wzruszył ramionami.

- Zapowiada się więc na to, że stajemy przed widmem całkowitej porażki. - Przeniósł wzrok z Wielkiego Ala na Lewisa i dodał: - Mam jednak nadzieję, że znajdzie się ktoś, kto wymyśli magiczne zaklęcie umożliwiające nam wyplątanie się z tej matni.
- Bardzo się cieszę, że o tym myślisz - przerwał mu Wielki Al. - Czy przypominasz sobie historię Ksenofonta?

Obaj, Dixon i Lewis, spojrzeli na generała, który uśmiechał się i wcale nie miał miny człowieka zakłopotanego. Dixon pomyślał, że Wielki Al znów snuje jakieś analogie, więc szybko odparł:

TRÓJKĄT ŚMIERCI

- Oczywiście, że sobie przypominam. „Marsz dziesięciu tysięcy”. Około 400 roku przed Chrystusem dziesięć tysięcy greckich najemników w służbie króla Persji zostało zdradzonych i pozostawionych na obcej ziemi, tam, gdzie dzisiejszy Irak. Zamiast poddać się i złożyć broń, czego domagał się król perski, Grecy zwarli szeregi i pomaszerowali do Grecji przez teren obecnego Kurdystanu. Chyba tak właśnie było.

Uśmiech Wielkiego Ala stał się jeszcze bardziej bez troski.

- Masz doskonałą pamięć, Scott, niemal tak dobrą jak kongresman Lewis.

Nie zwracając uwagi na komplement, Dixon kontynuował:

- Jeśli dobrze pana rozumiem, generale, to proponuje pan, byśmy się wypięli na Niemców, uformowali w kolumny i pomaszerowali na Bremerhaven.
- To w gruncie rzeczy pomysł kongresmana. Chciałby wrócić do Waszyngtonu z propozycją takiej operacji w kieszeni.

Dixon popatrzył zdumiony na Lewisa i już otworzył usta, ale ten nie dopuścił go do głosu:

- Wiem, co pan myśli, pułkowniku. Czyż to możliwe, by ten zwolennik rozwiązań dyplomatycznych, a przeciwnik awantur zbrojnych, miał być po prostu jastrzębiem? No cóż, nigdy nie byłem pacyfistą. Zawsze opowiadałem się za polityką rozsądku i odpowiedzialności, a przeciwko doktrynie, która każe najpierw strzelać, a potem dopiero rozmawiać. Bywają jednak sytuacje, takie właśnie jak ta, w których nie ma miejsca na rozmowy, a większe

niebezpieczeństwo w perspektywie uzasadnia ryzyko użycia siły.

- Wszystko w porządku - wtrącił się Dixon - ale mamy dwudziesty pierwszy wiek, a nie rok 400 przed Chrystusem. Mówimy o przedzieraniu się przez gęsto zaludniony kraj, którego armia dysponuje najnowocześniejszym uzbrojeniem, nie wspominając o głowicach nuklearnych. To nie Las Teutoburg i nie „marsz dziesięciu tysięcy” przez góry Kurdystanu. Pan proponuje konfrontację nowoczesnych sił, dwóch w pełni zmechanizowanych armii w sa-

186

HAROLD COYLE

mym centrum Europy - Dixon wyprostował się i potrząsnął głową. -

Przykro mi, ale wydaje mi się to prawie niemożliwością. Nie wiem, co moi żołnierze powiedzieliby na taką szaloną i ryzykowną operację. Wielki Al znów się uśmiechnął.

- Trafiłeś w samo sedno Scott. Właśnie dlatego cię tu ściągnąłem, byś pomógł mi w opracowaniu planu takiej operacji, planu, który kongresman Lewis zawiezie do Waszyngtonu. On i ja zgadzamy się, że zarówno wycofanie się przez Polskę, jak i zabranie ludzi samolotami, a pozostawienie tu całego ciężkiego sprzętu nie wchodzi w grę. Musimy więc zaproponować pani prezydent jakieś inne sensowne rozwiązanie.

Dopiero teraz zaczęło docierać do Dbcona, że jego rozmówcy mówią najzupełniej poważnie.

- I sądzicie, panowie, że przemarsz całego 10. Korpusu

przez Niemcy, i to w zimie, jest rzeczywiście rozwiązaniem sensownym?

Wielki Al poważnie i stanowczo odparł:

- Mam nadzieję, że unikniemy zarówno współczesnej wersji niemieckiego Arminiusa, jak i amerykańskiej wersji Ksenofonta. To jednak nie zależy od nas.

Dbcon doskonale zdawał sobie sprawę, że ostateczna decyzja może zapaść tylko w Waszyngtonie. Gdyby Amerykanie ruszyli przez Niemcy, musiałoby dojść do starcia. Wiedział o tym niewątpliwie i Wielki Al, który po krótkiej pauzie mówił dalej:

- Naszym zadaniem jest przedłożenie przywódcom naszego kraju rozwiązania, które uznamy za możliwie najlepsze, a które mogłoby zostać wprowadzone w życie, gdyby inne drogi zawiodły.

Dbcon patrzył przez chwilę na kubek z kawą, zastanawiając się nad tym, co zostało już powiedziane. W pełni uzmysłowił sobie zuchwalstwo tego pomysłu. I nagle wyobraził sobie kanclerza Ruffa jako wodza plemion germańskich, tyle że siedzącego w wieżyczce czołgu Leopard II, i Wielkiego Ala jako przywódcę starożytnych Greków, w czołgu M-1A1 Abrams. Obaj zbliżali się do siebie, jadąc

TRÓJKĄT ŚMIERCI

187

szeroką autostradą. Zdał sobie sprawę z nonsensowności tego obrazu, choć jednocześnie wiedział, że może się on okazać prawdziwy. Alternatywą mogło być jedynie złożenie broni i powrót do domu,

niczym stado baranów. Z tym już nie mógłby się pogodzić. Patrząc na swego dowódcę uśmiechnął się i powiedział:

- No cóż, generale, doskonały pomysł. Dobrze, że wpadliśmy na to. Więc kiedy zaczynamy?

Rozdział IX

11 stycznia

- I to wszystko? To wszystko, co ten sukinsyn ma do powiedzenia? Co on sobie wyobraża, że niby kim jest?

Abigail Wilson burknęła na Soaresa:

- Pete, byłabym wdzięczna, gdybyś pozwolił kongresmanowi Lewisowi dokończyć.

Pete Soares nie mógł się przyzwyczaić do tych okropnych manier, z jakimi Wilson traktowała członków swojego gabinetu. A przecież miał już czterdzieści osiem lat i był człowiekiem sukcesu, człowiekiem władzy. Nie potrzebował mamusi, która by go ustawicznie pouczała, jak ma postępować i co mówić. Zachowywał jednak wobec Wilson pewną ostrożność. Ostatecznie to ona była prezydentem, a on jej podwładnym, z czym zresztą nie mógł się pogodzić. Skrzywił się w tym dziwacznym grymasie, przez który zyskał sobie przydomek „Szczur”, oparł się o poręcz fotela i zamilkł, Lewis zaś kontynuował:

- A co właściwie należało mu powiedzieć? W jego odczuciu i on sam, i każdy z jego żołnierzy stali się politycznymi zakładnikami. Generał Malin jest nie tylko żołnierzem, ale i dowódcą wielkiej jednostki, której istnienie zostało zagrożone, toteż całkowicie usprawiedliwione i zrozumiałe są jego żądania, by administracja, która wywołała cały ten kryzys, natychmiast

podjęła kroki w celu rozwiązania tej sytuacji, i to w sposób, który nie kompromitowałby Stanów i ich armii.

Siedzący po przeciwnej stronie stołu Terry Rothenberg, sekretarz obrony, pokiwał głową.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

189

- On doskonale wie, że Stany nigdy nie użyją broni nuklearnej, chyba że w ostateczności, i to tylko wtedy, jeśli zagrożone zostanie ich terytorium. Rozumiem jego stanowisko, jest mi ono nawet bliskie, ale nie doradzam pani prezydent podjęcia Jakiegokolwiek akcji militarnej przeciwko rządowi Niemiec. Nie poparłby tego żaden z krajów członkowskich NATO, bo wszyscy, tak jak Niemcy, nie pochwalają obecnego kryzysu i uważają, że to my jesteśmy jego sprawcami, a także są zdania, że konflikt mogą rozwiązać jedynie sami Europejczycy między sobą. Ministrowie obrony Francji i Wielkiej Brytanii są zaniepokojeni tym, że Niemcy mają teraz dostęp do broni nuklearnej, ale nie sądzą, by użycie siły mogło być właściwą odpowiedzią na obecną sytuację. Gdyby nawet generał Malin miał pozostawić cały ciężki sprzęt, a my mielibyśmy stracić honor. Brytyjski minister Harold Lloyd powiedział: „Wy, Amerykanie, zrobiliście już dosyć. Będziemy wam wdzięczni, jeśli się spokojnie stąd zabierzecie i pozwolicie, byśmy sami między sobą to wszystko rozstrzygnęli”.
- Oczywiście - zasyczał Soares - ten mały arogant nie sądzi chyba, że skulimy ogon pod siebie i zwiejemy? Kto jak kto, ale Brytyjczycy

powinni wiedzieć, że tchórzliwą ustępliwością pokoju się nie zapewni.

Wilson zniecierpliwionym gestem przerwała Soaresowi. Gdy zapadła cisza, prezydent zaczęła mówić spokojnie, kontrolując ton głosu:

- Jestem skłonna, choć z przykrością, zgodzić się z Ter-
rym i z szefem Kolegium Sztabów. Bez politycznego i mili-
tarnego wsparcia naszych sojuszników rozwiązanie tego
kryzysu poprzez działanie militarne nie wchodzi w grę. Co
do mnie, to uważam, że czas już przestać odgrywać Johna
Wayne'a. Trzeba zacząć traktować innych jako ludzi rów-
nie inteligentnych, ani lepszych, ani gorszych od nas. -
Spojrzała na siedzących za stołem i dodała z pewnym sar-
kazmem: - Kto wie, może tak właśnie będzie najlepiej?

Soares z trudem powstrzymał się od złośliwego komentarza i
pomyślał, nie po raz pierwszy zresztą, że ogromnym błędem było
wprowadzenie kobiety do Białego Domu. Nie-

190

HAROLD COYLE

zależnie od wyników badań opinii publicznej, był przekonany, że to nie
Wilson powinna zajmować miejsce za tym biurkiem. Wstając i zbierając
notatki, powiedział:

- No cóż, chyba skończyliśmy. Poddajemy się.

Wilson zareagowała spokojnie", ale stanowczo.

- Jeśli w ciągu dnia czy dwóch nie nastąpi jakaś radykal-
na zmiana, nie mamy innego wyjścia. Oczywiście musimy
zapłacić jakąś cenę. - Znow rozejrzała się po gabinecie i, jak

to miała w zwyczaju, podsumowała: - Mamy, panowie, trzeci dzień kryzysu i w dalszym ciągu nie znaleźliśmy rozsądnego wyjścia. Wszelkie próby nawiązania dialogu między mną a kanclerzem Ruffem spaliły na panewce. Kanclerz, zamiast rozmawiać, wygłasza propagandowe przemówienia. Francja i Anglia nie chcą podjąć się roli mediatora, ja zaś nie mam najmniejszej wątpliwości, że Ruffnie pójdzie najakiejkolwiek ustępstwa. Nie nawiązali z nami rozmów na drodze dyplomatycznej, nie odpowiedzieli na próbę podjęcia dyskretnych rokowań za pośrednictwem mego specjalnego wysłannika, kongresmana Lewisa...

Chwilę milczała, dając obecnym czas na oswojenie się z tym, co powiedziała, po czym dodała:

- Panowie, jesteśmy w kropce. Terry i Pete, zróbcie do kładną analizę sytuacji. O ósmej rano przedstawicie nam wyniki swojej pracy oraz ewentualne propozycje działań. Pamiętajcie, że musimy postępować tak, by tygrys, które gośmy wypuścili z klatki, nie zjadł zbyt wielu niewinnych ludzi. A teraz dziękuję. Proszę kongresmana Lewisa, by jeszcze chwilę pozostał.

Soares, którego zaczynała drażnić rola, jaką odgrywał Lewis, już chciał zaprotestować, ale raz jeszcze zmusił się do milczenia. Jeśli pani prezydent była gotowa ustępować Niemcom za cenę złamania swojej politycznej kariery, to jej sprawa, on nie da się w to wmanewrować. Im dalej będzie od tego wszystkiego, tym lepiej. Wprawdzie pomagał we wprowadzeniu tej damy do Białego Domu, ale teraz nadszedł już czas, by rozejrzeć się za

kimś, kto mógłby ją zastąpić, kogo warto by poprzeć - z myślą o własnej karierze.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

191

Gdy zostali w gabinecie sami, Lewis poprawił się w fotelu. Był ciekaw, co Wilson ma mu do powiedzenia.

- No cóż, Ed, jak poszło? - zapytała.

Rozejrzał się wokół.

- Mam nadzieję, pani prezydent, że nas nie podsłuchują i nie nagrywają.

Zniecierpliwiona, potrząsnęła głową.

- O czym ty mówisz? Nigdy bym na coś takiego nie pozwoliła.

Uśmiech przemknął po jego twarzy.

- No cóż, zawsze gdy mieszam się w coś podobnego, zaczynam być nieco nerwowy. Przypominają mi się lata sześćdziesiąte - Edgar Hoover, Nixon i jego taśmy...
- Gdyby ktoś odważył się nas nagrywać, to zapewniam cię, że poleciałyby głowy. No, ale do rzeczy. Czy naprawdę wierzysz, że generał Malin może to przeprowadzić?
- Jak pani mówiłem, Wielki Al... przepraszam, generał Malin i jego współpracownicy mają pełną świadomość ryzyka, jakie podejmują. Od początku do końca jest to jednak wielka hazardowa gra. Wątpię, by 10. Korpus mógł wkroczyć do Niemiec bez walki. Wcale nie jest pewne, czy zaskoczeni i dezorientowani Niemcy zawahają się i

zamiast od razu przystąpić do walki, zaczną ustępować. Nie wiem, czy inne rządy Europy uwierzą, że Malin się zbuntował i działa na własną rękę, i czy te rządy będą nas popierać. Ryzykujemy zakładając, że działanie Malina osłabi poparcie Bundeswehry i niemieckiej opinii dla Ruffa. Ryzykujemy zakładając, że 10. Korpus dojdzie do portów Morza Północnego, gdzie można go będzie zaopatrywać i ewentualnie uzupełnić Jego siły przed dalszymi operacjami. Możemy osiągnąć cel tylko wówczas, gdy wszyscy zaangażowani zachowają się tak, jak zakładamy.

- Co może się wydarzyć, jeśli przyjmimy najgorszy wariant? - zapytała patrząc uważnie w oczy Lewisa.

Ten odpowiedział spokojnie, cienia emocji:

- Najgorsze byłoby to, gdyby niemiecka armia i społeczeństwo skupiły się wokół Ruffa. Rozległby się krzyk

192

HAROLD COYLE

Deutschland uber alles, zatrzymano by 10. Korpus, być może by go rozbito...

- A jaki układ byłby dla nas najkorzystniejszy?
- Gdyby Wielki Al i jego Korpus doszli w dobrej kondycji do portów na północy, gotowi albo do ewakuacji, albo do wykonania odpowiedniej operacji, gdyby zaszła taka potrzeba. To otwierałoby przed nami różne warianty dalszego działania, a byłoby ciosem w prestiż rządu Ruffa. Dużo będzie zależeć od tego, jak sami Niemcy potraktują to wszystko. Nie można wykluczyć, że kanclerz zostanie obalony i zastąpi go ktoś

inny, gotowy do rzeczowych pertraktacji.

- Wydaje mi się, że i Niemcy, i nasi sojusznicy natychmiast przejrzą tę komedię ze „zbuntowanym generałem”. Ostatecznie Europejczycy są mistrzami w dwuznacznych grach dyplomatycznych.

Lewis przyznał jej rację skinieniem głowy.

- To prawda, ale na nas, w dziedzinie dyplomacji, patrzą jak na pijane dzieci we mgle. Uważają nas za szalonych, nieco prymitywnych kowbojów. Sądzą, że jesteśmy zdolni do wszystkiego, z wyjątkiem subtelnej intrygi. Dlatego i tym razem nie posądzą nas o to, że gramy.

Wilson przez jakiś czas siedziała nieruchomo, wpatrzona w blat swego biurka. Wreszcie zaczęła mówić nie podnosząc oczu, co sprawiało wrażenie, że po prostu głośno myśli.

- Nie jestem ekspertem i nie mogę oceniać, czy to, co planują Malin i jego ludzie, jest technicznie wykonalne. Mogę ci jedynie wierzyć na słowo. Nikt z nas nie jest w stanie dokładnie przewidzieć, jak zachowa się Ruff, i w ogóle Niemcy. Nie wyobrażam sobie jednak, by siedzieli beczynn timer i przyglądali się, jak 10. Korpus generała Malina maszeruje przez cały ich kraj.
- Powiedziałem pani, że dojdzie do walki - przerwał jej Lewis. - Wielki Al ma jednak nadzieję, że nastąpi to już w pobliżu wybrzeża i że będzie miał przeciwko sobie tylko część niemieckiej armii.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

Patrzyła na niego przez chwilę, zanim zadała kolejne pytanie:

- A co mam powiedzieć Innym przywódcom Europy? Niemcy zapewne zrobią wszystko, by przeciągnąć ich na swoją stronę.
- Tu właśnie wykorzystamy tę opowieść o „zbuntowanym generale”. Pani rozkaże Malinowi, by pozostawił w Czechach i w Słowacji sprzęt oraz przygotował ludzi do ewakuacji drogą lotniczą. On odmówi. Wtedy pani poinformuje o tym Ruffa i poprosi go o współpracę, by można było rozwiązać kryzys przy najmniejszych stratach i kosztach. Rząd niemiecki będzie zdezorientowany. Nie podejmie od razu zdecydowanych kroków, bo będzie mu zależało na zmniejszeniu ryzyka.

Wilson pokręciła głową.

- Nie pojmuję tego - powiedziała.
- To wszystko jest tylko zasłoną dymną. Trzeba przekonać Niemców, że Wielki Al i jego korpus to nie armia reprezentująca Stany, lecz banda maruderów. Potępiając go, dystansując się od niego, wprowadzi pani Niemców w błąd. Zajmie pani stanowisko, wedle którego Wielki Al to buntownik i przestępca. Nie dotyczy to jednak jego żołnierzy. Obieca więc pani Niemcom, że jeśli przepuszczą 10. Korpus bez walki, zapłacimy za wszelkie straty, jakie mogą powstać. Zapewni ich też pani, że Wielki Al poniesie za swoją niesubordynację wszelkie konsekwencje. Zresztą sam Wielki Al również złoży oświadczenie, że gdy tylko wyjdzie ze swoim wojskiem ze strefy niebezpieczeństwa, stawi się przed amerykańskimi władzami.
- A jeśli Ruff i Niemcy tego nie kupią? - spytała.

- To proste. Wtedy powie pani kanclerzowi, że nie mogłaby pani siedzieć spokojnie i patrzeć na zagładę amerykańskich żołnierzy, oszukanych i manipulowanych. Oni nie mogą ponosić odpowiedzialności za to, że ich dowódca zwariował czy też się zbuntował. Gdyby Niemcy zaczęli mordować naszych, pani, jako głównodowodzący Sił Zbrojnych USA, nie będzie miała innego wyjścia, niż przyjść im

194

HAROLD COYLE

z pomocą wszelkimi dostępnymi nam siłami. Tak też trzeba sprawę przedstawić Ruffowl.

Zapadła cisza. Wilson rozważała w myślach plan, który niewątpliwie wydawał się szalony. Na jej twarzy widać było wyraz głębokiego sceptycyzmu.

- Czy naprawdę sądzisz, że Niemcy w to wszystko uwierzą? Myślisz, że dadzą się oszukać?

Uśmiechnął się i uniół rękę w kierunku drzwi.

- Pani już zaczęła mylić przeciwnika. Soares i Rothenberg poszli przygotowywać rozkazy, które trzeba wykonać, jeśli zgodzimy się na przyjęcie warunków Berlina. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że prasa coś wywącha, a reszty dowie się niemiecki wywiad. Dopóki pani sekretarze o niczym nie wiedzą, będą skutecznie wprowadzać Niemców w błąd.

- A co z głowicami? Jak z tym się uporamy?

Lewis potrząsnął głową i rozłożył ręce.

- Nie wiem. Nie mamy na to jeszcze odpowiedzi. Sądzę, że teraz w ogóle nie ma ostatecznego rozwiązania wszystkich problemów. Proponuję więc, byśmy na razie zajęli się sprawą najpilniejszą, a więc 10. Korpusem.
- Czy nie sądzisz, że głowice to wielki problem?
- Owszem, ale nie najważniejszy. Przeciwno komu mieliby ich Niemcy użyć, i gdzie? Gdyby użyli ich przeciwko 10. Korpusowi, zanim ten wkroczy do Niemiec, wciągnęliby do wojny Czechów, Słowaków i Bóg wie, kogo jeszcze. Zawadziliby nawet o swoich przyjaciół, Ukraińców, zwłaszcza że opady radioaktywne z wybuchów nad Czechami dotrą z wiatrem na wschód, na Ukrainę. Jeśli będą czekać, aż 10. Korpus wkroczy do Niemiec, to użycie broni atomowej oznaczałoby stworzenie wewnątrz ich własnego kraju rejonów skażonych.

Lewis pokiwał głową.

- Nie, takim głupcem nie byłby nawet Hitler. Przecież w czasie wojny Niemcy dysponowali znacznymi zapasami gazów bojowych, a nigdy ich nie użyli, bo obawiali się, że odpowiemy tym samym. Wiemy dokładnie, gdzie składowają głowice. Wiemy, kto ich strzeże i w jaki sposób. CIA

TRÓJKĄT ŚMIERCI

195

ma w tym zakresie doskonałe informacje. Może mi pani wierzyć, że Niemcy nie użyją tej broni we własnym kraju, a więc o głowice na razie

bym się zbytnio nie martwił.

Wilson zmrużyła oczy i milcząco próbowała zebrać myśli. Doszła do wniosku, że kongresman ma rację, a jego analiza jest przekonywająca. To ją nieco uspokoiło. Patrząc na niego badawczo, powiedziała:

- Rozumiesz chyba, Ed, że kiedy to się wszystko skończy, nawet w możliwie najlepszy sposób, możemy się pożegnać z naszymi politycznymi karierami.

Nastąpiła chwila milczenia. Przerwał ją Lewis, którego twarz przypominała teraz maskę:

- Pani prezydent, wczoraj siedziałem przed kanclerzem Ruffem, tak jak teraz przed panią. Patrzyłem mu w oczy i słuchałem, co mówi. Nie jestem w stanie opisać przerażenia i wstrętu, jakie mnie ogarniały. To, czego nie wyrażały jego słowa, można było wyczytać w jego oczach i w jego głosie. Czuję się tak, jakbym wpadał w przepaść bez dna. I wtedy nagle zrozumiałem, że słucham słów podobnych do tych, jakich słuchali nasi poprzednicy w 1933 roku. Daleki jestem od tego, by wygłaszać tu pani odczyt, ale zapewniam, że nasi dziadowie wpadali w taką właśnie przepaść, w jaką ja wczoraj wleciałem. Lecieli i nie mieli pojęcia, co znajdą na dnie, a my wiemy, ja wiem i pani wie. Tam leżą trupy, trzydzieści milionów trupów, bo nasi przodkowie wybrali drogę, którą uznali za bezpieczną i pewną, ich zdaniem. Martwili się o politykę i własną pozycję, a zapomnieli o odpowiedzialności wobec ludzkości. Zobaczyli oblicze diabła i odwrócili się od niego. Czy

my mamy zrobić to samo?

13 stycznia

Wyrwany z męczącego snu kanclerz Ruff doszedł do wniosku, że nie musi wkładać ubrania i w piżamie zszedł do gabinetu, gdzie, jak mu powiedziano, czekał na niego pułkownik Kasper. Gdy się tam znalazł, natychmiast pożałował, że się nie ubrał. Na jego widok Kasper, w pełnym umundurowaniu, zerwał się i stanął na baczność. To samo

196

HAROLD COYLE

zrobił jakiś inny pułkownik, którego kanclerz widział już kiedyś w sztabie Bundeswehry. Ukrywając zażenowanie, Ruff, w piżamie i rannych pantoflach, podszedł do biurka, za którym usiadł, i dopiero wtedy zwrócił się do obu oficerów.

- No, więc co was sprowadza? - zapalając papierosa, zapytał dość ostro.

Kasper, jak na służbistę przystało, beznamiętnie zameldował:

- Panie kanclerzu, chciałbym panu przedstawić pułkownika Gotthardta Mahlera ze sztabu generała Langego.

Mahler natychmiast wtrącił:

- Panie kanclerzu, generał Lange prosi o wybaczenie, że nie może się zameldować osobiście, bo teraz właśnie prowadzi odprawę, ale zaraz po niej stawi się u pana osobiście.

Ruff machnął pobłażliwie ręką.

- Jesteśmy pewni, że 10. Korpus rozpoczął marsz. Jego elementy

logistyczne posuwają się od Pragi w kierunku północnym - Mahler wstał i położył na biurku przed kanclerzem niewielką mapę rejonów przygranicznych Czech i Niemiec. Pokazując odpowiednie punkty zaznaczone na czerwono:

- Ustanawiają bazy logistyczne, wysunięte w kierunku naszej granicy: w rejonach Chomutów, Teplice, Decin i Liberec. - Zrobił krok do tyłu, pozostawiając mapę przed kanclerzem, tak by ten mógł dokładnie się jej przyjrzeć. Wypuszczając kłęby dymu, Ruff patrzył na mapę i naniesione na nią znaki, których znaczenia dobrze nie rozumiał. Wreszcie podniósł głowę i spoglądając na Mahlera, spytał:

- A jakie wnioski wyciąga z tego generał Lange?

Kasper ostrzegł Mahlera, że kanclerz ma jedynie bardzo ogólne pojęcie o problemach operacyjnych, a więc informując go o sytuacji militarnej, należało mówić bardzo konkretnie, ale ostrożnie, by go nie urazić. Dlatego też Mahler starał się wyjaśniać zrozumiale, lecz tak, by jego informacje nie przypominały wykładu.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

197

- Generał przypuszcza, że jesteśmy świadkami dyslokacji jednostek, przeprowadzanej z myślą o operacji lądowej przeciwko Niemcom.

Ruff wypuścił kłęb dymu i zmrużył oczy.

- Zapewne pan słyszał, co mówiła prezydent Wilson. Zapewniła, że jest zdecydowana na rozładowanie sytuacji i na wycofanie amerykańskich sił z Europy, gdy tylko zo

stanie ustalony z Czechami sposób zdeponowania ciężkiego sprzętu. Czy ta dyslokacja nie jest właśnie z tym związana?

Mahler odpowiedział bez chwili wahania:

- To, panie kanclerzu, jest możliwe, choć mało prawdopodobne. Generał Schacht twierdzi, że jego źródła nie potwierdzają informacji, jakoby Amerykanie przygotowywali swój sprzęt wojskowy do zdania. Przeciwnie, ma meldunki wywiadu, z których wynika, że jednostki bojowe 10. Korpusu przygotowują się do długotrwałych działań. Nasi agenci, którzy obserwowali amerykańskie jednostki w rejonie Pragi i Pilzna, twierdzą, że pozbywają się one zbędnych pojazdów, gromadzą zapasy żywności, paliw i smarów oraz części zamiennych do pojazdów. Wczoraj Amerykanie zwrócili się do armii czeskiej z prośbą o dostarczenie im każdej, możliwej do otrzymania, ilości benzyny i ropy. Chcą, by paliwo dostarczono im w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

Ruff zaczął pytać, dbając, by nie zdradzić się ze swą ignorancją w sprawach wojskowych.

- Tak, to wszystko może zadawać kłam oświadczeniom pani prezydent. Nie mogę jednak oskarżyć jej publicznie o kłamstwo tylko na podstawie tego, co wy mi tu mówicie. Nie sądzicie, panowie?

Kasper natychmiast zorientował się, o co chodzi kanclerzowi, więc odpowiedział:

- To normalny tryb postępowania sił amerykańskich. Nazywają tę taktykę „katapulta”. Jeśli tylko sytuacja na to pozwala, wysuwają jednostki logistyczne do przodu tak daleko, jak tylko się da. Jednostki bojowe trzymane są na tyłach, a przerzuca się je w ostatnim momencie. Posuwa-

198

HAROLD COYLE

jąc się do przodu, mijają punkty logistyczne, gdzie uzupełniają zaopatrzenie. W takiej sytuacji system logistyczny, najbardziej nieruchawa część armii, jest już na miejscu, pozostawiając wolne drogi dla jednostek bojowych, które przemieszczając się w przód, są równocześnie zaopatrywane w to, co jest im potrzebne. Taka taktyka została już zastosowana w czasie manewrów, jakie prowadziliśmy tutaj przed rokiem, a także - z ogromnym powodzeniem - w czasie wojny w Zatoce.

Ruff zgniótł papierosa w popielniczce i ponownie pochylił się nad mapą.

- A w jakim czasie się dowiemy, kiedy i gdzie mogą uderzyć Amerykanie? - zapytał.

Tym razem odpowiedział Mahler:

- Jeśli Amerykanie będą się trzymać swojej doktryny wojennej, kolejnymi siłami, które ruszą do przodu, będą jednostki dywizyjnej artylerii. Podobnie jak jednostki logistyczne, nie będą one blokowały dróg, lecz będą gotowe do wsparcia działań oddziałów bojowych. Jeśli chodzi o oś operacji, to widzimy trzy warianty. - Mahler pochylił się i mówiąc pokazywał na mapie: - Jedna idzie od Chomutowa do Chemnitz, druga od Teplic do Drezna, z możliwością ataku pomocniczego od strony Decina. Wreszcie istnieje

możliwość uderzenia od Liberca, przez Polskę, na Goerlitz, co wydaje się jednak mniej prawdopodobne.

Perspektywa uderzenia z terytorium Polski zdumiała kanclerza.

- Nie odważyliby się - powiedział bez wahania.

Stając znów na baczność, Mahler starał się mówić tonem jak najbardziej rzeczowym.

- Mamy informację, że dowódca 10. Korpusu, generał Malin, złożył wczoraj po południu wizytę w polskiej ambasadzie w Pradze. Wkrótce potem w sztabie korpusu zjawiał się polski oficer łącznikowy. Być może taki wariant jest mało prawdopodobny, ale generał Lange nie może nie brać go pod uwagę. Poleciał więc swemu sztabowi, by planował rozstawienie naszych sił tak, by były gotowe na każdą, również i tę ewentualność.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

199

- Kiedy generał Lange, pułkownik Mahler, złoży mi pełny raport?

Mahler spojrział na zegarek.

- Za cztery godziny, panie kanclerzu. Na szóstą trzydzieści zwołano odprawę oficerów Sztabu Generalnego u generała Schachta. O siódmej chcemy dokonać całościowego przeglądu sytuacji. Potrwa to około trzydziestu minut. Potem, o ósmej, generał Lange i generał Schacht będą gotowi przedstawić informację panu i rządowi. - I po sekundzie milczenia zapytał: - Czy to panu odpowiada?

Ruff ruchem ręki dał znak, że nie ma nic przeciwko temu. Podziękował obu pułkownikom i zwolnił ich. Kiedy został sam, raz jeszcze przyjrzał się leżącej przed nim mapie. A więc Amerykanie znów nadciągają... Ta myśl spowodowała, że oczyma wyobraźni zobaczył swój sztylet z Hitlerjugend. Zapalił kolejnego papierosa i spojrzął w sufit. Patrzył na białą płaszczyznę, a miał wrażenie, że widzi ciemną, wypełnioną trupami piwnicę w Regensburgu, w kwietniu 1945 roku. Widział dokładnie każdy szczegół, nawet czuł trupi, zatechły odór. Zaczęła go boleć noga, jakby go przed chwilą zraniono.

- Tym razem będę gotowy - powiedział sam do siebie i uśmiechnął się z satysfakcją.

Scott Dbccon i pułkownik Worisznow przyjechali do Milo-wic, gdzie stacjonowała kompania Nancy Kozak, w porze, gdy żołnierzom wydawano śniadanie. Przyłączyli się więc do pani kapitan, stawiając swoje porcje na masce jej wozu pancernego. Nancy Kozak między jednym a drugim łykiem kawy informowała Dbccona o stanie swego oddziału. Scott słyszał już to wszystko na porannej odprawie w swojej kwaterze i nie o samą informację mu chodziło. Chciał poznać kapitan Kozak oraz jej podkomendnych, a także /orientować się w nastrojach panujących w jej załodze. A o tym nikt nie mógłby mu powiedzieć na odprawie w sztabie brygady, musiał to zobaczyć sam. Pragnął się

200

HAROLD COYLE

osobiście przekonać, czyjego ludzie są rzeczywiście gotowi do operacji.

Powiedział więc swojemu oficerowi operacyjnemu Dave'owi Yostowi, że dość ma już wszelkich odpraw. Wsiedli więc z pułkownikiem Worisznowem do wozu sztabowego i odjechali, pozostawiając sztab brygady w gorączce przygotowań do operacji przeciwko Niemcom.

Zaglądając co chwila do leżącego przed nią zeszytu. Kozak informowała o stanie swojej kompanii. Worisznow milczał, zafascynowany. Patrzył, jak trzyma w ręce widelec, jak mówi, przyglądał się kosmykom włosów, które wystawały spod hełmu. Nie mógł się nadziwić, że taka ładna dziewczyna wypełnia tak niekobiece zadania. Sam był weteranem wielu trudnych operacji i teraz zastanawiał się, jak tej atrakcyjnej dziewczynie udawało się zachowywać kobiecość, a jednocześnie kierować oddziałem bojowym. Zaczaj się zastanawiać, jak wyglądałaby w wieczorowej sukni, z naszyjnikami i kolczykami. TeTaz -miała na szyi jakiś przepocony szalik. Gdy tak rozmyślał, podszedł do nich starszy sierżant. Chrząknął.

Kozak, nie speszona obecnością dowódcy brygady, zwróciła się do niego i zapytała:

- O co chodzi, sierzancie?

Sierżant Gary Stokes znów chrząknął.

- Ich tu, prze pani, można uczyć i uczyć, tylko nauczyć niczego nie sposób.

Kozak patrzyła na niego cierpliwie, nie przerywając.

- Ciągle to samo, pani kapitan Kozak. Jak się tylko coś zaczyna, natychmiast wylatuje im z głowy połowa tego, czego ich uczymy. Gdy tylko znajdą się na froncie, na wojnie, natychmiast cała dyscyplina idzie w kąt.
- O co wam właściwie chodzi, sierzancie? - zapytała spokojnie Kozak.

- O kliny i bloki do pojazdów ładowanych na wagony. W całej kompanii nikt nie ma pełnego kompletu.

Na twarzy Kozak pojawił się wyraz zaniepokojenia.

- Chcecie powiedzieć, że w całej kompanii nikt nie ma kompletu bloków i klinów, potrzebnych przy załadunku pojazdów na wagony?

TRÓJKĄT ŚMIERCI

201

Stokes potwierdził skinieniem głowy.

- Nikt. Sam sprawdziłem.

Worisznow zauważył, że policzki pani kapitan poczerwieniały ze złości. Zwracając się do Dixona, Kozak zapytała, czy może się odmeldować, by natychmiast zająć się sprawą. Pułkownik uśmiechnął się wyrozumiale i powiedział, że jest wolna. Zasalutowała i odeszła z sierżantem. Patrząc za oddalającą się dziewczyną, zafascynowany ruchem jej bioder, widocznym mimo kombinezonu, jaki miała na sobie, Worisznow mruknął:

- Coś podobnego nie byłoby możliwe w armii rosyjskiej.

Dixon pomyślał, że Rosjanin mówi o klinach i blokach i dopiero po chwili dotarło do niego, że chodzi o dziewczynę, dowódcę jednostki liniowej. Parsknął śmiechem.

- No cóż, pułkowniku - powiedział. - To wasza strata.

Worisznow pociągnął łyk stygnącej już kawy i odpowiedział z wyraźną kpinią:

- Naprawdę tak pan myśli?

- Ja nie myślę. Ja wiem. Wielu spośród moich najlepszych żołnierzy to dziewczęta. Większość z nich jest oddana służbie, zdyscyplinowana i ma doskonałe podejście do ludzi. Kobiety mają na ogół znakomity wpływ na oddziały, w których służą, a atmosfera w nich jest bardziej cywilizowana.

Nie odrywając oczu od oddalającej się kapitan Kozak, Rosjanin odpowiedział:

- Nasz wywiad jest zdania, że znaczna liczba kobiet w waszych oddziałach powoduje feminizację armii, co w efekcie czyni ją słabą, wyzbytą determinacji w krańcowych sytuacjach.

Dixon uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Wasz wywiad może sobie twierdzić, co chce. Znam kilku irackich oficerów, którzy by się z taką opinią nie zgodzili. Oczywiście jest pewien problem. Ostatecznie dziewczyna zawsze pozostanie dziewczyną, a chłopak chłopakiem, a gdy są razem, to też wiadomo... Ale to cena demokracji. Każdy musi mieć takie same szanse, bez względu na to, czy jest kobietą, czy mężczyzną.

202

HAROLD COYLE

Worisznow znów łyknął kawy i odparł:

- No cóż, pułkowniku, w tym wypadku muszę się jednak zgodzić z naszymi ekspertami. Kobiety w oddziałach liniowych to jednak zbyt wiele demokracji.

Dixon chciał coś odpowiedzieć, ale podszedł do nich żołnierz, który roznosił śniadanie:

- Pułkowniku, zamykamy kuchnię. Myślę, że się panowie jeszcze napiją gorącej kawy, zanim kotły odjadą.

Obaj pułkownicy wyciągnęli w jego stronę kubki, a żołnierz napełnił je parującą kawą. Czekali, aż nieco ostygnie.

- Pan wie, pułkowniku Dixon, że jako oficer sztabowy służyłem w Centralnym Zgrupowaniu naszych sił w Czechosłowacji, kiedy jeszcze istniała Czechosłowacja - odezwał się Worisznow.
- Oczywiście, pułkowniku, wiem o tym. Dlatego właśnie prosiłem, by pozostał pan przy mojej brygadzie. Kto mógłby mi lepiej doradzać, jeśli nie ekspert, który planował podobną operację jak ta, jaką my mamy teraz przeprowadzić?

Worisznow patrzył na Dixona i po chwili powiedział:

- Chciałbym zauważyć, że pracując w sztabie Centralnego Zgrupowania, nigdy nie natknąłem się na plany przerzucenia przez granicę czesko-niemiecką całej brygady w jednym pociągu.
- W czterech pociągach, pułkowniku. To właśnie zmiana, jaką wprowadziłem. Wpadłem na to przypominając sobie doświadczenia wojny koreańskiej. Pierwszego dnia wojny jedna jednostka północnokoreańska wykorzystała całkowite zaskoczenie tych z Południa. Wczesnie nad ranem ułożyli brakujący kawałek torów linii kolejowej, która niegdyś łączyła Północ z Południem, i po prostu Jednostka ta wjechała na atakowane terytorium.

Worisznow skinął głową i mruknął:

- To doświadczenie rzeczywiście godne zapamiętania.

Tym bardziej że chodziło nie tylko o pociąg.

Dixon był zaskoczony.

- A o co jeszcze? - zapytał.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

203

- Ci z Północy nie tylko przygotowali pociąg. Wzdłuż Unii kolejowej poustawiali samochody, na które mogło się przejechać wojsko, gdyby linia została zablokowana.

Dixon zamyślił się, łyknął kawy i odpowiedział:

- Tak, ale - jak pan wie - tu linia kolejowa jest nie tknięta. Niemcy nie zatrzymali ruchu cywilnego. I nic nie wskazuje na to, by mieli taki zamiar.
- Oczywiście, że nie, ale to jeszcze nie oznacza, że nie należy się przygotować na taką ewentualność. Trzeba zabezpieczyć drogę odwrotu na wypadek nie przewidzianych zdarzeń.

Dixon, nie bardzo wiedząc, do czego Rosjanin zmierza, powiedział:

- Domyślam się, że ma pan jakiś pomysł. Bardzo proszę, zamieniam się w słuch.
- Mamy tu pewnego rosyjskiego majora, który został przydzielony do kompanii waszych komandosów. W Centralnym Zgrupowaniu dowodził on jednostką desantową specjalnego przeznaczenia. Mówi biegle po niemiecku i zna dobrze Czechy. Otóż ten oficer jako kierowca ciężarówki jeździł do Niemiec, by jak najlepiej poznać teren i przygotować się do wykonania operacji, której celem było poprowadzenie desantu poprzedzającego inwazję na Niemcy.

-Worisznow zorientował się, że powiedział zbyt dużo i szybko dodał:
- Oczywiście w wypadku, gdyby agresywna polityka NATO zmusiła miłujący pokój Związek Radziecki do podjęcia kontrofensywy - i uśmiechnął się porozumiewawczo.

Dixon odpowiedział uśmiechem i mruknął:

- To oczywiste.

Worisznow, jakby uspokojony, kontynuował:

- Tak się składa, że ten major, Mikołaj Ilwanicz, jest teraz dowódcą kompanii waszych komandosów. Biorąc pod uwagę jego doświadczenie i przygotowanie do operacji, nie mam najmniejszych wątpliwości, że mógłby się okazać niezwykle przydatny, bo byłby w stanie zapewnić waszym planom znaczną gwarancję bezpiecznego ich wykonania.

W tej chwili major i jego cała kompania, znajdują się w wa-

204

HAROLD COYLE

szym szpitalu polowym, gdzie są traktowani jak więźniowie. Nie widzę żadnych przeszkód, by ich teraz, z korzyścią dla wszystkich, włączyć do realizacji operacji.

Dixon natychmiast zrozumiał, o czym mowa. Zawsze starał się wykorzystywać wszelkie atuty, jakie tylko znalazły się w zasięgu jego możliwości i wpływów. Zanim jednak podjął decyzję, zapytał, czy Rosjanin będzie skłonny ryzykować życie w operacji całkowicie amerykańskiej i przez Amerykanów prowadzonej.

Worisznow się uśmiechnął:

- Kiedy studiowałem w Akademii Sztabu Generalnego, pewien instruktor, który lubił dowcipkować, dał nam do rozwiązania taktyczną zagadkę. Mieliśmy się wcielić w postać dowódcy dywizji pancernej, która przełamała front NATO i posuwała się w kierunku Renu. Przeciwno nam rzucono dwie dywizje. Od południa zagrażała nam niemiecka dywizja pancerna, od północy Amerykanie. Pytanie brzmiało: z którą z tych dywizji należało się rozprawić na początku i dlaczego? Jeden z moich kolegów, arogancki prymus, szybko rozważył problem i zgłosił się do odpowiedzi. Wstał i oznajmił, że na pierwszy ogień powinna iść dywizja niemiecka.

Instruktor gwałtownie zaproponował. Nieco speszony kolega zaczął bronić swojej decyzji i uzasadniać ją, ale wykładowca odebrał mu głos.

- Trzeba zaczynać od Amerykanów. Zawsze od Amerykanów.

A kiedy zaskoczony słuchacz zaczął się domagać wyjaśnień, dlaczego zawsze trzeba najpierw rozprawić się z Amerykanami, a Niemców zostawić na potem, instruktor, ironicznie się uśmiechając, odparł:

- To oczywiste. Jako żołnierze zawsze musicie stawiać obowiązek na pierwszym miejscu, przyjemność zaś zostawić sobie na potem.

Dixon parsknął śmiechem. Słyszał już ten dowcip, z tym że dotyczył innych nacji.

Worisznów nagle spoważniał, a ton jego wypowiedzi stał się niemal zimny.

- Rosja nie może się zgodzić na istnienie armii niemieckiej dysponującej bronią nuklearną. Operacja, jaką mamy przed sobą, to nie tylko starcie Stanów i Niemiec. To walka o zgnięcie zła w zarodku, zanim zdoła zagrozić całej ludzkości.

Stwierdzenie nie wymagało żadnych dodatkowych komentarzy. Dixon odpowiedział:

- Dowódca 10. Korpusu obiecał mi wszystko, czego będę potrzebował. Jedźmy do tego szpitala, w którym więziony jest wasz major. Dowiemy się, czy jest gotów na jeszcze jedną przygodę.

τ3τ ft ft

Siedząc w wieżyczce swego czołgu porucznik Ellerbee przyglądał się, jak dowódca brygady i rosyjski pułkownik wsiadają do wozu sztabowego. W chwilę potem odjechali. Czuł się głęboko sfrustrowany. Od blisko godziny obserwował pułkownika Dixona i starał się uzbroić w odwagę, by podejść i poskarżyć się na sposób, w jaki traktowała go kapitan Kozak. Już miał to zrobić, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Pułkownik mógł go przecież zignorować, mógł powiedzieć, że swoim postępkami na coś takiego zasłużył. Lepiej więc nie ryzykować. Dixon spojrzał w jego stronę. A może go pozna, podejdzie i zapyta, co w plutonie? -myślał Ellerbee. Wtedy mógłby się wyzalić. Ale pułkownik odwrócił głowę i w dalszym ciągu rozmawiał z Rosjaninem, potem zaś

wsiedli do wozu i odjechali. Porucznik był rozbity psychicznie i zrezygnowany. Tkwił po uszy w prawdziwym gównie. Nigdy nie myślał, wstępując do armii, że coś takiego mu się przytrafi.

ft i2r ft

Po przeprowadzeniu porannej inspekcji swojej porozrzucanej w terenie kompanii, kapitan Seydlitz rozsiadł się na stołeczku ustawionym obok czołgu. Miał właśnie zamiar zjeść bułkę z kiełbasą, którą kupił w jakimś przydrożnym

206

HAROLD COYLE

sklepiku, gdy zobaczył zbliżający się wóz dowódcy batalionu. Szybko schował bułkę do torby i wstał, by się przywitać. Jak dobrze, pomyślał, że rano przeprowadziłem inspekcję kompanii, uprzedzając dowódcę, który lubi wpadać na takie nie zapowiedziane kontrole. Zawsze mógł wykryć jakieś niedociągnięcia, które nie uszyby jego czujnym oczom. Seydlitz nie lubił czepiać się swoich podkomendnych, ale gdy dowodził jakąś jednostką, chciał, by wszystko było w niej w porządku.

Dżip dowódcy podjechał, zatrzymał się, a ten, nawet nie wysiadając, oznajmił:

- Kapitanie, macie godzinę na przygotowanie kompanii do wymarszu.

Zaskoczony i podniecony tą informacją, Seydlitz złapał swój mapnik i ruszył w kierunku dowódcy, który zapytał:

- Będziecie gotowi w ciągu godziny?

Seydlitz, głosem, w którym wyczuwało się entuzjazm i gotowość do

działania, odpowiedział:

- Jeśli to konieczne, będziemy gotowi w ciągu pięciu minut, panie pułkowniku.

Odpowiedź pułkownika zabrzmiała raczej jak ostrzeżenie niż zachęta:

- Nie bylibyście tacy pełni entuzjazmu, gdybyście wie dzieli, w jakie gówno wpycha nas nasz nieustraszony kanclerz z Berlina.

Seydlitz, patrząc na dowódcę batalionu, zastanawiał się, co tamten ma na myśli. Widząc zdumioną minę podwładnego, dowódca, dając upust swej frustracji, odpowiedział:

- Tu, w tym miejscu, dokonujemy koncentracji batalionu - i wskazał palcem na mapie Seydlitza punkt leżący na północ od Marktredwitz. - Stąd posuwamy się autostradami E51 i E441 na południowy wschód, mijając Chemnitz. Kiedy znajdziemy się w wyznaczonym miejscu, otrzymamy dalsze rozkazy.

Dowódca batalionu zamilkł na chwilę, jakby zastanawiał się, czy powinien te nowe rozkazy skomentować.

- Wygląda na to, że niezależnie od tego, co mówi prezydent Wilson, amerykańskie siły znajdujące się w Czechach

TRÓJKĄT ŚMIERCI

207

koncentrują się nad granicami, na południe od Chemnitz i Drezna. Wywiad uważa, że istnieje realne niebezpieczeństwo, iż amerykański 10. Korpus wkroczy do Niemiec i podejmie działania mające na celu

odzyskanie głowic, które im wydarliśmy.

Seydlitz po chwili namysłu zadał pytanie, jakie nurtowało obecnie każdego niemieckiego oficera, od generała Langego począwszy, a skończywszy na dowódcach kompanii, takich jak choćby Seydlitz:

- A co mamy właściwie robić, jeśliby Amerykanie rze czywiście podjęli taką operację?

Nie od razu usłyszał odpowiedź. Dowódca przypomniał sobie, że kiedy rano dowódcy batalionów spotkali się na odprawie u szefa brygady, padło to samo pytanie. Dyskutowali nad nim przez blisko godzinę. Po latach ścisłego współdziałania z Amerykanami sama myśl, że mieliby stanąć przeciwko nim, była dla nich szokiem. W rozkazie sztabu dywizji podkreślano jednoznacznie, że ich obowiązkiem jest obrona Niemiec przed wszelkimi najeźdźcami. Wątpliwości budziło pytanie, czy Amerykanie - członek NATO, uprawniony do utrzymywania swoich baz na terenie Niemiec - mogą być agresorem, czy też po prostu łamią jakieś paragrafy porozumień podpisanych przez rządy obu krajów. Dowódca brygady powiedział pół żartem, pół serio, że jeśli Amerykanie nadejdą w kolumnach marszowych, a nie w bojowym szyku, to sprawę należy po prostu pozostawić policji.

- Niech policja zatrzyma ich dowódcę za zakłócanie ruchu drogowego i marsze, na które nie mają specjalnego zezwolenia.

Oczywiście takie żarty niczego nie rozwiązywały i nie dawały odpowiedzi na dręczące ich dylematy. Zresztą dowódca brygady zakończył odprawę stwierdzeniem, że jeśli do czegoś dojdzie, to każdy dowódca jednostek niższych szczebli musi się kierować rozsądkiem i

własnym sumieniem, w zależności od zaistniałej sytuacji.

208

HAROLD COYLE

- Do tego czasu wszyscy mają dokładnie wykonywać otrzymane rozkazy - dodał, a zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

Ponieważ dowódca milczał, Seydlitz stanął na baczność i zapytał:

- Czy to wszystko, panie dowódcu?

Pułkownik popatrzył na niego nieco smutnym wzrokiem, pokiwał głową i powiedział:

- Bądźcie przygotowani na to, że przez jakiś czas nie będzie zaopatrzenia. Po raz pierwszy od czasów wojny dwa korpusy i sześć dywizji armii niemieckiej znalazło się w ruchu 1 zmierza w tym samym kierunku. Wydaje się, że mobilizuje się też rezerwy. Nie wiem, jakie są w tej sprawie decyzje kanclerza. A na dodatek - dowódca ściszył nieco głos, jakby nie chciał, by ktoś ich podsłuchał - ruszyły się amerykańskie służby logistyczne i oddziały pomocnicze, pozostawione w Niemczech. Wchodzą na poligony w rejonie Grafenworth i Hohenfelds, gdzie jakoby mają pozostawić ciężki sprzęt przed opuszczeniem Niemiec, czego do maga się kanclerz.

Seydlitz, którego wyobraźnia nie wykraczała poza trzynaście czołgów typu Leopard II jego kompanii, nie bardzo rozumiał zaniepokojenie dowódcy. Przypuszczał, że, jak zwykle, sztabowcy przesadzają. Przyszło

mu jednak na myśl jeszcze jedno pytanie:

- A kto zastąpi nas tu, na granicy? Jeśli zostaniemy wycofani, Amerykanie będą mieli otwartą drogę na Bawarię.

Dowódca batalionu zastanawiał się przez chwilę.

- Jest mało prawdopodobne, kapitanie, by Amerykanie pchali się w tym kierunku. Jeśli skierują się do portów lub podejmą próbę odbicia głowic, to nie pójdą tędy, bo to o wiele dalej. Wszystko wskazuje raczej na to, że ruszą z Czech w kierunku równin północnych Niemiec, gdzie mają pole do manewru i porty w pobliżu. Gdyby weszli do Bawarii, nie zbliżaliby się do składu głowic, który mieści się w rejonie Berlina. Na wszelki jednak wypadek - dodał pułkownik - na północ od granicy austriackiej zostanie

ulożona 1. Dywizja Alpejska, choć jej głównym zadaniem będzie niedopuszczenie, by oddziały amerykańskie znajdujące się u nas, na poligonach, połączyły się z głównymi siłami wkraczającymi od strony Czech.

Seydlitz pomyślał, że jest to sensowne wyjaśnienie. Wprawdzie 1. Dywizja Alpejska nie mogłaby zatrzymać wojsk pancernych, ale byłaby w stanie rozprawić się z oddziałami pomocniczymi z poligonów. Poinformował pułkownika, że jeden z jego posterunków znajduje się w odległości dziesięciu kilometrów i nie ma z nim kontaktu radiowego, gdyż zasłaniają go góry. Musi więc sam pojechać i zwinąć posterunek, a ponieważ ma na to tylko godzinę, chciałby się już odmeldować. Dowódca

batalionu wyraził zgodę. Powiedział już wszystko, co miał do przekazania.

I tak Seydlitz oraz kilka tysięcy podobnych mu młodych oficerów ruszyli z miejsca armię niemiecką. Wykonywali rozkazy nie wiedząc, co wkrótce może nastąpić, i niepewni, komu winni są lojalność i posłuszeństwo.

13 stycznia

Poranne dzienniki telewizyjne nie przyniosły żadnych sensacji. Ed Lewis i szef jego sekretariatu zaczęli przeglądać program zajęć na cały dzień. Nie zwracali uwagi na to, co płynie z telewizora. Od rutynowych zajęć oderwała ich dopiero informacja, że stacje telewizyjne łączą się właśnie z Białym Domem, gdzie odbędzie się konferencja rzecznika prezydent Wilson. Lewis poprosił sekretarza, by wzmocnił głos, i usiadł wygodnie w fotelu wyciągając nogi na biurku.

Tekst odczytany przez rzecznika, był, jak zwykle w podobnych sytuacjach, ogólnikowy i nie zawierał żadnych konkretów. Informowano, że prezydent podjęła decyzję o wycofaniu z Niemiec amerykańskiego personelu wojskowego i jego rodzin, które są już przewożone do punktów ewakuacyjnych. Amerykańskie jednostki armii i sił powietrznych, które nie uczestniczyły w operacji w Czechach, zaczynały się koncentrować na poligonach w rejonie Grafenwörh i Hohenfelds, w południowych Niemczech. Tam też zostanie czasowo złożony i zmagazynowany ciężki

210

HAROLD COYLE

sprzęt. Lewis, wiedząc już o wszystkim, czekał na pytania dziennikarzy.

Dopiero wtedy będzie mógł ocenić, jak działa ich plan zmylenia opinii publicznej i przeciwnika.

Dziennikarze zebrani w Centrum Prasowym nie tracili czasu. Pierwszy podniósł się korespondent CBS i spytał:

- Reuter doniósł dziś rano z Czech, że nasze oddziały, które się tam znajdują, zamiast przygotowywać się do odlotu, koncentrują się na granicy niemieckiej na południe od Berlina. Reuter twierdzi, że kanclerz Ruff i jego rząd widzą w tym zagrożenie dla swego kraju. Zagrożenie i prowokację. Rozpoczęto koncentrację armii niemieckiej, by przeciwstawić się niebezpieczeństwu. Jak pan to wyjaśni i jak się to ma do oświadczenia, które nam tu przed chwilą pan odczytał?

Rzecznik przez parę sekund nie podnosił głowy. Wreszcie się odezwał:

- Wszyscy mamy świadomość, jak napięta jest tam sytuacja. Zapewne to powoduje, że reakcje niemieckie są nazbyt nerwowe. Nie ulega bowiem wątpliwości, że oddziały, które brały udział w operacji ukraińskiej, po prostu wycofują się z Ukrainy.

Ani korespondent CBS, ani inni dziennikarze najwyraźniej nie byli zadowoleni z tej odpowiedzi. Ten z CBS nie dawał za wygraną:

- Jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, to jak wyjaśnić dyslokację niektórych oddziałów w kierunku granicy niemieckiej? Przecież logiczne byłoby koncentrowanie ich wokół Pragi i Pilzna, gdzie rozlokowano resztę 10. Korpusu? A czy prawdziwe są nadchodzące z Pragi informacje, że nasze

oddziały są przesuwane z rejonu miasta na północ?

Rzecznik prasowy najwyraźniej tracił pewność siebie.

- Tego rodzaju pytania powinniście zadać Pentagonowi. My tu nie śledzimy ruchów pojedynczych jednostek. Kto jeszcze?

Rzecznik wskazał ręką na korespondenta „Washington Post”, który zerwał się z miejsca i bez ogródek spytał:

- Jeśli, jak pan mówi, prezydent postanowiła spełnić wszystkie żądania kanclerza RuiTa, to jak pan wyjaśni

TRÓJKĄT ŚMIERCI

211

nadane dziś rano przez WNN oświadczenie kanclerza, z którego wynika, że ruchy wojsk amerykańskich zagrażają bezpieczeństwu Niemiec i wcale nie służą rozładowaniu sytuacji, jak twierdzi pani prezydent?!

Rzecznik był coraz bardziej zakłopotany. Wsparłszy się o podium, przez chwilę pustym wzrokiem patrzył na dziennikarza z „Washington Post”. Natomiast Ed Lewis poczuł się usatysfakcjonowany. Wszystko rozwijało się tak, jak przewidzieli Wilson, Wielki Al i on sam. Poleciał więc sekretarzowi, by ściszył telewizor.

Sekretarzowi ta prośba wydała się nieco dziwna. Lewis zawsze chłonał wszelkie informacje, a przecież ta konferencja prasowa w Białym Domu miała szczególne znaczenie. Pomyślał, że kongresman chyba po prostu przestał się interesować kryzysem. Być może był tak zrezygnowany i sfrustrowany, że nawet nie chciał już o nim słyszeć.

Wrócili do przeglądania planu dnia, gdy zadzwonił prywatny telefon kongresmana. Ed natychmiast podniósł słuchawkę, tak jakby czekał na tę rozmowę. Sekretarz próbował się domyślić, z kim i o czym rozmawia jego szef.

- Ach, to pani...Tak oglądałem... Doskonale, tak Jak powinien... Nie, nie sędzę, by już teraz trzeba było powiedzieć więcej. Piłeczka jest w koszu Wielkiego Ala i teraz czas na niego... Tak, jestem gotów. Mogę wpaść za pół godziny, a potem Jadę prosto na lotnisko... Nie, nie mam najmniejszych wątpliwości czy oporów. Już się z tym pogodziłem. .. Tak, kończę już tu wszystko i jadę do Białego Domu... Tak, do zobaczenia, pani prezydent.

Odłożył słuchawkę i spojrział na sekretarza. Uśmiechał się, wyraźnie zadowolony.

- Frank, odwołaj wszelkie spotkania zaplanowane na dzisiaj i na najbliższe dni. Lecę do Berlina. Powiedz Mary, by połączyła mnie natychmiast z żoną.

Zagłębił się w fotelu, nie zwracając uwagi na sekretarza, który, wychodząc z gabinetu, odwrócił się jeszcze. Zauważył, że jego pryncypał bawi się kostkami do gry. Zawsze to robił, gdy był czymś bardzo przejęty.

212

HAROLD COYLE

14 stycznia

Po sześciu godzinach jazdy w nie ogrzewanej ciężarówce, w

towarzystwie sześciu pielęgniarek i tony sprzętu medycznego, Hilary Cole miała nadzieję, że w miejscu, do którego dojadą, będzie coś więcej niż tylko pokryte śniegiem puste pole. Myślała, że znajdą się w jakimś szpitalu polowym, a przynajmniej w jakichś ogrzanych barakach z sanitariatami. Tymczasem stali w pustym polu i nawet nie miała gdzie ulżyć swemu obolałemu pęcherzowi. Na domiar złego przyszła wiadomość, że mają się ponownie załadować na samochody i jechać dalej, choć nie mieli pojęcia, co jest celem ich podróży przez ośnieżone Czechy.

Nie rozumiała, co się właściwie dzieje w Berlinie i w Waszyngtonie, choć wyczuwała, że napięcie gwałtownie rośnie i że można się spodziewać wszystkiego najgorszego. Przypuszczała, że toczy się właśnie jakaś polityczna gra, która może zadecydować o losach całej załogi szpitala polowego nr 553, ale i ona, i jej koledzy niezbyt się tym przejmowali. Teraz najważniejsze dla nich było znalezienie jakiejś ubikacji, a przynajmniej ustronnego miejsca.

Rozejrzała się, lecz wokół nic takiego nie było. Przycisnęła do piersi rękę, jakby broniąc się w ten sposób przed ostrym, zimnym wiatrem. Dobiegł ją głos kogoś, kto kazał wsiadać do ciężarówek i zapowiadał odjazd.

- Nie! - krzyknęła. - Nie! Musimy mieć choć chwilę dla siebie!

Stojąca obok niej pielęgniarka była bliska płaczu.

- Och, Hilly, już nie wytrzymam w tej ciężarówce. Musimy tu choć chwilę postać...

Usłyszały jednak warkot zapuszczanych silników. Musiały wsiadać. Hilary sama była roztrzęsiona, ale próbowała uspokoić koleżankę:

- Popatrz, Pat, tu przecież kompletna pustka. Niech nas jeszcze trochę podwiozą. Mamy tego dość, ale przynajmniej dokądś dojedziemy.

Zrezygnowana Pat ruszyła w kierunku ciężarówki.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

213

- Jeśli o mnie chodzi - powiedziała - to chce Już do domu. Nie mogę zrozumieć, dlaczego mamy znosić te wszystkie niewygody?
- Ponieważ służysz w armii, a tu trzeba nauczyć się zaciskać zęby.
- Być może, ale czy wreszcie dowiozą nas gdzieś, gdzie świeci słońce i nie ma śniegu?

Cole nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

- Oczywiście, Pat. Gdy tylko zobaczę pułkownika, spytam go o to. A teraz włącz do wozu. Mam niemiłe przeczucie, że czeka nas długa noc.

•& &•&

Jeśli nawet Wielki Al miał jakieś wątpliwości co do roli, jaką przyszło mu odgrywać, to Ed Lewis nie zauważył na Jego twarzy najmniejszych śladów niepewności, gdy witali się w biurze generała. Wielki Al był jowialny. Jak zawsze.

- No, jak tam chłopcy z Berlina? Jak przyjęli ostatnie wiadomości?

Lewis, zaskoczony nieco zachowaniem generała, uśmiechnął się i uścisnął mu rękę.

- Są wściekli, ale - na szczęście dla nas - nie mają

pojęcia, co robić.

Nie puszcżając ręki kongresmana, generał, patrząc Lewisowi w oczy, zapytał:

- A więc uwierzyli w opowieść o zbuntowanym generale?

Lewis znów się uśmiechnął.

- Zarczuciliśmy przynętę, a ryba złapała. Wyobrażam sobie, że Ruffi niemiecki Sztab Generalny miotają się i nie wiedzą, co robić. Gdy opuszczałem jego gabinet, kanclerz powiedział: „Jeśli wasz prezydent nie potrafi kontrolować swoich generałów, to zrobi to armia niemiecka”.

Wielki Al puścił wreszcie rękę gościa i wskazał mu miejsce.

- A więc czekamy tylko na pogorszenie pogody. I zaczy namy.

Zagłębiając się w fotelu, Lewis powiedział z zadowoleniem:

214

HAROLD COYLE

- Jeśli prognozy się sprawdzą, to nastąpi to jutro w nocy. Niewielki śnieg, całkowity brak widoczności. - Chwilę się nad czymś zastanowił i dodał: - Czy Dixon i jego Koń Trojański będą gotowi?

Wielki Al potwierdził skinieniem głowy.

- Kongresmanie, wszystko zapięte na ostatni guzik. Wystarczy, bym pociągnął za spust i bang! - już wszystko się kręci. - Generał spoważniał i zaczął wypytywać: - A jak reaguje berlińska ulica? Co na to niemiecka opinia publiczna?

Lewis pochylił się do przodu i oparł ręce na kolanach.

- Jak pan wie, w niemieckim parlamencie wybuchła burza. Lewica zajadłe krytykuje pomysł zagarnięcia głowic i domaga się kontroli parlamentu nad działaniem kanclerza. Posłowie nie mogą uzgodnić stanowiska w żadnej ze spraw, jakie stawia przed Niemcami obecna sytuacja. Wydaje mi się, że większość Niemców poparłaby jakieś formy protestu przeciwko nam, te jednak poczynania kanclerza uważa za nazbyt ekstremistyczne i prowokacyjne. I dlatego właśnie parlament zablokował decyzję Ruffa o powołaniu pod broń rezerwistów. Uważają, że w ten sposób skłonią kanclerza do poważnych negocjacji.

- A są na to jakieś szanse?

Lewis pokiwał głową.

- To bardzo trudno przewidzieć. Nasi ludzie w Berlinie twierdzą, że całe Niemcy, łącznie z ich Bundeswehra, są podzielone. Im bliższa jest perspektywa konfliktu zbrojnego, tym gorętsze stają się dyskusje, publiczne i prywatne. Wydaje się, że Ruff ma wyraźne poparcie tylko we wschodniej części kraju.

Wielki Al uderzył otwartą dłoń w kolano.

- A więc ten cholerny Dixon miał rację! Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że niemiecki wywiad nie będzie aż tak bystry jak on.

Lewis popatrzył pytająco, a generał wyjaśnił:

- Wschodnie Niemcy były niegdyś państwem komuni

stycznym. Przez całe dziesięciolecia wychowywano tam ludzi w nienawiści i niechęci do Ameryki i Amerykanów.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

215

Scott uważa, że choć droga do morza przez dawne wschodnie Niemcy byłaby najkrótsza i najwygodniejsza, najbardziej logiczna, to jednak prowadziłyby ona przez kraj zamieszkały przez ludzi nie żywiących do nas sympatii, mówiąc najogólniej. W Bawarii, w centralnych Niemczech, gdzie od lat stacjonowały nasze oddziały, znajdziemy się w otoczeniu przychylnym nam i skłonny do poparcia nas. Tamci ludzie już przywykli do obecności Amerykanów. Nasze zapewnienia, że pokryjemy wszelkie straty, i nasze wezwania do nieinterwencji znajdują tam o wiele szerszy posłuch, niż znalazłyby we wschodniej części Niemiec.

- To dość sensowne - zgodził się Lewis. - Coś podobnego mówił mi szef stacji CIA w Berlinie. Deputowani z Bawarii zajęli bardzo krytyczne stanowisko wobec działań Berlina uważając, że jest to niebezpieczna prowokacja. Wydaje się, że podobne podziały nastąpiły i w Bundeswehrze, choć ta w zasadzie zachowuje milczenie.
- I bardzo na to liczę. Im wyraźniejsze będą podziały, im głębsze zamieszanie, tym lepiej dla nas.

Lewis przerwał mu ruchem ręki.

- Jest coś, czego ani ja, ani szef stacji berlińskiej CIA nie jesteśmy w stanie zrozumieć. Jak się panu udało

zaangażować Polaków do realizacji pańskiego planu zmylenia przeciwnika?

Na twarzy Wielkiego Ala pokazał się promienny uśmiech.

- To długa historia. Widzi pan, mój dziadek był emigran-tem z Polski. Nazywał się Malinowski, Stanisław Malinowski. Przyjechał do Ameryki na początku zeszłego wieku i szybko odkrył, że aby się urządzić w Stanach, trzeba być obywatelem tego kraju i mieć możliwe do wymówienia nazwisko. Zmienił je więc na Stanley Malin i wstąpił do armii. I zrobił niezłą karierę. Był sierżantem, zarabiał na całkiem przyzwoite życie i cieszył się szacunkiem, jakiego nie zaznali inni emigranci. Pozostał więc w armii. Swych dwóch synów wychowywał w tradycji wojskowej. Jeden z nich, mój ojciec, skończył West Point tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej. Ja urodziłem się w czasie

216

HAROLD COYLE

między wojną światową a koreańską. I poszedłem w ślady dziadka i ojca.

Lewis słuchał, choć to niczego mu jeszcze nie wyjaśniało. Wielki Al mówił dalej:

- Na jakimś przyjęciu poznałem polskiego ambasadora. Opowiedziałem mu historię mojej rodziny, a on zaprosił mnie na obiad do swojej rezydencji. I tak nawiązaliśmy kontakty. Ostatnio gościłem w swoim sztabie polskiego oficera łącznikowego.

Lewis kiwał z podziwem głową.

- I to pozwoliło panu przesunąć niektóre jednostki w kierunku Lliberca, nad polską granicę, tak by Niemcy mogli wyciągnąć z tego wnioski, jakie im pan podsuwa - powiedział.

Wielki Al parsknął śmiechem:

- I zagrało. Niemcy uprzytomnili sobie, że istnieje możliwość przejścia naszych oddziałów przez Polskę i rozlokowali nad polską granicą trzy dywizje. Po części dlatego, by nam zagrozić drogę, a po części, by zastraszyć Polaków. Jak należało oczekiwać, Polacy zareagowali błyskawicznie i skoncentrowali w tym rejonie, po swojej stronie granicy, kilka dywizji. I teraz Niemcy, jeśli nawet się zorientują, że zostali oszukani, nie mogą wycofać swojego zgrupowania, póki po drugiej stronie granicy będzie stacjonowało zgrupowanie wojsk polskich.
- A więc jeszcze zanim pan podjął operację, już udało się panu wyeliminować kilka dywizji przeciwnika.
- Mam nadzieję, że tak właśnie jest. Trzy dywizje rozlokowane są nad polską granicą, trzy stoją naprzeciwko północnych Czech, w rejonie mojej pozorowanej koncentracji, jedna należy do mieszanego korpusu niemiecko--francuskiego, a jedna pozostaje w północnych Niemczech, na wypadek, gdyby od morza zaatakowała nasza piechota morska. Z tego powodu Niemcy trzymają w rejonie Berlina jedną dywizję pancerną oraz dywizję spadochroniarzy, gotową do podjęcia akcji. Dywizja Alpejska pilnuje naszych oddziałów skoncentrowanych w rejonie Grafenwórh i Hohenfelds. Jeśli będziemy mieli choć odro-

binę szczęścia, to nim się zorientują, że idziemy przez Bawarię, będzie Już za późno, by mogli nas zatrzymać.

Zapadła cisza. Rozmówcy zagłębili się we własnych myślach. Obaj dalecy byli od entuzjazmu i nadmiernego optymizmu, zdając sobie sprawę z piętrzących się przed nimi trudności. Wreszcie Wielki Al zapytał:

- Czy prezydent się nie wycofa?
- Nie sądzę, jest zdecydowana, generale. Tak jak pan i ja wie, o co toczy się gra, i jest nawet gotowa poświęcić swoją polityczną karierę.

Wielki Al wzruszył ramionami.

- To bardzo wielkoduszne z jej strony - powiedział z wyczuwalną ironią. - Ona gotowa jest zrezygnować z kariery, a ja wymagam od moich ludzi, by ryzykowali życie, wykonując operację, której nie rozumieją, i której istoty nie jestem w stanie im wyjaśnić. Mam nadzieję, że uda mi się ich utrzymać w ryzach podczas naszego marszu. Poleciałem już dowódcom, by pozostawili tu wszystkich, co do których mają wątpliwości, czy podołają. Zostanie tu trzysta kobiet w ciąży i kilka tysięcy innych osób. Kiedy ruszymy, wywiezie się ich samolotami przez Austrię i Włochy. A spośród tych, którzy ruszą naprzód, też zapewne nie wszyscy dojdą do Bremerhaven.
- A czy oni w ogóle pójdą za panem, kiedy się dowiedzą, że jest pan buntownikiem, że działa pan na własną rękę i wbrew woli prezydent Wilson?

- Cóż, mogę na to jedynie odpowiedzieć: tak - w głosie Wielkiego Ala wyczuwało się pewność. - Mam więcej zaufania do moich żołnierzy niż kanclerz Ruff do swoich. Przez stację radiową sił zbrojnych będę możliwie obszernie informował swoich żołnierzy o wszystkim, o czym mogę informować. Usłyszą to także Niemcy, przynajmniej liczę na to. - Zamilkł na chwilę i zaraz dodał: - A zresztą, gdy rozpocznie się strzelanina, to nie będzie miało już większego znaczenia, co kto myśli i w co wierzy. Dotrzemy już w głąb Niemiec i wszyscy moi ludzie będą mieć pełną świadomość, że jedyną drogą wyjścia dla nich jest trzymanie się swoich jednostek i wykonywanie rozkazów.

218

HAROLD COYLE

Lewis pomyślał chwilę i mruknął:

- To, co pan teraz powiedział, brzmi cynicznie, nie sądzi pan, generale?
- Wojna, drogi kongresmanie, była, jest i zawsze będzie czymś bardzo cynicznym. Cyniczni przywódcy, za starzy, by władać mieczem, od wieków cynicznie manipulowali młodymi, zmuszając ich do walki. W tym względzie nie jestem lepszy od innych, chociażby od takiego kanclerza Ruffa. Ten ma uraz do Stanów i teraz skłania swoich, by podnieśli przeciwko nam miecze. Mam jedynie nadzieję, że kiedy się zetrzemy, nie ja, a on będzie musiał odejść do wieczności.

Lewis nagle spowaźniał.

- Czy nigdy panu nie przyszło do głowy, generale Malin, że Ruff jest przekonany, iż będzie akurat odwrotnie?

Część trzecia

Marsz Malina w kierunku morza

Rozdział X

15 stycznia

Mniej więcej trzy godziny po odjeździe ostatniego z wozów kantyn kompanii 3. Batalionu Piechoty Zmotoryzowanej dowódcy stali na peronie obok wozu bojowego dowódcy batalionu. Oprócz nich w pobliżu nie było nikogo, a stacyjka, oświetlana mdłym światłem brudnych żarówek, też była pusta. Na torze stał pociąg towarowy, załadowany pojazdami pancernymi. W każdym z nich siedziała załoga, a żołnierze, podobnie jak ich dowódcy, czekali w ciszy na sygnał do wyjazdu. Było przejmująco zimno.

Gorący posiłek był zapewne ostatnią ciepłą strawą na najbliższych kilka dni. Wszyscy milczeli, bo wszelkie tematy do rozmów zostały wyczerpane już w czasie kolacji. Wszyscy znali swoje rozkazy. Pododdziały były gotowe, broń i pojazdy sprawdzone. Pozostawało tylko czekać. Dowódcy pododdziałów, pogrążeni w myślach, gotowi byli w każdej chwili do rozpoczęcia operacji.

Stojąc pod drewnianym słupem latarni, kapitan Kozak wyjęła z kieszeni kopię rozkazu dowódcy 10. Korpusu. Dokument ten, zgodnie z poleceniem, odczytała przed frontem swojej kompanii. Treść jego była zwięzła i jasna, dostosowana do sytuacji, wyraźnie też zdradzała osobowość generała Malina. W słabym świetle lampy Kozak raz jeszcze przeczytała rozkaz z 14 stycznia.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

Sytuacja i okoliczności postawiły dowództwo 10. Korpusu w trudnej sytuacji. Jak wiecie, naród, który jeszcze do niedawna był naszym bliskim sojusznikiem, sprowokował kryzys międzynarodowy, w którym naszemu 10. Korpusowi wyznaczono rolę pionka. Przywódcy tego narodu, ludzie, których można spokojnie przyrównać do ich nazistowskich poprzedników, obarczyli nasz 10. Korpus zbiorową odpowiedzialnością za błędy i politykę naszych demokratycznie wybranych przywódców, którzy, jak się wydaje, są gotowi do skapitulowania przed żądaniami nazistów z Berlina.

Wprawdzie zgodnie z Konstytucją jestem zobowiązany do posłuszeństwa wobec przełożonych, ale przecież ta sama Konstytucja nakazuje mi bronić naszego kraju przed wszelkimi zagrożeniami z zewnątrz i z wewnątrz. Po dokładnym rozważeniu sprawy doszedłem do wniosku, że poddanie naszego 10. Korpusu Niemcom oznaczałoby poważne zagrożenie dla pokoju w Europie i zagroziłoby bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych.

Dlatego postanowiłem nie wykonać rozkazu pani prezydent Wilson. Nie złożę broni przed nazistowskimi agresorami, by tym samym nie naruszyć pokoju na świecie. Proponuję, by nasz 10. Korpus

przemaszerował z Czech przez Niemcy na wybrzeże, gdzie przekażę go naszym władzom państwowym jako siłę zwartą, gotową do działania i obrony.

Wiem, że wielu z was może nie podzielać mojego stanowiska. Łamię przecież rozkaz prezydenta Stanów Zjednoczonych. Nie mogą wymagać, byście ślepo szli w moje ślady. Każdy z was, zaczynając od dowódców dywizji, a na zwykłych strzelcach kończąc, musi sam dokonać wyboru. Nie mogę wam obiecać sukcesów. Nie twierdzę, że w Stanach zostanieie powitani jak bohaterowie. Może być i tak, że zostaniemy potraktowani jak przestęp-

222

HAROLD COYLE

cy. W drodze czekają nas trudy, a może i śmierć. Obiecuję wam jedynie to, że przeciwstawimy się niebezpieczeństwu nazizmu, tak jak przeciwstawili mu się nasi dziadowie i ojcowie w latach drugiej wojny światowej. Idąc za mną postępujecie jak żołnierze, panowie swego losu, gotowi do walki o honor amerykańskiego żołnierza i o wolność.

Ci z was, którzy nie zgadzają się ze mną, mają prawo pozostać w Republice Czeskiej, gdzie zostaną rozbrojeni i przetransportowani do Stanów. Ja i dowódcy wszystkich szczebli uszanujemy waszą decyzję. Sami musicie rozważyć, co jest waszym

obowiązkiem - i podjąć samodzielnie decyzję.

Zwracam się do tych wszystkich, którzy pozostaną z 10. Korpusem i z jego sztandarem. Razem - z boską pomocą, z determinacją i skutecznością, które rozślawiły imię amerykańskiego-żołnierza - raz jeszcze udowodnimy światu, że Stany Zjednoczone były, są i nadal pozostaną siłą, z którą nie wolno się nie liczyć, siłą służącą pokojowi i demokracji, sprawiedliwości i wolności. Niech Bóg będzie z nami.

A. M. Malin

generał USA

dowódca

Kozak była zdania, że tekst rozkazu został dobrze pomyślany i wywarł oczekiwany wpływ na żołnierzy. Z jej kompanii nikt nie chciał opuścić szeregów i pozostać w Czechach. Starła się stworzyć taką atmosferę, by nikt nie czuł się zmuszony do podjęcia takiej czy innej decyzji. Wierzyła, że wszyscy postanowili pozostać z własnej nieprzymuszonej woli i była za to swoim podkomendnym wdzięczna.

Schowała kartkę do kieszeni i skrzyżowała ręce na piersiach, jakby chciała się ochronić przed zimnym wiatrem. Śnieg, który zaczął padać podczas kolacji, stawał się coraz

TRÓJKĄT ŚMIERCI

223

gęstszy. Ułatwi im to, z jednej strony, przeniknięcie w głąb Niemiec, z

drugiej Jednak - utrudni poruszanie się po stromych, alpejskich drogach - myślała. Śnieg, chroniąc czołowe oddziały, będzie hamować ruch kolumn 10. Korpusu, które ruszą ich śladami. Cała ta gigantyczna operacja przypominała, jej zdaniem, grę w domino. Wszystko zależało od szczęścia i dokładnego zaplanowania każdego etapu. Jedna niewłaściwie ułożona kostka domina zatrzymywała cały marsz.

Rozejrzała się po peronie. Miała wrażenie, jakby była tu całkiem sama, otoczona tylko ciemnościami i padającym śniegiem. Świat wydawał się być uśpiony i nic nie zapowiadało zbliżającej się bitwy. A przecież wiedziała, że wkrótce muszą wykonać skok w przód. Nie potrafiła sobie wyobrazić skutków tego, co miało nastąpić. Myślała jedynie o militarnych aspektach operacji. Czy uda im się przedrzeć przez góry i wyładować swoje pojazdy w wyznaczonym miejscu? Czy Niemcy będą stawiali opór, a jeśli tak, to jaki silny? Jaka będzie reakcja jej żołnierzy? Jak wreszcie ona sama zareaguje?

I kiedy tak rozważała, o piętnaście kilometrów na południowy zachód od samotnej stacyjki, na przełęczy zwanej Cheb, major nwanicz i jego żołnierze z Kompanii A 1. Batalionu Komandosów przygotowywali się właśnie do rozpoczęcia tej gry w domino.

Nieoczekiwane pojawienie się porucznika czeskiej straży granicznej i dwóch żołnierzy patrolu nie zaskoczyło sierżanta niemieckiej służby celnej. Spojrzał na wiszący na ścianie zegar, stwierdził, że dochodzi północ i wstał, by powitać czeskiego gościa. Wzajemne odwiedziny patroli nadgranicznych, szczególnie w takie noce jak ta, nie były czymś niezwykłym. Sierżant ze służby celnej uśmiechnął się do wchodzącego

Czecha i zawołał sierżanta z armii niemieckiej, który w przyległym pomieszczeniu wraz z żołnierzami swej drużyny grzał się i oglądał telewizję. Ten

224

HAROLD COYLE

wstał, wsunął koszulę w spodnie i wolnym krokiem ruszył w kierunku pokoju biurowego.

Czeski oficer otrzepał płaszcz ze śniegu, starannie wytarł buty i skierował się do biurka, przy którym stał jego niemiecki kolega. Niemiec ruchem ręki poprosił porucznika, by usiadł. Sam również rozwalił się na krześle. Teraz dołączył do nich sierżant. Obaj Niemcy nie zwracali uwagi na dwóch żołnierzy czeskiego patrolu, którzy w przedpokoju sprawdzali swoją broń, zapewne w obawie, by nie zamokła i nie zamarzła. Dochodził stamtąd szcęk zamków pistoletów maszynowych, ale to nie zaniepokoiło obu niemieckich sierżantów. To oczywiste, przy tej pogodzie musieli zająć się teraz swoją bronią. Siedzący naprzeciwko nich czeski oficer trzymał na kolanach czapkę, jakby grzał w niej ręce. I to też nie budziło podejrzeń Niemców. Byli zadowoleni z pojawienia się Czechów. Ruchy wojsk amerykańskich w ich kraju powodowały, że obie strony musiały wzmóc czujność na granicy i strzec jej pilnie z obu stron. By móc to zadanie wykonywać skuteczniej, władze obu krajów zachęcały patrole nadgraniczne, by wymieniały informacje i współpracowały z sobą, utrzymując lepsze i bliższe kontakty, niż to było dotychczas.

Odczekawszy chwilę, by czeski porucznik odetchnął po nocnej wędrówce, sierżant z armii powiedział:

- Właśnie przygotowywaliśmy się do wyjścia w obchód.

Porucznik spojrział w głąb przyległego pokoju, gdzie żołnierze z drużyny sierżanta, w podkoszulkach, rozwaleni na łóżkach i krzesłach, oglądali telewizję. Major Mikołaj Ilwanicz pomyślał, że wcale nie sprawiają wrażenia, jakby się wybierali dokądkolwiek. Nić jednak nie powiedział, skinął tylko głową, chrząknął i czekał na to, co Niemiec ma jeszcze do powiedzenia.

- Sądzę, że przeszliście cały nasz odcinek - mówił Niemiec. - Może mi pan pokaże na mapie, gdzieście już byli, byśmy niepotrzebnie nie szli tym samym szlakiem.

Ilwanicz się uśmiechnął. Doskonale wiedział, o co naprawdę sierżantowi chodzi. Gdyby się okazało, że przeszli odcinkiem, za który odpowiadała niemiecka straż granicz-

na, mogliby spokojnie pozostać w strażnicy. Złożyliby jedynie swojemu porucznikowi meldunek, że na granicy panuje spokój i porządek. Ilwanicz rozumiał, że dublowanie wysiłków byłoby po prostu idiotyzmem. Jego niemiecki był płynny, obawiał się jednak, że tamci mogą wyczuć jego rosyjski akcent i dlatego starał się mówić trochę niewyraźnie.

- Doskonale, poproszę o mapę operacyjną, to pokażę naszą trasę.

Zadowolony, że czeski oficer wyraża chęć współpracy, wstał i ruszył do drugiego pokoju po mapę, a sierżant służby celnej poszedł po kawę dla gościa. Ilwanicz spojrział w kierunku drzwi, gdzie na korytarzu pozostali jego dwaj towarzysze, sierżant Allen Rasper i strzelec Kevin Papę, i

dyskretnie się do nich uśmiechnął. Obaj skinęli głowami. Byli spoceni - zarówno z nerwowego napięcia, jak i z gorąca, bo na swoje mundury i kombinezony zarzucili płaszcze czeskich wojsk pogranicza.

Sierżant powrócił z mapą i rozłożył ją przed Ilwaniczem. Zaczął pokazywać na niej pozycje, jakie zajmowała jego kompania.

- Tu stali pancerniacy, ale się wycofali jeszcze przed naszym przyjściem. Przerzucono ich gdzieś w okolice Chemnitz czy Drezna. Nasza dywizja strzeże odcinka granicy długości dwustu kilometrów, a dysponujemy tylko lekkim, alpejskim wyposażeniem. W tej sytuacji to bardzo ważne, byśmy mogli współpracować.

Patrząc na żołnierzy rozwalonych na krzesłach i łózkach, na ich opartą o ścianę broń, z której wyjęto magazynki, Ilwanicz poczuł przyływ zadowolenia, ale też i niechęci. Usatysfakcjonowany, że Niemcy byli całkowicie nie przygotowani i że poinformowali go o rozstawieniu swoich sił w rejonie, jako zawodowy żołnierz był jednak zdeprimowany i miał pretensje do sierżanta, że tak lekkomyślnie naraża życie swoich żołnierzy. Podobnie jak wielu innych rosyjskich oficerów wiedział, że niemiecki żołnierz wcale nie jest lepszy od żołnierza ich armii. A jednak system militarny Niemiec otaczała mistyczna aura, powszechnie

226

HAROLD COYLE

przekonanie o jego doskonałości, co rodziło respekt, a może nawet strach przed niemiecką armią. Teraz patrząc na tę „doskonałość” z bliska, zastanawiał się, czy ich przywódcy nie przeceniali i nie gloryfikowali

przeciwnika. Odsunął jednak od siebie te myśli i zaczął z uwagą przysłuchiwać się wyjaśnieniom sierżanta, który na mapie pokazywał mu placówki niemieckie, blokujące przejście przez przełęcz Cheb. Sierżant zaś bez najmniejszych oporów poinformował go jeszcze, że poza placówkami tu, w górach, aż do Norymberg! nie ma żadnych ważniejszych oddziałów wojskowych.

Wysłuchawszy wyjaśnień Ilwanicz wziął mapę, złożył ją i wsunął pod pachę. Podnosząc się z krzesła, upuścił czapkę, osłaniającą jeszcze przed chwilą pistolet kaliber 9 mm, który trzymał w prawej ręce. Spostrzegłszy broń, zaskoczeni Niemcy wstali. Jeden z nich spojrzał w kierunku korytarza, ale dwaj żołnierze wtargnęli już do pokoju. Stali przy drzwiach z pistoletami maszynowymi wycelowanymi w sierżantów. Ilwanicz, nie zważając już na swój akcent, oświadczył:

- Jeśli nie zrobicie jakiegoś głupstwa, macie szansę uratowania życia. Wy, sierżancie - zwrócił się do wojskowego - zbierzcie swoich żołnierzy i każcie im zostawić broń i ustawić się tu, w tym pomieszczeniu. Potem musimy połączyć się z dowódcą waszego plutonu i kompanii i przekonać ich, by dołączyli tu do nas. Zachowujcie się, proszę, spokojnie i rozsądnie. Nie chciałbym widzieć waszych trupów, ale moi amerykańscy koledzy są bardzo poruszeni tym, co robi wasz kanclerz. Oni nie będą się troszczyć o was i mogą was powystrzelać, zanim zdążyście otworzyć usta, by powiedzieć coś, czego tamci nie powinni usłyszeć.

Przekonany, że sierżant z armii go zrozumiał, Ilwanicz zwrócił się teraz

do sierżanta straży celnej.

- Za chwilę przyjdzie tu mój amerykański zastępca, młody porucznik, by dopilnować, czy wasi żołnierze zachowują się rozsądnie, a my obaj pójdziemy na stację, do komory celnej, by dokonać pewnej zmiany w rutynowym

TRÓJKĄT ŚMIERCI 227

ruchu pociągów. Przykro mi, ale zapowiada się o wiele dłuższa noc, niż mogliście oczekiwać.

Widział wyraźnie, że obaj sierżanci są zdenerwowani ironicznym sposobem traktowania ich i całą sytuacją. Ale jednocześnie byli przestraszeni i zmieszani. Wyglądało na to, że nie zrobią żadnego głupstwa. Ilwanicz nabierał pewności, że jeśli będą mieli choć odrobinę szczęścia, uda im się otworzyć wrota do Niemiec dla całego 10. Korpusu.

16 stycznia

Przyzwyczajony do nocnych wart, sierżant Julius Reusch z posterunku policyjnego w Pegnitz, małym miasteczku w południowych Niemczech, nie odczuwał senności. Natomiast Jego towarzysz, Ernst Ohlendorf, przeniesiony niedawno ze zmiany dziennej, już od jakiegoś czasu spał głębokim snem, rozwalony na biurku. Nie przeszkadzało mu, że Reusch krzątał się po pokoju, sprzątając i sortując dokumenty i raporty, na co nie miała czasu poprzednia zmiana. Nie przebudził się nawet wtedy, gdy wszedł porucznik i powiedział, że obaj, Reusch i Ohlendorf, muszą pojechać na stację, gdyż pewna starsza pani zadzwoniła z informacją, że widziała tam jakieś obce czołgi.

Reuschowi z trudem udało się dobudzić kolegę. Miał jednak wiele

cierpliwości, a poza tym nigdzie się nie spieszyli. Porucznik nie wydawał się zbytnio przejęty telefonem starszej pani. Z podobną informacją zgłosiła się bowiem już w grudniu, kiedy armia amerykańska przesuwała się w kierunku Czech, a potem, gdy wprowadzono tu niemieckie jednostki pancerne, i gdy je nagle zaczęto wycofywać. Wszystko to było dość zabawne, a miejscowa policja z największym sceptycyzmem patrzyła na ruchy wojsk, przesuwanym tam i z powrotem bez wyraźnie określonego celu.

Reusch sprawdził, czy Ohlendorf zapiął pas i wziął rewolwer, po czym wyszli na dwór. Było przejmująco zimno.

Jechali powoli. Reusch prowadził ostrożnie, gdyż nawierzchnia drogi była całkowicie oblodzona. Na taką pogodę i psa by nie wypędził. 1 zapewne nikt, kto nie miał do załatwienia czegoś naprawdę pilnego, nie wychodził z do-

228

HAROLD COYLE

mu. Minęli budynki stacji i jakieś magazyny, które znajdowały się pod stałą opieką policji. Reusch pomyślał, że Ohlendorf powinien był je skontrolować, ale ten znów zasnął. Jechali więc powoli dalej, nie napotykając po drodze nic szczególnego.

Mijali właśnie budynek miejscowego banku, gdy przed nimi, z jednej z bocznych ulic wyjechał jakiś pojazd ze światłami umieszczonymi wysoko nad ziemią. Znalazł się tak blisko nich, że Reusch miał tylko moment, by wykonać manewr, który pozwolił uniknąć zderzenia. Gwałtownie skręcił kierownicą i wcisnął hamulec. Wozem zarzuciło w bok i wpadając w

poślizg uderzyli w tył zaparkowanego przy krawężniku samochodu. Drzemiącego Ohlendorfa rzuciło w przód, a Reusch zorientował się, że ich samochód wcale się nie zatrzymał, lecz odbił się od tamtego auta i poślizgiem wypadł ponownie na jezdnię, sunąc w kierunku tamtego, zbliżającego się pojazdu. Nie mogąc zapanować nad tańczącym po jezdni dzłpem, Reusch, ignorując wrzask przerażonego Ohlendorfa, po raz pierwszy spojrzał na tamten samochód i zamurowało go. Zorientował się, że ma przed sobą wóz pancerny, którego kierowca zapewne również dostrzegł ich dzipa, gdyż i on próbował hamować, ale bez skutku. Reuschowi nie pozostawało już nic innego, jak przymknąć oczy i czekać, kiedy tamten go zmiażdży.

Siedząca w wieżyczce swego bradleya M-2 numer C60 kapitan Nancy Kozak wstrzymała oddech. Biało-niebieski dzip niemieckiej policji wyskoczył tuż przed maską bradleya i wyminięcie go było już niemożliwe. Zaparła się więc, przygotowując się na zderzenie. Ale zamiast gwałtownego uderzenia i trzasku gniecionej karoserii poczuła jedynie lekki wstrząs i ciche stuknięcie. Otworzyła oczy i wychyliła się nieco, by zobaczyć, co się stało z samochodem policyjnym. Odetchnęła - nic nadzwyczajnego, jej wóz pancerny jakby przesunął tylko dzipa. Po chwili powoli wysiadł z niego kierowca-policjant.

Nieco oszołomiony, ale nawet nie zdenerwowany Reusch stał na środku jezdni i oglądał swój wóz. Potem spojrzał na

TRÓJKĄT ŚMIERCI

229

pojazd, który omal ich nie zmiażdżył. Nie mógł uwierzyć, że udało im

się przeżyć. Spojrzał w kierunku amerykańskiego wozu pancernego i dopiero wtedy poczuł, że ma mokre spodnie. Obejrzał nogawki i uniósł głowę. Z otwartej wieżyczki bradleya wychylał się jego dowódca. Szok i wstyd, jakie opanowały Reuscha, wzmocniły wściekłość - ruszył więc w stronę wozu pancernego. Bezwiednie wyciągnął z kabury pistolet.

Nawet w słabym oświetleniu ulicznych lamp i mimo padającego śniegu Nancy spostrzegła, że zszokowany policjant jest rozwścieczony. Widząc, że wyjął pistolet, skryła się głębiej w wieżyczce. Sierżant Danny Wolf wychylił głowę, ale natychmiast wsunął się do środka.

- Wygląda na to, kapitanie, że tubylcy wypowiadają nam bitwę.

Kozak wzruszyła ramionami i odpowiedziała takim samym tonem:

- Mogli się na to przygotować. Nasz atak nie sprawi im oczywiście radości.

Obserwując policjanta, Wolf zaśmiał się:

- O co im właściwie chodzi? Powinni się już byli przyzwyczaić, że co pewien czas ktoś ich atakuje. Sami się o to proszą.

Teraz zaśmiała się Nancy Kozak, nawet zadowolona, że po długiej, nużącej podróży pociągiem mają okazję, by się nieco odprężyć.

- Macie rację, sierżancie - powiedziała - widocznie nie mają dość poczucia humoru.

Tymczasem coraz bardziej wściekły Reusch tracił już panowanie nad sobą. Mierząc w wieżyczkę bradleya zaczął wykrzykiwać jakieś przekleństwa żądając, by załoga wozu natychmiast się poddała. Oczywiście nie miał najmniejszego pojęcia, że dowódcą wozu

pancernego jest kobieta, i że ma ona rozkaz, by na każdą próbę użycia siły odpowiadać siłą.

Widząc, że sytuacja zaczyna się komplikować, Kozak jeszcze głębiej schowała się w wieżyczce i poleciła kierowcy, Terry Tish, by powoli ruszyła w przód. Miała nadzieję,

230

HAROLD COYLE

że policjant zorientuje się, co się dzieje i usunie swój samochód. Gdyby jednak tego nie zrobił, to i tak Kozak nie widziała przeszkód, by dokonać tego siłą. Sunąca za nią kolumna bradleyów i czołgów i tak stała już zbyt długo. Wyładowali się z pociągu na stacji i chcieli jak najszybciej opuścić Pegnitz, by zająć wyznaczone im pozycje na zachód od Grafenwörth.

Nie spuszczając oka z policjanta, Kozak obserwowała, jak kolumna zaczyna się posuwać do przodu. Po chwili jej bradley zetknął się z wozem policyjnym, z którego wyskoczył drugi policjant. Miał zakrwawioną twarz, bradley coraz mocniej napierał na wóz Niemców, który wreszcie się przewrócił. Po chwili został zmiażdżony. Ranny policjant patrzył chwilę, jak dżip staje się stertą złomu, po czym odwrócił się i po prostu zaczął uciekać.

To zdarzenie ucieszyło natomiast sierżanta Wolfa, który śmiejąc się od ucha do ucha, stwierdził:

- Zawsze marzyłem, by coś takiego zrobić! Bardzo bym chciał mieć zdjęcie tego wraka, by posłać je do domu.

Kozak nie odezwała się. Nie zamierzała wyjaśniać sierżantowi powagi sytuacji. Pomyślała tylko, że będą mieli niebywałe szczęście, jeśli uda im

się wysłać do domu samych siebie. W milczeniu patrzyła na policjanta, który z pistoletem w ręku stał teraz obok wraku.

Reusch w porywie złości chciał strzelić do stojącego w wieżyczce amerykańskiego oficera, ale powstrzymał się. Stał i patrzył na kupę złomu, która jeszcze przed chwilą była Jego służbowym samochodem. Nie był do tego dżipa jakoś szczególnie przywiązany, ale zabolął go zupełny brak szacunku Amerykanów dla policji. W dodatku wyraźnie słyszał ich śmiech - najwyraźniej kpili sobie z niego, z policjanta na służbie. To właśnie najbardziej go oburzyło i sprawiło, że był gotów strzelać do nich. Nawet nie pomyślał, że tamci mogli go z dziecinną łatwością zabić wcześniej. I on, i inni Niemcy w tamtych dniach nie mogli zrozumieć, co się właściwie dzieje i nie umieli się przestawić z warunków pokoju na warunki regularnej wojny. Wielki Al zdawał sobie z tego doskonale sprawę i na to właśnie

TRÓJKĄT ŚMIERCI

231

liczył. Reusch, stojąc pośrodku ciemnej ulicy i wymachując rewolwerem w kierunku mijającej go kolumny bradley-ów i czołgów, nie był w stanie pojąć powagi sytuacji, podobnie jak i wszyscy Niemcy, którzy w ciągu najbliższych dni mieli się zetknąć z Jednostkami 10. Korpusu, które po minięciu granicy niemiecko-czeskiej wkroczyły w spokojne, uśpione pod grubą warstwą śniegu doliny Bawarii.

•& •& 3r

Wartownik otworzył bramę do siedziby dowództwa Jednostek Armii Terytorialnej tak, jakby nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Czołg

Scotta Dbcona M-1A1, stojący w długiej kolejce samochodów, skręcił i wjechał na ów teren, jakby był po prostu jeszcze jednym pojazdem wiozącym pracowników. Wychylony z wieżyczki abramsa i sprawiający wrażenie całkowicie pewnego siebie, Dixon zasalutował oficerom i wartownikom przy bramie. Ignorując zdumione spojrzenia kręcących się przed budynkami oficerów i żołnierzy kazał kierowcy podjechać na parking przed główną siedzibę dowództwa. Za czołgiem pułkownika jechał pancerny samochód sztabowy M-577, w którym obok kierowcy siedział Cerro. Razem z pułkownikiem reprezentowali dowództwo 1. Brygady Pancерnej. Rozumieli wagę czekającego ich spotkania, które miało być papierkiem lakmusowym stosunku niemieckiej armii do 10. Korpusu, posuwającego się przez Niemcy w kierunku wybrzeży Morza Północnego.

Czołg zatrzymał się na parkingu przed budynkiem dowództwa, a Dixon wysiadł demonstracyjnie powoli, jakby dając do zrozumienia, że nigdzie się nie śpieszy i niczego nie obawia. Gdy zmieniał hełm i odpinał pas z bronią, Hal Cerro wysiadł ze swego wozu i podszedł do czołgu, czekając na dowódcę. Obok niego przystanął jakiś niemiecki kapitan.

Gdy Dixon podszedł, Cerro przedstawił mu kapitana jako adiutanta dowódcy Jednostek Terytorialnych. Wymienili ukłony i podali sobie ręce. Adiutant poprowadził

Dixona i Cerra do dowódcy. Czołg i wóz pancerny z załogami pozostały na parkingu. Obsługa karabinów maszynowych usadowiła się demonstracyjnie na stanowiskach, co miało świadczyć, że nie jest to

towarzyska wizyta, lecz poważna operacja militarna.

Ku rozczarowaniu Cerra zaprowadzono ich nie do centrum operacyjnego, gdzie mieliby sposobność przyjrzenia się mapom rozlokowania wojsk, ale do gabinetu, gdzie czekali na nich dowódca miejscowych jednostek Bundeswehry, burmistrz miasteczka, szef lokalnej policji i kilku innych cywilów i oficerów, których gościom nie przedstawiono. Amerykanie zdecydowanie odróżniali się wyglądem od gospodarzy: byli w kombinezonach polowych, w hełmach i sprawiali wrażenie, jakby przybyli tu prosto z pola walki. Natomiast niemieccy oficerowie mieli na sobie mundury wyjściowe, cywile zaś garnitury i białe koszule. Niemiecki dowódca poprosił gości, by zajęli miejsca. Kiedy podano kawę, gospodarz przedstawił się. Był to pułkownik Dieter Stahl. Zapytał Amerykanów, co ich sprowadza.

Dixon, przekonany, że Stahl przynajmniej ogólnie zna sytuację, łyknął kawę i powiedział:

- Nie wątpię, pułkowniku, że wysłuchał pan porannej audycji rozgłośni naszych Sił Zbrojnych - a gdy tamten skinął potakująco głową, Dixon dodał: - To było właśnie posłanie generała Malina do narodu niemieckiego.

Stahl uśmiechnął się i przyznał, że rozumie, o co chodzi Burmistrz, nie zorientowany, poprosił o wyjaśnienia. Stahl wytłumaczył mu, że posłanie było w istocie rzeczy ultimatum generała Malina, skierowanym do władz niemieckich. Po chwili burmistrz zwrócił się do Dixona:

- A więc, jak zrozumiałem, chcecie nas zastraszyć. Za powiadacie, że jeśli się nie zgodzimy współpracować, jeśli podejmiemy obronę naszego kraju, to zniszczycie nasze

wsie i miasta. Czy taka jest właśnie idea tego posłania? - spytał w marnej angielszczyźnie, równie kiepskiej jak ta, którą posługiwał się Stahl.

Dixon, spodziewając się takich pytań, pośpieszył z odpowiedzią.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

233

- Bardzo proszę, byście zrozumieli, że celem generała Malina nie jest wyrządzanie Niemcom jakichkolwiek szkód. Nie mamy powodu ani nie zamierzamy się na nikim mścić. Nie mamy na to zresztą ani czasu, ani środków. Naszym jedynym celem jest przeprowadzenie 10. Korpusu przez Niemcy, na wybrzeże, skąd nasza marynarka będzie nas mogła ewakuować jako zwartą siłę militarną. Jestem przekonany, że pułkownik Stahl potwierdzi moje słowa. On przecież wie, że nie dysponujemy takimi siłami i środkami, by prowadzić wojnę z Niemcami. Nie chcemy prowokować waszego społeczeństwa, ani budzić jego niechęci do nas. Nie chcemy niczego niszczyć. Gdyby nawet generał Malin wydał tego rodzaju rozkazy, nasi oficerowie odmówiliby ich wykonania. Nie odczuwamy nienawiści wobec Niemców, nie mamy do nich pretensji. Jeśli nikt nam nie przeszkodzi w marszu na północ, moi żołnierze nic nikomu nie zrobią. Gdyby ktoś poniósł w wyniku naszej operacji jakieś straty," rząd Stanów Zjednoczonych zapłaci odszkodowanie. Wszelkie formalności w tych sprawach będą załatwiane

tak, jak to było praktykowane do tej pory.

Wysłuchawszy oświadczenia Dixona, Stahl zaczął go ostrożnie sondować:

- Pan rozumie, pułkowniku Dixon, że mam rozkaz przeciwstawić się wam i powstrzymać was aż do nadejścia posiłków Bundeswehry. Jestem żołnierzem, tak jak i pan, więc rozumie pan doskonale, że nie mam innego wyboru i muszę się podporządkować rozkazom swych przełożonych. Gdybym wyraził zgodę na to, byście bez przeszkód mogli łamać naszą suwerenność, dopuściłbym się zdrady.

Dixon był gotów odeprzeć i te argumenty.

- Kogo miałby pan zdradzić, pułkowniku Stahl? - zapytał.

Ten popatrzył na niego wyraźnie zdziwiony i dopiero po chwili odpowiedział:

- Gdybym nie wykonał rozkazów, zdradziłbym Niemcy.

Dixon pochylił się do przodu i patrząc pułkownikowi prosto w oczy odparł, akcentując każde słowo:

- Jakie Niemcy by pan zdradził? Niemcy z marzeń i ambicji kanclerza Ruffa? Przecież wasz parlament właśnie

234

HAROLD COYLE

w tym momencie rozważa, czy kanclerz miał prawo podjąć takie decyzje, jakie podjął. Czy ma pan na myśli Niemcy prostych ludzi, których nikt o nic nie pyta, a już w szczególności kanclerz Ruff, który podejmuje prowokacyjne działania i wysuwa nieuzasadnione żądania pod adresem

rządu mojego kraju? Czy może ma pan na myśli te Niemcy, które zawsze ślepo podporządkowują się wszelkim rozkazom? Kogo miałby pan zdradzać, pułkowniku? A jaką cenę zapłaciłyby Niemcy, gdyby jednak nie dopuścił się pan tej zdrady, jak pan twierdzi?

Wszyscy zgromadzeni w gabinecie wpatrywali się w pułkownika Stahla czekając, co na to odpowie. Gdy wreszcie zaczął mówić, stało się jasne, że nie jest pewien swego stanowiska.

- Niby dlaczego oczekuje pan, że nie wykonam rozkazów? Pan, pułkowniku Dixon, też jest przecież żołnierzem. Wie pan, że wymaga się od nas dyscypliny i postępowania zgodnego z interesem narodu. Nam nie wolno wybierać tych rozkazów, które się nam podobają, a odrzucać tych, do których nie mamy przekonania. Gdyby tak było, w armiach zapanowałaby anarchia.
- Racja, pułkowniku Stahl, ale nie jesteśmy maszynami ani marionetkami, pozbawionymi wolności myślenia, oceny i kierowania własnymi czynami. Jako ludzie mamy przecież poczucie istoty dobra i zła. Awansuje się nas właśnie na podstawie tego systemu wartości. Mamy określone obowiązki, składamy przysięgę, wykonujemy rozkazy i przestrzegamy regulaminów. Oczekuje się od nas, że wykonując rozkazy, nie pogwałcimy zasad moralnych, zasad, które nakłada na nas społeczeństwo i jego interesy. Dixon zamilkł na moment, nabrał powietrza i ciągnął dalej: - Ja sam sprzeciwiłem się woli naszego prezydenta. Pani prezydent rozkazała generałowi Malinowi, by złożył broń i opuścił wraz z wojskiem Europę. Ale ona niewłaściwie oceniła sytuację i dlatego wydała błędny rozkaz.

Dixon obrócił się w fotelu i mówił teraz do wszystkich zebranych w

gabinecie:

TRÓJKĄT ŚMIERCI

235

- Mógłbym się zasłonić rozkazem i wykonywać go, choć wiem, że jego konsekwencje byłyby tragiczne dla Stanów Zjednoczonych. Tak jak Ksenofont w 400 roku przed Chrystusem wiedział, że błędem byłoby, gdyby dziesięć tysięcy jego żołnierzy złożyło broń i zawierzyło królowi perskiemu, tak też każdy oficer 10. Korpusu wie, że błędem byłoby ugięcie się Stanów przed szantażem nuklearnym. Jeśli wypełnilibyśmy rozkaz naszej prezydent i pozwolibyśmy, by Niemcy nas rozbroiły, to znaleźliby się t&cy, którzy poszliby tą samą drogą. Rządy wielu innych państw podjęłyby próby zdobycia broni nuklearnej, legalnie albo nielegalnie, by móc korzystać z niej jak z instrumentu szantażu. Tak, wykonuję rozkazy - Dbcon zwrócił się ponownie do pułkownika - ale też ponoszę odpowiedzialność za tych, którymi dowodzę. Nie mogę realizować rozkazów, które są moralnie niesłuszne. Nie domagam się, by zdradził pan swój kraj. Chcę jedynie, by podjął pan decyzję z pełną świadomością, że działa pan dla dobra swego kraju.

Zapadła cisza. Ci, co znali angielski, szeptem tłumaczyli pozostałym to, co powiedział Dixon. Po chwili burmistrz, patrząc na Stahla, zapytał go, czy byłby gotów odmówić wykonania rozkazów Berlina.

Stahl, nim odpowiedział, spojrzął na Dbcona. Zdawał sobie sprawę, że wypowiedź Amerykanina była przemyślana i wyważona. Dbcon, choć o tym nie wspomniał, nawiązywał w niej do dyskusji, jaka nieustannie toczyła się w Bundeswehrze, niemal od jej powstania w 1955 roku.

Dyskusji o tym, czy żołnierz ma obowiązek ślepo wykonywać rozkazy, tak jak zrobiła to armia niemiecka pomagając nazistom, co w efekcie kosztowało Niemcy siedem i pół miliona ofiar i niemal całkowite zniszczenie kraju. W Bundeswehrze przyjęto, że oficer jest odpowiedzialny za swoje postępowanie, że świadomie musi rozróżniać dobro od zła, by nie dopuścić do kolejnej tragedii. Stahl wiedział, że właśnie tę zasadę przypominał mu amerykański pułkownik, dając wyraźnie do zrozumienia, że gdyby bezkrytycznie słuchał rozkazów, ściągąłby na swój kraj nieobliczalne nieszczęście.

236

HAROLD COYLE

Stahl kilkakrotnie potrząsnął głową i zwrócił się do burmistrza:

- Każdemu niemieckiemu oficerowi przysługuje prawo odmowy wykonania rozkazu, jeśli uzna, że rozkaz ten nie jest dostosowany do sytuacji, przed jaką staje. Ta wolność wyboru jest zgodna z naszą starą tradycją - tu pułkownik spojrział na Dixona, ale mówił zwracając się w kierunku burmistrza. - Mam rozkaz przeciwstawienia się agresji. Polecę moim podkomendnym, by byli czujni i chronili Niemców i ich dobytek przed wszelkimi wrogimi działaniami. Jak na razie nie ma żadnych meldunków o jakichkolwiek wrogich aktach. Amerykanie złamali jedynie przepisy prawa cywilnego, posuwając się drogami publicznymi bez odpowiednich zezwoleń. Ta sprawa jednak należy do kompetencji policji i władz cywilnych - i one powinny się tym zająć.

Powiedziawszy to pułkownik Stahl wstał. Dixon oświadczył, że skieruje do kwatery niemieckiego dowódcy oficera łącznikowego, z którym będzie można uzgodnić wszelkie kwestie, wynikające z przemarszu oddziałów 10. Korpusu przez rejon znajdujący się pod dowództwem pułkownika. Stahl wyraził na to zgodę i ujął Dixona pod rękę, po czym obaj wyszli z gabinetu. Przedstawiciele władz cywilnych ruszyli za nimi.

Sierżant Martin Hofer ostrożnie rozpakował ostatnie zapasowe łącze komputerowe i postawił je na konsoli obok monitora.

- A więc gotowe, kapitanie Haupt - poinformował oficera technicznego. - Tylko ostrożnie, bo to ostatnie zapasowe łącze, jakim dysponujemy. Drugiego nie ma w całej Bawarii.

Kapitan Karl Haupt spojrział na stanowisko, na którym ustawione były komputery kontrolujące systemy broni pokładowych dywizjonu myśliwców bombardujących Tornado. Jego zadaniem było sprawdzenie całego systemu. Zwracając się do sierżanta powiedział:

TRÓJKĄT ŚMIERCI

237

- Dziękuję, Martin. Jesteś wolny. Możesz odejść.

Hofer spojrział na urządzenie, potem przeniósł wzrok na kapitana i zaprotestował:

- Przecież nie zdąży pan sprawdzić tego wszystkiego sam, nie mamy czasu. Słyszałem, że dywizjon ma startować o świcie. Bez komputerowego systemu kontroli broni pokładowej samoloty będą po prostu bezużyteczne.

Haupt, pochylony teraz nad urządzeniem kontrolnym, nie podniósł nawet głowy.

- To nie zabierze mi zbyt wiele czasu, a ty w niczym już nie możesz mi pomóc. Możesz odejść. I nie martw się o dywizjon. Będą mieli wszystko na czas.

Gdy tylko za Hoferem zamknęły się drzwi hangaru, Haupt podszedł i zamknął je na klucz. Odwrócił się i spojrzał na łącza ułożone na pulpicie, obok monitorów, gotowe do podłączenia do instrumentów kontrolnych. Haupt westchnął, zdając sobie sprawę, że ma bardzo niewiele czasu na wykonanie tego, co zamierzał. Podszedł do warsztatu, odsunął jedną z szuflad i wyciągnął z niej młotek. Wziął go w prawą rękę i idąc wzdłuż stołu montażowego rozwalał poszczególne łącza.

Najgłębiej przekonany, że podejmowane przez kanclerza Ruffa działania przeciwko Amerykanom pchają naród niemiecki w otchłań nieszczęść, po bezsennej nocy postanowił, że musi zrobić coś, co leży w zakresie jego możliwości, by nie dopuścić do tragedii. Wiedział, że nie jest w stanie zatrzymać nadciągającej burzy, miał jednak nadzieję, że to, co zamierza zrobić, skłoni jego kolegów z Luftwaffe do przemyśleń.

Rozbijając teraz komputerowe łącza, nie miał cienia wątpliwości, że postępuje słusznie i zgodnie z nakazem sumienia. Nie bał się konsekwencji swego czynu, bo wiedział, że kierują nim czyste intencje i troska o los ojczyzny.

Rozdział XI

17 stycznia

Im wnikliwiej Jan Fields-Dixon wczytywała się w informacje, które przesuwwały się na ekranie monitora, tym bardziej czuła się zagubiona i

tym mniej to wszystko rozumiała. Jak inne wielkie sieci World News Network *monito-rowała serwisy niemal wszystkich liczących się agencji światowych*. Serwisy te Jan odbierała na swoim komputerze, dzięki czemu na bieżąco otrzymywała wszelkie informacje o tym, co wydarzyło się w kraju i na świecie i mogła je wykorzystać przy opracowywaniu własnych komentarzy i opinii.

Wszystkie przekazy, łącznie z oświadczeniem, generała Malina, raczej potwierdzały słuszność oświadczeń pani prezydent Wilson. Wczytując się w nie Jan pomyślała, że coś tu jest nie w porządku. Działania dowódcy 10. Korpusu były logiczne, a oświadczenie jego rzecznika prasowego wydawało się jego wiarygodnym uzasadnieniem. Niemniej Jan wyczuwała, że Wielki Al nie jest zdolny do przeprowadzenia rebelii, a gdyby nawet się na coś podobnego zdecydował, to oficerowie 10. Korpusu nie poszliby ślepo za nim. Znała umiejętności dowódcze generała i wiedziała, jak wysoko oceniał go Jej mąż, Scott, który zawsze podkreślał lojalność i patriotyczne zaangażowanie swego dowódcy. Tak więc, gdy prezydent Wilson zaczęła oskarżać Wielkiego Ala o niesubordynację, a prasa nazwała go buntownikiem, Jan musiała się zastanowić, czy przypadkiem i ona, i Scott nie pomylili się w ocenie generała.

TRÓJKĄT. ŚMIERCI

239

Powoli pozbywała się Jednak wątpliwości. Zaczęła od poszukiwania odpowiedzi na pytanie, dlaczego ktoś taki jak Malin zdecydował się na złamanie przysięgi i rzucił na szalę swoją karierę wojskową? Odpowiedzi wprawdzie nie znalazła, ale co krok natrafiała na nowe

znaki zapytania. Każdy fakt rozpatrywany oddzielnie był zrozumiały, ale ich zespół nie dawał się ułożyć w logiczną całość. Doskonale rozumiała mentalność zawodowych wojskowych, znała też osobiście wszystkich liczących się uczestników gry w Waszyngtonie i w Berlinie, a jednak wszystko to nie pasowało do informacji rozpowszechnianych przez Biały Dom, Departament Stanu i Departament Obrony. Była przekonana, że jest coś, czego nie potrafiła zrozumieć, coś, co nie znajdowało uzasadnienia w serwisach przewijających się na monitorze jej komputera. Doszła więc do wniosku, że należy szukać własnych źródeł informacji. Zatrzymawszy na ekranie wiadomość Reutera o sytuacji w Niemczech i reakcjach na nią, podniosła słuchawkę telefonu i wybrała numer biura Eda Lewisa.

Ktoś z centrali powiedział jej, że kongresman Jest na jakiejś ważnej konferencji i nie wróci wcześniej niż około południa. Poprosiła więc o połączenie z Terri Allen, sekretarką Lewisa, która na ogół lepiej wiedziała, co się dzieje w biurze niż sam Lewis. Ponadto była przyjazna i życzliwa. Jeśli ktoś mógł pomóc Jan w odnalezieniu Lewisa, to tylko Terri. Gdy ją usłyszała, zaczęła Jak zwykle serdecznie:

- Cześć, Terri, tu Jan. Przepraszam, że przeszkadzam, ale koniecznie muszę zamienić kilka słów z Edem. Czy możesz mi powiedzieć, gdzie on jest?

Terri, z lekkim akcentem zdradzającym jej pochodzenie z Tennessee, odparła:

- Hej, Jan. Przykro mi, koteczku. Chętnie bym ci po mogła, ale Ed od szóstej rano Jest w Białym Domu. On może dzwonić do nas, ale dla nas Jest nieosiągalny. Wszy

stko, co mogę zrobić, to przekazać centrali Białego Domu, że go poszukujesz. Być może poinformują go o tym jeszcze w tym stuleciu.

240

HAROLD COYLE

W innych okolicznościach dowcip na temat stylu pracy w Białym Domu rozśmieszyłby Jan. Tym razem nie było jej do śmiechu. Wiedziała, że jeśli Ed od wczesnego rana jest w Białym Domu, to z pewnością uczestniczy w spotkaniu na temat sytuacji militarnej. Już ten fakt był dla niej dowodem, że dzieje się coś, o czym ona nie *wie* i o czym się nie mówi. Postanowiła trochę wysondować Terri.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, że Ed siedzi tak długo u pani prezydent. Przecież musi być na nią wściekły, że spowodowała to całe zamieszanie.

W głosie Terry wyczuła teraz wahanie:

- Muszę ci powiedzieć prawdę, Jan: sama jestem zaskoczona jego zachowaniem. Wczoraj wieczorem pojechał do domu wcześniej niż zwykle, i cały był w skowronkach.
- Może czuł satysfakcję, że dokładnie przewidział skutki działań prezydent i jej doradców?

Terry nie podzielała tego poglądu.

- Jaką satysfakcję? Nie znasz Eda? To całkiem coś innego. To... - zawahała się, a gdy podjęła temat, Jan usłyszała w tonie jej głosu zaniepokojenie. - Mam wrażenie, Jan, jakby on był zadowolony z tego, co się dzieje. Nie

sądzisz, że za tym coś się kryje?

Jan tak właśnie przypuszczała, ale nie mogła się dzielić z Terri jakimikolwiek domysłami. Powiedziała więc tylko:

- Ed współpracujący z administracją? To coś nowego. Przepraszam, Terry, mam drugi *telefon*. Muszę *kończyć*.
- Gdyby Ed się odezwał, to mam mu powiedzieć, by do ciebie zadzwonił?

Jan nie chciała, by Lewis się domyślił, że zaczyna węszyć wokół niego, bo od razu by się zorientował, o co jej chodzi. Powiedziała więc Terri, że nie jest to konieczne, bo da sobie radę i bez niego. Odłożyła słuchawkę. Spojrzała na dwa elektryczne zegary na ścianie. Jeden pokazywał czas lokalny, drugi środkowoeuropejski. W Berlinie było teraz wczesne popołudnie, a u nich za chwilę miały się rozpocząć poranne dzienniki telewizyjne. Włączyła telewizor i zaczęła się zastanawiać, do czego właściwie zmierza Lewis. Wyczuwała, że dzieje się coś, czego nie potrafi zrozumieć, ale

w informacjach dziennika nie znajdowała żadnej sensownej odpowiedzi na swe wątpliwości.

Z rozmyślań wyrwał ją dzwonek telefonu. Asystent Charleya Mordala, szefa działu informacji i publicystyki, zapytał, czy ma już przygotowany popołudniowy komentarz. Spojrzała na nie zapisaną kartkę papieru leżącą na jej biurku i szybko odpowiedziała, że właśnie kończy. Odłożyła słuchawkę i spojrzała na monitor komputera, na którym widniały ostatnie wiadomości agencyjne. Postanowiła na razie nie ujawniać swych

wątpliwości, by nie zburzyć ogólnego tonu komentarzy napływających z Europy i z innych części świata.

3r tV 3r

Siedzący po przeciwnej stronie stołu Pete Soares uważnie przyglądał się Abigail Wilson, która właśnie rozmawiała przez telefon z kanclerzem Niemiec. Rozmowa była tłumaczona za pośrednictwem tłumaczy, którzy słysząc jednocześnie wypowiedzi obu stron mogli, w każdej chwili interweniować, gdyby tłumacz rozmówcy nie przełożył czegoś precyzyjnie. Ten sposób prowadzenia rozmowy sprawiał, że mogli Jej się przysłuchiwać najbliżsi doradcy zarówno prezydent Wilson, jak i kanclerza, choć bezpośredniego udziału w niej nie brali. W gabinecie Wilson oprócz Soare-sa znajdowali się: sekretarz obrony Terry Rothenberg, szef Kolegium Połączonych Sztabów i Ed Lewis. Ruffowi towarzyszyli: minister spraw zagranicznych Bruno Rooks, minister obrony Rudolf Lammers, minister spraw wewnętrznych Thomas Fellner, szef Sztabu Generalnego generał Otto Lange i doradca Ruffa do spraw militarnych, pułkownik Hans Kasper.

Już na początku rozmowy podekscytowany i spięty Rufif zrobił wszystko, co mógł, by Wilson nie miała najmniejszych wątpliwości, że to ona jest sprawcą obecnego kryzysu. Nie przepuścił okazji, by dodać, że amerykański sposób bycia - to jest agresywny ton i arogancja - tym razem spotka się z odpowiednią reakcją. Jego napastliwe wypo-

242

HAROLD COYLE

wiedzi i lekceważące przerywanie Wilson w połowie zdania świadczyły o

tym, że kanclerzowi wcale nie chodzi o przeprowadzenie poważnych negocjacji. Gdy tylko Wilson usiłowała zasugerować, że powinni szukać pokojowego sposobu rozwiązania kryzysu, Ruff przerywał jej i powracał do swoich żądań: nie będzie żadnych rokowań i rozmów, dopóki amerykańskie siły nie zostaną wycofane z Niemiec, lub nie złożą broni. Wilson próbowała wytłumaczyć Ruffowi, że w tej chwili nie ma możliwości ani sposobu na zatrzymanie dyslokacji 10. Korpusu.

- Już panu mówiłam - powtarzała - że generał Malin złamał rozkazy i jest teraz jak rakieta w locie, rakieta, nad którą utraciliśmy kontrolę. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by ją odzyskać. W tej chwili jednak nie mamy nawet z nim łączności. Nie odpowiada na żadne pytania.
- *Madame* prezydent - Ruff wypowiedział słowo *madame* ze szczególnym naciskiem - ja też już pani mówiłem, że jeśli sami nie potraficie kontrolować swoich wojsk, to zrobi to armia niemiecka.

Generał Lange i Thomas Fellner wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Obaj, każdy z innych powodów, chcieli uniknąć konfrontacji między siłami niemieckimi i amerykańskimi. Obaj też podjęli w tym celu pewne kroki, choć żaden z nich nie wiedział o poczynaniach drugiego.

Niewzruszona groźbami kanclerza, Wilson odczekała, aż Ruff skończy, po czym głosem, który Soaresowi przypominał tyradę nauczyciela pouczającego krnąbrnego ucznia, zaczęła tłumaczyć zagrożenia, jakie kryje stanowisko Ruffa:

- Jeśli wierzyć doniesieniom wywiadów i relacjom korespondentów prasowych, w tym także niemieckich, nigdzie jeszcze nie doszło do konfrontacji naszych sił. Było kilka

kolizji drogowych, ale poza tym żadna ze stron nie poniosła innych strat. Już to każe przypuszczać, że generał Malin jest absolutnie szczery, gdy mówi, że chce tylko przejść na wybrzeże, nie interweniując w żadnym wypadku w wewnętrzne sprawy Niemiec.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

243

- Nie zgadzam się! Pani nie zdaje sobie sprawy z tego, co się tu dzieje! - krzyczał Ruff. - Pani nie rozumie naszej sytuacji! Tu chodzi o suwerenność Niemiec i honor naszego narodu! Gdybyśmy się zgodzili na przemarsz pani oddziałów przez nasz kraj, utracilibyśmy szacunek reszty świata! Dla mnie osobiście i dla mojego narodu to jest nie do przyjęcia!
- Pan musi zrozumieć moją sytuację, panie kanclerzu. Generał Malin, a może też jakaś grupa oficerów z jego otoczenia, działa na własną rękę. Pod jego dowództwem znajdują się tysiące amerykańskich żołnierzy, którzy po prostu wypełniają to, co uważają za swój obowiązek, i którzy są całkowicie niewinni. Malin za swoje postępowanie stanie przed sądem, ale jego decyzje nie mogą obciążać zwykłych żołnierzy. Jestem zdecydowana rozprawić się z Malinem zgodnie z prawem obowiązującym w naszym kraju, ale swoją postawą wy możecie mi w tym przeszkodzić. Jeśli siłą zatrzymacie 10. Korpus i zaczniecie mścić się na jego żołnierzach, nie będziemy mogli pozostać bezczynni. Bez względu na to, kto i dlaczego sprowokował ten kryzys, Ameryka nie będzie tolerowała

ataku na nasze jednostki, zabijania niewinnych amerykańskich chłopców i dziewcząt. Jeśli dojdzie do konfrontacji, a modłę się, by nie doszło, nie zawaham się użyć całej siły, jaką dysponujemy, aby bronić niewinnych żołnierzy, którzy uwierzyli Malinowi.

Niczym dwaj bokserzy, okładający się pięściami i odskakujący do tyłu, by dojsć do siebie po otrzymanych ciosach, Wilson i Ruff na chwilę zamilkli. Siedzący w rogu gabinetu Lewis z trudem powstrzymywał uśmiech zadowolenia. Ruff zachowywał się dokładnie tak, jak przewidywali. Przygotowana na to Wilson bez wahań odpierała ataki i zarzuty. Nie miał wątpliwości, że zostało to zauważone w Berlinie. Może wreszcie Niemcy uwierzą, że prezydent Wilson jest naprawdę gotowa siłą odeprzeć wszelkie ataki na oddziały 10. Korpusu.

Pete Soares nie zauważył wyrazu zadowolenia na twarzy kongresmana. Razem z innymi obecnymi w gabinecie

244

HAROLD COYLE

w napięciu i z uwagą przysłuchiwał się słowom pani prezydent. Podobał mu się sposób, w jaki rozmawiała z kanclerzem - na wszystko miała gotową odpowiedź, nie dała się zaskoczyć, zastraszyć, zapędzić w kozi róg. Soares nie był tym zresztą zaskoczony. Widział już Wilson w różnych opresjach i znał jej opanowanie i spryt, dzięki którym stała się pierwszym prezydentem-kobietą w historii USA. Oczywiście sytuacja, w jakiej się znaleźli, była dla nich wszystkich nowa i oszołamiająca. Podziwiał spokój i opanowanie Wilson i ani przez chwilę nie podejrzewał, że za tym wszystkim kryje się coś, o czym on nie ma pojęcia.

Milczenie przerwał Ruff, sprawiając wrażenie, jakby nieco spuścił z tonu. Był zaskoczony, że Wilson tak stanowczo zagroziła, że na siłę odpowie siłą. Kanclerz miał świadomość, że w tym pojedynku słownym nie wypadł najlepiej, toteż zaczął mówić teraz wolniej i staranniej dobierał słowa:

- Mam nadzieję, pani prezydent, że zrozumie pani moje stanowisko i stanowisko Niemców. Ma pani czterdzieści osiem godzin na to, by poskromić swojego zbuntowanego generała. Jeśli pani tego nie zrobi, to zrobimy to my.

Wilson, przewidując, że rozmowa zbliża się do końca, odpowiedziała spokojnie, ale zdecydowanie:

- Jak już mówiłam, będę działała z całą stanowczością. Mam nadzieję, że niezależnie od tego, co się stanie w ciągu tych czterdziestu ośmiu godzin, w dalszym ciągu będziemy mogli rozmawiać i szukać sposobu wyjścia z tej sytuacji, tak by uniknąć nieszczęść, zniszczeń i dewastacji pańskiego wspaniałego kraju. Zawsze, w każdej chwili jestem do dyspozycji pana lub pańskich wysłanników.

Przysłuchujący się rozmowie w gabinecie kanclerza nie mieli wątpliwości, co miała na myśli Wilson, mówiąc o nieszczęściach i dewastacji. Nawet Lammers i Rooks, którzy popierali plany i marzenia Ruffa, wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Wszyscy, którzy się zebrali w gabinecie, potracili rodziny podczas drugiej wojny, mieli w pamięci ogrom zniszczeń, zbombardowane niemieckie miasta i rozbite wsie, toteż nikt z nich nie miał najmniejszych

złudzeń co do tego, co mogło się kryć za słowami amerykańskiej pani prezydent.

Nawet Ruff był zaniepokojony i przez kilka sekund zbierał myśli. Kiedy zaczął mówić, powtarzał już tylko to, co zostało wcześniej powiedziane:

- Niemcy nie mogą się biernie przyglądać, jak armia amerykańska depte naszą suwerenność i zagraża naszym obywatelom.

Słuchając tych słów generał Lange zastanawiał się, czy rzeczywiście obywatelom Niemiec cokolwiek zagraża. Miał świadomość, że Ruff i minister spraw zagranicznych Ro-oks nie mówią wszystkiego. Gdy proszono go na konsultacje, nie miał wątpliwości, że wszelkie decyzje już zapadły. Lange podejrzewał, że doradca militarny Ruffa, pułkownik Kasper, przekraczając swoje kompetencje doradzał coś, czego doradzać nie należało. Oczywiście były to jedynie domysły, gdyż Lange nie dysponował żadnymi faktami. Wiedział natomiast doskonale, że Bundeswehra jest głęboko podzielona. Na wszystkich szczeblach wojskowej hierarchii, od niego samego poczynając, nikt nie wiedział, jak w tej sytuacji należało postąpić.

Najbardziej niezdecydowani byli dowódcy oddziałów rezerwy. Rezerwiści zresztą, mimo mobilizacji, nie zgłaszali się do wojska. Powszechnie się domagano, by władze państwowe, a więc kanclerz i parlament, uzgodniły swoje stanowiska. Wielu nie krępując się twierdziło, że odpowiedzialny za kryzys jest nie Waszyngton, lecz Berlin. Dowódca oddziałów rezerwy ze Stuttgartu powiedział Langemu, że rezerwiści zaczną się dopiero liczniej zgłaszać, gdy ogłosi, że muszą

iść nie na Amerykanów, lecz na Berlin. Co gorsza, podobne opinie wypowiadali dowódcy kilku dywizji i brygad, którzy właśnie usiłowali przerzucić swoje jednostki, skoncentrowane wokół Drezna, w kierunku Bawarii.

Zdając sobie dokładnie sprawę z nastrojów panujących w armii, Lange zastanawiał się, co powinien odpowiedzieć kanclerzowi, gdyby ten poprosił go teraz o radę. Wiedział, że nie potrafiłby udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Jako

246

HAROLD COYLE

żołnierz był zobowiązany do obrony kraju, to było oczywiste. Niemniej jednak, jak wszyscy oficerowie Bundeswehry, doskonale pamiętał los oficerów skazanych w 1946 roku w procesie norymberskim, w którym uznano ich za winnych. Czyż więc teraz jakikolwiek niemiecki oficer mógł ślepo wykonywać rozkazy swojego rządu? Czyż ktoś mógł zapomnieć o lekcji, jakiej udzieliła im druga wojna światowa? Z tych rozważań wyrwał go pełen zniecierpliwienia głos Ruffa:

- Generale Lange, nie mamy czasu. Kiedy armia będzie gotowa do skutecznego powstrzymania Amerykanów?

Lange nie rozumiał dokładnie, co ma na myśli kanclerz mówiąc o „skutecznym powstrzymaniu”. Wolał jednak o to nie pytać, bo wiedział, że odpowiedź mogłaby być nie po jego myśli. Ostrożnie dobierając słowa, odparł:

- Przepraszam, panie kanclerzu, ale znajdujemy się w trakcie skomplikowanej operacji przemieszczania od

działów ze wschodu na zachód. Do tej pory byliśmy gotowi stawić czoło niebezpieczeństwu nadchodzącemu ze wschodu, z Czech bądź z Polski.

- Wiem o tym, generale, wiem - niecierpliwił się Ruff.

Lange Jednak nie dał się popędzać. Poprawił się na krześle i kontynuował:

- Tak, panie kanclerzu, wiem, że pan wie. Mówię o rym, gdyż musi pan zrozumieć, że to, co stoi przed nami, nie jest łatwym zadaniem. Oddziały liniowe znajdujące się na wschodzie to tylko niewielka część wojska, jaką musimy zawrócić. Nie wystarczy po prostu powiedzieć, by zawrócili i ruszyli na południe. Zresztą kierunek nowego marszu wyznacza nie to, gdzie Amerykanie są w tej chwili, ale ocena, gdzie znajdą się za siedemdziesiąt dwie czy dziewięćdziesiąt sześć godzin. A to będzie wiadomo dopiero po przeanalizowaniu informacji wywiadu i po dokonaniu oceny ich działania, przy czym zapewne trzeba się będzie domyślać, o co im właściwie chodzi.
- Ja panu mogę powiedzieć, generale Lange, o co im chodzi! - wrzasnął kanclerz. - O skompromitowanie Niemiec!

TRÓJKĄT ŚMIERCI

247

Lange nie zareagował na wybuch Ruffa i mówił dalej:

- Kiedy już mniej więcej ustalimy, do czego tamci zmierzają, będziemy się musieli zastanowić nad wyborem miejsca, gdzie najlepiej można by było ich zatrzymać. Stosownie do tego należy opracować plany przemieszczania na

szych wojsk, na tej podstawie wydać rozkazy i skierować je do wszystkich jednostek. Równie ważnym przesunięciem oddziałów liniowych będzie dyslokacja oddziałów pomocniczych i służb zaopatrzenia. Wszystkie te służby, znajdujące się obecnie na wschodzie, muszą zostać przerzucone na zachód. Bez ich wsparcia nie może być mowy o jakiegokolwiek operacji.

Widząc, że Ruff traci już cierpliwość, Rooks pochylił się do Langego i powiedział:

- Panie generale, to nie czas i nie miejsce na wykład o sprawach taktycznych. Do rzeczy, proszę. Co pan proponuje?

Lange doskonale rozumiał, że Ruff i Rooks chcą poznać konkretne plany działań militarnych, podczas gdy on sam jeszcze nie wiedział, jak powinna na ten kryzys zareagować Bundeswehra. Potrzebował na to nieco więcej czasu. Musiał znaleźć odpowiedź na pytanie, czy starcie z Amerykanami leży w interesie Niemiec i Ich armii. Chciał mieć pewność, że może w pełni kontrolować dowódców armii i Luftwaffe, którzy w tej chwili albo nie odpowiadali na polecenia z Berlina, albo po prostu sabotowali je.

- Biorąc pod uwagę, panie kanclerzu, przewagę, jaką mają nad nami Amerykanie, i problemy z przerzuceniem naszych sił w inną część kraju, nie jesteśmy obecnie w stanie zatrzymać amerykańskich jednostek w Bawarii. Wszelkie próby przeciwstawienia się im w tym rejonie obniżałyby naszą skuteczność działań na północy.

Minister obrony Lammers aż podskoczył na krześle.

- To wykluczone! - krzyknął. - Nie wolno nam tego zrobić! Czy pan zdaje sobie sprawę, co pan mówi?!

Patrząc Lammersowi prosto w oczy, Lange odparł arogancko i prowokacyjnie:

248

HAROLD COYLE

- Tak, zdaję sobie doskonale sprawę z tego, co mówię. Nie wiem natomiast, czy pan to rozumie.

Pozostali, zwłaszcza Ruff i Rooks, wyczuli ton, jakim Lange zwrócił się do Lammersa, i dopiero teraz dotarło do nich, że nie panują w pełni nad sytuacją, do której sami doprowadzili. Żaden z nich nie miał dość wiedzy i doświadczenia, by sprzeciwić się generałowi Langemu. Zresztą w Niemczech wojskowi cieszyli się dużym prestiżem, w szczególności członkowie Sztabu Generalnego. Tak więc, mimo że nie wszystkim znajdującym się w gabinecie wypowiedzi generała przypadły do gustu, wszyscy wiedzieli, że nie mogą z nim dyskutować ani sprzeciwiać się jego woli. Było oczywiste, że w ciągu najbliższych dni to właśnie Lange będzie decydował o tym, jak zareagują Niemcy na skomplikowany kryzys. Jako pierwszy odezwał się Rooks, który zwrócił się do Langego z sympatią w głosie:

- Panie generale, proszę mówić dalej.
- Startując z Niemiec południowych, Amerykanie mogą się kierować na Stuttgart, a stamtąd na Francję, która może się zgodzić na ich wejście. Mogą też posuwać się na północ, na Wurtzburg, Kassel i Bremę, gdzie

będzie czekać w pogotowiu ich marynarka. Jestem przekonany, że Amerykanie będą się posuwać na północ, do morza, ale nie możemy wykluczyć i Innych możliwości. Dlatego też proponuję, byśmy tak rozlokowali nasze siły, by w środkowych Niemczech powstało coś w rodzaju gigantycznego kotła. Po zachodniej jego stronie ustawimy 5. i 10. Dywizje Pancerne, po wschodniej - 2. Dywizję Pancerną i 4. Grenadierów, a dno kotła od północy przetną 1. i 7. Dywizje Pancerne, które zagrodzą drogę Amerykanom. Na ryły amerykańskich kolumn wprowadzimy 26. Dywizję Spadochronową i 1. Dywizję Alpejską.

- A gdzie chce pan zatrzymać Amerykanów? - z niecierpliwością w głosie zapytał Ruff.
- Jeśli, panie kanclerzu - Lange położył nacisk na słowo „jeśli” - dojdzie do walki, to zapewne w rejonach na południe od Kassel. Oczywiście nie możemy mieć co do tego pewności, i tak będzie jeszcze przez kilka dni. W tym czasie

TRÓJKĄT ŚMIERCI

249

i my, 1 Amerykanie będziemy się prześcigali, kto pierwszy i kto szybciej wykona manewr przegrupowania swych sił. Zanim znajdziemy się na miejscu, gotowi do podjęcia operacji, musimy rozwiązać wiele niezwykle skomplikowanych problemów. Jeśli Amerykanie szybko przegrupują swoje siły z Czech i zbiorą swoje oddziały pozostawione w Niemczech, staniemy przed liczącą się siłą. W każdym razie mamy jeszcze kilka dni, co daje panu Lammersowi możliwość znalezienia pokojowych rozwiązań obecnego kryzysu.

Ta uwaga zaskoczyła Lammersa, ale wiedział, że nie może jej zostawić bez odpowiedzi. Chociażby dlatego, by nie zrazić do siebie i kanclerza, i ministra spraw wewnętrznych Thomasa Fellnera, człowieka o dużym autorytecie, poważanego i w Niemczech, i na forum międzynarodowym. Powiedział więc:

- Tak, to bardzo rozsądny program. Podczas gdy Bundeswehra będzie prowadzić przygotowania, będę się starał przekonywać Amerykanów. Ostrzegam jednak, że nie widzę większych szans na sukces.
- A ja, panie Lammers, ostrzegam, że Bundeswehra być może nie będzie w stanie zrealizować gróźb, jakie rzucacie pod adresem Amerykanów. Przecież każda z naszych brygad dysponuje obecnie jedynie dwoma batalionami liniowymi. Dwa pozostałe bataliony, składające się z powołanych do rezerwy, nie są jeszcze sformowane. W związku z tym każda z naszych sześciu dywizji pancernych będzie dysponować najwyżej sześcioma batalionami czołgów. Gdyby można było osiągnąć pełny stan, mielibyśmy przewagę w stosunku jak trzy do jednego, w przeciwnym razie jak dwa do jednego.

Lange przerwał, zaczerpnął powietrza i znów zaczął mówić:

- Ale nawet w takim wypadku nasza przewaga jest iluzoryczna. Od 1945 roku nasza armia nie prowadziła żadnych walk. Nigdy, odkąd istnieje Bundeswehra, nie ruszyliśmy z miejsca całej armii. A operacja, w jaką zostaliśmy zaangażowani, jest skomplikowana i delikatna, za równo pod względem politycznym, jak i militarnym. Cokol-

wiek tu sobie powiemy, ostateczny wynik konfrontacji militarnej będzie zależec od dowódców i żołnierzy oddziałów, rozsypanych teraz po całym Niemczech. A już w tej chwili jednostki te duszą się z braku zaopatrzenia, podczas gdy linie dostaw wiją się przez cały kraj jak makaron na półmisku. Trzeba do tego jeszcze dodać ruch cywilnych uchodźców, którzy zaczynają opuszczać zagrożone rejony, i codzienny ruch na drogach i autostradach. Minie co najmniej kilka dni, zanim się przekonamy, czy plany układane tu, w tym gmachu, z taką łatwością, są w ogóle wykonalne.

Nikt z obecnych nie był w stanie wysunąć jakichś sensownych kontrargumentów, więc narada została pośpiesznie zakończona. Lange wygrał, zyskując nieco na czasie. Nie miał jednak najmniejszego pojęcia, co mogłoby zmienić przekonanie kanclerza o nieuchronności konfrontacji. Jak długo nie dochodziło do rozlewu krwi, tak długo były szanse na negocjacje. A więc im dalej odsuwało się moment starcia, tym lepiej. Lange miał jednak świadomość, że konfrontacja była tylko kwestią czasu. Na razie więc zyskał jedynie nadzieję na wyklarowanie się sytuacji politycznej i czas potrzebny mu, jako żołnierzowi, na sprecyzowanie własnej postawy i ciężących na nim obowiązków. Nie był jednak w stanie przewidzieć, kiedy dojdzie do decydującego starcia. Mógł to jedynie wyjaśnić mijający nieubłaganie czas.

& & A

Ustawiczna zmiana pozycji i konieczność przerzucania oddziału z

jednego miejsca na inne były wielkim problemem dla kapitana Friedricha Seydlitza, który na czele kolumny swoich czołgów posuwał się ciągle na zachód autostradą E40 w rejonie Drezna. Rozkaz do przesunięcia się o 230 km na zachód w rejon Erfurtu został w jednostce przyjęty bardzo niechętnie, tym bardziej że przebyli właśnie 270 km jadąc z południa. Oficerowie nie kryli złości

TRÓJKĄT ŚMIERCI

251

1 twierdzili, że ta bezsensowna wędrówka po kraju niszczy maszyny i męczy ludzi oraz obniża wartość bojową oddziału.

Dowódca batalionu Seydlitz ostrzegł dowódcę brygady:

- Nie można tak sobie wskoczyć do czołgu, by przejechać się po Niemczech, i to jeszcze w środku zimy.

Posuwając się na zachód wzdłuż autostrady E40, Seydlitz widział niezaprzeczone dowody swoich racji. Na poboczach mijali porzucone leopardy, wozy pancerne Marder i działa samobieżne, zepsute lub stojące z powodu braku paliwa. Zdarzało się, że czołg tarasował środek jezdni, powodując ogromne korki, zmuszające do objazdów.

Jak na ironię, czołg Seydlitza mijał właśnie wrak żółtego porsche, którego przód wyglądał tak, jakby go rozszarpał jakiś przedpotopowy stwór. Seydlitz nie miał najmniejszych wątpliwości, co się stało. Samochód najechał na czołg lub wóz pancerny i został zmiażdżony. Tego rodzaju wypadki wcale nie były rzadkością na drogach, gdzie panował duży ruch pojazdów wojskowych. Zaskoczeniem była dla Seydlitza obojętność, z jaką armia traktowała obecnie tego rodzaju

wypadki. Wydawało się, że z powodu konieczności szybkiego dotarcia do Amerykanów wszystko inne jest nieważne. Całkowicie zapomniano o postulatach zachowywania przyjacielskich kontaktów wojska z ludnością cywilną. Zdaniem Seydlitza, było to postępowanie pozbawione sensu.

W pewnej chwili Seydlitz zauważył na samochodach ciężarowych, jadących po przeciwnej stronie autostrady na wschód, znaki rozpoznawcze swej brygady. Łamiąc rozkaz o zachowaniu ciszy w eterze natychmiast poinformował o tym swego dowódcę, prosząc, by ten zatrzymał i zawrócił transport, aby mogli zatankować swoje pojazdy i pobrać prowiant.

Dowódca batalionu bez namysłu odparł, że tego nie zrobi. Wyjaśnił, że kolumny dostawcze muszą się trzymać przekazywanych im rozkazów, bez żadnych wyjątków.

- Gdyby każdy dowódca zatrzymywał sobie wozy do stawcze i brał to, na co ma ochotę, doszłoby do nieopisa-

252

HAROLD COYLE

nego chaosu, z którego już w ogóle nie bylibyśmy w stanie się wyplątać - powiedział.

Przy okazji przypomniał Seydlitzowi, że zgodnie z planem marszu za dwie godziny dojedzie do punktu, w którym otrzyma wszystko, co mu potrzebne.

Seydlitzowi nie pozostawało nic innego, jak przyjąć tłumaczenia dowódcy. Ze smutkiem patrzył, jak kolumna ciężarówek z zaopatrzeniem

znika w mroku, posuwając się w przeciwną stronę niż kierunek ich marszu.

Po dwóch godzinach dotarli do wyznaczonego miejsca, gdzie oczywiście nie zastali oddziałów zaopatrzeniowych. Kolumny, które miały dostarczyć żywność i paliwo, były jeszcze gdzieś na zachodzie. Podobno utknęły na autostradzie, zablokowanej przez zepsute czołgi i wozy pancerne.

Nie mieli już paliwa, więc ustawili się na poboczu autostrady, czekając Bóg wie na co. W tym czasie oficerowie sztabowi opracowywali i przekazywali nowe rozkazy, które niczego nie rozwiązywały i nikomu w niczym nie pomagały. Dopiero osobiste interwencje dowódcy 2. Korpusu i dowódców dywizji spowodowały, że zaczęło docierać zaopatrzenie, a 2. Dywizja Pancerna znów ruszyła na zachód.

Wiść, że znaleźli się w Grafenwóhr, została przyjęta przez kapitan Hilary Cole i podległy jej personel pielęgniarski szpitala polowego nr 553 jękiem i narzekaniem. Wszystkie podświadomie wierzyły, że gdy tylko wyjadą z Czech i znajdą się w Niemczech, wszystko zmieni się na lepsze - że skończy się wreszcie ta okropna podróż w zimnych, niewygodnych ciężarówkach, i te wielogodzinne oczekiwania na szosie.

Personel szpitala nie wiedział, dlaczego znalazł się właśnie w tym miejscu i co ma tutaj robić. Sytuacji i nastrojów nie poprawił fakt, że wkrótce pojawili się jacyś żołnierze, którzy zaczęli rozdawać racje żywnościowe. Cole też odebrała swój przydział. Stojąc z tym plastikowym pudełkiem w ręce, czuła że się rozplącze. To nie było to, czego sanita-

TRÓJKĄT ŚMIERCI

riuszki oczekiwały i na co były przygotowane. Nauczono je, Jak dbać o chorych, jak pomagać lekarzom, wiedziały, jak pocieszać rannych, jak ratować ich życie. Ale teraz znalazły się w sytuacji, której nie rozumiały. Co gorsza, zdawało się, że ich nieszczęścia nie mają kresu. Wszystko to miało jeszcze trwać i trwać, i to właśnie przerażało je najbardziej.

Już prawie płacząc, Hilary usłyszała czyjś szloch. Rozpoznała głos Wendi, swej serdecznej przyjaciółki. Rozejrzała się i zobaczyła ją, stojącą nieco na uboczu i łkającą. Poprosiła jakąś pielęgniarkę, by pottrzymała jej pojemnik z jedzeniem i podeszła do koleżanki. Objęła ją, przytuliła, a tamta oparła głowę na jej ramieniu. Hilary pogłaskała ją po wystających spod hełmu włosach, pocieszając:

- Wszystko będzie dobrze, uspokój się, jestem przy tobie.

ft ifr tfr

Wielki Al nie miał zwyczaju wtrącać się do pracy swoich podkomendnych, kiedy ci realizowali jakąś poważną operację. Dobierał sobie współpracowników jak najlepszych, a rozkazy, jakie im wydawał, były bardzo precyzyjne. Zwykł być powtarzać, że to jest wszystko, co mógł zrobić, a reszta zależy od Boga.

Operacja, którą obecnie przeprowadzali, zwana „marszem Malina do morza”, nie była jednak jeszcze jedną kolejną operacją. Została pomyślana i opracowana jako akcja militarna, ale w rzeczywistości nie taki był jej charakter. Składały się bowiem na nią skomplikowane i wieloznaczne działania polityczne i wojskowe, a w szczególności

problemy wzajemnych stosunków oddziałów 10. Korpusu i niemieckiej ludności cywilnej, zamieszkującej regiony, przez które miało się przemieszczać amerykańskie wojsko.

Niektórzy z dowódców skarżyli się na rozkazy, jakie wydał im generał. Dowódca 55. Dywizji Piechoty Zmechanizowanej kilkakrotnie prosił Wielkiego Ala, by ten ograniczył nieco rozkazy dotyczące warunków użycia artylerii.

254

HAROLD COYLE

Według nich, mogła być ona użyta tylko przeciwko obiektom militarnym, i to w sytuacji wyraźnego zagrożenia. Za każdym razem, gdy wpływały podobne prośby, generał przypominał:

- Przyzwyczailiśmy się do nieskrępowanego korzystania z naszej siły ognia, ale teraz musimy pomyśleć dwa razy, zanim pociągniemy za spust, bo w przeciwnym razie zrażymy sobie ludność cywilną, która odetnie nasze linie zaopatrzenia, a przecież od nich zależy powodzenie całej operacji. Nie moglibyśmy wymagać od Niemców, by bez przeszkód przepuścili nas przez swój kraj, podczas gdy my niszczylibyśmy ich domy i zabijali ich dzieci. I myślcie o tym zawsze, za każdym razem, zanim otworzycie ogień.

Dlatego właśnie przed podjęciem marszu generał starał się odwiedzić wszystkie większe jednostki. Rozmawiał z oficerami i żołnierzami, usiłując zrobić wszystko, by jak najlepiej go zrozumieli. I z tą właśnie myślą stanął przed frontem dowódców brygady Scotta Dixona.

Plan działań, jakie miała podjąć brygada, zreferował Dixon, po czym oddał głos Wielkiemu Alowi.

Ten podniósł się wolno z krzesła i podszedł do mapy Niemiec, na której zaznaczona była droga, jaką miała do pokonania 4. Dywizja Pancerna. Generał przyjrzał się wyrysowanej linii marszu i powiedział do zebranych oficerów.

- Mamy do pokonania 709 km, by dotrzeć do Bremy. Tym, którzy jeszcze nie przywykli do europejskich miar, wyjaśniam, że są to 432 mile. W Stanach odpowiada to drodze z Nowego Jorku do Cleveland w Ohio. Podejmując taką podróż w Ameryce, narażacie się jedynie na jedno niebezpieczeństwo - spotkanie z policją stanową. Ale nie jesteśmy w Stanach, tylko w Niemczech. Niemcy zaś to jeden z najgęściej zaludnionych krajów Europy, kraj o długiej i powikłanej historii, jedyny, którego nie udało się podbić Rzymianom. Kraj, który przeszedł wiele tragedii. Czarna ospa zdziesiątkowała kiedyś jedną trzecią jego mieszkańców. Potem blisko połowa zginęła w czasie wojny trzydziestoletniej. W latach drugiej wojny światowej Nie-

TRÓJKĄT ŚMIERCI

255

mcy stracili siedem i pół miliona swojej ludności. O tym wszystkim nie zapomniano do dziś.

General zrobił kilka kroków do przodu i patrzy! teraz prosto w twarze słuchających.

- Dla Niemców, ludzi stale pamiętających o swojej historii, jesteśmy jeszcze jedną armią maruderów, która zagraża ich krajowi, ich domom, ich życiu. Nic ich nie obchodzi, czy mamy rację postępując tak, jak postępujemy. Jesteśmy po prostu kolejną armią, która chce przeciągnąć przez ich kraj - Wielki Al nieco ściszył głos: - mamy oczywiście pewne argumenty na naszą korzyść. Armia amerykańska stacjonowała tu od ponad pięćdziesięciu lat, Niemcy nas znają. Tereny, przez które będziemy przechodzić, zamieszkuje ludność przyzwyczajona do nas. Nie jesteśmy dla nich nowi i obcy. Mieszkańcy znają procedurę odszkodowań, zakupu żywności i paliw. Wiedzą, że uczciwie płacimy za wszystko, co nabywamy i co niszczymy. Mam nadzieję, że ta opinia o nas w znacznym stopniu rozwieje obawy i powstrzyma ludność od jakichkolwiek interwencji przeciwko nam. -Wielki Al znów podniósł głos, a wagę wypowiedzianych słów podkreślał gestem dłoni. -Tę opinię możemy Jednak w ciągu sekundy stracić, jeśli będziemy przeciągać przez Niemcy jak watahy Hunów Atylli. W tej chwili niemieckie środki masowego przekazu wypowiadają się o nas neutralnie. Oczekuję, że zrobicie wszystko, by nie zmieniono o nas zdania. Wystarczy, że mamy do czynienia z niemiecką armią i ich lotnictwem. Nie musimy jeszcze dodatkowo zadzierać z ludnością. -Generał zrobił parę kroków i zatrzymał się. - Niewątpliwie dojdzie do walki - mówił - gdzieś, w którymś miejscu naszego marszu musi do tego dojść. Bundeswehra mimo problemów wewnętrznych, o których ciągle słyszycie, jakoś zbierze się do kupy. A kiedy to nastąpi, uderzy. A Niemcy, pamiętajcie, są doskonałymi wojownikami, *n* ogromnych tradycjach militarnych. Wielokrotnie zwyciężali w najtrudniejszych warunkach. Chciałbym

wierzyć, że niemieccy dowódcy i żołnierze zrobią wszystko, by uniknąć starcia z nami. Nie możemy jednak być tego pewni

256

HAROLD COYLE

i tylko na to liczyć. Należy oczekiwać, że większość ich dowódców podporządkuje się rozkazom. A kiedy dojdzie do walki, dołączą do niej także ci niezdecydowani. Przypomnijcie sobie słowa ich hymnu: *Deutschkmd uber alles*. To brzmi jak wezwanie, by zapomnieli o wszystkim, co ich dzieli, i wspólnie przystąpili do obrony swego kraju. Jak powiedziałem na wstępie, nie jesteśmy dla nich niczym innym niż jeszcze jedną obcą armią, która usiłuje przejść przez ich terytorium.

Na chwilę zamilkł, by dać im czas na przemyślenie tego, co powiedział. Patrzył na mapę, a gdy zaczął mówić, wydawało się, że głośno myśli:

- Wasza brygada ma przed sobą trudne zadanie. Będziecie tylną strażą, i to nie tylko własnej dywizji, lecz całego korpusu. - Patrzył jeszcze chwilę na mapę, potem odwrócił się do słuchających go oficerów. - Przejdziemy przez Niemcy jak stado słoni. Środkiem będą się posuwały służby zaopatrzenia i usług, tak jak w stadzie słoni samice i młode. W obwodzie znajdują się oddziały liniowe, tak jak samce słoni, gotowe do zaatakowania wroga. To wy jesteście tymi samcami. Waszym zadaniem nie jest dokonywanie podbojów, ale ochrona tych, którzy idą w środku. Samce słoni wiedzą, że gdyby samice i młode wyginęły, byłby to koniec stada. I wy to wiecie.

Przyszło mu na myśl, że mógłby powiedzieć coś lżejszego, by rozładować atmosferę. Może choćby to, że porównanie ze stadem słońi wzięło się stąd, iż oglądał z wnukami przyrodnicze filmy w telewizji. Uświadomił sobie jednak, że być może nigdy już nie zobaczy swych wnuków. Poczuł, jak ściska mu się serce. Patrzył na twarze ludzi dużo od niego młodszych i uzmysłowił sobie, że wielu z nich mogło mieć w tej chwili podobne myśli. Doszedł więc do wniosku, że lepiej będzie nie wspominać o rodzinie. Po cóż sobie i innym jeszcze bardziej komplikować i tak trudne chwile...

Znów podszedł do mapy.

- A więc do Bremerhaven mamy 432 mile. Oznacza to, że każdy z waszych czołgów M-1A1 spali w tej drodze ponad 12 tysięcy litrów ropy. Jeśli coś może nas zatrzymać,

TRÓJKĄT ŚMIERCI

257

to nie siła ognia czy czyjś taktyczny geniusz, ale brak paliwa. Nie wolno wam o tym zapominać. W drodze osuszemy wszystkie stacje benzynowe, a i to nam jeszcze nie wystarczy. - Był przekonany, że go rozumieją. Mówił teraz ciszej i spokojniej, zmierzając do końca odprawy. - Sukces operacji zależy od współpracy wszystkich jednostek i żołnierzy. Saperzy będą odbudowywali zniszczone mosty. Obrona przeciwlotnicza musi zapewnić bezpieczeństwo od strony nieba. Warsztaty muszą szybko i sprawnie usuwać awarie, nie przerywając marszu. Służba medyczna musi skrupulatnie wypełniać swoje obowiązki - jej również nie wolno pozostawać w tyle.

Generał zamilkł na chwilę. Siedząca wśród kolegów kapitan Nancy Kozak domyślała się, co leży mu w tej chwili na sercu. Brała już udział w bitwach i rozumiała problem, przed jakim stanął ich dowódca. Można było o tym nie mówić, można *było* o tym nie myśleć lub to usprawiedliwiać, ale nie można było uciec przed bólem, jaki sprawiał widok kolegów, towarzyszy i podwładnych, ginących na polu walki. Każdy dowódca pamięć o tym nosił w sobie jak otwartą ranę.

Wielki Al kontynuował:

- Wiemy, że nie wszyscy dotrzemy do celu. Śmierć jest nieodłączną częścią walki. Zapewne wszyscy znacie mój rozkaz dotyczący rannych, ale chyba nie wszyscy się z nim zgadzacie. Tym, którzy nie podzielają mojego zdania, którzy uważają, że obowiązkiem wojownika jest zabieranie z pola walki wszystkich rannych, mogę jedynie powiedzieć*, że się mylą. - W tym miejscu pozwolił sobie na pewną dygresję. - Niektórzy wiedzą doskonale, że nasza piechota morska, wycofująca się w 1950 roku na południe Korei, zabierała wszystkich rannych i ciała zabitych. Pamiętajcie jednak, że to nie jest rok 1950, a my nie jesteśmy w Korei. Wtedy wróg nie był w stanie troszczyć się nawet o własnych rannych. Tu i teraz jest inaczej. Jestem pewny, że Niemcy zajmą się naszymi rannymi równie dobrze jak swoimi. Ich służba medyczna może im zapewnić o wiele lepszą opiekę niż nasza, znajdująca się w ustawicznym

258

HAROLD COYLE

ruchu. Tak więc lżej rannych zabieramy ze sobą i przy pierwszej okazji

ewakuujemy ich drogą powietrzną do kraju. Tych, których życiu zagraża niebezpieczeństwo, pozostawiamy w niemieckich szpitalach. Tak zdecydowałem. To wszystko. Spojrzał na zegarek, popatrzył na Dixona i zakończył:

- Zabrałem wam już dość dużo czasu. Uważałem jednak, że powinniście byli to ode mnie usłyszeć. Przed Bremerhaven już się nie spotkamy, a więc życzę szczęścia. Myślami będę przy was. Niech Bóg ma was w opiece.

Dixon zerwał się i rzucił komendę:

- Baczność!

Wszyscy podnieśli się z miejsc i salutowali. Wielki Al skinął głową, odwrócił się i szybko opuścił salę. Miał nadzieję, że zebrani nie zauważyli łez wzruszenia w jego oczach.

Rozdział XII

18 stycznia

Nastroje mieszkańców Niederjossa były takie jak aura: ponure i przygnębiające. Ludzie brnęli w błocie i topniejącym śniegu. Nikt nie zwrócił uwagi na wojskowego volks-wagena, który powoli wjechał do miasteczka. Poruszał się pośród innych samochodów przejeżdżających wczesnym popołudniem krętymi uliczkami tego starego niemieckiego miasteczka, zbudowanego nad brzegami rzeki Jossa. Kapitan w mundurze armii niemieckiej i kierowca volks-wagena nie interesowali się cywilnymi pojazdami, natomiast ich uwagę zajmowało to, czy podąża za nimi pięć średnich ciężarówek wojskowych, a więc kolumna, której czoło stanowił ich samochód. Kapitan kazał kierowcy zwolnić i odwróciwszy głowę, wypatrywał w głębi ulicy samochodów swego oddziału. Nie mógł przy

rym nie zauważyć niechętnych, pełnych obaw spojrzeń przechodniów, którzy wyraźnie bez cienia sympatii spoglądali na wojskowe auto. Podobną reakcję obserwowali i w innych miastach, które mijali. Z informacji nieustannie podawanych przez radio i telewizję wszyscy wiedzieli, co się dzieje, ale pojawienie się wojskowych pojazdów na ulicach miasta budziło lęk i rodziło poczucie bezpośredniego zagrożenia.

Wielu Niemców nie interesowało się działalnością kanclerza i rządu, a wysuwane przez administrację argumenty nie były zrozumiałe dla ludzi, przyzwyczajonych od ponad pół wieku do stałej obecności Amerykanów, którą zresztą uważano za konieczną. Pewna starsza kobieta powiedziała

260

HAROLD COYLE

reporterowi telewizji, że gdyby nie było tu Amerykanów, byłiby jacyś inni, zapewne o wiele gorsi. „Już lepiej mieć tu Amerykanów niż Ruskich lub Anglików” - stwierdziła. Wielu Niemców, podobnie jak ta kobieta, nie rozumiało, o co właściwie chodzi tym z Berlina i dlaczego stali się tacy pryncypialni, nieustępliwi i bezkompromisowi wobec Amerykanów. Większość uważała, że jest to zwykły blef, a gdyby doszło rzeczywiście do konfrontacji, to obie strony na pewno poszłyby na kompromis.

Obecność żołnierzy na ulicach miasta potraktowano jako dowód, że rząd naprawdę ma zamiar wprowadzić swoje groźby w czyn. A gdyby do tego doszło, to walki wybuchłyby gdzieś tu w okolicy, na przedpolach tego miasta, zagrażając mieszkańcom, ich domom i dobytkowi. Nie trzeba było szczególnej wyobraźni, by się domyślić, do czego to mogłoby prowadzić. Kiedy tylko amerykańskie oddziały zaczęły wkraczać od południa do

Bawarii, stacje telewizyjne w całych Niemczech pokazywały reportaże o różnych konfliktach, do jakich w ostatnim czasie doszło na świecie, podkreślając wyraźnie, że współczesna wojna oznacza straszliwe zniszczenia, rzeź i nieszczęścia. Politycy reprezentujący centrum i lewicę wzywali rząd do natychmiastowego podjęcia negocjacji i rozładowania sytuacji. W relacjach z miejscowości leżących w pasie ewentualnego przemarszu Amerykanów informowano o powszechnym zaniepokojeniu graniczącym z paniką, o gwałtownym sprzeciwie ludności wobec polityki rządu w Berlinie. Dlatego też kapitan nie był zdziwiony ani zaskoczony, że grupki młodzieży wymachiwały pięściami, wykrzykując wrogie hasła, a wreszcie zaczęły lepić kule ze śniegu. Widząc to kapitan kazał kierowcy przyspieszyć. Dzięki temu opuścili śródmieście bez kłopotów, natomiast gniew przechodniów skupił się na jadących za volkswagenem ciężarówkach. Na żołnierzy siedzących na odkrytej platformie pierwszej ciężarówki poleciały śnieżne kule. Między samochodem kapitana a pierwszą z ciężarówek nagle znalazło się jakieś cywilne auto. Kierowca, zorientowawszy się, co się dzieje, zwolnił, by dać przechodniom szansę na obrzu-

TRÓJKĄT ŚMIERCI

261

enie żołnierzy śniegiem. Niektóre z kul z łoskotem waliły o stalową karoserię ciężarówki, dowodząc, że co bardziej krewcy spośród atakujących obrzucali samochód także kamieniami. Jeden z takich „pocisków” trafił w głowę żołnierza, który siedział przy karabinie maszynowym zamontowanym na dachu szoferki, i tylko hełm uratował

go od poważniejszych obrażeń.

Kierowca ciężarówki podjechał pod tarasujący mu drogę samochód i pchnął go stalowymi zderzakami. Cywil potraktował to jako ostrzeżenie i przy pierwszej okazji skręcił w boczną uliczkę. Ciężarówka przyśpieszyła i po chwili mijala już ostatnie domy miasteczka. Dopiero wtedy stojący przy karabinie maszynowym żołnierz wrzasnął po angielsku:

- A to skurwysyny, mogłem im posłać choćjy soczystą wiązkę!
- I chwała Bogu, że tego nie zrobiłeś, Papę. Wiesz, co to by było, gdyby usłyszeli niemieckiego żołnierza, klnącego po angielsku jak łobuz z Brooklynu? - sierżant Rasper wzruszył ramionami. - A teraz włącz na dach i sprawdź, czy pozostałe wozy już się wydostały.

Papę stanął koło swego karabinu maszynowego, a siedzący obok kierowcy Rasper rozłożył mapę.

- Przyśpiesz - polecił kierowcy - musimy dołączyć do majora Ilwanicza. Zbliżamy się do mostu.
- Niech szlag trafi tych niemieckich nazistów! - wyklinał kierowca. - W jednym, mieście witają cię jak bohatera, w drugim gotowi ci wybić oko. Zaczynam sądzić, że major miał rację. Powinniśmy byli włożyć mundury rosyjskie, wtedy by nas wszyscy nienawidzili, ale nic by nam nie zrobili. Przynajmniej wiedzielibyśmy, co nas może spotkać.

Rasper potrząsnął głową.

-Przestań się mądrzyć i jedź - uciął dyskusję.

Papę mimo zimnego wiatru stanął na dachu szoferki i trzymając się karabinu maszynowego patrzył w tył, w kierunku miasteczka, z którego

właśnie wyjechali. Po chwili zobaczył, że ostatni z wozów ich kolumny, ciężarówka, w której jechał porucznik Fitzhugh, również opuściła

262

HAROLD COYLE

miasto. Brezentowa plandeka została zrolowana, więc było widać żołnierzy- Wszyscy mieli na sobie niemieckie mundury, które major Ilwanicz „pożyczył” w pewnym niemieckim magazynie, podobnie jak samochody. Wszyscy żołnierze byli biali i zostali zgrupowani w plutonie, któremu nadano kryptonim „Sól”. Na jego czele major postawił Fitzhuga. Murzyni, żołnierze Kompanii A 1. Batalionu Komandosów, zostali zgrupowani w plutonie, który nazwano „Pieprz”, a na jego czele stanął starszy sierżant Raymond Jefferson, Murzyn. Pluton „Sól” służył jako przykrywka w celu zademonstrowania, że rzeczywiście są częścią armii niemieckiej. Pluton „Pieprz” natomiast trzymano w ukryciu, a jego zadaniem było zaskakiwanie od tyłu przeciwnika, który interesował się oddziałem białych. Czarni żołnierze jechali w dwóch środkowych ciężarówkach, z opuszczonymi brezentowymi plandekami. Znajdujący się w nich żołnierze mieli na sobie własne mundury i amerykańską broń. W trzeciej ze środkowych ciężarówek wieziono zaopatrzenie, amunicję, broń i amerykańskie mundury żołnierzy z plutonu Fitzhuga.

Widząc, że cała kolumna już do nich dołączyła. Papę pochylił się i poinformował o tym Raspera. Prostując się, spojrzął do przodu. Zobaczył, że volkswagen Ilwanicza zjeżdża z pobocza, gdzie czekał na pozostałe wozy kolumny. W oddali Papę Widział już most na autostradzie, przerzucony nad rzeką Fuida. Był to obiekt, który mieli zabezpieczyć dla

maszerującego za ich plecami 10. Korpusu. Od mostu dzielił ich niespełna kilometr, ale z powodu mgły widoczność nie była najlepsza. Major ustawicznie powtarzał im, że taka pogoda sprzyja całej operacji, gdyż uniemożliwia manewry niemieckiego lotnictwa i ich helikopterów. Im gorsza pogoda, tłumaczył Ilwanicz, tym szybciej cały korpus będzie się posuwał naprzód. Dla Pape'a jednak miał to być kolejny dzień i kolejna noc, spędzone na zimnie i w oczekiwaniu, by ktoś ich wreszcie zluzował, zanim Niemcy się zorientują, kim oni są w rzeczywistości, i ich pozabijają.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

263

Papę nie był tchórzem i nic nie miał przeciwko ucziwej walce, ale ta podróż w mundurze przeciwnika i przez jego kraj była przygnębiająca. Po raz pierwszy mógł się przekonać, na czym w gruncie rzeczy polega praca komandosa. To, co robił, wielokrotnie wykonywali na manewrach, z tą jedynie różnicą, że ćwiczyli na bagnach i bezdrożach Florydy. Teraz miał świadomość, że każdy popełniony błąd może oznaczać ich koniec. I dlatego właśnie z niepokojem patrzył, jak volkswagen Ilwanicza powoli zbliża się do punktu kontrolnego przed mostem. Podświadomie odbezpieczył karabin maszynowy i czekał, czy Ilwaniczowi uda się przekonać tamtych nazistów, że i oni są równie dobrymi i prawdziwymi nazistami.

Dwaj niemieccy saperzy siedzący przy ognisku na poboczu uznali, że jest za zimno, by fatygować się do nadjeżdżających pojazdów. Spojrzeli więc w ich kierunku i machając dali znak, by jechali dalej. Ta reakcja

zdeenerwowała majora Ilwanicza. Nie znosił bowiem żołnierzy lekceważących swoje obowiązki. Już chciał zatrzymać samochód i zwymyślać tamtych, ale szybko ocenił sytuację i postanowił dać spokój. Zrugani żołnierze mogli przecież wziąć sobie te pretensje do serca, a wtedy zaczęliby się zachowywać jak służbiści, a on nie miał żadnych niemieckich papierów. Nie był również pewien, jak zareagowaliby jego ludzie. Byli to doskonale wyszkoleni chłopcy, ale nie miał czasu, by z nimi popracować. Nie przywykli do niego i nie znali swoich wzajemnych reakcji. I dlatego też udał, że nie obchodzi go niedbalstwo niemieckich żołnierzy, i tak przyjdzie im za to zapłacić. Ruchem głowy wskazał kierowcy, by jechał w kierunku grupy pojazdów wojskowych, zaparkowanych pod mostem, którym przebiegała autostrada.

Jeszcze zanim tam dojechali, wyszedł im na spotkanie młody porucznik saperów i zasalutował przepisowo. Nie czekając, aż Ilwanicz odpowie na powitanie, zaczął mówić z uśmiechem:

- Witamy serdecznie. Skończyliśmy już przed kilkoma godzinami i czekamy, by odjechać gdzieś, gdzie można by się ogrzać.

264

HAROLD COYLE

Ilwanicz podniósł oczy i zobaczył, że saperzy skupili się wokół metalowej beczki, w której rozpalono ogień. I tym razem postanowił niczego nie krytykować. Zasalutował i powoli wysiadając z wozu zapytał jakby od niechcienia:

- Musiało to wam zająć chyba cały dzień?
- Zaczęliśmy wczoraj, a skończyliśmy dziś rano. W nocy pracowało się

bardzo nieprzyjemnie. Okropnie zimno, rozumie pan.

Ale Ilwanicz nie rozumiał. Ci Niemcy byli jednak leniwi i nie przygotowani, i to tylko ci, na których patrzył. Może taka była cała niemiecka armia? Jeśli tak, to może Amerykanom rzeczywiście się uda wykonać ten w gruncie rzeczy poroniony plan? Pokiwał głową i znów zwrócił się do porucznika:

- Macie rozkazy na piśmie?
- Oczywiście - odparł.

Ilwanicz zaczynał tracić cierpliwość.

- No to pokażcie, poruczniku.

Zaskoczony żądaniem Ilwanicza, porucznik wystękał:

- Mam je w mapniku.

Ilwanicz zmrużył oczy i pochyliwszy się lekko do przodu, zasyczał z wściekłością:

- To dlaczego go nie przyniesiecie, poruczniku?

Czekając, aż porucznik wykona polecenie, Ilwanicz odwrócił głowę, by zobaczyć, co robią jego ludzie. Komandos z Kompani A zeskakiwali z wozu i ustawiali się koło niego. Jedynie Papę został na swoim stanowisku, przy karabinie maszynowym na dachu pierwszej ciężarówki, i najwyraźniej ubezpieczał majora. Pluton „Pieprz” Jeffersona, ukryty pod plandeką, czekał na rozwój wydarzeń. Ilwanicza dobiegły jakieś chichoty i słowa komendy. Domyślił się, że to Rasper swoim kiepskim niemieckim usiłuje sformować pluton Fitzhuga. Kapitan uznał, że to nie czas na żarty. Chcąc przerwać tę zabawną scenkę, wydał po niemiecku jakieś polecenie, adresowane do Fitzhuga. Mówił tak głośno, że i prawdziwi Niemcy, i Amerykanie zamarli z przerażenia. Fitzhugh domyślił się, że rozkaz

dotyczy jego. Podeszedł do ciężarówki, w której ukryty pod

TRÓJKĄT ŚMIERCI

265

plandeką siedział sierżant Jefferson, władający biegle niemieckim, i zapytał szeptem:

- Sierzancie, czego chce major?

Murzyn, który nie darzył sympatią porucznika, szeptem przetłumaczył:

- Major powiedział: „Poruczniku Fitz, jeśli nie ruszycie swojej dupy i nie sformujecie plutonu, to wam w tę dupę wsadzę szpic mego buta”.

Fitzhugh pokiwał ze zrozumieniem głową i odparł również szeptem:

- Nigdy nie widziałem, by major wsadzał komuś szpic buta w odbytnicę. Poproście, by powtórzył rozkaz, chcę mieć pewność, że dobrze go zrozumieliśmy.

Jefferson milczał zaskoczony, a porucznik natychmiast dodał:

- W porządku. Dość dowcipów. Przygotuję swoich ludzi, a wy przygotujcie swoich.

Tymczasem niemiecki porucznik-saper powrócił z rozkazem, którego domagał się Ilwanicz. Podał kartkę majorowi, ten zaś zaczął uważnie czytać. Porucznik usiłował się tłumaczyć, że do tej pory nigdy jeszcze nie wykonywał tego rodzaju rozkazów. Ilwanicz popatrzył na niemieckich saperów, przeniósł wzrok na przęsła mostu, gdzie tamci umieścili materiały wybuchowe, które jego żołnierze wkrótce mieli usuwać, raz jeszcze spojrzął na stojącego przed nim oficera i

nieoczekiwanie uśmiechnął się:

- To ciekawe - odparł. - A ja wiedziałem, że to właśnie będę robił.

Saper nie rozumiejąc aluzji, milczał, Ilwanicz zaś wrócił do czytania. Patrząc na majora, porucznik pomyślał, że jest w nim coś zastanawiającego. Sprawiał wrażenie Prusaka i z całą pewnością był zawodowym wojskowym. Jego akcent wskazywał, że musi pochodzić ze wschodu. Oczywiście porucznikowi nawet na myśl nie przyszło, z jak odległego wschodu.

Ilwanicz skończył, złożył kartkę z rozkazem i schował ją do swego mapnika. Był to pierwszy oficjalny i oryginalny dokument niemiecki, jaki wpadł mu w ręce. Nie można

266

HAROLD COYLE

było wykluczyć, że przyda się do zablefowania w jakiejś innej sytuacji, kiedy natrafi na bardziej podejrzliwego Niemca. Porucznik zaprotestował, ale Ilwanicz wytłumaczył mu niefrasobliwie:

- Wasza praca zakończona. Kazano wam zaminować most i czekać na dalsze rozkazy. I ja je właśnie przywozłem, choć nie na piśmie. Obejmujemy kontrolę nad obiektem. Przekazujecie go nam i jesteście wolni.

Porucznik miał wątpliwości.

- Sądziłem, że zwolnią mnie oddziały 2. Dywizji Pancерnej. Przed kilkoma godzinami był tu oficer ze sztabu i zapowiedział, że spóźni się o jakieś dziesięć do dwunastu godzin. Mieli tu zakładać stanowiska

obronne i na wschodzie spotkać się z 10. Dywizją Pancerną.

- Czy ten oficer powiedział, gdzie to ma być?

Wciąż niczego nie podejrzewając, porucznik z bezgraniczną naiwnością odparł:

- Tak, gdzieś na wschód od Alsfeld. I kiedy to nastąpi, Amerykanie nie będą mieli innego wyjścia i albo będą się musieli zatrzymać, albo zaatakować, jeśli chcieliby w dalszym ciągu iść na wybrzeże. Mówiąc szczerze, mam wrażenie, że ten oficer sztabowy chciał, by Amerykanie zaatakowali. Oficerom zawsze tęskno do walki.

Ilwanicz spojrział na swój pluton i potrząsnął głową:

- No cóż, poruczniku - powiedział - gdyby ten oficer znał Amerykanów tak dobrze, jak ja ich znam, to pomyślałby dwa razy, zanim by zaczął głosić takie opinie. A teraz, jeśli nie macie mi już nic do powiedzenia, jesteście wolni. Przejmujemy kontrolę nad mostem, a wasz pluton może się stąd zabierać.

Zadowolony, że spadł z niego ciężar odpowiedzialności, porucznik oświadczył, że nic już nie ma do dodania. Zasalutował i ruszył w kierunku swoich.

Niemieccy saperzy opuścili rejon mostu już bez incydentów. Na miejscu pozostali Ilwanicz i jego komandosi z Kompanii A. Czekala ich ciężka robota przy rozminowywaniu mostu. Trzeba też było natychmiast poinformować 10. Korpus, że droga przed nim jest już otwarta.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

Podczas gdy Ilwanecz i jego komandosi zabezpieczali most na autostradzie na wschód od Niederjossa, czoło 4. Dywizji Pancерnej przygotowywało się do kolejnego skoku do przodu. Cały 10. Korpus przemieszczając się przez Niemcy, każdej nocy wykonywał taki ruch, by następnego dnia znaleźć się na północ od miejsca, jakie zajmowano poprzedniej doby. Ta operacja, nazwana „marszem Malina do morza”, była procesem niezmiernie skomplikowanym. Przemieszczało się bowiem 75 tysięcy żołnierzy i 30 tysięcy pojazdów.

10. Korpus musiał być w każdej chwili gotowy do podjęcia walki. To narzucało odpowiedni szyk marszowy, do którego trzeba było dostosować układ jednostek artyleryjskich, nieustannie i na każdym kierunku gotowych do wsparcia ogniem jednostek frontowych. W efekcie 10. Korpus składał się z setek, jeśli nie z tysięcy oddziałów i pododdziałów, których ruchy były precyzyjnie skoordynowane, a ustawienie odpowiadało potrzebom marszu i obrony jednocześnie. Każda z tych jednostek miała swój odrębny plan marszu i musiała się go dokładnie trzymać. Od tego zależało bezpieczeństwo pozostałych i sukces całej operacji.

Wśród oddziałów liniowych porzrucane były oddziały saperskie, gotowe w każdej chwili do zabezpieczenia drogi i usuwania wszelkich przeszkód. Podobne pozycje marszowe zajmowały jednostki obrony przeciwlotniczej, przygotowane do odparcia ataków niemieckiego lotnictwa różnego typu pociskami raketowymi, takimi jak Stinger czy Pa-triot. Jednostki te korzystały ze wskazań radarowego systemu wczesnego ostrzegania, który wraz z całym 10. Korpusem posuwał się do przodu.

W samym środku, pomiędzy jednostkami liniowymi znajdowały się jednostki pomocnicze. Oddziały służby łączności jadąc na północ, musiały jednocześnie utrzymywać stały kontakt między wszystkimi oddziałami korpusu. Jednostki transportowe i służb zaopatrzenia dbały,

268

HAROLD COYLE

by każdy z oddziałów otrzymywał paliwo, amunicję i prowiant, co było zadaniem niezwykle trudnym i skomplikowanym, zważywszy, że znajdowali się w ustawicznym ruchu. Zaopatrzenie trzeba było rozsyłać we wszystkich kierunkach, a nie, jak to zazwyczaj robiono, jedynie do przodu, w kierunku frontu. Sprostanie temu zadaniu wymagało szczególnie precyzyjnej organizacji i niebywale dokładnego respektowania planów operacji.

Wśród jednostek zaopatrzenia i transportu maszerowały służby medyczne i techniczne. Pierwsze były odpowiedzialne za opiekę nad rannymi i chorymi, drugie za naprawę sprzętu. Zadania te komplikował fakt, że należało je wykonywać podczas marszu. Oddziały bowiem nie mogły się zatrzymywać. Już to wykluczało możliwość wykonywania poważniejszych zabiegów medycznych albo napraw sprzętu. Szczególnie żmudne i trudne były zadania służb medycznych, które nie miały możliwości przetransportowania rannych na tyły, do szpitali polowych. Dlatego też otrzymały one rozkazy precyzujące, kim i czym należy się zająć podczas marszu, a kogo lub co trzeba pozostawić. Dotyczyło to zwłaszcza służby medycznej, która dostała polecenie, by ciężiej rannych,

takich, którym nie można było zapewnić opieki w drodze, odwozić do najbliższych szpitali niemieckich. Służby techniczne miały rozkaz niszczenia i pozostawiania na drodze pojazdów, których nie można było od ręki zreperować lub do których nie było części zapasowych.

ft tfr A

W czasie gdy Ilwanicz ze swoimi komandosami usuwał ładunki wybuchowe spod mostu na autostradzie, personel szpitala polowego nr 553 przygotowywał się do kolejnego nocnego marszu. Hilary Cole otrzymała rozkaz przekazania do niemieckiego szpitala trzech żołnierzy poważnie rannych w wypadku drogowym. Nie była przekonana co do słuszności rozkazu o pozostawianiu rannych w niemieckich placówkach medycznych.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

269

Idąc na czele sanitariuszy dźwigających nosze z rannymi. Cole weszła do izby przyjęć niemieckiego szpitala. Tu natknęła się na dyżurną pielęgniarkę, która angielski знаła równie kiepsko, jak Hilary niemiecki. Pielęgniarka, kobieta już niemłoda, ubrana w śnieżnobiały kitel, siedziała za biurkiem. Powiedziała coś po niemiecku, ale Cole nie zrozumiała. Niemka zaczęła ją taksować spojrzeniem, od góry do dołu. Cole, jak wszyscy z jej jednostki, nie była w stanie o siebie zadbać. Dobrze wiedziała, że wygląda okropnie, że jest niechlujna, brudna i wymi-zerowana.

Wydawało jej się, że wszyscy w izbie przyjęć patrzą na nich. Postanowiła, że skoro nie ma innego wyjścia, to musi się zachowywać

możliwie pewnie. Dręczyła ją myśl o pozostawieniu tu rannych kolegów, ale w duchu musiała jednak przyznać, że ten, co wydał taki rozkaz, miał rację. Nie mogła się zająć nawet sobą, jak więc mogłaby otoczyć właściwą opieką rannych żołnierzy?

Cole zdjęła hełm i podeszła do biurka siostry dyżurnej. Przypuszczała, że tamta nie zna angielskiego, ale zakładała, że zrozumie, o co chodzi. Usiłowała więc wytłumaczyć, kim jest i czego chce.

- Jestem amerykańską pielęgniarką - powiedziała. - Ci żołnierze są ranni, nie możemy zabrać ich ze sobą. Chcie libyśmy zostawić ich w waszym szpitalu. Z kim mogę to załatwić?

Po wyrazie twarzy niemieckiej pielęgniarki trudno się było zorientować, czy zrozumiała. Popatrzyła na Cole, która raz jeszcze próbowała wytłumaczyć, o co Jej chodzi. Amerykanka była już prawie pewna, że nie uda jej się porozumieć z dyżurną siostrą, gdy Niemka wstała i zawołała inną pielęgniarkę. Była to młoda dziewczyna o długich włosach upiętych w kok. Wysłuchawszy wyjaśnień dyżurnej pielęgniarki, zwróciła się do Cole i powiedziała:

- Mam na imię Maria. Siostra przełożona nie zna angielskiego, więc będę tłumaczyć.

Jej uśmiech dodał Cole nieco otuchy.

270

HAROLD COYLE

- Co mam zrobić z naszymi rannymi? - zapytała. - Są w złym stanie, nie chciałabym ich trzymać przy otwartych

drzwiach, w przeciągu.

Maria przytaknęła ruchem głowy i uśmiechnęła się.

- Oczywiście. Powiedz, by sanitariusze wzięli nosze i za nieśli rannych do gabinetu lekarskiego. Lekarze ich zbadają, umyjemy ich i odeślemy na oddział.

Cole poczuła rumieńce wstydu na twarzy.

- Przykro mi, że nie są w formie, w jakiej powinni być. Znaleźliśmy się jednak w takiej sytuacji, że nie możemy należycie zadbać o nich. Pani zresztą wie, że przyszły na nas ciężkie czasy.

Maria spojrzała na siostrę przełożoną, pochyliła się i powiedziała cicho:

- Tak, wiem. Czasy są ciężkie dla nas wszystkich. Jej syn - ruchem głowy wskazała na siostrę przełożoną - służy w 2. Dywizji Pancерnej. Nie martwcie się - dodała już głośniejszym głosem - zatroszczymy się o waszych żołnierzy jak o własnych.

Wyraz twarzy niemieckiej pielęgniarki, jej uśmiech i ciepłe słowa przekonały Cole, że wszystko będzie w porządku, a Niemka mówi prawdę, przekonując, że ich żołnierze znajdą tu właściwą opiekę. Podziękowała więc i poleciła sanitariuszom, by wzięli nosze z rannymi i poszli za Niemką. Po raz pierwszy tego dnia poczuła, że to co robi, ma sens. Być może nie będzie tak źle, jak się jej wydawało, może ta operacja zakończy się jednak pomyślnie, i to dla wszystkich.

W niezbyt dużej odległości od szpitala, w którym Cole właśnie umieszczała rannych, dziewczęta i chłopcy z sekcji G-2, kontrwywiadu 10. Korpusu, wypełniali swoje rutynowe obowiązki. Ich zadaniem była

dezinformacja wywiadu niemieckiego, uniemożliwianie mu zbierania informacji na temat lokalizacji i planów strategicznych poszczególnych jednostek 10. Korpusu. Praca tej grupy młodych ludzi z pozoru wydawała się niemożliwa do wykonania. 10. Korpus posuwał się przecież samym środkiem Niemiec. We wszystkich miastach, osiedlach i wsiach,

TRÓJKĄT ŚMIERCI

271

przez jakie przeciągali Amerykanie, nawet jeśli lokalne społeczności były im życzliwe, zawsze znaleźli się tacy, którzy obecność amerykańskich oddziałów odbierali jako pogwałcenie suwerenności ich kraju i przejaw obcej inwazji. To właśnie ci ludzie, współpracując z policją, dostarczali wywiadowi niemieckiemu, wojskowemu i cywilnemu, wszelkiego rodzaju informacji. Sprzyjała temu przyjęta przez 10. Korpus zasada nieingerowania w życie ludności cywilnej, co oznaczało normalne funkcjonowanie poczty i wszelkich innych środków komunikacji oraz policji. Tak więc życie cywilów w części Niemiec określanej przez kanclerza Ruffa mianem „strefy okupowanej” niemal się nie zmieniło.

Zdając sobie sprawę, że nie uda im się przed Niemcami ukryć nawet najmniejszego oddziału, oficerowie operacyjni i służb wywiadu postanowili wykorzystać możliwość przekazywania wszelkich informacji w realizowaniu planu dezorientacji przeciwnika. Sekcja kontrwywiadu sformowała specjalny oddział, składający się zarówno z Amerykanów, władających biegle niemieckim, jak i z zaufanych Niemców. Oddziałowi nadano kryptonim „Walkiria”. Jego zadaniem było

podsuwanie Niemcom fałszywych informacji, dementujących wiadomości prawdziwe i wprowadzających zamęt, a tym samym dezorientujących. Wykonując swoje zadania „Walkiria” dostarczała najrozmaitszymi kanałami informacje, które kolidowały z danymi przekazywanymi przez gorliwych donosicieli, najczęściej amatorów, co powodowało, że wiadomości podsunięte i spreparowane wydawały się być bardziej wiarygodne niż plon pracy donosicieli.

W całym 10. Korpusie podjęto pewne działania, zmierzające do zmylenia przeciwnika. Z pojazdów, ze sprzętu i z mundurów usunięto wszelkie znaki identyfikacyjne. W określonych sytuacjach oznakowania i numery pozostawiano, a w innych odpowiednio je zmieniano. Aby całkowicie zamącić rzeczywisty obraz, umieszczono na niektórych pojazdach symbole i numery jednostek stacjonowanych w Stanach. Jeśli więc Jakiś informator

272

HAROLD COYLE

powiadamiał, że przez jego wieś przejechała kompania czołgów i skierowała się w takim a takim kierunku, i podawał numery maszyn, a w Berlinie stwierdzano, że czołgi należały do 1. Batalionu 32. Dywizji Pancernej stacjonującej obecnie w Fort Hood w Teksasie, cała informacja stawała się niewiarygodna.

Zalewana takimi danymi armia niemiecka coraz bardziej ograniczała się do korzystania z materiałów zbieranych jej własnymi kanałami. Maszerujący 10. Korpus otoczono jak mackami setkami czujek rekonesansowych. Niektóre z tych niewielkich oddziałów były niezwykle

ostrożne w zbieraniu informacji i starały się unikać jakichkolwiek kontaktów z Amerykanami. Pewien niemiecki sierżant, wysłany wozem pancernym Luchs na obserwację, ulokował swój pojazd w stercie gnoju na farmerskim podwórzu. Przed Amerykanami zdradziła go... antena.

Inne patrole niemieckie nie ukrywały swojej obecności, korzystając z tego, że nigdzie jeszcze nie padł ani jeden strzał. I dlatego maszerujący, często widzieli niemieckie luchsy, zaparkowane na zboczach czy szczytach wzgórz ciągnących się wzdłuż szos, którymi się posuwali na północ. W takich sytuacjach Amerykanie wysyłali najczęściej w kierunku niemieckich patroli pojazdy, które stawiały zasłonę dymną. W zależności od decyzji dowódcy takiego pojazdu, czasem zasłanianie tylko widoczność, a czasem wypuszczano dym na Niemców, którzy musieli się szybko wycofywać.

Armia niemiecka korzystała nie tylko z informacji zbieranych przez jednostki zwiadowcze na ziemi i w powietrzu, ale też z nasłuchu radiowego, którym objęto cały rejon przemieszczania się 10. Korpusu. Podsluchiwano każdą nie kodowaną rozmowę i rejestrowano każde źródło nadawania, dzięki czemu można było dość dokładnie śledzić ruchy Amerykanów i konfrontować zdobyte tą drogą informacje z meldunkami z innych źródeł.

Aby zmylić Niemców, 10. Korpus posuwał się do przodu jedynie po zapadnięciu zmroku. O tej porze roku słońce zachodziło w Niemczech o piątej po południu, a wstawało

około siódmej rano. Tak więc nie brakowało czasu na pokonanie

wyznaczonego na dany dzień odcinka drogi. W celu utrudnienia Niemcom obserwacji poruszano się bardzo różnymi drogami, najczęściej bocznymi, nieraz polnymi.

Oczywiście ciemność i mgła nie kryły sygnałów radiowych. Dlatego też „Walkiria” zorganizowała fałszywe punkty dowodzenia, które nadawały sygnały radiowe, mające zmylić nasłuch. Kilka takich rzekomych stanowisk dowództwa rozlokowano w oddziałach korpusu. Nadawały one sygnały, a autentyczne punkty dowodzenia milczały, posługując się gońcami i łącznikami. Tak więc niemiecki nasłuch śledził rzekome punkty dowodzenia i nanosił ich lokalizację na mapy, podczas gdy dowódcy poszczególnych jednostek pozostawali nie zauważeni. Oczywiście po jakimś czasie Niemcy zaczęli się orientować, że namierzyli fałszywy punkt dowodzenia. Jeśli zaś Amerykanie nabrali podejrzeń, że dana radiostacja została rozszyfrowana, przesuwali ją w inne miejsce i uruchamiali nadawanie na innych częstotliwościach.

Ta bitwa wywiadów o informacje, toczona na ziemi i w powietrzu, nie była niewinną zabawą i pociągała za sobą określone koszty i straty. Powracając helikopterem z wysuniętej do przodu placówki 14. Regimentu Kawalerii Pancерnej w rejonie Fuldy, major Bob Messinger, oficer operacyjny dywizjonu, kątem oka dostrzegł, że coś się porusza z lewej strony. Pomyślał, że to leci helikopter. Poleciał więc pilotowi, Larry'emu Perkinsowi, by skierował maszynę w tamtym kierunku. W kilka sekund później przekonał się, że miał rację.

- Widzisz ich? Tam, na lewo od nas.

Po chwili w promieniach zachodzącego słońca Perkins zobaczył dwa niemieckie helikoptery zwiadowcze. Leciały nisko i powoli, jeden obok

drugiego, w kierunku zachodnim.

- Tak, widzę - przytaknął i dodał: - starają się wyslizgnąć nie zauważeni, ohydne dranie.

274

HAROLD COYLE

- Tak, ale nie robią tego zbyt mądrze. Popatrz, dzieli nas od nich nie więcej niż sto metrów, a chyba nas jeszcze nie widzą.

Perkins ustawił swoją maszynę dokładnie na linii ogonów obu niemieckich helikopterów i sprawdził tablicę z instrumentami pokładowymi.

- Dziwne, że nas nie zauważyli. Czyżby nie mieli kontaktu ze swoją wieżą?

Messinger zaczął się rozglądać po niebie. Po chwili był pewien, że nikogo więcej tu, w powietrzu, nie ma. Ponownie spojrzął na helikoptery zwiadowcze. Perkins prowadził ich maszynę za nimi. Lecieli bardzo powoli. Messinger włączył aparaturę nadawczą i przekazał do dywizjonu lokalizację maszyn niemieckich i ich numery. Gdy to zrobił, zapytał Perkinsa:

- Pobawimy się z nimi?

Perkins domyślał się, co major ma na myśli. Spojrzął na zegary, sprawdził poziom paliwa i czas, pomyślał chwilę, uśmiechnął się i odpowiedział:

- Oczywiście, ty tu jesteś szefem. Możemy ich trochęV postraszyć.
- Tak, dobrze im zrobi lekki kopniak w dupsko. Zobaczymy, co

potrafią.

Perkins zbliżył maszynę jeszcze bardziej do Niemców, raz jeszcze rozejrzał się po niebie, upewniając się, czy tamci nie mają ochrony, i powiedział:

- Zaczynamy.

Pchnął drążek sterowy, aż helikopter pochylił się do przodu, a pedałami wykonał manewr, dzięki któremu ich OH-58 utrzymał się na nie zmienionym pułapie. Lecieli teraz ze śmigłem poziomym wysuniętym do przodu, co powodowało, że zaczęli gwałtownie nabierać prędkości. Znaleźli się niespełna sto metrów od tamtych, gdy ich maszyna była już w pełni rozpędzona. Nagle Perkins poderwał helikopter i niemal przeskoczyli nad helikopterami Niemców. Kiedy znaleźli się przed nimi, Perkins ponownie obniżył lot blokując im drogę. W sekundę potem wykonał ostry skręt w lewo, by zejść z linii ewentualnego ognia.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

275

Niemcy, całkowicie zaskoczeni, wpadli w panikę. Nagłe pojawienie się amerykańskiej maszyny, która przeleciała nad nimi, a potem uniemożliwiła im lot naprzód, dezorientowało ich. Lecący po lewej stronie wykonał gwałtowny skręt w lewo, by uniknąć zderzenia, zwiększył szybkość i zaczął piąć się w górę. Podobny manewr próbował wykonać pilot drugiego helikoptera, ale jego maszyna zaczepiła o wierzchołek drzewa. Wprawdzie uderzenie nie było groźne, ale helikopter zaczął gwałtownie opadać i uderzył o ziemię.

Messinger ze zdumieniem i z przerażeniem patrzył na efekt ich

manewru. Krążyli nad rozbitym śmigłowcem, a Messenger z zapartym tchem czekał, czy niemiecka załoga zacznie opuszczać wrak. Perkins zataczał coraz mniejsze kręgi, wyraźnie podchodząc do lądowania. Wreszcie zobaczyli jednego z niemieckich pilotów, gramolącego się z maszyny, i obaj odczuli pewną ulgę. Teraz dopiero Messenger odzyskał głos i polecił Perkinsowi, by wylądował możliwie najbliżej niemieckiego helikoptera.

Zaczął też gwałtownie analizować sytuację, zastanawiając się głównie nad tym, czy rząd niemiecki nie wykorzysta tego incydentu do otwartej wojny, a było przecież oczywiste, że kanclerz Ruff szuka jakiegokolwiek powodu. Wszyscy wIO. Korpusie otrzymali ostrzeżenie, by postępować bardzo ostrożnie i unikać wszystkiego, co mogłoby dać stronie niemieckiej asumpt do rozpoczęcia walki. Gdy Perkins podprowadzał maszynę do lądowania, Messenger pomyślał, że podobne jak w tym momencie odczucia miał jako chłopak, gdy coś spsocił czy zepsuł i usiłował gwałtownie naprawić, zanim tata lub mama spostrzegliby, co się stało.

Gdy tylko dotknęli ziemi, Messenger wyskoczył z maszyny, zanim Perkins wyłączył silnik, i puścił się pędem w kierunku niemieckiego lotnika. Gdy dobiegł do niego, zapytał:

- Jak się pan czuje? Nie jest pan ranny?

Niemiec siedział na śniegu, podpierając głowę ręką. Nie odpowiedział. Messenger pochylił się i kładąc mu rękę na ramieniu ponownie zapytał:

- Jak się pan czuje?

Niemiecki pilot, jeszcze zszokowany, podniósł głowę i spojrzał na Amerykanina. Kiwając głową odpowiedział niepewnie:

- Ja, tak, myślę, że w porządku - spojrzał w kierunku ich dziwnie pochylonej maszyny i zapytał: - *Wo ist Otto?* (Gdzie Otto?)

Messinger rozejrzał się. Po chwili zobaczył drugiego pilota. Stał pochylony, opierając się jedną ręką o płozy helikoptera. Sprawiał wrażenie kogoś, kto albo stara się złapać oddech, albo za chwilę zacznie wymiotować.

Perkins przyniósł pokładową apteczkę. Messinger polecił mu, by zajął się drugim pilotem.

Nagle z tyłu rozległo się czyjeś wołanie:

- Otto! Erich! *Wo sind sie?*

To nadbiegali dwaj mężczyźni w kombinezonach pilotów - okazało się, że załoga drugiego helikoptera wylądowała w pobliżu i ruszyła na poszukiwanie kolegów. Messinger zauważył, że jeden z pilotów trzyma w ręce pistolet, a drugi pistolet maszynowy. Przyszło mu na myśl, że być może lądując popełnili zasadniczy błąd. Zapewne trzeba było po prostu odlecieć. Teraz już na odwrót było za późno. Wyprostował się i pomachał ręką do nadbiegających Niemców. Doszedł do wniosku, że nie pozostaje mu nic innego, jak blefować i zachowywać się możliwie naturalnie.

- Erich jest tutaj. Nic się nie stało. Otto jest z drugiej strony. Jest przy nim mój pilot.

Niemiecki lotnik z dystynkcjami kapitana przystanął. Patrzył na Messingera spode łba, przenosząc wzrok z siedzącego na ziemi kolegi na

Amerykanina. Opuścił prawą rękę, w której trzymał pistolet. Wreszcie się odezwał:

- Wariaci! Mogliście nas pozabijać...

Messinger nie mógł się oprzeć refleksji, że w słowach tych kryła się ironia. Oczywiście, powinni byli ich pozabijać. Tymczasem zachowali się inaczej, wykazując troskę o kolegów-lotników. Niemcy musieli docenić tę solidarność, gdyż ich kapitan schował broń do kabury i polecił swemu koledze, by pomógł Perkinsowi w ratowaniu Otta.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

277

Kapitan przykucnął przy siedzącym na ziemi Erichu i zapytał o coś po niemiecku. Tamten odpowiedział, a nawet się blado uśmiechnął.

Messinger, sfrustrowany, przestępując z nogi na nogę wybąkał:

- Przepraszam... Chcieliśmy was tylko trochę postraszyć...

Niemiecki kapitan wyprostował się.

- No cóż, panie majorze, udało się wam to doskonale. Wezwaliśmy już drużynę ratowników, która przyleci z do wódcą naszego batalionu. Mogą was potraktować niezbyt przychylnie, może nawet będą chcieli was zatrzymać...

Messinger zrozumiał ostrzeżenie, skinął głową i zawołał Perkinsa, sam zaś ruszył w kierunku ich maszyny. Po chwili dobiegł go głos Niemca:

- Majorze!

Zatrzymał się i odwrócił.

- Dziękuję, że wylądowaliście. Dziękuję za troskę - powiedział. - Szkoda, że nie ma tu naszych przywódców. Przekonali by się, że wcale nie jesteśmy wrogami.

Messenger pokiwał głową.

- Rozumiem, co ma pan na myśli. *Auf Wiedersehen*. Życzę szczęścia.

Część czwarta

Niemcy centralne

Rozdział XIII

19 stycznia

Gwałtowne szarpnięcie za brzeg śpiwora wyrwało sierżanta Joego Dallasa z głębokiego snu. Przez chwilę leżał jednak bez ruchu. To miejsce na masce jego czołgu M-1A1 Abrams, pomiędzy skrzynkami z amunicją, było tak wygodne, że podświadomie nie chciał go opuszczać. Wokół panowała całkowita cisza. Było mu ciepło i przyjemnie, a wiedział, że gdy tylko wychyli głowę ze śpiwora, poczuje dotkliwy ziąb. Leżał więc nieruchomo, delectując się każdą kolejną sekundą spokoju.

Znów poczuł szarpnięcie i usłyszał głos swego dowódcy:

- Sierzancie Dallas, porucznik wzywa nas do swego czołgu. Podobno za dziesięć minut wyruszamy.

Dallas podniósł się z największą niechęcią. Był przygotowany na chłód, ale nie na mokry śnieg, jaki właśnie sypał i pokrył już grubą warstwą jego śpiwór. Wytężał wzrok, ale niczego nie widział oprócz płatków śniegu osiadających na jego twarzy. Pomyślał, że czeka ich kolejny, przykry dzień.

W ciągu kilku minut ubrał się i był gotów do wykonywania rozkazów. Zanim ruszył w kierunku czołgu dowódcy plutonu, polecił strzelcowi, sierżantowi Timowi Doyle'owi, by spakował śpiwory i przygotował czołg do jazdy. Gdy doszedł do stanowiska dowódcy, porucznik stał przed czołgiem ze starszym sierżantem. Studiowali mapę rozłożoną na masce. Dallas przystanął obok porucznika, tak by widzieć mapę. Tamci zauważyli go, ale nie przerywali dyskusji.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

281

- Macie rację, sierżancie Emerson - mówił porucznik. - Wcale mi się nie podoba ten pomysł jazdy autostradą w samym środku nocy. Rozkaz jest jednak wyraźny. Mamy sprawdzić, czy autostrada nr 84 jest do Rasdorf wolna, i czy prawdziwe były doniesienia, że w tej miejscowości znajduje się jakieś zgrupowanie wozów ciężarowych. Na szym obowiązkiem jest wykonanie tego zadania.

Starszy sierżant Emerson popatrzył na porucznika, po czym pochylił się nad mapą i przez chwilę wpatrywał się w nią w świetle małej latarki.

- Niech pan tu popatrzy, poruczniku. Równoległe do autostrady biegnie przecinka leśna. Jeśli mapa jest do kładna, od tej przecinki boczne drogi prowadzą do autostrady. Ja pojedę przecinką i co pewien czas będziemy wyjeżdżać na autostradę. Pan pojedzie autostradą, ale będzie się pan trzymał z tyłu. Jeśli zobaczę, że droga wolna, dam panu znać i dojdzie pan do nas. Tam pan zaczeka,

a my przecinką dotrzemy dalej. I w ten sposób sprawdzimy cały odcinek autostrady, nie narażając się na to, że trafimy na Niemców.

Porucznik popatrzył na mapę.

- To niezły pomysł - powiedział w końcu, ale to zajmie nam zbyt dużo czasu.
 - Czy nasz stary określił czas, w jakim mamy wykonać to zadanie?
 - Nie, mówił tylko, że trzeba je wykonać dokładnie.
- A więc nie ma sprawy. Nieważne, ile to potrwa.

Porucznik przyznał Emersonowi rację.

- A więc robimy tak: ty będziesz jechał północnym pasem, a ja południowym, z tą tylko różnicą, że ja zjadę na przecinkę.

Emerson doskonale wiedział, że z absolwentami West Point nie należy podejmować dyskusji. Wzruszył więc tylko ramionami i mruknął:

- Doskonale, *sir*. Jeśli nie ma innych poleceń, idę sprawdzić, czy Allston i jego załoga są gotowi do drogi - i nie czekając na odpowiedź zniknął w ciemnościach.

Dopiero teraz porucznik zwrócił się do Dallasa.

282

HAROLD COYLE

- Czy zrozumieliście, sierżancie, w czym *rzecz*?

Dallas nie był zachwycony, że porucznik wybrał jazdę przecinką, co mogło przysporzyć trudności nawet w o wiele lepszych warunkach, ale nic nie powiedział. W tak ciemną, śnieżną noc wolałby

jechać autostradą, nawet mając świadomość ryzyka. Perspektywa jazdy po ciemku wąską drogą leśną niezbyt mu odpowiadała. Podobnie jednak jak Emerson, już dawno doszedł do wniosku, że z młodymi porucznikami dyskusji się nie prowadzi. Chrząknął więc i odparł:

- Wszystko jasne, *sir*. Będziemy gotowi za pięć minut.

Zadowolony porucznik strzepnął śnieg z mapy i złożył ją tak, by mieć przed sobą drogę do Rasdorf.

- Doskonale, sierżancie. Podjedźcie tu swoją maszyną.

Dallas bez entuzjazmu zaszalutował i poszedł do swojego czołgu, by przygotować się do odjazdu. Wiedział, że nie czeka go w tym dniu nic przyjemnego.

Posuwali się do przodu wolno, gdyż warunki były właśnie takie, jakich się obawiał Dallas. Mapy, którymi się posługiwali porucznik i sierżant, były wprawdzie dokładne, ale nie pokazywały każdego zakrętu. Posuwali się więc powoli i co pewien czas bocznymi odnogami wyjeżdżali na autostradę. Nie działo się nic szczególnego, więc Dallas przestał się martwić. Jeśli jego porucznik coś robił dobrze, to dokładnie odczytywał mapy. Nie musiał zatem zaprzętać sobie głowy głupstwami. I tak dojechali do połowy drogi do Rasdorf.

Śledząc na mapie przebytą trasę, Dallas stwierdził, że wkrótce znów powinni skręcić w kierunku autostrady. Nage zauważył, że czerwone światelko z tyłu czołgu dowódcy miga. Zaznaczył na mapie, gdzie są, i polecił kierowcy, Bobby'emu Youngowi, by zwolnił i przygotował się do wykonania skrętu. Young już wiedział, co należy zrobić. Zaczął skręcać, a Dallas wychylił się z wieżyczki, by dopilnować, żeby lufa ich działa 120 mm nie zaczepiła o drzewa. Pokonali zakręt i ruszyli w stronę autostrady.

Nim dojechali do niej, Dallas kazał Youngowi zatrzymać maszynę. Chciał na wszelki wypadek pozostawić dowódcy dość miej-

TRÓJKĄT ŚMIERCI

283

sca, gdyby musiał się gwałtownie cofnąć. Siedząc w otwartym włązie, Dallas widział, jak czołg porucznika, wyjechawszy z lasu, wspiął się po poboczu szosy i skręcił w kierunku Rasdorfu. Nie korzystał z noktowizora, więc maszyna dowódcy wydawała mu się w ciemnościach czarną bryłą, poruszającą się wolno do przodu. Patrzył teraz na boki, by sprawdzić, jak ich czołg przeciska się między drzewami, i wtedy właśnie nastąpiło coś, czego się nie spodziewał. Cały las wokół nich zajaśniał.

Kierowca Young zobaczył języki płomieni, wydobywające się z czołgu dowódcy plutonu. Nacisnął nogą hamulce. Siedzący w wieżycze Dallas runął do przodu, potem do tyłu i dopiero teraz spojrzął na czołg dowódcy. Ogarnięty płomieniami, wydawał się mniejszy, niż był w rzeczywistości, i cofał się właśnie do tyłu. Sierżant nie miał pojęcia, co się stało, ale dopuszczał najgorsze. Natychmiast się zorientował, że nie mógł ani po lewej, ani po prawej wyminąć płonącej maszyny, którą wstrząsały kolejne serie wybuchów w jej wnętrzu. Dallas zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Utknęli na wąskiej przecince między drzewami, oświetlani - na domiar złego - ogniem płonącego przed nimi czołgu. Byli więc doskonałym celem, sami zaś nie mogli się bronić. Nie pozostawało im nic innego, jak możliwie szybko się wycofać. Dallas skrył się w wieżycze i wrzasnął do mikrofonu:

- Cofaj się! Young, cofaj się!

Nie musiał powtarzać rozkazu. Jeszcze zanim go wydał, Young wrzucił już wsteczny bieg. Czołg pochylił się i zaczął cofać. Dallas ostrożnie wystawił głowę z wjazdu wieżyczki, by patrząc w tył, prowadzić Younga. Jego noktowizor był jednak wyłączony, a płomienie z czołgu porucznika tak go oślepiły, że niczego nie widział. Poleciał kierowcy, by cofał się powoli i możliwie w prostej linii. Odpowiedzi wprawdzie nie usłyszał, ale wyczuł, że jego polecenie jest wykonywane.

Dallas i Young powoli odzyskiwali spokój. W słuchawkach usłyszeli podekscytowany głos działonowego:

284

HAROLD COYLE

- Dallas! Na szosie coś się porusza! A niech te>! To czołg! Czołg przed nami!

Sierżant Emerson, który znajdował się na szosie nr 84, na zachód od miejsca, z którego powinien był wyjechać, z lasu czołg dowódcy plutonu, zobaczył naraz pomiędzy drzewami kulę ognia. W sekundę potem dobiegł go odgłos wybuchu. Nie miał wątpliwości, co się stało. Ktoś strzelał i ktoś został trafiony. Poleciał kierowcy, by powoli i ostrożnie zbliżył się do zakrętu, ażeby mogli coś zobaczyć. Działonowy, nie mogąc się zorientować, co się stało, zapytał o to, wyraźnie podniecony. Emerson burknął mu tylko i kazał się przygotować.

- Działo załadowane! - usłyszał odpowiedź.

Skulił się w wieżyczce tak, że z wjazdu wystawał tylko czubek jego

głowy, i podobnie jak pozostali członkowie załogi wpatrywał się w ciemność.

To coś, co zostało trafione, płonęło w dalszym ciągu, choć płomień się zmniejszał. Emerson jeszcze nie wiedział, co to było, ale miał jak najgorsze przeczucia. Blask ognia oświetlał autostradę dziwnym, złowrogim światłem, w którym widać było rzędy sosen po obu stronach jezdni. Zbliżali się powoli do zakrętu. Przesunęli lufę działa tak, by w chwili wychodzenia z łuku szosy było ono ustawione dokładnie na jej linii, wycelowane w kierunku wschodnim- Emerson wstrzymał oddech. Czuł przyspieszone bicie serca. W napięciu czekał, co im się ukaże za zakrętem. Szybko spojrzął w tył i zobaczył czołg swego skrzydłowego, sierżanta Allsto-na, toczący się w ślad za nimi po przeciwnej stronie jezdni. Nie było wątpliwości, że i oni byli gotowi do walki. Ich maszyna zaczynała powoli wchodzić w zakręt- Emerson raz jeszcze ostrzegł swoją załogę: - Uważać, chłopcy. Gotowi!

Scena, jaką zobaczyli po wyjściu z zakrętu, była wstrząsająca. Szosa prowadząca w kierunku Rasdoffu po obu stronach wysadzana była sosnami. Jakieś niespełna trzysta metrów przed nimi, nieco przysłonięty przez ciągle padający śnieg, stał na poboczu płonący czołg- Maszyna musiała wyjeżdżać właśnie z lasu, gdyż jej tylna część

TRÓJKĄT ŚMIERCI

285

tkwiła jeszcze między drzewami. Czołg palił się gwałtownie. Nie było wątpliwości, to był Abrams. W migocącym świetle płomieni Emerson dostrzegł w głębi szosy inny czołg. Niemal odruchowo wycelował w

tamtym kierunku lufę działa. Kazał kierowcy się zatrzymać.

Tamten czołg, którego załoga najwyraźniej ich nie widziała, podjechał do płonącego i zjechał na bok szosy, starając się go wyminąć. Teraz dopiero Emerson zobaczył dokładnie jego wieżyczkę.

Nie było już na co czekać. Emerson skulił się i wydał rozkaz:

- Ognia!

Działonowy spokojnie odpowiedział:

- Cel rozpoznany. Ognia!

Strzelając do celu odległego o niespełna trzysta metrów nie mogli nie trafić, a używając pocisku przeciwpancernego o dużej sile przebicia mogli być pewni wysokiej skuteczności strzału. Cel został trafiony. Zobaczyli kulę ognia, a w pół sekundy potem ponowną eksplozję. Czołg, który wzięli na cel, został zniszczony. Skulony w wieżyczce Emerson patrzył teraz przez noktowizor, czuły na promienie podczerwone. Nie było wątpliwości - czołg, który zniszczyli, to był niemiecki leopard II. Natomiast ten płonący i stojący na skraju lasu był maszyną ich dowódcy. Emerson wiedział doskonale, że niemieckie czołgi nigdy nie poruszają się w pojedynkę. Kazał więc kierowcy cofnąć ich pojazd za zakręt, by móc spokojnie wywołać przez radio Dallasa, i - co ważniejsze - powiadomić dowódcę kompanii, że natknęli się na wroga, i poinformować o wynikach tej konfrontacji. Sierżant nie zdawał sobie sprawy, że uczestniczy w potyczce, otwierającej działania wojenne. Zresztą mało się tym interesował. Po prostu, podobnie jak dowódca niemieckiego leoparda, robił to, do czego go przeszkolono i przygotowano.

Wielki Al niecierpliwie czekał na koniec porannej odprawy. Miał pełną świadomość trudnej sytuacji, w jakiej znalazł się 10. Korpus. W linii prostej z Alsfeld na zachodzie do Hunfeld na wschodzie było trzydzieści pięć kilometrów, czyli dwadzieścia jeden mil. Pomiedzy tymi dwoma punktami: na północy z Kassel, do Fuldy na południu przebiegały autostrada A7 i szosa szybkiego ruchu nr 27. W tym właśnie rejonie Bundeswehra, ponaglana przez Ruffa, postanowiła uderzyć.

Dla dowódców 10. Korpusu ani wybór miejsca, ani dobór jednostek przeciwnika, nie były zaskoczeniem. Ich wywiad dokładnie śledził ruchy 2. Dywizji Pancерnej, nadciągającej od wschodu z rejonu Erfurtu, i 10. Dywizji Pancерnej, nadchodzącej od Frankfurtu na zachodzie. Ostrzeżenia w tej sprawie nadchodziły też od dowódców 4. Dywizji Pancерnej i 55. Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej, które były przygotowane do zablokowania ruchów Niemców. Wprawdzie i dowódcy obu dywizji, i całe dowództwo 10. Korpusu przygotowywali się do starcia, wszyscy jednak w skrytości ducha przypuszczali, że manewry obu dywizji pancernych Bundeswehry mają charakter pozorny i obliczone są na zastraszenie przeciwnika. I właśnie dlatego oficerowie sztabowi 10. Korpusu czuli się nieswojo, relacjonując przebieg pierwszych starć, takich jak to, w którym uczestniczył sierżant Emerson. Nadzieje, że uda im się dotrzeć do morza bez krwawych incydentów, rozwiały się. Jak słusznie Wielki Al przewidywał, doszło do walki. Wnaj-bliższych godzinach mogła się rozegrać bitwa decydująca dla losów 10. Korpusu.

Relację składał szef G-2, służby wywiadu 10. Korpusu. Wyjaśniając sytuację posługiwał się wielką mapą Niemiec, rozwieszoną na ścianie

wozu generała. Głosem pozbawionym wszelkiej emocji prezentował lakoniczne informacje na temat ustawienia sił przeciwnika i jego prawdopodobnych planów. Nadciągające ze wschodu i z zachodu jednostki niemieckie były oznaczone na mapie strzałkami w kolorze czerwonym, wycelowanymi w autostradę A7, która stanowiła główną oś ruchu 10. Korpusu w kierunku pół-

TRÓJKĄT ŚMIERCI

287

nocnym. Jednostki amerykańskie, zaznaczone kolorem niebieskim, tworzyły na mapie wielką kropkę pomiędzy czerwonymi strzałkami.

Po stronie zachodniej amerykańska 55. Dywizja Piechoty Zmotoryzowanej ciągnęła od Wurtzburga w kierunku Alsfeld. To niewielkie miasto nie przedstawiało żadnej strategicznej wartości, z wyjątkiem tego, że tu mogły się spotkać dwie wielkie jednostki niemieckie i zaryglować drogę na północ.

Dowódca 10. Dywizji Pancerniej, generał major Albert Kiebler, niepewny, jak przedstawia się sytuacja polityczna, z pełną świadomością powoli przesuwał swoją jednostkę. Dywizja miała kłopoty z werbunkiem rekrutów i 18 stycznia dysponowała zaledwie siedmioma batalionami pancernymi i grenadierów pancernych. Na dodatek wartość bojowa tych oddziałów była dość wątpliwa, a oficerowie i żołnierze wiedli zażarte dyskusje na temat, kto właściwie jest prawdziwym wrogiem Niemiec. Dlatego też Kiebler miał świadomość, że jego dywizja nie jest mocna i trudno mu było przewidzieć, jak się zachowa w razie starcia z przeciwnikiem. Z tego względu generał Kiebler działał

ostrożnie. Ruff oczekiwał, że dywizja uderzy jak piorun, tymczasem posuwała się ona do przodu jak zdezelowany traktor. Dwa pierwsze bataliony, pokonawszy kilka kilometrów, zatrzymywały się czekając, by dołączyły do nich pozostałe. Wyjaśniano, że przyjęto tę taktykę, by nie rozciągać linii zaopatrzenia i nie rozpraszać poszczególnych jednostek. Było to wprawdzie logiczne, ale powodowało, że Amerykanie musieli dotrzeć do Alsfeld przed jednostkami 10. Dywizji, co odpowiadało Kieblerowi, który postanowił opóźnić konfrontację z Amerykanami - w nadziei, że Berlin i Waszyngton wkrótce znajdą jakieś rozwiązanie, które pozwoli uniknąć rozlewu krwi. Nawet kiedy czoło jego-oddziałów znalazło się w rejonie Alsfeld, Kiebler pod znakiem zapytania stawiał poczynania niemieckiego rządu i usiłował znaleźć możliwy do przyjęcia kompromis pomiędzy obowiązkami żołnierza a poczuciem odpowiedzialności obywatelskiej. Dowódcy batalionów 10. Dywizji brali przy-

288

HAROLD COYLE

kład ze swego generała i ograniczali się do podejmowania różnych pozornych działań, usiłując maksymalnie opóźnić moment jakiegokolwiek konfrontacji ze znajdującymi się na ich przedpolach oddziałami 55. Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej.

Dowódca nadciągającej od wschodu 2. Dywizji Pancerniej nie miał podobnych obiekcji. Wyrazem tego były starcia i incydenty, takie choćby jak ten, w którym uczestniczyli sierżanci Emerson i Dallas. Były dowódca regimentu piechoty zmotoryzowanej armii NRD, generał major Erich Dorsch, otrzymał stopień generalski Bundeswehry dzięki reformom

przeprowadzonym przez kanclerza Ruffa. Dorsch wycelował swoje oddziały jak strzałę we wschodnią flankę 10. Korpusu. Mógł to zrobić również dlatego, że podobnie jak on większość jego oficerów i żołnierzy pochodziła ze wschodu. Urodzili się i wychowywali w kraju komunistycznym i nie żywili cienia sympatii dla Amerykanów. Nie mieli oporów i wątpliwości, które nurtowały starszych oficerów sformowanej na zachodzie Bundeswehry. 2 Dywizja Pancerna nie miała również kłopotów z rezerwistami. Dzięki temu dysponowała już dziewięcioma batalionami i była największą i najsilniejszą jednostką pancerną całej armii niemieckiej.

Podczas gdy 2. Brygada 4. Dywizji Pancernej wkraczała do Kassel, a 1. Brygada dowodzona przez Scotta, pozostawała -jako jednostka pilnująca tyłów -jeszcze na południe od Fuldy, zadanie pilnowania wschodniej flanki 10. Korpusu przypadło 3. Brygadzie. Jej dowódca, pułkownik Andrew Bowman, dwa ze swoich trzech batalionów skoncentrował wzdłuż autostrady E40, biegnącej z Erfurtu do Bad Hersfeld, miasteczka położonego w połowie drogi między Fuldą i Kassel. Takie ustawienie było najbardziej logiczne, jako że autostrada E40 była główną osią, którą z południowego wschodu posuwała się na wschód 10. Dywizja Pancerna Kieblera.

Dorsch był wytrawnym dowódcą i postanowił uderzyć z zaskoczenia wzdłuż innej osi, trudniejszej wprawdzie, ale miał w tym swój cel. Otóż chciał skupić uwagę Ameryka-

TRÓJKĄT ŚMIERCI

289

nów na autostradzie E40, ale jako kierunek głównego ataku wybrał szosę nr 84, przebiegającą na południowy zachód od Eisenach i

wpadającą koło Hunfeld w szosę nr 27. O sześć kilometrów na zachód od Hunfeld przebiegała autostrada A7. Dorsch chciał w tym miejscu wbić się swoją 2. Dywizją Pancerną pomiędzy straże tylne i główne siły Amerykanów, przecinając dwie główne arterie północ-południe, od których uzależniony był tak bardzo marsz 10. Korpusu.

Wczesnym rankiem doszło do wielu ostrych starć, takich jak choćby potyczka sierżanta Emersona na szosie nr 84 w rejonie Rasdorfu. W ich wyniku batalion, w którym służył Emerson, wycofał się, a jednostki 2. Dywizji Pancерnej przesunęły się do przodu. Wycofywano się w kierunku północno-zachodnim, co dowódcom 3. Brygady wydawało się najszluszniejsze, ale otwierało szosę nr 84 i dostęp do Hunfeld.

Wielki Al spojrział na zegarek i doszedł do wniosku, że nie wolno przeciągać odprawy. Dowódcy dywizji czekali na rozkazy. Wprawdzie każdy z nich podejmował decyzje, gdy zaszła taka potrzeba, ale obawiano się, że nie skoordynowane działania poszczególnych dywizji osłabią 10. Korpus jako całość. Kiedy więc szef G-2 zdał relację z ustaleń wywiadu, Wielki Al pochylił się do swojego szefa sztabu, generała Buddy'ego Bolina i szepnął:

- Buddy, wiem że ta odprawa Jest pożyteczna i potrzebna, ale musimy ją teraz zakończyć. Zwolnij już ludzi, niech zostaną tylko szefowie wywiadu, operacji, łączności, obrony powietrznej, Musimy natychmiast ułożyć jeden spójny plan, bo jeśli tego nie zrobimy, to dowódcy dywizji uderzą każdy w innym kierunku i cały 10. Korpus diabli wezmą.

Gdy pozostali oficerowie wyszli z wozu sztabowego, szef G-2 przysunął sobie krzesło i usiadł obok Wielkiego Ala, tyłem do mapy. Po przeciwnej stronie dowódcy zajął miejsce oficer operacyjny dywizji, a

tuż za nim Bolin. Po drugiej stronie stołu usadowił się generał Jeny Prentice, a obok niego pułkownik Tim MacHaffry, zwany „Wielką Stopą”, oficer łącznikowy lotnictwa.

290

HAROLD COYLE

Zapanowała cisza. Wielki Al wpatrywał się w mapę. Po chwili przeniósł wzrok na twarze swoich najbliższych współpracowników. Wiedział już, co należy im powiedzieć na temat czekających ich operacji. To było proste. Dręczyło go natomiast pytanie, jak powinien to powiedzieć. Był zmęczony, przygnębiony i zdeprymowany, skłonny do pesymizmu. Znów spojrzał na mapę, udając, że coś jeszcze obmyśla, lecz w rzeczywistości szukał właściwych słów. Był świadomy, że teraz wiele zależy od niego. Przyglądano mu się, zastanawiano się nad tym, co mówi, analizowano jego zachowanie. Gdyby objawił swój smutek albo załamanie czy pesymizm, to te ponure nastroje rozeszłyby się natychmiast po wszystkich oddziałach, wchodzących w skład 10. Korpusu. Wielki Al nie miał już czasu na spotkania z dowódcami jednostek niższych szczebli, tak jak to zrobił przed tygodniem. Podczas obecnej operacji musiał polegać wyłącznie na członkach swego sztabu. Starając się nadać swej twarzy wyraz chmurnej pewności siebie i patrząc na dowódców, zaczął mówić:

- Wydaje mi się, że prawdziwym zagrożeniem może się okazać tylko 2. Dywizja Pancerna.

Obecni przyznali mu rację.

Wielki Al wstał, podszedł do mapy i pokazując odpowiednie punkty palcem, zaczął tłumaczyć:

- Nasza 3. Brygada 4. Dywizji Pancernej posuwa się w kierunku północno-zachodnim, otwierając drogę przed 2. Dywizją Pancerną Dorscha. Tego ruchu już nie zdołamy powstrzymać, a nawet gdyby nam się to udało, to 3. Brygada nie byłaby w stanie powstrzymać ataku niemieckiej dywizji, posuwającej się wzdłuż autostrady E40. A więc taka sytuacja pozostawia otwarte wrota i wolne przejście między 1. Brygadą 4. Dywizji, znajdującą się w rejonie Fuldy, a 3. Brygadą, idącą teraz na Bad Hersfeld. Możemy zawrócić 4. Dywizję Pancerną, by zamknęła te wrota, ale nie sądzę, by zdążyła to zrobić. Możemy nakazać 1. Brygadzie, by ruszyła prosto na północ i uderzyła na flankę 2. Dywizji Pancernej, ale tego właśnie Dorsch się spodziewa. W tym terenie kilka kompanii niemieckich grenadierów

TRÓJKĄT ŚMIERCI

291

rów pancernych zablokuje 1. Brygadę. Będziemy toczyli pozycyjne walki na północy i uciekali do przodu, a w tym czasie czołowe oddziały Dorscha uderzą na nasz środek, na oddziały logistyczne, a to, panowie, oznaczać będzie koniec naszego 10. Korpusu i naszej wielkiej przygody.

Wielki Al zrobił dwa kroki do tyłu, by z pewnej odległości przyjrzeć się mapie. Wsparł ręce na biodrach i zwrócił się do członków swojego sztabu. Miał wyraz twarzy człowieka, który podjął decyzję i był już gotów ją realizować.

- Od samego początku wiedzieliśmy, że podejmujemy trudną i

ryzykowną grę. A więc nadszedł czas: kości zostały rzucone - i nie czekając na uwagi czy rady zaczął wyjaśniać swoją koncepcję kontrataku: - Natychmiast przenoszę 3. Brygadę 55. Dywizji Piechoty do 4. Dywizji Pancerniej. Brygada ta ruszy prosto na wschód i zablokuje drogi na zachód od Hunfeld. Gdyby przeciwnik zajął Hun-feld, stracimy szosę nr 27, ale póki autostrada jest otwarta, możemy się bez tamtej szosy obejść. W celu wykonania tego manewru 3. Brygada 55. Dywizji Piechoty połączy się z 3. Brygadą 4. Dywizji Pancerniej. Chcę, by obie te brygady zaatakowały Niemców i zatrzymały lub zdeorganizowały ich marsz na zachód. Działania te wesprze atakami swoich helikopterów 10. Brygada Powietrzna. Przy odrobinie szczęścia powinniśmy skutecznie zdeorganizować Niemcom ich marsz na zachód. - Wielki Al wskazał teraz na mapie punkt na południe od Fuldy, gdzie znajdowała się 1. Brygada 4. Dywizji Pancerniej. - Zagrożenie, jakim jest dla nas 2. Dywizja Pancerna, będzie jednak likwidowała przede wszystkim 1. Brygadę. Chcę, by z Fuldy uderzyła na północny wschód wzdłuż szosy nr 27, w kierunku szosy nr 19. Zbliżywszy się do szosy nr 19, brygada zwróci się na północ i wejdzie na tyły 2. Dywizji Pancerniej. Jej zadaniem jest odcięcie dywizji od zaplecza, co - być może - da do myślenia Dorschowi albo skłoni go do odwrotu, a może nawet uderzy on swoją dywizją na 1. Brygadę. W tym samym czasie reszta 10. Korpusu będzie się posuwała na północ. Nie mam zamiaru walczyć aż do całkowitego złamania oporu wroga. Naszym zadaniem jest dotarcie na

wybrzeże, a nie zabijanie Niemców. Chcę, by dla wszystkich w korpusie było jasne, że wcale nie chodzi o pozbawienie was inicjatywy.

Oficerowie spostrzegli, że oczy generała zapłonęły, a dłonie zacisnęły się w pięści. Wielki Al uderzył w mapę:

- Podczas operacji każdy dowódca działa zdecydowanie i uderza jak najskuteczniej. Naszym celem jest armia niemiecka, nie Niemcy, nie cywile - musimy więc unikać strat cywilnych, a bez litości niszczyć armię, jeśli ta stanie nam na drodze. Ci panowie z Berlina muszą się przekonać, że nie jesteśmy bezsilni i niemrawi. -Wielki Al opanował ogarniające go emocje i zwracając się do MacHaffry'ego zapytał: - „Wielka Stopa”, co wiemy o Luftwaffe?

MacHaffry, pilot F-22, złożył ręce na kolanach i patrząc na generała odparł:

- Dobiegają nas różne dziwne wieści, ale jest pewne, że w Luftwaffe panuje teraz rozgardiasz i zamęt, i to na każdym szczeblu dowodzenia. Zdarzyło się, że piloci odmawiali wykonania zadań. Powszechnie sabotuje się rozkazy. Oficerowie zaopatrzenia odmawiają wydania paliw. Można oczekiwać pewnej aktywności w powietrzu, ale wydaje się, że będzie ona bardzo ograniczona.

Wielki Al odwrócił się teraz w kierunku mapy i nie patrząc na MacHaffry'ego, zapytał:

- Czy Boomer jest gotowy do operacji?

Miał na myśli pułkownika Wilbera Smitha, dowódcę 79. Skrzydła Sił

Powietrznych, które w bazach ulokowanych na terenie Czech przygotowywało się do wsparcia 10. Korpusu. Operacja, o którą pytał generał, miała polegać na zaatakowaniu wybranych baz lotnictwa niemieckiego. Wytypował je amerykański wywiad wybierając te, które mogły stanowić największe zagrożenie dla korpusu. Zastanawiano się, czy operacja ta nie spowoduje, iż niezdecydowani niemieccy lotnicy staną nagle po stronie kanclerza Ruffa. Zgodzono się jednak, że operację powietrzną należy podjąć bez względu na konsekwencje. Oczywiście liczone było z tym, że samoloty będą mogły wykonać

TRÓJKĄT ŚMIERCI

293

tylko po jednym locie, gdyż potem załogi zostaną internowane przez rząd czeski.

- Jesteśmy gotowi - odparł MacHaffry. - Nie ma wątpliwości, że przenikniemy w niemiecką przestrzeń powietrzną. Mamy już część kodów IFF niemieckiej Luftwaffe.

Mówił o kodach elektronicznych sygnałów, za których pośrednictwem obrona przeciwlotnicza mogła identyfikować własne samoloty, odróżniając je od samolotów wroga. Dzięki tym kodom maszyny 79. Skrzydła mogły docierać nie zidentyfikowane nad wszystkie cele, nie obawiając się niemieckiej obrony raketowej. Gdyby nawet Niemcy zorientowali się, że Amerykanie przechwycili ich kody IFF, to i tak na początku zapanowałby taki chaos, że o jakiegokolwiek zorganizowanej obronie nie mogłoby być mowy.

Wielki Al spojrzał na MacHaffry'ego, uśmiechnął się i powiedział:

- Doskonale. Połącz się z Boomerem i powiedz mu, żeby

był gotowy. Nie chcę Niemców przyciskać do muru, jeśli to okazało się zbędne.

Zadowolony, że sprawy Luftwaffe były pod kontrolą, spojrzął znów na mapę, na rejony, gdzie zaznaczono jednostki 10. Dywizji Pancерnej, które grupowały się teraz na zachód od Alsfeld.

Generał Prentice z G-3 podkreślił, że 55. Dywizja Piechoty, dysponująca dwoma brygadami i sześcioma batalionami, ma dość sił, by przeciwstawić się trzem brygadam i sześciu batalionom niemieckiej dywizji. Wielki Al przyznał mu rację i dodał, że daje dowódcy 55. Dywizji wolną rękę. Zasugerował jedynie, by w rejonie Alsfeld operowała jedna brygada, a dwie pozostałe podjęły operacje w kierunku północnym i zachodnim. Działania 55. Dywizji wesprze szwadron kawalerii pancерnej 14. Regimentu Pancерnego. Pozostałe oddziały 14. Regimentu ochraniać będą tyły 10. Korpusu i wesprą manewry 1. Brygady 4. Dywizji Pancерnej.

Skończywszy, generał spytał, czy są jakieś wątpliwości lub uwagi. Patrząc na mapę, Prentice zapytał, czy, zdaniem generała, 1. Brygada 4. Dywizji Pancерnej będzie w stanie

294

HAROLD COYLE

przejsć wystarczająco szybko od Fuldy do szosy nr 19, by uderzyć na północ i wpłynąć na przebieg całej bitwy.

Wielki Al uśmiechnął się:

- To brygada Scotta Dixona. On wykona każde zadanie, nawet najtrudniejsze - spoważniał i spojrzął na mapę. - Jeśli coś w ogóle jest możliwe, to on to zrobi.

Jednocześnie pomyślał, że Jeżeli się myli, to brygada Dixona zostanie rozbita, a oni nie osiągną swych celów.

3r A tfr

Podczas gdy generał opracowywał, a oficerowie jego sztabu redagowali rozkazy dla poszczególnych jednostek, do szpitala polowego nr 553 zaczęto przywozić pierwsze ofiary. Widok rannych żołnierzy był dla personelu medycznego takim samym szokiem jak informacja o pierwszym starciu dla sztabu 10. Korpusu. Oczywiście i lekarze, i pielęgniarki skrzętnie ukrywali swe reakcje, siląc się na profesjonalny spokój i opanowanie. Doskonale wiedzieli, że ich pierwszym zadaniem jest natychmiastowe niesienie pomocy tym, którzy jej potrzebują.

Hilary Cole pracowała w punkcie przyjmowania rannych. Zawodowa rutyna nie zabiła w niej współczucia, jakie odczuwała widząc zmaltretowanych żołnierzy, powierzonych jej opiece. Jeśli pacjent był nieprzytomny lub znajdował się pod wpływem środków psychotropowych, łatwiej potrafiła sobie poradzić ze swymi reakcjami. Jej jedynym zadaniem było wtedy opatrzenie ran i przygotowanie pacjenta tak, by mógł się nim zająć chirurg.

O wiele trudniej było wtedy, gdy żołnierz był przytomny. Najczęściej nie zdawał sobie sprawy, jak poważnie jest ranny. Czuł ból, znajdował się w szoku i nie był w stanie trzeźwo ocenić sytuacji, w jakiej się znalazł. Wtedy pod adresem pielęgniarki padało na ogół pytanie:

- No, jak to właściwie wygląda?

Przed wstąpieniem do armii Cole pracowała na oddziale chirurgii urazowej szpitala cywilnego, więc była przygotowana na tego rodzaju

pytania. Opatrując rany, starała się

TRÓJKĄT ŚMIERCI

295

robić to szybko i sprawnie, a także próbowała zmienić temat rozmowy. Wypytywała wtedy o nazwisko, skąd pochodzi, o różne inne rzeczy, aby tylko odwrócić uwagę rannego od jego stanu. Czasem pozwalało jej to uniknąć powiedzenia nieprawdy. Ale nie zawsze było to możliwe. Jeden z żołnierzy, któremu wybuch oderwał stopę, nie dawał się zwieść. Im bardziej go uspokajała, tym bardziej stawał się podniecony, usiłował usiąść. Cole powstrzymała go, pochyliła się, spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała prawdę. Żołnierz zeszywniał z przerażenia, potem zamknął oczy i przez chwilę leżał nieruchomo. Wreszcie, gdy Cole skończyła zakładanie prowizorycznego opatrunku, pacjent otworzył oczy, wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia.

- Dziękuję, sostro - wyszeptał z wyraźnym trudem.

I Cole, i inne pielęgniarki potrafiłyby sobie poradzić z każdym przypadkiem. W miarę jednak upływu dnia, w miarę, jak przybywało rannych, ich zdolności opanowywania emocji wyraźnie słabły. Gdzieś około południa Cole zorientowała się, że bez względu na to, jak szybko pracuje, zawsze czeka w kolejce do niej kilku mniej lub bardziej poszkodowanych pacjentów. Usiłowała zapomnieć, gdzie jest i co się wokół niej dzieje, i próbowała skupić się wyłącznie na opatrywaniu rannym. Właśnie zajmowała się młodym, najwyżej dwudziestoletnim żołnierzem. Jego mundur przesiąknięty był krwią. Musiał odnieść kilka, jeśli nie kilkanaście ran. Sanitariusze na polu walki nie mogli się nim zająć, więc odesłali go do szpitala. Cole miała go przygotować do

operacji. Nawet mu się nie przyjrzała, tylko starała się szybko usunąć strzępy jego munduru, co nie było łatwe, bo poszarpana i nadpalona skóra przywarła do materiału. Odcinała skalpelem te kawałki skóry i ciała od bielizny, a żołnierz leżał nieruchomo, nawet nie drgnął. Popatrzyła na jego twarz, by sprawdzić, czy oddycha, i ze zdumieniem stwierdziła, że jest przytomny.

- Długo jeszcze? Czy wyjdę z tego? - spytał cicho.

Zmusiwszy się do uśmiechu, powiedziała:

296

HAROLD COYLE

- Kochaniutki, oczywiście że wyjdiesz. Muszę cię tylko nieco oczyścić, a potem zajmą się tobą lekarze. Obiecuj, że będziesz leżał cicho i spokojnie, a ja postaram się jak najszybciej skończyć, dobrze?

Na twarzy żołnierza pojawił się blady uśmiech, a Cole znów zajęła się oczyszczaniem jego ran. Leżał bezwładnie, a gdy po chwili spojrzała na jego twarz, już nie żył.

Tego już było dla niej za wiele. Jej ciałem wstrząsały dreszcze, a z ust wydarł się skowyt. Była załamana. W tym, co się dzieje, pierwsza zorientowała się pracująca przy stanowisku obok porucznik Renee Ritter. Zawołała inną pielęgniarkę, przekazała jej swojego pacjenta, a sama podeszła do Hilary Cole i objęła ją.

Walcząc ze Izami i z dreszczami, które nią wstrząsały, Cole przytuliła się do koleżanki, oparła głowę na jej ramieniu i dopiero teraz *wybuchnęła* płaczem. I tak stały obok stołu, na którym leżał martwy żołnierz, a wokół nich przeprowadzano zabiegi, znoszono kolejnych rannych, poparzonych, zszokowanych, którzy na noszach czekali, by się nimi zajęto.

A w całym rejonie, w lasach, na wzgórzach środkowych Niemiec, żołnierze 10. Korpusu i Bundeswehry polowali na siebie. Na szczeblu kompanii i plutonów wielka strategia wymyślona w sztabach nie miała większego znaczenia. Dla żołnierzy i ich bezpośrednich dowódców wojna w polu nie jest przecież niczym innym jak serią nagłych ataków, nagłych odwrotów, gwałtownych kontrataków i ustawicznych pościgów za wrogiem. Przez dwa dni żołnierze niemieccy i amerykańscy na stokach wzgórz pokrytych śniegiem toczyli z sobą dziesiątki bitew. Atakowali się wzajemnie, strzelali do siebie, wycofywali się, to znów parli do przodu, dostarczając szpitalom nowych rannych, pomiażdżonych, popalonych, którymi zajmowały się potem pielęgniarki amerykańskie i niemieckie, starając się ratować tych, którzy tracili zdrowie w imię obowiązku i zrodzonej z amoku nacjonalistycznej polityki.

Rozdział XIV

19 stycznia

Dowódcy wszystkich szczebli 1. Brygady 4. Dywizji Pancерnej podczas marszu Malina do morza raz po raz natrafiali na różne skomplikowane problemy, ale radzili sobie z nimi szybko, sprawnie i profesjonalnie. Uporali się nawet ze zmianą rozkazów, które ze straży tylnej 10. Korpusu przekształciły brygadę w siłę uderzeniową, prącą do przodu, by z flanki zaatakować niemiecką dywizję pancerną. Dawała o sobie znać doskonała szkoła Scotta Dixona, który dużo wymagał od swoich podkomendnych i ustawicznie im powtarzał:

- Na wojnie może się zdarzyć wszystko, a już szczególnie to, na co nie

jesteście w ogóle przygotowani.

To powiedzenie przypominali sobie właśnie teraz wszyscy dowódcy w brygadzie, a dla kapitan Nancy Kozak nabrały one tego ranka wyjątkowego znaczenia.

Wszyscy byli już zmęczeni tym ustawicznym marszem i utrzymaniem stałej gotowości bojowej, niemniej szkoła Dbcona przynosiła korzyści, a brygada dawała sobie ze wszystkim radę i realizując rozkazy parła na północ. Natychmiast po otrzymaniu polecenia uderzenia na flankę 2. Dywizji Pancерnej, Kozak zwołała na odprawę swoich oficerów i sierżantów i wyznaczyła zadania dla wszystkich plutonów. Zrobiła to w sposób profesjonalny i jasny, jak na absolwentkę Akademii w Fort Benning przystało. Dowódcy plutonów przyjęli rozkazy, zasalutowali i rozeszli się do swoich pododdziałów. I już się wydawało, że wszystko

298

HAROLD COYLE

jest w porządku, gdy nieoczekiwanie starszy sierżant przedstawił Nancy Kozak problem, na jaki nie była przygotowana, a więc jeden z tych, przed którymi przestrzegał Scott Dbcon. Rzecz dotyczyła pani Emmy Louisy Richard-son i dwójki jej dzieci.

Po odprawie Nancy Kozak, przekonana, że wreszcie będzie miała trochę czasu dla siebie, powiedziała szefowi swego sztabu, że musi się umyć i coś zjeść. Weszła do swego bradleya, zdjęła hełm i rozpuściła włosy. Były brudne, przepecone i przetłuszczone. Dałaby w tej chwili wszystko za pięć minut gorącej kąpieli. Było to jednak niezisz-czalne marzenie. Wyjęła z plecaka ręcznik i poprosiła siedzącego w wieżyczce pojazdu

sierżanta Wolfa, by nie wpuszczał przez jakiś czas nikogo. Zdjęła mundur, pozostając w koszulce gimnastycznej i w krótkich spodenkach. Nie zdążyła się jeszcze porządnie umyć, gdy dobiegł ją głos Wolfa:

- Pani kapitan, starszy sierżant idzie do nas.

Nad niewielkim kociołkiem z gorącą wodą wykręciła ręcznik, klnąc cicho. Po chwili usłyszała łomotanie w stalowe drzwi tylnego wjazdu. Zrezygnowana i wściekła, że jej przeszkadzają, burknęła:

- Włącz, Top!

Starszy sierżant Garry „Top” Stokes pchnął drzwi.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale jest pewien problem.

Była zła, że pozbawił ją tych paru minut, które chciała mieć tylko dla siebie, ale nie mogła się nie uśmiechnąć, rozbawiona widokiem Stokesa, który, speszony, wyglądał na wystraszonego wiejskiego chłopca.

• O co chodzi. Top? - zapytała.

• Wygląda na to, że żona jakiegoś pułkownika nie uznała za stosowne odjechać do domu, gdy przed tygodniem ewakuowano rodziny.

Kozak zaczęła się domyślać, o co chodzi, ale nie popędzała sierżanta. Odgarnęła kosmyk włosów, opadający na czoło.

- No i co? - zapytała.

- Ta pani z dwójką dzieci dostała się na pozycje drugiego plutonu i poprosiła o rozmowę z oficerem. Są głodni i liczą na pomoc.

Kozak potrząsnęła głową, jakby nie dowierzała jego słowom.

- To wspaniale - powiedziała wreszcie. - Wkrótce mamy rozpocząć atak i rozbić niemiecką dywizję pancerną, a tu nieoczekiwani goście - spojrzała na sierżanta i spytała: -Gdzie oni?
- Tu, za mną - odparł.

To, że kobieta zapewne słyszała ich rozmowę, wcale nie spieszyło Kozak. Poprosiła Stokesa, by wprowadził ją do bradleya. Pani Emma Louisa Richardson miała około czterdziestu kilku lat, była wymizerowana, ale pełna godności. Kozak natychmiast uświadomiła sobie, że ona sama, z brudnymi włosami, w koszulce gimnastycznej i w krótkich spodenkach wygląda przy tamtej jak sprzątaczką. Żony oficerów zawsze dbały o swój wygląd. Emma Richardson wszedłszy do wozu, spojrzała na Nancy Kozak, położyła jej rękę ma ramieniu, uśmiechnęła się radośnie i powiedziała:

- O, dzięki ci Boże! Wreszcie kobieta!

Była bowiem przekonana, że kobieta oficer potraktuje ją zupełnie inaczej niż oficer-mężczyzna. Wprawdzie było oczywiste, że Emmie Richardson trzeba udzielić niezbędnej pomocy, ale dla Nancy Kozak jej słowa były jak policzek. Sama myśl, że ona, kapitan Kozak, mogłaby się w tych warunkach zachować inaczej niż mężczyzna, była dla niej obrazą. Wprawdzie pochodziły z tego samego kraju i w dzieciństwie wpajano im takie same zasady, ale jednak świat Emmy Richardson był całkowicie odmienny od świata Nancy, pracującej w zawodzie, w którym nie akceptowano kobiecego stylu bycia i myślenia. Wojna jest w powszechnej opinii czymś brutalnym i barbarzyńskim. Wymaga od żołnierza sprostania krańcowo trudnym wymaganiom fizycznym i psychologicznym. Tradycje wojskowe gloryfikują męską siłę, stanowczość, zdecydowanie. Każdy, kto

decydował się na wybór zawodu żołnierza,

300

HAROLD COYLE

musiał się tym tradycjom podporządkować. W czasie studiów w West Point Nancy Kozak przekonała się, że jest to po prostu bezwzględna, brutalna koniecznością. Podczas działań wojennych żołnierze muszą mieć pewność, że mogą całkowicie polegać na swych kolegach i dowódcach. Każdy, komu nie można zaufać, stwarza bowiem zagrożenie dla współtowarzyszy walki. Dlatego też kapitan Kozak doskonale rozumiała, że musi wyzbyć się niektórych swych cechy, że będzie stale ostro oceniana i bacznie obserwowana. Nigdy nie wolno jej było o tym zapomnieć. I pamiętała o tym także teraz, słuchając Emmy Richardson.

- Jak dobrze znów być wśród swoich -westchnęła żona oficera. - Mój mąż, podpułkownik Frank Richardson, do wódca 126 Batalionu Technicznego zawsze twierdził, że armia dba o swoje rodziny. I miał rację.

Kozak z wysiłkiem uśmiechnęła się i powiedziała:

- Tak, pani Richardson, sędzę, że miał rację.
- Oczywiście, kochana, że miał. Frank ma zawsze rację.

Ton, jakim Emma Richardson zwracała się do niej, i to poufałe „kochana” nie podobały się Kozak. Tamta, jako żona podpułkownika, miała zwyczaj patrzeć z góry na oficerów niższych stopni. Kozak pomyślała, że nie należy przedłużać tej rozmowy. Przestała się uśmiechać i z kamiennym wyrazem twarzy powiedziała:

- Znalazła się pani w jednostce frontowej, pani Richard

son. Za kilka minut wyruszamy i nie możemy się zajmować niczym innym, jak tylko wykonywaniem rozkazów. Mój starszy sierżant odstawi panią i dzieci na tyły, do batalionu, gdzie z pewnością zajmą się wami. A teraz proszę wybaczyć - chcę skończyć toaletę i ubrać się. Obowiązki mnie wzywają.

Emma Richardson zareagowała tak, jakby Kozak wymierzyła jej policzek. Czowała się jak dziecko zbesztane przez rodziców. Sprawiała wrażenie zaszokowanej. Nie mieściło jej się w głowie, że kobieta, w dodatku młodsza od niej, niższa rangą niż jej mąż, mogła ją tak potraktować. Kozak przez chwilę nawet żałowała, że ją tak ostro potraktowała,

TRÓJKĄT ŚMIERCI

301

ale miała przecież jeszcze inne sprawy na głowie. Pomyślała, iż dla pani pułkownikowej być może będzie to nauczka, która poawoli jej zrozumieć, że z kobietą oficerem należy się liczyć. Kozak zwróciła się do Stokesa, który stał przez cały czas przy drzwiach pojazdu i usiłował zachować powagę:

- Bądźcie tak dobrzy i zorganizujcie transport tej pani i jej dzieci do batalionu, tak byśmy mogli zająć się swoimi sprawami.

Powiedziawszy to, Kozak przestała zwracać uwagę na panią pułkownikową. Schyliła się po mydło i zaczęła myć nogi. Pani Emma Richardson bez słowa wyszła z bradleya.

tr ft 3r

Zadowolony, że ma już za sobą składanie drugiego meldunku kanclerzowi, generał Lange wyszedł tylnymi drzwiami, by uniknąć tłumu czekających reporterów. Ruszył pustym korytarzem, chcąc jak najszybciej znaleźć się z powrotem w Centrum Operacyjnym. Ale gdy był już blisko bramy wyjściowej, usłyszał za plecami głos pułkownika Kaspera, doradcy militarnego kanclerza Ruffa.

- Generale Lange, czy można jeszcze chwilę...

Zły, że go zatrzymują i że znów zaczną mu zadawać absurdalne pytania, przystanął, odwrócił się i patrzył na zbliżającego się Kaspera. Zwrócił uwagę, że zdanie wypowiedziane przez tamtego zabrzmiało bardziej jak komenda niż jak prośba, co oczywiście tylko spotęgowało niechęć generała do pułkownika. Nie dowierzał Kasperowi. Zresztą nikt w Sztabie Generalnym nie miał do niego pełnego zaufania. Uważano go za oportunistę, który swoją pozycję przy kanclerzu wykorzystuje do zrobienia kariery. Zachowywał się tak, jak zapewne niegdyś musieli się zachowywać adiutanci królów pruskich.

Gdy Kasper podszedł do niego, Lange uznał za stosowne przypomnieć mu, kto tu jest zwierzchnikiem.

- Już dość czasu tu zmarnowałem, pułkowniku. Czy to, z czym przychodzicie, nie może poczekać? - burknął niechętnie.

302

HAROLD COYLE

Kasper, przyzwyczajony do arogancji generała, zignorował tę sugestię.

- Tylko chwilę, generale. Przede wszystkim chciałem przeprosić za niecierpliwość kanclerza i pewne braki organizacyjne w przebiegu spotkania. Rozumie pan jednak, że kanclerz znalazł się pod presją wydarzeń, do których nie jest należycie przygotowany.

Lange miał zamiar odpowiedzieć, że wszyscy tutaj są obecnie pod presją wydarzeń, ale opanował się i chrząknął tylko.

Kasper z wyrazu twarzy generała wyczytał, że nie ma ochoty na rozmowę, ale nie zraziło go to:

- Jest wiele powodów do niepokoju - chodzi zwłaszcza o sposób, w jaki armia wykonuje rozkazy. Kanclerz jest szczególnie niezadowolony z **braku** zdecydowania w poczynaniach generała **Kieblera**, dostrzega wyraźną różnicę w działaniach między jednostkami dowodzonymi przez generała Kieblera a jednostkami 2. Dywizji Pancерnej.

Pułkownik chciał mówić **dalej**, ale generał przerwał mu, domyślając się, do czego zmierza.

- Generał Kiebler jest dowódcą dywizji i wykonuje rozkazy tak, jak na to pozwalają warunki, w jakich się znajduje jego wojsko. Dopóki ja jestem szefem sztabu, nikt tu nie będzie oceniał dowódców dywizji. On najlepiej wie, co należy robić.

Chciał jeszcze dodać, że jest ogromna różnica między tym, jak się ocenia te warunki w gabinecie kanclerza a rzeczywistą sytuacją na froncie, ale się powstrzymał.

Kasper, przekonawszy się, że nie dojdą do porozumienia, postanowił

przedstawić sprawę bardziej jasno.

- Chciałem panu powiedzieć, generale, że kanclerz traci zaufanie do niektórych spośród wyższych dowódców. Uważa, że z pełną premedytacją hamują operacje i robią, co mogą, by pozwolić Amerykanom na wymknięcie się z sieci, a tym samym, by skompromitować nasz rząd. Tego rodzaju podejrzania wzmagają zwłaszcza sytuacja w Luftwaffe, która nie wykonuje rozkazów, gdzie dochodzi do niesubordynacji i sabotażu.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

303

Lange nie miał wątpliwości, że mówiąc o „niektórych wyższych dowódcach”, Kasper ma na myśli tych, którzy wyszli z dawnej Bundeswehry, i w przeciwieństwie do oficerów ze wschodu, uważają, że ślepe, bierne słuchanie rozkazów nie jest podstawowym obowiązkiem oficera. Generał pomyślał, że oto nadeszła chwila, gdy należy powiedzieć kilka zdań bez ogródek.

- Czy kanclerz nie rozumie, w jakiej nas postawił sytuacji? - Lange wymierzył palec wskazujący w pierś swego rozmówcy. - Pan, pułkowniku, też jest przecież oficerem. Czy pan nie czuje cięższej na panu odpowiedzialności? Czy nie zastanawia się pan, do czego to wszystko zmierza?

Lange zamilkł i spojrzał w kierunku drzwi wyjściowych, na widoczne za szybą szare, pochmurne niebo, po czym znów przeniósł wzrok na pułkownika. Pochylił się i mówił teraz niemal szeptem:

- Mój Boże, parlament wezwał do natychmiastowego

zawieszenia broni, a kanclerz Ruff całkowicie zignorował to wezwanie. Już to jest naruszeniem Konstytucji. Każdy oficer Bundeswehry, z wyjątkiem tych ze wschodu, wie, że jego pierwszym obowiązkiem jest działanie zgodne z interesami narodu, a nie ślepe posłuszeństwo wobec rozkazów. Wszyscy wyżsi dowódcy, z jakimi ostatnio rozmawiałem, są przekonani, że znaleźli się na rozdrożu. Kanclerz leci na oślep w przepaść, wciągając nas i cały naród w kryzys, który sam spowodował. Parlament przeciwstawia się temu. W interesie narodu nie leży prowadzenie wojny w samym środku terytorium naszego kraju. Większość oficerów Bundeswehry nie jest w stanie w dobrej wierze poprzeć rządu, który kieruje się dwuznacznymi i niezbyt jasnymi motywami.

Kasper słuchał w milczeniu. Nie wszystko rozumiał -frustracja niemieckich oficerów, o jakiej przed chwilą usłyszał, była dla niego zaskoczeniem. Czyżby Jego koledzy nie zdawali sobie sprawy z sytuacji politycznej? Czyżby nie rozumieli, że chodzi tu o suwerenność ich kraju, o jego przyszłość? A może to Ruff nie miał racji? Czyżby on i jego otoczenie nie znali prawdy o sytuacji i nastrojach w ar-

304

HAROLD COYLE

mii? Kasper nie mógł się skupić nad rozważeniem tych kwestii, bo Lange mówił dalej:

- Nie jestem w stanie ustalić, kto ma rację, a kto jej nie ma. Nie wie

zresztą tego większość oficerów i żołnierzy. Ponieważ dziś rano doszło do starć, wszelka dyskusja się skończyła. I mogę panu powiedzieć to, co powiedziałbym teraz każdemu, kto by o to zapytał: nie mam pojęcia, czym się to skończy. Ponieważ nasze Jednostki starły się już z Amerykanami, możliwość kierowania wydarzeniami wymyka się nam z rąk. Już nie ma znaczenia, kto ma rację -patrzył teraz prosto w oczy pułkownika. - O tym decyduje obecnie każdy kapitan, każdy porucznik i każdy sierżant na froncie, nawet każdy żołnierz. Pański kanclerz może sobie krzyczeć, wrzeszczeć, pnieć się, tarzać po dywanie, bo to już niczego nie zmieni. My już nad niczym nie panujemy i nie ma nawet nadziei, że będziemy mogli zapanować.

Kasper nie wiedział, jak na te słowa zareagować. Lange zauważył wyraz zmieszania i niepokoju malujący się na twarzy jego rozmówcy. - Może się jednak myliłem co do niego? - pomyślał. - Może jest po prostu jednym z nas? Szkoda, że tego nie sprawdziłem. Dobrze byłoby mieć swojego oficera w otoczeniu kanclerza. Ale pozbawione sensu byłoby martwienie się teraz tym, czego nie załatwił w przeszłości. Amerykańska prezydent miała wkrótce przedstawić w telewizji stanowisko swej administracji w sprawie walk w Niemczech centralnych. Lange chciał tego wysłuchać, mogło bowiem mieć ono zasadniczy wpływ na dalszą sytuację i zdecydować o działaniach jego oraz całego sztabu. Choć w gruncie rzeczy czas dyskusji już minął, a nadszedł czas decyzji...

Już nieco spokojniejszym tonem Lange pożegnał się z pułkownikiem i wyszedł, pozostawiając Kaspera z jego wątpliwościami.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

Popijając kawę i patrząc w ekran telewizora, na którym rzecznik Białego Domu odczytywał właśnie przygotowane oświadczenie, Jan Fields-Dixon zerknęła od czasu do czasu na prezydent Wilson, która równie uważnie jak Jan słuchała swego rzecznika, kończąc już drugą filiżankę kawy.

Jan zobaczyła w telewizji, jak jej koledzy, w momencie gdy rzecznik skończył czytać oświadczenie, zerwali się z miejsc i wymachając rękami, starali się zwrócić jego uwagę, by otrzymać pozwolenie na zadawanie pytań. Kamery pokazywały zakłopotaną twarz przedstawiciela Białego Domu, który dość bezradnie patrzył na falujący las rąk. Jan zerknęła na panią prezydent i uśmiechnęła się. Wilson doskonale wiedziała, że tak właśnie zareagują dziennikarze; ona wprawdzie mogłaby nad nimi zapanować, ale posłała swego rzecznika, by to on przyjął pierwszy atak prasy, sama zaś spokojnie siedziała w zaciszu Gabinetu Ovalnego i słuchała pytań, jakimi dziennikarze zarzucali rzecznika. A potem, w rozmowie z zaufaną dziennikarką, z Jan, będzie mogła spokojnie odpowiedzieć na pytania, jakie dręczyły dziennikarzy oraz czytelników i słuchaczy. - Tak, Wilson jest doskonałym taktikiem - pomyślała Jan.

Polityczna zręczność Wilson była zresztą powszechnie znana. Bez tej umiejętności nie byłaby w stanie utrzymać się w świecie polityki, zdominowanym przez mężczyzn, i to na stanowisku, na którym była ustawicznie porównywana ze swymi poprzednikami.

Jan doskonale to rozumiała. Z bardzo podobnymi problemami spotykała się w swojej profesji. To, czego właśnie była świadkiem, stanowiło doskonałą ilustrację zdolności i intuicji Wilson. Nie

wystawiła się na cel dziennikarskich dociekań w sytuacji ogólnego podniecenia, oczekiwań i niepewności co do dalszego rozwoju sytuacji. Patrząc na twarz Wilson nie widziała na niej cienia napięcia, obaw czy zdenerwowania. Prezydent siedziała odprężona, popijała kawę i obserwowała na ekranie telewizora to, co działo się w Centrum Prasowym. Wysłuchawszy tu spokojnie pytań, mogła potem, w rozmowie z Jan, powiedzieć Stanom

306

HAROLD COYLE

i świata, co zamierza, udowadniając jednocześnie, że całkowicie panuje nad sobą i nad sytuacją. Starła się zapamiętać padające po adresem rzecznika pytania.

Tymczasem rzecznikowi udało się nieco uspokoić wzburzonych dziennikarzy. Na pierwsze z zadanych pytań odpowiedział:

- Jak wynika z odczytanego przeze mnie oświadczenia, prezydent Wilson nie popiera poczynań generała Malina, jednocześnie jednak nie może traktować obojętnie tego, że działania strony niemieckiej, zmierzające do zatrzymania 10. Korpusu, stwarzają zagrożenie dla tysięcy niczemu niewinnych Amerykanów. W odpowiedzi na wrogie posunięcia Niemców w stan najwyższej gotowości bojowej zostały postawione oddziały amerykańskie w rejonie Morza Śródziemnego i Jednostki powietrzne, stacjonowane na terytorium Anglii. Ich zadaniem, w razie potrzeby, będzie pospieszenie na ratunek amerykańskim żołnierzom, gdyby

w Niemczech znaleźli się w sytuacji zagrożenia życia i zdrowia.

Gdy tylko rzecznik skończył, zerwał się kolejny dziennikarz i nawet nie przedstawiając się wykrzyczał swoje pytanie:

- A jak wytłumaczyć oświadczenia kanclerza Ruffa, który twierdzi, że żołnierze 10. Korpusu podporządkowując się rozkazom Malina, łamią tym samym suwerenność Niemiec?!

Rzecznik, pamiętając o otrzymanych instrukcjach, odparł:

- Kanclerz Ruff być może ma rację. To jednak nie upoważnia go do wygłaszania gróźb pod adresem 10. Korpusu, a przecież zapowiada, że po prostu go zniszczy. Przypomina to próbę wykonania wyroku na podejrzanym, którego jeszcze nie skazał sąd. - Rzecznik na chwilę zamilkł, jakby szukał odpowiednich słów, po czym mówił dalej: - Chciałbym przy okazji zwrócić uwagę, że nawet niemiecki parlament nie zgadza się z decyzjami kanclerza Ruffa. Jego wezwania do pokojowego rozwiązania konfliktu współgrają z podobnymi wezwaniami Rady Europy

i ONZ. Prezydent Wilson jest w pełni gotowa na takie właśnie rozwiązanie i na podjęcie negocjacji. To stwierdzenie wywołało kolejne pytanie:

- Czy prezydent Wilson jest w stanie przekonać generała Malina, który nie słucha rozkazów Waszyngtonu, by wyraził zgodę na zawieszenie broni?

Rzecznik uśmiechnął się powściągliwie i odparł:

- Tu możemy się pewnych rzeczy jedynie domyślać. Przypuszczamy, że dopóki Niemcy będą się upierać przy zbrojnym rozwiązaniu konfliktu, dopóty generał Malin będzie twierdził, że nie ma innego wyjścia, jak tylko odpo wiedzieć siłą na siłę. Pierwszy ruch w tej sprawie musi należeć do Niemiec.

Wiele pytań dotyczyło rozlokowania amerykańskich sił w Europie. Rzecznik, który nie miał na ten temat odpowiednich informacji, odpowiadał tak, jak potrafił. Wreszcie oznajmił, że czas przeznaczony na konferencję minął i ignorując lawinę wykrzykiwanych pytań, opuścił salę. Widząc na ekranie, jak zachowują się dziennikarze, Jan pomyślała, że Wilson miała rację wybierając ten sposób poinformowania kraju i zagranicy o swoim stanowisku.

Prezydent dopiła kawę, odstawiła filiżankę i wyłączyła pilotem telewizor. Popatrzyła na Jan, uśmiechnęła się i oznajmiła, że jest gotowa do nagrywania rozmowy. Do gabinetu poproszono ekipę telewizyjną, a prezydent poprawiła bluzkę i włosy. Wyprostowała się i skinęła na Jan, że mogą zaczynać.

Doskonale zgrana ekipa dała znak, że włączają kamery i mikrofony. Rezygnując z wszelkich formalności, Jan przystąpiła natychmiast do meritum:

- Pani prezydent, chciałabym zacząć od nawiązania do pytań, które padły na dzisiejszej konferencji prasowej pani rzecznika. Otóż z pani oświadczenia wynika, że postawie nie w stan gotowości naszych oddziałów, takich jak

17. Dywizja Spadochronowa czy jednostki naszej marynarki na Bałtyku, jest odpowiedzią na kroki Niemiec, podjęte przeciwko 10. Korpusowi. Nie sprecyzowano jednak, w jakich warunkach i w jakim czasie jednostki te

308

HAROLD COYLE

mogą zostać użyte. Czy zostało to już tu, w Waszyngtonie, ustalone, i czy rząd niemiecki został o tym powiadomiony? Prezydent nawet nie mrugnęła okiem.

- Jeśli chodzi o pierwszą część pytania, to wyjaśniam, że już zaistniała sytuacja, w której jednostki te mogą zostać wprowadzone do akcji - Wilson na chwilę przerwała, jakby chciała, by słuchacze mieli czas na zrozumienie wagi tego, co właśnie powiedziała. - Jak sobie przypominasz, Jan, już kilka dni temu oświadczyłam, że nie będę się obojętnie przyglądała zagrożeniu, w jakim znaleźli się niewinni żołnierze 10. Korpusu. Mówiłam, że zrobię co w mojej mocy, by ich ratować. Przerzucenie dodatkowych sił na ten teatr działań jest właśnie dowodem na to, że nie pozostawimy naszych żołnierzy bez opieki. To, gdzie i jak się zaangażujemy, jest dopiero ustalane. W znacznym stopniu będzie zależeć od poczynań Niemców w ciągu najbliższych dwóch, trzech dni.
- A więc jest pani zdecydowana na użycie siły, choć uważa pani jednocześnie, że jeszcze nie jest za późno, by tego uniknąć. Czy tak?

Wilson uśmiechnęła się:

- Nigdy nie jest za późno, by dopuścić do głosu rozsą

dek. Jestem w każdej chwili otwarta na wszelkie rozsądne propozycje rozmów i negocjacji z kanclerzem Ruffem, pod warunkiem, że walki zostaną wstrzymane, a rząd niemiecki udowodni, iż rokuje w dobrej wierze, a nie w celu zyskania na czasie.

- A więc jeszcze nie przekroczyliśmy Rubikonu... Czy można zatem powiedzieć, że nasze siły nie podjęły jeszcze żadnych działań, które groziłyby eskalacją kryzysu?
- Oczywiście. Ogłosiliśmy jedynie stan gotowości bojowej. Na przykład nasze samoloty stacjonujące w Wielkiej Brytanii nie naruszają niemieckiego obszaru powietrznego, choć jednocześnie bez przerwy patrolują przestrzeń nad Morzem Północnymi i Bałtykiem. Nasza sieć satelitarna i inne środki łączności dostarczają 10. Korpusowi niezbędnych informacji.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

309

Prezydent odpowiadała swobodnie i rzeczowo. Sprawiała wrażenie odprężonej i doskonale przygotowanej. Jan zrobiła chwilę przerwy, ale szybko zadała kolejne pytanie, by nie naruszać dramaturgii rozmowy.

- A więc jest pani zdecydowana na użycie siły, by pozwolić wypłatać się 10. Korpusowi z pułapki, w jaką się uwikłał?
- Jak już mówiłam, postawienie w stan gotowości innych sił jest odpowiedzią na poczynania strony niemieckiej. - Prezydent pochyliła się nieznacznie do przodu. -Chciałabym przy tej okazji podkreślić, że rozumiem stanowisko i narodu niemieckiego, i

kanclerza Ruffa. Nie ma wątpliwości, że 10. Korpus pogwałcił wiele porozumień międzynarodowych, jak choćby zasadę nienaruszalności terytorium Niemiec. W sensie ogólnym zagrożony został pokój. Ale też faktem jest, że to nie 10. Korpus pierwszy otworzył ogień. Na wszelkie moje apele do podjęcia rozmów rząd kanclerza Ruffa od tygodnia odpowiada żądaniami, które są niemożliwe do spełnienia. Chciałabym, by Amerykanie i Niemcy nie zapominali, że rozgrywające się obecnie, a godne pożałowania wydarzenia zostały zapoczątkowane akcją zbrojną strony niemieckiej, która w Sembach siłą zagarnęła głowice. To był właśnie początek rozwijającego się obecnie kryzysu.

Jan natychmiast podchwyciła poruszony przez Wilson temat i zapytała:

- Ma pani na myśli głowice nuklearne?

Wilson przytaknęła ruchem głowy.

- Oczywiście - powiedziała. - Stany Zjednoczone, występując w imieniu innych mocarstw nuklearnych Zachodu, w tym Anglii, Francji, Rosji i Izraela, podjęły działania, mające na celu zabezpieczenie broni nuklearnej, znajdującej się w posiadaniu słabego, niestabilnego rządu, który w dodatku zapowiada, że nie będzie podporządkowywał się zasadom nierozprzestrzeniania broni jądrowej. Przechwycenie tych głowic przez Niemcy, państwo, które opowiadało się do tej pory za zasadą nierozprzestrzeniania broni ma sowej zagłady, jest ważnym powodem obecnego kryzysu.

HAROLD COYLE

- Ale przecież, pani prezydent, to myśmy przyczynili się do powstania tego kryzysu, sprowadzając głowice z Ukrainy do Niemiec. Było to jednoznaczne pogwałcenie uprzednio zawartych porozumień. Kanclerz Ruff utrzymuje, że to nasze poczynania stały się powodem ich działań.

Wilson wiedziała, że mąż Jan służy w 10. Korpusie i uznała, że należy uderzyć w tę strunę, ale tak, by nikt się w tym nie zorientował. Pochyliła się do przodu, a twarz jej przybrała wyraz zdecydowania, może nawet złości.

- Czy naruszenie zasad jakichś porozumień uzasadnia zabijanie niewinnych Amerykanów i Niemców, nie wspominając już o niszczeniu prywatnego majątku niemieckiego? Czy to uzasadnia przejęcie przez Niemcy kontroli nad bronią masowej zagłady? Zdecydowanie nie! Poczynania kanclerza Ruffa są nieuzasadnione. Zamiast zareagować jak odpowiedzialny mąż stanu, kanclerz Ruff demonstruje wolę rozlewu krwi, podczas gdy my nigdy nie zagrażaliśmy ani suwerenności, ani bezpieczeństwu Niemiec. Zagrożeni są nasi żołnierze, córki i synowie naszego narodu, których chce się karać za nie popełnione przez nich winy. Nie zamierzam tego tolerować, dopóki Jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Ta ostra, emocjonalna odpowiedź zaskoczyła Jan. Wilson trafiła celnie i mocno. Jan na moment przestała myśleć o wywiadzie, a przed oczami stanął jej Scott Dixon. Prezydent wygłosiła przed chwilą ważne polityczne

oświadczenie - ostrzegła przecież obcy rząd przed możliwością użycia potęgi Stanów Zjednoczonych w obronie ich obywateli, ale Jan nie myślała teraz o niczym innym niż o zagrożeniu, jakie zawisło nad jej mężem. Zapadła kilkusekundowa cisza i dopiero po chwili Jan zorientowała się, że wszyscy patrzą na nią, a Wilson czeka na kolejne pytanie. Nie zadała go jednak. Podziękowała i zakończyła rozmowę. Wkrótce wraz ze swoją ekipą opuściła Gabinet Ovalny.

Niemal zaraz po jej wyjściu zjawił się Ed Lewis, który czekał w przyległym sekretariacie. Wilson siedziała już za biurkiem i patrzyła przez okno na ogrody Białego Domu.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

311

Widząc, że jest zamyślona, Lewis podszedł do stolika i nalał sobie filiżankę kawy, po czym usiadł na stojącej naprzeciwko biurka sofie.

Wilson ciągle milcząc, powoli obróciła się w fotelu i spojrzała na kongresmana. Na jej twarzy malował się ból. Lewis nie był tym zaskoczony, raczej dziwił się, że do tej pory trzymała się tak dzielnie, podczas gdy Soares i Rothenberg dali się ponieść nerwom i rozemocjonowani biegali po korytarzach swoich departamentów. Wilson potrafiła się opanować, choć musiała mieć świadomość, że kryzys, w jaki się uwikłali, jest wynikiem błędnych decyzji z zakresu polityki zagranicznej. Co więcej, Wilson była wtajemniczona w to, co robił generał Malin w Niemczech, miała więc wszelkie powody do zmartwień i nerwów również i z tego powodu.

- Ed, stałam się prawdziwym skurwysynem. Cynicz

nym, zimnym skurwysynem - oświadczyła nagle zdumionemu kongresmanowi.

Zaskoczony, zareagował od razu:

- Wydaje się, pani prezydent, że doszło tu do pewnego pomylenia płci. O ile się nie mylę, „skurwysyn” jest wyłącznie rodzaju męskiego. Żeńska odmiana tego osobnika nazywa się chyba inaczej.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się blado, ale jej twarz szybko stała się znów poważna, a nawet smutna.

- Nie, Ed, ja nie żartowałam. Stałam się jednym z tych zimnych polityków zawodowców, którzy idą do celu po trupach.

Lewis odstawił filiżankę i ścisząc nieco głos odpowiedział z powagą:

- A czegoś się spodziewała, Abby? Sądziłaś, że tu można się zachowywać jak Chrystus? Pani prezydent, nikt z pani poprzedników w tym gabinecie nie mógł się zachowywać jak święty, i nikt tego nie mógłby od nich wymagać.
- Ja wiem, Ed - Wilson pokręciła głową. - Wiem doskonale. Mówiono mi o tym, kiedy stawałam do wyborów i kiedy tu się znalazłam. Ale to jednak nie rozwiązuje sprawy. Ja naprawdę chciałam być inna. Jako pierwsza

312

HAROLD COYLE

kobieta prezydent pragnęłam ustanowić standardy Innego działania w

polityce, bardziej ludzkiego, otwartego, kierującego się miłością, zrozumieniem. Przecież mam rodzinę, wychowałam dwójkę dzieci, robiłam karierę nie schodząc z drogi rozsądku. Czy nie mogę tak postępować i tutaj? Dlaczego nie miałabym zachować twarzy, hołdując tym wartościom, w jakich mnie wychowano? Czyż domagam się zbyt wiele?

- Wiedz jedno, Abby, jesteś najbardziej ludzkim politykiem, jaki kiedykolwiek zasiadał za tym biurkiem. Mimo spraw, które nas różnią, podziwiam sposób, w jakim sprawujesz swój urząd. Być może naszej prezydenturze już od dawna potrzebna była kobieca ręka - Lewis podniósł filiżankę, ale odstawił ją nie łyknąwszy kawy. - Muszę ci jednak przypomnieć, Abby, że bawiąc się w chlewie nie możesz wyjść z niego całkiem czysta. A Waszyngton to największy chlew świata, ten gabinet zaś znajduje się w samym jego środku. To, że do tej pory nie musiałaś się tarzać w gnoju, należy uznać za cud. A teraz powiedz, co spowodowało ten wybuch samokrytyki? I to w samym środku kryzysu... Czy zaczyna cię niepokoić, że pozwoliłaś Wielkiemu Alowi na ten rajd do morza?

Wilson potrząsnęła głową.

- Nie. Podobnie jak ty, jestem przekonana, że to, na co się zdecydowaliśmy, jest najlepszym wyjściem z tej piekielnej sytuacji. I nie to mnie przygnębia. Okazuje się, że decyzje dotyczące wielkich spraw są łatwiejsze do podjęcia i przyjęcia. Gorzej, gdy sprawy bezpośrednio dotyczą okre

ślonych ludzi - popatrzyła przez chwilę na Lewisa i postanowiła wyrzucić z siebie to, co ją dręczyło. - Przed chwilą udzielałam wywiadu Jan Fields-Dixon. I wszystko szło doskonale do momentu, gdy przyszło mi do głowy, by zagrać na jej uczuciach. Wiem, że jej mąż jest w samym centrum tego zamieszania, i wykorzystałam to pośrednio, by udowodnić swe racje.

Znów umilkła, nie kryjąc poruszenia i zdenerwowania.

- Dotknęłam ją, Ed. Zraniłam. A kiedy spostrzegłam, że trafiłam celnie, poczułam satysfakcję.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

313

- Jestem przekonany, Abby, że postąpiłaś słusznie. Jesteś prezydentem. Na tobie spoczywa cała odpowiedzialność.

Przerwała mu. uderzając pięścią o blat biurka.

- To nie jest żaden argument! Rozumiem, co mówisz, ale niewiele mi to pomaga. Zawsze gardziłam bezwzględnymi politykami. I nagle dotarło do mnie, że w gruncie rzeczy jestem taka sama.
- Wyprostowała się, przez chwilę milczała, wreszcie zaczęła mówić, ale już znacznie spokojniej, niemal smutno:
- Czuję się tak, jakbym teraz właśnie straciła cnotę. Mam świadomość, że jestem po prostu polityczną prostytutką, tak jak niemal wszyscy wokół mnie.

Lewis podniósł się, podszedł do biurka i patrząc na nią nieco z góry

powiedział:

- Abby, nikt nigdy nie miałby prawa nazwać ciebie polityczną prostytutką. A to, że ty sama tak teraz o sobie mówisz, jest najlepszym dowodem, że jesteś inna niż my. Niezależnie od tego, co podpowiada ci twoje sumienie. A teraz weź się w garść, mamy jeszcze wiele do zrobienia. I czeka cię jeszcze wiele trudnych decyzji.
- Czy sądzisz, Ed, że Fields wie, iż jej mąż prowadzi właśnie główny atak na siły niemieckie?

Lewis pokiwał głową.

- Bardzo wątpię. Czy to zresztą ważne. Jan i tak wie, że Scott wykonuje rozkazy, i to w pierwszej linii.
- Wiesz, Ed, wołałabym, żeby był teraz gdzie indziej. Ze względu na nią.

Lewis pochylił się i oparł rękami o biurko.

- Nie, pani prezydent. Scott Dixon jest jednym z najlepszych pani oficerów. Jako dowódca jest tam, gdzie powinien teraz być - Lewis wyprostował się. - Jest żołnierzem i wykonuje swoje obowiązki. Głównodowodzący nie może troszczyć się o bezpieczeństwo pojedynczych żołnierzy, bo wtedy tylko zwiększa zagrożenie i osłabia szanse na zwycięstwo.

Wilson przytaknęła ruchem głowy.

- Może to i prawda, ale co z tego... Nie przynosi mi to

- Jak długo pani i ci, co idą w pani ślady, będziecie myśleli w ten sposób, tak długo będziemy mogli być dumni z naszego kraju.

Zamilkł i poczuł się trochę nieswojo. Pouczał głowę państwa, a tego się zazwyczaj nie robi. Uznał, że lepiej będzie zakończyć tę dyskusję. Uśmiechnął się i powiedział:

- Ostatecznie Scott Dixon jest dowódcą brygady i nie stoi na pierwszej linii frontu. Trzeba by jakiegoś szczególnego pecha, by mogło mu się coś stać.

Wilson pomyślała, że lepiej będzie zakończyć tę rozmowę, popatrzyła więc Lewisowi prosto w oczy i lekko się uśmiechając powiedziała:

- Ed...
- Tak jest, pani prezydent...
- Dziękuję ci.

Wprawdzie nie był pewien, za *co* mu dziękuje, ale nie miał wątpliwości, że kryzys, w jakim ją zastał wchodząc do gabinetu, minął. Była znów gotowa do podjęcia pracy.

Wiedząc, że nie ma zbyt wiele czasu, kapitan Albrecht Benen biegał wzdłuż wagonów stojących na bocznicy stacji kolejowej w Dermbach i popędzał swoich ludzi. Od strony miasta dobiegały go odgłosy znajdującej się już w marszu na północ 1. Brygady 4. Dywizji Grenadierów Pancernych. Musieli się wyładowywać jak najszybciej, by od razu dołączyć do znajdującej się już w ruchu brygady. Spojrzał na zegarek. Dochodziła ósma wieczorem. Zastanawiał się, jak się to stało, że poruszająca się szosami reszta brygady dotarła tu przed *him w marszu,

którego celem było połączenie się z 2. Dywizją Pancerną. Słyszał jednak odgłos silników i nie było wątpliwości, że przynajmniej niektóre oddziały już ich wyprzedziły.

Popędzał więc swoich, jak tylko potrafił. Mieli dwanaście jaguarów wyposażonych w ruchome wyrzutnie rakiet przeciwczołgowych, dwie ciężarówki i jednego dżipa. Wszystko to przywieźli wagonami ciężarowymi i trzeba było te-

raz je rozładować. Mrok i brak kolejarzy komplikowały ich pracę. Cywilni robotnicy niewiele sobie robili z ich obecności, ale na to już nic nie mógł poradzić. Cała ta operacja, od pierwszego dnia kiedy wyszli z koszar, była jednym wielkim koszmarem. Popędzając żołnierzy, Benen krzyknął na starszego sierżanta. Ten popatrzył na kapitana i pomyślał, że warto by było wysłać kogoś, by uprzedził resztę brygady, że właśnie przybyli. Powiedział o tym kapitanowi, a ten zaniepokojony, że wyładunek przebiega tak opieszale, odpowiedział, że zrobią to, gdy kompania będzie już gotowa do wymarszu. Na razie potrzebny był tu każdy człowiek. W chwilę potem wydał jednak inną decyzję. Widząc, że jeden z plutonów wyładował już swoje pojazdy, polecił jego dowódcy, porucznikowi, by pojechał do miasteczka i tam, w centrum, czekał na resztę kompanii.

Sierżant chciał już powiedzieć, że ten pluton mógłby pomóc przy wyładowywaniu innych pojazdów, ale widząc podniecenie swego dowódcy, ugryzł się w język. Zmęczony, jak wszyscy, długimi marszami z jednego regionu kraju do drugiego uznał, że nie jest to najlepsza pora na prowadzenie jakiegokolwiek dyskusji, szczególnie z dowódcą. Lepiej było

milczeć i wykonywać rozkazy.

Niech sobie oficerowie sami radzą z tym bałaganem -pomyślał. Tymczasem szum silników umilkł, co znaczyło, że jednostka, która przeciągała przez osiedle, już odjechała. Mogli więc liczyć na to, że szosa będzie wolna i ich wyrzutnie nie utkną w jakimś obcym konwoju. Sierżant ruszył więc wzdłuż wagonów, pokrzykując na żołnierzy, by się pośpieszyli.

3r tfr ft

Gdy ostatni z czołgów 2. Batalionu 4. Dywizji Pancernej opuścił Dermbach posuwając się na północ, od południa do miasteczka wjechała grupa dowodzenia, prowadzona przez Scotta Dixona. Był to mały konwój, złożony z czołgu M-1A1, trzech wozów pancernych M-113 i wozu sztabowego M-577. Nie dysponowali więc wielką siłą ognia i gdy-

316

HAROLD COYLE

by się natknęli na jednostkę większą od plutonu, mogli liczyć jedynie na to, że zginą śmiercią bohaterską.

Zerknąwszy w lewo, Dixon zobaczył pułkownika Worisznowa, który wychylony z wieży czołgu, z rękami opartymi na mechanizmie ładowniczym armatki kaliber 7,62, patrzył przed siebie. Podobnie jak Dixon, Worisznow miał na sobie ciepłą kurtkę z kapturem, który okrywał jego hełm. Twarz, nos i usta okrył wełnianym szalikiem, a oczy ochraniały mu plastikowe gogle. Nałożył na siebie wszystko, co miał, bo wiedział, że noc będzie zimna.

Zorientowawszy się, że za chwilę wjadą do centrum miasteczka, Dixon

obejrzał się, by sprawdzić, czy wozy pancerne podążają za nim. Bardzo się śpieszył. Miał świadomość, że jadące wolniej wozy pancerne z trudem mogą nadążyć za jego czołgiem. W mdłym świetle latarni zobaczył pojazd Cerra, toczący się środkiem wąskiej uliczki. Już chciał przez wewnętrzny telefon wydać kierowcy polecenie, by zwolnił, gdy w słuchawkach usłyszał podniecony głos Worisznowa:

- Niemieckie czołgi z wyrzutniami rakietowymi pięć dziesiąt metrów przed nami!

Odwrócił głowę i od razu zauważył po drugiej stronie placyku, na jaki wjeżdżali, pudełkowatą sylwetkę niemieckiego czołgu. Poczł, że tężeje, jakby spinał się do skoku na nieprzyjaciela. Bez wahania wydał rozkaz:

- Kierowca, stop! Działonowy, nieprzyjaciel przed nami!
Pocisk przeciwpancerny!

Kierowca również dostrzegł przeciwnika i zatrzymał czołg, zanim jeszcze Dixon kazał mu to zrobić. Rozkaz wyrwał działonowego z drzemki, w którą zapadł, znużony jednostajnym szumem silnika. Ale słysząc głos dowódcy, natychmiast oprzytomniał. Był żołnierzem doskonale wyszkolonym, więc reagował niemal automatycznie. Włączył laserowe urządzenie, mierzące odległość od celu. Laser wyszukał cel i przekazał informację do komputera, który przesłał odpowiednią komendę do mechanizmu sterującego działem kaliber 120 mm. Działo zostało więc ustawione

TRÓJKĄT ŚMIERCI

317

na cel niemal w tym samym momencie, gdy Dixon wypowiedział

ostatnie słowa rozkazu.

Worisznów skulił się i usiadł na krzeselku. Jego zadaniem była obsługa systemu ładowania działa. Czekał teraz na polecenie Dixona, który musiał podjąć decyzję, czym załadować działą, kiedy znajdujący się w lufie pocisk przeciwpancerny zostanie wystrzelony. Gdyby to on, Worisznów, miał decydować, załadowałby pocisk wybuchowy HEAT. Tkwiący teraz w lufie ładunek przeciwpancerny mógł przebić pancierz jaguara na wylot i po prostu przejść przez czołg nieprzyjaciela, nie wyrządzając mu większych szkód. I dlatego Rosjanin sądził, że przy drugim strzale lepiej byłoby użyć HEAT.

Jeśli nawet Dixon miał jakieś wątpliwości, czy powinien zaatakować wyłaniającego się z mroku jaguara, to trwało to jedynie przez moment. Prowadzili przecież wojnę, padły już pierwsze strzały. Nie wiedział, czy załoga zagrządzającego mu drogę jaguara składa się z dobrych, czy ze złych Niemców. Rozkaz, jaki miał wydać, opóźnił tylko fakt, że zajmujący miejsce ładowniczego Worisznów nie zameldował swej gotowości. Dixon krzyknął więc:

- Ładowniczy, gotowe?

Worisznów zorientował się, że popełnił błąd i odkrzyknął: „Gotowe!”, klnąc w duchu swą opieszałość. Rozległ się rozkaz Dixona:

- Ognia! - i odpowiedź działonowego: - Poszedł!

Pierwsza potyczka tej nocy zakończyła się, zanim jeszcze przebrzmiało echo wystrzału z działka czołgu Dixona. Pocisk przeciwpancerny o ogromnej sile przeszył pancierz jaguara, należącego do kompanii kapitana Albrechta Be-nena. Obawy Worisznowa, że pocisk nie zniszczy czołgu, okazały się nieuzasadnione, gdyż przeszył

on pancierz, przeszedł przez komorę amunicyjną i bak z paliwem, aż utkwiał w silniku. Ogromna energia cieplna, jaka się przy tym wyzwoliła, spowodowała wybuch amunicji i baku z paliwem.

Dixon musiał teraz jak najszybciej podjąć kilka ważnych decyzji. Dobrze wiedział, że takie czołgi jak ten, który

318

HAROLD COYLE

właśnie zniszczył, nie poruszają się samotnie. Rozbicie pierwszego z nich musiało ostrzec pozostałe, że w okolicy pojawili się Amerykanie. W tej sytuacji trzeba było zdecydować o dalszym działaniu. Mogli się wycofać, tym bardziej że w ich konwoju czołg Dixona był jedynym pojazdem zdolnym do prowadzenia walki z siłami pancernymi przeciwnika. Jeśli gdzieś tam w ciemnościach znajdował się choć jeden jeszcze czołg, wyposażony w wyrzutnie rakiet przeciwpancernych, mieli prawo się wycofać.

Nikt jednak nie mógł podejrzewać Dtocona, że w działaniach taktycznych jest zbyt konserwatywny lub nadmiernie ostrożny. Opinia o nim jako o doskonałym taktyku sprawiła, że to właśnie jego brygada jako pierwsza wkroczyła na Ukrainę, a obecnie tej właśnie jednostce zlecono zadanie zagrożenia flance 2. Dywizji Pancernejs Niemców. Agresywność Dtocona wzięła i tym razem górę i podyktowała mu rozkazy, jakie wydał. Przez radio przekazał Cerrowi, by się zatrzymali i byli gotowi do obrony przy użyciu przeciwpancernych pocisków raketowych. Mieli pozostać na miejscu do momentu, aż dotrze do nich czoło kolejnego batalionu.

Natychmiast też wydał kierowcy swego czołgu polecenie, by ten ostrożnie ruszył do przodu, objechał czołg, który zniszczyli, tak by mogli

zobaczyć, czy nie ma za nim jeszcze innych pojazdów przeciwnika. Gdy czołg ruszył, Dbcon rzucił okiem w kierunku Worisznowa. Ten właśnie ładował kolejny pocisk. Dixon spostrzegł, że Rosjanin się spocił. Tamten zauważył spojrzenie Amerykanina i mruknął:

- Automatyczne ładowanie jest o wiele lepsze - i zaraz dodał: - Załadowany HEAT.

Dbcon uśmiechnął się i skinieniem ręki potwierdził przyjęcie meldunku, wyprostował się i spojrzał w wąski pas przestrzeni między domami a płonącym czołgiem. Kierowca pierwszy dostrzegł nowe niebezpieczeństwo i krzyknął do mikrofonu:

- Czołg z wyrzutnią na dwunastej!

Dixon zauważył przeciwnika niemal w tym samym momencie. Głos kierowcy był spokojny, nie rozemocjonowany. By nie marnować czasu, rzucił krótką komendę:

TRÓJKĄT ŚMIERCI

319

- Pocisk HEAT odpalić! Ognia!

Zanim działonowy wykonał polecenie, Dixon zdążył jeszcze zauważyć, że jaguar rozpaczliwie usiłował skryć się w wąskiej uliczce. Oślepił go błysk wylatującego z lufy ich czołgu pocisku. Pułkownik nawet nie dosłyszał, czy działonowy potwierdził rozkaz, choć było oczywiste, że go wykonał. W ciągu sekundy drugie starcie zakończyło się tak samo jak poprzednie. Jaguar znajdował się nie więcej jak czterdzieści metrów od nich i niemal natychmiast po strzale stanął w płomieniach. Nagle Dixon zobaczył trzeci niemiecki czołg, który właśnie zawracał środkiem ulicy. Ogarnęły go wątpliwości: czy słusznie

zrobił atakując w pojedynkę nieznane siły przeciwnika?

Nie było jednak czasu na rozmyślania, a tym bardziej na wycofanie się. Był przekonany, że nie mają już innego wyjścia niż parcie do przodu. Wydał więc rozkaz kierowcy, by ruszył ulicą w kierunku placu, który, jak się Dixonowi wydawało, był bocznicą kolejową. Miał świadomość, że igra z losem i może przeciągnąć strunę. Czuł jednak przewagę nad tamtymi, więc nie miał zamiaru rezygnować.

Tymczasem na stacji towarowej, gdzie wyładowywała się kompania kapitana Albrechta Benena, żołnierze pracowali w gorączkowym pośpiechu. Zdawali sobie sprawę, że za chwilę mogą zostać zaatakowani. Kapitan Benen i jego starszy sierżant biegając wzdłuż wagonów, ponaglali żołnierzy do maksymalnego wysiłku. Nie wszyscy wpadli w panikę. Dowódca jednego z jaguarów, zorientowawszy się, że jego pojazd nie może zostać w porę sprowadzony z wagonu kolejowego, wdrapał się na czołg i zaczął montować na nim wyrzutnię rakiet przeciwpancernych. Doszedł do wniosku, że może jej użyć nawet stojąc na platformie kolejowej.

Benen usłyszał trzecią salwę. Był przekonany, że przeciwnik za chwilę wjedzie na stację. - Jeśli już mamy rozegrać bitwę - myślał - to korzystniej dla nas będzie się spotkać z wrogiem tu, na otwartej przestrzeni, niż na wąskich, krętych uliczkach miasteczka. Zaczął więc przygotowywać swoich do obrony już tu, na terenie stacji

320

HAROLD COYLE

towarowej i bocznicy. Ich rakiety przeciwpancerne mogły stąd razić

bardziej odległe cele, a wystrzelona rakietą miałyby czas na odbezpieczenie się w locie, co w warunkach walki ulicznej byłoby prawie niemożliwe. Kapitan polecił sierżantowi, by przygotował czoło ich kolumny do starcia, a sam pobiegł na doniec, by dopilnować montowania wyrzutni i zbrojenia ich w pociski rakietowe.

W tym samym czasie porucznik Tim Ellerbee otrzymał rozkaz pozostawienia w tyle kolumny wolniejszych bradley-ów kapitan Nancy Kozak i natychmiastowego ruszenia na pełnym gazie w kierunku Dermbach, z odsieczą dla kolumny dowódcy brygady, bradleye szybko zniknęły w ciemności za czołgami, a porucznika Ellerbee ogarnęła niemal euforia. Czekala go bitwa. Wreszcie on i jego pluton pokażą, co potrafią i ile są warcii. Porażka, jaką poniósł na Ukrainie zostanie zmaszana wielkim, spektakularnym sukcesem. Będzie mógł tej pani kapitan, która traktowała go jak idiotę udowodnić, jak dobrym jest żołnierzem. Z takimi myślami i nadziejami Ellerbee wjeżdżał na przedmieścia Dermbach.

To zapewne tłumaczy, dlaczego w porę nie zauważył że ulica wiodąca do śródmieścia skręca w bok. Zamiast więc jechać jak prowadziła, dzięki czemu trafiłby na czekającą na nich kolumnę dowódcy brygady, Ellerbee wyprowadził swój pluton prosto w ślepią uliczkę - jego czołg wjechał bowiem nieoczekiwanie na podwórze jakiegoś zakładu przemysłowego. Porucznik, zdeorientowany, kazał się zatrzymać. Spojrzał na mapę, popatrzył w lewo i w prawo, i w tym momencie dobiegły go odgłosy walki, jak toczył czołg Dixona. Podczas gdy Ellerbee usiłował dociec gdzie się znajdują, w słuchawkach rozległ się głos starszego sierżanta Rourka:

- Alfa Trzy Jeden, tu Alfa Trzy Cztery. Przejechaliśmy zakręt. Czy

zawracamy? Odbiór.

Ellerbee spojrział na rząd stojących za nim czołgów. Zrozumiał, że manewr zawracania zajmie dużo czasu którego być może nie mieli ci, którym śpieszył z pomocą. A skoro już raz minęli zakręt, to jaką mogli mieć gwarancję że nie miną go po raz drugi? Spojrział raz jeszcze na mapę

TRÓJKĄT ŚMIERCI

321

i doszedł do wniosku, że z terenu fabryki mogą się wydostać na przełaj wprost na stację kolejową, trzeba tylko **było** jechać wzdłuż toru widocznego z wieżyczki jego czołgu. **Był** raczej pewien, że prowadzi on w kierunku, z którego ó& chodziły odgłosy walki. Odłożył więc mapę i włączywszy mikrofon, powiedział

- Nie, Trzy Cztery. Pojedziemy wzdłuż tego toru, prosto w kierunku centrum miasta. Kiedy znajdziemy się bliżej pola walki, podejmę dalsze decyzje.

Sierżantowi nie podobał się pomysł dowódcy, ale nie było czasu na dyskusje.

- Przyjąłem. Jedziemy za wami - odpowiedział więc bez entuzjazmu.

I tak cały trzeci pluton wjechał na tory kolejowe i ruszył w kierunku odgłosów walki.

Ścigając trzeciego jaguara - a przypuszczał, że to ostatni z czołgów tej grupy - Dixon nie zauważył, że wyjechali z miasta i znaleźli się na otwartej przestrzeni stacji towarowej. Działonowy namierzył

uciekającego i nie czekając na rozkaz, odpalił działą. Teraz również, tak jak poprzednio, użył pocisku HEAT.

Eksplozja czołgu i pożar prawie w samym środku stacji były dla kapitana Albrechta Benena i jego żołnierzy całkowitym zaskoczeniem. Cały peron i stojący wzdłuż niego transport zostały oświetlone płomieniami i wybuchami amunicji w płonącym czołgu. Niemieccy pancerniacy widzieli teraz wyraźnie sylwetkę amerykańskiego czołgu, którego lufa była zwrócona w ich kierunku. Nie wiedzieli co robić: walczyć czy uciekać.

Widok transportu czołgów, z których jedne były już wyładowane, a inne tkwiły jeszcze na lorach kolejowych, zaskoczył Dixona, Worisznowa i pozostałych członków załogi. Dixon nie miał najmniejszych wątpliwości, że trafili w gówno. Ryzykowali, a wszystko wskazywało, że szczęście ich opuściło. Kierowca czołgu, też bliski temu przekonaniu, zatrzymał maszynę i zanim jeszcze padł rozkaz pułkownika, wrzucił wsteczny bieg. Zaczęli się gwałtownie wycofywać.

322

HAROLD COYLE

Wybuch i pożar czołgu na stacji zaskoczył wszystkich, a najbardziej chyba Tima Ellerbee. Eksplozja nastąpiła nie więcej niż o sto metrów od miejsca, gdzie się właśnie znajdował czołg porucznika. Szybko się jednak zorientował w sytuacji: Niemcy stali tyłem do niego i wpatrywali się w płonący czołg. Pluton porucznika znajdował się na tyłach jakiegoś niemieckiego transportu, w doskonałej pozycji do ataku. I nie zastanawiając się wiele **wydał** przez radio rozkaz, by jego czołgi ustawiły

się w linii po obu stronach jego maszyny i ostrzelały przeciwnika. Nie czekając na potwierdzenie rozkazu, odłożył mikrofon i rozkazał załodze swojej maszyny przygotować się do otwarcia ognia. Rozkaz był chaotyczny - Ellerbee nie wymienił nawet celu, ale działonowy nie miał wątpliwości, o co chodzi. Znajdowali się właśnie naprzeciwko jakiegoś jaguara, stojącego na lorze kolejowej, z zamontowanymi wyrzutniami rakiet, gotowymi w każdej chwili do odpalenia. Gdy Ellerbee krzyknął „Ognial”, działonowy nacisnął przycisk.

Pożar czołgu na peronie dworca zaskoczył Niemców. Wybuch i pożar innego czołgu za ich plecami był dla nich szokiem. Kapitan Albrecht Benen odwrócił się i w łunie eksplozji zobaczył cały rząd amerykańskich czołgów, które zajęły ich od tyłu. Rzucił się pod koła wagonów, szukając tam schronienia. W tym momencie drugi z amerykańskich czołgów zniszczył kolejnego Jaguara, jeszcze tkwiącego na platformie kolejowej. Benen nie miał pojęcia, że ich siły były o wiele większe niż te, jakimi dysponowali atakujący Amerykanie. Kapitan, jak jego podkomendni, **był** w szoku. Wszyscy szukali jakiegoś schronienia, nikt już nie myślał o walce.

Minęło kilka minut, zanim Scott Dixon i jego załoga zrozumieli, że szala przechyliła się radykalnie na ich stronę. Nie mieli ochoty włączyć się do walki. Zrobili już, co mogli, a co najważniejsze, uszli z życiem. Byli cali i zdrowi, pełni nadziei, że powrócą do swych domów. Nie czuli dumy. Byli po prostu spoceni, ale zadowoleni, że wykaraskali się z opresji.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

W czołgu panowało milczenie, które przerwał dopiero Worisznow. Wysunął głowę z wieżyczki, zdjął hełm, otarł pot z brudnego czoła, popatrzył na Dbcona i powiedział:

- A jednak, pułkowniku, automatyczne podawanie pocisków jest o wiele wygodniejsze. Musi pan powiedzieć swemu generałowi, by zainstalowali wam takie urządzenie.

Dixon parsknął śmiechem. ..

- Proszę mi o tym przypomnieć, pułkowniku, kiedy dojedziemy do Bremerhaven.

Worisznow pokiwał głowę:

- Oczywiście, że przypomnę - odparł z powagą.

Rozdział XV

20 stycznia

Biorąc pod uwagę siły obu stron, potyczki, do jakich dochodziło, miały charakter ograniczony. Działania odbywały się w rejonie ciągnącym się od Giessen na zachodzie po Eisenach na wschodzie, od Kassel na północy po Fuldę na południu. Jediną większą rzeką w tej części Niemiec jest płynąca z północy na południe Fulda. Większość miast i osiedli tu położonych to niewielkie skupiska ludzkie, nie mające większego znaczenia strategicznego.

Zdarzenia, jakie się tu rozgrywały, przeszły do historii pod nazwą bitwy o środkowe Niemcy. A walki te toczyły się najczęściej w niewielkich dolinach i na zalesionych stokach wzgórz, co powodowało, że żadna ze stron nie była w stanie wykorzystać najnowocześniejszych rodzajów broni dalekiego zasięgu. Najczęściej dochodziło do starć, w których każda ze stron wystawiała siły[^]iajwyżej jednej kompanii. Nie było więc wielkich

operacji całych jednostek, lecz tylko dość przypadkowe i chaotyczne starcia. Nie walczyli z sobą generałowie czy pułkownicy, ale głównie kapitanowie i porucznicy. Obie strony usiłowały się wzajemnie zaskakiwać, zastawiały zasadzki, dokonywały gwałtownych, regionalnych ataków. W całości jednak 10. Korpus tak rozstawił swoje siły, by rozprawić się z agresywną niemiecką 2. Dywizją Pancerną, przywiązując mniej uwagi do dość nieruchawej 10. Dywizji Pancernej, zagrażającej od zachodu.

Pogoda miała duży wpływ na toczącą się bitwę. Krótkie dni i długie noce, trwające od 16.30 do 7.30, utrudniały

TRÓJKĄT ŚMIERCI

325

walkę i pracę służb pomocniczych. Zimna aura nie pozwalała na rozgrzanie się. I właśnie warunki atmosferyczne w znacznej mierze powodowały, że sytuacja zarówno żołnierzy 10. Korpusu, jak i Bundeswehry stawała się coraz trudniejsza.

ft ft ft

Kapitan Friedrich Seydlitz, trzęsąc się z zimna, wyglądał z otwartej wieżyczki swego czołgu Leopard II. Zajmowali pozycje na skraju lasu, siedemnaście kilometrów na południe od Bad Hersfeld. Stali tu i czekali. Byli pewni, że w najbliższym czasie zaatakują ich jednostki amerykańskiej piechoty zmechanizowanej, które stacjonowały w lesie po przeciwnej stronie doliny. Nie ulegało wątpliwości, że Amerykanie przygotowywali się do ataku. Już od pewnego czasu wywierali nieustanny nacisk na brygadę Seydlitza. Zająwszy pozycje na

wysuniętym przedpolu batalionu Seydlitz nie mógł zrozumieć, dlaczego jego kompania, podobnie jak i inne oddziały ich jednostki, znajduje się ustawicznie w defensywie. Nikt nie usiłował im tego wyjaśnić, oni zaś nie wiedzieli, że ich armii brakuje paliwa, i że amerykańska brygada zaatakowała tyły 2. Dywizji Pancерnej. Seydlitz otrzymywał jedynie lakoniczne rozkazy, w których polecano mu zajęcie takich a takich pozycji i przygotowanie się do obrony. Jego zadaniem miało być w najlepszym razie przypuszczenie kontrataku.

Z daleka doleciał go odgłos wystrzałów i warkot silników. Amerykanie otworzyli ogień artyleryjski, co było wyraźną zapowiedzią ataku. Wojsko Seydlitza nigdy Jeszcze nie było celem ognia artyleryjskiego, toteż nie bardzo wiedział, czego należy oczekiwać. Oczywiście uczestniczył w niezliczonych ćwiczeniach, ale wtedy strzelano do wraków, wszystko odbywało się pod kontrolą, a działania były prowadzone tak, by nikomu nic się nie stało. Seydlitz skulił się w wieżyczce i zamknął pokrywę wjazdu. Tym razem celem pocisków armatnich był on sam.

326

HAROLD COYLE

Obok nich spadły pierwsze pociski, usłyszeli uderzenia odłamków o pancierz ich czołgu. Siedzieli teraz zamknięci w stalowym pudle i nic nie byli w stanie zrobić. Wciąż czekali. Mogli się co najwyżej modlić. Pancierz tłumiał odgłosy kanonady, ale to nie zmniejszało napięcia i strachu.

Seydlitz rozejrzał się po wnętrzu czołgu. Najbliżej niego siedział skulony na swoim foteliku ładowniczy. Patrzył na kapitana, próbując się

uśmiechnąć. Seydlitz zauważył, że faceta oblewa pot. Z całą pewnością nie z gorąca, lecz ze strachu i emocji.

Obsługujący działą poinformował w pewnym momencie dowódcę:

- Dym. Kładą przed nami zaporę dymną.

Seydlitz przywarł do wizjera. Rzeczywiście, Przed nimi wznosiła się biała ściana dymu. Działonowy usiłował coś zobaczyć na podglądzie termicznym. Po chwili poinformował:

- Nic nie widzę. Użyli fosforu.

Seydlitz wiedział, o co chodzi. Przeciwnik **nie** postawił zwykłej, konwencjonalnej zasłony dymnej, lecz użył pocisków zawierających mieszanek białego fosforu i butylu. Dawała ona chmury dymu, a jednocześnie **palila** się, co powodowało, że wizjery podczerwieni stawały się nieprzydatne.

Chwycił mikrofon, by połączyć się z dowódcą batalionu i przekazać mu meldunek, ale szybko powstrzymał się, bo uświadomił sobie, że nie ma o czym zameldować. Nie otrzymał jeszcze informacji od dowódców maszyn ze swego plutonu, co oznaczało, że i oni nie mieli jeszcze Jasności sytuacji. Mógłby jedynie przekazać dowódcy swoje przypuszczenia, ale raport musi się opierać na faktach, nie na przypuszczeniach. Przełączył więc radio na częstotliwość kompanii i połączył się z dowódcami poszczególnych maszyn. Poczul ulgę, gdy ci raportowali, że widzą to samo co i on. Postawiono przed nimi zasłonę dymną, ale artyleria wroga biła w jakieś cele leżące dalej od ich linii. Kapitan polecił, by byli gotowi do ruszenia na rozkaz i przełączył się na fale dowództwa batalionu.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

Nie zdążył jednak przekazać meldunku, gdyż w słuchawkach rozległ się głos dowódcy kompanii stojącej na prawo od nich, a zaraz potem przekazano rozkaz dowódcy batalionu. Seydlitz szybko się zorientował, że cały impet ataku Amerykanów skierowany był na tamtą właśnie kompanię, a nie na nich. W pierwszej chwili poczuł ulgę, co być może było wyrazem braku profesjonalizmu, a nawet tchórzostwa, ale oddawało stan ducha i Seydlitza, i innych oficerów Bundeswehry.

Zaatakowana kompania znalazła się w opałach. Z meldunków radiowych wynikało, że atak nastąpił zza zasłony dymnej i w pierwszym momencie zaskoczył Niemców. Zareagowali jednak natychmiast, a ponieważ zajmowali doskonale zamaskowane pozycje, straty atakujących musiały być poważne.

Pierwsza salwa Amerykanów okazała się mało groźna. Ich czołgi początkowo kryły się za zasłoną dymną, ale atakując musiały się z niej wyłonić, wychodząc zaś na otwartą przestrzeń natychmiast stawały się celem niemieckiej artylerii. Większość amerykańskich czołgów została ostrzelana, bo Niemcy okazali się szybsi. Straty na linii zajmowanej przez leopardy Bundeswehry były niewielkie, a sprawne czołgi natychmiast zastępowały w walce maszyny zniszczone. Jedynie pojedynczym amerykańskim czołgom udało się dopaść linii lasu i przedrzeć przez linię niemieckiej obrony.

Seydlitz wsłuchiwał się w meldunki i odgłosy walki, niecierpliwie czekając na rozkaz. Ich kompania nie weszła jeszcze do walki, a kapitan zaczął się denerwować, że mogą zostać zaatakowani z flanki lub z tyłu. Nasłuchując meldunków starał się śledzić przebieg bitwy na mapie. Wiedział, że niektórym maszynom przeciwnika udało się przebić przez

ich linie. Stwierdził, że zdarzyło się to blisko ich pozycji. -Jeśli się tamtych szybko nie zlikwiduje - myślał -będą mogli skierować się właśnie na moją kompanię i zaatakują nas od tyłu. Jak wszyscy oficerowie wiedział, że przewagę ma zawsze atakujący. Ta bezczynność zaczynała go denerwować.

Uchylił pokrywę wjazdu i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Stwierdziwszy, że ogień artyleryjski przesunął się gdzieś na prawo od nich, odsunął pokrywę do końca, by mieć lepszy widok. Nagle usłyszał szum silnika, a po chwili zobaczył zbliżający się pojazd. Był to wóz pancerny M-13. Po oznakowaniu poznał, że należy on do oficera operacyjnego ich batalionu. Wóz z rozpędem podjechał i zatrzymał się przed ich czołgiem. Oficer operacyjny stał w otwartej wieżyczce. Demonstrując arogancję i odwagę nie miał na głowie hełmu, tylko beret. Wychylił się w kierunku Seydlitz i krzyżąc przekazał mu rozkazy:

- Seydlitz, twoją kompania zostaje na miejscu i obejmuje cały odcinek, zajęty w tej chwili przez batalion! Reszta, gdy tylko zniszczy wszystkie pojazdy przeciwnika, natychmiast zwija się i przesuwa na południe, tam atakujemy, by przedrzeć się w kierunku zachodnim! Złóżcie teraz meldunk 1. Brygadzie Pancernej i zostańcie na miejscu! Do pozostałych dołączycie po otrzymaniu rozkazu, jutro lub w najbliższych dniach! Zrozumiałeś?!

Niepewny, czy wszystko dokładnie usłyszał, bo słowa operacyjnego ginęły w warkocie silników wozu pancernego i czołgu, Seydlitz powtórzył rozkaz tak, jak go rozumiał:

- Zostaję tutaj i trzymam pozycje do momentu, aż jutro

nadejście rozkaz dołączenia do was na zachód od tego miejsca.

Operacyjny potwierdził skinieniem głowy.

- Dokładnie tak - nałożył słuchawki i przez mikrofon wydał kierowcy polecenie odjazdu. Wóz pancerny szarpnął do przodu i ruszył w kierunku, skąd dochodziły odgłosy walki. Oficer operacyjny nie oglądając się za siebie, pochylił głowę, by nie zaczepić o gałęzie drzew, gdyż kierowca prowadził pojazd dość nieostrożnie. Po chwili zniknęli między drzewami.

Seydlitz ucieszył się, że wreszcie otrzymał wyraźnie sprecyzowane rozkazy, co zwalniało go od podejmowania samodzielnie decyzji. Ale był też zirytowany, że musi zostać na miejscu, z dala od swej jednostki. Trwanie na pozycjach w obronie jakiegoś lasu nie mogło być wkładem na rzecz

TRÓJKĄT ŚMIERCI

329

zwycięstwa w bitwie o centralne Niemcy. Był przekonany, że jego zwierzchnicy zdają sobie z tego sprawę. Tylko atakiem można było złamać Amerykanów i udzielić im lekcji na temat suwerenności Niemiec. To, że nie będzie uczestniczył w tym ataku, bardzo go przygnębiło. Nie pomyślał nawet o stratach, jakie ponosi się przy każdej potyczce. Był przecież pancernikiem i pochodził z rodu o dumnych tradycjach żołnierskich. Armia, w której służył, była kiedyś postrachem całej Europy. Ta świadomość powodowała, że wolałby teraz być na

wysuniętej linii frontu. Ale jako niemiecki żołnierz wiedział, że rozkazy są po to, by je wykonywać. Wolałby pozostawić obronę innym, ale jego podstawowym obowiązkiem było wypełnianie rozkazów, bez względu na to, czy się z nimi zgadzał, czy nie. Te rozważania przerwało mu coś szczególnego. Oto w lesie zapanowała cisza. Bitwa dobiegła końca. Seydlitz rozłożył mapę i próbował ustalić, jak rozstawi swoje siły, gdy pozostała część batalionu się wycofa.

& A #

Zbliżając się od południa do autostrady nr 40 Kompania C, idąca na przodzie brygady Scotta Dixona, natknęła się na flankę 2. Dywizji Pancерnej. Znajdowali się już na terenie byłych Niemiec wschodnich. Jak w większości sytuacji, tak i to zetknięcie z wrogiem było całkowicie przypadkowe. Nie zmieniało to oczywiście faktu, że spotkania te były niebezpieczne i pociągały ofiary po obu stronach. Posuwali się wąską i błotnistą przecinką leśną, biegnącą na południe od autostrady. Kapitan Nancy Kozak sprawdziła ich pozycję na mapie. Z tyłu widziała pojazdy pancerne drugiego plutonu i czołgi plutonu porucznika Ellerbee.

Po raz trzeci w ciągu minionej doby Kozak znalazła się w opalach, nie uprzedzona przez kogokolwiek, że zbliża się do przeciwnika. Ostatniej nocy w Dermbach pluton Ellerbee zaatakował niemiecki konwój czołgów, zanim ona ze swoimi siłami zdążyła wjechać do miasta. Rano dowódca pierwszego plutonu, porucznik Sly Ahern wjechał w nie-

330

HAROLD COYLE

właściwą drogę i natknął się na kolumnę niemieckiej artylerii, która

właśnie przygotowywała się do odpoczynku. W tym momencie jej drugi pluton, który szedł w czole kolumny, przypuścił atak na siły niemieckie nie rozpoznanego rozmiaru. Jadąc w kierunku pola walki, zastanawiała się tylko nad jednym: kto ją rozpoczął, Niemcy czy oni?

Wprawdzie 63-tonowe czołgi M-1A1, jakimi dysponował Ellerbee, były szybsze od wozów pancernych bradley C60, ale na tej wąskiej i krętej przecince z trudnością nadążały za pojazdami kompanii. Poruszanie się polnymi drogami nie było zbyt wygodne, lecz pozwalało im na uniknięcie barykad, jakie Niemcy poustawiali na szosach dojazdowych do autostrady E40. A ich zadaniem było dotarcie na tyły 2. Dywizji Pancerniej i odcięcie jej od zaopatrzenia i oddziałów pomocniczych zaplecza. Dlatego też Dixon polecił swoim oddziałom, by parły na północ bocznymi drogami, niszcząc po drodze wszystkie napotkane siły niemieckie. Takie rozkazy otrzymali dowódcy wszystkich oddziałów i pododdziałów. Wyszukoleni przez Dixona, wypełniali je z gorliwością.

Oczywiście nie mogło to usprawiedliwiać dowódcy drugiego plutonu, którego obowiązkiem było złożenie Nancy Kozak raportu o tym, na kogo się natknął po drodze i co się w ogóle dzieje. Pędząc pojazdem pancernym błotnistą przecinką Kozak miała nadzieję, że młody i energiczny porucznik nie postąpił zbyt lekkomyślnie i nie zaatakował sił, z którymi nie mógłby sobie poradzić. Znała jednak lekkomyślność młodych poruczników, gdyż nie tak dawno sama była jednym z nich. Powodowana tego rodzaju obawami, parła do przodu tak szybko, jak tylko to było możliwe.

A porucznik Marc Gross prowadził swój pluton do akcji, która wydała mu się w pełni zgodna z rozkazami Dixona. Celem ataku były dwa

niemieckie pojazdy pancerne Mar-der, które zatrzymały się na otoczonej lasem polanie. Ich załogi tankowały paliwo. Gross dobrze ocenił sytuację i obawy Kozak okazały się bezpodstawne. Jego pluton dojechał do nie zaznaczonej na mapie polany i zatrzymał

TRÓJKĄT ŚMIERCI

331

się na linii lasu. Gdy nagle Gross usłyszał warkot silników Diesla, zeskoczył ze swojego pojazdu i dał znak żołnierzom, by szli za nim. Było ich piętnastu. Ruszyli gęsiego, po obu stronach przecinki. Kierowali się w stronę, skąd dochodził odgłos silników. Doszli do miejsca, które było zapewne szkółką drzewek, młodych sosenek. Tam, nie zasłonięci przez drzewa, stali Niemcy. Znajdowali się w odległości około stu metrów od Grossa i jego żołnierzy. Nie mieli pojęcia, że znaleźli się w niebezpieczeństwie. Porucznik widział dokładnie dwa mardery, wozy pancerne piechoty oraz dwie ciężarówki, z których Niemcy zdejmowali kanistry w benzyną. Inni żołnierze jedli coś lub po prostu wypoczywali. Najwyraźniej nie spodziewali się niczego złego. To właśnie spowodowało, że Gross postanowił zaatakować, nie czekając na resztę sił ich kompanii.

Porucznik podzielił swoje siły na dwie grupy, które ruszyły skrajem szkółki w przeciwnie strony, tak by zaatakować przeciwnika z dwóch kierunków. Jednego z żołnierzy Gross wysłał do bradleyów z rozkazem, by w chwili rozpoczęcia walki podciągnęły do przodu i osłaniały ich ogniem, gdyby zaszła taka potrzeba. Zadanie, jakie mieli do wykonania, było łatwe. Za pomocą przenośnych, opieranych na ramieniu wyrzutni rakiet przeciwpancernych mieli rozbić pojazdy pancerne Niemców, nie

niszcząc wozów dostawczych i zapasów paliwa. Gross przewidywał, że nagły atak i pojawienie się jego czterech bradleyów odbiorą Niemcom ochotę do zbyt zacieklej obrony.

Gdy już przygotowywali się do akcji, Grossowi przyszło na myśl, czy przypadkiem gdzieś w drzewach nie kryje się jeszcze jeden pojazd typu Marder. Mogły być zresztą nawet dwa, gdyż, jak porucznik sobie przypomniał, plutony niemieckiej piechoty zmotoryzowanej dysponują na ogół czterema tego typu pojazdami. Było już jednak za późno, by mógł wstrzymać operację. Żołnierze zajmowali pozycje do ataku. Nie przyszło mu również do głowy, że w każdych okolicznościach miał obowiązek złożyć meldunek dowódcy kompanii.

332

HAROLD COYLE

Doszedłszy do miejsca, które uznał za najbardziej dogodne do ataku, Gross odczekał kilka minut, by drugi ich zespół dotarł na teren szkółki z jej drugiej strony. Zaczęli się przygotowywać do podjęcia akcji. Gdy żołnierze ustawiali wyrzutnie rakiet, Gross rozglądał się szukając wzrokiem innych niemieckich wozów. Ale nie zobaczył ich. I dopiero w tym momencie zrozumiał, że popełnił błąd. Ustawił swoich po obu stronach celu, mogli się więc wzajemnie ostrzelać! Już chciał przesunąć swoją grupę, gdy spostrzegł, że niemiecki sierżant wydaje jakieś rozkazy. Wyglądało na to, że tamci zaczynają się przygotowywać do odjazdu. Nie było chwili do stracenia. Musieli wierzyć w łut szczęścia. Nagle Gross uzmysłowił sobie, że nie złożył meldunku kapitan Kozak. Popełnił zatem błąd. Pozostawała mu jedynie nadzieja, że sierżant, którego posłał z roz-

kazem do dowódców bradleyów, zrobił to za niego. Spojrzał w kierunku Niemców. Najwyraźniej zbierali się do odjazdu. Nie można była dłużej czekać.

I wtedy właśnie Gross podjął ostateczną decyzję - podniósł swój karabin M-16, wycelował i oddał pierwszą salwę. Tak rozpoczęła się krótka bitwa.

Kozak tymczasem dojechała do miejsca, gdzie stały bradleye drugiego plutonu. Kazała je ominąć i jechać w kierunku, gdzie toczyła się walka. Wprawdzie nie widziała jeszcze żołnierzy i celu ataku, ale bez trudu domyśliła się, że wszystko rozgrywa się na terenie widniejącej w oddali szkółki. W chwilę potem zobaczyła po przeciwnej stronie dwa mardery. Jeden z nich był zniszczony, drugi zaś sprawiał wrażenie porzuconego, co było zgodne z rzeczywistością. Sierżant Danny Wolf lustrował oba niemieckie pojazdy przez lornetkę, by sprawdzić, co się tam wydarzyło. Tymczasem kapitan Kozak kazała podjechać bliżej. Zatrzymali się między dwoma marderami. Tu napotkali porucznika Grossa. Zasalutował, nie mogąc ukryć uśmiechu radości, i zaczął meldować:

- Pani kapitan, porucznik Gross ma honor zameldować, że drugi pluton Kompanii C złamał opór niemieckiego oddziału. Zniszczył jeden pojazd typu Marder i zdobył drugi oraz dwa samochody ciężarowe z paliwem. Wzięto piętnastu jeńców. Strat własnych nie ma.

Kozak słuchała rozglądając się wokół. W przeciwieństwie do Grossa nie czuła podniecenia, była po prostu strasznie zmęczona. Z największym trudem starała się skoncentrować. Zauważyła, że załoga jednego z bradleyów Grossa pilnowała jeńców, których rewidowało kilku żołnierzy, sanitariusze zaś opatrywali rannych Niemców. Zobaczyła też kilka

trupów, dowód, że przeciwnik musiał drogo zapłacić za swe nieuwagę, a zwycięstwo Grossa. Wreszcie zwróciła się do porucznika i nie ukrywając złości spytała:

- Dlaczego, u diabła, nie meldował pan, poruczniku o podjęciu akcji? Jak można atakować bez zezwolenia?

Zaskoczony Gross spowaźniał i po chwili zastanowienia odparł:

- Widziałem tylko dwa mardery, pani kapitan. Najwyraźniej się nas nie spodziewali.
- A skąd wiedzieliście, że są tylko dwa? Tu, wśród drzew, mogła stać jeszcze cała kolumna!

Gross nie odpowiedział, choć przypomniał sobie, że po dobre myśli przyszły mu do głowy przed przypuszczeniem ataku. Jego milczenie i speszony wyraz twarzy upewniły Kozak, że jej podejrzenia co do lekkomyślności porucznika nie były bezpodstawne. Była jednak zbyt zmęczona by przeciągać rozmowę. Zauważyła, że kierowca Grossa wyciąga kanistry ze zdobycznych wozów i niesie je do swego bradleya, by zatankować. Spojrzała na porucznika i poleciała:

- Paliwo zostawiamy dla czołgów Ellerbee. Wyślijcie kogoś, by kazał im tu podjechać. Mają dwadzieścia minut na zatankowanie.

Gross popatrzył na swego kierowcę i zaprotestował.

- My też potrzebujemy paliwa. Każdy z moich wozów ma nie więcej jak pół baku.

Kozak pokręciła głową.

- Oddział porucznika Ellerbee potrzebuje paliwa bardziej niż my. Macie coś jeszcze? Muszę przekazać meldu

nek do dowódcy batalionu.

L

HAROLD COYLE

Jeńcy. Co z nimi robimy?

- Gdybyście pilnie słuchali, co mówię, to doskonale byście wiedzieli, co z nimi zrobić - odparła niecierpliwie.

Spojrzał na gromadkę Niemców, to znów na kapitan Kozak.

- Pani nie mówi tego poważnie - powiedział cicho. - Ci faceci są wściekli na nas. Zabiliśmy trzech ich kolegów, a ci tylko przypadkiem wyszli cało. Gdy ich puścimy, dołączą do pierwszego napotkanego oddziału, wezmą broń i wrócą, by się zemścić.

- To niby co, waszym zdaniem, mamy zrobić? - spytała.

Gross także już nie krył złości.

- W każdym razie nie można ich puścić wolno. Wrócą przy pierwszej okazji, by nas wybić.

Ta odpowiedź wyprowadziła ją z równowagi. Wyjęła z kabury pistolet, wzięła za lufę i podała Grossowi.

,- Skoro tak, poruczniku Gross, to proszę, zastrzelcie ich. Nie mamy dla nich transportu, nie mamy ludzi, którzy by ich pilnowali. A więc nie ma innego wyjścia. Jest ich piętnastu, a w magazynku macie akurat piętnaście naboii.

Reakcja Kozak zaszokowała Grossa. Zawsze była opanowana i porucznik nie spodziewał się tak emocjonalnej i absurdalnej reakcji. Zrobił krok do tyłu i ze zdumieniem patrzył na kapitan Kozak. Dopiero teraz zauważył, jak bardzo jest zmęczona.

Zaczął bąkać jakieś słowa przeprosin, ale nie dała mu dokończyć.

- Zastanów się, Marc. Jeśli nie będziemy postępowali rozważnie, to z łatwością i ja, i ty, i my wszyscy razem możemy się znaleźć na ich miejscu. Nikomu z nas nie wolno o tym zapominać. Nie możemy sobie pozwolić na błędy. Przestań więc zachowywać się jak nieopierzony kadet na manewrach - powiedziała już spokojnym głosem.

Zapytała, czy ma jeszcze coś do zameldowania, a gdy zaprzeczył ruchem głowy, odwróciła się i poszła w kierunku swego bradleya. Idąc zerknęła na jeńców. Nie miała wątpliwości, że jeśli szczęście ich opuści, trafią do niewoli,

TRÓJKĄT ŚMIERCI

335

i to w najlepszym wypadku. Wszystko obecnie sprowadzało się do walki i do zwykłego szczęścia. Nic innego już się nie Uczyło.

Major Bob Massinger nie zgodziłby się z poglądem Nancy Kozak. Nie wierzył, by szczęście miało jakiegokolwiek znaczenie w operacjach militarnych, wolał polegać na wyszkoleniu i przewadze technicznej. Jako oficer operacyjny batalionu 14. Pułku Kawalerii Powietrznej, dysponującej helikopterami wsparcia liniowego, był dowódcą drobiazgowym i pragmatycznym. Gdy planował operację, nic nie uchodziło jego uwagi. Uwzględniał zawsze zapotrzebowanie na paliwo, rodzaj broni, jaką należało się posłużyć, Unię ataku, czas walki, siły obronne nieprzyjaciela, siłę wspierającego ich ognia. Z tych i z wielu

Innych elementów układał logiczny i zwarty plan operacji. Jeśli miał jakąś słabość, to była to nadmierna pewność siebie i przekonanie, że jest doskonałym oficerem.

I oto otrzymali zadanie ochrony 1. Brygady 4. Dywizji Pancerniej, posuwającej się na północ wzdłuż drogi nr 19. Mieli odnaleźć i zaatakować zgrupowania 4. Dywizji Pancerniej Bundeswehry, opóźnić ich marsz i, w miarę możliwości, rozbić je, by nie zagroziły oddziałom Scotta Dixona i nie mogły ich zaskoczyć.

Dopracowując rozkaz, Messinger użył słów, jakie znajdowały się w rozkazie, który otrzymał: „opóźnić i rozbić”. Dowódcom podległych mu kompanii wyjaśnił, że najlepszym sposobem opóźnienia i rozbicia przeciwnika jest po prostu zniszczenie go.

Messinger rozstawił swoje maszyny i sam dowodził z pokładu starego już OH-58D. Rozglądał się, czy w pobliżu nie ma niemieckich helikopterów albo wyrzutni rakiet ziemia-powietrze. Leciał na czele kompanii Apache'ów. Uważał, że musi ocenić ewentualną skuteczność ataku i ustalić, w jakim momencie należy się wycofać, gdyby dalsza operacja miała się okazać nazbyt niebezpieczna.

Wyszli na wysokość czubków drzew, na ryle, by dobrze widzieć, co się dzieje przed nimi. Messinger mógł się całkowicie skupić na penetrowaniu okolicy, gdyż pilot Perkins doskonale znał kierunek ataku i trzymał się dokładnie wcześniejszych ustaleń. W pewnym momencie ukazała się przed nimi wstęga szosy, a na niej kolumna pancerna. Na przodzie kolumny znajdowały się czołgi typu Leopard i pojazdy pancerne Marder. Messinger szukał jednak wzrokiem gepardów, uzbrojonych w działka prze-

ciwlotnicze kaliber 37 mm. Usiłował wypatrzyć również pojazdy pancerne typu Roland, na których umieszczano wyrzutnie rakiet ziemia-powietrze. Z tymi pojazdami należało się rozprawić w pierwszej kolejności, bo dla atakujących helikopterów były one najgroźniejsze.

Znalazł to, czego szukał i włączając radio, poinformował inne załogi:

- Kilo Dziewięć Pięć, tu Kilo Pięć Trzy. Widzę geparda.

Trzeci pojazd od czoła kolumny. Odbiór.

Po chwili dowódca jednego z helikopterów zameldował:

- Widzę go, Pięć Trzy. Z tyłu i w środku nie widać innych. Odbiór.

Messinger raz jeszcze przyjrzał się całej kolumnie i powiedział do mikrofonu:

- Gepard jest tylko jeden - chciał jeszcze dodać, że się nim zajmie, ale się powstrzymał. Był dowódcą. Powinien trzymać się z boku, kontrolować i dowodzić. Innym trzeba zostawić geparda. Postanowił sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyli i zająć się obserwacją reakcji Niemców na atak Apache'ów. Rozdzielił więc przez radio zadania. Wyglądało na to, że zaskoczenie będzie całkowite, toteż wydał rozkaz do podjęcia akcji:
- Dziewięć Pięć, zaczynamy!

Widział, jak helikopter określany kodem Dziewięć Pięć odnalazł cel i wystrzelił pocisk raketowy Hellfire. Gdy pocisk ukazał się nad czubkami drzew, w niemieckiej kolumnie zapanowało ożywienie. Było już jednak za późno. Hellfire trafił w wieżyczkę geparda. Pozostałe pojazdy zaczęły się odwracać w kierunku atakujących Apache'ów.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

Pięć maszyn wystrzeliło w kierunku kolumny pociski Hell-fire, celując głównie w leopardy.

Atak nadszedł ze strony, z której Niemcy się tego najmniej spodziewali. Na szosie zapanował całkowity chaos. Dowódcy pojazdów, które nie zostały trafione pierwszą salwą, kazali kierowcom zawracać i kryć się w lesie. Początkowo nikt nie panował nad sytuacją. Pojazdy wpadały na siebie, blokując drogę. Ogólne zamieszanie potęgował dym, gdyż niektóre czołgi zaczęły stawiać zasłonę dymną. Pojazdy piechoty zmotoryzowanej otwierały tylne klapy, tak by piechurzy mogli wyskoczyć na zewnątrz i skryć się na ziemi*. Korzystając z tego, że w kolumnie zapanował chaos, Apache zaatakowały powtórnie. Ich kolejna salwa zniszczyła następne pojazdy pancerne, pogłębiając zamęt i panikę na szosie.

Messinger przyglądał się temu wszystkiemu z pewnej odległości. Był zadowolony z wyników ataku i z sytuacji, w jakiej się znalazła kolumna przeciwnika. Nie miał jednak wątpliwości, że za chwilę wszystko to się uspokoi. Już widział, jak leopardy unosiły lufy dział, by ostrzelać atakujące ich helikoptery. Wprawdzie dział czołgu nie było zbyt skuteczną bronią przeciwlotniczą, niemniej jednak nowoczesny system komputerowy, podobny do tego, jakim dysponowały amerykańskie M-1A1, dawał Niemcom znaczne szanse zestrzelenia przeciwnika. Nie wolno było tego lekceważyć, toteż Messinger wydał załogom rozkaz, by oddały jeszcze jedną salwę i przerwały atak. Mogliby wprawdzie w dalszym ciągu atakować i zniszczyć jeszcze kilka pojazdów, ale zapewne nie obyłyby się tym razem bez własnych strat, a przecież nie

mieli żadnych uzupełnień. Pomyślał, że może jeszcze gdzieś w innym miejscu, na tej samej szosie, natrafią na kolumnę śpieszącą z pomocą 2. Dywizji Pancерnej, więc celów do ataku im nie zabraknie. Tu odnieśli sukces. Zniszczyli kilka pojazdów, zablokowali skutecznie szosę i zdeorganizowali odsiecz. Wykonali więc postawione im zadanie.

Messinger usłyszał w słuchawkach, że dowódcy Apache-ów potwierdzili rozkazy. Podniósł głowę i spojrzał na Per-nsa.

338

HAROLD COYLE

- OK, Lany. Zrobiliśmy już, co należało. Lecimy teraz na południe. Może uda nam się to powtórzyć.

Lany Perkins skinął głową, obniżył nieco lot, schodząc na wysokość czubków drzew i odwrócił maszynę przodem na południe. Wykonując ten manewr, znalazł się prosto w celowniku *strzelca nadlatującego niemieckiego* helikoptera. Niemiec widząc zbliżającą się maszynę, posłał serię z działka kaliber 20 mm. Nie miał czasu na zbyt precyzyjne celowanie, ale pociski osiągnęły cel rozrywając się wewnątrz kabiny 0-58D. Jeśli byli jacyś obserwatorzy tego, co się właśnie stało, to musieli z pewnością pomyśleć, że na wojnie myśliwi w każdej chwili mogą się stać zwierzyną.

Rozdział XVI

20 stycznia

Odprawa nie zapowiadała się na zbyt długą, ale Wielki Al czuł, że i tak nie wytrzyma do końca. Zresztą nikt z oficerów jego sztabu nie potrafił usiedzieć dłużej niż dziesięć minut, by nie zasnąć. Każdy z nich już co najmniej od trzech dni nie zmrużył oka, i to wcale nie dlatego, by działa

się coś niedobrego, coś, czego nie przewidzieli. Przeciwnie, wszystko przebiegało dokładnie tak, jak zaplanowano. Ruchy wojsk obu stron były takie, jak przewidywał generał Malin.

Malina i oficerów jego sztabu gnębiło to, co gnębi wszystkich starszych rangą żołnierzy w czasie współczesnych działań wojennych. Wielki Al wydawał rozkazy, decydował, kiedy i gdzie będą staczane bitwy, ale na tym się kończyła jego rola. Ani on, ani jego sztab nie mieli wpływu na to, co później nastąpi. Mimo najnowocześniejszych środków łączności, doświadczenia i wiedzy, jaką dysponowali, o przebiegu zmagania decydowano w kompaniach i plutonach tam, w lasach, w dolinach i na drogach Niemiec środkowych. Mogli wprowadzić wsparcie walczące oddziały ogniem artyleryjskim lub atakiem helikopterów, ale o charakterze starć decydowali jednak ci, co znajdowali się na froncie.

Rozkazy Malina poruszały dywizje, których sztaby wydawały rozkazy brygadam. Z kolei dowódcy brygad instruowali dowódców batalionów, od których wychodziło

olecenie do kompanii. Wreszcie rozkazy dochodziły do

340

HAROLD COYLE.

młodych poruczników i sierżantów w plutonach i właśnie tam decydowały się w gruncie rzeczy losy batalii.

Wielki Al patrzył na mapę i czuł, że nerwy ma napięte do granic wytrzymałości. Członkowie jego sztabu zdawali sobie sprawę z rozterek dowódcy i starali się mu dostarczać możliwie szybko jak najwięcej informacji. Jeden ze sztabowców powiedział, że to tylko kwestia czasu,

gdy ich dowódca nie opanuje wściekłości.

Ofiarą wybuchu złości Malina stał się Bogu ducha winien młody major artylerii, który właśnie składał raport o tym, w jaki sposób artyleria wspiera działania oddziałów frontowych. Generał przez jakiś czas w milczeniu słuchał, wreszcie dał szefowi sztabu znak ręką, że chciałby przyspieszyć przebieg odprawy. Ten chrząknął i ruchem dłoni usiłował popędzić mówiącego. Młody major nie zauważył jednak gestu generała, nie zrozumiał też intencji szefa sztabu i zamiast skończyć raport, w dalszym ciągu sypał cyframi, datami i informacjami, co przypominało nudny wykład.

I wreszcie Wielki Al nie wytrzymał. Wstał, powiedział: „Dziękuję” i zaczął się przeciskać do wyjścia. Oficerowie zrywali się z miejsc, by zrobić mu przejście. Za generałem pośpieszył zaskoczony adiutant, zabierając po drodze hełm, kurtkę i notatki swego dowódcy. Wielki Al wyszedł z wozu sztabowego i ruszył prosto przed siebie. Gdy adiutant go dogonił, Wielki Al zatrzymał się przed ogrodzeniem otaczającym kwaterę dowództwa 10. Korpusu. Stał na skraju szosy i patrzył na przeciągające nią konwoje. Adiutant przystanął o kilka metrów od generała, czekając, aż ten poprosi o kurtkę i hełm. Wielki Al stał jednak nieruchomo i patrzył na mijające ich wozy. Właśnie przejeżdżała kolumna ambulansów, co tylko jeszcze bardziej go poruszyło. Ten widok przypominał bowiem, że cała operacja nie ma nic wspólnego z manewrami. Za wszystkie decyzje, jakie podejmował, trzeba było zapłacić krwią żołnierzy.

Z szoferki swego ambulansu Hilary Cole zobaczyła dwóch oficerów, stojących na skraju szosy. Niższy, bez hełmu i bez kurtki, przyglądał się mijającym go samocho-

dom. Nie widziała jego twarzy, ale już sama postawa świadczyła, że jest to ktoś ważny. Drugi oficer, stojący z tyłu, trzymał w ręku hełm i kurtkę, zapewne tego pierwszego. Cole nie znała żadnego z nich, ale nie miała wątpliwości, że ten pierwszy, niższy wzrostem, jest dowódcą i kimś bardzo ważnym.

Pomyślała jednak, że dla niej ważny nie jest, przynajmniej w tej chwili. Teraz marzyła tylko o tym, by choć na kilka godzin móc uciec od okropności wojny. W kabinie kierowcy było ciepło, a jednostajny szum silnika działał kojąco. Zwinęła koc i podłożyła go sobie pod głowę. Oparła się dość wygodnie, usiłując się zdrzemnąć. Wiedziała, że gdy nadejdzie dzień, czeka ją znów ta makabra. Trzeba się będzie zająć rannymi, których wieźli w konwoju, 1 kolejnymi rannymi zwożonymi z pól bitew. A słyszała, że to jeszcze nie koniec walk, co oznaczało dziesiątki, jeśli nie setki rannych.

Zapadając w sen zastanawiała się, czy ten niski człowiek ma jakiś związek z toczonymi bitwami. Jeśli tak, to czy zdawał sobie sprawę, ile cierpień niosą z sobą jego rozkazy? Zapewne nawet o rym nie myślał. Nikt rozsądny nie wysyłałby innych na śmierć i nie narażał ich na kalectwo, gdyby sam kiedykolwiek widział, co się dzieje na polu walki. Myśli płynęły coraz leniwiej i wkrótce Cole zasnęła.

ft -wr ft

Nagle pojawienie się oficera zaopatrzenia batalionu zaskoczyło kapitana Friedricha Seydlitza. Skulony w wieżyczce swego leoparda, spał głębokim snem. Obudziło go energiczne szarpanie. Gdy wreszcie

otworzył oczy, usłyszał śmiech.

- Cóż za przyjemność widzieć obrońcę ojczyzny czuwającego na posterunku!

Seydlitz nie widział twarzy mówiącego, ale poznał go po głosie. Pomyślał, że nie dzieje się nic szczególnego, więc burknął:

- Odpieprz się, Rudi.

342

HAROLD COYLE

Klepiąc kolegę po ramieniu kapitan Rudi Buhle zaśmiał się jeszcze głośniej.

- Ciesz się, Friedrich, że wojna nie pozbawiła cię dobrego humoru - Rudi znany był z pogodnego usposobienia i z umiejętności podnoszenia kolegów na duchu, a Seydlitz tego właśnie bardzo potrzebował.

Zostawiony sam ze swoją kompanią i odpowiedzialny za teren, na którym stacjonował cały batalion, Seydlitz był bliski nerwowego załamania. Jego czołgi były teraz tak rozstawione, że nie mogłyby się wzajemnie wspierać w razie ataku. A wróg wciąż czaił się po przeciwnej stronie doliny i już kilkakrotnie ostrzelał ich pozycje ogniem artyleryjskim. Zmęczony i zdenerwowany, Seydlitz nie skojarzył, że ogień rozpoczynano zawsze wtedy, gdy przez radio łączył się z batalionem. Amerykanie bezbłędnie lokalizowali źródło transmisji - i wtedy atakowali.

Buhle usiadł obok niego. Seydlitz przeciągnął się ziewając.

- Wreszcie zdecydowałeś się nas odszukać, Rudi - powiedział z wyczuwalną pretensją w głosie.
- Co znaczy: wreszcie? - oburzył się kapitan. - Jesteśmy w drodze od

rana i nie możemy znaleźć batalionu. Gdzie wy się ukrywacie?!

- Siedzimy tutaj już od wielu godzin. Nie czytałeś rozkazów?
- Nie rozśmieszaj mnie! - oburzył się Buhle. - Nie dostaję rozkazów od tygodnia. Włączymy się z moją kolumną zaopatrzenia po całej okolicy i wypytujemy wszystkich o nasz batalion. Ale wiesz co? Nie wolno pytać cywilów. Jakiś starszy facet dokładnie poinformował mnie, gdzie jesteście, a potem się okazało, że kłamał. Niemiec, rodak, a taki numer!
A my walczymy za ojczyznę!

Buhle niby się oburzał, ale w gruncie rzeczy był zmieszany i zdezorientowany. Wszyscy zresztą tacy byli. Wiedzieli, że wielu Niemców nie popiera działań i decyzji kanclerza, ale żeby okłamywać wojskowych...

Nastała chwila milczenia, siedzieli pogrążeni w niewesołych myślach. Pierwszy otrząsnął się Buhle, poklepał kolegę po ramieniu i mruknął:

TRÓJKĄT ŚMIERCI

343

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Seydlitz nie odpowiedział - był zbyt zmęczony, sfrustrowany obowiązkami, którym nie potrafił sprostać. Jego kompania potrzebowała paliwa i zaopatrzenia. Przybycie Rudiego rozwiązywało jeden z ważniejszych problemów, jakie go trapiły.

iSr -ft -A

Kiedy się obudziła, byli już tylko o pięć kilometrów na północny zachód od Bad Hersfeld, o czym Hilary Cole oczywiście nie wiedziała. Właśnie się zbudziła, byłajeszcze zaspana. Dopiero po chwili dotarło do niej, że samochód stoi, silnik pracuje, a kierowca, oparty o okno po swojej stronie,

śpi jak zabity. Wyjrzała. Stali na poboczu o kilka metrów za jakimś samochodem ciężarowym. Zastanawiała się, dlaczego stoją, ale nie miała ochoty wyjść na zimno, by się tego dowiedzieć. W kabinie było ciepło, a szum silnika działał na nią kojąco. Zapewne zatrzymała ich żandarmeria, by przepuścić jakiś konwój zdążający na linię frontu, co się zresztą zdarzało dość często.

Nie wiedziała, że stali za konwojem saperskim, który czekał na rozkaz do wymarszu. Niewiele ją teraz obchodziło. Marzyła tylko, by dano jej jeszcze trochę spokoju i pozwolono się przespać. Zdawała sobie sprawę, że już niedługo nie będzie nawet mogła o rym marzyć.

Tankowanie i zaopatrywanie kompanii Seydlitza zajęło więcej czasu, niż przewidywał Buhle. Ale nie można się było temu dziwić. Żołnierze obu kompanii byli śmiertelnie przemęczeni, snuli się jak muchy w smole, nie docierało do nich, co robią. Buhle patrząc na nich zastanawiał się, czy ludzie w takim stanie mogliby walczyć. - Każda wojna, a ta w szczególności, jest idiotyzmem - pomyślał.

Miał wielką ochotę położyć się gdzieś za jednym z czołgów Seydlitza i zdrzemnąć się choć kwadrans. Ale przecież

344

HAROLD COYLE

nie mógł sobie na to pozwolić. Batalion musiał być gdzieś w pobliżu, gdyż na pewno kończyło mu się paliwo. Buhle z niechęcią polecił kierowcom wsiąść do wozów i sam ruszył na czele kolumny.

Leśną drogą dojechali do asfaltowej szosy, gdzie Buhle kazał kierowcy

skręcić w prawo, w kierunku Hunfeldu. Żołnierz, również półprzytomny ze zmęczenia, wykonał polecenie. Posuwali się wolno, aby wozy ciężarowe mogły pokonać zakręt, jadąc śladem terenowego volkswagena dowódcy. Buhle uchylił drzwi po swojej stronie i spojrzał w tył. Sierżant jadący ostatnim wozem miał mu dać sygnał zielonym światłem, gdy wyjedzie na szosę.

Zimne powietrze wieczoru pomagało przezwyciężyć znużenie i odświeżało umysł. Wiedział, że ma przed sobą ciężką noc i nie może się nawet na chwilę zdrzemnąć. Musiał pilnować swoich ludzi i być dla nich przykładem.

Po chwili Buhle zobaczył na końcu konwoju zielone światło. Był jednak tak zmęczony, że dopiero po kilku sekundach dotarło do niego, co to oznacza. Wreszcie wsunął się znów do kabiny, zatrzasnął drzwi i kazał kierowcy przyspieszyć. Nie zauważył jednak czerwonego światła, jakie zaczęło migotać przed nimi. Spostrzegł je natomiast kierowca i gwałtownie zahamował. Buhle uderzył głową w przednią szybę, a jadący za nimi samochód ciężarowy lekko stuknął w volkswagena.

Buhle, nieco oszołomiony, wyprostował się i pytająco spojrzał na kierowcę. W chwilę potem zauważył jakieś cienie zbliżające się do ich pojazdu od strony szoferki. Minęło kilka sekund, zanim pojął, że ich dżipa otaczają jakieś postacie, które wyłaniały się z ciemności nagle i niespodziewanie. Ktoś, kto podszedł do wozu, zapalił czerwoną latarkę i oświetlił ich twarze. Nic nie mówił, a oślepiony Buhle dopiero teraz zaczął sobie uświadamiać, z kim mają do czynienia. Przypomniał sobie ostrzeżenie Seydlitza, który twierdził, że na ich tyły przedostały się oddziały amerykańskie.

Obcy, widząc konsternację na twarzy Buhlego, wreszcie się odezwał:

TRÓJKĄT ŚMIERCI

345

- Bardzo przepraszam, panie kapitanie, po prostu sprawdzamy, czy wszystko w porządku. Wygląda na to, że was zaskoczyliśmy.

Buhle wyczuł w jego głosie wyraźny wschodni akcent, co zresztą uspokoiło go. Po chwili żołnierz przedstawił się:

- Nie chcieliśmy was nastraszyć. Jestem porucznik Kramer, 75. Kompania Żandarmerii Polowej.

Wszystko to dość powoli docierało do przyćmionej zmęczeniem świadomości Buhlego. Porucznik Kramer dodał jeszcze:

- Przykro mi, ale musicie zawrócić. Droga jest zamknięta.

Buhle natychmiast oprzytomniał:

- Chcecie powiedzieć, że Amerykanie przedarli się aż tak głęboko na nasze tyły?! - spytał.

- Tak, panie kapitanie. Są rzeczywiście bardzo blisko stad.

Zajęty rozmową z porucznikiem żandarmerii Buhle nie zauważył cieni żołnierzy, poruszających się za plecami porucznika. Nie spostrzegł ich również kierowca, który korzystając z okazji oparł głowę na kierownicy i drzemał. Tymczasem żołnierze zaczęli otaczać ich konwój z obu stron.

Żandarm zrobił krok do tyłu i skierował światło latarki na tył konwoju. Buhle usiłował się wygramolić z szoferki volkswagena. Nie zauważył,

że Kramer daje latarką Jakieś znaki, spostrzegł natomiast sygnały dawane z tyłu zielonym światłem. Próbował zebrać myśli. Dlaczego jego sierżant sygnalizował? Może był tak zmęczony, że robił to bezwiednie? A może przypuszczał, że on, Buhle, zatrzymał kolumnę, by sprawdzić, czy już wszystkie wozy wyjechały na szosę? - Zresztą, wszystko jedno. To się zaraz wyjaśni -pomyślał. Odwrócił się w kierunku żandarma, ten zaś wyjął pistolet i wycelował prosto w twarz Buhlego, który zaskoczony potrząsnął głową, niepewny, czy dobrze widzi, i cofnął się o krok. W tym momencie dobiegł go szept porucznika:

- Jeśli będziecie mądrzy i rozsądni, nic się wam nie stanie. Jeśli nie, pozabijamy was. Dla mnie to nic trudnego.

346

HAROLD COYLE

Buhle, w dalszym ciągu nie rozumiejąc, o co chodzi, zaprotestował:

- Co jest, do diabła?! Powariowaliście?!

Szczęk repetowanej broni był jedyną odpowiedzią, jakiej udzielił Niemcowi major Mikołaj Ilwanicz. Ale i to wystarczyło, by niemiecki kapitan mógł się przekonać, że porucznik żandarmerii nie jest tym, za kogo się podaje, a on sam i jego ludzie znaleźli się w strasznych tarapatach.

Nie odwracając oczu od zatrzymanego oficera, Ilwanicz zawołał po angielsku:

- Sierzancie Rasper, porucznik Fitzhugh i jego ludzie

gotowi!

Nie czekając na dalsze instrukcje, starszy sierżant Rasper z Kompanii A 1. Batalionu Komandosów dał trzy sygnały naciskając klakson volkswagena Niemców. Chodziło o wprowadzenie w błąd niemieckich kierowców i zasygnalizowanie całej Kompanii C, że akcja właśnie się rozpoczyna. Komandosi wyskoczyli na szosę, podbiegli do ciężarówek i zaczęli otwierać drzwi szoferek. Z niektórych wypadali drzemiący kierowcy. Rozległy się krzyki zaskoczonych Niemców, którzy nagle zobaczyli wycelowane w nich lufy M-16. W ciągu kilku sekund i bez jednego wystrzału kolumna znalazła się w rękach ludzi Ilwanicza. Zdobyli cenne zaopatrzenie, paliwo i amunicję.

Buhle usiłował zebrać myśli. Niewiele mógł zobaczyć, ale słyszał wszystko wyraźnie: okrzyki zdumienia i przerażenia jego żołnierzy, ostre polecenia komandosów, którzy kazali im podnosić ręce do góry, czasami dobiegał go brzęk padającej na asfalt broni, zapewne odbieranej jego ludziom. Ogarnęła go wściekłość. Był całkowicie bezsilny. Poczul, że po policzkach płyną mu łzy. Zwrócił się do rzekomego oficera żandarmerii, który tymczasem odebrał mu pistolet, i nawet nie ocierając twarzy, zapytał:

- Kim, u diabła, jesteście?

Ilwanicz uśmiechnął się. Z humorem, który tak mu się u Amerykanów podobał, odpowiedział po angielsku, z wyraźnie rosyjskim akcentem:

TRÓJKĄT ŚMIERCI

347

- Panie kapitanie, my jesteśmy dobrzy, wy źli. Jesteście naszymi więźniami. - Westchnął i siląc się na oficjalny ton dodał: - W imieniu armii Stanów Zjednoczonych i Repub

liki Rosji dziękuję za przekazanie nam transportu. Zapewniam, że zostanie dobrze wykorzystany.

Papę, trzymając na muszce pistoletu maszynowego niemieckiego kierowcę, wybuchnął śmiechem. Rozwścieczony Buhle krzyknął:

- Co z nami zrobicie?

Ilwanlcz, wyrzuciwszy w krzaki jego pistolet, chrząknął i powiedział:

- Róbcie, co chcecie. A najlepiej - wynoście się stąd. A teraz zejdz mi z drogi - odwrócił się w stronę końca konwoju i rzucił rozkaz: - Wsiadać i przygotować się do odjazdu! Podać do tyłu!

Niczym echo polecenie Ilwanicza dotarło aż do ostatniego wozu, którym miał jechać porucznik Fitzhugh. Ilwanlcz szturchnął Buhlego pistoletam, a Papę trącił kierowcę, chcąc zająć jego miejsce. Wsiadając do dźlpa Ilwanlcz powiedział jeszcze do niemieckiego kapitana:

- Na pańskim miejscu nie miałbym pretensji do siebie. Może właśnie teraz jakiś wasz oddział robi to samo z jakimś naszym oddziałem, jak to na wojnie. Rozumie pan?

Buhle nie wiedział, czy tamten drwi z niego, czy go pociesza, ale teraz nie miało to już żadnego znaczenia. Przeżywał właśnie największe upokorzenie swego życia. Patrząc, jak jego wozy ruszają i powoli rozpływają się w ciemnościach, Buhle zastanawiał się, jak to możliwe, że bez jednego strzału stracił cały transport. Gdy szum silników umilkł w oddali, uświadomił sobie, że nie ma ani mapy, ani latarki. Byli teraz bezładną gromadą, pozostawioną w nocy, w zimie, na środku szosy. Upokorzeni i ośmieszeni...

Gdy Buhle tak się zastanawiał, co ma robić dalej, jego przyjaciel Seydlitz dowodził swoją kompanią. Miał wrażenie, że wszystko powoli wraca do normy. Tuż po odjeździe

348

HAROLD COYLE

Buhlego i jego kolumny zaopatrzeniowej objechał swoje pozycje. Ledwie wrócił, załoga jego czołgu poinformowała, że chce się z nim skontaktować oficer operacyjny brygady. Wszedł na wieżyczkę czołgu. Czuł straszne zmęczenie. Wsunął na uszy słuchawki i przekazał siedzącym w czołgu, by ustawili nadajnik na fale zarezerwowane dla łączności z brygadą. Gdy to zrobiono, nacisnął włącznik i zaczął wywoływać:

- Danzig Pięć Zero, tu Leo Cztery Siedem. Danzig Pięć Zero, tu Leo Cztery Siedem. Odbiór.

Oficer operacyjny włączył się natychmiast.

- Leo Cztery Siedem. Tu Danzig Pięć Zero. Zmiana rozkazów. Odbiór.

Seydlitz sądził, że ci z brygady zażądają jedynie meldunków i ta zapowiedź zmiany rozkazów zaskoczyła go. Krzyknął w głąb czołgu, by podano mu mapę, notatnik i latarkę. Rozłożył mapę przed sobą, otworzył zeszyt i czekał na polecenia. Jeden z członków załogi zauważył, że dowódca zapalił latarkę - ponieważ jej światło mógł zauważyć przeciwnik, więc wychylił się i przysłonił ją ciałem. Seydlitz podziękował i powiedział do mikrofonu:

- Danzig Pięć Zero, tu Leo Cztery Siedem. Gotowy. Odbiór.

- Leo, tu Danzig. Siły nieprzyjaciela, które stały przed wami, przesuwały się na wschód. Uderzają na „Dusseldorf”, na północ od autostrady E40. Trzeba im w tym przeszkodzić. Musisz opuścić obecnie zajmowane pozycje, przesunąć się na północ w kierunku Bad Hersfeld i pilnować tyłów nieprzyjaciela. Odbiór.

„Dusseldorf był to kryptonim 2. Brygady 2. Dywizji Pancерnej. Seydlitz natychmiast zdał sobie sprawę, że w celu ratowania brygady powierzano mu samobójczą misję. By się upewnić, że dobrze zrozumiał, powtórzył:

- Tu Leo. Czy mam przejść przez linię nieprzyjaciela i posuwać się na północ w kierunku Bad Hersfeld i autostrady E40, by zaatakować przeciwnika od tyłu? Czy o to chodzi? Odbiór.
- Leo, tu Danzig. Dokładnie o to.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

349

Seydlitz zamyślił się. A więc postanowiono rzucić ich na pożarcie. Uznał, że nie da się tak pokornie odstawić do rzeźni.

- Danzig, tu Leo. Jak daleko mam iść na północ i dokąd mam się skierować po wykonaniu zadania? - zapytał. - Odbiór.

Cisza, jaka zapanowała w eterze, tylko wzmogła jego obawy. A więc te skurwysyny nawet o tym nie pomyślały. Czyli po prostu wysyłano ich na pewną śmierć. Wreszcie usłyszał odpowiedź:

- Leo, tu Danzig. Sam musisz zdecydować, jak długo będziesz na tyłach przeciwnika. Cele ataku wybierasz samodzielnie. Kiedy stwierdzisz, że wykonałeś zadanie,

próbuj się przedrzeć na wschód. Pójdiesz potem na północ do E40 i tam połączysz się z „Dusseldorfem”. Odbiór.

A więc już tkwimy w gównie - pomyślał Seydlitz. Nie miał pojęcia, że sytuacja 2. Dywizji Pancерnej zaczyna się dramatycznie komplikować.

- Danzig, tu Leo. Kiedy mamy rozpocząć operację? Odbiór.

Oficer operacyjny był już znużony tymi pytaniami Seydlitza, a poza tym śpieszył się na odprawę zwołaną przez dowódcę brygady, więc odpowiedział krótko:

- Kiedy będziecie gotowi - i już chciał się wyłączyć, gdy przyszło mu na myśl coś jeszcze: - Jak tam z paliwem? Odbiór.

Uwagi Seydlitza nie uszedł fakt, że zlecając mu zadanie, nie zapytano nawet, czyjego oddział jest w ogóle w stanie przystąpić do operacji.

- Tu Leo. Przed godziną otrzymaliśmy uzupełnienie paliwa i amunicji. Odbiór.

Operacyjny brygady, zdziwiony, zapytał:

- Leo, skąd macie paliwo? Kto wam je dostarczył?

Dlaczego tak ich to interesuje? - zastanawiał się Seydlitz.

Czy kryje się za tym coś, o czym nie wiedział? Ale nie było czasu na zadawanie pytań, więc szybko odparł:

- Kolumna dostawcza naszego batalionu. Oni nas zaopatrzyli. Odjechali przed niespełną godziną w kierunku miejsca zbiórki, jakie podał mi dowódca.

Seydlitz czekał na odpowiedź, oficer operacyjny zaś polecił sierżantowi, by sprawdził w 26. Batalionie Pancernym, czy dotarła już kolumna zaopatrzenia. Po chwili zwrócił się do Seydlitz:

- Leo, masz jeszcze jakieś pytania? Odbiór.

Seydlitz spojrział w swoje notatki i doszedł do wniosku, że wie już wszystko i może przystąpić do wykonywania rozkazu, który był bardzo ogólnikowy i w praktyce pozostawiał mu wolną rękę. Dalsze jego pytania mogły oznaczać sprecyzowanie rozkazu i nowe ograniczenia. W tej sytuacji, jeśli uda mu się rzecz rozegrać rozsądnie, mieli szansę przeżycia tej nocy. Po namyśle Seydlitz odparł, że nie ma już żadnych pytań.

Rozłączyli się, a Seydlitz zaklął pod nosem. Siedzący obok żołnierz usłyszał to i stwierdził z satysfakcją:

- Doskonale, panie kapitanie.

Seydlitz pomyślał, że popełnił błąd, okazując w obecności żołnierza niezadowolenie z rozkazów przełożonych. Popatrzył na mapę i powiedział:

- Damy sobie radę. Wprawdzie nie wiemy, gdzie jest wróg, gdzie nasza 2. Brygada, czy mamy wsparcie ogniowe i czy Luftwaffe wie, że wychodzimy na tyły wroga, ale mówiąc wprost, wyłazimy z gówna, by wleźć w dupę Amerykanów. Tylko że nie mam pojęcia, gdzie jest właz do tej dupy.

W chwili gdy Seydlitz przygotowywał się do wykonania otrzymanych rozkazów, sierżant pełniący służbę w sekcji wywiadu amerykańskiej 4.

Dywizji Pancерnej wpadł do sekcji operacyjnej dywizyjnej artylerii i zameldował siedzącemu tam kapitanowi:

- Mamy tych sukinsynów! Wreszcie namierzyliśmy do wództwo brygady niemieckiej na południe od Bad Hersfeld. Tu są koordynaty, *sir*.

Nie czekając na odpowiedź, sierżant podszedł do mapy i *zaznaczył* na niej punkt, ustalony przez pluton nasłuchu

TRÓJKĄT ŚMIERCI

351

i zagłuszania, zwany w skrócie CJ. Kapitan wstał. Był potwornie zmęczony i wszystko docierało do niego wolniej niż zazwyczaj.

- Jesteście pewni, że to dowództwo brygady? - zapytał podchodząc do mapy.

Sierżant skinął głową.

- Całkowicie, *st*. Rozmawiali z oddziałem zajmującym od kilkunastu godzin pozycje siedemnaście kilometrów na południe od Bad Hersfeld. Była to długa rozmowa. Oficer dyżurny CJ sądzi, że operacyjny brygady wydał jakieś rozkazy.
- Sądzi? - brwi kapitana uniosły się w górę.
- Rozmowa była kodowana, ale trwała dość długo, tak że można ich było dokładnie namierzyć. Jesteśmy przekonani, że to dowództwo brygady.

Kapitan przyjrzał się uważnie mapie i po namyśle zwrócił się do swego operacyjnego:

- Sierżancie Mears, weźcie te współrzędne i przekażcie

baterii MLRS. Niech ten punkt pokryją jedną porcją.

Sierżant, który przyniósł informację, próbował się skupić. „Jedna porcja” oznaczała salwę dwunastu rakiet lub pocisków rozpryskowych. Była to niszcząca siła, ale w tej sytuacji mogła się okazać nie wystarczająca. Współrzędne miejsca postoju dowództwa tej niemieckiej brygady usiłowali ustalić już od kilkunastu godzin, więc teraz nie wolno im było zmarnować nadarzającej się okazji.

- Panie kapitanie - powiedział - to kwatery brygady, która kontroluje jednostki usiłujące przerwać autostradę A7. Czy nie sądzi pan, że należy im się więcej niż jedna porcja?

Kapitan patrzył przez chwilę na czerwony punkt na mapie, uśmiechnął się i skinął głową:

- Macie rację. Trzy porcje. Tak będzie rzeczywiście lepiej.

Sierżant z wywiadu zerknął w kierunku sierżanta siedzącego za stacją systemu TACFIRE. Mrugnęli do siebie porozumiewawczo, a ten od komputerów zaczął wprowadzać polecenia do pamięci. Zakodowane na dysku, w ciągu

352

HAROLD COYLE

ułamków sekundy zostały przekazane do baterii 4. Dywizji Pancerniej. Końcówki komputerów zarejestrowały współrzędne, wydały odpowiednie polecenia bateriom, które automatycznie zostały naprowadzone na cel. Gdy centralna stacja komputerów poinformowała, że wszystko gotowe do

salwy, sierżant nacisnął odpowiedni przycisk i komenda powróciła do baterii. Wyrzutnie rakiet i armaty odpaliły pociski, a było ich dość, by znieść z powierzchni dowództwo batalionu, które przekazało swój ostatni rozkaz Seyd-litzowi.

21 stycznia

Hilary Cole, obudziwszy się, była zupełnie zdezorientowana. Dopiero po jakimś czasie dotarło do niej, że wciąż stoją w tym samym miejscu, gdzie się znajdowali, gdy zasypiała. Wyprostowała się i poczuła silny ból w ramieniu. Dostała skurczu mięśni. Rozcierała zdrętwiałe ramię, na którym się opierała o drzwi szoferki. Spojrzała na zegarek. Była trzecia nad ranem, a więc spała cztery godziny, po raz pierwszy od wymarszu ze Słowacji tak długo. Wydawało jej się, że było to przed kilkoma laty, a nie przed dwoma tygodniami. Tylko dwa tygodnie, a wydarzyło się tyle straszliwych rzeczy...

Siedziała przez chwilę nieruchomo. Bolała ją głowa, całe ciało miała obolałe. Była wdzięczna losowi za te cztery godziny snu. Teraz musiała się zająć rannymi. Postanowiła zajrzeć do ambulansu. Możliwie cicho otworzyła drzwi. Natychmiast owiało ją zimne, świeże powietrze. Spojrzała na kierowcę, który spał opierając głowę na kierownicy. Ani drgnął. Ostrożnie wysiadła, kucnęła pod wozem i wypróżniła napięty do bólu pęcherz. Naciągnęła kaptur. Przeszła na drugą stronę wozu. W świetle księżyca zobaczyła długą linię konwoju. Na stojącej przed nimi ciężarówce było zamontowane jakieś dziwne urządzenie. Pomyślała, że to zapewne jednostka saperska. Przed czołem konwoju zauważyła samochód żandarmerii polowej. Na wozie, przy karabinie maszynowym tkwił żandarm, drugi zaś spacerował przed samochodem. Przez ramię miał

przewieszony

TRÓJKĄT ŚMIERCI

353

karabin. Odwróciła się i ruszyła w kierunku sanitarek. Nie zdążyła już zobaczyć, że przechadzający się żandarm stanął, chwilę nasłuchiwał i zdjął z ramienia broń.

-d 3r ifr

Po kilku godzinach jazdy bocznymi, wyboistymi drogami i traktami Seydlitz znalazł się ze swoim oddziałem o sześć kilometrów na północny zachód od Bad Hersfeld. Był już przekonany, że rozkaz, jaki otrzymał, będzie trudniejszy do wykonania, niż myślał. Usiłował się skontaktować z dowództwem brygady, ale odpowiadała mu cisza. Doszedł więc do wniosku, że skoro w okolicznych lasach nie napotkali Amerykanów, to widocznie ich tu nie ma.

Seydlitz nie mógł wiedzieć, że oddziały 10. Korpusu nie były zainteresowane zajmowaniem stałych i bezpiecznych pozycji. Chodziło im tylko o to, by nie dać się złapać w pułapkę, jaką usiłowały zastawić 2. i 10. Dywizje Pancerne Bundeswehry. Z tego właśnie powodu Seydlitz nie mógł znaleźć ukrytych w lasach oddziałów amerykańskich, gdyż znajdowały się już na szosach i czyniły wszystko, co możliwe, by kontynuować marsz w kierunku morza.

Seydlitz postanowił wyprowadzić swój oddział z lasów i z bocznych dróg, ale nie dlatego, iż wiedział, że nie znajdzie tam przeciwnika. Był już po prostu zmęczony tą wędrówką. Ustalił więc na mapie swoje położenie i z radością stwierdził, że znajdują się o kilkaset metrów od

asfaltowej szosy. Wydał odpowiedni rozkaz kierowcy czołgu. Ruszyli. Przez radio polecił jadącemu przednimi plutonowi sierżanta Wilhelma Zanglera, by dojechawszy do szosy, skręcił w lewo i kierował się do pierwszej wsi. Stamtąd mieli dotrzeć do autostrady, a potem, zgodnie z rozkazem, ruszyć na wschód. Seydlitz uznał, że wykonał, co należało i czego od niego oczekiwano.

Czołgi Zanglera wyjechały na szosę i natychmiast zwiększyły prędkość. Ich załogi powinny były wiedzieć, że jadący z tyłu boczną, wąską drogą byli nazbyt zmęczeni i zde-

354

HAROLD COYLE

zorientowani, by się nad czymkolwiek zastanawiać. Toteż gdy żołnierze plutonu Zanglera natknęli się na szosie na pojazd amerykańskiej żandarmerii, nikt nie mógł im pomóc. Zangler nie zastanawiał się ani chwili. Przekazał przez radio rozkaz czołgom swego plutonu, by się skupiły i zaatakowały nieprzyjaciela, tak jak sam to zamierzał uczynić.

Hilary Cole podchodziła właśnie do pierwszego ambulansu, gdy w ciszę nocy wdarł się przeraźliwy terkot karabinu maszynowego. Odwróciła się i, przerażona, zobaczyła jakiś czarny, potężny pojazd, który plując ogniem, parł prosto na samochód żandarmerii, a po chwili staranował go. Żandarm siedzący za karabinem maszynowym nawet nie miał czasu na ucieczkę.

Nagle z ciemności wyłonił się drugi pojazd i Cole wiedziała już, że to czołgi. Ten drugi wyminął pierwszy i strzelił w kierunku ich konwoju. Pocisk został doskonale wymierzony - trafił w stojący na początku kolumny wóz cysternę. Nastąpił wybuch, nad szosą uniósł się

pomarańczowy grzyb ognia, oświetlając drogę.

Wszystko to działo się niespełna sto metrów od miejsca, gdzie stała Cole, aż czuła gorąco bijące od płomieni. Paliwo rozlewało się, zapalając najbliższe stojące wozy. Cole zdawało się, że patrzy na piekło. Nie była w stanie cokolwiek zrobić i komukolwiek pomóc. Nie zastanawiając się przeskoczyła rów i uciekła w las. W tym momencie pojawił się trzeci leopard i jadąc wzdłuż kolumny ostrzeliwał z karabinu maszynowego wszystko, co się poruszało.

Zangler uzmysłowił sobie, że staranowanie samochodu amerykańskiej żandarmerii nie było dobrym posunięciem, bo wrak samochodu przywarł do czołgu. Tymczasem jadące za nim dwa leopardy wyprzedziły go i posuwając się teraz wzdłuż amerykańskiej kolumny, niszczyły ją ogniem z dział i k-emów.

W tej sytuacji Zangler nie był w stanie prowadzić swojego plutonu. Kazał kierowcy wykonać kilka gwałtownych ruchów maszyną, by odrzucić wgnieciony wrak, a kiedy się to udało, polecił czwartej maszynie plutonu, by dołączyła

do niego. Uformowali drugą parę i prac wzdłuż konwoju kończyli to, co zaczęła pierwsza.

Wybuch samochodu cysterny był dla Seydlitza pierwszym sygnałem, że jego czołowy pluton zaatakował wroga. Usiłował się natychmiast połączyć z Zanglerem, ale wezwania radiowe pozostawały bez odpowiedzi. Posuwający się ciągle jeszcze po polnej drodze, Seydlitz słyszał wystrzały armatnie oraz terkot karabinów maszynowych. Polecił kierowcy przyśpieszyć i sprawdził, czy radiostacja nastawiona jest na

właściwą częstotliwość.

Ponawiał wezwanie, ale radiostacja milczała. •

- Leo Jeden Pięć, tu Leo Cztery Pięć. Melduj, co się dzieje. Odbiór.

Teraz dopiero zgłosił się Zangler.

- Trafiliśmy na kolumnę przeciwnika, chyba oddział saperów. Zaatakowaliśmy.

Głos Zanglera był opanowany, ale fakt, że zgłosił się dopiero po jakimś czasie, świadczył, jak bardzo był zajęty walką.

Seydlitz czuł się jednak w obowiązku wydać rozkazy. Powiedział więc do mikrofonu:

- Leo Jeden Pięć. Kontynuuj atak i niszczyć wszystko, co napotkasz na szosie. Powtarzam, niszczyć wszystko. Odbiór.
- Potwierdzam - brzmiała lakoniczna odpowiedź Zanglera, który powiedziawszy to, natychmiast się wyłączył.

W chwilę potem Zangler natrafił na wozy ze znakami Czerwonego Krzyża. Nie zawahał się ani przez chwilę. Na szosie panował całkowity zamęt i panika, a załogi niemieckich czołgów działały niczym doskonałe maszyny do zabijania. Być może patrzyli na tamtych jako na wrogów, których należało po prostu unieszkodliwiać. A może odpłacali za to, co spotkało ich dzień wcześniej, kiedy stali się celem amerykańskiej artylerii i modlili się, by przeżyć kilka następnych minut. Być może niektórzy z członków załóg kierowali się wzniosłym celem obrony ojczyzny, która padła ofiarą agresji. Być może.

Rozdział XVII

21 stycznia

Jan wpatrując się w monitor, słuchała, co emerytowany pułkownik Edward Littleton ma do powiedzenia. Siedząc w innym studio, wyjaśniał właśnie sytuację militarną w Niemczech i oceniał ją z punktu widzenia Waszyngtonu. W maleńkiej słuchawce umieszczonej w uchu usłyszała głos reżysera audycji, który poinformował ją, że muszą teraz przerwać, gdyż mają połączenie z Niemcami. Przyjęła to z ulgą, gdyż rozwlekłe i nużące wywody Littletona były trudne do zniesienia. Przerwała mu w połowie zdania:

- Bardzo przepraszam, panie pułkowniku, ale właśnie mnie poinformowano, że mamy połączenie z Bobem Manningiem, naszym korespondentem w Niemczech.

Kamery pokazały, jak pochyłona do przodu, spytała:

- Bob? Bob, słyszysz mnie?

Robert Manning, brytyjski dziennikarz, pracował również dla WNN. Na monitorze pojawiła się jego twarz.

- Tak, Jan. Słyszę cię i widzę. Ubrany w kurtkę wojsk brytyjskich, na głowie miał wełnianą czapkę nasuniętą na uszy. Niewątpliwie chciał się dobrze zakamuflować i ochronić przed zimnem, to zaś, jak będzie się prezentować na wizji, raczej nie miało dla niego większego znaczenia. Zresztą wszyscy pracujący w Niemczech korespondenci, zdążyli się już przekonać, że jaskrawe kurtki, jakie powinni byli nosić zgodnie z międzynarodowymi ustaleniami, były nad wyraz niepraktyczne i przyciągały ogień przeciwnika. W miarę jak walki stawały się coraz bardziej

zacięte, wyzbywali się złudzeń co do cywilizowanego prowadzenia działań wojennych.

- Bob, w Niemczech jest teraz wczesne popołudnie, czy tak? - zapytała.

Zanim zdążył odpowiedzieć, gdzieś w pobliżu wybuchła kanonada z małokalibrowej broni automatycznej. Bob skulił się, a gdy przekonał się, że nic mu nie grozi, odparł spokojnie:

- Tak, Jan, u nas popołudnie, ale oczywiście pora dnia nie ma najmniejszego wpływu na przebieg bitwy. Jestem w rejonie działania oddziału niemieckiej piechoty zmotoryzowanej, która od wczoraj prowadzi walki z tylną strażą sił amerykańskich. Amerykanie znajdują się naprzeciwko mojego stanowiska, po drugiej stronie rzeki. Miasteczko nazywa się Burghaun.

Jan spojrzała na jeden z monitorów, na którym wyświetlono mapę środkowych Niemiec. Nie mogąc znaleźć właściwego miejsca, poprosiła:

- Przepraszam, Bob. Mógłbyś dokładniej określić wasze położenie?
- Jesteśmy o cztery do pięciu kilometrów na północny zachód od Hunfeld. Jak sobie zapewne przypominasz, Niemcy zajęli Hunfeld dziewiętnastego stycznia, ale nie udało im się posunąć dalej na zachód, gdyż zablokowały ich siły 10. Korpusu. Wygląda na to, że tu wreszcie uda się Niemcom przeprowić przez Fuldę i połączyć z siłami operującej od zachodu 19. Dywizji Pancерnej.
- Czy to zapowiedź rozbicia sił amerykańskich? - zapytała Jan starając się, by jej głos nie zdradził głębokiego zaniepokojenia.

Zobaczyła na monitorze, że Bob przecząco pokręcił głową:

- Nie, Jan, przeciwnie. Niemcy mieli nadzieję, że część amerykańskich oddziałów trafi w pułapkę, a tymczasem Amerykanom udało się wycofać na północ. Było to wyjątkowo zręczne posunięcie. Obecnie blokują Niemców, by opóźnić pościg. To stało się już rutyną. Amerykanie wycofują się na północ, ale pozostawiają za sobą oddziały, które powstrzymują Niemców i dezorganizują ich pościg. Zdarza się, że Niemcom uda się ustalić, gdzie czyhają na nich

358

HAROLD COYLE

amerykańskie oddziały i wtedy zachowują ostrożność. Ale przeważnie są po prostu zaskakiwani i wpadają w pułapkę. To właśnie stało się tutaj.

Bob dał sygnał swojemu kamerzyście, by pokazał zniszczony most, na którym dopalały się mardery, wozy używane przez niemiecką piechotę zmotoryzowaną.

- Dziś rano oddział, do którego się przyłączyłem, stracił kontakt z tylną strażą sił amerykańskich. Uznano, że tam ci się wycofali. Przypuszczali, że most jest bezpieczny i puścili na drugą stronę dwa pojazdy typu Marder, odpowiedniki waszych bradleyów. Gdy znalazły się pośrodku mostu, Amerykanie wysadzili go, a mardery zniszczyli. Rezultat widać na ekranie.

Jan poczuła, że oblewają zimny pot. Coraz trudniej było jej zachować spokój podczas prowadzenia tych audycji i udawać, jakby to wszystko nie dotyczyło jej osobiście. Patrząc na obrazy przekazywane z Niemiec, nie mogła się powstrzymać, by nie szukać na nich swego męża. Raz po raz

widziała Amerykanów - rannych albo martwych. Zastanawiała się, jakby zareagowała, gdyby nagle zobaczyła rannego Scotta. Starła się o tym nie myśleć, ale przychodziło jej to coraz trudniej.

U góry ekranu przebiegło coś, co przypominało błyskawicę. Kamerzysta skierował obiektyw na miasto po drugiej stronie rzeki. Telewizowie w Ameryce mogli teraz zobaczyć salwę niemieckiej artylerii. Bob wyjaśnił:

- To, co widać, to niemiecka artyleria ostrzeliwująca rejony, w których, zdaniem Niemców, mogą się znajdować amerykańskie pozycje.
- Tak, Bob, widzimy to dokładnie. Czy na drugim brzegu widzisz jakieś amerykańskie pojazdy lub żołnierzy?
- Nie, Jan, i bardzo wątpię, by Niemcy mogli je widzieć. Raczej jestem skłonny przypuszczać, że Amerykanie wysadzili most, zniszczyli te dwa mardery i wycofali się.

Jan nie starała się nawet ukryć zdumienia:

- Więc jeśli Niemcy nie widzą Amerykanów, to dlaczego ostrzeliwiają miasto. Niemieckie miasto, z którego z całą pewnością nie zdążyła się ewakuować ludność?

TRÓJKĄT ŚMIERCI

359

Bob pokazał raz jeszcze dwa dopalające się mardery i skomentował:

- To jest właśnie powód, dla którego niemieccy żołnierze wolą najpierw ostrzelać ewentualne pozycje wroga, a do piero potem wysunąć swe oddziały. Tak dzieje się tu właściwie od początku.

Jan bez namysłu zapytała:

- Bob, czy nie obawiasz się, że ostrzelają cię Amerykanie? - i natychmiast zdała sobie sprawę z bezsensowności swego pytania. Oczywiście, Bob był w niebezpieczeństwie.
- No cóż, Jan, zawsze istnieje możliwość, że jakiś zabłąkany pocisk poleci w naszym kierunku, ale mimo to nie czujemy się zagrożeni. Amerykanie są na ogół dość ostrożni i starannie wybierają cele ataku. Wprawdzie tu nikt się do tego nie przyzna, ale z tego, co widziałem, wynika, że wypadki ostrzelania skupisk ludności cywilnej były wyłącznie dziełem samych Niemców.

Zanim zdążyła zadać kolejne pytanie, obraz zniknął z ekranu. Jan zerknęła w kierunku reżyserki. Natychmiast powiadomiono ją, że połączenie przerwano w Niemczech. Tu, w Stanach, nie mogli wiedzieć, że kontrolującemu audycję rzecznikowi armii niemieckiej, nie podobał się komentarz korespondenta, więc przerwał połączenie. Jan zrobiła to, co każdy prowadzący audycję dziennikarz zrobiłby na jej miejscu.

- Mamy jakieś trudności techniczne - powiedziała. - Jeśli się uda, raz jeszcze połączymy się z naszym korespondentem Bobem Manningsiem. A teraz pora na reklamę.

Zastanawiała się, czy nie należałoby powrócić do rozmowy z Littletonem i spytać go, co myśli o komentarzu korespondenta. Tę sugestię po chwili przekazano jej także z reżyserki. Gdy nad kamerą naprzeciwko niej ukazało się czerwone światelko, Jan była już gotowa:

- Witam wszystkich, którzy właśnie włączyli telewizory. W studio w Waszyngtonie jest emerytowany pułkownik Edward Littleton - w tym momencie na ekranie pokazano

jego twarz. - Pułkowniku, oddziały amerykańskie w Nie-

360

HAROLD COYLE

mczech centralnych od kilku dni toczą walkę z przeważającymi liczebnie oddziałami armii niemieckiej, mającej reputację jednej z najlepszych armii świata. Niemieckie wojsko wydaje się być niedoścignionym przykładem dla wielu innych armii, łącznie z armią USA. Jak więc wyjaśniłby pan, porażki Niemców w konfrontacji z naszymi siłami? Wydaje się, że powinni bez trudu zatrzymać posuwający się na północ 10. Korpus.

Na ekran wróciła twarz Littletona, który z wyrozumiałym uśmiechem odparł:

- Minęło sporo czasu, zanim upadł mit wyższości niemieckiej myśli militarnej. Armia niemiecka od 1945 roku nie brała udziału w żadnej wojnie, natomiast nasza armia miała wiele okazji, by skonfrontować swe siły na różnych frontach - Littleton energicznie gestykulował. - A zresztą, nie chodzi tu tylko o doświadczenia frontowe. Od upadku Związku Radzieckiego armia niemiecka nie uczestniczyła nawet w większych ćwiczeniach bojowych. Manewry na szczeblu powyżej batalionu odbywały się wyłącznie jako symulacje komputerowe. Ani jeden niemiecki dowódca dywizji nie dowodził swoją jednostką w polu. Ponadto Niemcy wycofały swoje siły z oddziałów międzynarodowych, a to spowodowało, że nie mają obecnie fachowców, którymi mogliby obsadzić stanowiska dowódcze.
- Innymi słowy, chce pan powiedzieć, pułkowniku, że amerykańska armia jest lepsza.
- Nie, Jan, tego nie powiedziałem - Littleton znów się uśmiechnął. -

Twierdzą tylko, że armia USA jest lepiej wyszkolona i przygotowana do rozwiązywania sytuacji kryzysowych. Mamy doświadczonych oficerów i podoficerów, których brak Niemcom. Oczywiście oni się uczą, i to szybko. W tym konkretnym wypadku lekcja kosztowała ich utratę dwóch pojazdów pancernych. Nasi żołnierze walczący ostatnio z oddziałami niemieckimi mają przeciwko sobie weteranów, którzy czegoś się już nauczyli i stają się coraz trudniejszym przeciwnikiem.

Jego ostatnie słowa sprawiły, że Jan znów oblał zimny pot. Na jej twarzy pojawił się wyraz strachu, więc realizator

TRÓJKĄT ŚMIERCI

361

na chwilę zdjął ją z wizji. Szybko się jednak opanowała i zadała kolejne pytanie:

- Czy dzięki temu doświadczeniu Niemcy będą w stanie zatrzymać 10. Korpus?

Littleton po krótkim namyśle odpowiedział:

- Być może, trudno *to* w tej chwili przewidzieć. Waszyngton i Berlin muszą ocenić rezultaty toczącej się bitwy, nie wiadomo jeszcze, do jakich dojdą wniosków. 10. Korpus do tej pory był zwycięzcą, ale zapłacił wysoką cenę. A Niemcy nie dadzą mu spokoju, to pewne. Można się spodziewać, że walki staną się jeszcze bardziej zażarte i krwawe. Amerykanie mają świadomość, że walczą o życie.

- A Niemcy, pułkowniku? Jak Niemcy zareagują?

Littleton nie wiedział, co jeszcze może nastąpić, tak jak nie wiedział tego cały świat. Niemiecka opinia społeczna była generalnie przeciwna tej wojnie. We wszystkich większych miastach niemieckich doszło do antywojennych demonstracji, co spowodowało, że rząd w Berlinie zdecydował się wprowadzić w niektórych rejonach kraju stan nadzwyczajny. Wiele jednostek otrzymało zadanie utrzymywania porządku, zamiast wzmocnić siły walczące z 10. Korpusem. Littleton westchnął:

- Nie wiem czy ktokolwiek, łącznie z członkami niemieckiego dowództwa, byłby w stanie odpowiedzieć na to pytanie.

tfr & A

Podczas gdy Jan Fields-Dixon i emerytowany pułkownik Edward Littleton dyskutowali o sytuacji w Niemczech, kapitan Nancy Kozak nie miała w tej sprawie złudzeń, zwłaszcza co do postępowania żołnierzy niemieckich. Stojąc na poboczu szosy, z zimnym, jakby zdumionym wyrazem twarzy, przyglądała się, jak dwóch żołnierzy ostrożnie zbiera na nosze spalone i poszarpane szczątki ciała dowódcy batalionu. Ich twarze nie zdradzały żadnych emocji. Jak wszyscy inni żołnierze Kompanii C byli śmiertelnie zmę-

362

HAROLD COYLE

czeniu. Niewyspanie, ustawiczny stres, długotrwałe okresy oczekiwania i krótkie, ostre potyczki z przeciwnikiem pozbawiły ich jakichkolwiek uczuć. To, co się działo, nie budziło już w nich żadnych napiętości.

Nadjechał wóz pancerny oficera operacyjnego batalionu. Kozak jednak nie mogła oderwać oczu od żołnierzy ostrożnie wyciągających zwęglone ciało dowódcy ze zniszczonego pojazdu. Nawet gdy przybyły wysiadł i stanął koło niej, nie spojrzała na niego. Oficer przez chwilę przyglądał się tej wstrząsającej scenie.

- Co się stało? - zapytał.

Nie odwracając głowy, Kozak odparła cicho:

- Zginął dowódca batalionu.

Operacyjny spojrzał na nią pytająco. Wiedział już, że dowódca zginął, bo Kozak sama przekazała w tej sprawie meldunek. Teraz chciał poznać okoliczności.

- Wiem, że nie żyje. Chciałbym wiedzieć, jak się to stało?
- Niemcy go zabili - odparła nie patrząc na niego. Oficer operacyjny był pewien, że zachowanie kapitan

Kozak nie jest wyrazem braku szacunku, czy arogancji. Jak wszyscy żołnierze z jej kompanii, osiągnęła kres wytrzymałości fizycznej i psychicznej. Nie była już w stanie wykrzesać z siebie sił. Gdyby jej teraz przystawiono pistolet do głowy, zapewne w ogóle by nie zareagowała.

Z chwilą śmierci dowódcy oficer operacyjny automatycznie obejmował dowodzenie batalionem, który stanowił teraz tylną straż 4. Dywizji Pancerniej i otrzymał nowe, ważne zadanie. Śmierć dowódcy batalionu była szokiem, ale na ryzyko utraty życia narażony jest przecież każdy żołnierz. A ta śmierć nie była daremna. 10 Korpus nie dał się złapać w pułapkę, jaką zastawiły na jego oddziały 2. i 10. Dywizja Pancerna Bundeswehry. Kontynuowano marsz na północ.

Operacyjny raz jeszcze spojrzał na ponurą scenę i tak stanął przed

Kozak, by zasłonić sobą żołnierzy układających na noszach zwłoki dowódcy. Dopiero teraz podniosła oczy i popatrzyła na niego. Młody major postanowił przekazać jej rozkazy.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

363

- Nancy, twoja kompania musi dojechać tą szosą do miejscowości Weiterode, tuż przed Bebrą. To jakieś dwa kilometry. Tam założycie blokadę szosy, skierowaną na południowy zachód. Mamy rozkaz utrzymania do północy szosy nr 27. Kompania A przejdzie zatem na drugą stronę Bebry i tam, na północ od miasta, założy blokadę. Kompania D ustawi się na południe od was, a kompania B, która dziś rano toczyła ciężkie walki, zatrzyma się w Bebrze, jako rezerwa.

Kozak milcząco patrzyła na mówiącego, ale major nie był pewien, czyjego słowa do niej dotarły. Zaczął więc cierpliwie tłumaczyć.

- Nancy, musimy te pozycje utrzymać. Cały korpus zmienia kierunek marszu. Nie idzie, jak pierwotnie planowano, przez Kassel na Hanower, ale skręca na północny zachód na Padeborn. Dowódca korpusu twierdzi, że lepiej będzie, jeśli będziemy się posuwać równinami, unikając terenów pofałdowanych. Rozumiesz?

Skinęła głową, ale jej twarz wciąż była jak martwa. Operacyjny zamyślił się. Jak długo jeszcze Dbcon będzie się domagał od brygady działań, do których nikt już chyba nie był zdolny... Jeśli nawet tacy

oficerowie jak Nancy Kozak byli na skraju wytrzymałości, to znaczy że zostały przekroczone wszelkie dopuszczalne granice. Teraz on był dowódcą i musiał wykonywać rozkazy zwierzchnika.

- A więc, Nancy, zbieraj kompanię i ruszajcie. Przed zmrokiem musicie zająć ustalone pozycje. Jasne?

Kozak znów skinęła głową, bez słowa. Major zasalutował, odwrócił się i ruszył w kierunku swego pojazdu. Nagle usłyszał z tyłu głos Kozak:

- Majorze!

Zatrzymał się i spojrzał na nią.

- Majorze, ze mną wszystko w porządku. Po prostu mamy za sobą kilka ciężkich dni. „Sądzę... - umilkła.

-Cr tir &r

364

HAROLD COYLE

Zdaniem generała Langego popołudniowe odprawy w gabinecie kanclerza były coraz trudniejsze do zniesienia. Ruff, stale zirytowany, dawał się ponosić nerwom. Lange nie znosił zarówno samych zasiadówek, jak i ich uczestników. Wszystko, co tam mówiono, raziło go -jako Niemca i jako człowieka.

Na prawo od Langego siedział Rudolf Lammers. Kiedy słuchali relacji szefa Wydziału Operacji, generał ukradkiem spoglądał na ministra obrony, który był jego bezpośrednim zwierzchnikiem. Ale od kilku dni człowiek ten odgrywał jedynie rolę gońca przekazującego rozkazy kanclerza, i to zresztą bardzo niemrawo. Chociaż sprawiał wrażenie opanowanego, w

rzeczywistości przekroczył już wszelkie granice wytrzymałości. Przybiegał do Langego z nowymi poleceniami Ruffa, przekazywał je niezbyt precyzyjnie i wyraźnie przestraszony pytał szeptem:

- Co pan o tym myśli? Co teraz będzie?

Po drugiej stronie stołu siedział minister spraw zagranicznych Bruno Rooks. Lammers przynajmniej starał się zachować pozory, Rooks zaś nawet tego nie potrafił - było po nim widać, że jest załamany. Chyba nie mył się od kilku dni, bo nieprzyjemnie cuchnął. To on powinien był reprezentować państwo wobec świata, a teraz raz po raz przekonywał się, że świat odwrócił się od niego - gdziekolwiek zapukał, tam natrafiał na zamknięte drzwi. Ruff nie opuszczał swego gabinetu, do którego dostępu bronił sztab współpracowników, Rooks natomiast musiał się spotykać z prasą i dyplomatami i zewsząd spotykały go wyłącznie afronty. Kanclerz wyraźnie go unikał, gdy przekonał się, że nie może się już nim posłużyć do osiągnięcia swych celów. I to był dla ministra cios ostateczny, którego nie mógł znieść.

Spośród tego grona jedynie minister spraw wewnętrznych Fellner wydawał się względnie spokojny. Lange domyślał się powodów tego - Fellner po prostu nie był człowiekiem kanclerza. Ocalił swą godność, a na sercu leżało mu wyłącznie dobro Niemiec. Wprawdzie popierał Ruffa jako legalnie wybranego kanclerza, ale nie było

TRÓJKĄT ŚMIERCI

365

wątpliwości, że przede wszystkim czuł się odpowiedzialny za sprawy kraju i narodu.

No i wreszcie sam kanclerz. O ile wiadomo było, że taki Fellner troszczy się o Niemcy, o tyle Lange nie był pewien, o co właściwie troszczy się Ruff.

Generał uważał, że do chwili wybuchu walk przedsięwzięcia kanclerza były logiczne i uzasadnione. Można było zrozumieć jego oburzenie na decyzję Stanów Zjednoczonych, które nikogo nie poinformowały o planach ataku na Ukrainę i łamiąc zawarte porozumienia sprowadziły do Niemiec głowice atomowe, używając do tych operacji 10. Korpusu, stacjonującego na terenie Niemiec. Początkowo generałowi wydawało się, że kanclerz blefuje, kiedy jednak doszło do walk, okazało się, że nie był to wcale blef. Ruff bowiem zawsze dążył do militarnej konfrontacji ze Stanami. Dlaczego? O co chodziło temu człowiekowi, który cieszył się dotychczas opinią pragmatyka i patrioty? Jak wytłumaczyć fakt, że pchał teraz swój kraj i naród w otchłań wojny, za co przyjdzie zapłacić śmiercią tysięcy ludzi i zniszczeniem wszystkiego, co przez dziesięciolecia wypracowali?

Rozmyślenia Langego przerwał cywilny pracownik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który wszedł do gabinetu i podał Fellnerowi zalakowaną kopertę. Ten rozdarł ją, wygładził wyjętą ze środka kartkę papieru i zaczął ostentacyjnie czytać. Gdy skończył, położył ją na stole i zwróciwszy się do kanclerza, powiedział:

- Wygląda na to, panowie, że ta wiadomość o zniszczonym szpitalu polowym jest prawdziwa.

Oficer stojący przy mapie umilkł. Zapanowała cisza, którą przerwał Fellner:

- Dziś rano Amerykanie zawieźli na miejsce dziennika

rzy francuskich i brytyjskich. Umożliwili im zrobienie zdjęć rannych i poległych oraz sfotografowanie rozbitych pojazdów z emblematami Czerwonego Krzyża. Te fotografie pokazywane są teraz przez stacje większości krajów świata. W brytyjskiej telewizji użyto określenia „masakra”, Francuzi mówią o „morderstwie”.

366

HAROLD COYLE

W tym momencie Ruff uderzył pięścią w stół, zerwał się na równe nogi i wrzasnął:

- Skurwysyny! Co oni sobie wyobrażają? - wybuch kanclerza zaskoczył wszystkich, z wyjątkiem Langego i Fellnera.

Ruff, czerwony z wściekłości, patrzył na obecnych takim wzrokiem, że większość spuszczała oczy. Właściwie tylko Lange i Fellner wytrzymali piorunujące spojrzenie kanclerza i wpatrywali się w niego z nie ukrywaną pogardą.

Ruff zwrócił się do Fellnera:

- Myślę, że podejmie pan odpowiednie kroki, które pozwolą nam kontrolować zagranicznych korespondentów. Wszystkich. Nie można się godzić na to, by korzystając z pełnej swobody, głosili kłamstwa i wspierali amerykańską kampanię przeciwko nam.
- *Ależ, panie Ruff - Fellner mówił nad wyraz spokojnie* -ci korespondenci znajdowali się za liniami Amerykanów. A jak wynika z analizy wydarzeń ostatnich dni, nie kontrolujemy tego, co się tam

dzieje.

Lange zerknął na Fellnera. Czy ta uwaga miała być oceną armii niemieckiej? Już miał coś odpowiedzieć, gdy Fellner dodał:

- Oczywiście, możemy się domagać, by nasza armia powstrzymała się od wszelkich czynów, które prowadzą do ludobójstwa.

Mówiąc to Fellner opowiedział się za przeciwnikami Ruffa, do którego sens tych słów dotarł po kilku sekundach. Generał Lange uświadomił sobie, że oto w tym momencie w ich rządzie nastąpił ostateczny rozłam. To był początek końca. Czym jednak okaże się ten koniec dla Niemiec? Jak długo jeszcze Ruff może prowadzić tę swoją szaleńczą grę?

Kanclerz przypominał teraz ryczącego z wściekłości lwa.

- JAK PAN ŚMIE TAK DO MNIE MÓWIĆ?!

Fellner wstał, wyprostował się i zimno patrząc w twarz kanclerza odparł spokojnie:

- A jak pan śmie zdradzać niemiecki naród?

- ZDRADZAĆ?! Pan zwariował, panie Fellner! Jeśli może na tu w ogóle mówić o zdradzie, to zdrajcą może być tylko

TRÓJKĄT ŚMIERCI

367

pan! Nie mam wątpliwości, że od początku nie popiera pan wysiłków mego rządu! Działa pan przeciwko nam, przeciwko naszym celom!

- A co to są za cele?! - Fellner podniósł głos. - Może zniszczenie Niemiec po raz trzeci w ciągu niespełna stu lat?! Co pan właściwie robi, do diabła?! - Fellner spoglądał

na innych siedzących za stołem: - Co my wszyscy robimy?! Czyżbyśmy znów ulegli zbiorowemu szaleństwu?! Znów pchamy Niemcy i Niemców w otchłań nieszczęść! Dlaczego go?!

Nagle do gabinetu wszedł kapitan z sekcji operacyjnej i skierował się do generała Langego. Zorientowawszy się, że przed chwilą musiało się wydarzyć coś nadzwyczajnego, zatrzymał się i zaczął się wycofywać do wyjścia. Zapewne byłby po prostu uciekł, ale w porę zauważył, że generał Lange daje mu znak, by podszedł. Kapitan czuł się jak człowiek, który wskoczył do basenu z rekinami. Zbliżył się do generała i podał mu złożoną kartkę papieru. W ciszy, jaka zapanowała, Lange rozłożył ją i przeczytał.

Następnie podziękował kapitanowi i pozwolił mu odejść. Oficer wyszedł. Lange wstał, odkaslnął i zaczął mówić:

- Panowie, przepraszam, że wtrącam się do waszej dyskusji. Przykro mi was o tym informować, ale sytuacja w środkowych Niemczech zmieniła się. Wszystko wskazuje na to, że Amerykanie weszli do Paderborn i posuwają się na północny zachód, na Munster i Osnabrück. Udało im się wydostać z okrążenia.

Ruff zmartwiał i natychmiast zapomniał o dyskusji z Fellnerem.

- Jak to możliwe? Przecież przed kilkoma minutami wasz Wydział Operacyjny informował, że 7. Dywizja Pancerna zablokowała nieprzyjaciela pod Paderborn. Co się stało? - zwrócił się do Langego.

Lange spojrział na meldunek jakby przez chwilę zastanawiał się nad

odpowiedzią. Nie patrząc na kanclerza wyjaśnił:

- Wygląda na to, że pozycje 7. Dywizji Pancерnej zostały przełamane.

- Przełamane? Co to, do diabła znaczy: przełamane?

368

HAROLD COYLE

- To znaczy, panie kanclerzu, że przeciwnik podjął takie działania, które skłoniły dowódcę dywizji do wycofania swoich oddziałów.
- Jakie straty poniósł nieprzyjaciel, zanim dywizja opuściła swe pozycje? - dopytywał się kanclerz.

Nie mam pojęcia, panie kanclerzu. W meldunku nie ma na ten temat ani słowa.

- Doskonale, a jakie są straty 7. Dywizji?

Lange raz jeszcze spojrzął na meldunek i odczytał odpowiedni fragment:

- Dywizja ma trzech rannych, to ofiary zderzenia ciężarówki z czołgiem Leopard.
- Trzech rannych? - zdziwił się Ruff.
- Tak jest, panie kanclerzu, trzech. Mieliśmy dużo szczęścia.

ft ft A

Wszystko to działo się jak na doskonale przygotowanej próbie w teatrze. Kolumna amerykańskich czołgów i pojazdów opancerzonych 55. Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej podeszła do przyczółka mostowego, bronionego przez oddziały 7. Dywizji Pancерnej Bundeswehry. Gdy amerykańskie pojazdy pancerne typu bradley zbliżały się do niemieckich linii, wyszedł im na spotkanie niemiecki oficer, kapitan grenadierów pan-

cernych. Jadący na czele kolumny bradley zatrzymał się o kilka metrów przed Niemcem. Z wozu pancernego, bez zbytniego pośpiechu, wysiadł dowodzący kolumną amerykański major.

Zatrzymali się pośrodku szosy i wymienili honory wojskowe. Pierwszy odezwał się Niemiec:

- Mam rozkaz, panie majorze, zablokować szosę i nie przepuszczać przez most oddziałów amerykańskich.

Amerikanin odpowiedział po niemiecku:

- A ja otrzymałem rozkaz, panie kapitanie, zajęcia mostu i założenia przyczółka na przeciwległym brzegu.

Niemiec odparł spokojnie:

TRÓJKĄT ŚMIERCI

369

- Muszę was powstrzymać do momentu, kiedy moje pozycje będą już nie do uratowania.
- Rozumiem - Amerykanin potwierdził skinieniem głowy, odwrócił się i ruchem ręki dał znak kierowcy swego pojazdu, by wjechał na most. Żołnierz uruchomił silnik i bez wahania ruszył. Wyminąwszy odsunięte zapory i zaparkowany na poboczu niemiecki wóz pancerny Marder, w kilkanaście sekund później wjechał na most.

Niemiecki oficer, który z uwagą przyglądał się manewrom pojazdu Amerykanów, gdy ten znalazł się pośrodku mostu, zwrócił się do amerykańskiego majora i powiedział:

- Bardzo pana przepraszam, ale muszę się wycofać. Moje pozycje są już nie do obrony. Kolejną blokadę zakładamy w odległości siedmiu

kilometrów stąd.

- Jestem panu kapitanowi niezmiernie zobowiązany. *A uf Wiedersehen.*

Oficerowie zasalutowali i rozeszli się.

■uf •& tfr

Major Harold Cerro zobaczył pojazd pancerny dowódcy na poboczu szosy, na skrzyżowaniu dróg na zachód od Ronshausen. Przed wozem stały trzy osoby, wśród których major rozpoznał pułkownika Scotta Dixona.

W każdej innej sytuacji wyskoczyłby ze swojego wozu, zanim jeszcze kierowca zdążyłby zahamować. Tym razem jednak zachował się inaczej. Nie tylko zaczekał, aż wóz się zatrzyma, ale jeszcze przez chwilę zbierał siły, by się wydostać na zewnątrz. Jak cała ich brygada, od strzelca po pułkownika, był na skraju wytrzymałości fizycznej i psychicznej. Krańcowo wycieńczeni byli zresztą wszyscy uczestnicy bitwy o środkowe Niemcy, tak po jednej, jak i po drugiej stronie.

Cerro opuścił wreszcie swój wóz i ruszył w kierunku Dixona, któremu towarzyszył pułkownik Worisznow.

Nie było żadnych powitań, żadnych grzecznościowych gestów. Dixon od razu przystąpił do rzeczy:

- Obejmujesz dowództwo 3. Batalionu. Jimm Jensen ma się zameldować w dowództwie brygady. Dostanie nowy

370

HAROLD COYLE

przydział. - I po chwili dodał: - Sytuację i zadania batalionu znasz. Nie muszę ci tłumaczyć, jak ważne jest, byś zatrzymał Niemców. Nie stać nas na coś takiego, co przydarzyło się wczoraj w nocy kompanii saperów i szpitalowi polowemu. Wiesz, że mieliśmy szczęście. O dwa kilometry dalej, na tej samej szosie, mieliśmy kolumnę cystern z paliwem dla czołgów. Gdyby Niemcy uderzyli nie na szpital, lecz na tą kolumnę, bylibyśmy skończeni. Cerro nie krył zaskoczenia.

- A może pułkownik Yost? - zaproponował.
- Nie, Yost jest mi potrzebny tutaj, w sztabie. Oczywiście, zgodnie z pragmatyką, to stanowisko należy się jemu, ale znaleźliśmy się w innej niż normalna sytuacji. Yost odpowiada za zaopatrzenie. W razie czego możemy ryzykować utratę batalionu liniowego, ale nie kolumny zaopatrzenia. Nie mogę sobie pozwolić na wycofanie Yosta.

Cerro nie zwrócił nawet uwagi na te słowa pułkownika, choć przecież chodziło o batalion, którym dowodził. Major doskonale to rozumiał. Niepokoił go tylko fakt, że musiał zmienić równego rangą kolegę w sytuacji dla tamtego bardzo kompromitującej. Wiedział jednak, że nie ma czasu na jakiegokolwiek dyskusje. Zasalutował więc mówiąc:

- OK, *sir*. Jadę, a Jensen wróci do sztabu moim wozem. Są Jakieś zmiany w rozkazach?

Dbcon chciał jeszcze powiedzieć parę słów, aby dodać otuchy nowo mianowanemu dowódcy batalionu, ale natychmiast zrezygnował z tego zamiaru. Cóż mógłby mu powiedzieć? Cerro był przecież profesjonalistą i wiedział, co go czeka. Wszelkie słowa były więc zbyteczne. Pokręcił głową i powiedział:

- Nie ma nowych rozkazów. Sam wiesz, co masz zrobić.

Trzej oficerowie rozjechali się. Cerro miał przejąć obowiązki odwołanego dowódcy, który był jego przyjacielem, a Dixon i Worisznow udali się na rozmowę z dowódcą innego batalionu.

Gdy Cerro dotarł do dowództwa 3. Batalionu, major Jimm Jensen już na niego czekał. Podszedł do zaskoczonego Cerra i ściskając mu dłoń powiedział:

TRÓJKĄT ŚMIERCI

371

- Rozmawiałem z pułkownikiem Dixonem. Kazał mi się spakować i przyjechać tym wozem. Mam się zameldować u pułkownika Yosta. Jestem gotowy - odwrócił się, by pójść do kwatery po rzeczy, ale po chwili przystanął i dodał: - Zwołałem odprawę sztabu batalionu. Już się wszyscy zebrali - i nie czekając na odpowiedź, ruszył w kierunku wozu, który był stanowiskiem dowodzenia batalionu.

Zdumiony tą sytuacją, Cerro zawołał:

- Jimm, zaczekaj. - podszedł do niego, położył mu rękę na ramieniu i spojrzał w oczy. Milczał. Co mógł powiedzieć przyjacielowi, którego miejsce miał właśnie zająć? Cerro zdawał sobie doskonale sprawę, że może to oznaczać koniec wojskowej kariery Jensena. Zdymisjonowano go w warunkach bojowych, bo nie sprawdził się jako oficer liniowy. Zawodowego oficera nie może spotkać nic gorsze go. Jest to porażka, z której można się już nigdy nie podnieść. Obaj, Cerro i Jensen byli tego świadomi. Cóż

więc powinien powiedzieć, by wesprzeć kolegę?

Z pomocą przyszedł mu Jensen.

- Hal - powiedział - to ja sam prosiłem o przeniesienie.

Cerro czuł, jak ze zdziwienia opada mu szczęka.

- Tak było, wierz mi. Kiedy pułkownik Dixon przyjechał tu z tym Rosjaninem, poprosiłem o przeniesienie - zamilkł na chwilę i zrobił krok do tyłu. - Dowodzenie nie leży w moim charakterze. Jestem zawodowym oficerem, więc dostosowałem się do tego całego systemu, ale nawet przez moment nie sądziłem, że będzie wojna, że będę musiał prowadzić ludzi na śmierć, albo narażać ich na rany, na kalectwo. Nie chcę tego, nie mogę tego robić. Przykro mi, naprawdę przykro, ale to już się stało.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku wozu, ale raz jeszcze się zatrzymał, spojrzął na Cerra i dodał:

- Oczywiście gratuluję ci i życzę szczęścia.

tir £r tir

Generał Horst Mondorf, dowódca 7. Dywizji Pancерnej Bundeswehry, czekał na kogoś z Berlina, ale nie wiedział,

372

HAROLD COYLE

że to będzie szef Sztabu Generalnego, generał Lange. Adiutant poszedł przywitać i przyprowadzić gościa, a Mondorf tymczasem przechadzał się po swoim gabinecie i poprawiał mundur. Od czasu do czasu spoglądał na drzwi i sam siebie przekonywał, że postąpił słusznie. Jego decyzja o

wycofaniu oddziałów na tyły spowodowała, że cała hanowerska linia obronna załamała się. Bez wsparcia 7. Dywizji, 1. Dywizja Pancerna nie mogła jej utrzymać. Generał był pewien, że jego decyzja otwierała 10. Korpusowi drogę do morza, a Niemcom oszczędzała cierpienie i straty. Dla dobra swego kraju i jego przyszłości Mondorf nie podporządkował się rozkazom i postąpił tak, jak wcześniej dowództwo Luftwaffe, które oświadczyło, że będzie się kierować wyłącznie sumieniem i rozsądkiem.

Mondorf przygotowywał się do rozmowy z Langem. Przypuszczał, że zostanie zdjęty ze stanowiska i ostro skrytykowany za niepodporządkowanie się rozkazom, za odmowę obrony kraju i sprzeniewierzenie się tradycjom niemieckiej armii. Postąpił jednak tak, jak uznał to za słuszne. Sumienie i rozsądek podpowiadały mu, że trzeba położyć kres temu szaleństwu. Miał świadomość, że jego działanie nie przyczyni się do zakończenia wojny, ale robił wszystko, co było w jego mocy, by jej nie przedłużyć. Był przygotowany na wszelkie konsekwencje.

Rozległo się ciche pukanie. Drzwi otworzyły się i adiutant zameldował szefa Sztabu Generalnego, generała Langego.

Lange wszedł do pokoju i spojrzał na Mondorfa. W jego zachowaniu dało się wyczuć jakieś wahanie. Gdy tak obaj patrzyli na siebie, Mondorf zauważył, że twarz Langego, zazwyczaj chmurna i spięta, teraz była posępna i wymiatarowana, a oczy pełne niepokoju i niepewności. Coś tego człowieka musiało gnębić, coś, czego nie chciał ujawnić.

Lange wyprostował się, odprawił swego adiutanta, a gdy zostali z Mondorfem sami, zdjął płaszcz i usiadł w fotelu. Nie odzywał się, o nic nie pytał, pogrążony w myślach. Wreszcie podniósł oczy i zatrzymał

wzrok na stojącym przed nim dowódcy 7. Dywizji Pancерnej.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

373

Lange dokładnie wiedział co zrobił Mondorf i co nim powodowało. Zastanawiał się, czy sam miałby dość odwagi, by postąpić tak samo. Czy zdobyłby się na nieposłuszeństwo wobec przełożonych, by działać zgodnie z najgłębszym przekonaniem, że robi coś, co jest zgodne z interesem ojczyzny? A jeśli Mondorf nie miał racji. Jeśli nie mieli racji dowódcy Luftwaffe, piloci, którzy swymi maszynami uciekli do Holandii, i dowódcy okrętów wojennych Kriegsmarine, którzy wpłynęli na norweskie fiordy, zarzucili kotwice i wyłączyli aparaty radiowe? A rezerwiści, którzy nie usłuchali rozkazu o mobilizacji?

A jeśli to oni właśnie mieli rację? Może to oni postąpili słusznie, a nie ci, którzy bez sprzeciwu podporządkowują się rozkazom kanclerza Ruffa? I czy w ogóle jest jakaś racja, jedynie słuszna? Jedno tylko było jasne - oto nadszedł czas decyzji. Każdy oficer musiał teraz dokonać wyboru. Całe Niemcy znalazły się w krytycznej sytuacji, a od jej rozwiązania w znacznym stopniu zależały losy tej wojny.

Mondorf przyglądał się swemu zwierzchnikowi. Rozumiał, że Lange, zatopiony we własnych myślach, ugina się pod ciężarem, jaki na niego złożono. Mondorf postanowił przerwać milczenie.

- Przychodzą chwile, kiedy trudno jest odróżnić powinności sumienia od konieczności wypełniania obowiązku. A im dłużej jesteśmy żołnierzami, tym bardziej zdajemy sobie sprawę, jak ważny, ale coraz trudniejszy jest to

wybór.

Lange pomyślał, że jest to wybór. On sam uważał sumienie i obowiązek za nierozdzielalną jedność.

- Masz rację, Horst, zapomniałem często o tym - nagle Lange zerwał się na równe nogi. - Nie zapomniałem jednak, że przede wszystkim jestem Niemcem, a dopiero potem żołnierzem. I ty, i wielu podobnych do ciebie, również nie zapomnieli o tym, dzięki Bogu - Lange sięgnął po płaszcz i tonem człowieka wydającego rozkazy powiedział. - Idziemy, Horst, szkoda czasu.

- Dokąd?

374

HAROLD COYLE

- Lecimy do Bremerhaven. Moim helikopterem. Przekaż obowiązki dowodzenia szefowi twego sztabu.

Lange ruszył w kierunku drzwi i dopiero gdy położył rękę na klamce, zorientował się, że Mondorf się waha.

- Chodź już - popędzał go ze zniecierpliwieniem w gło sie. - Musimy dotrzeć do naszych spadochroniarzy, zanim przyjdą tam Amerykanie.

Część piąta

Droga do morza

Rozdział XVIII

22 stycznia

- Dziesięć minut do rejonu operacji!

Okrzyk dowódcy pokładu przerwał długą ciszę panującą zarówno w kabinie pasażerskiej, jak i w kabinie załogi starego transportowca C-141. Generał Benjamin Matthew obserwował dobrze mu znane ożywienie spadochroniarzy, którzy po locie nad oceanem mieli zostać zrzućeni w rejonie Bremerhaven. Wszystkie te emocje przeżywał w czasie swojej trzydziestoletniej służby wojskowej już wielokrotnie. A służbę tę rozpoczął od wojny w Wietnamie.

Obciążony niewygodnym ekwipunkiem, Matthew wstał z fotela i przyglądał się żołnierzom, których miał za chwilę poprowadzić do pierwszej w ich życiu bitwy. Zachowywali się jak wszyscy młodzi żołnierze, których miał okazję obserwować. Różnica polegała na tym, że operację tego rodzaju Amerykanie wykonywali po raz ostatni. Eksperci z Waszyngtonu postanowili, że w armii XXI stulecia nie ma już miejsca dla wojsk spadochronowych starego typu. Dywizje spadochroniarzy określano mianem „nieruchawych dinozaurów, niezdolnych do przystosowania się do współczesności”. I Matthew pomyślał, że ich dywizja zapisze przynajmniej ostatni rozdział chwały ich wojsk. Postanowił już, że natychmiast po rozwiązaniu dywizji odejdzie na emeryturę.

Miało to jednak nastąpić w niezbyt odległej przyszłości, a na razie czekała ich wojna w Niemczech. Lecieli na odsiecz swoim kolegom z 10. Korpusu, by udowodnić Nie-

TRÓJKĄT ŚMIERCI

377

mcom, że Stany Zjednoczone nie będą się beczynn timer przyglądały, jak morduje się ich żołnierzy, i to bez względu na powody.

Dowódca transportowca na znak dany przez pilota ogłosił alarm i 122 skoczków zaczęło się gorączkowo przygotowywać do opuszczenia maszyny. Raz jeszcze sprawdzono spadochrony. Żołnierze 17. Dywizji Spadochronowej czekali na kolejną komendę. Również Matthew po raz czwarty z rzędu sprawdził swój spadochron. Nagle poczuł czyjąś rękę na ramieniu. To dowódca transportowca próbował przekrzyczeć szum silników:

- Generale, pilot chce z panem rozmawiać!

A pilotem był sam dowódca Sił Transportu Powietrznego, generał Eddie Bower, który osobistym uczestnictwem w tej operacji chciał odkupić porażkę, jaką ponieśli w Sem-bach.

Matthew nakładając słuchawki pomyślał, że być może w ostatniej chwili jakiś głupek z Waszyngtonu z jakichś, nie znanych mu jeszcze powodów odwołał operację. Podniósł mikrofon, nacisnął włącznik i powiedział:

- Eddie, tu Ben. Co znowu?
- Ben, otrzymałem dziwną informację. Jakiś Niemiec, który przedstawił się jako dowódca 27. Brygady Spadochronowej Bundeswehry, chce z tobą koniecznie rozmawiać. Mam go na linii. Łączyć?

Zastanowiło to Matthew. Dowódcę 27. Brygady, jakiegoś pułkownika, widział chyba dwukrotnie, ale nie był w stanie przypomnieć sobie jego nazwiska. Tak, to był chyba sympatyczny facet. I chyba świetny żołnierz. Przypomniawszy sobie, że właśnie 27. Brygada otrzymała zadanie obrony Bremerhaven, a więc to ona miała być głównym przeciwnikiem ich 17. Dywizji. Zrzut miał się odbyć w sile ośmiu

batalionów, a więc czekał ich przeciwnik trudny do pokonania. Matthew zdawał sobie z tego w pełni sprawę i postanowił nie rozpamiętywać sytuacji. Poprosił Bowera, by połączył go z Niemcem. Usłyszał trzask w słuchawce i nie czekając na pytanie, powiedział:

- Tu generał Matthew. Odbiór.

378

HAROLD COYLE

Natychmiast usłyszał głos Niemca:

- Tu pułkownik Fritz Junger, dowódca 27. Brygady Spadochronowej. Przygotowaliśmy i oznakowaliśmy strefę waszego lądowania. Udzielimy wam wszelkiej pomocy i nie podejmiemy walki. Powtarzam, chcemy wam pomóc, nie podejmiemy walki. Proszę o potwierdzenie.

Oślupiały Matthew spojrział na mapę, którą trzymał w ręce. Wreszcie zwrócił się do pilota:

- Eddie, słyszałeś?
- Słyszałem. Wygląda na to, że dowództwo niemieckie przechodzi na naszą stronę i wyciąga do nas rękę.

Niemiecki oficer, słysząc rozmowę Amerykanów, wtrącił:

- W porozumieniu z Szefem Sztabu Generalnego Bundeswehry, generałem Langem, wydałem rozkaz moim żołnierzom, by unikali kontaktów z waszymi oddziałami. Wspólnie z władzami cywilnymi Bremerhaven ogłaszam to miasto miastem otwartym. Jeśli chcecie dokonać zrzutu, naprowadzimy was na cel. Rejon lądowania został ozna-

czony zgodnie ze standardami NATO. Świece dymne wskażą wam kierunek wiatru. Odbiór.

Matthew popatrzył na swoich żołnierzy. Zdał sobie sprawę, że oto staje przed najważniejszą decyzją w swej wojskowej karierze. Jeszcze przed chwilą przygotowywał się do walki z Niemcami, a teraz miał im powierzyć los swoich oddziałów. Gdyby został oszukany, poniósłby klęskę nie tylko on, ale cały 10. Korpus. Ale wiedział też, że część niemieckiego dowództwa ujawniła wolę przejścia na stronę Amerykanów, co mogło oznaczać szybkie i stosunkowo bezkrwawe zakończenie konfliktu. I on i inni dowódcy amerykańscy zostali uprzedzeni, że niemieccy oficerowie nie wypełniają rozkazów Berlina, i że wszędzie tam, gdzie to tylko możliwe, należy z tego skwapliwie korzystać. Gdy tak rozmyślał, usłyszał w słuchawkach głos pilota:

- Ben, tu Eddie. Za sześć minut będziemy w rejonie zrzutu. Już za późno na zmianę decyzji. Co postanawiasz?

Matthew raz jeszcze spojrział na twarze swoich żołnierzy i powiedział zdecydowanie:

TRÓJKĄT ŚMIERCI

379

- Pułkownik Junger, proszę zapalić sygnały. Skaczemy. Proszę się ze mną natychmiast skontaktować, gdy tylko wyląduję. Skaczę pierwszy. Odbiór.
- Potwierdzam waszą decyzję dokonania zrzutu. Niech wasi piloci przestawią radioodbiorniki na fale 27,05, na których podajemy instrukcje i komunikaty o pogodzie. Generał Lange i ja oczekujemy

pana w rejonie zrzutu. Odbiór.

- Tu Matthew. Będę na ziemi za niespełna sześć minut. Koniec nadawania.

Matthew wyłączył mikrofon, nałożył hełm i podszedł do drzwi maszyny. Stał już tam starszy sierżant. Zwracając się do niego, generał powiedział:

- A więc, sierżancie, skaczemy. Wszyscy za mną.

Pułkownik Junger oraz generałowie Horst Mondorf i Otto Lange z zadartymi głowami wpatrywali się w blade, poranne niebo, na którym wykwitły właśnie pierwsze spadochrony 17. Dywizji Spadochronowej armii USA. Wokół nich stali niemieccy spadochroniarze z karabinami opuszczonymi lufami w dół. Junger spojrzał na generałów i mruknął cicho:

- Pan zdaje sobie sprawę, generale Lange, że możemy zostać skazani jako zdrajcy.

Nie opuszczając głowy, Lange odparł:

- Gdy von Clausewitz nie podporządkował się Francuzom i przeszedł do Rosjan, by walczyć z Napoleonem, okrzyczony został zdrajcą. Gdy Korpus Saksoński w bitwie pod Lipskiem przeszedł na stronę aliantów, Francuzi uznali to za zdradę. Gdy Von Stauffenberg podłożył 20 lipca 1944 roku bombę w kwaterze Hitlera, naziści potrawili go jak zdrajcę. Gdybym więc miał stanąć w rzędzie takich ludzi, to byłbym dumny, że oskarżono mnie o zdradę.

Junger zauważył, że na twarzach Langego i Mondorfa nie było śladu

wahania. Po prostu stali i patrzyli na zbliżających się do ziemi amerykańskich spadochroniarzy, zupełnie tak, jakby obserwowali jakieś manewry. Pułków-

380

HAROLD COYLE

nlk był przekonany, że obaj generałowie są zdecydowani i pewni słuszności swego działania. Pomyślał więc, że i on powinien wyzbyć się wątpliwości. Przecież to byli jego najwyżsi rangą dowódcy i winien był im posłuszeństwo. Uspokojony, polecił oficerowi operacyjnemu, młodemu majorowi, by pojechał na pole zrzutu i odnalazł w pierwszej fali spadochroniarzy amerykańskiego generała.

Major ruszył, by wykonać rozkaz. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że musi słuchać przełożonych.

Hilary Cole, zmarznięta i głodna, czuła się zagubiona i samotna. Ogarniał ją coraz większy strach. Przez cały dzień błąkała się po lesie. Potem nadeszła kolejna noc. Położyła się na śniegu i okryła kurtką. Usnęła płacząc.

Obudziło ją światło poranka i dopiero po chwili uświadomiła sobie, gdzie jest i co się z nią stało. Nie mogła powstrzymać łez.

Nagle usłyszała jakiś głos, głos człowieka. Nie była pewna, czy nie jest to czasem złudzenie. Nasłuchując usiłowała ustalić, skąd ten głos dochodzi. Po chwili się zorientowała, że w odległości dwudziestu, może trzydziestu metrów od niej, między drzewami leży przewrócony i zniszczony wóz pancerny. Uświadomiła sobie, że całą noc spędziła o kil-

kanaście kroków od ludzi równie zagubionych jak i ona. Może był tam ktoś, kto potrzebował jej pomocy, to przecież było jej zawodowym obowiązkiem.

Podeszła do wraku pojazdu. Podeszła i stanęła. Obok stanowiska karabinu maszynowego leżały zwłoki młodego żołnierza, najwyżej dwudziestoletniego. Wydawało się, że nie został zmiażdżony przez wóz, lecz zmarł dopiero potem. Pewnie nie był już w stanie wydostać się spod maszyny.

Rozejrzała się i w odległości kilku metrów od pojazdu zobaczyła ciało drugiego żołnierza. To była dziewczyna. Hilary podeszła bliżej i zauważyła na ziemi krwawy ślad. Przykucnęła i dotknęła twarzy martwej dziewczyny. Była

TRÓJKĄT ŚMIERCI

381

zastygła i zimna jak lód. Odwróciła ciało na wznak. Włosy rozsypały się i poruszały na wietrze. Dziewczyna sprawiała wrażenie śpiącej, nie martwej.

- Żyła jeszcze prawie do wieczora.

Te słowa wypowiedziane przez kogoś, kto był za jej plecami, tak przeraziły Hilary, że zerwała się i chciała uciec za drzewa. Ale znów usłyszała:

- Nie, proszę nie... Nie zostawiaj mnie...

Siłą woli zmusiła się do pozostania na miejscu i spojrzała w kierunku, z którego dobiegał głos. Oparty o pień drzewa siedział na ziemi żołnierz, Murzyn. Mógł mieć około trzydziestki. Był bez hełmu,

kombinezon miał rozpięty, a na mundurze widoczna była rozległa plama zakrzepłej krwi.

Patrzyła na niego, gdy mówił:

- Przeżyła prawie cały wczorajszy dzień. Zdołała się wydostać z wozu i doczołgać do tego miejsca. Nie miała sił, by dotrzeć do mnie, a ja nie byłem w stanie dojść do niej. Leżała tam i coś mówiła. A potem zamilkła...

Cole zobaczyła, że z oczu żołnierza płyną łzy. Podeszła i uklękła przy nim.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała tonem, jakim zwracała się zazwyczaj do chorych. - Wszystko będzie dobrze - powtórzyła i zaczęła delikatnie odsłaniać ranę, by sprawdzić, w jakim jest stanie.

Musiało go bardzo boleć, bo wstrząsnął nim spazm. Starła się być ostrożna. Próbowала oderwać przyschła do rany koszulę, ale spowodowało to krwawienie. Obejrzała ranę; Żołnierz wykrzywił twarz w paroksyzmie cierpienia i jęknął. Patrząc mu prosto w oczy powiedziała:

- Jestem pielęgniarką. Twoja rana jest ciężka. Nie wiem, co mogę zrobić, ale pomogę ci, jak tylko potrafię, dobrze?

Zagryzając wargi, by nie krzyczeć z bólu, Murzyn skinął głową.

- A więc doskonale. Pójdę do tego przewróconego wozu, może znajdę jakieś opatrunki. Czekaj cierpliwie.

Postarała się ułożyć go możliwie najwygodniej.

- Zaraz wrócę. Nigdzie nie odejdę. Rozumiesz?

Milcząc znów skinął głową. Zdjęła kurtkę, okryła go i podeszła do wozu pancernego. Wczołgała się do środka. Pośród różnych rzeczy osobistych, broni, amunicji, map i jakichś papierów znalazła dwie apteczki polowe. Miała szczęście. Nie przyglądając się trupowi, który leżał we wnętrzu pojazdu, wypełzła na zewnątrz.

Gdy tylko się podniosła, usłyszała krzyk:

- *Haiti*

Odwróciła się. O jakieś pięćdziesiąt metrów od niej stało dwóch niemieckich żołnierzy. Jeden z nich wycelował w nią karabin. Cofnęła się o krok do tyłu i spojrzała na rannego żołnierza. Ten odwrócił głowę i zobaczył Niemców. Odsunął kurtkę Cole i prawą ręką podniósł karabin M-16, który leżał obok. Spozrzedli to Niemcy, a ten, który celował w Cole, przesunął lufę i puścił serię w kierunku leżącego. Był tak blisko, że nie mógł nie trafić. Cole z przerażeniem zobaczyła, że pierwsza kula trafiła w głowę Murzyna, a druga w jego ramię. Żołnierz zwinął się w śmiertelnym skurczu. Co nastąpiło potem. Cole już nie widziała. Rzuciła na ziemię apteczki i puściła się biegiem w zarośla. Koło jej głowy zaświstały kule. Biegła jak szalona, śmigając między drzewami.

Gdy się zatrzymała, nie mogła złapać tchu. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Była mokra od potu, ale nie miała już swojej kurtki i zaczynała się trząść z zimna. Szła jeszcze przez jakiś czas przed siebie, póki starczyło jej sił. A potem, całkowicie wyczerpana, stanęła, osunęła się na ziemię i po chwili zasnęła.

Minęło wiele tygodni, zanim ciało Hilary Cole odnaleziono w głębi lasu, a natrafiono na nie dopiero na wiosnę, kiedy las był już zielony i pełen

śpiewu ptaków.

tfr # 3r

- Szanse powodzenia są absolutnie znikome, pani prezydent. Nie mogę poprzeć tej operacji.

Słowa Petera Soaresa nie zaskoczyły Abigail Wilson. Już od wielu dni jej sekretarz stanu najwyraźniej dystansował

TRÓJKĄT ŚMIERCI

383

się od administracji. To, że ostatnie decyzje potraktował jako pretekst do wycofania się, było krokiem najzupełniej logicznym. Wilson poczuła ulgę.

- Czy nie widzi pan, panie sekretarzu, innego wyjścia? - zapytała.

Zaskoczony jej słowami Soares nie wiedział, co odpowiedzieć. Wilson, nie dając mu czasu do namysłu, kontynuowała:

- Jestem zdumiona, że ktoś, kto przed niespełna miesiącem usilnie namawiał mnie do podjęcia tej operacji, teraz, kiedy znaleźliśmy się w samym centrum skomplikowanego kryzysu wywołanego tą operacją, wycofuje się i jest przeciwny działaniom, których celem jest ratowanie życia naszych żołnierzy. Przecież to całkowity brak logiki.

Soares poczuł się tak, jakby go wdeptywano w ziemię. Był już świadkiem sytuacji, gdy Wilson mieszała innych z błotem, lubił nawet takie sceny. Nie przypuszczał jednak, że kiedyś i on stanie się celem

ataku pani prezydent.

- Pani prezydent, pozostawmy to amerykańskim wyborcom. To oni będą mnie sądzić.

Wilson uważała, że próba zrobienia z całej sprawy afery politycznej jest czymś wyjątkowo ohydny. Jak można myśleć o wyborach w sytuacji, gdy życiu tysięcy Amerykanów zagraża niebezpieczeństwo, a pozycja Stanów, jako przywódcy wolnego świata, wisi na włosku. Nadszedł czas decyzji, a nie czas rozgrywek. Na uwagę sekretarza stanu odpowiedziała więc głosem zimnym i oschłym:

- A ja, Peter, wierzę, że moim sędzią będzie Pan Bóg.

Z końca stołu rozległ się głos Eda Lewisa, który dołożył argument do klęski Soaresa:

- Pan chyba rozumie, panie sekretarzu, że Brytyjczycy oraz Francuzi i inni sojusznicy z NATO udzielą naszej operacji poparcia jedynie wtedy, kiedy podejmiemy się odzyskać kontrolę nad bronią nuklearną, która została nam wydartą. Wprawdzie lepiej byłoby poczekać do momentu, aż 10. Korpus znajdzie się na wybrzeżu, ale trzeba było podjąć decyzję...

384

HAROLD COYLE

Tego Soares już nie mógł znieść. Odwrócił się do Lewisa, pochylił nad stołem i syknął:

- A ty kim jesteś, że przychodzisz mnie tu pouczać i usiłujesz odgrywać rolę sekretarza stanu.

Lewis nie potrafił sobie odmówić przyjemności riposty i powiedział

spokojnie:

- Wydaje mi się, że ktoś tu musi odgrywać rolę sekretarza stanu, skoro pan się do niej nie nadaje.

Soares aż poczerwieniał z wściekłości. Zerwał się z krzesła i wygrażając pięścią, ryknął:

- Sukinsyn, zwykły sukinsyn!

Wilson uderzyła ręką w stół, a gdy zapanowała cisza, powiedziała zimno, choć spokojnie:

- Panie sekretarzu, nie dopuszczę, by nasze posiedzenia stały się bazarowymi pyskówkami. Proszę usiąść i nie odzywać się. Mamy zbyt wiele przed sobą, by tracić czas na jałowe połajanki.
- Jeśli rzeczywiście jest tak dużo do zrobienia, to proszę to robić już beze mnie. Za godzinę dostanie pani moją rezygnację - oświadczył już cichszym głosem Soares.

Popatrzyła na niego i próbując opanować gniew, odparła:

- Przykro mi, że właśnie w takiej chwili odchodzisz z administracji - z tonu, jakim to powiedziała, można było wywnioskować, że wcale nie jest jej przykro. - Dziękuję za dotychczasową współpracę. Rezygnację przyjmuję. -Zwróci>zy się następnie do szefa Połączonych Sztabów powiedziała najspokojniej, jakby nie zdarzył się ten incydent: -A więc mówił pan, generale, że generał Malin zaakceptował plan peracji „En Passant” i podejmuje już kroki, by się przygotować do jej wykonania?
- Tak jest, pani prezydent - odpowiedział generał. -Właśnie przed przyjazdem tutaj rozmawiałem z nim telefonicznie. ..

Szef Połączonych Sztabów relacjonował sytuację, wszyscy słuchali. Soares uświadomił sobie, że nie należy już do ich kręgu, nie jest już

jednym z nich. Wyraźnie zlekceważono jego obecność. Wywiązała się ożywiona dyskusja, ale na niego nikt nie zwracał uwagi. Nie pozostało mu nic

TRÓJKĄT ŚMIERCI

385

Innego, jak tylko obserwowanie i przysłuchiwanie się dyskutującym. Pomyślał, że ma sporo czasu, by pocze-kać.aż Wilson się na czymś potknie. Tylko na to mógł Uczyć, jeśli marzył o fotelu prezydenckim. Teraz nie był już tu potrzebny, więc cicho wymknął się z gabinetu. Ed Lewis odprowadził go spojrzeniem do drzwi.

ft tV &

Rozległo się pukanie. W uchylonych drzwiach stał adiutant

- Generale Malin, wrócił generał Prentice.

Malin podniósł głowę znad sterty depeesz i meldunków.

- Dawaj go tutaj - mruknął. - I powiedz szefowi sztabu, że chcę z nim mówić zaraz, gdy tylko wyjdzie generał Prentice.

Adiutant wiedząc, że szef sztabu będzie pytał o powód wezwania na rozmowę, zapytał:

- A co szef ma przygotować?

Malin spojrzał na leżącą przed nim stertę papierów i powiedział cicho:

- Chcę, by wymyślił, co robić z tymi śmieciami. Ci z Pentagonu nie przestają nas zasypywać makulaturą. Połowa z tego nie jest nikomu potrzebna.

Adiutant, który był również odpowiedzialny za korespondencję

przychodzącą i wychodzącą, doskonale wiedział, o czym mówi Malin. Kiedy „oficjalnie” uchodzili za „buntowników” i maszerowali przez Niemcy na północ, zachowano jedynie kilka kanałów łączności z Waszyngtonem. Napływały wtedy tylko raporty Agencji Wywiadu Obronnego, a sam Malin każdego dnia wieczorem rozmawiał z szefem Połączonych Sztabów. Na podstawie tych rozmów szef Połączonych Sztabów przygotowywał raport, który następnego dnia rano składał pani prezydent. O tych kontaktach wiedziało jedynie wąskie grono najbardziej zaufanych ludzi. Wprawdzie było oczywiste, że tajne porozumienie Wilson-Lewls-Malin zostanie szybciej czy później ujawnione, ale uważano, że im później do tego dojdzie, tym lepiej.

386

HAROLD COYLE

Tymczasem sytuacja polityczna zaczęła się radykalnie zmieniać. Wrogie stanowisko niemieckiego kanclerza, który nie godził się na żadne negocjacje z prezydentem Wilsonem, konflikt między nim a niemieckim parlamentem, a wreszcie przebieg walk spowodowały, że świat, a w szczególności kraje członkowskie NATO, zaczynały zupełnie inaczej traktować przebieg konfliktu. Malina nie uważano już za zbuntowanego generała, lecz za kogoś, kto przeciwstawia się niemieckiej agresji i walczy o utrzymanie nuklearnej równowagi i pokoju w Europie. Ze zrozumieniem przyjęto oświadczenie Wilsona, że Stany nie będą się biernie przyglądać, jak Niemcy uderzają na 10. Korpus. W USA opinia społeczna w ogromnej większości poparła to oświadczenie.

To wszystko umożliwiło wysłanie do Niemiec 17. Dywizji

Spadochronowej z zadaniem zabezpieczenia rejonu Bremerhaven, podjęcia lotów z baz w Anglii i przerzucenia części floty amerykańskiej na Bałtyk, gdzie pilnowałyby niemieckich portów. Uruchomiono też liczne linie łączności między Waszyngtonem a sztabem 10. Korpusu. I ten właśnie fakt spowodował, że dowództwo Korpusu zasypywano pytaniami, raportami i przeróżnymi żądaniami oficerów z Pentagonu. Domagano się planów i meldunków, raportów i informacji na temat przygotowywanych operacji, do których włączały się nowe oddziały wysłane ze Stanów.

Prawie wszyscy oficerowie 10. Korpusu zignorowali tę papierową powódź rad i żądań. Coś jednak trzeba było zrobić, by temu zaradzić, tym bardziej że w tym zalewie papierów ginęły informacje najwyższej wagi, na przykład podpisany przez szefa Połączonych Sztabów rozkaz dotyczący operacji „En Passant”. Dopiero kiedy szef Połączonych Sztabów porozumiał się z Malinem i zapytał go o zdanie na temat operacji, wyszło na jaw, że Malin nic jeszcze o niej nie wie. Nie wiedział o niej również jego szef operacji, generał Jerry Prentice. Podjęto gorączkowe poszukiwania. Okazało się, że rozkaz w sprawie operacji „En Passant” tkwi w komputerze w Waszyngtonie i czeka w kolejce na przekazanie za pośrednictwem satelity.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

387

Wobec niemożliwości zastosowania zwykłej procedury planowania operacji, Malin, Prentice i wyznaczeni oficerowie sztabu podczas krótkiej narady opracowali wszystkie szczegóły wykonania operacji „En Passant” i natychmiast rozjechali się do poszczególnych jednostek

korpusu, by wyjaśnić dowódcom czekające ich zadania. Prentice, główny planista operacji, udał się do Kompanii A 1. Batalionu Komandosów 77. Pułku Piechoty - oddziału, któremu przypadło wykonanie najtrudniejszego zadania.

Jeny Prentice wszedł do gabinetu Malina bez pukania, usiadł przed jego biurkiem i powiedział:

- Znalazłem Ich z wielkim trudem.

Wielki Al, zadowolony, że ma pretekst, by się oderwać od czytania bzdur nadesłanych z Waszyngtonu, podniósł głowę i zapytał:

- Masz trudności z czytaniem map. Jeny?
- Nie, po prostu byli doskonale zamaskowani.
- Ale udało się?
- Udało. Ukryli się w magazynach jakiejś fabryki. Zaprowadzili mnie do środka i poczęstowali śniadaniem -niemieckie piwo, niemieckie kielbaski i świeży chleb, a wszystko zarekwirowali w jakimś magazynie niemieckiej armii. Ci faceci odżywiają się o wiele lepiej niż my. W dodatku nie widziałem tam ani jednego żołnierza w mundurze naszej armii i ani jednego właściwie oznakowanego pojazdu.
- A morale żołnierzy?
- Doskonale - odpowiedział Prentice. - Są w świetnej formie. Broń czysta, naoliwiona, gotowa do walki. Gdyby nie to ich dziwaczne umundurowanie, byłby to najlepszy oddział, jaki widziałem w ciągu minionych dwóch tygodni.

Malin uśmiechnął się, ale natychmiast spoważniał.

- Nie zaskoczyłeś mnie. To doskonały oddział. Ostatnio

wykonywali najtrudniejsze zadania, za każdym razem na piątkę. A kiedy nie mieli żadnych rozkazów, podejmowali różne akcje, które zawsze przynosiły nam ogromne korzyści materialne. A co najważniejsze - nie stracili ani jednego człowieka.

388

HAROLD COYLE

To ostatnie zdanie Malina sprawiło, że i Prentice spoważniał. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Obaj byli świadomi, że zadanie, jakie powierzyli kompanii Ilwanicza, nawet w idealnych warunkach mogło oznaczać krwawą jatkę.

Prentice pierwszy przerwał milczenie:

- Ilwanicz zwołał dowódców pododdziałów, a ja rozłożyłem przed nimi mapę arsenału i okolicy. Przedstawiłem im zadanie, a oni słuchali w skupieniu. Gdy skończyłem, wszyscy spojrzeli na Ilwanicza. Ten również patrzył na nich bez słowa. Wreszcie przeniósł wzrok na mnie i powiedział krótko: „Wykonamy”. Nikt o nic nie pytał, nikt się nie skarżył, nie miał wątpliwości, nie okazywał strachu. Obyło się też bez demonstrowania fałszywego bohaterstwa. Wystarczyła tylko ta krótka odpowiedź Ilwanicza, gdy potwierdził przyjęcie zadania.

Malin wyprostował się, złożył ręce na brzuchu i mruknął:

- Zawsze się zastanawiam, czy ci błyskotliwi planiści z Waszyngtonu ustalaliby w ogóle jakiekolwiek zadania, gdyby sami musieli

przekazywać rozkazy żołnierzom.

- Oczywiście, *sir*. Dopóki będą młodzi ludzie gotowi do wykonywania rozkazów starszych panów, takich jak my dwaj, dopóty Waszyngton będzie te rozkazy wydawał.

Malin skinął głową bez słowa. Jeszcze przez chwilę rozważał, co czeka żołnierzy Kompanii A 1. Batalionu Komandosów, ale szybko odsunął od siebie te myśli. Mieli jeszcze wiele spraw do omówienia.

Ilwanicz, zaszywszy się w kącie magazynu, wypoczywał. Kiedy wstał, natychmiast zwołał odprawę dowódców plutonów i drużyn. Na ścianie rozwieszono mapy terenu, gdzie mieli wykonywać operację, oraz dokładną mapę arsenału, znajdującego się na zachód od Poczdamu. Składowano w nim głowice nuklearne. Właśnie ten obiekt mieli zaatakować i zająć. Ponieważ większość obecnych wysłuchała

TRÓJKĄT ŚMIERCI

389

już rozkazów przedstawionych im przez Prentice'a, Ilwanicz mógł od razu przystąpić do rzeczy, to znaczy omówić szczegóły akcji:

- Operacja jest podobna do tej, jaką wykonywaliśmy na Ukrainie. Wpadamy do środka, zabezpieczamy broń i przygotowujemy strefę lądowania dla jednostek wsparcia. Będą to siły piechoty morskiej, które przylecą helikopterami od strony Bałtyku. Następnie pomagamy im zabezpieczyć teren. Głowice zostają zabrane, a my się od razu ewakuujemy. Ilwanicz popatrzył na obecnych. Słuchali w milcze

niu. I on, i oni doskonale wiedzieli, że operacja nie będzie podobna do tej, jaką przeprowadzali na Ukrainie.

Po chwili ciszy Ilwanicz wyjaśnił:

- W przeciwieństwie do tego, co było na Ukrainie, mamy tu do czynienia z przeważającymi siłami. Arsenалу pilnuje 2. Batalion 26. Brygady Spadochronowej, jednej z najlepszych jednostek Bundeswehry. Dysponują pojazdami pancernymi, moździerzami i w sile ognia mają nad nami przewagę w stosunku jak sześć do jednego. Dodam, że nie możemy liczyć na zaskoczenie ich. Niemcy spodziewają się, że podejmiemy akcję zmierzającą do odebrania głowic. W ciągu pierwszych trzydziestu minut nie będziemy mieli wsparcia marynarki, piechoty ani lotnictwa. Chodzi o to, by inne helikoptery przedwcześnie nie zaalarmowały Niemców. I jeszcze jedno: arsenał został wybudowany przez Armię Czerwoną jeszcze w latach pięćdziesiątych. Ze wszystkich stron otaczają go puste tereny, ciągnące się w promieniu dwóch kilometrów. Nie ma tam niczego, za czym można by się ukryć.
- Przecież nas natychmiast zobaczą - mruknął siedzący po drugiej stronie starszy sierżant Rasper.

Ilwanicz spojrzał na niego i odparł:

- Dokładnie tak. Nie ma mowy, by udało nam się podejść ich bez zwracania na siebie uwagi.
- Możemy maszerować przy dźwiękach muzyki, z rozwiniętymi sztandarami - skomentował to półgłosem Rasper.

Ilwanicz skinął głową.

- Racja - przyznał. - Wjedziemy tam jako konwój nie

miecki. Niemcy mogą się domyślać, że nie jesteśmy uzu-

390

HAROLD COYLE

pełnieniem ich sił, ale nie będą pewni, kim jesteśmy i o co nam chodzi. Dopóki tylko będzie to możliwe, musimy udawać Niemców. Kiedy będą nas usiłowali zatrzymać, wiedzmy się siłą.

Znów zapadła cisza. Wreszcie porucznik Fitzhugh zadał pytanie, które cisnęło się na usta wszystkich:

- Majorze, czy oni naprawdę przypuszczają, że uda nam się dotrzeć do głowic i zabezpieczyć strefę lądowania?

Ilwanicz chwilę milczał. Od kilku tygodni żył wśród tych komandosów, był ich dowódcą i niemal stał się jednym z nich. Położył ręce na stole i pokręcił głową:

- Wydaje mi się, że nie, choć generał Malin nie mówił o tym zbyt jasno. Przypuszczam, że wiedzą, iż niewielu nas z tego wyjdzie.
- A więc dlaczego skazują nas na śmierć?! - w głosie Raspera wyczuwało się oburzenie. - Przecież to jasne, po prostu skazują nas na zagładę!

Ilwanicz natychmiast odparł:

- Nikt nas nie skazuje na zagładę. - To desperacki plan, odpowiadający desperackiej sytuacji. To polityczna konieczność. By uzyskać poparcie państw Europy dla podjętej interwencji, prezydent Stanów obiecała przeprowadzenie operacji, której celem jest zabezpieczenie broni nuklearnej. Jej przygotowanie wymaga wiele czasu, zebrania przez

wywiad dokładnych informacji, ustalenia celów, skupienia odpowiednich sił i skoordynowania ich działań. Ale na to wszystko nie ma już czasu, pozostaje więc rozwiązanie najprostsze, czyli wykorzystanie tego, co się ma pod ręką i czekanie z nadzieją, że się uda.

Ilwanicz wzruszył ramionami, wyprostował się i wyjaśniał dalej. Dowódcy pododdziałów słuchali w całkowitym milczeniu.

- Niemcy spodziewają się desantu z powietrza, na to się przygotowali. Dysponują bronią maszynową, rozstawioną tak, by pokryć ogniem strefę naszego lądowania. Gdyby piechota morska dokonała desantu, nawet poprzedzonego bombardowaniem z powietrza, większość z uczestniczących w operacji zginęłaby, zanim jeszcze pierwszy helikop-

TRÓJKĄT ŚMIERCI

391

ter osiadłby w strefie lądowania. Jedynym celem naszej operacji jest zdezorientowanie i zdezorganizowanie niemieckiej obrony. Musimy zrobić w tej obronie wyłom, przez który wdrze się piechota morska. Musimy związać obronę walką aż do momentu, kiedy nadleci piechota. I to właśnie musimy wykonać. Wszyscy. Kiedy mnie zabraknie, porucznik Fitzhugh przejmie dowodzenie. Gdyby i jego dopadli, to sierżant Rasper. Jeśli i z nim coś się stanie, dowódcą ma być sierżant Johnson. A po nim w kolejności sierżanci z poszczególnych plutonów. Potem dowódcy drużyn. Oczekuję, że każdy komandos będzie walczył do końca.

Zapadło milczenie, a gdy Ilwanicz znów podjął temat, jego głos brzmiał poważnie. Wyczuwało się w nim nawet wahanie:

- Nie jestem zwolennikiem operacji samobójczych. Wiem, że amerykański generał również ich nie popiera. Powtarzam wam jedynie to, co usłyszałem z jego ust. Tragiczne sytuacje wymagają tragicznych decyzji. Dlatego też prosiłem generała o zezwolenie na wyłączenie z operacji tych wszystkich, którzy nie chcą w niej uczestniczyć. Udział w niej jest całkowicie dobrowolny - znów zamilkł i popatrzył na twarze obecnych. - Wracajcie teraz do swoich ludzi i przekażcie im wszystko, coście tu usłyszeli. Powiedzcie, co jest naszym zadaniem i dlaczego. A potem niech każdy z nich i z was podejmie decyzję. Bez żadnych nacisków, bez żadnych warunków. Wieczorem ładujemy się na wozy. Kto się decyduje, wsiada, kto nie, ten pozostaje. Decyzja należy tylko do każdego z was. Zrozumiano?

Wszyscy skinęli głowami. Ilwanicz podszedł do mapy.

- Każdy z dowódców musi dokładnie poinformować swoich ludzi o zadaniach. Weźmiecie ze sobą mapy i poinstruujecie ich tak dokładnie, by każdy komandos wiedział, jak jest rozstawiona obrona, jak przebiegają linie Niemców, w jakim kierunku atakujemy. Jeśli nie ma pytań, jesteście wolni.

Wszyscy wstali, zaszalutowali i opuścili pokój. Ilwanicz został sam. Zabrał się za studiowanie map i zdjęć przekazanych mu przez generała.

Rozdział XIX

23 stycznia

Nie mogąc zasnąć Abigail Wilson przechadzała się po pokoju. Mogła zejść do podziemi, do Sali Operacyjnej, która od kilku dni była właściwie domem dla kilku najważniejszych osób z administracji, ale doszła do wniosku, że jej obecność powodowałaby jedynie wzrost napięcia, które i tak nieustannie dominowało w atmosferze tego pomieszczenia. Miała za sobą lata doświadczeń, w ciągu których nauczyła się panować nad emocjami, a w każdym razie ukrywać je. Nadchodziły jednak chwile, kiedy nie umiała się z nimi uporać, co jej przeciwnicy uznawali za poważną wadę. Wiedziała o tym doskonale, więc kiedy była zdenerwowana wolała się nie pokazywać swoim współpracownikom. W samotności łatwiej jej było dać sobie radę ze swoimi myślami i obawami.

I teraz też postanowiła pozostać w swym gabinecie. Wkrótce miała się rozpocząć operacja odbicia Niemcom broni nuklearnej. Wilson wiedziała, że w tej trudnej sytuacji musi całkowicie panować nad sobą i nad przebiegiem wydarzeń.

Krążąc po pokoju, podeszła do okna. Była noc, ale na ulicach panował spory ruch, co zawsze ją zdumiewało w wielkich miastach. Nigdy ich nie lubiła, choć od lat mieszkała najpierw w Denver, a potem w Waszyngtonie. Mimo to metropolie wydawały się jej miejscami obcymi, o jakimś dziwnym, niezbyt dla niej zrozumiałym stylu życia.

Uświadomiła sobie, że jest wiele innych spraw, których nie rozumie. Nie potrafiła zgłębić istoty i techniki działania armii, choć formalnie była przecież głównodowodzącym sił zbrojnych. Nie rozumiała psychiki zawodowych żołnierzy. Nie mogła pojąć, czym się kierują, wybierając

kariere wojskowa. Czyżby stawali w obronie nieokreślonych idei, jakichś nadrzędnych zasad?

Oparła głowę o szybę. Jak od lat, kiedy była młodą dziewczyną w Kolorado, ten dotyk zimnego szkła uspokajał ją. Zrobiło wszystko to, co uważała za słuszne. Reszta należała już do innych. Jej pozostało teraz tylko czekanie i świadomość, że to ona poniesie wszelkie konsekwencje swoich decyzji.

Z każdym przejechanym metrem zbliżali się do bramy wjazdowej do arsenału. Ilwanicz siedział obok kierowcy i ścisnął karabin, który trzymał na kolanach. Czuł, jak serce zaczyna mu bić przyśpieszonym rytmem. Nie mógł oderwać wzroku od lufy karabinu maszynowego, wystającej ze strzelnicy wieży, tuż koło bramy, która wydawała się wycelowana prosto w niego. Wiedział, że za karabinem siedzi jakiś młody niemiecki spadochroniarz, który trzyma palec na spuście i uważnie obserwuje zbliżającą się kolumnę. Kierowca sierżant George Couvelha prowadził równo i wolno. Ilwanicza prześladowała myśli, że ten Niemiec z wieży zaraz puści w ich kierunku serię, a przy tak niewielkiej odległości ani on, ani sierżant Couvelha nie mieliby najmniejszych szans ocalenia życia. Ale od dawna zdawał sobie sprawę, że taki właśnie los go czeka.

Starął się opanować strach i zebrać myśli. Był żołnierzem, więc musiał być przygotowany na wszystko.

W punkcie dowodzenia 2. Batalionu, 26. Brygady Spadochronowej podpułkownik Jakob Radek z ulgą przyjął informację o zbliżającym się konwoju. Ciągłe nie mógł się pogodzić z decyzją dowódcy brygady, pułkownika Haasa, który zgodził się na odkomenderowanie do Berlina

kompanii, i to w czasie, gdy niebezpieczeństwo ataku ze strony Amerykanów stawało się tak realne. W ostrej wymianie zdań, do jakiej doszło, Radek powiedział Haasowi, co myśli o idiotach z Berlina, którzy domagali się w takiej sytuacji wysłania do stolicy części sił strzegących arsenału. Wiedział, że nie postępuje rozsądnie, ale uznał, że i Haas, i ci durnie z Berlina powinni zrozumieć, co im może grozić. Poleciał sierżantowi, pełniącemu dyżur przy bramie, by przekazał dowódcy powracającej kompanii, że ma się natychmiast u niego zameldować.

Radek chciał, by kompania jak najszybciej znalazła się na wyznaczonych jej pozycjach wokół pomieszczeń, w których przechowywali broń jądrową. Chodziło o otoczenie arsenału możliwie najsilniejszą linią obrony, zdolną powstrzymać Amerykanów. Prawdę mówiąc, wierzył jednak, że nie dojdzie do sytuacji, kiedy trzeba będzie w praktyce sprawdzać siłę obrony arsenału.

Sierżant strzegący bramy odłożył słuchawkę i przez chwilę patrzył na aparat telefoniczny. Rozkaz, jaki otrzymał od Radka, był najwyraźniej sprzeczny z instrukcją, jaka ich do tej pory obowiązywała: nikogo i w żadnej sytuacji nie wpuszczać na teren bazy. Odwołanie jednej z kompanii i skierowanie jej do Berlina było również bez sensu. Sierżant podniósł głowę i patrzył na konwój, który był już o jakieś pięćdziesiąt metrów od nich. Spojrzał na kaprała i ruchem ręki polecił strażnikom, by usunęli bariery blokujące wjazd.

Ilwanicz nie miał wątpliwości, że z tej odległości strzelający z wieży nie

może spudłować. I nagle usłyszał okrzyk zdumienia kierowcy:

- Majorze, oni otwierają bramę! Ci idioci wpuszczają nas do środka!

Rosjanin wreszcie oderwał oczy od wieży wartowniczej i spojrzał na bramę, którą właśnie otworzyli strażnicy. Jakiś kapral stał z boku i ruchem ręki kazał im wjeżdżać do środka. Ilwanicz osłupiał. Natychmiast jednak otrząsnął się ze zdumienia i kazał kierowcy szybko przejechać przez bramę.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

395

- Muszą na kogoś czekać, pewnie się pomylili. - Jedź. Nie zwalniasz i nie przyspieszasz - powiedział do sierżanta.

W chwili, gdy samochód Ilwanicza przejeżdżał przez bramę, na szosę przed nimi wyjechał z lasu samochód sztabowy wiozący pułkownika Johanna Haasa, który zobaczywszy wjeżdżający do bazy konwój, wpadł w furję.

- Wymiń ten konwój i podjedź do bramy! Szybko! - krzyknął do kierowcy.

Ten zaś zaskoczony i zdumiony, zjechał na prawe pasmo, dodał gazu i zaczął wymijać wozy kolumny wjeżdżającej na teren bazy.

Kapral stojący na warcie przy bramie, usłyszawszy warkot nadjeżdżającego pojazdu, przestał się interesować pojazdami konwoju. Na pełnym gazie zbliżał się pojazd sztabowy. Podniósł rękę, aby go zatrzymać, ale kierowca nie zwolnił. Kapral zrozumiał, że znalazł się w niebezpieczeństwie. Rzucił się w kierunku bunkra i wrzasnął do siedzących tam spadochroniarzy, by otworzyli ogień.

Nagle zamieszanie, po którym natychmiast rozległa się seria z karabinu maszynowego, spowodowało, że Ilwanicz krzyknął:

- Gazu!

Couvelha zareagował tak, jak przed chwilą kierowca Haasa: bez wahania wcisnął pedał. Wewnętrzna strefa bazy zaczynała się o jakieś trzysta metrów przed nimi. Jeśli dopisze im szczęście, będą tam w ciągu kilku sekund, a tym samym zyskają szanse zapanowania nad ukrytymi głowicami. Sierżant skoncentrował się na prowadzeniu, a Ilwanicz kopnięciem otworzył drzwiczki samochodu, wystawił lufę swego pistoletu maszynowego i zasypał gradem kul Niemców, którzy wybiegli z budynku wartowni.

Gdy rozległa się kanonada, z budynku stojącego obok wartowni wyszedł Radek. Zrobił kilka kroków, przystanął i szeroko otwartymi z przerażenia oczami patrzył na mijający go właśnie na pełnym gazie samochód sztabowy. Siedzący obok kierowcy pasażer otworzył drzwiczki i z furją, krótkimi seriami, ostrzeliwał usiłujących się ukryć wartowników. Radek nawet nie zdążył się zorientować

w sytuacji, gdy minęła go pierwsza z ciężarówek konwoju. Brezentowa plandeka z tyłu budy była podwinięta, więc mógł zobaczyć żołnierza w mundurze Bundeswehry, który, podobnie jak pasażer wozu sztabowego, otworzył ogień z pistoletu maszynowego. Zapewne obaj strzelający nie mieli żadnego określonego celu, bo zasypywali kulami cały rejon wartowni. Radek dostał w ramię, a zaraz potem w pierś i odrzucony w tył przez otwarte drzwi wpadł do pomieszczenia, które właśnie przed chwilą opuścił. Upadł. Nie mógł się ani poruszyć, ani wołać o pomoc. Słyszał

warkot przejeżdżających szosą wozów, strzały, krzyki trwogi i wybuchy.

Pułkownik Haas wyczołgał się natychmiast z wozu, który przewrócił się tuż za bramą wjazdową do bazy. Skurczony za kierownicą sierżant już nie żył. Stojąc na poboczu Haas popatrzył na otwartą bramę. Podobnie jak Radek, bezsilnie i ze zdumieniem słuchał odgłosów walki, które oddalały się w głąb bazy, w kierunku strefy wewnętrznej.

Kevin Papę, nie zwracając uwagi na podmuch wiatru wywołany szybką jazdą ciężarówki, przygotowywał do strzału karabin maszynowy, którym się opiekował od kilku dni, a którego jeszcze nie miał okazji sprawdzić. Pochylił się, wziął na cel grupę trzech niemieckich wartowników, którzy biegli, by ukryć się w bunkrze, starannie wymierzył i dał ognia. Pierwsza seria poleciała nad głowami uciekających. Przerwał ogień i obniżył lufę. Ściągnął delikatnie spust - tym razem trafił. Ten w środku upadł, a podążający za nim potknął się. Wtedy dosięgły go pociski.

Papę nie zauważył, że z karabinu maszynowego umieszczonego w bunkrze otworzono ogień. Celem był samochód sztabowy Ilwanicza. Dopiero gdy kierowca wozu został trafiony, a pojazd gwałtownie skręcił i wjechał w ogrodzenie z drutu kolczastego, Papę zorientował się, co się stało. Kierowca ich ciężarówki, Ken Hillman, skręcił gwałtownie w lewo, by nie uderzyć w tył wozu Ilwanicza. W wyniku tego manewru ciężarówka również wpadła w ogrodzenie, ale ponieważ była cięższa od wozu sztabowego, przebiła się na drugą stronę i zatrzymała w błocie na skraju rowu

TRÓJKĄT ŚMIERCI

397

przeciwczoigowego. Sierżant Rasper wydał natychmiast komendę:

- Wyskakiwać! Wyskakiwać! Wszyscy!

Papę jednym ruchem wyrwał z podstawy karabin maszynowy, uniósł go i zanim wyskoczył, zdążył jeszcze krzyknąć do kierowcy:

- Amunicja! Zabierz amunicję!

W sekundę potem ciężarówkę trafił grad pocisków z karabinu maszynowego strzelającego z bunkra. Papę łukiem wpadł do dołu przeciwzoigowego i zarył w błoto.

Ilwanicz, stwierdziwszy, że sierżant Couvelha nie żyje, wyskoczył z wozu z pistoletem maszynowym w lewej ręce. Zatrzymał się przed ogrodzeniem z drutu kolczastego. Oparł lewą dłoń na palu płotu i odbiwszy się nogami od ziemi, skoczył. Jak na doskonale wyszkolonego komandosa przystało, starał się upaść tak, by po drugiej stronie ogrodzenia potoczyć się po ziemi. Mimo zwinności wpadł w błoto i ugrzązł w mazi. Manewr wykonał jednak perfekcyjnie, z doskonałym wyczuciem czasu. Strzelający z bunkra skierował na niego lufę karabinu maszynowego, ale w momencie, gdy puścił serię, Ilwanicz zniknął już za krawędzią rowu. Niemiecki strzelec nie krył wściekłości:

- Po jaką cholere kopią rowy w polu ostrzału z bunkra? - krzyknął.

Stojący za nim sierżant odpowiedział ostro:

- Zamknij się i bierz się za ciężarówkę. Tamci zajmują pozycje.

Zanim jednak strzelec wykonał polecenie, wszyscy komandos z ciężarówki Raspera byli już w rowie oddzielającym strefę zewnętrzną bazy od wewnętrznej.

Ilwanicz przylgnął do wilgotnej ściany rowu i po raz pierwszy od

początku walki mógł zebrać myśli, by ocenić sytuację. O kilkanaście metrów na prawo Rasper rozstawiał swoich ludzi. Od strony budynków wartowni dobiegała strzelanina. Niewątpliwie porucznik Fitzhugh związał ogniem niemiecką załogę. Ilwanicz nie rozumiał, jakim cudem udało im się wjechać tak daleko w głąb bazy, wiedział jednak, że jeśli natychmiast nie podejmą jakichś

398

HAROLD COYLE

kroków, to Niemcy zaatakują i dzięki swej ogromnej przewadze zgniotą grupkę komandosów, znajdującą się teraz między strefami bazy. Nadszedł czas, by w tej krytycznej sytuacji zastosować specjalne środki, Ilwanicz był już gotowy do działania. Odwrócił się do Raspera i krzyknął:

- Sierzancie, musimy się wydostać z tego rowu i we drzeć do strefy wewnętrznej, zanim Niemcy się opamiętają! Lecę uciszyć ten karabin maszynowy! Osłaniajcie mnie!

Nie zastanawiając się ani chwili, Rasper krzyknął do swoich:

- Rozpocząć cgień w stronę bunkra! Wszyscy! - sam zaś sięgnął po gran; it dymny, wyciągnął zawleczkę i rzucił go w kierunku, w którym miał pobiec Ilwanicz.

Papę ustawił ciężki niemiecki karabin maszynowy w błocie na brzegu rowu. starannie wycelował i dał ognia, puszczając serię w bunkier. Strzelec z bunkra zareagował natychmiast. Kule padały wokół Pape'a, obryzgując go błotem.

Ilwanicz wzhtf głęboki oddech, jednym susem wyskoczył z rowu i zgięty, z pistoletem maszynowym w prawej ręce, susami sadził w kierunku bunkra. Stojący w bunkrze niemiecki sierżant zauważył go i

trącił w ramię strzelca:

- Tam, w 1< wo! Widzisz? Skoś sukinsyna!

Nie przerywając ognia, strzelec przesunął lufę i przeciął Ilwanicza salwą, gdy ten był w połowie drogi do bunkra.

W rowie, z którego bronili się komandosi, zapanowała na moment cisza. Amerykanie patrzyli, jak dowodzący nimi Rosjanin koziółkuje, pada i toczy się po ziemi. Po chwili zmienili ich. Byli zszokowani, przecież od kilku tygodni pracowali i walczyli razem.

Rasper doskonale wiedział, co było celem manewru ich dowódcy. Wyrwał drugi granat dymny, cisnął, chwilę odczekał i krzyżąc polecił:

- Gnam do bunkra! Ubezpiecz mnie!

Komandosi ponownie rozpoczęli ogień, a Rasper wyskoczył z rowu. W tym razem niemiecki sierżant, mimo dymu, zauważył ciekącego i wskazał go obsługującemu karabin maszynowy. Gnącego skokami Raspera trafiono niemal

w tym samym miejscu, co Ilwanicza. Upadł tuż obok majora.

Do Ilwanicza powoli dotarło, że ktoś leży w pobliżu. Usłyszał nawet świst uchodzącego z płuc powietrza. Choć wszystko dobiegało do niego jak zza gęstej mgły i nie był w stanie poruszyć ani rękami, ani nogami, z wysiłkiem odwrócił głowę i zobaczył leżącego. Dopiero po kilku sekundach skoncentrował się na tyle, że rozpoznał Raspera. Natychmiast pojął, co się stało. Sierżant leżał nieruchomo z szeroko otwartymi oczami, z twarzą do połowy wrytą w błoto. Poszedł moimi śladami i przeplącił to życiem - pomyślał Ilwanicz.

Uświadomił sobie, że nie wykonali zadania i jego ciałem wstrząsnął szloch. Nie czuł bólu, ale wiedział, że jest ciężko ranny. Mógł poruszać tylko głową. Miał świadomość, że umiera, żałował tylko, że w takim stanie, w jakim nie był już zdolny do walki. Dumny ze swoich umiejętności komandosa, rosyjski oficer godzien był innej śmierci. Wiedział, jak zabito tego, który ruszył w jego ślady. Zamknął oczy i zaczął w duchu prosić Boga, by pozwolił mu umrzeć, zanim tamci zabiją następnego, który skoczy za nimi.

Tymczasem Papę, przyciśnięty do ściany rowu, nie mógł opanować szoku. Jego przyjaciel Ken Hillman dostał w głowę i leżał teraz w błocie, wrzeszcząc coś bez sensu i kopiąc nogami. W odruchu bezsilności Papę stracił kontrolę nad sobą. Chwycił ciężki karabin maszynowy, wyskoczył z rowu i jak tamci dwaj rzucił się w kierunku bunkra.

Niemiecki sierżant zauważył go przez zasłonę dymną i krzyknął:

- Boże, oni powariowali! Kto to jest?!

Przez chwilę sierżant i dwaj ludzie z obsługi karabinu maszynowego, strzelec i amunicyjny, ze zdumieniem patrzyli, jak kolejny facet w niemieckim mundurze wyskakuje z rowu i wrzeszcząc coś z całych sił, rzuca się w kierunku bunkra. Sierżant pierwszy oprzytomniał i krzyknął:

- Zabij go! Szybko!

Strzelec nie śpiesząc się, dokładnie wycelował i pociągnął spust. Minął zaledwie ułamek sekundy, gdy uświadomił

400

HAROLD COYLE

sobie, że karabin nie strzela. Zza jego pleców dobiegł go histeryczny

krzyk sierżanta:

- Ognia! Ognia! Do cholery, ognia!

Strzelec raz jeszcze nacisnął spust. Na próżno. Odwrócił głowę i krzyknął:

- Amunicja! Szybko amunicja!

Sierżant nie czekając na drugiego z obsługi, chwycił taśmę z amunicją. Strzelec podniósł pokrywę karabinu, odciągnął zamek i zarepetował broń.

Prowadzący resztę kompanii Fitzhugh z przerażeniem patrzył, jak Pape wyskakuje z rowu i krzyząc jak szaleniec, szturmuje bunkier. Komandos dopadł do ściany, wsunął w otwór strzelniczy lufę karabinu maszynowego i zaczął strzelać. To uświadomiło Fitzhughowi konieczność natychmiastowego włączenia się do akcji.

- Chłopcy, wszyscy do przodu! - wydał rozkaz.

Komandosi natychmiast sforsowali przerwane przez wozy ogrodzenie z drutu kolczastego i runęli w głąb strefy wewnętrznej bazy. Dołączyli do nich ci, którzy wraz z Rasperem znaleźli się wcześniej w rowie przeciwczołgowym. Parli do przodu, do wnętrza bazy, przełamując nie zorganizowany opór zaskoczonych Niemców. Batalion pełniący służbę przy bramie był już rozbity.

Gnając do przodu, Fitzhugh podbiegł do stojącego obok ściany bunkra Pape'a, poklepał go po plecach i ledwo dysząc powiedział:

- To było fantastyczne! Teraz za mną!

Oszołomiony Pape opuścił lufę karabinu maszynowego i oparty plecami o bunkier patrzył w kierunku rowu, z którego wyskoczył. Wiatr rozwiewał zasłonę dymną i przez ten żółty dym widział leżących na ziemi Ilwanicza i Raspera. Nie mógł zrozumieć, jak się udało dobiec do

bunkra. I nie zrozumiał tego nigdy. Niczego nie wyjaśniły relacje świadków ani to, co podano potem w uzasadnieniu do rozkazu, którym nadano mu order za szczególne zasługi. Już na zawsze pozostało dla niego tajemnicą to, co się wydarzyło w ciągu tych piętnastu najważniejszych sekund jego życia.

Ilwanlcz słyszał, że odgłosy bitwy zaczynają się od niego oddalać. Tupot ludzi przebiegających w pobliżu i krzyki Fitzhugha przekonywały go, że szala znów zaczęła się przechylać na ich stronę, a atak nabiera Impetu. Zamknął oczy i usiłował się odprężyć. Trwał na granicy jawy i snu, ale wkrótce dotarło do niego, że odgłos, jaki słyszy, to warkot helikopterów.

- Doskonale - pomyślał. - To dobrze, że piechota morską jest już blisko. Może ich działania zakończą się sukcesem i nie pójdą na marne.

Przed bramą wjazdową do bazy, oparty o wrak wywróconego samochodu sztabowego, stał pułkownik Haas. Popatrzył w górę, na nadlatujące helikoptery. Były blisko, mógł zobaczyć ich oznaczenia: wymalowane wielkimi literami napisy „US Marines”. To była amerykańska piechota morska. Maszyny gwałtownie nurkowały i podchodziły do lądowania na terenie bazy. Artyleria przeciwlotnicza nie reagowała, więc nic nie utrudniało dokonania desantu. Haas zrozumiał, że już po wszystkim. Wywołana przez kanclerza Ruffa awantura, dzięki której Niemcy miały się stać potęgą nuklearną, dobiegła końca. W głębi duszy pułkownik przypuszczał, że nie taki Jednak będzie koniec tego dramatu.

I nagle przyszła mu do głowy szczególna myśl. Otóż nie po raz pierwszy

los jego ukochanego kraju znalazł się w rękach człowieka o nadmiernie wygórowanych ambicjach. A może to my, jako naród - rozważał - jesteśmy zbyt dumni i nie potrafimy znaleźć sobie miejsca na świecie?

-A -ft ■&

Ktoś cicho zapukał do drzwi. Abigail Wilson odwróciła się od okna.

- Proszę wejść - powiedziała.

Do pokoju wszedł jeden z jej doradców wojskowych. Nigdy jeszcze nie widział zwierzchnika amerykańskich sił zbrojnych w szlafroku i w domowych pantoflach, ale udawał, że tego nie zauważa.

402

HAROLD COYLE

- Pani prezydent, mamy potwierdzenie, że arsenał został zdobyty. Grupa inspekcyjna jeszcze przeprowadza inwentaryzację głowic, ale wstępne oceny wskazują, że wszystkie znalazły się pod naszą kontrolą - zameldował.

Wilson skinęła głową i zapytała:

- Straty? Jakie ponieśliśmy straty w tej akcji? Pułkownik uśmiechnął się:
- Z meldunków wynika, że straty są minimalne. Wilson zachmurzyła się i spuściła oczy. Minimalne? -

myślała. - Minimalne dla kogo? Dla nas, dla tych, co wydawali rozkazy? A jak na to zareagują matki, których synowie polegli w tej operacji? Czy i dla nich będą to straty minimalne? Odpowiedź znała doskonale. Nie miało jednak sensu tłumaczenie tego temu młodemu pułkownikowi.

Podziękowała i znów odwróciła się do okna. Tu, w zaciszu swego prywatnego mieszkania, była pierwszą osobą pogrążoną w żałobie po tych, których w armii określa się mianem „minimalnych strat”.

Rozdział XX

24 stycznia

Początkowo nikt na to nie zwracał uwagi. Usprawiedliwienia tych, którzy się nie stawili do pracy, brzmiały zupełnie prawdopodobnie. O tej porze roku grypa była czymś całkowicie normalnym. Kiedy jednak „epidemia” dotarła do Sztabu Generalnego i zaczęła dziesiątkować jego szeregi, pułkownik Hans Kasper zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z masową rejteradą oficerów wspierających dotychczas działania rządu Ruffa. Biorąc przykład z generała Langego coraz więcej oficerów otwarcie wyrażało poparcie dla ogłoszonego przez parlament jednostronnego zawieszenia ognia. A ci, co nie deklarowali się, po prostu nie przychodzili do pracy.

O wiele gorsze było to, że całe jednostki wojskowe składały oświadczenia o „nieinterwencji”, deklaracje, że nłe staną do walki z oddziałami amerykańskimi. Co więcej, dowódcy niektórych Jednostek, od batalionu począwszy, a na dywizji skończywszy, udzielali Amerykanom pomocy w ich marszu na północ, Niektórzy wprowadzali swoje jednostki między wojska Amerykanów a oddziały lojalne wobec kanclerza. Dowódca 5. Dywizji Pancерnej powiedział ostatnio Kasperowl:

- Mam nadzieję, że kanclerz wkrótce odejdzie do diabła, a my, Niemcy, będziemy odpowiedzialni za jego grzechy. Ktoś musi stanąć w obronie Niemców, by wtedy, gdy przyjdzie dzień rozrachunku, można było powiedzieć z podniesio-

nym czołem, że jesteśmy narodem cywilizowanym i mamy swoje miejsce wśród innych cywilizowanych narodów.

Te słowa dźwięczały mu w uszach, gdy przechodził niemal pustymi pokojami biura kanclerskiego, gdzie usiłował nakłonić kilku oficerów do wykonania najpilniejszych prac. A nie było to wcale łatwe. Pozostała mu mała garstka najwierniejszych oficerów, na których spadły obowiązki wykonywane normalnie przez znacznie liczniejszy sztab.

Jak każdego ranka, przygotowywał dla kanclerza informację o sytuacji militarnej. Meldunek był bardzo zwięzły, gdyż, jak Kasper zauważył, Ruff niewiele się interesował działaniem wojennej maszyny. Wystarczała mu informacja o tym, gdzie znajdowały się oddziały Amerykanów, które jednostki niemieckie pozostały mu wierne i jakie podejmowały działania. Nade wszystko jednak kanclerz chciał wiedzieć, jakie straty ponieśli Amerykanie podczas minionej doby. Domagał się podania liczby zabitych i rannych, Kaspera zaś najbardziej złościło to, że nie zależało mu na takich samych danych dotyczących ich strony, Niemców.

Początkowo wydawało mu się, że jego podejrzania są nieuzasadnione, ale w miarę upływu dni stawało się to coraz bardziej podejrzane, toteż pułkownik postanowił, że dziś podejmie pewną próbę: poda informacje na temat strat niemieckich, a nie wspomni o amerykańskich.

Spojrzał na zegarek. Miał już tylko kilka minut, a jeszcze nie otrzymał meldunków ze Sztabu Generalnego. Połączył się specjalną linią z dyżurnym sztabu. Ku swemu zdumieniu usłyszał w słuchawce głos kolegi, pułkownika Siegfrieda Arndta.

- Siggi? Tu Hans. Co ty tam jeszcze robisz, przecież

miałeś służbę w nocy?

Arndt zmęczonym głosem odpowiedział:

- Zmiana nie stawiała się na dyżur. -1 po chwili milczenia dodał: - Mówię ci, Hans, że gdyby nie ci wschodniacy, byli oficerowie z NRD, których Ruff przywrócił do służby, to praca tutaj stanęłaby już wczoraj i dzisiaj nie byłoby tu już nikogo.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

405

- To kto w tej chwili prowadzi wydziały operacyjne i planowania? - zaniepokoił się Kasper.
 - Nie potrafię ci dokładnie powiedzieć. Sądzę, że jacyś wschodniacy.
 - No tak - Kasper starał się nie uzewnętrzniać niechęci i obaw. - Stary, za kilka minut składam raport kanclerzowi, a nie mam jeszcze od was informacji.
 - Bardzo proszę. Czołowe oddziały 55. Dywizji USA podchodzą pod Bremen. Przypuszczamy, że obejdą miasto od zachodu i ruszą na północ, na Wilhelmshaven. Jeśli ich ktoś nie powstrzyma, co bardzo wątpliwe, najpóźniej jutro rano połączą się z siłami amerykańskiego desantu. 4. Dywizja Pancerna USA osłania wschodnią flankę korpusu i działa głównie w rejonie Paderborn. 14 Regiment Kawalerii Zmotoryzowanej osłania ich tyły i flankę zachodnią.
- A przed kim osłaniają od zachodu?

Arndt zachichotał.

- Doskonałe pytanie. Nasza 7. Dywizja Pancerna ogłosiła neutralność.

W dodatku dostarcza Amerykanom paliwa płynne. 5. Dywizja, jak wiesz, zajęła pozycje obronne, by ochraniać Zagłębie Ruhry. Jej Jednostki znajdują się na wschód od Dusseldorfu.

- Przed kim bronią Ruhry?

Arndt zlekceważył pytanie Kaspera i kontynuował:

- 1. Dywizja Pancerna ma dziś rano dwoma brygadami zaatakować amerykańską 4. Dywizję. Natomiast 2. Dywizja Pancerna pojawi się tam po południu i powinna zaatakować na północnej flance 1. Dywizji. Dowódca operacji zamierza odciąć 4. Dywizję USA od 10. Korpusu.

Kasper zapytał, dlaczego 1. Dywizja atakuje tylko dwoma brygadami.

- Ponieważ ich 1. Brygada odmówiła wykonania rozkazu. Zgrupowała się w rejonie Hanoweru i przecięła łączność ze sztabem dywizji.
- A inne dywizje?
- Jak wiesz, 4. Dywizja Pancerna poniosła poważne straty i związana jest walkami z tylnymi strażami 10. Korpusu. 10. Dywizja Pancerna, po ciężkich walkach w Nie-

mczech środkowych, przeorganizowuje się. 3. Dywizja Pancerna strzeże granicy z Polską i osłania Berlin. 6. Dywizja Grenadierów Pancernych na wybrzeżach Bałtyku przygotowuje się do odparcia amerykańskiej piechoty morskiej.

- A więc - sumował Kasper - mamy trzy dywizje niezdolne do walki, jedną, 4. Dywizję, która szybko zbliża się do tego samego stanu, i dwie związane na wschodzie. Jak z tego wynika, pozostają nam dwie

niekompletne dywizje zdolne do operacji ofensywnych.

- Tak jest, Hans, masz rację. Jeśli do tego dodasz straty, to okaże się, że nasze siły wyrównały się z siłami Amerykanów.
- To jednak powinno całkowicie wystarczyć do zniaczenia 4. Dywizji Pancерnej.

Arndt zastanowił się chwilę i powiedział nieco ściszoneg głosem:

- Zapewne tak, ale po co mielibyśmy to robić? Kasper nie ukrywał zaskoczenia.
- Jak to po co? Bronimy Niemiec przed wrogiem!

- Czy jesteś pewny, przyjacielu, że wybraliśmy sobie właściwego wroga? - odpowiedział Arndt.

Kasper już chciał poprosić kolegę, by był łaskaw mu wyjaśnić, co konkretnie ma na myśli, ale powstrzymał się. Obawiał się, że to, co mógłby usłyszeć, nie przypadłoby mu do gustu. Podziękował za informacje i szybko odłożył słuchawkę.

Gdy skończyli rozmawiać, Arndt zrozumiał nagle, że oto sam znalazł odpowiedź na pytania, które go do tej pory dręczyły. Rozejrzał się po centrum operacyjnym, wstał i powiedział do siedzącego naprzeciw młodego majora:

- Wychodzę.

Major, który właśnie rozmawiał z kimś przez telefon, odłożył słuchawkę, skinął głową i odparł:

- Rozumiem, pułkowniku. Gdyby ktoś o pana pytał, powiem, że właśnie wyszedł pan na chwilę.

Arndt uśmiechnął się.

- Bardzo proszę, może pan tak powiedzieć - skinął

głową. Włożył płaszcz i skierował się do windy. Na parterze

TRÓJKĄT ŚMIERCI

407

głównym wyjściem wyszedł na ulicę zalaną słońcem. Nałożył czapkę, zasalutował wartownikom, którzy stanęli na baczność, i ruszył w kierunku domu. Dla niego wojna już się skończyła.

& ft

Porucznik Tim Ellerbee wyglądał z wieżyczki swego czołgu ukrytego na skraju lasu. Z miejsca, gdzie parkowali, rozciągał się doskonały widok na szosę wychodzącą z niewielkiej wioski, z której ewakuowali się przed niespełną godziną. O dwieście metrów na prawo od niego na skraju lasu tkwił czołg sierżanta Ralpa Rourke, zwrócony w stronę bocznej drogi wychodzącej ze wsi i prowadzącej w pola. Porucznik nie widział czołgu sierżanta i mógł z nim porozumiewać się wyłącznie przez radio. Ellerbee był przekonany, że Niemcy przejeżdżając przez wieś, będą musieli skorzystać z jednej z pilnowanych przez nich dróg. Mogli ominąć wieś objeżdżając ją od zachodu, ale wtedy musieliby wpaść na inny z plutonów wchodzących w skład kompanii Nancy Kozak.

Ze wsi wychodziła jeszcze jedna droga, którą powinni obserwować i pilnować z trzeciego czołgu. Ale Ellerbee dysponował tylko dwoma. Ich pluton, podobnie jak wszystkie wchodzące w skład kompanii kapitan Kozak, poniósł straty w toku walk i w wyniku mechanicznych uszkodzeń, niemożliwych do usunięcia w polowych warunkach. Pierwszym czołgiem, który utracili, był A32 dowodzony przez porucznika.

Właśnie oderwali się od nacierającego przeciwnika i na pełnym gazie cofali się na północ, by w rejonie Kassel założyć kolejny punkt oporu, gdy zaatakowały Ich dwa niemieckie helikoptery i ostrzelały A32. Wprawdzie mieli tylko Jednego rannego, ale czołg został tak uszkodzony, że o naprawie w tych warunkach nie mogło być mowy. Rannego ewakuowano, a pozostałych członków załogi przesunięto do plutonów piechoty.

Skrzydłowy czołg Rourka, A33, uległ awarii - pękł wał napędowy. W innej sytuacji jego wymiana nie stanowiłaby

408

HAROLD COYLE

większego problemu, teraz było to niemożliwe. Czołg zniszczono, a załoga zasiliła szeregi plutonu piechoty pancernej.

Ellerbee, tak jak inni dowódcy plutonów, musiał dostosować swoją taktykę do aktualnego stanu sił. Prawdę mówiąc, wcale się nie martwił, że pozostały mu jedynie dwa czołgi, tym bardziej że dowódcą jednego z nich był doświadczony sierżant Rourk, którym nie trzeba było kierować ani go pouczać. Tym samym przed porucznikiem otwierała się szansa zmazania tej przykrej plamy na honorze, jaką był incydent podczas działań na Ukrainie. Tu, w Niemczech środkowych, starał się, jak potrafił i w efekcie zaczynał być coraz lepszym dowódcą, co potwierdzali -mimo pewnych oporów - podoficerowie i żołnierze z jego plutonu.

Obserwację przedpola przerwał mu płynący ze słuchawek głos Rourka:

- Alfa Trzy, tu Trzy Cztery. Widzę od strony wsi jakiegoś Niemca, który czołga się rowem. Jest jakieś pięćdziesiąt metrów od ostatniego

zabudowania. Widzicie go?

- Trzy Cztery, poczekaj - odpowiedział Ellerbee i włączając nadajnik łączności wewnętrznej, zwrócił się do działonowego:

- Wilk, widzisz tego Niemca, o którym mówi Rourk?

Wilk zbliżył twarz do lornetki i powoli przesuwając ją tak, by zlustrować brzeg rowu ciągnącego się wzdłuż szosy. Po chwili odparł:

- Tak, mam tego sukinsyna. Teraz jest koło spalonego mercedesa, chyba o jakieś pięćdziesiąt metrów od ostatnich zabudowań wsi.

Ellerbee również skierował w tym kierunku swoją lornetkę.

- Tak, ja go też widzę - powiedział i przez chwilę obserwował, jak niemiecki żołnierz powoli czołga się do przodu. Co chwila zatrzymywał się, wysuwał głowę ponad rów, rozglądał się i sunął dalej.
- Co myślisz o tym, Wilk? - zapytał porucznik.
- Myślę, że facet powinien jeszcze raz przejść szkolenie podstawowe, by się nauczyć dobrze czołgać i kryć. Niech

TRÓJKĄT ŚMIERCI

409

pan popatrzy, przecież dupa wystaje mu tak, że helikopter mógłby o nią zawadzić. Ellerbee włączył nadawanie radiowe.

- Trzy Cztery, tu Trzy Jeden. Widzę Niemca. To chyba pancerniak. Sprawdza, czy droga wolna.
- Tak, to pancerniak - brzmiała odpowiedź Rourka. -Widać, że nawet Bundeswehra nie potrafi nauczyć swoich pancerniaków, jak trzeba

się czołgać.

Ellerbee zbył ten komentarz milczeniem. Po chwili powiedział:

- Trzy Cztery, tu Trzy Jeden. Sądzę, że chcą wyjechać ze wsi główną szosą. Jeśli tak, będziesz miał doskonałą okazję, by ostrzelać ich z boku. Gdy to zrobisz, wycofaj się natychmiast na nową pozycję. Będę cię osłaniał. Gdyby wyjechali boczną drogą, robimy przeciwnie: ja strzelam, a ty osłaniasz, gdy będę się wycofywał. Zrozumiałeś? Odbiór.
- Tu Trzy Cztery. Spotkamy się na następnych pozycjach. Odbiór.
- Odebrałem, Trzy Cztery. Koniec.

I nie czekali zbyt długo. Czołgający się Niemiec najwyraźniej doszedł do wniosku, że nikt go nie obserwuje. Wszedł więc z rowu, stanął na środku szosy i zaczął dawać w stronę wsi jakieś znaki ręką. W chwilę potem z za zabudowań wyłonił się czołg Leopard II. Ellerbee wiedząc, że Rourk nie widzi jeszcze niemieckiego pojazdu, włączył radiostację.

- Trzy Cztery, na głównej szosie leopard. Przygotuj się. Odbiór.
- Tu Trzy Cztery, jesteśmy gotowi, Trzy Jeden.

W tym momencie Rourk zobaczył, że koniec lufy działa niemieckiego czołgu wychyla się z za ostatnich zabudowań. Po chwili widział już całą maszynę. Rourk powiedział do Wilka:

- Jeszcze nie, zaczekaj.

Działonowy chciał już zaprotestować, ale zobaczył, że niemiecki czołg zwalnia. W słuchawkach znów usłyszał głos Rourka:

- Jeszcze nie strzelaj. On się zatrzyma, by zabrać tego faceta, który czołgał się rowem.

Działonowy nie odpowiedział, natomiast zapytał ładowniczego:

- Wszystko gotowe, Billy?
- Oczywiście - padła odpowiedź.

Tymczasem niemiecki czołg zatrzymał się, a żołnierz stojący na szosie zaczął się wdrapywać do wjazdu. W tym momencie Rourk rzucił komendę:

- Ognia!

Działonowy wcisnął przycisk uruchamiający laserowy szperacz. Ten wymierzył odległość do celu i przekazał informację do komputera pokładowego kierującego działem. Komputer podał komendę i w momencie, gdy działonowy nacisnął kolejny przycisk, działo było już dokładnie nastawione na cel.

Pocisk wyleciał z lufy i pomknął z szybkością około dwóch kilometrów na sekundę. Rourk poczuł, jak siła odrzutu szarpnęła czołgiem. Ładowniczy szybko załadował kolejny pocisk. Byli gotowi do następnego strzału. Ale nie oddali go, bo pierwszy pocisk trafił w wieżyczkę czołgu, przebił ją i eksplodował w środku, powodując natychmiast wybuch znajdującej się wewnątrz amunicji.

Ellerbe przyglądał się z uwagą. Dwie i pół godziny oczekiwania opłacało się. Zniszczyli niemiecki czołg - wykonali zadanie. Rourk już się wycofał, a na szosie nie pojawił się następny niemiecki pojazd, więc polecił kierowcy, by zawrócił. Zrobili, co im kazano - opóźnili marsz Niemców. Zapewne minie co najmniej pół godziny, zanim tamci się zorientują, że Amerykanie już się wycofali. Do tego czasu on i Rourk zajmą już kolejną pozycję, na której będą czekać na pojawienie się

następnego czołgu przedniej straży naciskającego na nich niemieckiego oddziału.

■& ft

Pułkownicy Dixon i Worisznow w milczeniu patrzyli, jak sierżant z sekcji wywiadu zaznacza na mapie aktualne

TRÓJKĄT ŚMIERCI

411

pozycje 1. Dywizji Pancерnej. Powoli, starannie przesuwiał czerwone znaczki, symbolizujące niemieckie oddziały pancerne i piechoty, umieszczając je głębiej w kierunku zachodnim. Równie starannie sierżant z sekcji operacyjnej niebieskimi znaczkami aktualizował położenie brygady Dixon. Niektóre z niebieskich znaczków usuwano z mapy.

Obaj pułkownicy doskonale wiedzieli, co to oznacza. Kolejny oddział składający się ze stu pięćdziesięciu osób przestawał istnieć jako odrębna jednostka organizacyjna.

Nie odrywając oczu od mapy, którą aktualizowali dwaj sierżanci, Worisznow szepnął do Dixona:

- No, to mamy kłopot.

Dixon nie odpowiedział. Zaczekał, aż sierżanci skończą swoją pracę, po czym podszedł bliżej do mapy. Podążył za nim Worisznow, który wskazując na znaczek symbolizujący Kompanię C 1. Batalionu, mruknął:

- Ta kompania ze względu na ukształtowanie terenu nie może się przesunąć na zachód. Jeśli Niemcy zaczną naci

skać, będzie zmuszona skrócić na południe, a tym samym się oddalać od pozostałej części batalionu.

Dixon włożył ręce w kieszenie i wpatrywał się w mapę. Kiedy się odezwał, w Jego głosie brzmiał ton zaniepokojenia:

- Gdyby tak się stało, to Niemcy będą mieli otwartą drogę na północny zachód. Jeśli kompania ma się wycofywać, to musi podążyć w tym kierunku.
- To oznacza - podjął Worisznow - że Kompania C 3. Batalionu musi zostać przesunięta na północ, przeprowić się przez Mittellandkanal i zablokować Niemców. Gdyby Niemcy posuwali się w dalszym ciągu na północny zachód, zmuszając 1. Batalion do przesunięcia się na południowy zachód...

Dixon wpadł mu w zdanie:

- .. .to przecięliby ten most, co spowodowałoby, że dwa bataliony pozostałyby po północnej stronie kanału, a dwa inne - po południowej.
- Czy sądzi pan, pułkowniku Dixon, że major Cerro będzie mógł się przedrzeć przez kanał na północ?

412

HAROLD COYLE

Dixon spojrzał na Worisznowa.

- A jak pan sądzi?

Worisznow znów spojrzał na mapę, w myśli zmierzył drogę, jaką miały do przebycia jednostki niemieckie i batalion Cerra, i zwracając się do Dixona powiedział półgłosem:

- Nie sądzę, by się to udało.

Dixon znów popatrzył na mapę.

- I ja tak myślę - powiedział. - Gdyby nawet im się udało oderwać od tej niemieckiej jednostki, która ich goni od Kassel, to i tak nie zdołają przerzucić swych sił na drugą stronę kanału. Więc co robimy?

Worisznów po namyśle odparł.

- Nie zabrzmi to zachęcająco, ale musi pan rozbić swoją brygadę, a ci, którzy przekroczyli kanał, muszą iść na północ, a ci na południu...
- Powinni spróbować posunąć się dalej na zachód, by tam przedrzeć się na północny brzeg - uzupełnił Dixon.

Worisznów pochylił się nad mapą. Zastanowiwszy się, powiedział:

- Przykro mi, wiem, co oznacza tego rodzaju rozkaz. Musi pan się jednak liczyć z realiami - Worisznów wskazywał na mapie jednostki, o których mówił. - Jeśli pan rozkaże, by 37. Pancerny trwał na pozycjach, to zmiażdżą go nacierające siły przeciwnika i straci pan nie tylko tę jednostkę, ale i dwa bataliony pozostające na południowym brzegu. Lepiej ratować dwa bataliony, niż stracić jeden wysłany na ratunek tych, których uratować się nie da. Pańskie cztery bataliony są zmęczone walkami i marszem i nie mogą być równorzędnym partnerem dla silnych batalionów 1. Dywizji Pancernej. Podjęcie walki byłoby zbyt ryzykowne. Możemy stracić wszystko, nawet ten nie zaangażowany do tej pory batalion na północy - Worisznów zrobił krok w tył i zamilkł, dając Dixonowi czas na przemyślenie tych uwag.

Dixon długo się nie odzywał. Patrzył na mapę. Wreszcie zwrócił się do

Worisznowa.

- Nawet jeśli tak zrobimy - powiedział - ktoś musi zatrzymać przednie oddziały przeciwnika. Tutaj, na północ

TRÓJKĄT ŚMIERCI

413

od kanału, aby oba bataliony znajdujące się na południowym brzegu mogły się oderwać i jako pierwsze dojść do miejsca przeprawy na zachodzie. Worisznow potwierdził skinieniem głowy.

- Tak, to będzie konieczne. I tę jednostkę trzeba w zasadzie poświęcić.
- Wiem o tym - Dixon ponownie wsunął rękę do kieszeni i patrzył na znaczek symbolizujący 3. Batalion, dowodzony przez Cerra. - Oni będą musieli utrzymać pozycje tak długo, jak długo to będzie możliwe. Będą mogli ustąpić dopiero wtedy, gdy Niemcy ich całkowicie wyprą. Można mieć tylko nadzieję, że uda im się jakoś oderwać i znaleźć sposób, by przedrzeć się na północ.

Rosjanin położył rękę na ramieniu Dixona i sterał się go pocieszyć:

- Rozumiem, to pańscy żołnierze, ale musi pan troskę o nich pozostawić dowódcy na miejscu, a więc majorowi Cerro.
- Jak zawsze, ma pan rację - Dixon próbował się uśmiechnąć. - Trzeba pozostawić dowodzenie bezpośredniemu dowódcy. Ja będę tam jedynie po to, by mu doradzać. Tak jak pan doradza mnie.

Worisznnow uniósł brwi.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, że pozostając na południowym brzegu kanału, może pan nie być w stanie dowodzić całą brygadą?
- Wcale nie mam zamiaru dowodzić całością - odpowiedział Dixon. -

Kiedy się rozdzielimy, ja pozostanę z grupą południową i będę dowodził połową brygady. Pan pozostaje tutaj i dowodzi grupą północną.

Worisznów osłupiał. Po raz pierwszy od momentu dołączenia do brygady Dixona ogarnęło go zdumienie.

- Przecież jestem rosyjskim oficerem - zaprotestował.
- I to doskonałym - przerwał mu Dixon. - Pułkowniku, pan wie, że nie mogę tu postawić pułkownika Yosta, który zajmuje się zaopatrzeniem, a od tego zależy los nas wszystkich - Dixon wskazał teraz znaczek symbolizujący batalion wysunięty najbardziej na północ. - Dowódcy tej jed-

414

HAROLD COYLE

nostki, podpułkownika, też tu nie postawię, gdyż nie jest to odpowiedni człowiek do dowodzenia całością. Sytuacja jest więc oczywista: zostawiam panu mój czołg, a sam wezmę wóz pancerny. Chciałbym się jak najmniej rzucać w oczy.

- Dowódca dywizji nigdy się nie zgodzi, bym objął dowództwo nad całością - nie ustępował Rosjanin.

Dixon się uśmiechnął.

- Przykro mi, ale to nie jest dobry argument. Już mu o tym powiedziałem. I mam jego zgodę.

Worisznów spojrział na oficerów pracujących przy poszczególnych stanowiskach centrum sztabowego.

- A oni? - zapytał cicho.

Dixon odpowiedział tak głośno, by wszyscy zgromadzeni w sztabie mogli go usłyszeć:

- To są profesjonaliści i jako tacy najwyżej cenią profesjonalne umiejętności dowódcy, a o pańskich zdążyli się już przekonać. Zresztą przekazuję panu dowodzenie tylko na jakiś czas. Wrócę na to stanowisko, gdy tylko dojdziemy do Bremerhaven.

Worisznow zmrużył oczy i wzruszył ramionami.

- No cóż, jeśli pan już tak postanowił...

W chwilę potem rozstali się. Dixon poszedł po swoje rzeczy i natychmiast wyruszył na południe, by dotrzeć tam, zanim Niemcy zablokują drogi. Worisznow natomiast zaczął wydawać rozkazy, których celem było zerwanie kontaktu z jednostkami 1. Dywizji Pancерnej Bundeswehry i przyspieszenie marszu w kierunku morza.

•dikir

Major Hal Cerro czekał na przybycie kapitan Kozak, spacerując niecierpliwie przed swoim bradleyem zaparkowanym na poboczu szosy. Po kilkunastu minutach nerwowego oczekiwania z oddali dobiegł szum silnika innego bradleya, który wkrótce wyłonił się zza zakrętu. W wieżyczce stali Nancy Kozak i sierżant Wolf. Już z daleka Cerro zauważył, że oboje są bardzo zmęczeni. Twarze mieli brud-

ne, Wolf nie golił się zapewne od kilku dni, a Kozak miała ciemne sińce pod oczami.

W ciągu tych niespełna trzech dni, od kiedy objął dowództwo batalionu,

Cerro widział Kozak kilkakrotnie. Wszystkie te spotkania przebiegały bardzo podobnie. Ona składała krótki meldunek o stanie kompanii, rozmieszczeniu poszczególnych plutonów i przebiegu starć z przeciwnikiem. Jeśli pozwalał na to czas, Cerro informował ją o sytuacji całego batalionu, o operacjach brygady, o znanych im planach wroga, a w końcu wydawał rozkazy. Gdy się upewnił, że wszystko jest zrozumiałe, wdrapywał się do swego bradleya i odjeżdżał, by odnaleźć inną kompanię.

Kozak poleciła kierowcy zatrzymać się obok pojazdu dowódcy. Wysiadła. Cerro podszedł do niej, rozłożył na masce pojazdu mapę i wyjął z kieszeni notatnik. Zanim jednak przystąpił do wydawania rozkazu, zapytał:

- Który z waszych dwóch plutonów piechoty Jest w lepszej formie?
- Drugi pluton porucznika Marca Grossa - odpowiedziała bez namysłu. - Dysponuje trzema bradleyami i trzema drużynami piechurów.
- Czy Gross to odpowiedzialny facet?
- Najlepszy, jakiego mamy - odparła.

Ostry ton Cerra i wyraz jego twarzy zastanowiły kapitan Kozak. Wydawało się jej, że major jest zmęczony i z trudem panuje nad nerwami. Dodała więc:

- To doświadczony i doskonały dowódca. Poprzedni dowódca batalionu wielokrotnie ustanawiał go dowódcą straży przedniej.

Cerro skinął głową i przystąpił do wydawania rozkazów.

- Tu, w tym miejscu, wasza kompania przeprawi się przez Mittellandkanal - zaznaczył to miejsce na mapie ołówkiem. - Tam też pluton Grossa zajmie pozycje bloku

jące przeciwnika. Jego zadaniem jest powstrzymanie nie mieckich jednostek posuwających się wzdłuż kanału na tak długo, jak będzie możliwe. Wy i reszta kompanii pójdziecie na zachód i zabezpieczycie przeprawę przez kanał

416

HAROLD COYLE

- ponownie zaznaczył miejsce, o którym była mowa. -Pozostaniecie tam, by osłaniać przeprawę batalionu i 35. Pułku Pancernego. Potem zluzuje was kompania z tego pułku, a wy przeprawicie się na północny brzeg. Stąd, razem z całą brygadą, ruszycie możliwie szybko na północ. Kozak popatrzyła na mapę, podniosła głowę i powiedziała:

- Pan rozumie, majorze, że wykonując ten rozkaz, nie mamy możliwości wsparcia plutonu Grossa?

Cerro skinął głową.

- Wiem o tym.
- A jak długo Gross ma bronić tej pozycji? - spytała.
- Dopóki tylko zdoła się tam utrzymać.
- Czy Gross będzie mógł dołączyć do nas, kiedy zluzuje nas kompania z 35. Pancernejszej, czy ma dołączyć do nich?

Patrząc jej w oczy Cerro pochylił się do przodu.

- Przecież wyraziłem się jasno: Gross musi utrzymać pozycję i blokować przeciwnika do momentu, gdy dalsza walka nie będzie już możliwa. Nie spodziewam, że w ogóle dołączy do was czy do 35. Okopuje się, walczy, a kiedy przeciwnik zajmie jego pozycję, ci, co przeżyją, powinni się

przedzierać na własną rękę na północ.

Wyraz zdumienia na twarzy Kozak zamienił się w grymas przerażenia. Zrozumiała, że ludziom jednego ze swych plutonów ma rozkazać, by walczyli do końca, aż do śmierci. Przypomniła sobie, że ta dsperacka doktryna walki została w amerykańskiej doktrynie militarnej zarzucona jeszcze przed końcem XIX wieku. Zresztą, jak mogła wydać taki rozkaz, skoro sama miała się wycofywać na północ?

Cerro patrzył na nią i domyślał się, o czym myśli Nancy, gdyż i jego ogarnęły takie same wątpliwości i obawy, gdy przed godziną otrzymał te rozkazy od pułkownika Dixona. I nagle uświadomił sobie, jak bardzo nie na miejscu była w tej chwili ta dziewczyna... Jej umęczona i brudna twarz przypominała oblicze skrzywdzonego dziecka, a nie dowódcy kompanii. Pomyślał, że powinien ją pocieszyć i uspokoić. Z trudem odpędził od siebie tę pokusę. Nie była dzieckiem. Była kapitanem armii USA i dowódcą oddziału

TRÓJKĄT ŚMIERCI

417

frontowego. Cerro zaczerpnął powietrza i zaczął tłumaczyć:

- Kapitanie, Niemcy uderzają na flankę 10. Korpusu dwoma dywizjami pancernymi. Naszą jedyną szansą jest wycofanie się na zachód, przeprowadzenie na północny brzeg kanału i jak najszybszy marsz na północ. Na wykonanie tego manewru mamy niespełna dwadzieścia cztery godziny. Niestety, Niemcy depczą nam po piętach. Nasze lotnictwo może ich jedynie opóźnić. Natomiast zablokować im drogę mogą wyłącznie wojska lądowe.

- I na wykonanie tego zadania wybrano właśnie Grossa... - powiedziała Nancy.

Cerro ze złości aż zacisnął pięści. Nie był przekonany do tego, co robił, ale głęboko wierzył, że nie ma innego wyjścia, że to jest jedyne możliwe. On także przyjął ten rozkaz Dixona z przerażeniem, a teraz oczekiwał, że Kozak przyjmie polecenie od niego bez komentarzy. Z trudem opanował gniew i patrząc w oczy pani kapitan powiedział:

- Tak, do cholery. Tak, właśnie taki Wasz porucznik Gross został wybrany. A właściwie wybrał się sam, w chwili gdy złożył przysięgę i włożył mundur. Żaden oficer nie ma nawet prawa myśleć, że w armii czekają go przyjemności, a jego życie będzie wygodne i bezpieczne. Wybierając zawód żołnierza, decydujemy się na to, by zabijać i same mu narażać się na śmierć. Nie oczekuję niczego więcej ponad to, że porucznik Gross i jego żołnierze wypełnią swój obowiązek. Mają zabijać Niemców - i to tak długo, jak długo tylko będą mogli. Teraz nie czas na filozoficzne rozważania moralnej strony rozkazów. Otrzymaliście rozkaz i wierzę, że przekażecie go swojemu podkomendnemu, a ten wykona go z pełnym poświęceniem. Czy to jasne, kapitanie?

Kozak wpatrywała się w swego dowódcę. W jego oczach widziała gniew, jakiego nigdy przedtem nie okazywał. A więc i on był na skraju psychicznej wytrzymałości. Ugiął się pod ciężarem wojny, zmęczenia, napięcia i odpowiedzialności. Kozak powoli wyprostowała się i zasalutowała. Sprawilo jej to taką trudność, jakby na plecach

dźwigała jakiś ogromny ciężar. Starając się powstrzymać łzy, powiedziała:

- Tak jest, *sir*. Wszystko jasne.

Cerro nie wiedział, co odpowiedzieć. Aby zatuszować własną słabość, złapał mapę, odwrócił się i biegiem ruszył do swojego bradleya. Nancy Kozak została sama. Brzemię rozkazu, który miała przekazać dalej, ciążyło jej boleśnie.

Rozdział XXI

24 stycznia

Chociaż pracę skończyła już przed kilkoma godzinami, Jan Fields-Dixon nie mogła się zdecydować na opuszczenie redakcji World News Network. W Niemczech było już popołudnie, a w rejon Bremerhaven, zajęty przez jednostki 17. Dywizji Spadochronowej USA, zaczęły właśnie naciągać z południa oddziały 10. Korpusu. Na szosach i autostradach czekali na nie korespondenci amerykańscy, którzy ten marsz przez całe Niemcy porównywali do marszu wojsk greckich Ksenofonta, który w 400 roku przed Chrystusem wyprowadził dziesięć tysięcy greckich ochotników z Persji. Komentatorzy byli zdania, że ten marsz Amerykanów przez Niemcy to nieprawdopodobny wyczyn - z militarne go punktu widzenia. Pewien emerytowany pułkownik, oceniając tą operację w audycji Jan, powiedział:

- Każdy żołnierz 10. Korpusu ma prawo być dumny z tego, co osiągnął.

Jan, uważnie śledząc przekazywane z Niemiec relacje telewizyjne, nie widziała w oczach żołnierzy i oficerów tej dumy, o której mówił pułkownik z Waszyngtonu. Ci ludzie byli po prostu śmiertelnie zmęczeni,

a zadawane im przez dziennikarzy pytania zbywali na ogół milczeniem.

Związana rodzinnie z wojskiem, Jan lepiej wiedziała, co czuli ci żołnierze, niż jej koledzy - korespondenci. Jej mąż Scott Dobson, jego oficer operacyjny Harold Cerro oraz ich dowódca Wielki Al wykonywali to, co uznali za swój

420

HAROLD COYLE

obowiązek. Nie nadużywali jednak nigdy takich słów, jak obowiązek, rozkaz, honor, ojczyzna. Robili to, czego się podjęli, do czego zobowiązali i dlatego właśnie prowadzili ten szaleńczy, nieprawdopodobny marsz.

Patrzyła więc teraz na ekran monitorów i modliła się w duchu, by móc zobaczyć twarz męża. Wydawało się jej, że rozumie tych żołnierzy. Ona nigdy nie zdobyłaby się na takie bombastyczno-patriotyczne komentarze, jakimi raczyli swoich słuchaczy i widzów korespondenci z Niemiec.

3r tfr 3r

Prezydent Wilson tak szybko przemierzała korytarz Białego Domu, że minister obrony Terry Rothenberg i szef Połączonych Sztabów z trudem za nią nadążali. Prawie biegła, jakby chciała uciec od towarzyszących jej członków sztabu, i w rzeczywistości tak było. Zmęczona konferencjami i meldunkami o sytuacji militarnej, marzyła tylko o tym, by choć na chwilę pozbyć się tych wojskowych i wiecznie nadętych biurokratów. Toteż nie ukrywała radości, gdy w głębi korytarza dostrzegła sylwetkę Eda Lewisa.

- Ed! - zawołała. - Zanim wrócisz do Departamentu Stanu, muszę zamienić z tobą kilka słów.

Zwracając się do Rothenberga powiedziała:

- Terry, wybacz, ale chciałabym pomówić z kandydatem na sekretarza stanu - i nie czekając na odpowiedź, podeszła do Lewisa, wzięła go pod rękę i oboje ruszyli w kierunku Gabinetu Owalnego. Puściła jego ramię dopiero wtedy, gdy zostali tam już sami.

Wilson oparła się o biurko, podniosła głowę i zapytała:

- Jak długo jeszcze, Ed?

Lewis usiadł w fotelu.

- Z napływających meldunków - zaczął - wynika, że w ciągu jakichś sześciu, siedmiu godzin ostatnie jednostki 10. Korpusu powinny się znaleźć w rejonie strzeżonym przez 17. Dywizję. Oczywiście jeśli Niemcy nie zdołają zablokować dróg.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

421

Wilson potrząsnęła głową.

- Nie o tym mówię. Chciałabym wiedzieć, ile jeszcze czasu minie, nim ktoś się zorientuje, że wspólnie z Malinem w rzeczywistości oszukaliśmy wszystkich?

Lewis bez namysłu odparł:

- Nikt nigdy nie musi się zorientować. - Patrzył przez chwilę w twarz Wilson. - Nie ma powodów, by się dowiedziało. O tym, jak się to zaczęło i co się naprawdę wydarzyło na początku, wiedzą tylko cztery osoby. Pierwszą z nich jest pani, ale bardzo wątpię, by chciała pani

mówić o tym w telewizji. Po tym wszystkim nie jest pani potrzebny jeszcze jeden skandal, tym razem w Waszyngtonie.

Zastanowiła ją Jego odpowiedź. Już wcześniej przyszło jej na myśl, by właśnie coś takiego zrobić, ale wołała się do tego nie przyznawać. Lewis tymczasem mówił dalej:

- Potem moja kolej. Zapewniam panią, pani prezydent, że całej tej sprawy nie uważam za szczególnie chwalebny rozdział w mojej politycznej karierze. Być może nie było to piękne, ale i teraz jestem przekonany, że było to najlepsze wyjście z tej tragicznej sytuacji. Sądzę też, że tak właśnie potraktuje to historia.
- A co z Malinem? Pamiętaj, że gdy tylko pokaże się w Bremerhaven, muszę go zdjąć ze stanowiska dowodzenia, wezwać do Waszyngtonu i postawić przed sądem.

Lewis pokiwał głową.

- Oczywiście, ale proszę zwrócić uwagę, jaką doskonałą prasę ma teraz Malin, nikt nie uważa go za zdrajcę.

Wilson przerwała mu, pytając:

- Czy nie sądzisz, że będzie chciał gdzieś uciec i ukryć się?
 - Bez obawy. Odczeka do momentu, aż wszystkie oddziały będą już bezpieczne, odda się do dyspozycji najstarszego rangą oficera i powróci do Stanów, by stanąć przed sądem. Tak jak uzgodniliśmy.
- I wtedy właśnie ta cała zabawa w buntownika zostanie zdemaskowana.

Lewis zaprzeczył ruchem głowy.

HAROLD COYLE

- Nie. Przecież będzie to proces przed sądem wojskowym. Sesje będą prowadzone przy drzwiach zamkniętych, gdyż omawiane na nich sprawy będą dotyczyć bezpieczeństwa narodowego. Sąd rozpatrzy tylko materiały przedstawione przez Malina. Zostanie skazany, a potem złoży apelację, a kiedy sprawa przejdzie wszystkie szczeble sądu wojskowego, skorzysta pani z prawa łaski.

- Czy to wszystko jest konieczne, Ed? - zapytała.

Wzruszał ramionami.

- Nieuniknione - odparł. - Niemiecki parlament, który zapewne wkrótce przejmie kontrolę nad krajem, uważnie obserwuje każdy pani ruch. Czekają na jakikolwiek argument, który im pozwoli na zakończenie całej afery. Oni chcą postawić Ruffa przed sądem, by odpowiedział za odebranie nam broni nuklearnej i postawienie pani nierealistycznych warunków. My ukarzymy naszego generała, a oni swojego kanclerza, za złamanie wielu konwencji i umów międzynarodowych. Chodzi o to, by nasze wzajemne stosunki jak najszybciej powróciły do stanu sprzed tego całego incydentu.

Przyszło jej na myśl, że to co mówi Lewis, jest dowodem jego cynizmu. Była pewna, że jest to cecha, którą z czasem przyswaja sobie każdy polityk pracujący w Waszyngtonie. Podniosła głowę i zapytała:

- A kim jest numer cztery?

- Pułkownik Scott Dixon, pani prezydent.
- Mąż Jan Fields, tej dziennikarki z WNN?
- Ten sam. Malin dopuścił go do tajemnicy i ujawnił mu nasze ustalenia. To on był autorem całego planu operacyjnego, planu, który przywiozłem z Pragi i który został wykonany.
- A jak on zareaguje, kiedy Malin weźmie wszystko na siebie?
- Scott Dixon, pani prezydent, to zawodowy żołnierz. Wypełni rozkaz. W mojej obecności Malin nakazał mu, by nigdy i nikomu nie ujawnił przebiegu mojej rozmowy z generałem.
- I Dixon na to pójdzie?

TRÓJKĄT ŚMIERCI

423

- Jest żołnierzem, a nie politykiem. Oczywiście, że będzie lojalny. Zresztą... - Lewis zamilkł.
- Zresztą co? Dokończ, Ed.

Lewis patrzył w podłogę. Wydawał się nieco speszony. Wreszcie się odezwał:

- Pani prezydent wie, że 4. Dywizja Pancerna, w której skład wchodzi brygada Dixona, stanowi tylną straż 10. Korpusu?

Wilson usiłowała sobie przypomnieć, czy słyszała cokolwiek na ten temat, ale nie potrafiła tego szczegółu skojarzyć z informacjami, jakimi ją zasypywano. Wreszcie potrząsnęła głową.

- Jeśli mam być szczerą, to nie pamiętam, czy o tym słyszałam. Ale co to ma do rzeczy?

- Nasze lotnictwo nie było w stanie zatrzymać 2. Dywizji Pancерnej Bundeswehry, która najprawdopodobniej w najbliższym czasie uderzy na tyły 10. Korpusu, i -jak zapowiadają - będzie próbowała sprawić nam krwawą łaźnię. Dywizja ta składa się głównie z żołnierzy wywodzących się z Niemiec wschodnich, najbardziej lojalnych wobec kanclerza Ruffa. Należy oczekiwać, że będzie to ostatnia próba militarnego rozwiązania konfliktu - wyjaśnił Lewis.
- Po co, na Boga? Odebraliśmy im już broń nuklearną, większość oddziałów 10. Korpusu doszła do morza. Cóż jeszcze mogliby wygrać w tej bitwie?

Lewis podniósł się z fotela i patrzył na Wilson. Jego twarz nie odzwierciedlała żadnych emocji.

- 2. Dywizja zaatakuje z tych samych powodów, które sprawiają, że Dixori nie puści pary z ust. Chodzi o wypełnianie do końca obowiązków żołnierza, a więc o coś, czego nawet sami żołnierze nie są w stanie wyjaśnić.

Wilson nagle zrozumiała to, czego Lewis przed chwilą nie chciał dopowiedzieć. Dixon znajdował się na froncie i nie było pewności, czy powróci żywy. Gdyby stało się najgorsze, to zostaną już tylko trzy osoby znające tajemnicę. W pierwszej chwili miała ochotę powiedzieć Lewisowi,

424

HAROLD COYLE

że jest zimnym sukinsynem, ale się zreflektowała. Przecież ona wcale nie

była lepsza.

W gabinecie zapadło milczenie. Nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia. Nie mogli zapanować nad tym, co w ciągu najbliższej doby mogło się rozegrać w Niemczech. Wszystko to zależało jedynie od mężczyzn i kobiet walczących w szeregach amerykańskich oddziałów. I od nikogo więcej.

Z szos prowadzących na zachód usunięto wreszcie wraki zbombardowanych przez lotnictwo pojazdów, a także tłumy uchodźców. Dzięki temu generał Erich Dorsch mógł wreszcie rozwinąć swoją 2. Dywizję Pancerną. Wprawdzie szanse na zadanie poważniejszych strat 4. Dywizji Pancernej USA były niewielkie, ale Dorsch czuł się usatysfakcjonowany, że nadarzała się przynajmniej okazja rozbicia oddziałów, które przed tygodniem uniemożliwiły mu przeprowadzenie skutecznej operacji w Niemczech środkowych. Wtedy właśnie atak 1. Brygady 4. Dywizji Pancernej USA zatrzymał ich i uniemożliwił mu uderzenie, a w efekcie - pozbawił go nadziei zwycięstwa. Teraz był zdecydowany wziąć za to odwet. 1 Brygada amerykańska musiała zapłacić za to, co wtedy zrobiła.

Tak więc generał Dorsch, z taką samą zaciętością, z jaką dowodził niegdyś regimentem piechoty zmotoryzowanej armii NRD, kierował teraz 2. Dywizją. Postanowił, że w tej ostatniej walce weźmie odwet za doznaną porażkę.

Żołnierze dywizji przygotowywali się do jeszcze jednego starcia. Kapitan Friedrich Seydlitz w ponurym nastroju prowadził grupę, która pozostała z jego kompanii. Nie ulegało wątpliwości, że bitwa, jaka ich

czekała, miała być ostatnią w tej kampanii. Wiedzieli, że większość amerykańskich oddziałów osiągnęła już cel swego marszu i była bezpieczna. Przed nimi znajdowały się jedynie nieliczne oddziały straży tylnej 10. Korpusu. Seydlitz nie miał pojęcia, dlaczego muszą z nimi walczyć, ale otrzymał rozkazy, które należało wykonać.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

425

Atak był przewidziany o świcie. Wszystko wskazywało, że nie obejdzie się bez kłopotów. Nagła odwilż spowodowała, że mogli się poruszać jedynie szosami. Niski pułap chmur gwarantował wprawdzie, że Amerykanie nie użyją wojsk lotniczych, ale trudno było nie brać pod uwagę tego, że Luftwaffe po prostu odmówiła wzięcia udziału w kampanii. Oni sami byli uzależnieni wyłącznie od wsparcia artylerii polowej.

Seydlitz zdawał sobie sprawę, że ich operacja była bezsensowna. Tego samego zdania byli wszyscy żołnierze Jego kompanii. Zastanawiał się, czy nie powinien postąpić po prostu tak, jak oficerowie Luftwaffe, a więc odmówić wykonania rozkazu. A jednak to, co zrobili lotnicy, nie tylko odebrało im szansę na zwycięstwo, ale było powodem śmierci wielu niemieckich żołnierzy. Seydlitz nie krył gniewu i pretensji do lotników, którzy zaprzestali wykonywania swoich obowiązków. Jak oni, Niemcy, mogli się na coś takiego zdobyć?

Seydlitz rozumiał, że potępiając Luftwaffe, sam nie może zachować się tak jak lotnicy. Nie wolno mu było odmówić wykonania rozkazu. Gdyby to zrobił, zagroziłby innym oddziałom dywizji, które musiałyby zapewne opłacić to przelaną krwią. Nie do niego i jego żołnierzy

należała ocena tego, co słuszne, a co niesłuszne. Pozostawała im jedynie wiara w to, że ich dowódcy działają w imię najlepiej pojętych interesów Niemców i Niemiec. Musieli wykonywać rozkazy.

Kiedy więc nadeszła określona w rozkazie godzina, polecił przez radio swoim żołnierzom, by zapalili silniki i ruszyli na zachód - do ostatniej bitwy.

ft •&&

Dopiero po chwili kanclerz Ruff zorientował się, że nie jest sam w swoim gabinecie. Siedział za biurkiem i wpatrywał się w stojącą przed nim otwartą szkatułkę. Światła, z wyjątkiem lampy stojącej na biurku, były zgaszone i pułkownikowi Kasperowi, który cicho wśliznął się do gabine-

426

HAROLD COYLE

tu, wydawało się, że kanclerz gra w jakąś grę komputerową.

Ruff podniósł oczy i dopiero wtedy zauważył pułkownika. Przez moment sprawiał wrażenie zaskoczonego dziecka. Szybko zamknął szkatułkę i głosem, w którym wyraźnie brzmiały tony gniewu i niechęci, zapytał:

- Czego chcecie, pułkowniku?

Kasper milczał. Stał w cieniu, patrząc na siedzącego za biurkiem Ruffa, i zastanawiał się, co mógł myśleć w tej chwili ten człowiek uważany przez wielu za wielkiego polityka i męża stanu. Do czasu obecnego kryzysu cieszył się popularnością. Mówiono o nim, że jak żaden z jego poprzedników zbliżył do siebie tych ze Wschodu i z Zachodu. Od czasów

Konrada Adenauera nie było w Niemczech przywódcy o tak wielkim autorytecie. Dlaczego więc teraz to wszystko zniszczył? Dlaczego?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, Ruff uderzył pięścią w blat biurka i krzyknął:

- Czego chcecie, pułkowniku?! Proszę mówić albo wyjść!

Kasper niemal szeptem zapytał:

- Dlaczego?

Twarz Kanclerza wykrzywił grymas gniewu i zniecierpliwienia.

- Co znaczy dlaczego? O czym wy mówicie?
- Dlaczego to robimy? Po co ta bezsensowna wojna? Tyle straciliśmy, niczego nie zyskując. Niczego! - powtórzył już głośniej.

Ruff wyprostował się w fotelu.

- Sądzi pan, że niczego nie zyskaliśmy? Sądzi pan, że to wszystko poszło na marne? Czyżby pan nie wiedział, o co w istocie walczyliśmy? Jakże można być tak ślepym?

Kasper, nie ruszając się spod ściany, pod którą stał, odparł:

- Nie zyskaliśmy niczego. Odebrano nam głowice nuklearne. Armia niemiecka nie była w stanie zatrzymać przeciwnika, którego siły nie przekraczały jednej czwartej naszych. Ponieśliśmy nie tylko kompromitującą porażkę, ale

TRÓJKĄT ŚMIERCI

427

doprowadziliśmy do rozłamu w korpusie oficerskim. Luf-twaffe odmówiła udziału w walkach, pozostawiając armię samą sobie i

sprzeniewierzając się tradycjom honoru niemieckiego żołnierza. Ulicami naszych miast przeciągają antyrządowe demonstracje, przy całkowitej bierności policji. Kraje, które były naszymi sojusznikami, potępiły nas. Lata pracowaliśmy nad odzyskaniem wiarygodności, a teraz wszystko zostało zmarnowane. Czym chciałby pan to usprawiedliwić?

Ruff powoli wstał zza biurka. Oparł ręce na biodrach i przybierając postawę mówcy wiecowego, oświadczył:

- Odzyskaliśmy, pułkowniku, naszą dumę i nasz honor.

Kasper zwiesił głowę, a kanclerz kontynuował:

- Po raz pierwszy od sześćdziesięciu lat nasz kraj przestał być okupowany przez obce wojska. Kiedy się ta cała wrzawa uspokoi, usiądziemy do stołu z tymi, których uważamy za sojuszników, i tak jak przed laty wynegocjowaliśmy wycofanie wojsk radzieckich, tak teraz wynegocjujemy wycofanie amerykańskich i innych. Pozbędziemy się kompleksu pokonanych, a Niemcy znów będą mogły odgrywać rolę przywódcy w Europie Środkowej. Czy wy tego, pułkowniku Kasper, nie rozumiecie?

- A więc chce pan tę wojnę kontynuować?

Ruff zaczerpnął powietrza.

- Nie ma innego, sensownego wyjścia. Walczę o najbardziej podstawowe interesy Niemiec. Niemcy znów mogą się stać potęgą, jak w przeszłości. I musimy do tego dążyć bez względu na koszty i cenę. - Kanclerz na chwilę zamilkł, po czym przybrał ojcowski ton: - Musi pan wiedzieć, pułkow

niku, że nigdy nie było łatwo być Niemcem. Zawsze staliśmy na rozstajach europejskiej historii. Czasami odgrywaaliśmy rolę pomostu między Wschodem a Zachodem, czasami tarczy ochraniającej Zachód przed Wschodem. Zawsze byliśmy dumni, wolni i silni. Trzeba już wyzbyć się tego zbiorowego poczucia winy za wojnę czy za zagładę Żydów. Trzeba przepędzić stąd obce wojska. Musimy iść do przodu, jak nasi ojcowie. Chyba to rozumiecie?

Kasper podszedł wreszcie do biurka kanclerza.

428

HAROLD COYLE

- To prawda, panie kanclerzu, czas z tym skończyć, ale nie przez odwoływanie się do naszej ponurej przeszłości. Nie wolno ciągle przywoływać nieszczęść, jakie na nasz naród ściągnął Hitler. Te wszystkie wyobrażenia o wartości tego, co zrobił pan dla naszego narodu, to kpina z logiki i rozumu. Przyszedłem, by położyć temu kres...

Ruff oniemiał. Po raz pierwszy zdarzyło się, by jego lojalny do tej pory doradca wojskowy zwracał się do niego w taki sposób. Usiadł z powrotem w fotelu i nagle w ręku oficera zobaczył pistolet. Patrząc mu prosto w oczy zapytał:

- A więc chce pan wziąć przykład z grafa von Stauffenberga?

Kasper uniósł pistolet i zaprzeczył ruchem głowy:

- Nie, panie kanclerzu, nie jestem von Stauffenbergiem. Miał pan rację

mówiąc, że musimy się wyzbyć kompleksu przeszłości. Musimy się wyzwolić z pęt naszej brutalnej historii. I nie wolno nam jej powtarzać.

- I sądzicie, że zabijając mnie, rozwiążecie problemy Niemiec? Że tym samym zniknie zło i zapanuje dobro?

Kasper ponownie pokręcił głową.

- Nie da się wymierzyć popełnionego w przeszłości zła. Ale możemy budować dobro na przyszłość. A pan musi odpowiedzieć za to, co wyrządził narodowi. Musi pan stanąć przed sądem.

Ruff parsknął śmiechem i mierzając palcem w pierś pułkownika powiedział:

- Doskonale. Postaw mnie przed sądem. Niech Niemcy mnie osądzą. Nie boję się tego. Naród i historia przyznają mi rację. To mali ludzie, tacy jak ty i tobie podobni wykastrowali nasz naród, zrobili z nas eunuchów służących obcym panom.

Kasper znał już tę śpiewkę na pamięć. Nie miał zamiaru raz jeszcze jej wysłuchiwać, i to właśnie teraz. Przerwał więc kanclerzowi ostro.

- Dość tego! Nie będzie żadnych publicznych procesów, żadnego naigrywania się z Niemców i ich rozsądku. Zre szta, gdyby nawet uznano pana za winnego, to i tak uszedł by pan z życiem, bo w naszym kraju nie ma kary śmierci.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

429

Nie, nie pozwolimy, by w dalszym ciągu natrzęsał się pan z nas, z naszej

historii. Nie damy panu tej szansy ani na sali sądowej, ani w więziennej celi. Nie, panie kanclerzu. Pańska chora wizja Niemiec zniknie dziś, tutaj, zaraz... Ruff wyprostował się i próbował uśmiechnąć:

- Czy mam rozumieć, że zamierza pan sam wziąć sprawę w swoje ręce? Osądzić mnie i wykonać wyrok?
- Nie, panie kanclerzu. Jak już mówiłem, nie jestem grafem von Stauffenbergiem. I nie mam powodu, by nim być - mówiąc to pułkownik położył na biurku przed kanclerzem pistolet. - Pozwolę natomiast, by pan sam, własnymi rękami położył temu kres i zamknął ten zwariowany rozdział naszej historii.

Ruff ze zdumieniem patrzył to na leżącą przed nim broń, to na Kaspera.

- A co pana skłania do przypuszczeń, pułkowniku, że się na coś podobnego zdobędę?
- Przekonanie, że złe moce, które popychały pana do upuszczenia krwi Amerykanom, zostały zaspokojone. Nawet pan rozumie, że już nie pokonamy 10. Korpusu, ani go też nie zatrzymamy. Bo już nie ma Amerykanów, których mógłby pan kazać zabijać.

Ruff patrzył szeroko otwartymi oczyma, próbując zrozumieć, jak to się stało, że ten człowiek odkrył jego najgłębszą tajemnicę? Czyżby powody, dla których rozpoczął tę wojnę, były aż tak przejrzyste? Czyżby i ten pułkownik, i inni, zdarli z niego maskę nacjonalizmu i zajrzeli w głąb jego duszy? W jaki sposób i czym mógł się zdradzić?

Kasper zauważył wyraz zaskoczenia i rozterki na twarzy kanclerza. Po dłuższej chwili milczenia powiedział:

- Publiczny proces oznaczałby dla pana ostateczny upa

dek. Bezapelacyjnie ujawniono by, że za tymi wszystkimi szczytnymi hasłami o narodzie, państwie i jego wielkości kryje się mała, ohydna chęć zemsty. Udowodniono by, że wszystko, co pan mówił, w co tylu ludzi wierzyło, było po prostu fałszem. Zapomniano by o wszystkim, czego pan wcześniej dokonał, a pańskie nazwisko ukazywałoby się całymi tygodniami w rubrykach kryminalnych światowej

430

HAROLD COYLE

prasy jako nazwisko pospolitego zbrodniarza, kogoś niegodnego szacunku, wyzutego z wszelkiego poczucia godności. Zrobiono by z pana szmatę, a pan nie miałby żadnych możliwości obrony. Szybko zacząłby pan żałować, że nie potrafił się wycofać sam, w porę, zachowując swoją, legendę, jakakolwiek by ona była w rzeczywistości.

- A więc dlatego przypuszcza pan, że to, co się tu w tej chwili dzieje, potraktuję jako okazję? - odparł zupełnie spokojnie, nawet z lekkim uśmiechem Ruff.
- Ja panu tylko wskazuję jedyne wyjście z sytuacji. Jedyne dobre dla pana.
- A jeśli z niego nie skorzystam?

Kasper przyjął postawę na baczność. Nie odpowiedział. Ruff po chwili zrozumiał, że tamten już nic nie powie. On, Ruff, w ciągu kilku ostatnich tygodni również powiedział już wszystko. A co ważniejsze, zrobił wszystko, co tylko było do zrobienia. Pokarał, jak potrafił, tych, co zabili jego ojca, którzy byli sprawcami cierpień jego rodziny, poniżenia jego

narodu. Tak, rzeczywiście doszedł do końca swojej drogi. Minał granicę, za którą czekały go tylko upokorzenia -jego samego, ale też i Niemiec. Spokojnie, bez strachu popatrzył na pistolet. Podniósł oczy i poprosił swego doradcę militarnego, by wyszedł z pokoju i zamknął drzwi.

Gdy został już sam, otworzył szkatułkę stojącą na biurku. Prawą ręką wziął pistolet i przyłożył jego lufę do czoła. Tak siedząc patrzył na swój sztylet z Hitlerjugend. Żałował, że nie miał okazji, by go kiedykolwiek użyć. Tak, to rzeczywiście wielka szkoda. I myśląc o tym pociągnął za spust.

Rozdział XXII

25 stycznia

Siedząc w wieżyczce swego czołgu M-1A1, zajmującego pozycję nieco na południe od granicy strefy kontrolowanej obecnie przez 17. Dywizję Spadochronową, Anatol Worisznow patrzył w dal. Rozciągała się przed nim perspektywa szosy przecinającej błotniste, brunatne o tej porze roku pola. Po prawej stronie, o jakieś tysiąc metrów na południe, znajdowała się opuszczona farma, której zabudowania zaznaczone były na jego mapie. Tam właśnie miał się spotkać ze Scottem Dixonem i 1. Brygadą 4. Dywizji Pancерnej. Dbcon i jego oddziały nadciągały z południa i powinny były wyjść z lasu, widocznego o kilometr na południe od farmy.

Spojrzał w lewo i zobaczył ubezpieczający go czołg dowódcy kompanii. Kazał kierowcy swego pojazdu podjechać na sam skraj lasu i zatrzymać się. Uważnie lustrował teren. Z tej pozycji widział, że prosto na wschód od farmy, w odległości około tysiąca dwustu metrów od budynków, ciągnął się gęsty zagajnik. Pomiedzy nim a farmą przez pola szła wyraźnie widoczna droga. Z mapy nie wynikało, czy wchodziła ona głęboko w las.

Już miał zamiar wydać polecenie, by wysłano tam pluton zwiadowców, gdy nagle coś odwróciło jego uwagę. Za plecami usłyszał szum silnika wozu pancernego. Odwrócił głowę. Od północy nadjeżdżał szosą jakiś pojazd. Kierowca podjechał bliżej. Dopiero teraz Worisznow zauważył, że z wieżyczki wozu wystają dwie głowy. Rozpoznał ich głównodowodzącego, Wielkiego Ala.

432

HAROLD COYLE

Pomyślał, że powinien wyjść z czołgu i złożyć meldunek. Już chciał to zrobić, gdy dobiegł go głos Malina:

- Nie wychodźcie, pułkowniku. Już idę do was - i nie czekając na odpowiedź, generał zniknął we wnętrzu pojazdu. Po chwili wyszedł na zewnątrz tylnym wyjściem.

Patrząc na Malina Worisznow nie miał wątpliwości, że był to człowiek śmiertelnie zmęczony. Wiedział, jaki ciężar tamten dźwiga: oprócz odpowiedzialności dowódcy ciążył na nim zarzut buntownika, którego po powrocie do Stanów niewątpliwie czekał proces sądowy.

Malin wprawnie wszedł na czołg, pozdrowił załogę i usadowił się w wieżyczce obok Worisznowa.

- Mielście kontakt z Dbcnem? - zapytał-

Worisznow zdjął hełm i potwierdził skinieniem głowy.

- Tak, jakieś dziesięć minut temu, zanim osiągnęliśmy skraj lasu. Pułkownik powiadomił, że razem ze swoimi oddziałami powinien osiągnąć punkt spotkania za jakieś piętnaście minut. - Spojrzał na zegarek i dodał: - Sądzę, że za chwilę powinni się pokazać na skraju tego lasu, prosto na południe przed nami.

- Tak, byłbym zadowolony, gdyby już do nas dołączyli -odparł Malin.

Worisznów chciał zwrócić uwagę, że Malin nie powinien być wysuwać się na samą linię frontu, ale łącznościowiec z głębi wozu poinformował, że wzywają go przez radio. Wziął hełm i przyłożył słuchawkę do ucha. Natychmiast rozpoznał głos Dbcona.

- Przepraszam, generale, właśnie wywołał mnie Dixon.
- Doskonale, dajcie - Malin wyciągnął rękę. Rosjanin wiedział, że generała i pułkownika łączy więzy przyjaźni, więc nie zdziwił się tą prośbą.

Malin nie założył hełmu. Po prostu wsunął słuchaweczkę do ucha i wziął do ręki mikrofon. Zanim cokolwiek powiedział, zapytał Worisznowa:

- Czy rozmowa jest kodowana?

Pułkownik skinął potakująco głową.

TRÓJKĄT ŚMIERCI 433

- Doskonale - generał włączył nadawanie. - Pułkownik Dixon? - powiedział do mikrofonu. - Tu Wielki Al. Co się tak powoli ciągniecie?

Zapanowała chwila ciszy, a Dixon odpowiedział dopiero wtedy, kiedy się przekonał, że rzeczywiście rozmawia z generałem.

- Przepraszam, str, ale zapomniałem czegoś w Pradze i musiałem zawrócić.

Twarz Malina się rozpromieniła, co Worisznow przyjął jako znak, że wszystko w porządku, skoro Amerykanie odzyskiwali właściwe im poczucie humoru.

- Scott, tu Wielki Al. Dojeżdżasz do punktu spotkania? Odbiór.
- Potwierdzam. Widzę zabudowania farmy.
- Doskonale. Jestem na skraju lasu po przeciwnej stronie, na północ od ciebie, razem z twoim rosyjskim przyjacielem. Co myślisz o tym, byśmy wyszli ci na spotkanie w połowie drogi, przy farmie?
- Musimy wymienić sygnały rozpoznawcze. Odbiór -usłyszał po chwili głos Dixona.

Malin odwrócił się do Worisznowa i zapytał o sygnały.

- My wystrzelimy rakietę zieloną, potem czerwoną. Oni odpowiadają zieloną i białą.
- Doskonale, strzelajcie.
- Tak, ale wyślę czołg, by pana ubezpieczał w drodze.
- Nie sądzę, by to było konieczne - uśmiechnął się Malin.
- Tu nie jest bezpiecznie - upierał się Worisznow. - Nie puszczę pana bez eskorty.

Wiedząc, że pułkownik ma rację, generał ustąpił.

- OK, pułkowniku. Dajcie czołg i wystrzelcie te rakiety.

Wracam do swego wozu.

Nie żegnając się generał, zszedł z czołgu. Worisznow patrzył zaniem. Ogarnęło go współczucie dla tego człowieka. Kiedy tylko ta cała operacja dobiegnie końca, skończy się również jego kariera. Cóż za straszny koniec dla tak wspaniałego dowódcy... By otrząsnąć się z ponurych myśli,

Worisznow wydał rozkazy. Wysłał jeden ze swoich czołgów do przodu i kazał wystrzelić rakiety.

ft 3r -A

Z wieżyczki swego czołgu Seydlitz patrzył przez gałęzie drzew na zachód. Nad szarym pustym polem nisko zawisły bure chmury. Upewnił się, że z tego powodu nie nadlecą tu amerykańskie samoloty. Mogły wprawdzie atakować bez względu na pogodę, ale doświadczenie nauczyło go, że amerykańscy piloci czują respekt przed ich rakietami ziemia-powietrze, w jakie były wyposażone ich czołgi. Niemniej jednak amerykańskie lotnictwo w dalszym ciągu było groźne, a im bardziej posuwali się na północ, tym bardziej mogło im zagrażać. Z siedmiu czołgów, jakimi dysponował, cztery zostały już zniszczone przez eskadry nieprzyjaciela.

I jeszcze ta odwilż... Gdyby nie ona, nie musiałby się trzymać szosy, lecz mógłby swobodnie przemieszczać się polami. A tu, na północy, tereny były szczególnie bagniste i uniemożliwiały poruszanie się ciężkim sprzętem.

Raz jeszcze spojrzął na puste pole i już się chciał odwrócić, gdy jego uwagę przykuła rakietą. Biała iskierka osiągnęła pułap i rozprysła się na setki zielonych gwiazdek, które wolno opadały na ziemię. Gdy zgasły, wystrzelono kolejną raketę, tym razem czerwoną. Punkt z którego ją wypuszczono, znajdował się w lesie widocznym po prawej stronie na północy, w odległości najwyżej półtora kilometrów od nich. Seydlitz włączył radio i ostrzegł czołgi swojej kolumny. Już chciał się połączyć z batalionem, gdy znów zobaczył rakietę. Tym razem strzelano z lewej strony, od południa. Najpierw ukazała się rakietą zieloną, potem białą. Poinformował o tym dowódcę batalionu i raz jeszcze zaalarmował swoją kompanię, polecając jej przygotować się do konfrontacji z wrogiem.

Tymczasem Dixon zobaczył, że od północy, z lasu oddalonego od nich o jakieś trzy kilometry wytoczył się czołg i posuwając się szosą, jechał teraz w kierunku zabudowań

farmy. W chwilę potem w ślad za czołgiem ruszył sztabowy wóz pancerny. Nie miał wątpliwości, że to pojazd Wielkiego Ala. Ogarnął go niepokój. Nie wolno było dowódcy 10. Korpusu zezwolić na takie ryzyko i poruszanie się w nie spenetrowanym terenie. Pomyślał, że zapewne generał po raz ostatni przed przejściem w stan spoczynku chciał się znaleźć na linii frontu.

Dixon rozejrzał się wokół. Kapitan Kozak ze swą kompanią znajdowała się na wyznaczonych pozycjach. Jej brad-ley stał po prawej stronie szosy, skierowany przodem na północny wschód. Obok parkował Cerro, zwrócony w kierunku farmy. Uspokojony Dbccon polecił kierowcy, by zapuścił silnik i ruszył szosą na spotkanie pojazdów nadjeżdżających z północy, od strony farmy.

Stojący przed pojazdem Seydlitza leopárd posunął się nieco do przodu, wjeżdżając na sam skraj lasu. Tam nagle się zatrzymał, a siedzący do tej pory we włązie dowódca zniknął nagle w środku. Zaraz potem wieża czołgu zaczęła się powoli poruszać - raz na prawo, raz na lewo, jakby mierzono w ruchomy cel. Seydlitz domyślił się, co to oznacza i już chciał przez radio zażądać wyjaśnień, gdy usłyszał w słuchawce głos dowódcy czołgu znajdującego się przed nim. Meldował, że szosą, w kierunku południowym jedzie amerykański czołg.

Seydlitz zamierzał polecić, by nie otwierali jeszcze ognia i zaczekali, aż

ich pozostałe czołgi zajmą swoje pozycje, ale nagle zimne powietrze poranka przeszył armatni strzał. Padł on z czołgu jadącego przodem.

Malin wychylił się z wjazdu swego wozu pancernego, by zobaczyć nadjeżdżający z południa pojazd Dębca. Widok zasłaniał mu jadący przed nim czołg. I nagle stało się to, czego się nie spodziewał. Z czołgu wyleciał snop iskier, a po chwili maszyna skryła się w obłoku dymu, z którego wyskakiwały języki ognia. Dopiero w chwilę potem generał usłyszał wybuch i przeraźliwy zgrzyt, jakby ktoś olbrzymim nożem przesuwiał po szkle. Zrozumiał, co się stało. Spojrzał na wschód, na linię lasu. Zza drzew wyłaniał się leopold II. Znaleźli się w potrzasku.

436

HAROLD COYLE

Nadjeżdżający od południa Dixon również zobaczył wybuch i szarą bryłę niemieckiego czołgu sunącego od wschodu.. Natychmiast skrył się we wnętrzu pojazdu i polecił:

- Naprzód! Skręcić w lewo! Skryjemy się za tym płoną-
cym czołgiem!

Kierowca, który w pierwszym odruchu po eksplozji zdjął nogę z gazu, ponownie nacisnął pedał i wóz pancerny ruszył do przodu. Dopadli płonącego czołgu w momencie, kiedy wstrząsnął nim drugi wybuch. To eksplodowała składowana w nim amunicja.

Seydlitz usiłował tymczasem połączyć się przez radio z czołgiem jadącym przed nim. Ale bezskutecznie. Bezradnie patrzył, jak czołg ten, wciąż posuwając się na zachód, wyszedł z lasu i znalazł się w otwartej przestrzeni pola. Było oczywiste, że zamierza ostrzelać jakiś kolejny cel.

Nancy najpierw zauważyła tylko wybuch na szosie i smugę

wylatującego z lasu pocisku. Czołgu przeciwnika nie widziała, gdyż zasłaniały go drzewa. Nie zwlekając wydała rozkaz:

- Czołg nieprzyjaciela! Przygotować raketę! Sierżant Wolf przywarł do wizjera i zameldował:
- Jeszcze nie widzę.
- Musi być tam, na skraju lasu! - odparła Kozak.

I w tym właśnie momencie Wolf zobaczył wysuwającą się zza drzewa lufę armaty kaliber 120 mm standardowe uzbrojenie leopardów.

- Widzę! - krzyknął, uważnie obserwując.

Gdy tylko przód czołgu wyłonił się z lasu, zaczął go namierzać i już miał odpalić pocisk raketowy TOW, gdy nastąpiło coś, czego się nie spodziewał, ani on, ani kapitan • Kozak: czołg nagle zniknął w kłębach dymu, a po chwili usłyszeli wybuch. Kozak była pewna, że to jakiś amerykański czołg, stojący w lesie na północ od nich, uprzedził ich i strzelił pierwszy.

Już chciała zameldować o wszystkim pułkownikowi Cerro, ale z prawej strony dobiegł odgłos odpalenia pocisku TOW. Spojrzała w tym kierunku, ale niczego nie wi-

TRÓJKĄT ŚMIERCI 437

działa. Domyśliła się, że na jej prawej flance doszło do starcia z przeciwnikiem. Włączyła radionadajnik i przekazała do Cerra meldunek:

- Hotel 60, tu Charlie 60. Wydaje mi się, że na prawej flance, w lesie, nawiązano kontakt z wrogiem. Za minutę podam szczegóły.

I nie czekając na potwierdzenie, przeszła na długość fal swego plutonu.

Znajdujący się po przeciwnej stronie szosy Cerro nie krył zdenerwowania. Widział wybuch czołgu na szosie oraz dwa pojazdy sztabowe, które wiozły dowódcę 10. Korpusu i dowódcę jego brygady. Potem zobaczył niemiecki czołg wyjeżdżający z lasu i niemal w tym samym czasie dowódca kompanii zameldowała, że zetknęli się z wrogiem na prawej, wschodniej flance. Ponieważ Kozak natychmiast po złożeniu meldunku wyłączyła radio, polecił swemu kierowcy, by podjechał bliżej bradleya pani kapitan. Sądził, że uda im się porozumieć bezpośrednio.

Czołg Seydlitza ostrożnie sunął do przodu. Gdy wyjechali z lasu, mogli dokładnie zobaczyć rozciągające się przed nimi pole bitwy. Kierowca czołgu natychmiast dostrzegł na szosie pędzący na północ, w kierunku płonącego czołgu, sztabowy pojazd pancerny i krzyząc powiadomił o rym pozostałych członków załogi.

Seydlitz szukał jednak bardziej godnego ich celu i po chwili wypatrzył bradleya.

- Uwaga, bradley po lewej stronie!

Działonowy posłusznie skierował na południowy zachód lufę armaty. Seydlitz kazał kierowcy przesunąć czołg jeszcze trochę do przodu, ale tak, by nie wyłonili się z lasu.

Porucznik Ellerbee, nie widząc jeszcze niczego, polecił ruszyć swą maszynę nieco naprzód. Zaraz potem zobaczył na szosie płonący czołg oraz dwa jadące w jego kierunku sztabowe wozy pancerne. Domyślił się, że chcą się ukryć za płonąca maszyną. Dalszą obserwację przerwał mu krzyk kierowcy:

- Czołg nieprzyjaciela! Na dwunastej w lesie!

Nie sprawdzając pozycji Ellerbee wydał rozkaz przygotowania się do otwarcia ognia. Odezwało się ich potężne działo kaliber 120 mm.

Seydlitz zobaczył czołg nieprzyjaciela. Okazało się, że ich pocisk nie spudłował, ale też nie zniszczył przeciwnika. Usłyszał w pobliżu huk, ale nie zdawał sobie sprawy, że to ich czołg został teraz trafiony. Dopiero krzyk, jaki dobiegł z wnętrza czołgu, uświadomił mu, że *coś* się stało.

- Kapitanie, zostaliśmy trafieni! - krzyknął sierżant.
- Uwaga, czołg! - wrzasnął działonowy. Seydlitz spojrział w lewo i zauważył go.
- Zostawić bradleya! Celować w czołg! - polecił. Działonowy potwierdził rozkaz i oznajmił, że jest gotowy.

Nie wahając się już ani chwili Seydlitz krzyknął:

- Ognia!

Ellerbee zorientował się, że trafili przeciwnika, ale go nie unieszkodliwili. Widząc, że tamci mierzą w ich kierunku, rozkazał:

- Jeszcze raz ognia!

Działonowy natychmiast potwierdził wykonanie rozkazu.

Dwa czołgi, leopard i M1, wystrzeliły niemal w tym samym momencie. Obie strony dysponowały najnowocześniejszą techniką, więc oba pociski dosięgły celu. Groźniejsze jednak były skutki strzału strony niemieckiej. Pocisk przebił przednią stalową płytę M1, przeleciał przez wewnętrzną kabinę i eksplodował w komorze amunicyjnej. Wybuch zniszczył czołg porucznika Ellerbee.

Krzyki bólu i przerażenia, jakie wydobywały się z wnętrza czołgu,

uświadomiły Ellerbee, że trzeba uciekać. Nie czuł bólu i nie bardzo rozumiał, co się z nim dzieje. Kierowały nim odruchy. Wyskoczył z wjazdu, stoczył się po boku czołgu i niczym kukła uderzył o ziemię. Jak przez mgłę dcierało do niego, że tuż obok wyskoczyli z czołgu kierowca i działonowy. Żołnierze natychmiast zerwali się z ziemi, złapali go za ręce i pociągnęli w las, biegnąc co sił, by znaleźć się jak najdalej od czołgu. W chwilę potem maszyna eksplodowała. Ostatni z czterech czołgów, jakimi na początku marszu przez Niemcy dysponował jego pluton...

TRÓJKĄT ŚMIERCI

439

Seydlitz wpatrywał się w wizjer, ale nic nie było widać. System optyczny czołgu uległ awarii.

- Sprawdź teleskop. Działa? - rzucił w stronę działonowego.

Spojrzał z góry, z wieżyczki, w głąb czołgu i zobaczył, jak obsługujący dział naciska przycisk podnoszący teleskop i przybliżyła twarz do wziernika.

- Teleskop działa - usłyszał odpowiedź. - Widzę płonący amerykański czołg.

Seydlitz wyjrzał ostrożnie z wjazdu. Rzeczywiście, palił się. Próbował wypatrzyć bradleya, którego przed chwilą widział na skraju lasu, ale pojazd pancerny gdzieś zniknął. Seydlitz uznał, że nadszedł czas, by złożyć meldunek do batalionu.

Obserwując ze swego czołgu przedpole, Worisznow widział, że oba sztabowe wozy pancerne. Malina i Dłsona, skryły się za płonącym

czołgiem, który miał być eskortą generała. Na południowy wschód od niego, na skraju lasu płonął co najmniej jeden niemiecki czołg, a drugi musiał być uszkodzony. W linii prostej na południe, tam, gdzie stały siły Dixona, na ich prawej flance dostrzegł słup czarnego dymu i drugi taki sam na lewej flance. Worisznow nie mógł się dokładnie zorientować, co się stało, ale było oczywiste, że Niemcy zaatakowali ich od wschodu. Rosjanin połączył się z dowódcą batalionu, który mu towarzyszył, i polecił, by ; przygotowano oddział piechoty do spenetrowania lasu na południowym wschodzie. W chwilę potem wywołał artylerię brygady i zażądał wsparcia, kazał ostrzelać las, w którym znajdował się przeciwnik, i jego przedpole.

Gdy znaleźli się za płonącym czołgiem, Dixon i Malin poczuli się bezpieczniej. Dixon badał teren z wieżyczki swego pojazdu, a Malin wyskoczył z wozu i zapytał:

- Scott, co się tam właściwie dzieje?

W tym momencie Dixon zobaczył błysk wystrzału armatniego na wschodzie, a w kilka sekund potem wybuch i słup dymu na skraju lasu, z którego przyjechał generał, oznaczało to, że jeszcze jeden amerykański czołg został zniszczony.

440

HAROLD COYLE

Wielki Al wdrapał się na maszynę Dixona i skrył w wieżyczce, obok pułkownika. Stali tak i patrzyli na toczącą się bitwę, w której nie byli w stanie uczestniczyć.

Kozak, posuwając się leśnym traktem na wschód, wyjechała z zakrętu

i natychmiast z przerażeniem zobaczyła, jak jeden z pojazdów pancernych jej plutonu został właśnie trafiony. Okazało się to niezbyt groźne, a załoga zdołała w porę wyskoczyć. Z miejsca, w którym się zatrzymali, Kozak nie mogła ustalić, kto i z czego do nich strzelał. Chwyciła swój karabin i krzyknęła do Wolfa:

- Niech Paden bierze AT-4 i leci za mną!

Zeskoczyła na ziemię i ruszyła biegiem w stronę, gdzie spodziewała się spotkać żołnierzy z trafionego bradleya. Wkrótce natknęła się na leżącego na ziemi strzelca.

- Gdzie sierżant Manning? - spytała.

Żołnierz bez słowa pokazał ręką na prawo. Spojrzała w tamtym kierunku. Pod jakimś krzakiem klęczał sierżant. Zauważyła, że jej śladem biegnie Paden z AT-4, przenośną wyrzutnią, zwaną również LAW, wyposażoną w przeciwpancerną rakietę.

Podbiegła do sierżanta, przykucnęła i zapytała:

- Co tu mamy?

Sierżant nie odwracając głowy, szepnął:

- Leopard. Jakies dwadzieścia, trzydzieści metrów prosto przed nami.

Popatrzyła w tamtym kierunku i w sekundę potem usłyszała dudnienie dieslowskiego silnika. Wydawało się, że czołg stoi. Zapewne dowódca czekał na rozkazy albo nie był zdecydowany, co robić. Zauważyła, że dwaj towarzyszący Manningowi żołnierze są również uzbrojeni w AT-4.

- Doskonale, sierżancie, załatwcie go - poleciała.

Sierżant kiwnął głową i rzucił szeptem do swoich ludzi:

- Larson, Evestus, brać rakiety i za mną. Pozostali nas

kryją.

Kozak ruszyła o krok za nimi.

Cerro dojechał do miejsca, gdzie spodziewał się zastać Kozak, ale nie było tam ani jej, ani jej bradleya. Rozglądając się zobaczył na ziemi ślady wozu. Po prawej stronie, w od-

ległości jakichś trzydziestu metrów stał inny bradley. Już chciał ruszyć w tamtym kierunku, by się dowiedzieć, gdzie jest kapitan, gdy zobaczył, że bradley odpalił przeciwpancerną raketę TOW. Pocisk przeleciał nad polem gdzieś w kierunku celu, którego z miejsca, w którym stał, nie był w stanie zobaczyć.

Cel ten widziała oczywiście załoga bradleya. Rakietę wpadła między drzewa i w tym momencie obserwujący - zobaczyli błysk i słup czarnego dymu. Odgłos wybuchu dotarł również do Cerra. Zaraz potem usłyszał serie cichszych wybuchów. Cerro nie miał wątpliwości, że ich flankę zaatakowano przy użyciu przenośnych rakiet przeciwpancernych. Oznaczało to co najmniej jedno – że wróg jest bardzo blisko. Do tej pory zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy, zajęty bez reszty tym, co się działo przed nimi, na polu.

Kiedy za jego plecami rozległy się pierwsze wybuchy artyleryjskiej salwy, Seydlitz był przekonany, że to niemiecka artyleria ostrzelała swoich przez pomyłkę. Łącząc się przez radio z batalionem artyleryjskim, zobaczył przed sobą, w okolicy farmy, kilka wybuchów. I nagle dotarło do niego, że to była salwa ich artylerii, a wybuchy za jego plecami pochodziły od salwy artylerii amerykańskiej.

. Zrozumiał, że ich artyleria strzela za daleko na **zachód** więc zaczął

obliczać parametry, by przekazać artylerzystom poprawne współrzędne celu.

Pierwsza salwa artyleryjska zaskoczyła Malina i Nixona. Obaj natychmiast skryli się we wnętrzu pojazdu pułkownika.

- Scott, oni się domyślają, gdzie jesteśmy, i chcą nam odstrzelić dupy.

Dixon pokiwał głową i szepnął:

- Już przy pierwszej salwie niewiele brakowało...
 - Tak, mieliśmy szczęście - przyznał generał - **ale teraz** wezmą poprawkę...

Dixon wiedział, co generał ma na myśli, gdyż zapytał:

- Myślisz, że może nam się uda zwiać?

442

HAROLD COYLE

Malin popatrzył przez wizjer w kierunku północnym, tam, skąd przyjechał, i odpowiedział:

- Jeśli tu zostaniemy, ryzykujemy, że następną salwą nas dostaną. Oczywiście ryzykujemy również jadąc, ale być może mniej.

Dixon nie namyślał się ani chwili. Zapytał tylko:

- Polem czy szosą?

Malin raz jeszcze popatrzył w wizjer i odparł:

- Myślę, że polem. Jeśli ugrzęźniemy, wyskakujemy z pojazdu i ruszamy biegiemy.

Dixon skinął głową i wydał rozkaz kierowcy.

Strata dwóch czołgów zaatakowanych wśród drzew przez piechotę

przekonała niemieckiego dowódcę, że ukrywanie się w lesie jest bardziej niebezpieczne niż wyjście w pole. Wydał więc przez radio rozkaz, by wszystkie pojazdy skręciły w prawo i wyjechały spomiędzy drzew. Gdy znaleźli się na linii lasu, nakazał wszystkim, by byli ostrożni. Jeśli natknął się na przeciwnika, mają natychmiast strzelać. Dobrze wiedział, że przeżyje ten, kto okaże się szybszy.

Worisznów nie był zaskoczony przekazaną przez radio informacją, że Malin i Dixon uciekają w jego kierunku. Widział pierwszą salwę niemieckiej artylerii i był przekonany, że będą jeszcze następne. Połączył się ze swoją artylerią i polecił, by natychmiast pokryto ogniem las, w którym zaczęli się Niemcy, oraz pole przed lasem. Nakazał też, by użyto pewnej liczby pocisków dymnych. Taka salwa powinna odwrócić uwagę Niemców i ułatwić Malinowi i Dixonowi wycofanie się.

- Amerykanie uciekają! - okrzyk jednego z członków załogi spowodował, że Seydlitz skoncentrował wzrok na przedpolu:

Niestety, system optyczny ich czołgu nie działał, więc Seydlitz nie mógł niczego zobaczyć.

- Kto ucieka? Gdzie? - dopytywał się gorączkowo.

Działonowy wyraźnie rozemocjonowany odparł:

- Oba amerykańskie wozy sztabowe. Jadą po drugiej stronie szosy. Na północ.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

443

Seydlitz odważył się wysunąć głowę z wieżyczki i po chwili zobaczył

dachy obu pojazdów, zasłanianych przez nasyp, jakim biegła szosa.

- Widzę. Przygotować się.

Działonowy zawahał się. Nie miał wprawy w posługiwaniu się teleskopem przy celowaniu. W warunkach, kiedy system optyczny czołgu jest sprawny, zadanie to automatycznie wykonuje system elektroniczny. Teraz, z powodu awarii, musiał to robić on sam - trzeba było wymierzyć odległość i ustalić kierunek ruchu pojazdu. Oceniał, że zanim Amerykanie dojadą do lasu na północy, będzie mógł oddać trzy, a może nawet cztery strzały. Miał więc dość czasu na wprowadzenie poprawek.

Cerro w dalszym ciągu nie widział, co się dzieje i nakazał kierowcy, by podjechał ostrożnie do przodu. Powoli podsunęli się *aż na brzeg lasu, Ale stąd też niewiele mogli zobaczyć*. Nie był w stanie zorientować się w sytuacji. Nagle nastąpiło coś nieoczekiwanego. Gdy wysunęli się nieco na skraj lasu, Cerro spostrzegł tuż przed sobą leoparda, którego armata wymierzona była prosto w nich.

- Cofaj! Kierowca, cofaj! - krzyknął do mikrofonu.

Kierowcy nie trzeba było powtarzać dwa razy. Natychmiast wrzucił wsteczny bieg i dodał gazu. Błyskawicznie zareagował również strzelec. Nie czekając na rozkaz zasypał przeciwnika gradem pocisków. Niestety, nie były to pociski TOW, strzelał z działka 25 mm.

Załoga niemieckiego czołgu była równie zaskoczona i zdumiona widokiem przeciwnika jak Amerykanie. Obsługujący działko już chciał zameldować o tym dowódcy, gdy bradley ostrzelał ich. Wprawdzie pociski kaliber 25 mm w niewielkim stopniu uszkodziły stalowy pancierz leoparda, ale skutecznie dezorientowały Niemców, a kiedy

oprzytomnieli, bradley cofnął się i zniknął między drzewami.

Gwałtowna kanonada prowadzona przez załogę bradleya Cerra zaalarmowała Nancy Kozak i zwróciła jej uwagę na niebezpieczeństwo. Natychmiast dojrzała wśród drzew sylwetkę niemieckiego czołgu. Ponieważ byli przygotowani na

444

HAROLD COYLE

starcie z przeciwnikiem, ich rakiety TOW tkwiły już w wyrzutniach. Jedną z nich odpalono i w kilka sekund potem ugodziła ona w bok czołgu, który tak wystraszył Cerra.

Tymczasem Seydlitz i jego załoga nadal polowali na dwa ledwo widoczne sztabowe pojazdy pancerne, poruszające się za nasypem przecinającej pole szosy. Celowniczy obliczył odległość, wprowadził poprawkę i nacisnął spust.

Oba wozy sztabowe grzęzły w błocie. Dixon żałował, że nie zdecydowali się na jazdę szosą. Spod kół bryzgało błoto i wozy co chwila wpadały w poślizg, a koła zaczynały buksować. Miał zamiar wydać przez radio komendę powrotu na szosę, gdy tuż przed nimi nastąpił wybuch. Spojrzał w prawo - to ostrzeliwał ich czołg. O powrocie na szosę nie mogło więc być mowy.

Worisznów bez chwili namysłu spokojnym głosem polecił kierowcy, by zapalił silnik czołgu i wyjechał na szosę. Ruszyli wolno na południe. Gdy wydostali się z lasu, zwiększyli szybkość. Przed nimi było dokładnie widać dwa pojazdy sztabowe, grzęznące w błocie po lewej stronie drogi. Zastanawiał się, czy załoga jego czołgu zdaje sobie sprawę z sytuacji, w

jakiej się znalazła. Worisznowowi chodziło bowiem o to, by Niemcy skupili się na nich, a przestali zwracać uwagę na mniej dla nich groźne wozy sztabowe. Pomyślał też, że jeśli tam, na skraju lasu, na wschód od nich, znajdowało się więcej czołgów, to ich szarża mogła się okazać jedynie nic nie znaczącym działaniem.

Seydlitz stwierdził, że pierwszy strzał oddany w kierunku wozów sztabowych był zbyt krótki. Działonowy zaklął i wprowadził poprawkę. Seydlitz milczał wiedząc, że popędzanie załogi niczego nie zmieni, byli to przecież doskonale wyszkoleni żołnierze. Wolał ich nie wyprowadzać z równowagi. Wysunął więc głowę z włazu, patrzył na pole i czekał. Wreszcie działonowy zameldował, że oddaje strzał. W tym momencie Seydlitz kątem oka zauważył, że środkiem szosy, w kierunku południowym, z dużą szybkością jedzie amerykański czołg.

Dokładnie w tej samej chwili czołg Seydlitza został zauważony przez Worisznowa, który ryknął do mikrofonu:

TRÓJKĄT ŚMIERCI

445

- Czołg na 21! Ognia! Ognia!

Pocisk uderzył w przedni pancerz maszyny Seydlitza, przeszył stalową płytę, ale nie eksplodował i nie spowodował pożaru. Śmierć poniósł działonowy, ale pozostali członkowie załogi zdolali wyskoczyć, pociągając za sobą Seydlitza. Wszyscy przeżyli. Dopadli jadącego za nimi czołgu, a w chwilę potem ci, co pozostali z kompanii Seydlitza, wycofali się do tyłu, na wschód.

Bitwa dobiegła końca. Major Cerro stał na skraju **lasu** i

zafascynowany patrzył na pojedynek między niemieckim czołgiem, dwoma wozami sztabowymi i amerykańskim czołgiem, który przyszedł z pomocą sztabowcom. Była to odsiecz udana. Wprawdzie jeden z wozów pancernych został trafiony, ale drugi wyszedł z opresji cało. Czołg podjechał do nich, zatrzymał się i osłonił przed wrogiem. Cerro przez lornetkę widział, jak załoga nie zniszczonego wozu pomaga wydostać się tym z wozu trafionego. Czołg stał nieruchomo na szosie, osłaniając akcją ratunkową.

Cerro wiedział, że jeden z wozów sztabowych należał do Wielkiego Ala, ale nie miał pojęcia, który. Nie mógł się zresztą teraz nad tym zastanawiać - musiał się zająć swoim batalionem, który wyrwał mu się spod kontroli. Miał poczucie, że dla niego ten dzień był bardzo pechowy.

Rozdział XXIII

26 stycznia

Wszystko wokół było dziwnie obce. Kiedy wreszcie porucznikowi Timowi Ellerbee udało się otworzyć oczy, miał wrażenie, że znalazł się w innym świecie. Rozejrzał się po pokoju zalany porannym światłem. Wszystko wydawało mu się śnieżnobiałe i błyszczące. Patrzył zresztą jak przez mgłę, nie zdając sobie sprawy, że jest jeszcze oszołomiony środkami usypiającymi i przeciwbólowymi. Z największym trudem przekręcił głowę. Wpatrywał się w coś, czego przez jakiś czas nie był w stanie zidentyfikować. Dopiero po kilku minutach dotarło do niego, że to łóżko szpitalne, na którym ktoś leży. I znów minęło parę chwil, nim sobie uświadomił, że zapewne znajduje się w szpitalu. Jeśli tak, to chyba został ranny, ale żyje. Poczul, że oblewa go ciepła fala radości - nie tylko żył, ale

zaczynał logicznie rozumować.

Spojrzał na faceta z tamtego łóżka. Siedział i coś pisał na kartce rozłożonej na tacce. Chciał się do niego odezwać, ale nie mógł wydobyć głosu. Zacharczał niewyraźnie, tamten zaś spojrzał w jego stronę. Wtedy Ellerbee z trudem wykrztusił:

- Jesteś Amerykaninem czy Niemcem?
- Rosjaninem. A ty?

Nie był pewien, czy dobrze zrozumiał. Zamrugał oczami i przedstawił się:

- Tim Ellerbee, porucznik armii Stanów Zjednoczonych.
 - Mikołaj Ilwanicz, major armii rosyjskiej. Witaj w Bre-merhaven.

TRÓJKĄT ŚMIERCI

447

Ellerbee zdziwił się, co może major rosyjski robić w Bre-merhaven. Zamknął oczy i przysnął. Kiedy się obudził, w pokoju paliła się lampa. Ellerbee nie zdawał sobie sprawy, że od jego pierwszej rozmowy z majorem minęło już kilka godzin.

- Majorze, śpi pan? - zapytał. Tamten odwrócił głowę.
- Nie, poruczniku Ellerbee. A pan? - odpowiedział.
- Też nie. Z jakiej jest pan jednostki?
- Kompania A, 1 Batalion Komandosów 77. Dywizji Piechoty.
- To ma pan szczęście.
- Niby dlaczego poruczniku? - zdumiał się Rosjanin.

- Bo u was nie ma kobiet. Dowódcą mojej kompanii była kobieta, kapitan.

Rosyjski major chwilę milczał, a potem skomentował to:

- Rozumiem, nie udało się jej doprowadzić kompanii do celu.

Ellerbee czuł się już znacznie lepiej i bez trudu przypominał sobie minione wydarzenia.

- Ależ nie - powiedział - kompania dotarła do celu.

- To pewnie ponieśliście ogromne straty.

Ellerbee zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, wygraliśmy wszystkie potyczki i straty nie były większe niż u innych.
- To widocznie źle was traktowała? Albo nie mieliście zaopatrzenia?
- Ależ nie. Nikt nie chodził głodny.
- To co się wam nie podoba w waszym dowódcy? Czyżby tylko to, że jest kobietą.

Ale to już było dla Ellerbee zbyt skomplikowane. Zamknął oczy, by skupić się nad dpowiedzią, lecz natychmiast zapadł w sen.

Otworzyła oczy i spojrzawszy na zegarek stwierdziła, że jest 3.05 nad ranem. Ktoś dobijał się do drzwi frontowych,

448

HAROLD COYLE

ale nie była lym szczególnie zaskoczona. Jan Fields-Dixon po latach pracy w World News Network zdążyła się już przyzwyczać, że nie ma życia

prywatnego. Często zdarzało się, że poszukiwano jej w najróżniejszych miejscach i o każdej porze dnia i nocy.

Ociągając się wstała, narzuciła szlafrok, jednym ruchem poprawiła włosy i poszła otworzyć.

Ugięły się pod nią nogi - przed drzwiami stał pułkownik armii amerykańskiej. Przytrzymała się futryny, by nie upaść. Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Wiedziała już, co to oznacza. Scott nie żyje. Zabito jedyne go człowieka, którego naprawdę kochała. Zginął jedyny przyjaciel, ktoś najbliższy.

Pułkownik, przestraszony wyrazem jej twarzy, usiłował ją podtrzymać za ramię.

- Pani Dixon, źle się pani czuje?

Próbowała się opanować.

Już w porządku - odparła cicho i po chwili zapytała: -Jak... - nie dokończyła jednak. Cóż za różnica, jak. To już nie ma najmniejszego znaczenia...

Pułkownik, wyraźnie speszony, nie wiedział, co ma powiedzieć. Doszedł do wniosku, że skoro nie prosi go do środka, to powinien szybko wyłuszczyć, co go tu sprowadza nocą. Chrząknął i przerywając kłopotliwe milczenie, powiedział:

- Pani Dixon, przyjechałem na polecenie prezydenta Wilsona. Kazano mi panią poinformować, że pułkownik Deacon, pani mąż, dotarł do Bremerhaven.

Jan patrzyła na niego, nie bardzo rozumiejąc, o czym mówi. Wreszcie spytała:

- A więc odnaleziono jego ciało?

- Czyje ciało? - tym razem pułkownik nie zrozumiał. Zdenerwowana burknęła tylko:

- Mego męża, a kogo by?

Dopiero teraz do pułkownika dotarło, o czym myślała pani Dixon. Potrząsnął gwałtownie głową i roześmiał się.

- O Boże, pani nie rozumie, pani Dixon. Pani mąż żyje. Dowodząc tylną strażą korpusu, dotarł do Bremerhaven. Dotarł i...

TRÓJKĄT ŚMIERCI

449

Jan nie pozwoliła mu dokończyć. Paroksyzm strachu przeszedł nagle w paroksyzm wściekłości:

- Ty skurwysynu! Ty wstrętny skurwysynu! Jak śmiesz budzić mnie w środku nocy?! Jak śmiesz się jeszcze uśmiechać?! - wrzasnęła i z całej siły zatrzęsnęła drzwiami.

Odwróciła się i pobiegła do sypialni. Rzuciła się na łóżko i dopiero wtedy wybuchnęła niepowstrzymanym płaczem.

Pułkownik jeszcze chwilę stał przed drzwiami, wreszcie wzruszył ramionami i zszedł do czekającego na niego samochodu. W drodze do Białego Domu zastanawiał się, co powinien powiedzieć, gdyby go zapytano o przebieg misji. Doszedł do wniosku, że najlepiej będzie w ogóle nic nie mówić.

Mimo że 13. Korpus przejął kontrolę nad wszystkimi operacjami taktycznymi prowadzonymi na terenie Niemiec północnych,

dziennikarze wciąż krążyli wokół siedziby sztabu 10. Korpusu jak stado wygłodniałych wilków. Sztab ulokował się o kilka kilometrów od plaż Morza Północnego i czekał na to, na co czekali dziennikarze - na generała Alvina Malina, najbardziej kontrowersyjnego od czasów Mac Arthura amerykańskiego generała. Cała zresztą opinia światowa mówiła tylko o nim. Spodziewano się, że zgodnie z tym, co zapowiedział, natychmiast odda się do dyspozycji władz amerykańskich.

Rozeszły się pogłoski, że już odleciał do Stanów. Prawdę mówiąc, to oprócz członków sztabu korpusu nikt nie wiedział, co w tej chwili dzieje się z Malinem. To, że się Jeszcze nie pojawił i nie oddał do dyspozycji władz, komplikowało poczynania pani prezydent i opóźniało pertraktacje z niemieckim parlamentem. Obie strony chciały jak najszybciej położyć kres temu, co określano mianem pożałowania godnej afery, ale było oczywiste, że przede wszystkim należy wyjaśnić sprawę zbuntowanego generała.

Było już późne, zimowe popołudnie, gdy reporterzy i operatorzy koczujący przed miejscem postoju sztabu zauwa-

450

HAROLD COYLE

żyli jakiś niezwykły ruch. Z wozów i namiotów zaczęli wychodzić oficerowie i podoficerowie, by się ustawić w szeregu przed wjazdem na teren sztabu. Wyglądało to tak, jakby szykowali się do parady, z tym tylko, że twarze wojskowych były poważne i pełne smutku.

W grupie dziennikarzy zapanowało ożywienie. Spodziewano się, że za chwilę nastąpi coś szczególnego, coś, co natychmiast trzeba będzie

relacjonować i rejestrować na taśmach.

W chwilę potem na drodze prowadzącej od południa pokazał się sznur pojazdów. Gdy były już blisko, szef sztabu wydał komendę:

- Baczość! - i szereg oficerów i podoficerów znieruchomiał. W chwilę potem rozległa się komenda: - Prezentuj broń!

Pierwszy jechał wóz pancerny piechoty zmotoryzowanej M-2 bradley. We włązie widać było sylwetkę kapitana Nancy Kozak. Sprawiała wrażenie, jakby jej przybyło dziesięć lat. Obok niej stał wyprężony, z oczami utkwionymi w przestrzeń, sierżant Wolf. Gdy mijali szefa sztabu, Kozak zasalutowała, nie odwracając głowy.

Za jej pojazdem sunął następny bradley, jeden z dwóch wozów pancernych kompanii, który zdołał przejechać przez całe Niemcy. Po drodze stracili jedenaście bradleyów i cztery czołgi oraz wielu członków załóg. Kapitan Kozak czuła się tak, jakby w każdym z tych pojazdów i z zabitymi żołnierzami zostawiła na zawsze część swego serca.

Za wozami pancernymi jechał bradley dowódcy batalionu, majora Harolda Cerro, za nim zaś pojazd M-113, w którego wieżyczce stał wyprostowany rosyjski pułkownik. Worisznow, tak jak jego poprzednicy, zasalutował szefowi sztabu, nie odrywając jednak wzroku od jakiegoś punktu na horyzoncie.

Wreszcie pojawił się czołg. Stojący w szeregu starali się wyprężyć jeszcze bardziej. W wieżyczce czołgu zobaczyli dowódcę 1. Brygady 4. Dywizji Pancерnej, pułkownika Scotta Dixona. Wpatrzony przed siebie, przejeżdżając wolno przed rzędem oficerów i podoficerów sztabowych nie

TRÓJKĄT ŚMIERCI

salutował. Z tego pojazdu nie oddawało się honorów. Obok Dixona, na noszach, okryte wojskowym płaszczem spoczywało ciało generała Alvina Malina, poległego w boju, w akcji prowadzonej rano 25 stycznia.

Dopiero gdy kolumna przeciągnęła przed frontem, poinformowano prasę o tym, co się stało. Dziennikarze tłumnie ruszyli za kolumną, ale wkrótce zostali zatrzymani. Na plażę wjechało tylko pięć pojazdów kolumny, za którymi weszła kolumna oficerów i podoficerów sztabu.

Tu, przed trumną, na ostatnie pożegnanie dowódcy ustawiły się delegacje wszystkich jednostek 10. Korpusu. Za nimi zajęły miejsce poczet sztandarowy i poczet z flagą państwową.

Wozy dojechały niemal do linii wody. Zdjęto z noszy ciało generała Malina i przełożono je do trumny. Po chwili oficerowie unieśli na ramionach trumnę i postawili ją przed wyprężonym na baczność szeregiem.

Zapanowała głucha cisza, przerywana tylko szumem fal. Żołnierze żegnali swego dowódcę w całkowitym milczeniu, bez przemówień i zbytecznej ceremonii.

Epilog

14 marca

Powitanie Nancy Kozak z rodziną w Lawrance, w stanie Kansas, było zdumiewająco chłodne. Czekano z niecierpliwością, ona zaś była zamknięta w sobie, nieczuła, mało rozmowna. Nawet z matką, która ją serdecznie ścisnęła, przywitała się niemal oficjalnie.

Dopiero po wizycie u dziadka coś w niej pękło. Po rodzinnym obiedzie, podczas którego i ona, i dziadek prawie się nie odzywali, rodzina przeszła

do innych pokoi, a oni oboje udali się do jego gabinetu.

Z całej rodziny zawsze jego lubiła najbardziej. Po powrocie w 1945 roku z wojny w Europie dziadek Georg skończył studia, zrobił doktorat z historii i resztę zawodowego życia spędził ucząc innych i analizując, co skłania ludzi do wywoływania i prowadzenia wojen. Lata upłynęły, nim doszedł do wniosku, że na to pytanie nie ma dobrej odpowiedzi. Stawał się więc coraz bardziej zamknięty w sobie, a spośród licznej gromady wnucząt tak naprawdę był przywiązany tylko do Nancy.

Zapalił w kominku, usiedli w fotelach. Przez dłuższy czas milczeli. Wreszcie Nancy zapytała:

- Czy one nigdy nie odchodzą?
- Masz na myśli wspomnienia? - George wpatrywał się w ogień. - Nie. One zawsze będą z tobą - odparł.

- TRÓJKĄT ŚMIERCI

453

Chciała spytać, jak można się uporać z tym brzemieniem, ale uświadomiła sobie, że dziadek zmagał się z tym przez całe lata. A teraz ją czeka to samo.

Patrzył w ogień i też się nie odzywał. Wiedział, że i jej życie nie oszczędziło tych doświadczeń i wspomnień. Być może kiedyś ominie to jej dzieci. Być może one będą żyły wolne od grzechów i błędów swych rodziców. Może.